

REDAKCJA I WYBÓR

GEORGE R.R. MARTIN



WIEŻA ASÓW

Redakcja i wybór

**GEORGE R.R.
MARTIN**

DZIKIE KARTY

Przełożyła
Krystyna Chodorowska

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

George R.R. Martin
Dzikie karty
Wieża Asów
ISBN: 978-83-7785-750-2

TYTUŁ ORYGINAŁU: Wild Cards II: Aces High

PRZEKŁAD: Michał Jakuszcwski

Copyright © 1987 by George R.R. Martin

All rights reserved

Copyright © 2015 for the Polish translation by Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.j., Poznań

Cover Art Copyright © Michael Komarck

REDAKCJA: Robert Cichowlas

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

*Dla Chipa Widemana, Jima Moore'a,
Gail Gerstner-Miller i Parris,
tajnych asów, bez których
nigdy nie zagrano by dzikiej karty*

Od redaktora wydania oryginalnego

Dziki karty to zbiór utworów opisujących wymyśloną rzeczywistość, której historia rozwija się równoległe do naszej. Nazwiska i postacie pojawiające się na kartach niniejszej książki są fikcyjne lub osadzone w fikcyjnym kontekście. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, miejsc lub postaci jest zupełnie przypadkowe. Eseje, artykuły i inne urywki dzieł cytowanych w niniejszej antologii są całkowicie fikcyjne. Nie było naszym zamiarem opisywanie istniejących twórców albo też sugerowanie, że taka osoba rzeczywiście istniała, publikowała lub przesyłała nam swoje eseje, artykuły lub inne dzieła cytowane w niniejszej antologii.

1979

Monety z piekła

LEWIS SHINER

Było ich może ze dwunastu. Fortunato nie był pewny dokładnej liczby, ponieważ ciągle się przemieszczali, próbując zająć go od tyłu. Dwóch albo trzech miało noże, reszta zaś oberżnięte kije bilardowe, samochodowe anteny, wszystko, czym można zadać ból. Trudno ich było od siebie odróżnić. Dżinsy, czarne skórzane kurtki, długie, zaczesane do tyłu włosy. Wygląd przynajmniej trzech w przybliżeniu zgadzał się z opisami, które dostał od Poczwariki.

— Szukam kogoś, kto się nazywa Dzynks — oznajmił Fortunato. Chcieli odepchnąć go od mostu, ale nie byli jeszcze gotowi użyć siły fizycznej. Po lewej ceglana ścieżka wiodła prosto do The Cloisters — oddziału Metropolitan Museum of Art. Cały park był pusty od dwóch tygodni, odkąd wprowadził się tu gang.

— Hej, Dzynks — odezwał się jeden z nich. — Co masz do powiedzenia temu gościowi?

To ten, o cienkich wargach i przekrwionym spojrzeniu. Fortunato spojrział w oczy chłopakowi stojącemu naj bliżej.

— Zjeżdżaj — rzucił. Chłopak cofnął się niepewnie. Fortunato przeniósł spojrzenie na następnego. — Ty też. Zabieraj się stąd.

Ten był słabszy. Odwrócił się i zwiął.

Fortunato nie zdążył zrobić nic więcej. Któryś z nich spróbował uderzyć go w głowę kijem bilardowym. Spowolnił czas, wyrwał przeciwnikowi kij i za jego pomocą wytrącił nóż z ręki chłopakowi, który stał najbliżej. Następnie zaczerpnął tchu i wszystko znowu przyśpieszyło.

Zaczęli się robić niespokojni.

— Spadajcie — rzucił i uciekło trzech kolejnych, w tym również ten zwany Dzynksem. Chłopak popędził ku wyjściu na Sto Dziewięćdziesiątą Trzecią Ulicę. Fortunato rzucił kijem bilardowym w najbliższy nóż sprężynowy i popędził za zbiegiem.

Biegli w dół. Fortunato poczuł, że zaczyna się męczyć, i wypuścił z siebie impuls energii, który uniósł go wysoko nad ścieżkę. As popłynął w powietrzu. Chłopak padł na ziemię głową naprzód i się przetoczył. Coś trzasnęło w jego kręgosłupie. Szarpnął spazmatycznie obiema nogami i umarł.

— Jezu — wydyszał Fortunato, strzepując z ubrania zeschnięte październikowe liście. Gliniarze podwoili ostatnio liczbę patroli wokół parku, choć bali się wchodzić do środka. Raz podjęli

próbę, ale stracili dwóch ludzi, nim zdołali przegnać chłopaków. Następnego dnia gang wrócił. Niemniej obserwowali park i w przypadku takim jak ten będą gotowi przybiec tu po ciało.

Opróżnił kieszenie chłopaka i znalazł to — miedzianą monetę wielkości pięćdziesięciocentówki, czerwoną jak krzepnąca krew. Już od dziesięciu lat Poczwarła — a także garstka innych — wypatrywała ich dla niego, a ostatniej nocy widziała, jak chłopak upuścił taką w Kryształowym Pałacu.

Nie znalazł portfela ani nic, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie. Schował monetę i popędził ku wejściu do metra.



— Tak, pamiętam ją — potwierdził Hiram, podnosząc monetę przez róg serwetki. — Minęło sporo czasu.

— To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym — stwierdził Fortunato. — Dziesięć lat temu.

Hiram skinął głową i odchrząknął. Fortunato nie potrzebował magii, by wiedzieć, że grubas czuje się skrepowany. Rozpięta czarna koszula i skórzana kurtka alfonsa nieszczególnie się zgadzały z zasadami ubierania się obowiązującymi w tym miejscu. Wieża Asów spoglądała na miasto z tarasu widokowego Empire State Building, a ceny były tu równie wysokie jak lokalizacja.

W grę wchodził też fakt, że Fortunato przyprowadził ze sobą swą najnowszą zdobycz, ciemną blondynkę imieniem Caroline, która kosztowała pięć setek za noc. Była drobna, ale nie do końca delikatna, miała dziecięcą twarz oraz zachęcające do spekulacji ciało. Ubrała się w obcisłe dżinsy oraz różową jedwabną bluzkę. Parę górnych guzików miała rozpiętych. Hiram reagował na każde jej poruszenie. Patrzenie, jak się pocił, sprawiało jej wyraźną przyjemność.

— Rzecz w tym, że to nie jest ta sama moneta, którą pokazałem ci wcześniej.

— Niezwykłe. Trudno uwierzyć, że udało ci się znaleźć dwie w tak dobrym stanie.

— Myślę, że mógłbyś to ująć nieco mocniej. Moneta pochodzi od członka jednego z gangów grasujących w okolicach Cloisters Museum. Nosił ją, ot tak, w kieszeni. Pierwszą miał chłopak parający się okultyzmem.

Nadal trudno mu było o tym mówić. Chłopak zamordował trzy gejsze Fortunata i wyciął na ich ciałach pentagramy z jakiegoś wypaczonego powodu, którego as nadal nie odgadł. Żył dalej, szkolił swoje dziewczyny i studiował tantryczne moce, które dał mu wirus dzikiej karty, ale poza tym w nic się nie mieszał.

A kiedy sprawa znowu zaczynała go niepokoić, poświęcał dzień albo i tydzień na podążanie jednym ze śladów pozostawionych przez zabójcę. Moneta. Ostatnie wypowiedziane przez niego słowo: TIAMAT. Ślady energii pochodzące od czegoś innego, znajdującego się w lofcie zabitego chłopaka, jakiegoś bytu, którego Fortunato nigdy nie zdołał zidentyfikować.

— Chcesz powiedzieć, że one mają w sobie coś nadprzyrodzonego — rzekł, przesuając spojrzenie na przeciągającą się leniwie na krześle Caroline.

— Po prostu chcę, żebyś przyjrzał się i tej.

— Hmm — mruknął Hiram. Wokół nich goście restauracji stukali lekko widelcami i szklankami, rozmawiając tak cicho, że brzmiało to jak odległy szum wody. — Jak już z pewnością wspomniałem poprzednim razem, pieniążek wygląda jak amerykański cent z roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego czwartego w idealnym stanie, tłoczony z ręcznie wykonanej matrycy. Mógł być ukradziony z muzeum, ze sklepu z monetami albo z prywatnej... — Jego głos ucichł. — Hmmm. Przyjrzyj się temu.

Uniósł pieniążek i wskazał na niego pulchnym piątym palcem, niemalże dotykając powierzchni.

— Widzisz podstawę wieńca, o tutaj? To powinien być łuk. Ale zamiast niego jest coś bezkształtnego o okropnym wyglądzie.

Fortunato gapił się na monetę. Przez pół sekundy miał wrażenie, że spada. Liście w wieńcu zmieniły się w macki, końce wstęgi otworzyły się niczym dziób, pętle łuku przerodziły się w bezkształtne ciało, usiane zbyt licznymi oczami. Fortunato widział ten obraz już wcześniej, w książce o sumeryjskiej mitologii. Podpis pod obrazkiem brzmiał: TIAMAT.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Caroline.

— Nic mi nie będzie. Mów dalej — rzucił do Hirama.

— Instynkt podpowiada mi, że są fałszywe. Ale komu by się chciało podrabiać centy? I czemu nie zadał sobie trudu, żeby choć trochę je postarzyć? Wyglądają, jakby były wybite wczoraj.

— Nie były, jeśli to ma znaczenie. Otaczająca je aura wskazuje na znaczne zużycie. Powiedziałbym, że mają co najmniej sto lat, zapewne bliżej dwustu.

Hiram złączył czubki palców w piramidkę.

— Pozostaje mi tylko odesłać cię do kogoś, kto może się okazać bardziej pomocny. Ona nazywa się Eileen Carter i prowadzi małe muzeum na Long Island. Kiedyś, hmm, korespondowaliśmy ze sobą. No wiesz, numizmatyka. Eileen napisała kilka książek o lokalnej historii okultyzmu.

Zapisał adres w małym notesiku i wyrwał kartkę.

Fortunato przyjął ją od niego i wstał.

— Jestem ci wdzięczny.

— Posłuchaj, czy uważasz... — Hiram obliznął wargi. — Czy uważasz, że normalna osoba mogłaby bezpiecznie posiadać jedną z nich?

— Jako kolekcjoner? — zainteresowała się Caroline.

Hiram opuścił wzrok.

— Kiedy ta sprawa się skończy, będę gotowy zapłacić.

— Kiedy ta sprawa się skończy — odparł Fortunato — będziesz mógł je sobie wziąć, o ile obaj dożyjemy tej chwili.



Eileen Carter zbliżała się już do czterdziestki i w brązowych włosach miała nitki siwizny. Spojrzała na Fortunata przez kwadratowe okulary, a potem przeniosła wzrok na Caroline. Uśmiechnęła się.

Fortunato większość czasu spędzał w towarzystwie kobiet. Pomimo wielkiej urody Caroline brakowało pewności siebie, była zazdrosna i skłonna do irracjonalnych diet albo makijażu. Eileen była zupełnie inna. Wygląd Caroline tylko nieco ją rozbawił. Jeśli zaś chodzi o niego — pół Japończyka, pół Murzyna w skórzanej kurtce, o czole wypukłym dzięki wirusowi dzikiej karty — najwyraźniej nie zauważyła w nim nic niezwykłego.

— Ma pan ze sobą monetę? — zapytała. Mówiąc do niego, patrzyła mu prosto w oczy. Fortunato czuł się już znudzony kobietami o wyglądzie modelek. Ta miała krzywy nos, piegi i ważyła kilkanaście funtów za dużo. Najbardziej spodobały mu się jej oczy. Były jaskrawozielone i miały w kącikach bruzdy od uśmiechów.

Położył monetę na blacie, reszką do góry.

Eileen pochyliła się nad nią, dotykając jednym palcem mostka okularów. Miała na sobie zieloną flanelową koszulę. Piegi schodziły w dół tak nisko, jak Fortunato sięgał wzrokiem. Jej włosy miały czysty, słodki zapach.

— Czy mogę zapytać, skąd pan to ma?

— To długa historia — odparł. — Jestem przyjacielem Hirma Worchestera. On za mnie zaręczy, jeśli to w czymś pomoże.

— To wystarczy. Czego chce się pan dowiedzieć?

— Hiram myśli, że to może być falsyfikat.

— Chwileczkę.

Zdjęła książkę z półki za swymi plecami. Poruszała się w nagłych przypływach energii, całkowicie oddając się temu, co akurat robiła. Otworzyła książkę i zaczęła wertować strony.

— Tutaj — powiedziała. Przez kilka sekund przyglądała się z uwagą drugiej stronie monety, przygryzając dolną wargę. Usta miała małe, silne i ruchliwe. Zaczął się zastanawiać, jakby to było, gdyby ją pocałował.

— To ta — stwierdziła. — Tak, to falsyfikat. Nazywa się centem Balsama. Tak tu piszą. Od „Czarnego Johna” Balsama, który bił takie monety w górach Catskills na początku dziewiętnastego wieku. Pamiętam skądś ten przydomek, ale nie potrafię sobie przypomnieć skąd.

— „Czarny John”?

Wzruszyła ramionami i znowu się uśmiechnęła.

— Czy mogę ją na razie zatrzymać? Tylko na kilka dni? Może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej.

— Zgoda.

Fortunato słyszał stąd ocean i w związku z tym sytuacja wydawała mu się nieco mniej niebezpieczna. Dał Eileen wizytówkę, tę, na której było tylko nazwisko i numer telefonu. Kiedy wychodzili, uśmiechnęła się i pomachała do Caroline, ale ta zachowała się, jakby tego nie zauważyła.

— Chcesz się z nią pieprzyć, prawda? — zapytała, gdy wracali pociągiem do miasta.

Fortunato uśmiechnął się, ale jej nie odpowiedział.

— Przysięgam na Boga — ciągnęła. Usłyszał w jej głosie Houston, po raz pierwszy od wielu tygodni. — Z otylą, zaniedbaną, starą nauczycielką.

Wiedział, że nie warto nic mówić. Reagował przesadnie. W pewnym zakresie chodziło zapewne po prostu o feromony, jakąś postać seksualnej chemii, którą rozumiał na długo przed tym, nim poznał jej naukowe zasady. Czuł się jednak przy niej dobrze, co nie zdarzało mu się często od czasu, gdy zmieniła go dzika karta. W ogóle nie okazywała skrępowania.

Przestań, pomyślał. Zachowujesz się jak nastolatek.

Caroline odzyskała panowanie nad sobą i położyła dłoń na jego udzie.

— Kiedy wrócimy do domu, będziemy się pieprzyć, aż wypieprzę ją z twojego umysłu — zapowiedziała.



— Fortunato?

Przełożył słuchawkę do lewej ręki i spojrzął na zegarek. Była dziewiąta rano.

— Ehe.

— Mówi Eileen Carter. W zeszłym tygodniu zostawił pan u mnie monetę.

Usiadł, nagle rozbudzony. Caroline odwróciła się i schowała głowę pod poduszką.

— Nie zapomniałem. Jak pani sobie radzi?

— Niewykluczone, że coś znalazłam. Co pan powie na małą wycieczkę na wieś?



Podjechała po niego swoim golfem i ruszyli do Shandaken, małego miasteczka w górach Catskills. Ubrał się tak zwyczajnie, jak tylko mógł — lewisy, ciemna koszula i stary sportowy płaszcz. Nie mógł jednak ukryć pochodzenia ani znaków pozostawionych przez wirusa.

Zatrzymali się na asfaltowym parkingu przed kościołem z białych desek. Ledwie zdążyli wysiąść, gdy drzwi świątyni otworzyły się i na dwór wyszła staruszka. Była ubrana w tani granatowy spodniom z podwójnie dzianej tkaniny. Na głowie miała chustkę. Obejrzała Fortunata od stóp do głów, ale wreszcie wyciągnęła rękę.

— Amy Fairborn. Na pewno jesteście tymi ludźmi z miasta.

Eileen ich przedstawiła i staruszka skinęła głową.

— Grób jest tutaj — oznajmiła.

Nagrobek był pozbawionym ozdób prostopadłością z marmuru, usytuowanym poza obrębem białego płotu cmentarza, daleko od innych grobów.

Napis głosił: „John Joseph Balsam. Zmarł w 1809. Oby Spłonął w Piekło”.

Wiatr szarpał płaszczem Fortunata i przynosił do jego nozdrzy lekką woń perfum Eileen.

— To niezwykła opowieść — mówiła Amy Fairborn. — Nikt już dzisiaj nie wie, jak wiele jest w niej prawdy. Balsam był ponoć jakiegoś rodzaju czarownikiem. Mieszkał pośród wzgórz. Po raz pierwszy usłyszano o nim w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego wieku. Nikt nie wie, skąd pochodził. Z jakiegoś miejsca w Europie. To znana historia. Cudzoziemiec, mieszka samotnie, jest oskarżany o wszystko. Krowy dają kwaśne mleko albo jakaś kobieta poroniła i ludzie mówią, że to przez niego.

Fortunato skinął głową. Sam czuł się w tej chwili jak cudzoziemiec. Gdziekolwiek spojrzał, widział tylko drzewa i góry, pomijając jedynie kościół, wzniesiony na szczycie wzgórza niczym fort. Czuł się odsłonięty, bezbronny. Natura powinna mieć wokół siebie miasto.

— Pewnego dnia córka szeryfa spod Kingston zaginęła — ciągnęła Amy Fairborn. — To był początek sierpnia tysiąc osiemset dziewiątego. Święto Pierwszych Plonów. Włamali się do domu Balsama i znaleźli dziewczynę nagą i rozciągniętą na ołtarzu. — Kobieta odsłoniła zęby. — Tak mówi opowieść. Balsam miał na sobie dziwaczny strój i maskę. W ręce trzymał nóż długi jak pani ręka. Było diabelnie jasne, że chce ją zaszlachtować.

— Co to był za strój? — zainteresował się Fortunato.

— Habit mnicha. I ponoć maska psa. Reszty możecie się domyślić. Powiesili go, spalili dom, zasiali ziemię solą i wyrąbali drzewa rosnące przy drodze, która tam wiodła.

Fortunato wyjął jeden z piątek. Drugi nadal miała Eileen.

— Podobno nazywają je centami Balsama. Czy to coś dla pani znaczy?

— Mam w domu trzy albo cztery takie. Co jakiś czas wynurzają się z jego grobu. Co poszło w dół, prędzej czy później wraca na górę, jak mawiał mój mąż. Pochował tu bardzo wielu ludzi.

— Zakopali te piątki w jego grobie? — zapytał Fortunato.

— Wszystkie, które zdołali znaleźć. Kiedy podpalali dom, odkryli w piwnicy całą beczkę. Widzi pan, jaki jest czerwony? To podobno od wysokiej zawartości żelaza czy coś takiego. Ale w tamtych czasach ludzie mówili, że Balsam dodawał do miedzi ludzkiej krwi. Tak czy inaczej, monety zniknęły z biura szeryfa. Większość ludzi myślała, że żona i dzieciak Balsama uciekli z nimi.

— On miał rodzinę? — zdziwiła się Eileen.

— Nikt ich nie widywał zbyt często, ale tak, miał żonę i małego chłopczyka. Kiedy go powiesili, oboje uciekli do wielkiego miasta. Tak przynajmniej uważali ludzie.



Kiedy wracali do miasta przez góry Catskills, skłonił Eileen, by opowiedziała trochę o sobie. Urodziła się na Manhattanie, w późnych latach sześćdziesiątych zrobiła licencjat ze sztuk pięknych na Uniwersytecie Columbia, bawiła się trochę działalnością polityczną i społeczną i pozostały jej po tym typowe żale.

— System nie chciał się zmieniać wystarczająco szybko w mojej opinii. Pewnie można powiedzieć, że uciekłam w historię. I wiesz co? Kiedy się czyta o historii, można zobaczyć, jak to wszystko się kończy.

— Dlaczego historia okultyzmu?

— Nie wierzyłam w to wszystko, jeśli o to pytasz. Śmiejesz się. Dlaczego się ze mnie śmiejesz?

— Zaczekaj chwilę. Mów dalej.

— To po prostu było wyzwanie. Oficjalni historycy nie traktują tej dziedziny poważnie. Jest szeroko otwarta, można w niej znaleźć mnóstwo fascynujących spraw, których nigdy porządnie nie udokumentowano. Haszaszyni, kabała, David Home, Crowley. — Spojrzała na Fortunata. — Daj spokój. Powiedz mi, na czym polega żart.

— W ogóle o mnie nie zapytałaś. To było miłe. Ale musisz wiedzieć, że mam wirusa. Dziką kartę.

— Tak.

— Dał mi mnóstwo mocy. Projekcja astralna, telepatia, stan podwyższonej świadomości. Ale mogę tym wszystkim kierować, robić z tego użytek, tylko za pomocą magii tantrycznej. To ma coś wspólnego z energizowaniem rdzenia...

— Kundalini.

— Tak.

— Masz na myśli prawdziwą magię tantryczną. Intromisję. Krew miesięczną. Wszystkie takie sprawy.

— Zgadza się. To jest część związana z dziką kartą.

— Jest coś więcej?

— Z tego właśnie żyję. Jestem stręczycielem. Alfonsem. Kieruję grupą dziewczyn biorących do tysiąca dolarów za noc. Czy już cię podenerwowałem?

— Nie. Może trochę. — Zerknęła na niego z ukosa. — To pewnie zabrzmiało głupio, ale nie tak sobie wyobrażałam alfonsa.

— To określenie szczególnie mi się podoba. Ale nie uciekam od niego. Moje kobiety nie są zwykłymi dziwkami. Moja matka jest Japonką i szkoli je na gejsze. Wiele z nich ma doktoraty. Żadna nie ćpa, a gdy już znudzą się tym życiem, przechodzą do innych części organizacji.

— W twoich ustach brzmi to bardzo moralnie.

Była gotowa okazać dezaprobatę, ale Fortunato nie zamierzał się cofnąć.

— Nie — zaprzeczył. — Czytałaś Crowleya. On nie dbał o konwencjonalną moralność. Ja również o nią nie dbam. „Czyń, co ci się podoba”. Im więcej się uczę, tym lepiej sobie uświadamiam, że wszystko zawiera się w tej jednej frazie. To w równym stopniu groźba, co obietnica.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Dlatego że cię lubię i czuję do ciebie pociąg, a to wcale nie musi być dobre dla ciebie. Nie chcę cię skrzywdzić.

Trzymała obie dłonie na kierownicy, cały czas patrząc na drogę.

— Potrafię sobie poradzić — zapewniła.

Trzeba było trzymać głowę na kłódkę, pomyślał. Wiedział jednak, że to nieprawda. Lepiej będzie odstraszyć ją teraz, nim sam głębiej się zaangażuje.

Po kilku minutach przerwała milczenie.

— Nie wiem, czy powinnam ci o tym opowiadać. Zaniósłam monetę w różne miejsca. Do okultystycznych księgarni, sklepów magicznych i tak dalej. Chciałam się przekonać, czego się dowiem. W księgarni Miskatonic spotkałam faceta nazwiskiem Clarke. Sprawiał wrażenie naprawdę zainteresowanego.

— Co mu powiedziałaś?

— Że moneta należała do mojego ojca. Że chcę się czegoś o niej dowiedzieć. Zaczął mnie wypytywać, czy interesuję się okultyzmem, czy miałam kiedyś doświadczenia paranormalne i takie tam rzeczy. Łatwo było mu wcisnąć to, co chciał usłyszeć.

— I?

— I chce, żebym poznała pewnych ludzi. Znowu milczysz — dodała po kilku sekundach przerwy.

— Myślę, że nie powinnaś tam iść. To niebezpieczne sprawy. Może i nie wierzysz w okultyzm, ale rzecz w tym, że dzika karta wszystko zmieniała. Fantazje i wierzenia ludzi mogą się teraz stać realne. Mogą cię skrzywdzić. Nawet zabić.

Potrząsnęła głową.

— To zawsze ta sama historia. Ale nigdy nie ma żadnych dowodów. Możesz się ze mną spierać przez całą drogę do Nowego Jorku, ale i tak mnie nie przekonasz. Dopóki nie zobaczę czegoś na własne oczy, nie mogę tego traktować poważnie.

— Proszę bardzo — rzekł Fortunato. Uwolnił ciało astralne i pomknął naprzód. Uczynił je widzialnym w chwili, gdy samochód był tuż-tuż. Zobaczył przez przednią szybę, że Eileen wybałuszyła nagle oczy. Jego fizyczne ciało siedziało obok niej, gapiąc się bezmyślnie. Kobieta krzyknęła, hamulce zapisały gwałtownie i Fortunato powrócił do ciała. Mknęli prosto na

drzewa, wyciągnął więc rękę i zakręcił kierownicą. Silnik zgasł. Pojazd wytoczył się na pobocze.

— Co... co...

— Przepraszam — rzekł, ale w jego głosie nie słyszało się przekonania.

— To ty byłeś na drodze!

Nadal ścisnęła kierownicę. Jej ramiona drżały.

— To była tylko... demonstracja.

— Demonstracja? O mało nie umarłam ze strachu!

— To nie było nic szczególnego. Rozumiesz? Nic szczególnego. Mówimy o jakimś kulcie, który istnieje prawie od dwustu lat i składa ofiary z ludzi. Co najmniej. A może być gorzej, bez porównania gorzej. Jeśli się w to włączysz, nie chcę być za to odpowiedzialny.

Włączyła silnik i wjechała na drogę. Odezwała się dopiero po kwadransie, gdy wrócili na I-87.

— Nie jesteś już w pełni człowiekiem, prawda? Mogłeś mnie tak okropnie przestraszyć, mimo że mówisz, że jesteś mną zainteresowany. Przed tym właśnie chciałeś mnie ostrzec.

— Tak — przyznał. Jej głos brzmiał teraz inaczej, wydawał się bardziej odległy. Cekał, aż kobieta powie coś jeszcze, ale ona tylko skinęła głową i włożyła do magnetofonu taśmę z Mozartem.



Myślał, że to będzie koniec sprawy, ale po tygodniu zadzwoniła i zapytała, czy zjadłby z nią obiad w Wieży Asów.

Siedział już przy stoliku, kiedy przyszła. Wiedział, że nigdy nie będzie wyglądała jak modelka albo jedna z jego gejsz. Podobało mu się jednak, w jaki sposób podkreślała to, co miała: wąska szara koszula flanelowa; biała bawełniana bluzka; granatowy rozpinany sweter; naszyjnik z bursztynów i szeroka szylkretowa opaska na włosach. Nie miała żadnego makijażu poza tuszem do rzęs i odrobiną błyszczyku na wargach.

Fortunato wstał, by odsunąć jej krzesło, i o mało nie wpadł na Hirama. Nastąpiła chwila pełnej zażenowania ciszy. Wreszcie wyciągnęła rękę i Hiram pochylił się nad nią, zawahał odrobinę zbyt długo, a potem się odsunął. Fortunato śledził go spojrzeniem przez sekundę albo dwie. Chciał, żeby Eileen jakoś to wyjaśniła, ale nie pojęła aluzji.

— Cieszę się, że cię widzę — rzekł wreszcie.

— Ja też.

— Pomimo tego... co wydarzyło się poprzednim razem?

— Słucham? Czy to mają być przeprosiny?

Znowu ten uśmiech.

— Nie — odparł. — Chociaż naprawdę żałuję. Tego, że cię w to wciągnąłem. Że nie mogliśmy się poznać w innych okolicznościach. Że gdy się spotykamy, ta paskudna sprawa

zawsze musi stać między nami.

— Ja też tego żałuję.

— I boję się o ciebie. Mam do czynienia z czymś, z czym nigdy dotąd się nie zetknąłem. Z tym... spiskiem, kultem czy co to właściwie jest. Nie mogę odkryć żadnych faktów na ten temat.

Kelner przyniósł menu i wodę w kryształowych pucharach. Fortunato odesłał go skinieniem głowy.

— Rozmawiałem z Clarkiem — podjął. — Zadałem mu kilka pytań i wspomniałem o TIAMAT, ale odpowiedział tylko pozbawionymi wyrazu spojrzeniami. Nie próbował mnie okłamać. Zjrzałem do jego mózgu. — Zaczerpnął oddechu. — Nie pamiętał cię.

— To niemożliwe — sprzeciwiła się, potrząsając głową. — Czuję się bardzo dziwnie, siedząc tu i słuchając, jak mówisz o czytaniu w jego myślach. To musi być jakaś pomyłka. Jesteś tego pewien?

Fortunato wyraźnie widział jej aurę. Eileen mówiła prawdę.

— Jestem pewien — potwierdził.

— Widziałam się z Clarkiem wczoraj wieczorem i mogę cię zapewnić, że mnie pamiętał. Zaprowadził mnie na spotkanie z dwoma facetami. Członkami kultu, towarzystwa czy jak to tam zwał. Dzięki tym monetom rozpoznają się nawzajem.

— Podali ci nazwiska, adresy albo coś w tym rodzaju?

Znów potrząsnęła głową.

— Poznałabym ich. Jeden nazywa się Roman. Bardzo przystojny, niemal za bardzo, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Drugi wyglądał zupełnie zwyczajnie. Chyba miał na imię Harry.

— Czy ta ich grupa ma jakąś nazwę?

— Mnie jej nie zdradzili. — Wrócił kelner i Eileen zerknęła na menu. — Niech będzie medalion cielęcy. I kieliszek chablis.

Fortunato zamówił zestaw surówek i piwo Beck's.

— Ale dowiedziałam się paru innych rzeczy — ciągnęła. — Próbowałam wytropić żonę i syna Balsama. No wiesz, oni pozostają niewyjaśnionymi wątkami w tej sprawie. Najpierw spróbowałam normalnych metod używanych przez detektywów. Narodziny, śmierć i akty zawarcia małżeństwa. Nic z tego. Potem zwróciłam się do związków z okultyzmem. Znasz „Abramelin Review”?

— Nie.

— To coś w rodzaju „Reader's Guide” dla okultystycznych publikacji. Tam właśnie znalazłam rodzinę Balsamów. Niejaki Marc Balsam opublikował w kilku ostatnich latach co najmniej tuzin artykułów. Większość w piśmie o tytule „Nectanebus”. Czy to ci coś mówi?

Fortunato potrząsnął głową.

— To jakiś demon albo coś? Mam wrażenie, że powinienem znać to słowo, ale nie potrafię określić skąd.

— Założę się, że Balsam jest powiązany z tym samym towarzystwem co Clarke.

— Z powodu monet.

— Tak jest.

— A co z tymi młodzieżowymi gangami grasującymi w Cloisters Parku? Zabrałem monetę jednemu z ich członków. Widzisz jakiś możliwy związek?

— Jeszcze nie. Artykuły mogą mi pomóc, ale czasopismo ma bardzo niski nakład. Nie udało mi się jeszcze znaleźć ani jednego egzemplarza.

Przyniesiono zamówione dania. Przy jedzeniu Eileen wreszcie wspomniała o Hiramie.

— Piętnaście lat temu był atrakcyjniejszy, niż pewnie ci się zdaje. Trochę zwalisty, ale bardzo czarujący. Potrafił się ubrać, wiedział, co powiedzieć, i oczywiście zawsze znał fantastyczne restauracje.

— I co się wydarzyło? A może to nie mój interes?

— Nie wiem. Co zwykle dzieje się między ludźmi? Chyba głównie chodziło o to, że za bardzo się przejmował swoją wagą. Teraz to ja ciągle się gryzę własnym wyglądem.

— Niepotrzebnie. Wyglądasz świetnie. Mogłabyś zdobyć każdego mężczyznę, którego zapragniesz.

— Nie musisz ze mną flirtować. Wiem, że masz tę całą seksualną moc i charyzmę, ale nie podoba mi się myśl, że używasz jej, żeby mną manipulować.

— Nie próbuję tobą manipulować — zaprzeczył Fortunato. — Jeśli masz wrażenie, że jestem tobą zainteresowany, to tylko dlatego, że to prawda.

— Czy zawsze masz w sobie tyle pasji?

— Ehe, chyba zawsze. Patrzą na ciebie, a ty ciągle się uśmiechasz. To mnie doprowadza do szaleństwa.

— Postaram się przestać.

— Nie rób tego.

Uświadomił sobie, że wyraził to zbyt mocno. Eileen ułożyła równo sztucce na pustym talerzu i upuściła zmiętą serwetkę obok niego. Fortunato odsunął resztę surówek. W jego umyśle nagle zrodziła się pewna myśl.

— Jak się nazywało to pismo, w którym publikował Balsam?

Wyjęła z torebki złożoną kartkę.

— „Nectanebus”. Dlaczego pytasz?

Fortunato poprosił gestem o rachunek.

— Posłuchaj. Czy mogłabyś pojechać do mojego mieszkania? Nie mam żadnych podstępnych zamiarów. To jest ważne.

— Pewnie bym mogła.

Kelner uklonił się i spojrział na Eileen.

— Pan Worchester... jest w tej chwili zajęty. Ale prosił, żebym pani powiedziała, że obiad jest na koszt firmy.

— Niech mu pan podziękuje w moim imieniu — odparła. — Proszę mu powiedzieć... proszę mu powiedzieć, że dziękuję.



Gdy przyszli do mieszkania, Caroline jeszcze spała. Wstała, poszła nago do łazienki, ostentacyjnie zostawiając drzwi otwarte, a potem usiadła na łóżku i zaczęła się powoli ubierać, zaczynając od pończoch i podwiązek.

Fortunato ją ignorował, zajęty przerzucaniem stert książek, które zajmowały już całą ścianę salonu. Albo nauczyła się panować nad zazdrością, albo znalazła sobie inne zajęcie.

Eileen uśmiechnęła się do niej, gdy dziewczyna wkładała szpilki na dziesięciocentymetrowych obcasach.

— Jest piękna — zauważyła.

— Ty też.

— Nie zaczynaj.

— Ty pierwsza o tym wspomniałaś. — Wręczył jej *Egyptian magic Budge'a*. — Proszę bardzo. Nectanebus.

— ...zasłynął jako egipski mag i mędrzec. Był znawcą całej mądrości Egiptu.

— To układa się w całość. Pamiętasz psią maskę Czarnego Johna? Zastanawiam się, czy kult Balsama to masoneria egipska.

— O mój Boże. Myślisz o tym samym co ja?

— Myślę, że „Balsam” to może być zamerykanizowana postać nazwiska „Balsamo”.

— Jak na przykład Giuseppe Balsamo z Palermo — dodała Eileen i usiadła ciężko na kanapie.

— Lepiej znany światu jako „hrabia Cagliostro” — potwierdził Fortunato.



Podsunał sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

— Kiedy dokładnie aresztowała go inkwizycja?

— Chyba gdzieś około tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego, tak? Zamknęli go w jakimś lochu. Ale jego ciała nigdy nie znaleziono.

— Podobno miał kontakty z iluminatami. Przypuśćmy, że uwolnili go z więzienia i przemycili do Ameryki.

— Gdzie pojawił się jako Czarny John Balsam, miejscowy dziwoląg. Ale co właściwie kombinował? Po co te monety? I ofiary z ludzi? Cagliostro był oszustem, hochsztaplerem.

Chciał tylko dobrze żyć, nic więcej. Morderstwo po prostu nie jest w jego stylu.

Fortunato wręczył jej *Witches and Sorcerers* Daraula.

— Sprawdźmy to. Chyba że masz coś lepszego do roboty?



— Anglia — odezwała się Eileen. — Rok tysiąc siedemset siedemdziesiąty siódmy. Wtedy właśnie to się wydarzyło. Został masonem dwunastego kwietnia w Soho. Od tej chwili masoneria staje się centrum jego życia. Wymyśla masonerię egipską jako coś w rodzaju wyższego zakonu i zaczyna rozdawać pieniądze, przyjmując na członków tylu wyższych rangą masonów, ilu tylko zdoła.

— I co to wszystko spowodowało?

— Podobno odbył podróż po Anglii i wrócił z niej, cytuję, odmieniony, koniec cytatu. Jego magiczne moce wzrosły. Przerodził się z poszukiwacza przygód w autentycznego mistyka.

— Dobra — rzekł Fortunato. — A teraz posłuchaj tego. Tołstoj o masonerii: „Pierwszym i najważniejszym celem naszego zakonu... jest zachowanie i przekazanie potomności pewnej ważnej tajemnicy... od której może zależeć los ludzkości”.

— Zaczynam się tego naprawdę bać — wyznała Eileen.

— Jest jeszcze jeden szczegół. Na orzełku monety Balsama jest wyobrażone sumeryjskie bóstwo o imieniu TIAMAT. To ono było inspiracją dla Cthulhu Lovecrafta. Jakiś wielki, bezkształtny potwór spoza gwiazd. Lovecraft ponoć zaczerpnął swą mitologię z tajnych papierów ojca. Ojciec Lovecrafta był masonem.

— Myślisz, że o to właśnie tu chodzi? O tę całą TIAMAT?

— Połącz wszystko razem — odpowiedział Fortunato. — Przypuśćmy, że masońska tajemnica miała coś wspólnego z kontrolą nad TIAMAT. Cagliostro poznaje tajemnicę. Jego masonscy bracia nie chcą wykorzystywać tej wiedzy dla złych celów, postanawia więc założyć własny zakon, który będzie realizował jego zamiary.

— Chciał sprowadzić to coś na Ziemię.

— Tak — potwierdził Fortunato. — Sprowadzić na Ziemię.

Eileen wreszcie przestała się uśmiechać.



Nim skończyli rozmowę, zrobiło się ciemno. Noc była zimna i pogodna. Fortunato widział gwiazdy przez lufcik w salonie. Żałował, że nie potrafi ich wyłączyć.

— Jest późno — zauważyła Eileen. — Muszę już iść.

Nie spodziewał się, że będzie chciała odejść. Po całym dniu pracy był przepełniony nerwową energią. Czuł dreszczyk polowania. Ekscytował go jej umysł, pragnął, by otworzyła się przed nim — jej tajemnice, jej uczucia, jej ciało.

— Zostań — poprosił, uważając, by nie użyć swych mocy, nie uczynić z tego słowa rozkazu.

— Proszę.

Gdy wypowiedział to drugie słowo, poczuł w żołądku chłód.

Wstała i włożyła sweter, który zostawiła na poręczu kanapy.

— Muszę... przetrwać to wszystko — oznajmiła. — Za dużo wydarzyło się jednocześnie. Przepraszam. — Nie chciała na niego spojrzeć. — Potrzebuję więcej czasu.

— Odprowadzę cię do Ósmej Alei — zaproponował. — Tam będziesz mogła złapać taksówkę.

Zimno zdawało się promieniować z gwiazd, coś w rodzaju nienawiści do samego życia. Zgarbił się i wetknął ręce głęboko w kieszenie. Po kilku sekundach poczuł, że Eileen obejmuje go w pasie. Przyciągnął ją bliżej i ruszyli w drogę.

Zatrzymali się na rogu Ósmej i Dziewiętnastej. Taksówka podjechała niemal natychmiast.

— Nie mów tego — rzekła Eileen. — Będę na siebie uważała.

Fortunato czuł zbyt silny ucisk w gardle, by mógł coś powiedzieć, nawet gdyby chciał to zrobić. Objął jej głowę od tyłu i pocałował ją. Odpowiedziała tak delikatnie, że zaczął się odwracać, nim się zorientował, jakie to przyjemne. Znowu spojrzął na nią. Stała bez ruchu. Pocałował ją ponownie, tym razem mocniej. Zachwiała się, pochyliła ku niemu na mgnienie oka, a potem odsunęła.

— Zadzwoń do ciebie — obiecała.

Śledził taksówkę wzrokiem, aż zniknęła za rogiem.



O siódmej rano następnego dnia obudziła go policja.

— Mamy w kostnicy martwego chłopaka — poinformował go pierwszy gliniarz. — Ktoś złamał mu kark w Cloisters Parku, jakiś tydzień temu. Wie pan coś na ten temat?

Fortunato potrząsnął głową. Stał przy drzwiach, przytrzymując szlafrok jedną ręką. Gdyby weszli do środka, zobaczyliby pentagram namalowany na parkiecie, ludzką czaszkę na regale oraz skrzęty na stoliku.

— Niektórzy jego kumple mówią, że pana tam widzieli — dodał drugi gliniarz.

Fortunato spojrzął mu prosto w oczy.

— Nie było mnie tam — rzekł. — Chce pan w to uwierzyć.

Drugi gliniarz skinął głową. Pierwszy zaczął sięgać po broń.

— Nie — rzekł Fortunato. Mężczyzna nie zdążył odwrócić wzroku na czas. — Pan również w to wierzy. Jestem czysty.

— Czysty — potwierdził pierwszy gliniarz.

— Idźcie już — rzekł as i obaj się oddalili.

Usiadł na kanapie. Ręce mu drżały. Wróć. Albo — co bardziej prawdopodobne — wyślą kogoś z wydziału z Dżokerowa, kto będzie odporny na jego moce.

Już nie zaśnie. Zresztą i tak spał kiepsko. Dręczyły go sny pełne mackowatych stworów wielkich jak księżyc, zasłaniających niebo i połykających miasto.

Nagle przyszło mu do głowy, że mieszkanie jest puste. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spędził noc sam. O mało nie sięgnął po telefon, by zadzwonić do Caroline. To był tylko odruch i zdołał go stłumić. To z Eileen chciał być.



Zadzwoniła po dwóch dniach. W tym czasie dwukrotnie odwiedził w astralnej postaci jej muzeum na Long Island. Krążył po pomieszczeniu, niewidzialny dla niej, i po prostu się przyglądał. Wybierałby się tam częściej i zostawałby na dłużej, ale sprawiało mu to zbyt wielką przyjemność.

— Mówi Eileen — usłyszał. — Chcą mnie wprowadzić.

Było wpół do czwartej po południu. Caroline była w Berlitz, uczyła się japońskiego. Ostatnio nie pokazywała się tu zbyt często.

— Wróciłaś tam — stwierdził.

— Musiałam. Już o tym rozmawialiśmy.

— Kiedy to ma się odbyć?

— Dziś w nocy. Mam się zjawić o jedenastej. W tym starym kościele w Dżokerowie.

— Mogę się z tobą zobaczyć?

— Pewnie tak. Przyjadę, jeśli chcesz.

— Proszę. Najszybciej, jak tylko możesz.

Wyglądał przez okno, aż wreszcie zobaczył jej samochód. Wpuścił ją domofonem, a potem czekał na pomoście. Weszła przed nim do mieszkania, a następnie się odwróciła. Nie wiedział, czego się po niej spodziewać. Zamknął drzwi, a ona wyciągnęła do niego rękę. Objął ją, a ona uniosła ku niemu twarz. Pocałował ją, a potem pocałował ją znowu. Objęła go mocno w karku.

— Pragnę cię — rzekł.

— Ja też cię pragnę — odparła.

— Chodźmy do łóżka.

— Chcę to zrobić. Ale nie mogę. To... to po prostu kiepski pomysł. Dla mnie minęło wiele czasu. Nie potrafię po prostu wleźć z tobą do łóżka, by wykonywać dziwaczne tantryczne akty. Nie tego pragnę. Jezu, nawet nie możesz mieć normalnego wytrysku!

Przeczesał jej włosy palcami.

— W porządku. — Tulił Eileen jeszcze przez chwilę, nim wreszcie ją puścił. — Napijesz się czegoś?

— Może kawy, jeśli ją masz.

Postawił wodę na gazie i zmielił trochę kawy, przyglądając się kobiecie.

— Nie rozumiem, dlaczego nie potrafisz nic wyczytać w umysłach tych ludzi — wyznał.

— Chyba nie myślisz, że wszystko to sobie wymyśliłam?

— Wiem, że tak nie było — odparł. — Zorientowałbym się, gdybyś kłamała.

Potrząsnęła głową.

— Piekielnie trudno się do ciebie przyzwyczaić.

— Niektóre sprawy są ważniejsze niż konwenanse.

Woda się zagotowała. Fortunato zalał dwie filiżanki i jedną podał kobiecie.

— Jeśli rzeczywiście to taka wielka organizacja, jak myślisz, na pewno ma asów na swoje usługi — zasugerowała Eileen. — Ktoś mógł założyć im blokady, chroniące przed innymi ludźmi władającymi mentalnymi mocami.

— Pewnie masz rację.

Upiła łyk kawy.

— Spotkałam dziś po południu Balsama. Wszyscy zebraliśmy się w księgarni.

— Jaki on jest?

— Gładki. Wygląda jak bankier albo ktoś w tym rodzaju. Trzyrzędowy garnitur i okulary. Ale jest opalony, jakby w weekendy dużo grał w tenisa.

— I co powiedział?

— Wreszcie padło słowo „mason”. Jakby to był ostatni test, mający sprawdzić, czy się przestraszę. Potem Balsam udzielił mi wykładu z historii. Mówił, że Ryt Szkocki i Ryt York są tylko odłamami masonerii spekulatywnej i powstały dopiero w osiemnastym wieku.

Fortunato skinął głową.

— Wszystko to prawda.

— Potem zaczął mówić o Salomonie i o tym, że architekt jego świątyni w rzeczywistości był Egipcjaninem. Że masoneria zaczęła się od Salomona i wszystkie pozostałe ryty zagubiły oryginalne znaczenie. Oni jednak zapewniają, że nadal je zachowali. Tak, jak myślałeś.

— Muszę tam z tobą pójść.

— Nie ma mowy, byś dostał się do środka. Nawet gdybyś się przebrał. Poznają cię.

— Gdybym wysłał ciało astralne, widziałbym i słyszałbym wszystko.

— A gdyby ktoś inny przyszedł w ciele astralnym, czy też byś go zobaczył?

— Oczywiście.

— A widzisz! To piekielnie ryzykowne, prawda?

— No dobra.

— Muszę pójść sama. Nie ma innego wyjścia.

— Chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że pójde w tobie — dokończył.

— O czym ty gadasz?

— Moc siedzi w mojej spermie. Gdybyś zaniósła...

— Och, przestań — odparła. — Ze wszystkich żalonych odzywek, by zaciągnąć kogoś do łóżka... — Wlepiała w niego spojrzenie. — Nie żartujesz, prawda?

— Nie możesz tam iść sama. Nie tylko z powodu niebezpieczeństwa. Sama nie dokonasz wiele. Nie umiesz czytać w ich myślach. Ja umiem.

— Nawet jako... pasażer na gapę?

Fortunato przytaknął.

— O Boże — poskarżyła się. — Jest... jest tyle powodów, by nie... Po pierwsze, mam okres.

— To nawet lepiej.

Złapała się za lewy nadgarstek i uniosła go do piersi.

— Ciągłe sobie powtarzam, że jeśli kiedyś znowu pójdę z facetem do łóżka... powiedziałam „jeśli”... to będzie musiało być romantycznie. Świece, kwiaty i tak dalej. Zresztą spójrz na mnie.

Fortunato uklęknął przed nią i odsunął delikatnie jej rękę.

— Eileen — rzekł. — Kocham cię.

— Łatwo ci to powiedzieć. Jestem pewna, że mówisz szczerze i tak dalej, ale nie wątpię też, że powtarzasz to za każdym razem. Ja powiedziałam to w życiu tylko dwóm mężczyznom i jednym z nich był mój ojciec.

— Nie mówię o twoich uczuciach. Nie mówię o miłości po grób. Mówię o sobie i o tej chwili. Kocham cię.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Było tam zimno i zęby zaczęły jej dzwonić. Fortunato włączył gazowy piecyk i usiadł przy niej na łóżku. Ujęła jego prawą dłoń w obie ręce i uniosła do ust. Pocałował ją i poczuł, że zareagowała, niemalże wbrew woli. Zdjął ubranie, nakrył ich oboje kołdrą i zaczął rozpinać bluzkę Eileen. Piersi miała duże i miękkie, sutki twardniały pod jego językiem, gdy je całował.

— Zaczekaj — powiedziała. — Muszę... muszę pójść do łazienki.

Kieda wróciła, zdjęła resztę ubrania. Trzymała przed sobą ręcznik.

— Żeby nie pobrudzić twojej pościeli — wyjaśniła. Po wewnętrznej stronie jednego z ud miała plamkę krwi.

— Nie przejmuj się pościelą — rzekł, zabierając jej ręcznik. Stała przed im naga. Sprawiała wrażenie, że boi się, że ją wygoni. Wsadził głowę między jej piersi i pociągnął ją ku sobie.

Znowu wśliznęła się pod kołdrę i pocałowała go, wsuwając język do jego ust. Całował jej ramiona, piersi oraz szyję tuż pod brodą. Potem przetoczył się i zatrzymał nad nią na rękach i kolanach.

— Nie — wyszeptła. — Nie jestem jeszcze gotowa...

Ujął penisa w jedną rękę i przesunął jego główką po jej wargach sromowych, powoli i delikatnie, czując, jak wrażliwe ciało robi się ciepłe i wilgotne. Przygryzła dolną wargę

i zamknęła oczy. Wsunął się w nią powoli. Dotyk sprawił, że wzdłuż jego kręgosłupa przebiegły fale przyjemności.

Pocałował ją raz jeszcze. Czuł, że jej wargi poruszają się pod jego dotykiem, wypowiadając niesłyszalne słowa. Przejechał dłońmi wzdłuż jej boków, a potem przesunął je na plecy. Przypomnił sobie, że jest przyzwyczajony do kochania się całymi godzinami. Ta myśl go zdumiała. To wszystko było zbyt intensywne. Wypełniało go ciepło i światło; nie mógł zatrzymać go w sobie.

— Czy nie powinieneś czegoś powiedzieć? — wyszeptała, dysząc ochryple. — Jakiegoś magicznego zaklęcia?

Ponownie ją pocałował. Czuł w wargach mrowienie, jakby do tej pory spały i dopiero zaczęły budzić się do życia.

— Kocham cię — rzekł.

— O Boże — odpowiedziała i się rozplakała. Łzy spłynęły do jej włosów i w tej samej chwili zaczęła poruszać biodrami pod nim. Ich ciała były gorące, po piersi Fortunata spływał pot. Eileen zeszywniała i wierzgnęła nogami. Sekundę później mózg Fortunata wypełniła biel. Sprzeciwił się dziesięciu latom szkolenia i pozwolił, by to się stało. Moc wypłynęła z niego w kobietę i przez krótką chwilę był nimi obojgiem jednocześnie. Obojnaczy i wszechobejmujący, poczuł, że rozszerza się aż po granice wszechświata niczym gigantyczna eksplozja nuklearna.

Potem znowu znalazł się w łóżku z Eileen. Jej piersi unosiły się i opadały pod nim miarowo, kiedy płakała.



Jedynym źródłem światła był gazowy piecyk. Fortunato z pewnością zasnął. Poduszka pod jego policzkiem wydawała się szorstka jak papier ścierny. Potrzebował całej swej siły, by przetoczyć się na plecy.

Eileen wkładała buty.

— Już prawie czas — oznajmiła.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Niewiarygodnie. Intensywnie. Potężnie. — Roześmiała się. — Nigdy tak się nie czułam.

Zamknął oczy i wśliznął się do jej umysłu. Widział siebie leżącego na łóżku. Przypominał szkielet. Jego ciemnozłota skóra niknęła w cieniu, czoło zapadało się, przechodząc gładko w bezwłosą skórę czaszki.

— A jak z tobą? — zapytała. Czuł, jak głos Eileen niesie się echem w jej klatce piersiowej. — Wszystko w porządku?

Wycofał się do własnego ciała.

— Czuję się słabo — przyznał. — Ale nic mi nie będzie.

— Czy powinnam... wezwać kogoś do ciebie?

Wiedział, co mu ofiaruje, i wiedział też, że powinien się zgodzić. Caroline albo któraś z pozostałych dziewczyn byłaby dla niego najlepszym sposobem na odzyskanie mocy. Ale to również osłabiłoby więź łączącą go z Eileen.

— Nie — odparł.

Skończyła się ubierać i pochyliła się nad nim, by obdarzyć go długim pocałunkiem.

— Dziękuję.

— Nie — sprzeciwił się. — Nie dziękuj mi.

— Lepiej już pójdę.

Jej niecierpliwość, jej siła i witalność były wyczuwalną mocą wypełniającą pokój. Zanadto się od tego wszystkiego oddalił, by mógł być zazdrosny.

Potem Eileen wyszła, a on znowu zasnął.



Patrzył przez jej oczy, gdy stanęła przed frontowymi drzwiami księgarni, czekając, aż Clarke zamknie interes. Mógłby przemieścić się w całości do jej umysłu, ale to wyczerpałoby niewielki zasób sił, jakie zdołał powoli odzyskać. Poza tym tu, gdzie się znajdował, było mu ciepło i wygodnie.

Dopóki czyjeś ręce nie pochwyciły go i nie obudziły potrząśaniem. Ujrzał przed sobą parę złotych tarcz.

— Ubieraj się — rozkazał ktoś. — Jesteś aresztowany.



Dali mu pojedynczą celę. Miała szare kafelki i pomalowane na ten sam kolor betonowe ściany. Przykucnął pośrodku i drżał, za słaby, by stanąć. Na ścianie naprzeciwko niego ktoś wydrapał patykowatą postać z gigantycznym ociekającym penisem oraz jajami.

Przez godzinę Fortunato nie był w stanie skoncentrować się wystarczająco długo, by nawiązać kontakt z Eileen. Był pewien, że masoni Balsama ją zabili.

Zamknął oczy. Gdzieś w korytarzu trzasnęły drzwi celi, przywołując go do rzeczywistości. Skup się, do cholery, pomyślał.

Znajdował się w długim, wysokim pomieszczeniu. Odległe ściany lśniły w migotliwym, żółtym świetle licznych świec. Na podłodze były czarne i białe kafelki. Z przodu sali usytuowano dwie doryckie kolumny, po jednej po każdej ze stron, które jednak nie sięgały do sufitu. Reprezentowały świątynię Salomona i nazywały się Boaz i Joachim — dwa pierwsze Słowa Masońskie.

Fortunato nie chciał przejmować kontroli nad ciałem Eileen, choć mógłby tego dokonać, gdyby okazało się to konieczne. O ile potrafił to określić, nic się jej nie stało. Czuł, że jest podekscytowana, ale nie cierpiała bólu ani nawet nie bała się szczególnie.

Pod przednią ścianą, na podwyższeniu zarezerwowanym dla Czcigodnego Mistrza Świątyni,

stał mężczyzna odpowiadający rysopisowi Balsama, podanemu przez Eileen. Na ciemny garnitur narzucił biały masoński fartuszek z jaskrawoczerwonym obszyciem. Tabard zwiślał mu z szyi niczym za duży śliniak. On również był biały, a pośrodku miał czerwony krzyż z pętlą. Ankh.

— Kto przemówi w imieniu tej kobiety? — zapytał Balsam.

W sali było jeszcze kilkanaście innych osób obojga płci. Wszyscy nosili masońskie fartuszki i tabardy. Ustawili się w łuk po lewej stronie pomieszczenia. Większość wyglądała zupełnie normalnie. Jeden mężczyzna miał jaskrawoczerwoną skórę i był całkowicie bezwłosy — z pewnością dzoker. Drugi wydawał się straszliwie wątły. Miał okulary o grubych szklach i zdziwioną minę. Tylko on nie miał pod fartuszkiem zwyczajnego, codziennego ubrania. Zamiast tego owinał się w białą szatę o kilka numerów dla niego za dużą, z kapturem i rękawami wyraźnie dłuższymi od jego rąk.

— Ja to zrobię — odparł Clarke, występując z szeregu. Balsam wręczył mu zdobną maskę pokrytą czymś, co wyglądało jak złota folia. Maską wyobrażała głowę jastrzębia i zakrywała całą twarz noszącego.

— Kto się sprzeciwi? — zapytał Balsam.

Z szeregu wystąpiła młoda Azjatka, niezbyt ładna, ale otoczona aurą nieokreślonej seksualności.

— Ja.

Balsam wręczył jej maskę o długich, spiczastych ustach i ostro zakończonych twarzy. Po włożeniu nadała ona kobiecie zimny, pogardliwy wygląd. Fortunato poczuł, że puls Eileen przyspieszył.

— Kto pragnie jej dla siebie?

— Ja.

Z szeregu wystąpił kolejny mężczyzna i przyjął maskę z twarzą szakala, symbolizującą Anubisa.

Powietrze za plecami Balsama zafalowało i zaczęło świecić. Świece zamigotały i zgasły. Powoli ukształtował się złoty mężczyzna, oświetlający salę swym blaskiem. Sięgał głową do sufitu, miał twarz o psich rysach i żółte, gorejące oczy. Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, spoglądając z góry na Eileen. Jej puls przyspieszył nerwowo. Wbiła paznokcie w wewnętrzne powierzchnie dłoni. Najwyraźniej nikt poza nią nie zauważał obecności złotego mężczyzny.

Kobieta w spiczastej masce stanęła przed Eileen.

— Ozyrysie — rzekła. — Jestem Set, w towarzystwie Annu, syna Seba i Nut.

Fortunato poczuł, że Eileen otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nim zdążyła to zrobić, prawa ręka kobiety błyskawicznie uderzyła ją w twarz. Eileen padła na plecy i przesunęła się po posadzce o mniej więcej metr.

— Spójrzcie — rzekła kobieta. Dotknęła palcami oczu Eileen, a gdy je uniosła, były wilgotne.
— Zapładniający deszcz.

— Ozyrysie — odezwał się mężczyzna z głową szakala, stając na miejscu kobiety. — Jestem Anubis, syn Ra, Ten, Który Otwiera Drogi. Do mnie należy Pogrzebowa Góra.

Przeszedł za Eileen i przycisnął ją do podłogi.

Clarke uklęknął teraz obok niej. Złoty mężczyzna majaczył za jego plecami.

— Ozyrysie — rzekł. Z maleńkich oczu maski jastrzębia płynęło światło. — Jestem Horus, syn twój i Izydy. — Nacisnął dwoma palcami wargi Eileen, otwierając siłą jej usta. — Przybyłem, by cię objąć. Jestem twój syn Horus. Nacisnąłem twe usta. Jestem twoim synem. Kocham cię. Twe usta były zamknięte, ale ja doprowadziłem dla ciebie do porządku twe wargi i zęby. Otworzyłem dla ciebie dwoje twych oczu. Otworzyłem dla ciebie twe usta narzędziami Anubisa. Horus otworzył usta umarłych, jak w dawnych czasach otworzył twe usta żelazem pochodzącym od Seta. Umarła będzie chodzić i mówić, a ciało znajdzie się wraz z wielką kompanią bogów w Wielkim Domu Starego w Annu, gdzie otrzyma koronę *ureret* od Horusa, władcy ludzkości.

Clarke wziął z rąk Balsama coś, co wyglądało jak drewniany wąż.

Eileen próbowała się odsunąć, ale człowiek z głową szakala trzymał ją zbyt mocno, aby mogła to zrobić. Clarke zamachnął się węzem, a potem cztery razy dotknął nim delikatnie ust i oczu Eileen.

— O Ozyrysie, ustanowiłem dla ciebie dwie szczęki w twojej twarzy i teraz są one oddzielone.

Usunął się na bok. Balsam pochylił się nad Eileen tak, że ich twarze dzieliło od siebie dobrych kilka centymetrów.

— Teraz daję ci *hekau*, słowo mocy — rzekł. — Horus dał ci władzę nad twymi ustami i możesz je wypowiedzieć. To słowo brzmi TIAMAT.

— TIAMAT — wyszeptła Eileen.

Fortunato, odrętwiała ze strachu, wśliznął się do umysłu Balsama.



Sztuczka polegała na tym, by cały czas pozostawać w ruchu, nie dać się sparaliżować niezwykłości tego wszystkiego. Jeśli będzie prowokował wciąż nowe skojarzenia, w końcu wyląduje w tej części wspomnień Balsama, której szukał.

W tej chwili Balsam był bliski ekstazy. Fortunato podążał za obrazami i totemami egipskiej magii, aż wreszcie odnalazł najdawniejsze, a od nich przeszedł do ojca Balsama. Wędrując w ten sposób przez siedem pokoleń, dotarł w końcu do samego Czarnego Johna.

Można tam było znaleźć wszystko, co Balsam kiedykolwiek słyszał, czytał albo wyobrażał sobie na temat swego przodka. Jego pierwsze oszustwo, gdy wylądził od jubilera Marano ponad

półtora kilograma szczerego złota. Ucieczka z Palermo. Spotkanie z Grekiem, Altotasem, i nauka alchemii. Egipt, Turcja, Malta i na koniec Rzym. Liczył sobie dwadzieścia sześć lat, był przystojny, bystry i miał listy wprowadzające do śmietanki towarzyskiej.

Tam poznał Lorenzę. Fortunato ujrzał ją taką, jaką widział ją Balsam, gdy po raz pierwszy stanęła przed nim naga. Miała dopiero czternaście lat, ale już była oszołamiająco piękna: szczupła, wytworna, o oliwkowej cerze i czarnych jak noc kręconych włosach rozpostartych na jej ciele. Miała małe, nieskazitelne piersi pachnące dzikimi nadmorskimi kwiatami i wykrzykiwała ochrypłym głosem jego imię, oplatając go nogami.

Podróże po Europie w karetach wyściełanych ciemnozielonym aksamitem. Uroda Lorenzy sprawiała, że socjeta bez oporów otwierała się przed nimi. Żyli z tego, co wyżebrali w salonach szlachetnie urodzonych, a resztę rozdawali jako jałmużnę.

I wreszcie Anglia.

Fortunato patrzył, jak Cagliostro wjeżdża do lasu na czarnym jak heban rumaku czystej krwi. Odłączył się — nie do końca przypadkowo — od Lorenzy i młodego lorda, który tak bardzo się w niej zadurzył. Z pewnością jego lordowska mość już w tej chwili miał ją w swej mocy w jakimś przydrożnym rowie i z równą pewnością Lorenza znalazła jakiś sposób, by obrócić to na swoją korzyść.

Wtem z nieba spadł księżyc, choć był środek popołudnia.

Cagliostro spał ogiera i pomknął ku świetlistej zjawie, która dotknęła ziemi na polanie odległej o kilkaset metrów. Koń nie chciał się zbliżyć do niej bardziej niż na trzydzieści metrów, mężczyzna przywiązał go więc do drzewka i poszedł dalej na piechotę. Obiekt wydawał się nieostry, składał się z kątów, które nie chciały się połączyć w całość, a gdy Cagliostro podszedł bliżej, część przedmiotu oddzieliła się od reszty.

To jednak było wszystko. Nagle Cagliostro wracał do Londynu, siedząc w karecie z Lorenzą, pełen jakichś ambitnych planów, których Fortunato nie potrafił przeniknąć.

Przeszukał cały umysł Balsama. Wiedza musiała gdzieś tam się kryć. Jakiś fragment tego, czym był obiekt w lesie, co powiedział albo zrobił.

Wtedy właśnie Balsam nagle się wyprostował.

— Ta kobieta jest w moim mózgu.



Patrzył przez oczy Eileen, wściekły na własną niezgrabność. Sprawy przybrały fatalny obrót. Gapił się prosto w twarz małego człowieczka w okularach o grubych szklach, odzianego w białą szatę.

A potem znalazł się z powrotem w celi.

Dwaj strażnicy trzymali go za ręce i wlekli w kierunku wyjścia.

— Nie — sprzeciwił się. — Proszę. Jeszcze parę minutek.

— Spodobało ci się tu, co? — zapytał jeden z nich i popchnął Fortunata w stronę drzwi. As pośliznął się na linoleum i upadł na cztery kończyny. Strażnik kopnął go w okolice lewej nerki, ale nie na tyle mocno, by Fortunato zemdłał.

Znowu go wlekli, przez ciągnące się bez końca korytarze koloru wyblakłej zieleni, aż wreszcie dotarli do pomieszczenia o ścianach wyłożonych ciemnymi panelami. Nie było tu okien, a pośrodku stał długi, drewniany stół. Po jego drugiej stronie siedział odziany w tani garnitur mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Włosy miał brązowe, a jego twarz nie przyciągała uwagi. Do kieszeni marynarki miał przypiętą złotą tarczę. Miejsce obok zajął drugi mężczyzna, w koszulce polo i drogim sportowym płaszczu. Jego aryjskie rysy wydawały się przesadnie przystojne, miał faliste blond włosy i lodowate, niebieskie oczy. Fortunato przypomniał sobie masona, którego opisywała Eileen, Romana.

— Sierżancie Matthias? — zapytał drugi strażnik. Mężczyzna w tanim garniturze skinął głową. — To on.

Mathias oparł się wygodnie na krześle i zamknął oczy. Fortunato poczuł, że coś musnęło jego umysł.

— I co? — zapytał Roman.

— Niedużo — odparł Matthias. — Trochę telepatii, odrobina telekinezy, ale to jest słabe. Wątpię, by potrafił choćby otworzyć zamek.

— To jak myślisz? Czy szef musi się go obawiać?

— Nie widzę powodu. Można by go zatrzymać na chwilę za zamordowanie tego chłopaka, żeby sprawdzić, co się stanie.

— I co by to dało? Powie, że działał w samoobronie. Sędzia zapewne da mu medal. Nikomu nie zależy na tych małych skurczybykach.

— Dobra — odrzekł Matthias i spojrział na strażników. — Wykopcie go na wolność. Już nie jest nam potrzebny.



Minęła godzina, nim znalazł się z powrotem na ulicy i oczywiście nikt nie zaproponował mu podwiezienia do domu. To jednak było w porządku. Musiał dotrzeć do Dżokerowa.

Usiadł na stopniach komisariatu i zaczął poszukiwać umysłu Eileen.

Po chwili ujrzał przed sobą ceglany mur w zaułku. Umysł był pusty, nie wyczuwał w nim myśli ani uczuć. Gdy przebijał się przez spowijającą mózg Eileen mgłę, poczuł, że jej pęcherz nie wytrzymał. Ciepły mocz zbierał się pod nią, stygnąc szybko.

— Hej, koleś, na schodach się nie śpi.

Fortunato wyszedł na ulicę i złapał taksówkę. Położył dwadzieścia dolarów na metalowej szufladce, wsunął je do środka i powiedział:

— Na południe. Szybko.



Wysiadł z taksówki na Chrystie Street, tuż na południe od stacji Grand Central. Eileen nie ruszyła się z miejsca. Jej umysł zniknął. Fortunato przykucnął obok i sondował ją przez kilka sekund, ale potem nie mógł już tego znieść i wrócił do wylotu zaułka. Walił pięściami w bok puszki na śmieci tak długo, aż jego ręce zrobiły się niemal bezużyteczne. Potem wrócił, by spróbować raz jeszcze.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W jego głowie nie było słów, a tylko czerwone, krwawe strzępki i potop kwasu, co chwila zalewający mu oczy.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i zadzwonił pod 911. Naciskanie guzików sprawiało mu ból. Usłyszawszy operatora, poprosił o przysłanie karetki. Podał adres i odwiesił słuchawkę.

Wrócił na przeciwną stronę. Zatrąbił na niego samochód, a on nie rozumiał dlaczego. Uklęknął przed Eileen. Usta miała rozdziawione. Na jej bluzkę spływała ślina. Nie mógł znieść patrzenia na nią. Zamknął oczy, sięgnął umysłem na zewnątrz i delikatnie zatrzymał jej serce.



Świątynię łatwo było odnaleźć. Była tylko trzy przecznice stąd. Po prostu podążył za śladami energii pozostawionymi przez mężczyzn, którzy porzucili Eileen w zaułku.

Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko ceglanego kościoła. Ślady prowadziły do budynku, a dwa albo trzy inne wychodziły z niego. Jednakże Balsam nadal był w środku. Balsam, Clarke i kilkunastu innych.

To dobrze. Chciał dorwać wszystkich, ale wystarczy mu ci, którzy tam byli. Oni, ich monety, ich złote maski, rytuały, świątynia, wszystko, co w jakiś sposób służyło próbom sprowadzenia na Ziemię obcego monstrum, które przelewało krew, niszczyło umysły i rujnowało ludziom życie. Pragnął raz na zawsze położyć temu kres.

Noc była straszliwie zimna. Zimna jak kosmiczna próżnia. Wysysała ciepło i życie ze wszystkiego, czego dotknęła. Jego policzki zaczęły płonąć, a potem odrętwiały.

Sięgnął po moc, która mu pozostała, ale okazała się niewystarczająca.

Przez kilka sekund stał bez ruchu, dygocząc z bezsilnej wściekłości. Był gotowy zaatakować budynek nagimi, poobtłukiwanymi rękami. Potem zobaczył ją na rogu. Stała pod latarnią w klasycznej pozie. Czarne szorty, kurtka z królików, etola ze sztucznego futra. Buty na wysokich obcasach i za dużo makijażu. Uniósł powoli rękę i przywołał ją skinieniem.

Zatrzymała się przed nim i omiotła go nieufnym spojrzeniem.

— Hej — odezwała się. Skórę miała szorstką, a spojrzenie zmęczone. — Chcesz się przejść?

Wyjął z kieszeni studolarowy banknot i rozpiął spodnie.

— Tu, na ulicy? Nieźle cię przypiliło, kochasiu. — Popatrzyła na banknot i opadła na kolana.

— Kurde, ale zimny ten beton. — Pogrzebała w jego spodniach i nagle uniosła wzrok.

— Cholera, co to jest? Zakrzepla krew? — Wyjął drugą setkę. Kobieta zawahała się na chwilę, a potem schowała oba banknoty do torebki i wsunęła ją pod pachę.

Fortunatowi natychmiast stwardniał od dotyku jej ust. Poczul falę wzbierającą od stóp i przynoszącą ból aż do czubka głowy i paznokci rąk. Oczy skierowały mu się ku górze, spoglądając na pierwsze piętro starego kościoła.

Pragnął użyć swej mocy, by unieść cały miejski kwartał i cisnąć go w przestrzeń kosmiczną, ale nie miał sił, by choćby wybić okno. Sondował cegły, drewniane belki oraz przewody elektryczne, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Podążył wzdłuż rury gazowej aż do piwnicy, a potem wrócił do głównej sieci i zaczął pompować gaz przez nią tak, by jego ciśnienie narastało na dole, aż wreszcie rury zaczęły wibrować, ściany się zatrzęśły, a zaprawa murarska za skrzypiała.

Dziwka uniosła spojrzenie i zobaczyła szczeliny pojawiające się w ścianach budynku po drugiej stronie ulicy.

— Uciekaj — powiedział jej. Gdy się oddaliła, stukając szpilem, Fortunato zacisnął dłoń na podstawie penisa, zmuszając gorący strumień wytrysku do zawrócenia. Jego wnętrzości wypełnił ogień, a w niskim korytarzu na poddaszu czarna stalowa rura wygięła się i wyrwała z ram. Wypływający z niej gaz opadał na podłogę, od ścian z drucianej siatki wzmocnionej gipsem odbijały się skry.

Budynek powiększył się na chwilę, jakby stopniowo wypełniała go woda, a potem eksplodował w kuli pomarańczowego, dymiącego ognia. Odłamki cegieł uderzały w ściany domu, pod którym stał Fortunato, ale on nie odwracał wzroku, aż wreszcie brwi mu się spaliły, a ubranie zaczęło się tlić. Szyby w pobliskich budynkach pękły od huku eksplozji, a gdy ten wreszcie ucichł, jego miejsce zajęły syreny i sygnały alarmowe.

Żałował, że nie usłyszał krzyków.



Wreszcie kolejna taksówka zatrzymała się na jego wezwanie. Kierowca chciał go zawieźć do szpitala, ale Fortunato za pomocą studolarowego banknotu przekonał go, by tego nie robił.

Wspinaczka po schodach do jego mieszkania trwała dłużej niż cokolwiek, co pamiętał. Poszedł do sypialni. Poduszki nadal pachniały perfumami Eileen.

Wrócił do kuchni, wyjął pełną butelkę whisky i usiadł przy oknie, sącząc ją powoli. Nad Dżokerowem powoli dogasała czerwona luna.

Gdy wreszcie zapadł w pijacki sen na kanapie, śniły mu się macki, wilgotne, gumowate ciało oraz dzioby, otwierające się i zamykające w rytm przeciągłego, niosącego się echem śmiechu.



1985

Jube: Jeden

Zamknawszy kiosk na noc, Jube załadował wózek gazetami i ruszył na codzienny objazd barów Dżokerowa.

Do Święta Dziękczynienia pozostał niespełna tydzień i zimny, listopadowy wiatr dmący wzdłuż Bowery przenikał aż do kości. Jube jedną ręką przytrzymał kapelusz z szerokim rondem, drugą zaś ciągnął dwukołowy wózek po popękanych chodniku. Szorty miał tak obszerne, że mógłby się w nich odbywać piknik religijny, a niebieską hawajską koszulę z krótkimi rękawami zdobili surferzy. Jube nigdy nie nosił płaszcza. Sprzedawał gazety i czasopisma na rogu Hester Street i Bowery od lata roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego i przez cały ten czas nie włożył go ani razu. Gdy go o to pytano, śmiał się tylko, otwierając szeroko usta, z których sterczały kły, klepał po brzuchu i mówił:

— Ta osłona mi wystarcza, proszę pana.

Kiedy trzymał się prosto i nosił buty na obcasach, Jube Benson miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, ale ta niska powłoka zawierała bardzo wiele treści — sto trzydzieści pięć kilogramów ciała pokrytego czarnoniebieską skórą o tłustym połysku, przypominającą na wpół stopioną gumę. Twarz miał szeroką i pryszczatą, czaszkę porastały mu kosmyki sztywnych, rudych włosów, a z kącików ust sterczały dwa małe kły. Pachniał prażoną kukurydzą i znał więcej kawałów niż ktokolwiek w Dżokerowie.

Jube człapał szybko, uśmiechając się do przechodniów i sprzedając gazety ludziom w przejeżdżających obok samochodach (nawet o tak późnej porze główna ulica Dżokerowa z pewnością nie była opustoszała). Pod Gabinetem Luster zostawił portierowi plik „Daily News”, by wręczał je wychodzącym klientom, a także „New York Timesa” dla właściciela, Desa. Kilka przecnic dalej znajdował się klub „Chaos” i tam również zostawił gazety. Zachował egzemplarz „National Informera” dla Świetlika.

— Dziękuję, Mors — rzekł portier, ujmując gazetę w szkieletowatą, świecąca dłoń.

— Przeczytaj wszystko uważnie — odparł Jube. — Piszą, że jest nowa terapia, zamieniająca dżokerów w asów.

Świetlik parsknął śmiechem.

— Jasne — odparł, przerzucając strony. Na jego fosforyzującej twarzy powoli wykwitł uśmiech.

— Hej, popatrz tutaj. Sue Ellen wróci do J.R.

— Zawsze to robi — odparł Jube.

— Ale tym razem urodzi mu dzokerskie dziecko — zauważył Świetlik. — Kurde, co za głupia pizda. — Złożył gazetę i wsunął ją pod pachę. — Słyszałeś? — zapytał. — Gimli wraca.

— Nie gadaj — skwitował Jube. Za nimi otworzyły się drzwi. Świetlik podbiegł bliżej, by je przytrzymać, i zagwizdał na taksówkę dla dobrze ubranej pary opuszczającej lokal. Pomógł im wsiąść i wręczył darmowe „Daily News”. Mężczyzna położył mu na dłoni pięć dolarów, a Świetlik sprawił, że zniknęły, mrugając do Jube’a. Mors pomachał do niego ręką i ruszył w drogę. Fosforyzujący portier odziany w liberię klubu „Chaos” stał na chodniku, przeglądając „Informera”.

Klub „Chaos” i Gabinet Luster były lokalami wysokiej klasy. Bary, tawerny i kawiarnie na bocznych ulicach rzadko rozdawały prezenty, ale w każdym lokalu znano Jube’a i pozwalano mu chodzić od stolika do stolika i sprzedawać gazety. Zatrzymał się w Jamie i Kuchni Włochacza, zagrał w shuffleboard w Piwnicy Deptacza, dał „Penthouse’a” Wally’emu U Wally’ego. W Pubie Czarnego Mike’a pod neonem Schaefera opowiedział kilka kawałów dwóm pracującym dziewczynom i wysłuchał ich historii o perwersyjnym natolskim polityku, którego na spółkę obsługiwały.

„New York Timesa” dla kapitana McPhersona zostawił dyżurnemu funkcjonariuszowi w komisariacie Dżokerowa. Sprzedał tam też „Sporting News” tajniakowi przekonanemu, że odkrył pewien ślad w sprawie męskiej prostytutki wykastrowanej w zeszłym tygodniu na scenie w Szalejących Dżokerach. W Wypaczonym Smoku położonym na granicach chińskiej dzielnicy Jube pozbył się gazet w języku chińskim, po czym skierował się do Salonu Cudaków na Chatham Square, gdzie sprzedał jeden egzemplarz „Daily News” i sześć egzemplarzy „Krzyku Dżokerowa”.

Redakcja tej ostatniej gazety znajdowała się po drugiej stronie placu. Nocny redaktor zawsze brał „New York Timesa”, „Daily News”, „Washington Post” i „Village Voice”, a potem dawał Jube’owi kubek czarnej kawy z fusami.

— Spokojna noc — stwierdził Krabowe Ciastko. Żuł niezapalonego papierosa, przerzucając szczypcami strony konkurencyjnych pism.

— Słyszałem, że gliny mają zamknąć to studio dzokerskiego porno w Division — odezwał się Jube.

Krabowe Ciastko przyjrzał mu się z uwagą.

— Tak myślisz? Ja bym na to nie stawiał, Mors. Ta banda ma koneksje. Chyba z rodziną Gambione. Gdzie o tym słyszałeś?

Jube rozciągnął w uśmiechu gumowate wargi.

— Ja też muszę chronić swe źródła, szefie. Słyszałeś ten kawał o facecie, który ożenił się z dżokerką? Była naprawdę śliczna, długie blond włosy, twarz anioła i ciało równie świetne.

W noc poślubną przychodzi do niego w białym body i mówi: „Kochanie, mam dla ciebie dwie wiadomości, dobrą i złą”. On jej na to: „W porządku, najpierw powiedz mi dobrą”. „Proszę bardzo”, odpowiada ona. „Dobra wiadomość brzmi tak, że to właśnie zrobiła mi dzika karta”. Obraca się wkoło, żeby się dobrze przyjrzał, a on zaczyna się uśmiechać i ślinić. „A ta zła?”, pyta on. „Zła wiadomość jest taka, że naprawdę mam na imię Joseph”.

Krabowe Ciastko skrzywił się z niesmakiem.

— Zjeżdżaj — rzucił.

Stali klienci U Erniego uwolnili go od kilku dalszych egzemplarzy „Krzyku Dżokerowa” i „Daily News”. Dla samego właściciela miał nowy numer „Ringu”, który ukazał się dziś po południu. Noc była spokojna, więc Ernie poczęstował Jube’a piña coladą, a Mors jemu również opowiedział kawał o dżokerskiej pannie młodej i jej dwóch wiadomościach dla męża.

Sprzedawca w całodobowym sklepie z pączkami kupił „New York Timesa”. Gdy Jube zawrócił w górę Henry Street, jego wózek był już tak lekki, że podskakiwał za nim.

Przy zadaszonym wejściu do Kryształowego Pałacu stały trzy taksówki czekające na klientów.

— Hej, Mors — zawołał jeden z taksówkarzy. — Masz „Krzyk”?

— Jasne — odparł Jube i zamienił gazetę na monetę. Taksówkarz miał zamiast prawej ręki wiązkę cienkich, przypominających węże witek, a zamiast nóg pletwy. Jego samochód miał jednak specjalny system ręcznego kierowania, a on znał miasto jak grzbiet własnej macki. Dostawał dobre napiwki, bo w dzisiejszych czasach ludzie tak się cieszyli, że znaleźli taksówkarza mówiącego po angielsku, że nie dbali o jego wygląd.

Portier wniósł wózek Jube’a po kamiennych schodach do głównego wejścia dwupiętrowego szeregowego domu z przełomu stulecia. W wiktoriańskim holu Jube zostawił kapelusz i wózek pod opieką szatniarki, wziął resztę gazet pod pachę i wszedł do ogromnej, wysokiej sali głównej baru. Elmo, karłowaty bramkarz, właśnie wynosił na zewnątrz mężczyznę o twarzy kałamarnicy, odzianego w wyszywane cekinami domino. Na jego skroni widniał paskudny siniak.

— Co takiego zrobił? — zapytał Jube.

Elmo uśmiechnął się do niego.

— Nieważne, co zrobił. Chodzi o to, co chciał zrobić.

Mały człowieczek przecisnął się przez drzwi z barwionego szkła. Mężczyzna o twarzy kałamarnicy zwiślał mu z ramienia niczym worek zboża.

W Kryształowym Pałacu nadeszła pora ostatnich zamówień. Jube okrążył główną salę — rzadko zawracał sobie głowę mniejszymi pokojkami oraz zasłoniętymi kurtynami wnękami — i sprzedał jeszcze trochę gazet. Potem wdrapał się na stołek barowy. Za długim mahoniowym kontuarem stał Sascha. Jego bezoka twarz i cienkie jak drut wąsy odbijały się w lustrze, gdy mieszał planter’s punch. Po chwili postawił drinka przed Jube’em. Nie wymieniono żadnych

słów ani pieniędzy.

Popijając drinka, Jube poczuł woń znajomych perfum. Odwrócił głowę w tej samej chwili, gdy Poczwarzka usiadła na stołku na lewo od niego.

— Dzień dobry — powiedziała. Mówiła chłodnym tonem, z lekkim brytyjskim akcentem. Na jednym policzku miała lśniącą spiralę ze srebrnego błyszczyku. Przezroczyste ciało pod spodem sprawiało, że zdawała się ona unosić nad białą czaszką. Usta również malowała srebrną szminką, a długie paznokcie błyszczały niczym sztylety.

— Jak tam interes prasowy, Jubal?

Uśmiechnął się do niej.

— Słyszałaś ten kawał o dzokerskiej pannie młodej, która ma dla męża dobrą i złą wiadomość?

Wokół jej ust poruszyły się szare, widmowe mięśnie, wykrzywiając posrebrzane wargi w grymasie niesmaku.

— Oszczędź mi go.

— Dobra. — Jube wypił przez słomkę kolejny łyk. — W klubie „Chaos” wsadzają do nich małe parasole.

— W klubie „Chaos” podają drinki w orzechach kokosowych.

Jube pociągnął kolejny łyk.

— Słyszałaś o tym miejscu na Division Street, gdzie kręcą hardkorowe porno? To podobno operacja rodziny Gambione.

— To stare wieści — stwierdziła Poczwarzka. Nadszedł czas zamykania lokalu. Zapalono światła. Elmo zaczął krążyć po sali, ustawiając krzesła na stołach i wyganiając ostatnich klientów.

— Troll będzie nowym szefem ochrony w klinice Tachiona. Doktor sam mi to powiedział.

— Akcja Afirmacyjna? — zapytała z przekąsem kobieta.

— Częściowo — przyznał Jube. — A częściowo chodzi o to, że ma prawie dwa metry osiemdziesiąt wzrostu, zieloną skórę i jest prawie niewrażliwy na ciosy. — Wysiorbał ostatni łyk i zamieszał słomką kawałki skruszonego lodu. — Jeden gliniarz wpadł na ślad w sprawie zabójstwa w Szalejących Dzokerach.

— Nic nie znajdzie — odparła Poczwarzka. — A jeśli znajdzie, to pożałuje.

— Gdyby miał choć odrobinę rozsądku, zapytałby ciebie.

— W całym budzecie miejskim nie ma tyle pieniędzy, by zapłacić za tę informację — oznajmiła. — Coś jeszcze? Najlepsze informacje zawsze zostawiasz na koniec.

— To pewnie nic — mruknął Jube, obracając się w jej stronę. — Ale słyszałem, że Gimli wraca do domu.

— Gimli? — Jej głos brzmiał nonszalancko, ale ciemnoniebieskie oczy zawieszono

w oczodołach czaszki przyglądały mu się z uwagą. — To bardzo interesujące. Szczegóły?

— Na razie nie ma żadnych — mruknął Jube. — Zawiadomię cię.

— Och, z pewnością.

Poczwarzka miała informatorów w całym Dżokerowie, ale Jube był jednym z najpewniejszych. Wszyscy go znali, wszyscy go lubili, wszyscy z nim rozmawiali.

Tej nocy opuścił Kryształowy Pałac jako ostatni klient. Gdy wyszedł na dwór, zaczął padać śnieg. Prychnął, przytrzymał mocno kapelusz i poczłapał wzdłuż Henry Street, ciągnąc za sobą pusty wózek. Gdy przechodził pod Manhattan Bridge, przejeżdżający obok radiowóz zwolnił. Szyba się opuszczała.

— Hej, Mors! — zawołał czarny gliniarz siedzący za kółkiem. — Pada śnieg, ty durny dżokerze. Odmrożisz sobie jaja.

— Jaja? — zawołał w odpowiedzi Jube. — A kto powiedział, że dżokerzy je mają? Uwielbiam taką pogodę, Chaz. Widzisz, jakie mam różowe policzki?

Uszczypnął się w niebieskoczarny, błyszczący policzek i zachichotał.

Chaz otworzył z westchnieniem tylne drzwi niebiesko-białego pojazdu.

— Wsiadaj. Odwiozę cię do domu.

Domem był czteropiętrowy budynek z pokojami do wynajęcia, położony niedaleko, na Eldridge Street. Jube zostawił wózek przy puszkach na śmieci pod schodami, a potem otworzył zamek swego położonego w piwnicy mieszkania. Jedyne okno całkowicie wypełniał ogromny klimatyzator w starym stylu. Jego zardzewiałą obudowę w połowie pokrywał niesiony wiatrem śnieg.

Kiedy włączył światła, czerwone, piętnastowatowe żarówki zawieszane pod sufitem wypełniły pomieszczenie mrocznym, szkarłatnym półmrokiem. Było tu piekielnie zimno, niewiele cieplej niż na listopadowych ulicach. Raz czy dwa razy do roku przychodził tu kontroler z gazowni, by się upewnić, że Jube nie manipuluje przy gazomierzu.

Błat stojącego pod oknem stolika do kart zastawiono patelniami z zielonym, gnijącym mięsem. Jube zdjął koszulę, odsłaniając szeroką pierś o sześciu brodawkach sutkowych, napełnił szklanek lodem do żucia i wybrał najbardziej cuchnący stek.

Podłogę sypialni pokrywał goły materac, w kącie zaś stała najnowsza zdobycz Jube'a, nowiutka porcelanowa balia do gorących kąpiei, ustawiona naprzeciwko telewizora z wielkim ekranem. „Gorące kąpiele” były jednak w jego przypadku błędnym określeniem, jako że Jube nigdy nie grzał wody. W ciągu dwudziestu trzech lat nauczył się wiele o ludziach, ale nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego lubią się zanurzać we wrzątku. Ta myśl przemknęła mu przez głowę, gdy się rozbierał. Nawet Takizjanie mieli więcej rozsądku.

Trzymając stek w jednej ręce, Jube ostrożnie zanurzył się w lodowatej wodzie i włączył pilotem telewizor, by obejrzeć wcześniej nagrane wiadomości. Wsadził stek do szerokich ust

i zaczął powoli przeżuwać surowe mięso, unosząc się w wodzie. Frapowało go wszystko, co miał do powiedzenia Tom Brokaw. To było bardzo relaksujące, ale gdy wiadomości się skończyły, Jube uświadomił sobie, że pora brać się do roboty.

Wygramolił się z balii, beknął i wytarł energicznie w ręcznik z Kaczorem Donaldem. Godzina, nie więcej, pomyślał, gdy przechodził przez pokój, zostawiając na parkiecie mokre ślady. Był zmęczony, ale musiał wykonać trochę pracy, jeśli nie chciał mieć jeszcze większych zaległości. Zatrzymał się na końcu sypialni i wycisnął na pilocie długi szereg cyfr. Gdy skończył, ceglana ściana przed nim rozplynęła się.

Przeszedł do pomieszczenia, które ongiś było komórką na węgiel. Nad jego tylną ścianą dominował holosześcian, większy nawet od gigantycznego telewizora Jube'a. Konsola w kształcie podkowy otaczała potężne siedzisko, przystosowane do jego niezwyklej anatomii. Ze wszystkich stron otaczały go rozmaite maszyny. Funkcję niektórych z łatwością zrozumiałby każdy licealista, inne zaś byłyby tajemnicą nawet dla samego doktora Tachiona.

Choć gabinet był prymitywny, w pełni wystarczał Jube'owi. Opadł na siedzisko, włączył zasilanie z termojądrowej baterii i zdjął z półki u swego łokcia kryształowy pręt długości dziecięcego palca. Gdy wsunął go w odpowiedni otwór konsoli, urządzenie nagrywające rozświetliło się od środka. Zaczął relacjonować swe najświeższe spostrzeżenia i wnioski w języku brzmiącym w połowie jak muzyka, a w połowie jak kakofonia, złożonym w równym stopniu z gwizdów, szczęknięć, beknień i mlasków. Jeśli nawet inne systemy zabezpieczające kiedyś go zawiodą, jego praca i tak pozostanie bezpieczna. W końcu w promieniu czterdziestu lat świetlnych nie znajdzie się drugiej istoty mówiącej w jego ojczystym języku.



Do szóstej generacji

WALTER JON WILLIAMS

Prolog

Jego ciało nadal dymiło w miejscach, gdzie atmosfera je spaliła. Z przetchlinek wypływała gorąca krew. Próbował je zamknąć, by zachować w sobie resztki płynu, ale utracił kontrolę nad oddychaniem. Jego płyny ustrojowe przegrzały się podczas przejścia przez atmosferę i wyrwały się na zewnątrz przez membrany niczym para z eksplodującego kotła.

Na końcu zaułka mrugały światła, oślepiające jego oczy. Twarde dźwięki drażniły mu uszy. Z jego stygnącej na betonie krwi buchała para.

Matka Roju wykryła jego statek i zaatakowała go potężną wiązką cząstek wygenerowanych w monstualnej planetoidzie jej ciała. Ledwie zdążył zawiadomić przebywającego na powierzchni planety Jhubbena, nim chityna jego statku została rozerwana. Musiał skorzystać z przenośnika osobliwościowego, eksperymentalnego źródła mocy stworzonego przez jego gatunek, i skoczyć w ciemną próżnię. Przenośnik jednak również ucierpiał podczas ataku i nie udało mu się nad nim zapanować. Płonął, zmierzając ku powierzchni.

Spróbował przywołać koncentrację i zregenerować ciało, ale bez powodzenia. Uświadomił sobie, że umiera.

Musiał powstrzymać wypływ życia. W pobliżu znajdował się metalowy pojemnik z pokrywą na zawiasach. Choć jego ciało wypełniał palący ból, przetoczył się po wilgotnym betonie i zahaczył jedyną nieuszkodzoną nogą o pokrywę pojemnika. Noga była potężna, służyła do skakania pod niebo na jego rodzinnym świecie o niskim przyciąganiu. Teraz była dla niego jedyną nadzieją. Poruszył swe ciało, walcząc z miażdżącą grawitacją, i przetoczył je wzdłuż kończyny. Oburzone nerwy zawyły. Zewnętrzną powierzchnię pojemnika zbryzgał płyn.

Wpadł do środka z brzękiem metalu. Jakieś substancje pękły pod nim z trzaskiem. Uniósł wzrok ku świecącemu odbitą podczerwienią niebu. Były tu kawałki organicznego materiału, zmiażdżonego i spłaszczonego. Wprasowano w nie układające się we wzory barwniki. Sięgnął po nie swymi głaszczkami i rżeszkami, rozerwał je na pasy i zatkał nimi przeciekające przetchlinki. Powstrzymał wypływ.

Dotarły do niego organiczne wonie. Było tu kiedyś życie, ale umarło.

Sięgnął do odwołka po przenośnik, wydobył urządzenie i przycisnął je do rozdartej piersi.

Jeśli zdoła powstrzymać na moment upływ czasu, rany będą mogły się zagoić. Potem spróbuje jakoś nawiązać łączność z Jhubbenem. Jeśli przerośnik nie był uszkodzony zbyt poważnie, może uda mu się krótki skok w miejsce pobytu Jhubbena.

Przerośnik zabuczał. W mroku wypełniającym pojemnik rozbłysły niezwykle, łagodne światła, będące efektem ubocznym. Mijał czas.



— Ostatniej nocy zadzwoniła do mnie sąsiadka, Sally...

Spowity czasowym kokonem, usłyszał niewyraźnie dźwięk głosu, niosący się echem wewnątrz jego czaszki.

— I Sally mówi, Hildy, mówi, właśnie dostałam wiadomość z Kalifornii, od mojej siostry, Margaret. Pamiętasz Margaret, mówi, chodziła z tobą do szkoły w St. Mary's.

W pobliżu jego słuchowych głąszczek coś uderzyło z łoskotem o metal. Na tle świetlistej nocy pojawiła się jakaś sylwetka. Sięgnęły ku niemu ręce.

Ból powrócił. Wydał z siebie syk. Dotyk wspiął się po jego ciele.

— Pewnie, że pamiętam Margaret, mówię. Była jeden rok za mną. Siostry ciągle się jej czepiały, bo żuła gumę.

Coś usiłowało mu zabrać przerośnik. Uczepił się go, próbując się sprzeciwić.

— To moje, frajerze — rzucił głos, szybko i gniewnie. — Ja to pierwsza znalazłam.

Zobaczył twarz. Błada, zabrudzona skóra, odsłonięte zęby, szare witki zwisające spod nieorganicznej wyrośli.

— Nie rób tego — poprosił. — Ja umieram.

Stworzenie wyrwało mu przerośnik gwałtownym ruchem. Krzyknął, gdy ciepło zeń odpłynęło i poczuł powrót zimnej, powolnej śmierci.

— Zamknij się. To moje.

Jego ciało wypełnił pulsujący powoli ból.

— Nic nie rozumiesz — rzekł. — W pobliżu waszej planety jest Matka Roju.

Głos głądził monotonnie. W pojemniku trzeszczały i brzęczały rozmaite przedmioty.

— No więc, Margaret, mówi Sally, wyszła za inżyniera z Boeinga. A oni zarabiają co najmniej pięćdziesiąt tysiaków rocznie. Wakacje na Hawajach albo na Saint Thomas, na Boga.

— Proszę, wysłuchaj mnie. — Ból narastał. Wiedział, że zostało mu niewiele czasu. — Matka Roju już rozwinęła inteligencję. Zorientowała się, że ją zidentyfikowałam, i uderzyła natychmiast.

— Ale ona nie musi się męczyć z moją rodziną, mówi Sally. Mieszka na cholernym drugim wybrzeżu, mówi Sally.

Jego ciało płakało szkarłatem.

— Następnym stadium będzie Rój pierwszej generacji. Wkrótce przybędzie na waszą planetę,

kierowany przez Matkę. Proszę, wysłuchaj mnie.

— Dlatego załatwiłam mamie zasiłek i to fajne mieszkanie, mówi Sally. Ale urząd chce, żebyśmy z Margaret płaciły jej dodatkowo po pięć dolarów miesięcznie. A Margaret, mówi, nie ma pieniędzy. Życie w Kalifornii jest drogie, mówi.

— Grozi wam straszliwe niebezpieczeństwo. Wysłuchaj mnie, proszę.

Coś znowu uderzyło z łoskotem o metal. Głos brzmiał coraz słabiej, jakby się oddalał.

— Myślisz, że jest mi łatwo, mówi Sally. Piątka dzieciaków, dwa samochody i hipoteka, a Bill mówi, że sprawy w agencji zabrnęły w ślepą uliczkę.

— Rój. Rój. Powiedz Jhubbenowi!

Obcy odszedł, a on umierał. Leżące pod nim materiały zrobiły się mokre od jego płynów ustrojowych. Oddychanie sprawiało mu straszliwy ból.

— Tu jest zimno — rzekł. Z nieba spływały łzy, uderzające z łoskotem o metal. Miały w sobie kwas.



Jube: Dwa

Lokatorzy wynajmujący pokoje w domu na Eldridge Street urządzali małe przyjęcie bożonarodzeniowe i Jube przebrał się za Świętego Mikołaja. Był trochę za niski na tę rolę, a poza tym mikołaje na wystawach sklepowych rzadko miewali kły, ale za to „ho ho ho” wychodziło mu świetnie.

Przyjęcie urządzono w mieszkaniu na parterze. W tym roku odbyło się wcześniej, bo w przyszłym tygodniu pani Holland leciała do Sacramento, by spędzić święta z wnukiem, a nikt nie chciał urządzać przyjęcia bez niej. Mieszkała w budynku prawie tak długo jak Jube i przeżyła z nimi ciężkie czasy. Poza ojcem Faheyem, zapijaczonym jezuitą z czwartego piętra, wszyscy lokatorzy byli dzokerami i żaden z nich nie miał zbyt wiele pieniędzy na prezenty. Dlatego wszyscy przynieśli po jednym i schowali je w wielkim płóciennym worku pocztowym. Jube, jak co roku, miał za zadanie wymieszać prezenty i wręczyć je gościom. Uwielbiał to. Ludzkie zwyczaje związane z dawaniem upominków fascynowały go niezmiernie i miał zamiar napisać pracę na ten temat, gdy tylko ukończy obecną, poświęconą ludzkiemu humorowi.

Zawsze zaczynał od Kluchy, który był wielki, miękki i biały jak blaszki grzyba. Mieszkał w pokoju na pierwszym piętrze, z czarnym mężczyzną o ksywce Połysk. Klucha był o dobrych czterdzieści kilogramów cięższy od Jube’a i tak silny, że przynajmniej raz do roku wrywał frontowe drzwi z zawiasów (Połysk zawsze je naprawiał). Klucha uwielbiał roboty, lalki, ciężarówkę-zabawki i plastikowe pistolety, ale zawsze wszystko psuł po kilku dniach, a te zabawki, które lubił najbardziej, po kilku godzinach.

Jube zapakował swój prezent w srebrną folię, by nie dać go przez pomyłkę komuś innemu.

— O kurczę — zawołał Klucha, zrywając opakowanie. — Uniósł prezent, by wszyscy mogli go zobaczyć. — Blaster. O kurczę. O kurczę.

Półprzezroczysta zabawka ciemnoczerwonej, prawie czarnej barwy była gładka i przyjemna w dotyku, lecz jednocześnie budziła nieokreślony niepokój. Jej lufa była cienka jak ołówek. Gdy Klucha zacisnął na uchwycie wielkie paluchy i wycelował w panią Holland, głęboko w środku poruszyły się punkciki światła. Klucha zakrzyknął z zachwyty, gdy mikrokomputer dokładnie namierzył cel.

— Niezła zabawka — zauważyła Callie, drobna, schludna kobieta z czterema dodatkowymi, bezużytecznymi rękami.

— Ho ho ho — zawołał Jube. — I nie da rady jej zepsuć.

Klucha przyjrzał się z uwagą Staremu Panu Świerszczowi i nacisnął spust. Zza jego zaciśniętych zębów popłynęły odgłosy naśladujące skwierczenie.

— Założę się, że da — rzekł ze śmiechem Połysk.

— Przegrałbyś — odparł Jube. Ly'bahrski stop był tak gęsty i mocny, że mógł wytrzymać mały wybuch termojądrowy. Jube sam nosił ten pistolet podczas pierwszego roku, który spędził w Nowym Jorku, ale uprząż go uwierała i po pewnym czasie doszedł do wniosku, że to niewarte zachodu. Rzecz jasna, wyjął baterię, nim zapakował prezent, a używanych przez Sieć dysruptorów nie dało się napędzać ziemską baterią R 20.

Ktoś wsunął mu w rękę poncz jajeczny, solidnie doprawiony rumem i gałką muszkatołową. Jube pociągnął solidny łyk, uśmiechnął się z zadowoleniem i wrócił do rozdawania prezentów. Druga w kolei była Callie, która otrzymała karnet do pobliskiego kina. Dentonowi z trzeciego piętra przypadła wełniana czapeczka robiona na drutach, którą zawiesił sobie na czubkach poroża, wywołując ogólny śmiech. Reginald, nazywany przez okoliczne dzieci Kartoflanym Łbem (choć nigdy w zasięgu jego słuchu), dostał elektryczną maszynkę do golenia, Połysk zaś długi, wielobarwny szal. Popatrzyli na siebie, parsknęli śmiechem i zamienili się prezentami.

Jube krążył po pokoju, podchodząc kolejno do każdego, aż wreszcie wszyscy otrzymali prezent. Ostatni, który został w worku, z reguły należał do niego, ale w tym roku worek zrobił się pusty, gdy pani Holland otrzymała bilety na „Koty”. Jube poczuł się nieco skrępowany. Najwyraźniej można to było wyczytać z jego twarzy, bo wszyscy roześmiali się w głos.

— Nie zapomnieliśmy o tobie, Morsie — zapewnił Chucky, chłopak o pajęczych nogach pracujący jako goniec na Wall Street.

— W tym roku złożyliśmy się wszyscy i kupiliśmy ci coś specjalnego — dodał Połysk.

Pani Holland wręczyła mu prezent. Był mały i owinięty w firmowy papier. Jube rozpakował go ostrożnie.

— Zegarek!

— To nie zegarek, Morsie, to chronometr! — zawołał Chucky. — Sam się nakręca, jest wodo- i wstrząsoodporny.

— Podaje daty, fazy księżycy, cholera, mówi ci wszystko poza tym, kiedy twoja dziewczyna ma okres — dodał Połysk.

— Połysk! — oburzyła się pani Holland.

— Nosileś ten zegarek z Myszką Miki od, cholera, odkąd cię znam — wyjaśnił Reginald. — Wszyscy sobie pomyśleliśmy, że czas już, byś zamienił go na coś trochę nowocześniejszego.

To był bardzo drogi zegarek. Oczywiście, Jube'owi nie pozostało nic innego, jak go założyć. Zdjął Myszkę z grubego przedramienia i zastąpił ją nowym chronometrem na giętym, metalowym pasku. Stary zegarek bardzo ostrożnie położył na obmurowaniu kominka, gdzie nie przyciągał niczyjej uwagi, po czym okrążył zatłoczony pokój, dziękując wszystkim po kolei.

Potem Stary Pan Świerszcz zagrał na nogach *Jingle Bells*, a pani Holland podała indyka, którego wygrała na kościelnej loterii (Jube odsunął swój talerz na bok, tak by wyglądało, że coś zjadł), następnie podano więcej ponczu, a po kawie zaczęto grać w karty. Gdy zrobiło się już bardzo późno, Jube opowiedział kilka swoich kawałów. Wreszcie doszedł do wniosku, że pora już się kłaść. Dał swemu pomocnikowi wolny dzień, będzie więc musiał otworzyć kiosk wczesnym rankiem. Gdy jednak zatrzymał się przy kominku, zobaczył, że Myszka zniknęła.

— Mój zegarek! — zawołał.

— Po co ci ten stary rupieć, skoro masz nowy chronometr? — zapytała Callie.

— Ma wartość sentymentalną — odparł Jube.

— Widziałem, jak Klucha się nim bawił — poinformował go Kurzajka. — On lubi Myszkę Miki.

Połysek położył Kluchę do łóżka już przed kilkoma godzinami, Jube musiał więc pójść na górę. Znaleźli zegarek na stopie Kluchy. Połysek przeproszał gorąco.

— Chyba go zepsuł — martwił się.

— Jest bardzo solidny — zapewnił Jube.

— Wydaje taki dźwięk — odparł Połysek. — Jakby brzęczał. Pewnie coś się zepsuło w środku.

Przez chwilę Jube nie potrafił zrozumieć, o czym mówi staruszek. Potem dezorientacja ustąpiła miejsca strachowi.

— Brzęczał? Od jak dawna...?

— Dość długo — odparł Połysek, wręczając mu zegarek. Z jego wnętrza dobiegał słaby, wysoki pisk. — Dobrze się czujesz?

Jube skinął głową.

— Jestem zmęczony — wyjaśnił. — Wesołych świąt.

Zszedł na dół tak szybko, jak tylko mógł.

Wpadł do swego zimnego, pogrążonego w półmroku mieszkania i popędził do komórki na węgiel. Tak jak się spodziewał, na komunikatorze paliło się fiołkowe światło, oznaczające w systemie używanym przez Sieć najwyższy stopień alarmu. Serca podeszły mu do ust. Jak długo? Godziny, wiele godzin, a on cały ten czas się bawił. Dopadły go mdłości. Opadł na siedzisko i nacisnął klawisze nakazujące odtworzenie zarejestrowanej wiadomości.

Holosześcian rozjaśnił się od wewnątrz, wypełniła go fiołkowa, świetlista mgiełka. W jej środku znajdował się Ekkedme. Podwinął tylne, skokowe nogi, przez co wyglądał niemal, jakby kucnął. Embeńska nimfa najwyraźniej była skrajnie podekscytowana; rzęski pokrywające twarz Ekkedmego drżały, smakując powietrze, a głaszczki na szczycie małej głowy obracały się gorączkowo. Na oczach Jube'a fiołkowe tło przeszło w ciasne wnętrze monostatku.

— Matka! — krzyczał Ekkedme w języku handlowym, wyciskając słowa przez przetchlinki

z charkotliwym embeńskim akcentem. Hologram rozplynął się w zakłócenia.

Po chwili zintegrował się na nowo. Embe przetoczył się nagle na bok, wyciągnął cienką jak patyk przednią kończynę i przycisnął gładką, czarną kulę do białego futra porastającego chitynę jego piersi. Zaczął coś mówić, ale kadłub monostatku za nim wgiął się nagle do środka z paskudnym zgrzytem, a potem rozpadł się całkowicie. Przerażony Jube przyglądał się, jak powietrze, przyrządy i sam Embe wypływają na zewnątrz, ku zimnym, niemrugającym gwiazdom. Ekkeedme uderzył o wyszczerbioną gródź i ześliznął się w górę, ściskając mocno kulę i szukając tylnymi kończynami punktu zaczepienia. Po powierzchni kuli przebiegł wir światła i obiekt zaczął się powiększać. Embego szybko pochłonęła czarna fala. Kiedy ustąpiła, istota zniknęła. Jube odważył się znowu zaczerpnąć oddechu.

Po chwili transmisja nagle się przerwała.

Nakazał ją powtórzyć, w nadziei, że coś przegapił, ale zdołał obejrzeć tylko połowę. Potem wstał, pobiegł do toalety i z wymiotował cały wypity wcześniej poncz.

Kiedy wrócił, czuł się lepiej. Musiał się zastanowić. Musiał zachować spokój. Panika i poczucie winy donikąd go nie zaprowadzą. Nawet gdyby miał zegarek na ręce, nie miałby szans dotrzeć tu na czas, by odebrać przekaz, a zresztą i tak nic nie mógłby poradzić. Co więcej, Ekkeedme miał przenośnik osobliwościowy, Jube widział to na własne oczy, z pewnością jego współpracownik zdołał dotrzeć w bezpieczne miejsce...

Ale... jeśli tak było... gdzie się podziewał?

Rozejrzał się powoli wokół. Tu Embego z pewnością nie było. Dokąd jednak mógłby pójść? Jak długo przeżyje w warunkach tak silnej grawitacji? I co się wydarzyło na orbicie?

Nie dając za wygraną, połączył się z satelitarnymi skanerami. Było ich sześć — zaawansowane technicznie urządzenia wielkości piłek golfowych, wypełnione rhindariańskimi czujnikami. Ekkeedme za ich pomocą monitorował procesy pogodowe, aktywność wojskową oraz przekazy radiowe i telewizyjne. Miały one też jednak inne funkcje. Jube przeczesał metodycznie niebo w poszukiwaniu monostatku, ale tam, gdzie powinien go odnaleźć, pozostały jedynie rozproszone szczątki.

Nagle poczuł się bardzo samotny.

Ekkeedme był... no cóż, może nie przyjacielem, nie w takim sensie, w jakim byli nimi ludzie mieszkający na górze, ani nawet nie tak bliskim, jak Poczwarzka czy Krabowe Ciastko, ale... ich gatunki właściwie nie miały ze sobą wiele wspólnego. Ekkeedme był dziwną, samotniczą istotą, enigmatyczną i niekomunikatywną. Spędził dwadzieścia trzy lata w ciasnym monostatku, nie mając nic do roboty poza medytacją i monitoringiem. To sprawiało, że embeńska nimfa wydawała się jeszcze dziwniejsza, ale rzecz jasna właśnie dlatego wybrano Ekkeedme spośród wszystkich kandydatów dostępnych dla Wielkiego Kupca, gdy „Okazja” przybyła tu z tak daleka, w ludzkim roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim, celem obserwacji rezultatów

wielkiego takizjańskiego eksperymentu.

Wspomnienie wróciło nieprzywoływane. Ogromny gwiazdolot Sieci krążył wokół małej zielonej planety przez całe lato, ale nie znalazł wiele ciekawego. Miejskowa cywilizacja była obiecująca, lecz nie posunęła się zbytnio naprzód od czasu poprzedniej wizyty przed kilkoma stuleciami. Sławetny takizjański wirus, dzika karta, najwyraźniej stworzył mnóstwo dziwolągów, kalek i potworów. Wielki Kupiec nie chciał jednak pozostawiać niczego losowi i dlatego, gdy „Okazja” odlatywała, zostawił tu dwóch obserwatorów: Embego na orbicie i ksenologa na powierzchni. Bawiła go myśl, że umieści swego agenta tam, gdzie wszyscy będą mogli go zobaczyć, na ulicach największego miasta na świecie. Dla Jhubbena, który podpisał dożywotni kontrakt w zamian za szansę podróży do odległych światów, była to wyjątkowa szansa zrobienia czegoś ważnego.

Niemniej do tej chwili zawsze towarzyszyła mu świadomość, że „Okazja” kiedyś wróci, że któregoś dnia znowu będzie podróżował do gwiazd, a być może nawet wróci do lodowców i lodowych miast pod bladym, czerwonym słońcem Glabbera. Embeńska nimfa nie była do końca jego przyjacielem, ale Ekkedme reprezentował coś równie ważnego. Łączyła ich wspólna przeszłość. Tylko Jube wiedział, że Embe krąży w górze, obserwując i słuchając, tylko Ekkedme wiedział, że Jube Mors, dzokerski sprzedawca gazet, jest w rzeczywistości Jhubbenem, ksenologiem z Glabbera. Nimfa była jego łącznikiem z przeszłością, ze światem rodzinnym i współplemieńcami, z „Okazją” i samą Siecią oraz jej trzydziestoma siedmioma członkowskimi gatunkami, rozproszonymi na z górą tysiącu światów.

Jube spojrzął na nowy zegarek, który dostał od przyjaciół. Było już po drugiej. Wiadomość dotarła do niego tuż przed ósmą. Sam nigdy nie używał przenośnika osobliwościowego — to było embeńskie urządzenie, nadal eksperymentalne, napędzane przez czarną minidziurę i zdolne funkcjonować jako pole zeroczasowe, teleporter, a nawet źródło mocy. Było fantastycznie drogie, a Sieć zazdrośnie strzegła jego tajemnicy. Jube nawet nie udawał, że rozumie, jak ono działa, ale powinno było sprowadzić Ekkedme tutaj, gdzie Jhubben mógłby mu pomóc. Jeśli przenośnik był uszkodzony, Embe mógł wylądować w bezpowietrznej próżni, na dnie oceanu albo... no cóż, wszędzie w zasięgu urządzenia.

Potrząsnął masywną głową. Co właściwie mógł zrobić? Gdyby Ekkedme jeszcze żył, dotarłby tutaj. Jube nie był w stanie mu pomóc. Tymczasem miał pilniejszy problem: ktoś albo coś odkryło, zaatakowało i zniszczyło monostatek. Ludzie nie mieli potrzebnej do tego technologii ani motywów. Ktokolwiek to uczynił, z pewnością nie był przyjacielem Sieci. Jeśli zdawał sobie sprawę z obecności Jube’a, może spróbować załatwić i jego. Zaczął żałować, że oddał swą broń Klusze.

Obejrzał raz jeszcze ostatnią transmisję Embego w nadziei, że odkryje jakąś wskazówkę pozwalającą mu zidentyfikować nieznanego nieprzyjaciela. Nie znalazł nic oprócz... „Matka!”.

Tak powiedział Ekkedme. Co miał na myśli? Czy to była jakaś embeńska religijna inwokacja, a może jego towarzysz naprawdę wspominał samicę, z której jaja się wykluły?

Jube kilka następnych godzin spędził w balii. Zastanawiał się. Nie podobały mu się te myśli, ale ich logika była nieodparta. Sieć miała wielu wrogów, wewnętrznych i zewnętrznych, ale tylko jednego naprawdę potężnego rywala w tym rejonie przestrzeni i tylko jednego, który mógłby być tak gwałtownie niezadowolony z faktu, że Ziemię poddano obserwacji: gatunek tak bardzo podobny, a zarazem niepodobny do ludzi, władczy i wyniosły, rasistowski, nieubłagane krwiożerczy i zdolny do niemal każdego okrucieństwa, sądząc po tym, co jego przedstawiciele zrobili Ziemi i co regularnie robili sobie nawzajem.

Gdy zbliżał się świt i Jube ubrał się po nieprzespanej nocy, był już niemal tego pewien. Tylko takizjański okręt-symbiont mógłby dokonać tego, czego świadkiem był przed chwilą. Widmowa lanca czy laser, zastanawiał się. Nie był znawcą militariów.

Dzień był szary i przygnębiający. Padał deszcz ze śniegiem. Nastrój otwierającego kiosk Jube'a w pełni harmonizował z pogodą. Interes szedł kiepsko. Nieco po ósmej pojawił się doktor Tachion, zmierzając ku niemu wzdłuż Bowery Street. Miał na sobie białe futro i próbował usunąć z kołnierza plamę od jajka.

— Coś się stało, Jube? — zapytał, zatrzymując się, by kupić „New York Timesa”. — Nie wyglądasz za dobrze.

Jube'owi trudno było odnaleźć słowa.

— Hmm, tak, doktorze. Mój przyjaciel... hmm, umarł.

Obserwował twarz Tachiona w poszukiwaniu jakiegoś śladu poczucia winy. Takizjaninowi przychodziło ono z łatwością. Jeśli coś wiedział, z pewnością się zdradzi.

— Przykro mi — rzekł doktor ze szczerym współczuciem w głosie. — Ja również straciłem kogoś w tym tygodniu. Sanitariusza w klinice. Dręczy mnie straszliwe podejrzenie, że go zamordowano. Tego samego dnia zniknął jeden z moich pacjentów, mężczyzna o nazwisku Spector. — Tachion westchnął. — A teraz policja chce dokonać sekcji jakiegoś biednego dzokera znalezionego w puszcze na śmieci w Chelsea. McPherson mówi, że facet wyglądał jak futrzasty pasikonik. No wiesz, to znaczy, że to moja działka. — Potrząsnął ze znużeniem głową. — No cóż, będą musieli potrzymać go w lodówce, dopóki nie zorganizuję poszukiwań pana Spectora. Miej uszy otwarte, Jube, i zawiadom mnie, jeśli coś usłyszysz, dobra?

— Mówisz pasikonik? — Jube starał się, by jego głos zabrzmiał obojętnie. — Futrzasty pasikonik?

— Tak — potwierdził Tach. — Mam nadzieję, że to nie jest ktoś, kogo znałeś?

— Nie jestem pewien — odparł pośpiesznie Jube. — Może powinienem mu się przyjrzeć. Znam mnóstwo dzokerów.

— Jest w kostnicy, na Pierwszej Alei.

— Nie wiem, czy dam radę — zaniepokoił się Jube. — Mam słaby żołądek, doktorze. Jak wygląda ta kostnica?

Tachion zapewnił, że nie ma się czego bać. By go uspokoić, dokładnie opisał kostnicę i stosowane w niej procedury. Jube zapamiętał każdy szczegół.

— To nie brzmi tak źle — stwierdził wreszcie. — Może rzeczywiście tam pójde, na wypadek że to, hmm, gość, którego znałem.

Tachion skinął głową z roztargnieniem. Jego umysł zaprzętały inne kłopoty.

— Wiesz co? — powiedział Jube'owi. — Ten Spector, pacjent, który zniknął, nie żył, kiedy go przywieźli. Uratowałem mu życie. Gdybym tego nie zrobił, Henry mógłby jeszcze żyć. Oczywiście, nie mam dowodów.

Takizjanin oddalił się przez deszcz ze śniegiem, trzymając pod pachą „New York Timesa”.

Biedny Ekkedme, pomyślał Jube. Zginął tak daleko od domu. Nie miał pojęcia, jak wyglądają embeńskie zwyczaje pogrzebowe. Nie miał nawet czasu na żałobę. Nie ulegało wątpliwości, że Tachion o niczym nie wie. Co ważniejsze, nie może się dowiedzieć. Obecność Sieci na Ziemi trzeba za wszelką cenę zachować w tajemnicy. A jeśli Takizjanin dokona sekcji, z pewnością się dowie. Glabber był biedny, zacofany i mało znany. Nie miał własnych gwiazdolotów, a tylko niespełna stu Glabberian kiedykolwiek służyło na wielkich statkach Sieci. Szanse, że Tachion rozpozna Jhubbena, były bliskie zeru. Natomiast Embe zamieszkiwali kilkanaście światów, a ich statki znano na setce innych. Byli równie ważną częścią Sieci co Ly'bahrowie, Kondikki, Aevre, czy nawet Wielcy Kupcy. Wystarczy, że Tachion raz spojrzy na ciało i będzie wiedział.

Jube kołysał się na piętach, czując pierwsze, lekkie dotknięcie paniki. Musi zwinąć ciało, nim Tachion zdąży je zobaczyć. I przenośnik, jak mógł o nim zapomnieć! Jeśli artefakt tak cenny, jak przenośnik osobliwościowy, wpadnie w ręce Takizjan, konsekwencje będą nieprzewidywalne. Ale jak to zrobić?

Przed kioskiem zatrzymał się mężczyzna, którego Jube nigdy dotąd nie widział.

— Gazetę? — zapytał, spoglądając na niego z roztargnieniem.

— Wszystkie po jednym egzemplarzu, jak zwykle — odparł tamten.

Minęła chwila, nim to do niego dotarło, ale gdy to już się stało, Jube uświadomił sobie, że znalazł odpowiedź.



W proch się obrócisz

ROGER ZELAZNY

Z radia płynęły szумы. Croyd Crenson wyciągnął rękę, wyłączył odbiornik i cisnął nim na drugą stronę pokoju, w kierunku kosza na śmieci stojącego przy kredensie. Trafił i uznał to za dobry omen.

Przeciągnął się, uniósł kołdrę i przyjrzał się swemu blademu, nagiemu ciału. Wszystko było na miejscu i miało normalne proporcje. Nakazał sobie lewitować, lecz nic się nie wydarzyło, postawił więc nogi na podłodze i usiadł. Przesunął rękę po włosach i z zadowoleniem przekonał się, że je ma. Przebudzenie zawsze było nową przygodą.

Spróbował uczynić się niewidzialnym, stopić myślą kosz na śmieci i sprawić, by między koniuszkami jego palców przeskoczyły skry. Nic się nie wydarzyło.

Wstał i ruszył do łazienki. Pijąc kolejne szklanki wody, przyjrzał się sobie w lustrze. Tym razem miał jasne oczy i włosy oraz regularne rysy. W gruncie rzeczy, prezentował się całkiem nieźle. Oceniał, że ma nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Był też dobrze umięśniony. W szafce powinien znaleźć coś, co będzie na niego pasowało. Miewał już zbliżony wzrost oraz budowę.

Dzień za oknem był szary, a wzdłuż chodnika leżały zasy topniejącego śniegu. Rynsztokiem spływała woda. Croyd zatrzymał się po drodze do szafki i wyjął ciężki stalowy pręt ze skrzynki ustawionej pod biurkiem. Niemal od niechcienia zgiął go w pół, a potem zwinął w pętlę. Siła raz jeszcze przetrwała, pomyślał, gdy metalowy precel dołączył do radia w koszu. Zdołał odnaleźć koszulę i spodnie, które na niego pasowały, a do tego tweedową kamizelkę, tylko odrobinę za ciasną w ramionach. Potem skierował uwagę na wielką kolekcję butów i po pewnym czasie trafił na takie, które były wygodne.

Według jego roleksa niedawno minęła ósma. Była zima, a na dworze było jasno, co oznaczało, że jest poranek. Zaburczało mu w brzuchu. Pora zjeść śniadanie i zorientować się w sytuacji. Sprawdził zawartość schowka z pieniędzmi i wyjął z niego dwie studolarówki. Zapas się kończy, pomyślał. Pora odwiedzić bank. Albo go obrabować. Akcje ostatnio również spadały. Później...

Zaopatrzył się w chusteczkę, grzebień, klucze oraz plastikową buteleczkę z pigułkami. Nie lubił nosić żadnych dokumentów. Nie potrzebował płaszcza. Ekstremalne temperatury rzadko mu przeszkadzały.

Zamknął za sobą drzwi, przemierzył korytarz i zszedł na dół po schodach. Po wyjściu na ulicę skręcił w lewo, pod ostry wiatr, i ruszył przed siebie Bowery Street. Włożył dolara w wyciągniętą dłoń wysokiego, chudego jak szkielet dzokera o nosie przypominającym sopel. Żebrak stał sztywno jak totem w drzwiach zamkniętego sklepu z maskami. Croyd zapytał, jaki jest miesiąc.

— Grudzień — odpowiedział tamten, nie poruszając ustami. — Wesołych świąt.

— Ehe — zgodził się Croyd.

Zmierzając ku pierwszemu przystankowi, wykonał jeszcze kilka prostych testów, ale nie potrafił rozbić myślą pustych butelek po whisky walających się w rynsztoku ani podpalić żadnej ze stert śmieci. Spróbował też wydawać z siebie ultradźwięki, ale wychodziły mu tylko piski.

Podszedł do kiosku na Hester Street, gdzie niski, gruby Jube Benson był zajęty czytaniem jednej ze swych gazet. Benson miał na sobie żółtopomarańczową koszulę hawajską, na którą zarzucił jasnoniebieską letnią marynarkę. Spod kapelusza o szerokim rondzie sterczały kępki rudych włosów. Sprawiał wrażenie, że temperatura przeszkadza mu równie mało, co Croydowi. Uniósł ciemną, gumowatą, pokrytą pryszczami twarz, odsłaniając parę krótkich, zakrzywionych kłów, i spojrzał na nowego klienta.

— Gazetę? — zapytał.

— Wszystkie po jednym egzemplarzu, jak zwykle — odparł Croyd.

Kioskarz przymrużył lekko powieki, przyglądając się stojącemu przy kiosku mężczyźnie.

— Croyd? — zapytał nagle.

Zapytany skinął głową.

— To ja, Mors. Jak tam sprawy?

— Nie mogę się skarżyć, kolego. Tym razem znalazłem niezłą.

— Ale nadal ją testujesz — stwierdził Croyd, składając gazety.

Jube odsłonił nieco większą część kłów.

— Jaka jest najniebezpieczniejsza robota w Dżokerowie? — zapytał.

— Poddaję się.

— Jeżdżenie śmieciarką na tylnym stopniu — odparł Jube. — Słyszałeś, co się stało z tą dziewczyną, która wygrała konkurs Miss Dżokerowa?

— Nie.

— Odebrali jej tytuł, kiedy się dowiedzieli, że pozowała nago dla „Tygodnika Hodowców Drobiu”.

— To chore, Jube.

— Wiem. Kiedy spałeś, mieliśmy tu huragan. Wiesz, jakie były jego skutki?

— Nie.

— Wartość gruntów wzrosła o cztery miliony dolarów.

— No dobra, starczy! — zawołał Croyd. — Ile jestem ci winien?

Jube odłożył gazetę, wstał z krzesła i podszedł do drzwi kiosku.

— Ani centa — odparł. — Chcę z tobą porozmawiać.

— Muszę coś zjeść, Jube. Kiedy się budzę, potrzebuję szybko zaspokoić głód. Wrócę później, dobra?

— Czy mogę pójść z tobą?

— Jasne. Ale twój interes na tym straci.

Niski dzoker zaczął zamykać kiosk.

— Nie szkodzi — odrzekł. — Tu chodzi o inny interes.

Croyd zaczekał, aż jego znajomy zamknie kiosk. Potem ruszyli do odległej o dwie przecznice Kuchni Włochacza.

— Weźmy tę łóżę z tyłu — zaproponował Jube.

— Zgoda. Ale żadnych rozmów o interesach, dopóki nie zjem pierwszego dania, dobra? Nie mogę się skoncentrować, jeśli mam niski poziom cukru. Towarzyszą temu dziwaczne hormony i mnóstwo transaminaz. Muszę najpierw coś wtrząchnąć.

— Rozumiem. Nie śpiesz się.

Gdy przyszedł kelner, Jube powiedział, że już jadł, i zamówił tylko kawę, której w ogóle nie dotknął. Croyd zaczął od podwójnej porcji steku z jajecznicą i dzbanka soku pomarańczowego.

Po dziesięciu minutach, gdy przyniesiono naleśniki, niski dzoker odchrząknął.

— W porządku — rzekł Croyd. — Tak jest lepiej. Co cię kłopotczy, Jube?

— Nie wiem, od czego zacząć — wyznał tamten.

— Zaczynij gdziekolwiek. Życie nagle wydało mi się lepsze.

— W tym mieście nie zawsze jest zdrowo okazywać zbytnie zainteresowanie sprawami innych...

— To prawda.

— Ale z drugiej strony ludzie uwielbiają plotki i spekulacje.

Croyd skinął głową, nie przestając jeść.

— Twój sposób spania nie jest tajemnicą, podobnie jak fakt, że uniemożliwia ci on wykonywanie regularnej pracy. Ale w sumie przypominasz raczej asa niż dzokera. No wiesz, na ogół wyglądasz normalnie, ale masz jakiś szczególny talent.

— Tym razem jeszcze go nie rozgryżłem.

— Nieważne. Ubierasz się dobrze, płacisz rachunki, często jadasz w Wieży Asów i to, co masz na ręce, to nie jest timex. Musisz coś robić, żeby pozostać w obiegu, chyba że odziedzyczyłeś spory majątek.

— Boję się zaglądać do „Wall Street Journal” — odparł z uśmiechem Croyd, dotykając sterty gazet leżącej u jego boku. — Mogę być zmuszony zrobić coś, czego dawno nie robiłem, jeśli

rozumiesz, co mam na myśli.

— Czy mogę przyjąć założenie, że kiedy pracujesz, zajmujesz się czymś nie do końca legalnym?

Croyd uniósł głowę i zauważył, że gdy ich spojrzenia się spotkały, kioskarz się wzdrygnął. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że jego rozmówca się boi. Roześmiał się.

— Do licha, Jube — rzekł. — Znam cię wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie jesteś gliną. Chcesz, żeby coś zrobiono, tak? Jeśli w grę wchodzi kradzież, jestem w tym dobry. Uczyłem się od eksperta. Jeśli kogoś szantażują, z chęcią odzyskam dowody i zastraszę winnego. Jeśli chcesz, żeby coś usunięto, zniszczono albo przeniesiono w inne miejsce, możesz na mnie liczyć. Ale z drugiej strony, jeśli chcesz, żeby kogoś zabito, to nie lubię tego robić. Ale mogę ci podać nazwiska paru ludzi, którzy nie mają takich skrupułów.

Jube potrząsnął głową.

— Nie chcę nikogo zabijać, Croyd. Ale chcę, żeby coś ukradziono.

— Zanim przejdziemy do szczegółów, chcę ci powiedzieć, że nie jestem tani.

Jube odsłonił kły.

— Grupa, którą reprezentuję, jest gotowa dobrze cię wynagrodzić.

Croyd skończył naleśniki, wypił kawę i zjadł kanapkę, czekając na gofry.

— Chodzi o ciało — przyznał wreszcie Jube.

— O co?

— O zwłoki.

— Nie rozumiem.

— W weekend umarł jeden facet. Ciało znaleziono w puszcze na śmieci. Nie miał dokumentów. Jest zarejestrowany jako NN. W kostnicy.

— Jezu, Jube! Ciało? Nigdy nie kradłem ciała. Na co komu ono?

Sprzedawca gazet wzruszył ramionami.

— Są gotowi zapłacić naprawdę dobrze za ciało i za rzeczy, które zmarły mógł mieć przy sobie. To wszystko, co polecili mi przekazać.

— To pewnie ich interes, co chcą zrobić z ciałem. Ale o jakiej sumie mówimy?

— To dla nich warte pięćdziesiąt kawałków.

— Pięćdziesiąt kawałków? Za truposza? — Croyd przestał jeść i wlepił spojrzenie w Jube'a.
— Chyba żartujesz.

— Nie. Mogę dać ci dziesięć tysięcy teraz i czterdzieści po dostarczeniu towaru.

— A jeśli mi się nie uda?

— Będiesz mógł zachować te dziesięć kawałków za samo podjęcie próby. Jesteś zainteresowany?

Croyd wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

— Ehe. Jestem zainteresowany. Ale nawet nie wiem, gdzie jest ta kostnica.

— W zakładzie medycyny sądowej przy Dwudziestej Piątej Alei.

— Dobra. Powiedzmy, że tam pójde i...

Włochacz postawił przed Croydem talerz z kielbaskami i tartymi ziemniakami smażonymi z cebulą. Dolał mu kawy i położył na stole kilka rachunków oraz trochę drobnych.

— Twoja reszta.

— Jaka reszta? — zapytał Croyd, spoglądając na pieniądze. — Nic jeszcze nie zapłaciłem.

— Dałeś mi pięćdziesiątka.

— Nie dałem. Jeszcze nie skończyłem.

Wydawało się, że Włochacz się uśmiechnął pod gęstym ciemnym futrem, które porastało go całkowicie.

— Mój interes nie utrzymałby się długo, gdybym rozdawał pieniądze — stwierdził. — Wiem, kiedy wydaję resztę.

Croyd wzruszył ramionami, a potem skinął głową.

— Pewnie masz rację — powiedział, ale kiedy Włochacz się oddalił, zmarszczył brwi i potrząsnął głową. — Nie zapłaciłem mu, Jube — zapewnił.

— Ja też nie pamiętam, żebyś to robił. Ale powiedział pięćdziesiąt... o tym trudno zapomnieć.

— To dziwne. Myślałem o tym, że będę musiał rozmiąć pięćdziesiątkę, kiedy skończę.

— Tak? A czy pamiętasz, kiedy ta myśl przyszła ci do głowy?

— Ehe. Kiedy przyniósł gofry.

— Naprawdę miałeś w umyśle obraz tego, jak wyjmujesz pięćdziesięciodolarowy banknot i wręczasz go Włochaczowi?

— Tak.

— To ciekawe.

— Dlaczego tak mówisz?

— Myślę, że to może być tym razem twoja moc. Coś w rodzaju telepatycznej hipnozy. Będziesz musiał trochę się tym pobawić, żeby lepiej opanować tę sztukę i poznać jej ograniczenia.

Croyd skinął z namysłem głową.

— Ale nie próbuj tego na mnie. I tak mam dzisiaj prze srane.

— Dlaczego? Masz coś wspólnego z tym interesem z trupem?

— Im mniej wiesz, tym lepiej, Croyd. Uwierz mi.

— W porządku, rozumiem. Zresztą to mnie nie obchodzi. Nie przy takiej sumie — dodał.

— Przyjmę tę robotę. Powiedzmy, że wszystko pójdzie gładko i ukradnę ciało. Co mam z nim zrobić?

Jube wyjął z wewnętrznej kieszeni długopis i mały notesik. Pisał w nim przez chwilę, a potem wyrwał kartkę i podał ją Croydowi. Następnie pogrzebał w kieszeni, znalazł klucz i położył go obok talerza rozmówcy.

— Ten adres jest położony jakieś pięć przecznic stąd — oznajmił. — Wynajęty pokój na parterze. Klucz pasuje do zamka. Zanieś je tam, zamknij drzwi i przyjdź do kiosku mnie zawiadomić.

Croyd znowu zaczął jeść.

— Zgoda — rzekł po chwili.

— W porządku.

— Ale o tej porze roku pewnie mają tam więcej niezidentyfikowanych ciał. No wiesz, menele, którzy zamazali na śmierć. Skąd mam wiedzieć, o którego chodzi?

— Dojdę do tego. To dzoker, tak? Nieduży. Może z metr pięćdziesiąt wzrostu. Przypomina wielkiego owada. Nogi składające się jak u pasikonika, szkielet zewnętrzny porośnięty odrobiną futra, dłonie o czterech palcach po trzy stawy w każdym, oczy z boku głowy, szczątkowe skrzydła na plecach...

— Rozumiem. Trudno go będzie pomylić ze standardowym modelem.

— Tak. Nie powinien też ważyć zbyt wiele.

Croyd skinął głową. Nagle usłyszał, że ktoś w przedniej części sali powiedział: „... pterodaktyl!”. Odwrócił głowę akurat na czas, by zobaczyć skrzydlatą sylwetkę przemykającą za oknem.

— Znowu ten dzieciak — odezwał się Jube.

— Ehe. Ciekawe, kogo tym razem nęka.

— Znasz go?

— Tak jakby. Pokazuje się od czasu do czasu. Można powiedzieć, że to fan asów. Tym razem przynajmniej nie wie, jak wyglądam. Tak czy inaczej, kiedy chcą dostać to ciało?

— Im prędzej, tym lepiej.

— Możesz mi powiedzieć, jak wygląda wnętrze kostnicy?

Jube skinął powoli głową.

— Tak. Budynek ma pięć pięter. Na górze są laboratoria, gabinety i tak dalej. Na parterze recepcja i taras widokowy. Ciała trzymają w piwnicy, gdzie są pokoje sekcyjne. Jest tam sto dwadzieścia osiem szafek na zwłoki plus lodówka z szufladami na ciała dzieci. Jeśli ktoś musi obejrzeć ciało celem identyfikacji, umieszczają je w specjalnej windzie, która przenosi je do pomieszczenia o szklanych ścianach, ulokowanego w poczekalni na pierwszym piętrze.

— Byłeś tam?

— Nie. Czytałem pamiętniki Milтона Helperna — odparł Jube.

— Trzeba przyznać, że masz bardzo szerokie wykształcenie. Pewnie też powinienem więcej

czytać.

— Za pięćdziesiąt kawałków można kupić mnóstwo książek.

Croyd się uśmiechnął.

— Zatem umowa stoi? — zapytał Jube.

— Daj mi się jeszcze chwilę zastanowić. Przy śniadaniu. Muszę się zorientować, jak właściwie działa mój talent. Potem przyjdę do twojego kiosku. Kiedy będę mógł odebrać te dziesięć tysięcy?

— Mogę je mieć dziś po południu.

— Dobra. Do zobaczenia za jakąś godzinę.

Jube skinął głową, podźwignął ciężkie cielsko i wysunął się z łoży.

— Uważaj na cholesterol — rzucił na pożegnanie.



Na szarej skorupie nieba pojawiły się niebieskie szczeliny i blask słońca zdołał się przebić na ulice. Skądś zza kiosku dobiegał szum ściekającej wody. Jube mógłby to uznać za przyjemny akompaniament do hałasu ruchu ulicznego oraz innych miejskich odgłosów, gdyby nie drobny dylemat moralny, który przyleciał na skórzastych skrzydłach i zepsuł mu ranek. Nie zdawał sobie sprawy, że podjął już decyzję, dopóki nie uniósł spojrzenia i nie zobaczył przed sobą uśmiechniętej twarzy Croyda.

— Nie ma sprawy — rzekł przybysz. — To będzie łatwe jak chleb z masłem.

Jube westchnął.

— Muszę ci powiedzieć coś jeszcze — rzekł.

— Jakież problemy?

— Nic, co by wpłynęło na warunki umowy — zapewnił Jube. — Ale możesz mieć nieprzewidziany kłopot.

— Jaki? — zapytał Croyd, marszcząc brwi.

— Ten pterodaktyl, którego widzieliśmy rano...?

— Tak?

— Dinochłopiec leciał do mnie. Spotkałem go, kiedy wróciłem. Szukał ciebie.

— Mam nadzieję, że nie powiedziałaś mu, gdzie mnie znaleźć.

— Nie. Tego bym nie zrobił. Ale wiesz, że on obserwuje wszystkich asów i najpotężniejszych dzokerów?

— Ehe. Dlaczego nie mógł się zainteresować sławnymi baseballistami albo zbrodniarzami wojennymi?

— Widział jednego, o którym chciał cię zawiadomić. Mówi, że John Diabeł Piękna Stopa wyszedł ze szpitala przed jakimś miesiącem, a potem zniknął wszystkim z oczu. Ale teraz wrócił. Dinochłopiec widział go nieopodal Cloisters Parku. Mówi, że kierował się do środkowej

części Manhattanu.

— Dobra. No i co z tego?

— Myśli, że on szuka ciebie. Chce rewanzu. Chłopiec uważa, że John nadal jest na ciebie wściekły za to, co mu zrobiłeś tego dnia, gdy zdemolowaliście Rockefeller Plaza.

— Niech sobie szuka dalej. Nie jestem już niskim, masywnie zbudowanym facetem o ciemnych włosach. Pójdę już po tego truposza, zanim ktoś przeniesie go w nowe miejsce.

— Nie chcesz pieniędzy?

— Już mi je dałeś.

— Kiedy?

— Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie po moim przyjściu tutaj?

— Przed jakąś minutą uniosłem wzrok i zobaczyłem, że stoisz tu uśmiechnięty i mówisz, że nie ma sprawy. Powiedziałeś, że to będzie łatwe jak chleb z masłem.

— Świetnie. A więc to działa.

— Lepiej mi to wyjaśnij.

— Chciałem, żebyś właśnie w tym punkcie zaczął wszystko pamiętać. Stałem już tu wtedy od dobrej minuty i namówiłem cię, żebyś dał mi pieniądze i o wszystkim zapomniał.

Wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni, otworzył ją i pokazał banknoty.

— Mój Boże, Croyd! Co jeszcze zrobiłeś przez tę minutę?

— Twoja cnota jest nietknięta, jeśli o to ci chodzi.

— Nie zadawałeś mi żadnych pytań o...?

Croyd potrząsnął głową.

— Już ci mówiłem, że nie obchodzi mnie, kto chce dostać to ciało i do czego jest mu potrzebne. Naprawdę nie lubię się mieszać w sprawy innych. Mam pod dostatkiem własnych problemów.

Jube westchnął.

— Dobra. W takim razie zrób to.

Croyd mrugnął znacząco.

— Nie martw się, Mors. Możesz uważać sprawę za załatwioną.



Croyd ruszył w drogę. Po chwili dotarł do supermarketu, wszedł do środka i kupił mały pakiet wielkich plastikowych toreb na śmieci. Złożył jedną z nich i schował w wewnętrznej kieszeni marynarki. Resztę zostawił w śmietniku. Potem dotarł do następnego dużego skrzyżowania i zatrzymał taksówkę.

Po drodze przez miasto przemyślał swój plan. Wejdzie do budynku i wykorzysta swą najnowszą moc, by przekonać portiera, że jest spodziewanym gościem, patologiem z Bellevue, wezwanym przez pracującego tu kolegę, jako konsultant w sprawie osobliwego przypadku.

Rozważał przez chwilę nazwiska Malone i Welby, ale w końcu zdecydował się na Anderson. Potem każe portierowi wezwać kogoś, kto będzie miał uprawnienia, by zaprowadzić go na dół i pomóc mu znaleźć niezidentyfikowane zwłoki. Zapanuje nad tą osobą, następnie znajdzie martwego dzokera i znalezione przy nim przedmioty, zapakuje wszystko do worka i wyjdzie, rozkazawszy przedtem wszystkim zapomnieć o jego odwiedzinach. To z pewnością łatwiejsze niż bardziej żmudne metody, do jakich musiał się odwoływać w minionych latach. Uśmiechnął się na myśl o klasycznej prostocie tego planu — żadnej przemocy, żadnych wspomnień...

Dotarli do budynku o wyłożonych aluminiowymi panelami ścianach, zbudowanego z niebieskich i białych glazurowanych cegieł, kazał taksówkarzowi jechać dalej i zatrzymać się przy następnym rogu. Przed budynkiem stały dwa radiowozy. Na ziemi leżały wyważone drzwi. Obecność policji w kostnicy nie wydawała się czymś szczególnie niezwykłym, ale wyważone drzwi skłaniały do zwiększonej ostrożności. Wręczył taksówkarzowi pięćdziesiąt dolarów i kazał mu zaczekać. Przeszedł raz obok kostnicy i zajrzał do środka. Było tam kilku policjantów, najwyraźniej rozmawiających z pracownikami.

To raczej nie był idealny moment na realizację jego planu. Z drugiej strony, nie mógł sobie pozwolić na to, by odejść, nie sprawdzwszy, co się stało. Dlatego zawrócił na rogu i ruszył z powrotem do kostnicy. Wszedł do środka bez wahania i rozejrzał się szybko wkoło.

Mężczyzna w cywilnym ubraniu stojący obok policjantów odwrócił się nagle i zaczął się na niego gapić. To nie spodobało się Croydowi nawet w najmniejszym stopniu. Poczuł, że żołądek mu opada, a dłonie go świerzbią.

Natychmiast sięgnął po swą nową moc i ruszył ku mężczyźnie, zmuszając się do uśmiechu.

Wszystko w porządku. Chcesz ze mną porozmawiać i zrobić to, co ci każe. Zamachaj do mnie ręką, powiedz głośno „Cześć, Jim!” i przejdź ze mną gdzieś na bok.

— Cześć, Jim! — zawołał mężczyzna, podchodząc do Croyda.

Nie!, pomyślał Judasz. Za szybko. Zauważył mnie, gdy tylko ja zauważyłem jego... możemy go wykorzystać...

— Po cywilnemu? — zapytał go Croyd.

— Tak — potwierdził mężczyzna, czując, że pragnie odpowiedzieć.

— Jak się nazywasz?

— Matthias.

— Co tu się wydarzyło?

— Skradziono ciało.

— Czyje?

— NN.

— Potrafisz je opisać?

— Wyglądało jak wielki owad. Nogi pasikonika...

— Cholera! — warknął Croyd. — A co z rzeczami denata?

— Nie miał nic przy sobie.

Kilku umundurowanych funkcjonariuszy zerkało w ich kierunku. Croyd wydał w myślach kolejny rozkaz i Matthias zwrócił się ku nim.

— Chwileczkę, chłopaki! — zawołał. — Muszę załatwić jedną sprawę.

Cholera!, pomyślał. Przydałby się nam. Nie możesz mnie tu trzymać bez końca, kolego...

— Jak do tego doszło? — zapytał.

— Jeden facet przyszedł tu jakiś czas temu, zszedł na dół, zmusił strażnika, żeby pokazał mu szafkę, wyjął z niej zwłoki i wyszedł z nimi.

— Nie próbowali go powstrzymać?

— Pewnie, że próbowali. W rezultacie czterech właśnie wiozą do szpitala. To był as.

— Który?

— Ten, który w zeszłym roku zdemolował Rockefeller Plaza.

— Piękna Stopa?

— Tak, to on.

Nie... Nie pytaj mnie o nic więcej... czy mam z tym coś wspólnego, czy ja go wynająłem, czy prowadzę teraz tajną operację...

— W którą stronę się oddalił?

— Na północny zachód.

— Na piechotę?

— Tak mówią świadkowie. Sadził wielkimi, dwudziestostopowymi susami.

Gdy tylko mnie uwolnisz, frajerze, użyj broni jądrowej.

— Hej, dlaczego się odwróciłeś, kiedy wszedłem do środka?

Cholera!

— Poczulem, że właśnie przyszedł as.

— Skąd o tym wiedziałeś?

— Sam jestem asem. Na tym właśnie polega moja moc. Wykrywam innych asów.

— To pewnie użyteczny talent dla gliny. Słuchaj uważnie. Teraz zapomnisz, że mnie widziałeś, i nie zauważysz, jak wychodzę. Podejdiesz do ulicznego źródła, żeby napić się wody, a potem wrócisz do kolegów. Jeśli ktoś cię zapyta, z kim rozmawiałeś, powiesz, że to był twój bukmacher, a potem o tym zapomnisz. Zrobisz to teraz. Za pomnij!

Croyd odwrócił się i odszedł. Judasz uświadomił sobie, że chce mu się pić.

Croyd wrócił do taksówki, wsiadł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Na północny zachód — powiedział.

— To znaczy gdzie? — zapytał kierowca.

— Proszę jechać w stronę górnej części Manhattanu. Będę panu mówił, gdzie skręcać.

— Pan jest tu szefem.

Samochód ruszył.

Przez następne półtora kilometra Croyd kazał taksówkarzowi jechać na zachód, wypatrując śladów pozostawionych przez drugiego asa. Wydawało się mało prawdopodobne, by John Diabeł korzystał z transportu publicznego, niosąc trupa. Z drugiej strony, niewykluczone, że miał współnika, który czekał na niego z samochodem. Biorąc pod uwagę jego hucpę, nie wydawało się jednak niemożliwe, że idzie z ciałem na piechotę. Wiedział, że ludzie nie mają większych szans go zatrzymać, jeśli nie zechce im na to pozwolić. Croyd westchnął, badając przestrzeń przed sobą. Dlaczego proste sprawy nigdy nie były łatwe?

— To jeden z tych cholernych dzokerów! — mruknął taksówkarz, gdy zbliżali się do Morningside Heights.

Croyd spojrział w kierunku wskazywanym przez mężczyznę. Przez kilka chwil można tam było zobaczyć sylwetkę pterodaktyla, który jednak zaraz zniknął za budynkiem.

— Za nim! — zawołał Croyd.

— Za tym skórzastym ptakiem?

— Tak jest!

— Nie jestem pewien, gdzie się podział.

— Niech pan go znajdzie!

Croyd zamachał mu przed twarzą kolejnym banknotem. Taksówka zawróciła z piskiem opon i głośnym sygnałem klaksonu. Ścigający obserwował niebo, ale Dino nadal był niewidoczny. Po chwili kazał zatrzymać taksówkę, by wypytać uprawiającego jogging mężczyznę. Ten wyjął z ucha zatyczkę, słuchał go przez chwilę, a potem wskazał ręką na wschód i odbiegł.

Po kilku minutach Croyd wypatrzył wreszcie kanciastą ptasią sylwetkę, zataczającą szerokie kręgi na północ od nich. Tym razem nie tracili z oczu Dinochłopca przez dłuższy czas i zdołali się do niego zbliżyć.

Gdy dotarli do okolicy, nad którą krążył pterodaktyl, Croyd kazał taksówkarzowi zwolnić. Na ziemi nadal nie było widać nic szczególnego, ale teren okrążany przez latającego gada obejmował kilka przecznic. Jeśli Dinochłopiec rzeczywiście ścigał Johna Diabła, ten musiał być blisko.

— Czego szukamy? — zapytał taksówkarz.

— Potężnie zbudowanego mężczyzny o rudej brodzie i kędzierzawych włosach, mającego dwie bardzo różne nogi. Prawa jest masywna, owłosiona i kończy się kopytem. Druga wygląda normalnie.

— Słyszałem coś o tym facecie. On jest niebezpieczny...

— Ehe. Wiem o tym.

— Co pan zamierza zrobić, gdy już pan go znajdzie?

— Liczyłem na rozsądny dialog — odparł Croyd.

— Nie zamierzam się zbliżyć do waszego dialogu. Gdy tylko go zobaczymy, zwiewam.

— Zapłacę, jeśli pan zaczeka.

— Dziękuję, nie skorzystam. Jeśli zechce pan wysiąść, wysadzam pana i znikam. To wszystko.

— Hmm... pterodaktyl leci na północ. Spróbujmy go wyprzedzić, a potem skręcimy na wschód w pierwszą dostępną ulicę.

Taksówkarz znowu przyśpieszył, przesuając się powoli w prawo, podczas gdy Croyd próbował określić, w którym punkcie znajduje się centrum zataczanych przez Dinochłopca kręgów.

— Następną ulica — odezwał się wreszcie. — Niech pan w nią skręci. Zobaczymy, co się stanie.

Ominęli powoli róg, a następnie okrążyli cały kwartał, ale Croyd nie zauważył ściganego asa ani nawet jego napowietrznego towarzysza. Jednakże przy następnym skrzyżowaniu skrzydlata sylwetka znowu się pojawiła i tym razem dostrzegł tego, kogo szukał.

John Diabeł znajdował się po przeciwnej stronie ulicy, w połowie drogi między przecznicami. W ramionach niósł spowite w całun zawiniątko. Bary miał potężne, a jego białe zęby błysnęły, gdy kobieta z wózkiem sklepowym zeszła mu pośpiesznie z drogi. Miał na sobie levisy, z prawą nogawką rozdartą wysoko na udzie, oraz różową bluzę, sugerującą, że odwiedził Disney World. Przejeżdżający obok kierowca uderzył bokiem swego pojazdu w zaparkowany samochód, gdy John postawił normalny krok lewą nogą, zgiął prawą pod dziwnym kątem i wykonał sześciometrowy sus na wolną przestrzeń przy krawężniku. Potem odwrócił się normalnym już krokiem i skoczył nad powoli jadącą czerwoną hondą na trawnik na wysepce pośrodku ulicy. Dwa wielkie psy, które za nim podążyły, podbiegły do krawężnika, szczekając głośno, ale zatrzymały się na widok ruchu ulicznego.

— Stój! — zawołał Croyd do kierowcy. Otworzył drzwi i wyszedł na chodnik, nim samochód zdążył się za trzymać. — Stopa! — zawołał, otaczając usta dłońmi. — Zaczekaj!

As zerknął tylko w jego kierunku, zginając nogę przed kolejnym skokiem.

— To ja, Croyd Crenson! Chcę z tobą pogadać!

Przypominająca satyra postać zatrzymała się przed skokiem. Przemknął nad nią cień pterodaktyla. Dwa psy nie przestawały szczekać. Zza rogu wyszedł biały pudełek i dołączył do nich. Na dwóch stojących na przejściu pieszych zatrąbił klakson. John Diabeł odwrócił się i przyjrzał mu. Potem potrząsnął głową.

— Nie jesteś Crenson! — zawołał.

Croyd ruszył ku niemu.

— Nie pierdziel! — zawołał. Przebiegł przez ulicę, docierając na wysepkę.

John Diabeł przymrużył oczy pod kosmatymi brwiami i przyjrzał się uważniej zbliżającemu się Croydowi. Powoli przygryzł dolną wargę górnymi zębami, a potem jeszcze wolniej potrząsnął głową.

— Nie — powtórzył. — Croyd miał ciemniejsze włosy i był dużo niższy. Co ty kombinujesz? Croyd wzruszył ramionami.

— Mój wygląd zmienia się dość regularnie — stwierdził. — Ale jestem tym samym facetem, który zeszłej jesieni skopał ci tyłek.

Piękna Stopa ryknął śmiechem.

— Spadaj, frajerze — burknął. — Nie mam czasu na rozmowy z fanami...

Obaj zacisnęli zęby, gdy obok zatrzymał się samochód, trąbiąc głośno. Przez okno wystawił głowę mężczyzna w szarym garniturze.

— Co tu się dzieje? — zapytał.

Croyd warknął, wyszedł na ulicę, oderwał tylny zderzak samochodu i umieścił go na tylnym siedzeniu przez okno, które do tej pory było zamknięte.

— Inspekcja samochodów — oznajmił. — Przeszedłeś ją. Gratuluję.

— Croyd! — zawołał Piękna Stopa, gdy samochód oddalił się pośpiesznie. — To ty! Rzucił swój bagaż na ziemię i uniósł pięści.

— Przez całą zimę czekałem na tę...

— To zaczekaj jeszcze trochę — przerwał mu Croyd. — Muszę cię o coś zapytać.

— O co?

— To ciało... Po co je zabrałeś?

Potęźnie zbudowany mężczyzna ponownie się roześmiał.

— Dla pieniędzy, oczywiście. Po co miałbym to robić?

— A czy możesz mi powiedzieć, ile ci zapłacili?

— Pięć tysięcy. Czemu pytasz?

— Skąpe skurwysyny — stwierdził Croyd. — Powiedzieli ci, do czego go potrzebują?

— Nie i nie pytałem ich, bo to nie mój interes. Forsa to forsa.

— Ehe — zgodził się Croyd. — A kim oni właściwie są?

— Czemu pytasz? Co ci do tego?

— No wiesz, uważam, że cię nabrali. Myślę, że to ciało jest warte więcej.

— Ile?

— Najpierw powiedz, kim są.

— To chyba jacyś masoni. To ile jest warte?

— Masoni? Mówisz o tajnych uściskach dłoni i tak dalej? Myślałem, że oni zajmują się tylko zarządzaniem drogich pogrzebów dla swoich członków. Po co im martwy dzoker?

Piękna Stopa potrząsnął głową.

— To dziwna banda — stwierdził. — Z tego, co wiem, całkiem możliwe, że chcą je zjeść. Hej, czy wspomniałeś coś o forsie?

— Myślę, że mógłbym dostać za nie więcej — zapewnił Croyd. — Przebiję ich ofertę o tysiąc. Co ty na to? Całe sześć tysięcy.

— No, nie wiem, Croyd... nie lubię oszukiwać ludzi, dla których pracuję. Wszyscy zaczną mówić, że nie można mi ufać.

— No dobra, mógłbym zaproponować siedem...

Obaj odwrócili się nagle, słysząc gwałtowne warknięcia i ujadanie. Psy — do których dołączyły dwa nowe — przeszły przez ulicę podczas ich rozmowy i wyciągnęły małe owadopodobne ciało z kałunu. Pękło na kilka części. Dog trzymał w zębach większą część ręki i cofał się, warcząc, przed owczarkiem niemieckim. Dwa inne zwierzaki oderwały jedną z pasikonikowatych nóg i gryzły się o nią. Pudełek był już w połowie jezdni, unosząc w pysku dłoń o czterech palcach. Croyd poczuł wyjątkowo paskudny odór, niezwiązany z nowojorskim powietrzem.

— Cholera! — zawołał John Diabeł i skoczył naprzód. Jego kopyto roztrzaskało chodnikową płytę w pobliżu trupa. Sięgnął po doga, ale ten odwrócił się i uciekł. Terier puścił nogę. Brązowy kundel nie. Biegł przez jezdnię w drugą stronę, ciągnąc za sobą kończynę.

— Ja wezmę rękę! Ty łap nogę! — zawołał John Diabeł, ruszając w pościg za dogiem.

— A co z dłonią? — wykrzyknął Croyd, próbując kopnąć kolejnego psa, który właśnie pojawił się na miejscu.

Odpowiedź Pięknej Stopy była przewidywalna, krótka i wysoce nieprawdopodobna anatomicznie. Croyd ruszył w pościg za brązowym psem.

Gdy zbliżył się do rogu, za którym zniknęło zwierzę, usłyszał serię rozpaczliwych pisków. Wpadł na boczną ulicę i zobaczył, że pies leży na grzbiecie, próbując kąsać pterodaktyla, który przywoździł go do chodnika. Urwana kończyna leżała w pobliżu. Croyd popędził ku niej.

— Dziękuję, Dino. Mam wobec ciebie dług — rzekł, sięgając po nogę. Zawahał się, wyjął z kieszeni chusteczkę i podniósł przez nią kończynę, trzymając ją z wiatrem od siebie.

Pterodaktyl zmienił płynnie kształt, przeradzając się w nagiego chłopca — może trzynastoletniego — o jasnych oczach i rozczochranych, ciemnych włosach, mającego na czole niewielkie znamię.

— Zdobyłem to dla ciebie, Croyd — oznajmił. — Śmierdzi jak diabli.

— To fakt, Dino. Muszę cię przeprosić. Teraz trzeba będzie go poskładać.

Zawrócił i pobiegł z powrotem w kierunku, z którego przybył. Usłyszał za sobą szybkie kroki.

— Po co ci to potrzebne? — zapytał chłopak.

— To długa, skomplikowana, nudna historia i lepiej, żebyś jej nie znał — odparł Croyd.

— Daj spokój. Możesz mi powiedzieć.

— Nie mam czasu. Śpieszy mi się.

— Czy będziesz znowu walczył z Johnem Diabłem?

— Nie mam takiego zamiaru. Wierzę, że możemy osiągnąć porozumienie bez uciekania się do przemocy.

— Ale jeśli będziecie walczyć, to jaką moc masz tym razem?

Croyd dotarł do rogu i skręcił w stronę wysepki. Zauważył, że szczątki szarpie teraz inny pies. Johna Diabła nigdzie nie było widać.

— Cholera! — wrzasnął na zwierzę. — Zmiataj stąd!

Pies nie zwracał na niego uwagi, ściągając warstwę futra z chitynowej powłoki. Croyd zauważył, że z rozdartej tkanki skapuje jakiś bezbarwny płyn. Szczątki wydawały się teraz wilgotne. Mężczyzna zorientował się, że płyny wypływają z otworów oddechowych w tułowiu.

— Zmiataj stąd! — powtórzył.

Pies warknął na niego, ale ten dźwięk nagle przeszedł w skomlenie. Zwierzę podkuliło ogon. Wysoki na metr tyranozaur przeskoczył obok Croyda, sycząc wściekle. Pies uciekł. Po chwili na jego miejscu stał Dino.

— Zwiewa z tym fragmentem — zauważył chłopak.

Croyd powtórzył komentarz Pięknej Stopy na temat dłoni i cisnął nogę na ziemię obok rozczłonkowanego ciała. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki torbę na śmieci i strzepnął ją.

— Jeśli chcesz mi pomóc, Dino, potrzymaj torbę, a ja wrzucę do środka to, co zostało.

— Dobra. Ależ to obrzydliwe.

— To brudna robota — zgodził się Croyd.

— No to czemu ją wykonujesz?

— Na tym właśnie polega dorosłość, Dino.

— Nie rozumiem.

— Trzeba poświęcać coraz więcej czasu na sprzątanie po własnych błędach.

Usłyszeli szybki, zbliżający się łoskot. Nad ich głowami przemknął jakiś cień. John Diabeł wylądował na ziemi tuż obok.

— Cholerny zwierzak zwiął — oznajmił. — Masz nogę?

— Ehe — potwierdził Croyd. — Jest już w worku.

— Świetny pomysł. Plastikowy worek. A kim jest ten nagi dzieciak?

— Nie znasz Dinochłopca? — zdziwił się Croyd. — Myślałem, że on zna wszystkich. Był pterodaktylem, który za tobą leciał.

— Po co?

— Lubię być tam, gdzie coś się dzieje — odparł Dino.

— Hej, a czemu nie jesteś w szkole? — zapytał Croyd.

— Szkoła to syf.

— Chwileczkę. Ja musiałem rzucić szkołę w dziewiątej klasie i nigdy już do niej nie wróciłem. Zawsze tego żałowałem.

— A czemu? Dobrze sobie radzisz.

— Ominęło mnie wiele rzeczy i teraz tego żałuję.

— Na przykład?

— Hmm... algebra. Nigdy nie nauczyłem się algebry.

— Na chuj komu algebra?

— Nie wiem i nigdy się nie dowiem, bo się jej nie nauczyłem. Czasami patrzę na ludzi na ulicy i mówię sobie: „Kurczę, założę się, że wszyscy znają algebrę”. Czuję się od tego gorszy.

— Ja nie znam algebry i za cholerę nie czuję się przez to gorszy.

— Tylko zaczekaj — odparł Croyd.

Dino uświadomił sobie nagle, że Croyd patrzy na niego dziwnie.

— Wrócisz teraz do szkoły — mówił mężczyzna — i przez cały dzień będziesz się przykładał, a wieczorem odrobisz pracę domową i będziesz z tego zadowolony.

— Szybciej będzie, jeśli polecę — zauważył Dino. Zmienił się w pterodaktyla, wykonał kilka podskoków i odleciał.

— Włóż po drodze jakieś ubranie! — zawołał za nim mężczyzna.

— Co tu jest grane, do licha?

Croyd odwrócił się i zobaczył umundurowanego policjanta, który właśnie przeszedł na wysepkę.

— Pierdol się w dupę! — warknął.

Gliniarz zaczął rozpinąć pas.

— Stój! Odwołuję to. Zapnij pas, zapomnij o tym i idź patrolować inną ulicę.

Mężczyzna wykonał polecenie. John Diabeł gapił się na to ze zdumieniem.

— Croyd, jak robisz takie rzeczy? — zapytał.

— Taka jest tym razem moja moc.

— To znaczy, że mógłbyś po prostu kazać mi oddać to ciało, prawda?

— Ehe. I dostanę je, tak czy inaczej. Ale nie mam dziś ochoty oszukiwać drugiego człowieka pracy. Moja propozycja nadal jest aktualna.

— Siedem tysięcy?

— Sześć.

— Powiedziałeś siedem.

— Tak, ale teraz ciało jest zdekompletowane.

— To twoja wina, nie moja. Ty mnie zatrzymałeś.

— Ale ty je położyłeś tam, gdzie mogły go osiągnąć psy...

— Skąd miałem... Hej, na rogu jest bar z grillem.

— Rzeczywiście.

— Czy możemy obgadać sprawę przy obiedzie i paru piwach?

— Skoro już o tym wspomniałeś, chętnie bym coś zjadł — zgodził się Croyd.



Usiedli za stolikiem przy oknie i postawili worek na pustym krześle. Croyd poszedł do ubikacji i umył kilka razy ręce, podczas gdy John Diabeł przyniósł dwa piwa. Kiedy wrócił, zamówił sześć kanapek. Piękna Stopa podążył za jego przykładem.

— Dla kogo pracujesz? — zapytał John.

— Nie wiem — przyznał Croyd. — Załatwiłem sprawę przez pośrednika.

— To skomplikowane. Ciekawe, po co im wszystkim ten truposz.

Croyd potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Oby tylko zostało z niego wystarczająco wiele, żeby dali mi forszę.

— To jeden z powodów, dla których jestem skłonny się dogadać. Myślę, że moja grupa chciała go dostać w lepszym stanie. Mogą spróbować mnie wycyckać. No wiesz, lepszy ptaszek w garści. Nie ufam im aż tak bardzo. To banda świrów.

— A czy miał coś przy sobie?

— Nic. Absolutnie nic.

Przyniesiono kanapki i obaj mężczyźni zaczęli jeść. Wkrótce Piękna Stopa zaczął zerkać co chwila na worek.

— Wiesz co, on tak jakby urósł — odezwał się wreszcie.

Croyd przyglądał się przez chwilę workowi.

— Po prostu fragmenty się przesuwiają — stwierdził.

Skończyli posiłek i zamówili jeszcze po piwie.

— Nie, do cholery! Jest teraz większy! — upierał się Piękna Stopa.

Croyd znowu spojrział w tamtą stronę. Worek zdawał się rosnać na jego oczach.

— Masz rację — przyznał. — To na pewno gazy pochodzące z... hmm... rozkładu.

Wyciągnął palec, jakby chciał wskazać na worek, ale powstrzymał się i opuścił rękę.

— To jak będzie? Siedem tysięcy?

— Myślę, że sześć to uczciwa cena. Pamiętaj, w jakim jest stanie.

— Ale oni wiedzieli, czego chcą. U nieboszczyków można się spodziewać podobnych rzeczy.

— To prawda, ale normalny truposz zniósłby to lepiej. Skąd miałem wiedzieć, że to szczególnie przypadek?

— Wystarczy na niego spojrzeć. Jest mały i kruchy.

— Kiedy go zabierałem, wyglądał całkiem solidnie. Może spotkamy się pośrodku? Sześć i pół tysiąca?

— No nie wiem...

Pozostali goście zaczęli spoglądać w ich kierunku. Worek robił się coraz większy. Obaj mężczyźni dopili piwo.

— Jeszcze po jednym?

— Czemu by nie?

— Kelner!

Kelner, który właśnie sprzątał niedawno zwolniony stolik, podszedł do nich, niosąc stos naczyń ze sztućcami.

— Czym mogę... — zaczął, lecz nagle ostrze sterczącego ze stosu naczyń noża przecięło rozdęty worek. — Mój Boże! — zakończył, gdy rozległ się syk. Odór mogący być połączeniem gazu kanałowego z wyziewami z rzeźni wypełnił najbliższą okolicę i wkrótce rozprzestrzenił się po całej sali niczym eksperymentalna broń chemiczna, która wyrwała się spod kontroli.

— Przepraszam — rzucił kelner i oddalił się po śpiesznie.

Po chwili goście wydali z siebie serię westchnień.

— Użyj swej mocy, Croyd! — wyszeptał John Diabeł. — Szybko!

— Nie wiem, czy dam radę wpłynąć na całą salę...

— Spróbuj!

Croyd skupił się na gościach.

Doszło do drobnego wypadku. To nic ważnego. Teraz o tym zapomnicie. Nie czujecie żadnego niezwykłego zapachu. Wróćcie do swych posiłków i nie patrzcie już w tę stronę. Nie zauważycie niczego, co będziemy robić. Tu nie ma czego oglądać. Ani wąchać.

Pozostali goście wrócili do swych posiłków i rozmów.

— Udało ci się — rzekł John Diabeł osobliwym tonem.

Croyd spojrzał na niego i zauważył, że Piękna Stopa zaciska nozdrza palcami.

— Rozlałeś coś? — zapytał.

— Nie.

— O kurczę. Słyszałeś to?

Piękna Stopa przechylił się w bok i pochylił nisko.

— Niech to szlag! — zawołał. — Torba się zapadła. Cały trup wycieka przez dziurę zrobioną przez kelnera. Hej, mój węch też zabij, dobra?

Croyd zamknął oczy i zazgrzytał zębami.

— Tak lepiej — usłyszał po paru chwilach. Piękna Stopa wyciągnął rękę i ustawił worek pionowo. Rozległ się plusk pomieszany z bulgotem.

Croyd spojrzał na podłogę i zobaczył wielką kałużę przypominającą rozlany gulasz. Zrobiło mu się niedobrze i odwrócił wzrok.

— I co chcesz teraz zrobić, Croyd? Zostawić ten syf i zabrać resztę czy co?

— Myślę, że jestem zobowiązany zabrać wszystko, co zdołam.

John Diabeł uniósł z uśmiechem jedną brew.

— No dobra. Jeśli dasz mi sześć i pół tysiąca, pomogę ci to jakoś zebrać do kupy.

— Umowa stoi.

— W takim razie zasłoń mnie, jeśli możesz, tak, żeby ludzie w kuchni nic nie widzieli.

— Spróbuję. A co chcesz zrobić?

— Zaufaj mi.

Piękna Stopa wstał, podał szczyt worka Croydowi i pokuśtykał do kuchni. Nie było go kilka minut, a kiedy wrócił, ręce miał pełne.

Odkręcił pokrywę wielkiego słoja po ogórkach i postawił go przy krześle.

— A teraz czy mógłbyś przechylić torbę tak, by dziura znalazła się nad słojem? — zapytał.

— Ja uniosę dno i razem przelejemy go do środka.

Croyd zrobił to. Słój wypełnił się dobrze ponad połowę, nim strumień się zatrzymał.

— I co teraz? — zapytał, zakręcając pokrywę.

Piękna Stopa wziął pierwszą z serwetek, które przyniósł ze sobą, i otworzył białą torebkę.

— Torby na niedojedzone resztki — wyjaśnił. — Załaduję w nie wszystkie stałe fragmenty z podłogi.

— I co potem?

— Mam też nową, ładną torbę na śmieci — wyjaśnił, pochylając się. — Wszystko powinno się w niej spokojnie zmieścić.

— Mógłbyś się pośpieszyć? — zapytał Croyd. — Nad własnym węchem nie potrafię zapanować.

— Ścieram tak szybko, jak mogę. Ale otwórz znowu słój, dobra? Wycisnę resztę ciała z serwetek.



Gdy rozlane szczątki zebrano już w szklanym słoju i dziewięciu papierowych torebkach, Piękna Stopa do końca rozerwał uszkodzony worek i wyjął z niego chitynowe płyty, które zostały w środku. Postawił słój na wklęsłej powierzchni płyty tułowiowej i włożył je razem do nowego worka, sypiąc na nie kawałki chrząstki oraz mniejsze fragmenty pancerza. Głowę i kończyny umieścił na wierzchu. Potem zapakował papierowe torebki i zwinął szczyt worka.

Croyd zdążył już wstać.

— Przepraszam — rzucił. — Wrócę za chwilę.

— Ja też tam pójde. Muszę się trochę umyć.

— Skoro już wszystko załatwiliśmy, chciałbym cię prosić o przysługę — odezwał się nagle John Diabeł, przekrzykując szum wody.

— Jaką? — zapytał Croyd, namydlając dłonie.

— No wiesz, nadal dziwnie się czuję w sprawie tych, którzy mnie wynajęli.

Croyd wzruszył ramionami.

— Nie można mieć wszystkiego — stwierdził.

— Niby dlaczego?

— Nie rozumiem.

— Dogoniłeś mnie, kiedy wracałem z ciałem. Przypuśćmy, że udamy się w umówione miejsce, to mały park w sąsiedztwie Cloisters, i opowiem im historyjkę o tym, że psy rozszarpały ciało i uciekły ze wszystkim. Każesz im w to uwierzyć, a potem zapomnieć, że byłeś ze mną. W ten sposób uwolnię się od podejrzeń.

— Dobra. Jasne — zgodził się Croyd, spryskując twarz wodą. — Mówisz „oni”. Ilu osób się spodziewasz?

— Tylko jednej albo dwóch. Facet, który mnie wynajął, nazywa się Matthias. Towarzyszył mu drugi. Był zupełnie czerwony. To on próbował mnie zainteresować masonami, dopóki Matthias nie kazał mu się zamknąć.

— To dziwne — stwierdził Croyd. — Spotkałem Matthiasa dziś rano. Był gliną. Tajniakiem. A co z tym czerwonym? Wygląda na to, że był asem, albo może dzokerem.

— Zapewne tak. Ale jeśli miał jakiś specjalny talent, nie ujawnił go.

Croyd wytarł twarz.

— Nagle zacząłem się niepokoić — przyznał. — No wiesz, ten gliniarz, Matthias, jest asem. Zbieżność nazwisk może być przypadkowa i mój talent pozwolił mi go nabrać, ale nie podoba mi się nic, co śmierdzi nadmiarem asów. Mogę trafić na kogoś, kto będzie odporny na to, co mam. Ta grupa... to nie może być związek masońskich asów, prawda?

— Nie mam pojęcia. Czerwony chciał, żebym przyszedł na jakieś spotkanie, ale powiedziałem mu, że nie lubię nigdzie należeć i musimy załatwić sprawę na miejscu albo zapomnieć o wszystkim. Dlatego wypłacili mi zaliczkę od ręki. Coś w sposobie mówienia tego czerwonego mi się nie spodobało.

Croyd zmarszczył brwi.

— Może powinniśmy po prostu o nich zapomnieć?

— Naprawdę lubię załatwiać wszystkie sprawy do końca, żeby mnie potem nie prześladowały — stwierdził Piękna Stopa. — Nie mógłbyś po prostu przyjrzeć się, kiedy będę z nim rozmawiał, i dopiero potem zdecydować?

— No dobra... już mówiłem, że to zrobię. Zapamiętałeś coś jeszcze z tego, co powiedzieli? O masonach, asach, ciele... o czymkolwiek?

— Nie... ale co to są feromony?

— Feromony? To jakby hormony, które się węża. Unoszące się w powietrzu związki chemiczne, które mogą na ciebie wpływać. Tachion kiedyś mi o nich opowiadał. Spotkałem kiedyś takiego dzokera. Jeśli usiadłeś w restauracji za blisko niego, wszystko, co jadłeś, miało

smak bananów. Tach powiedział, że to przez feromony. Co one mają do tego?

— Nie wiem. Kiedy przyszedłem, ten czerwony facet mówił coś o swojej żonie i feromonach. Ale nie powiedział już nic więcej.

— I to wszystko?

— Tak.

— W porządku. — Croyd zgniótł papierowy ręcznik i wyrzucił go do kosza. — Ruszajmy. Kiedy wrócili do stolika, Croyd odliczył pieniądze i wręczył je towarzyszowi.

— Proszę. Nie można powiedzieć, żebyś na nie nie zasłużył.

Popatrzył jeszcze na porzrzucone serwetki, brudną podłogę oraz pusty, wilgotny worek.

— Jak myślisz, co powinniśmy zrobić z tym syfem?

Piękna Stopa wzruszył ramionami.

— Kelnerzy się nim zajmą — odparł. — Są do tego przyzwyczajeni. Tylko pamiętaj zostawić dobry napiwek.



Gdy zbliżali się do parku, Croyd zwolnił, zostając z tyłu. Na ławce za wejściem siedziały dwie postacie i nawet z daleka łatwo było zauważyć, że twarz jednego z mężczyzn jest jaskrawoczerwona.

— I co? — zapytał John Diabeł.

— Spróbuję — odparł Croyd. — Udawajmy, że nie przyszliśmy razem. Ja pójdę przed siebie, a ty podejdź do nich i opowiedz im swoją historyjkę. Za jakąś minutę zawrócę i podejdę do was przez park. Spróbuję od razu się do nich zabrać. Ale bądź przygotowany. Jeśli tym razem się nie uda, możemy być zmuszeni uciec się do bardziej fizycznych środków.

— Kapuję. W porządku.

Croyd zwolnił kroku i Piękna Stopa go wyprzedził. Przeszedł przez ulicę i wkroczył na wysypaną żwirem ścieżkę prowadzącą do ławki. Croyd podszedł do rogu, przeszedł powoli ulicę i zawrócił.

Słyszał ich podniesione głosy, jakby się kłócili. Wszedł na ścieżkę i ruszył nieśpiesznie ku ławce, trzymając pakunek pod pachą.

— ...pierdolone bzdury! — Usłyszał głos Matthiasa.

Mężczyzna zerknął w jego stronę i Croyd uświadomił sobie, że to rzeczywiście policjant, którego niedawno spotkał. Na jego twarzy nie było śladów rozpoznania, ale Croyd był pewien, że talent powiedział mu, iż zbliża się as. W związku z tym...

— Panowie — zaczął, skupiając myśli — wszystko, co wam powiedział John Diabeł Piękna Stopa, jest prawdą. Ciało zniszczyły psy. Nie zostało nic, co mógłby wam wręczyć. Będziecie musieli spisać to na straty. Zapomnicie o mnie, gdy tylko...

Piękna Stopa uniósł nagle głowę, kierując wzrok gdzieś za jego plecy. Croyd odwrócił się

i spojrzął w tę samą stronę.

Zbliżała się młoda, niezbyt ładna Azjatka. Ręce trzymała w kieszeni płaszcza o kołnierzu postawionym dla ochrony przed wiatrem. Wiatr...

Wiatr się zmienił i dął teraz prosto na niego.

Coś w tej kobiecie...

Croyd nie przestawał się na nią gapić. Jak mógł myśleć, że jest nieładna? Jej uroda zapierała dech w piersiach. Pragnął, by się do niego uśmiechnęła. Pragnął ją objąć. Pragnął przesunąć dłońmi po jej ciele. Była najbardziej zachwycającą kobietą, jaką w życiu widział.

John Diabeł zagwizdał cicho.

— Popatrz na nią, dobra?

— Trudno na nią nie patrzeć — odparł.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Pragnął ją objąć.

— Cześć — powiedział jednak tylko.

— Chciałbym, żebyście poznali moją żonę, Kim Toy — odezwał się czerwonogęby mężczyzna.

Kim Toy! Nawet jej imię brzmiało jak muzyka...

— Powiedz mi, czego chcesz, a zdobędę to dla ciebie — powiedział do niej John Diabeł.
— Jesteś tak niezwykła, że aż strach.

Roześmiała się.

— Cóż za galanteria — stwierdziła. — Nie, nie chcę niczego. Nie teraz. Ale zaczekaj chwilę i może coś przyjdzie mi do głowy. Masz to? — zapytała męża.

— Nie. Psy to porwały — odparł.

Przechyliła głowę i uniosła brwi.

— To zdumiewające wydarzenie — stwierdziła. — A skąd o tym wiesz?

— Ci panowie nam powiedzieli.

— Naprawdę? — zdziwiła się. — Tak mu powiedzieliście?

John Diabeł skinął głową.

— A ten worek, który upuściłeś na mój widok? — zapytała. — Co może w nim być? Otwórz go, proszę, i pokaż mi.

— Oczywiście — zgodził się Croyd.

— Wszystko, czego zapragniesz — poparł go John Diabeł.

Obaj mężczyźni opadli przed nią na kolana i przez długą chwilę szarpali się bezskutecznie z workiem, nim wreszcie zaczęli rozwijać jego szczyt.

Croyd pragnął całować jej stopy, dopóki pozycja mu to umożliwiła, ale chciała zobaczyć, co jest w worku, i to naprawdę musiało mieć pierwszeństwo. Być może raczy go potem nagrodzić i...

Otworzył worek i otoczyły ich wyziewy. Kim Toy zakrztusiła się i natychmiast odsunęła. Czując ucisk w żołądku, Croyd uświadomił sobie, że kobieta nie jest już piękna, nie bardziej godna pożądania niż setka innych, które dzisiaj widział. Kącikiem oka zauważył, że John Diabeł przesunął się i zaczyna wstawać. W tej samej chwili Croyd uświadomił sobie, co spowodowało zmianę jego podejścia.

Gdy smród się rozproszył, od kobiety napłynęła kolejna fala uroku. Zacisnął zęby, pochylił głowę tuż nad wylotem worka i zaczerpnął głęboki oddech.

Jej uroda umarła w mgnieniu oka. Przywołał swoją moc.

Tak jak mówiłem, ciało uległo zniszczeniu. Rozszarpały je psy. John Diabeł zrobił, co tylko mógł, ale nie zostało nic, co mógłby wam przekazać. Teraz sobie pójdziemy. Zapomnicie, że byłem tu z nim.

— Chodźmy! — warknął do Johna Diabła, wstając na nogi.

Piękna Stopa potrząsnął głową.

— Nie mogę opuścić tej pani, Croyd — odparł. — Prosiła, żebym...

Croyd pomachał mu przed twarzą otwartym workiem. John Diabeł otworzył szeroko oczy. Zakrztusił się. Potrząsnął głową.

— Chodźmy! — powtórzył Croyd. Przerzucił sobie worek przez ramię i zerwał się do sprintu.

Piękna Stopa wykonał potężny skok i wylądował trzy metry przed nim.

— Niesamowite, Croyd! Niesamowite! — oznajmił, gdy przechodzili przez ulicę.

— Teraz wiesz wszystko o feromonach — powiedział mu Croyd.



Niebo znowu całkowicie przesłoniły chmury. Wiatr niósł niewielkie obłoczki śniegu. Croyd rozstał się z Piękną Stopą pod innym barem i ruszył w dalszą drogę na piechotę. Regularnie przeszukiwał wzrokiem ulice, wypatrując taksówki, ale żadna się nie pojawiła, a nie chciał narażać swego bagażu na ścisk w autobusie albo w metrze.

Minął kilka kolejnych przecnic. Śnieg sypał coraz gęściej i zerwał się też porywisty wiatr, sypiący płatkami o ściany budynków. Kierowcy w jadących ulicą samochodach zaczęli włączać światła. Croyd uświadomił sobie, że widoczność pogorszyła się i nie rozpozna taksówki, nawet gdyby przejechała tuż obok. Zaklął i powlókł się dalej, przyglądając się sąsiednim budynkom w poszukiwaniu baru albo restauracji, gdzie mógłby wypić filiżankę kawy i poczekać na koniec śnieżycy albo wezwać taksówkę. Najwyraźniej jednak mijał tylko biurowce.

Po kilku minutach płatki stały się mniejsze i twardsze. Uniósł wolną rękę, by osłonić oczy. Nagły spadek temperatury mu nie przeszkadzał, ale grudki lodu tak. Schował się w najbliższej luce, jaką znalazł — w zaułku — i pochylił z westchnieniem barki, gdy siła wiatru osłabła.

Tak lepiej. Tutaj śnieg nie sypał tak intensywnie. Strzepnął go z marynarki i z włosów; tupnął kilka razy, by oczyścić buty. Rozejrzał się wkoło. W murze po lewej była wnęka, odległa o kilka

kroków i ulokowana kilka stopni nad poziomem ulicy. Wyglądała na całkowicie osłoniętą i suchą. Ruszył w jej stronę.

Gdy tylko postawił stopę na pierwszym stopniu, uświadomił sobie, że jeden kąt pudełkowatej niszy, pod zamkniętymi metalowymi drzwiami, jest już zajęty. Między dwiema torbami na zakupy siedziała tam blada kobieta o zwisających w strąkach włosach. Spowijały ją niezliczone warstwy ubrania sprawiające, że wyglądała na grubą. Gapiła się w pustkę.

— ...więc Gladys mówi Marty'emu, że wie o tej kelnerce od Jensena, z którą się spotykał...
— mamrotała kobieta.

— Przepraszam — odezwał się Croyd. — Czy mogę skorzystać z części tego wejścia? Śnieg sypie naprawdę paskudnie.

— ...powiedziałam jej, że i tak może zająć w ciężę, nawet jeśli karmi, ale ona mnie wyśmiała. Croyd wzruszył ramionami i wszedł do niszy, zmierając ku przeciwległemu kątowi.

— ...kiedy się dowiaduje, że następne jest w drodze, bardzo się denerwuje — ciągnęła kobieta — zwłaszcza że Marty wyprowadził się już do swojej kelnerki...

Przypomniał sobie załamanie, które przeżyła jego matka po śmierci ojca, i poczuł w piersi lekkie dotknięcie smutku na widok tego oczywistego przykładu starczej demencji. Ale...

— zastanowił się. Czy ta nowa moc, umiejętność wpływania na tok myśli innych, mogłaby wywrzeć terapeutyczne działanie na kogoś takiego? Mógł tu spędzić trochę czasu. Być może...

— Posłuchaj — powiedział do kobiety. Myślał jasno i prosto, skupiając się na obrazach.
— Jesteś tutaj, w terażniejszości. Siedzisz w wejściu i patrzysz na śnieg...

— Ty skurwysynu! — wrzasnęła kobieta. Jej twarz nie była już blada, a ręce pomknęły ku jednej z toreb. — Pilnuj swojego nosa! Nie chcę terażniejszości i śniegu! To boli!

Otworzyła torbę i wypełniająca ją ciemność rozszerzyła się gwałtownie. Pomknęła ku Croydowi i wypełniła całe jego pole widzenia, pociągnęła go nagle w kilku różnych kierunkach, szarpnęła nim i...

Kobieta została sama w zaułku. Zamknęła torbę i przez chwilę gapiła się na śnieg, a potem znowu zaczęła mówić:

— ...więc mówię jej: „Mężczyźni nie zawsze śpieszą się z płaceniem na dzieci. Czasami trzeba się odwołać do prawa. Ten miły młodzieniec z pomocy prawnej powie ci, co trzeba zrobić”. A wtedy Charlie, który pracował w pizzerii...



Croyda bolała głowa. Nie był przyzwyczajony do tego wrażenia. Nigdy nie miewał kaca, bo za szybko metabolizował alkohol, ale wyobrażał sobie, że tak właśnie człowiek się wówczas czuje. Potem sobie uświadomił, że plecy, nogi i pośladki ma mokre. Leżał na czymś zimnym i wilgotnym. Postanowił otworzyć oczy.

Widoczne między budynkami niebo było bezchmurne i ciemne. Pojawiło się już trochę

najjaśniejszych gwiazd. Śnieg przestał padać. Popołudnie minęło. Usiadł. Co się stało z kilkoma ostatnimi godzinami i...

Widział puszkę na śmieci. Widział mnóstwo pustych butelek po whisky i winie. Był w zaułku, ale...

To nie był ten sam zaułek. Budynki były tu niższe i w tamtym nie zauważył pojemnika na śmieci. Nie mógł też zlokalizować wejścia, w którym siedziała staruszka.

Pomasował skronie i poczuł, że pulsujący ból słabnie. Staruszka... czym, do diabła, było to czarne cholerstwo, którym go zaatakowała, gdy próbował jej pomóc? Wyjęła przedmiot z jednej ze swoich toreb i...

Torby! Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu własnego worka, w którym starannie umieścił szczątki maleńkiego niezidentyfikowanego nieboszczyka. Zobaczył, że nadal trzyma go w prawej ręce, ale worek jest odwrócony na lewą stronę i rozerwany.

Wstał i przeszukał wzrokiem okolicę w bladym świetle odległej latarni. Zobaczył rozsypane wokół papierowe torebki i policzył je. Dziewięć. Tak jest. Widział wszystkie i teraz zobaczył również głowę i tułów — choć ten ostatni rozpadł się na cztery części, a głowa błyszczała — być może od wilgoci. Słój! Gdzie się podział? Płyn mógł być bardzo ważny dla tych, którzy byli gotowi zapłacić za ciało. Jeśli słój pękł...

Zakrzyknął krótko, ujrawszy, że słój stoi prosto w cieniu pod ścianą po lewej. Brakowało przykrywki oraz około trzech centymetrów szkła poniżej. Podeszedł bliżej i odór uświadomił mu, że to autentyczny płyn, a nie tylko deszczówka.

Zebrał papierowe torebki, które wydawały się zaskakująco suche, i ustawił je na osłoniętym parapecie zakratowanego okna piwnicy. Potem ułożył chitynowe fragmenty na stosie obok nich. Znalazłszy nogi, zauważył, że obie są złamane, doszedł jednak do wniosku, że dzięki temu łatwiej je będzie zapakować. Następnie przeniósł uwagę na słój o utraconej górze i się uśmiechnął. Jakie to proste. Miał rozwiązanie przed oczami. Przynieśli je tu odwiedzający zaułek menele.

Zebrał naręczne pustych butelek i ustawił je na ziemi obok słoja, a potem zaczął wyciągać korki i zdejmować zakrętki. Następnie przystąpił do przelewania ciemnego płynu.

Potrzebował ośmiu butelek różnych rozmiarów. Na koniec ustawił je na parapecie obok torebek, nad niewielkim kopcem z fragmentów szkieletu zewnętrznego i chrząstki. Miał wrażenie, że za każdym razem, gdy je wydobywał, szczątków ubywało. Może miało to coś wspólnego z tym, jak je podzielili. Może trzeba było znać algebrę, by to zrozumieć.

Croyd wrócił do puszkę, otworzył klapę i niemal natychmiast się uśmiechnął. Pod ręką miał długie kawałki bożonarodzeniowych wstążek. Wyciągnął kilka i wsadził do kieszeni. Zajrzał do środka. Jeśli były tam wstążki, to...

Usłyszał odgłos szybkich kroków, który zbliżył się, a potem oddalił. Odwrócił się, unosząc

ręce w obronnym geście, ale w pobliżu nie było nikogo. Potem go zauważył. Niski mężczyzna w o kilka numerów za dużym płaszczu zatrzymał się na chwilę przy parapecie, porwał jedną z większych butelek i dwie papierowe torebki, a potem pobiegł ku wylotowi zaułka, gdzie czekało dwóch kolejnych obdartusów.

— Hej! — zawołał Croyd. — Stój!

Sięgnął ku niemu swą mocą, ale menel był już za daleko.

Usłyszał tylko śmiech i krzyk:

— Dziś będziemy się bawić, chłopaki!

Croyd wyciągnął z westchnieniem z puszkii wielki plik czerwono-zielonego świątecznego papieru pakowego i wrócił do parapetu, by zapakować resztki szczątków.

Przeszedłszy kilka przecznic z jaskrawą paczką pod pachą, minął bar o nazwie „The Dugout” i zorientował się, że jest w Greenwich Village. Zmarszczył na moment czoło, ale potem zauważył taksówkę i zatrzymał ją. Wszystko było w porządku. Nawet ból głowy ustąpił.



Jube uniósł wzrok i zobaczył uśmiechającego się do niego Croyda.

— I jak... i jak poszło? — zapytał.

— Zadanie wykonane — odparł Croyd, podając mu klucz.

— Masz go? W wiadomościach mówili coś o Pięknej Stopie...

— Mam.

— A jego rzeczy?

— Nie miał żadnych.

— Jesteś tego pewien?

— Absolutnie. Nie miał nic przy sobie. Jest w wannie.

— Co?

— Nie bój się, zamknąłem spływ.

— Nie rozumiem.

— Moja taksówka miała po drodze wypadek. Część butelek pękła. Uważaj na szkło, kiedy będziesz go rozwijał.

— Butelki? Potłuczone szkło?

— Był w... zredukowanym stanie. Ale przyniosłem ci wszystko, co zostało.

— Zostało?

— Co można było odzyskać. Można powiedzieć, że się rozleciał i trochę też stopił. Ale większą część udało mi się uratować. Cały jest owinięty w błyszczący papier i przewiązany czerwoną wstążką. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— Ehe... W porządku, Croyd, wygląda na to, że zrobiłeś, co mogłeś.

Jube podał mu kopertę.

— Postawię ci kolację w Wieży Asów, gdy tylko wezmę prysznic i włożę nowe ubranie
— obiecał Croyd.

— Nie, dziękuję. Mam... mnóstwo roboty.

— Jeśli idziesz do mieszkania, weź jakiś środek odkażający.

— Ehe... jak rozumiem, były trudności?

— Nawet najmniejszych.

Croyd oddalił się, pogwizdując. Ręce trzymał w kieszeniach. Jube gapił się na klucz. Gdzieś w oddali zegar wybijał godzinę.



Do szóstej generacji

WALTER JON WILLIAMS

Część pierwsza

Zimny deszcz stukał o świetliki. Mżawka wreszcie uciszyła Świętego Mikołaja z Armii Zbawienia stojącego na rogu i Maxim Travnicek cieszył się z tego. Hałas ciągnął się całymi dniami. Mężczyzna zapalił rosyjskiego papierosa i sięgnął po butelkę sznapsa.

Wyjął z kieszeni marynarki okulary do czytania i zerknął na kontrolki generatora pola strumieniowego. Był straszliwie wysokim, przystojnym na zimny sposób mężczyzną o orlim nosie. Dawni koledzy z MIT zwali go „czechosłowacką odpowiedzią na Victora Frankensteina”. To określenie ukuł inny profesor, Bushmill, który później został dziekanem i przy pierwszej okazji wywalił Travnicka.

— Kurwa twoja mać, Bushmill — skwitował Travnicek po słowacku i pociągnął łyk sznapsa z butelki. — I twoja też, Victorze Frankenstein. Kurwa, gdybyś miał choć najbledsze pojęcie o programowaniu, nie wpakowałbyś się w kłopoty.

Porównanie z Frankensteinem zabolowało go. Wizja pechowego rezurekcyjisty nie przestawała go prześladować. Pierwszą akademicką pozycję na zachodzie uzyskał w Ingolstadt, na Alma Mater Frankensteina. Nienawidził każdej minuty czasu spędzonego w Bawarii. Nigdy nie przepadał za Niemcami, a tym bardziej nie chciał się na nich wzorować. To mogło tłumaczyć, dlaczego wylano go po pięciu latach.

Teraz, po Ingolstadt, MIT i Texas A&M University, pozostał mu tylko ten loft. Całymi tygodniami żył w transie, karmiąc się jedzeniem z puszek, nikotyną oraz spidem, tracąc poczucie upływu czasu najpierw na godziny, a potem na całe dni. Jego rozgorączkowany mózg wypełniała nieustanna eksplozja pomysłów, koncepcji i metod. Na poziomie świadomości Travnicek ledwie wiedział, skąd to wszystko się bierze. W takich chwilach wydawało mu się, że coś ukrytego głęboko w jego komórkowej strukturze przemawia do świata za pośrednictwem jego ciała i umysłu, pomijając świadomość i osobowość...

Zawsze tak to wyglądało. Gdy jakiś projekt stawał się jego obsesją, wszystko inne przestawało się liczyć. Prawie nie potrzebował snu; temperatura jego ciała podlegała szaleńczym fluktuacjom. Myśli stawały się szybkie i ukierunkowane, prowadziły go pewnie do celu. Czytał kiedyś, że u Tesli wyglądało to tak samo — kierował nim duch, anioł czy demon nieróżniący się

od tego, który obecnie przemawiał przez Travnicka.

Jednakże teraz, późnym rankiem, trans wreszcie się skończył. Robota była wykonana. Nie był pewien, jak do tego doszedł. Później będzie musiał sprawdzić wszystko kawałek po kawałku i ustalić, co właściwie osiągnął. Podejrzał, że ma tu kilka solidnych patentów, które na całe życie uczynią go bogatym. Na to jednak przyjdzie czas później. Travnicek wiedział, że euforia wkrótce minie i nadejdzie zmęczenie. Musi przedtem ukończyć projekt. Pociągnął kolejny łyk sznapsa i rozejrzał się z uśmiechem po długim, przypominającym stodołę wnętrzu loftu.

Oświetlał je szereg jarzeniówek o zimnym blasku. Na stołach własnej roboty stało mnóstwo form, kadzi, wypalarek do CD oraz mikrokomputerów. Na podłodze z płyt preszpanowych wały się papiery, puszki po konserwach i odgaszone pety. Do krokwi przypięto powiększenia obrazów Leonarda przedstawiających anatomię mężczyzny.

Do stołu na końcu pomieszczenia przypięto pasami wysokiego, nagiego faceta. Na całym ciele nie miał ani jednego włoska i sklepienie jego czaszki było przezroczyste, ale poza tym wyglądał jak wyjęty z jednej z lepszych wizji Leonarda.

Mężczyznę łączyły z resztą sprzętu grube elektryczne przewody. Oczy miał zamknięte.

Travnicek przesunął gałkę na swym maskującym kombinezonie. Nie mógł sobie pozwolić na ogrzewanie całego loftu, nosił więc elektryczny kombinezon stworzony po to, by uchronić przed zimnem tęgich myśliwych czatujących na kaczki. Zerknął na świetliki. Deszcz słał. To dobrze. Nie potrzebował tanich teatralnych efektów jak Victor Frankenstein, jego gromów i błyskawic.

Poprawił krawat, jakby stał przed niewidzialnym audytorium — odpowiedni ubiór był dla niego ważny i dlatego nosił pod kombinezonem garnitur z krawatem — a potem nacisnął guzik uruchamiający generatory pola strumieniowego. Loft wypełniło ciche buczenie, powodujące głęboką wibrację podłogi. Jarzeniówki na suficie przygasły i zamigotały. Połowa z nich zgasła. Buczenie przeszło w pisk. Na krokwiach zatańczyły ognie świętego Elma. Powietrze wypełniła woń elektryczności.

Jakby z oddali, uszu Travnicka dobiegł regularny łoskot. To kobieta z mieszkania na dole waliła w sufit miotłą.

Pisk osiągnął maksimum. Ultradźwięki sprawiły, że stoły robocze w lofcie zatańczyły, a w całym budynku pękały naczynia. W mieszkaniu kobiety implodował telewizor. Travnicek przestawił kolejny przełącznik. Po nosie spływały mu krople potu.

Android na stole drżał, gdy do jego ciała napływała moc z generatorów. Stół świecił od ognia świętego Elma. Travnicek przegryzł kartonowy ustnik papierosa. Tłący się koniec upadł niepostrzeżenie na podłogę.

Dźwięk generatorów zaczął cichnąć, ale łoskot uderzeń miotły nie. Dołączyły do niego groźby.

— Zapłacisz za mój telewizor, skurwysynu!

— Wsadź sobie tę miotłę w dupę, kochanie — odparł Travnicek po niemiecku. Ten język najlepiej się nadawał do skatologicznych rozmów.

Oszołomione jarzeniówki znowu zamigotały.

Surowe ryciny Leonarda patrzyły z góry na androida, gdy ten otworzył ciemne oczy. Migotanie lamp powodowało stroboskopowy efekt, nadający białkom oczu nierealny wygląd. Głowa się obróciła, oczy ujrzały Travnicka, a potem skupiły się na nim. Pod przezroczystą kopułą czaszki zawirował srebrny talerz. Stukot miotły ucichł.

— Jak się czujesz? — zapytał Travnicek, podchodząc do stołu.

— Wszystkie monitorowane systemy funkcjonują.

Android miał niski głos i mówił po angielsku z amerykańskim akcentem.

Travnicek uśmiechnął się i wypluł reszkę papierosa. Przed rozpoczęciem prac włączył się do komputera w laboratoriach badawczych AT&T i ukradł program modelujący ludzką mowę. Może którego dnia zapłaci Mamie Bell tantiemy.

— Kim jesteś? — zapytał.

Android z namysłem przeszukał wzrokiem loft.

— Jestem Modułowy — odparł rzeczowym tonem. — Wieloczynnościowa, wielozadaniowa inteligencja maszynowa szóstej generacji, elastycznie reagujący system zaczepno-obronny, zdolny do niezależnej akcji, gdy jest wyposażony w najnowocześniejszą broń.

— Pentagon będzie zachwycony — stwierdził z uśmiechem Travnicek. — Jakie rozkazy ci wydano? — dodał.

— Mam być posłuszny swemu twórcy, doktorowi Maximowi Travnickowi. Strzec jego tożsamości i dobrego samopoczucia. Poddać próbie siebie i swoje wyposażenie w walce z wrogami społeczeństwa. Uzyskać w ten sposób maksymalne poparcie dla przyszłej firmy Projekt Modułowy. Bronić własnego istnienia i dobrego samopoczucia.

Travnicek uśmiechnął się promiennie do swego dzieła.

— Ubranie i moduły znajdziesz w szafce. Weź je, zabierz broń i idź poszukać wrogów społeczeństwa. Wróć przed zachodem słońca.

Android zszedł ze stołu i podszedł do metalowej szafki. Otworzył szeroko drzwiczki.

— Dematerializujące pole strumieniowe — odezwał się, zdejmując z półki wkładalne urządzenie. Pozwalało mu ono kierować jego własnymi generatorami tak, by obracać lekko ciało poza płaszczyznę istnienia, co z kolei pozwalało mu przechodzić przez litą materię. — Lot, maksymalnie tysiąc trzysta kilometrów na godzinę. — Sięgnął po kolejny element, pozwalający generatorom pola strumieniowego manipulować grawitacją oraz inercją i w ten sposób powodować lot. — Radioodbiornik nastawiony na częstotliwości używane przez policję — ciągnął, sięgając po kolejny moduł.

Android przesunął palcem w dół piersi. Otworzył się niewidzialny szew. Odsunął na boki

syntetyczne ciało oraz metalową płytę piersiową, odsłaniając wnętrze. Miniaturowy generator pola strumieniowego otaczała delikatna aura ogni świętego Elma. Android włożył moduły w swój metalowy szkielet i zamknął pierś. Na policyjnym paśmie trwała intensywna wymiana zdań.

— Doktorze Travnicek — rzekł android. — Policyjne radio melduje o pilnej sytuacji w zoo w Central Parku.

Travnicek zachichotał.

— Świetnie. Pora na twój debiut. Zabierz broń. Może uda ci się zrobić komuś krzywdę.

Android włożył rozciągliwy granatowy kombinezon.

— Mikrofalowe działo laserowe — powiedział. — Miotacz granatów z gazem usypiającym. Magazynek zawierający pięć granatów.

Rozpiął dwa szwy kombinezonu i na odsłoniętych barkach otworzyły się, najwyraźniej spontanicznie, dwa kolejne gniazda. Wyjął z szafki dwie długie rury. Na ich dolnych powierzchniach ulokowano wyrostki, które android umieścił w gniazdach na swoich barkach. Potem cofnął ręce. Lufy działa obróciły się, celując we wszystkich możliwych kierunkach.

— Cały modułowy sprzęt funkcjonuje prawidłowo — oznajmił android.

— Zabieraj stąd swoją kopułę.

Rozległo się skwierczenie, któremu towarzyszyła lekka woń ozonu. Obraz androida zamazał się pod wpływem pola strumieniowego. Modułowy uniósł się w górę i uleciał przez sufit. Travnicek gapił się przez chwilę na miejsce, przez które tamten przeniknął, a potem uśmiechnął się i wznosił butelkę w toaście.

— Współczesny Prometeusz — rzekł. — Dobre sobie.



Android mknął po spirali ku niebu. Elektrony przepływały przez jego umysł jak krople deszczu przenikające przez jego niematerialne ciało. Empire State Building wbijał się w chmurę niczym włócznie w stylu art déco. Modułowy znowu stał się materialny — pole zbyt szybko wyczerpywało zasoby mocy, by mógł go używać bez potrzeby. Krople deszczu tłukły o kopułę jego radaru.

Systemy eksperckie mknęły po makroatomowych łączach. Podprogramy stworzone na podobieństwo ludzkiego rozumowania i wyposażone w ograniczoną zdolność autokorekty przebudowywały się, by osiągnąć większą wydajność. Travnicek był genialnym programistą, ale brakowało mu staranności i jego programy były bardziej skomplikowane i dygresyjne niż to konieczne. Android edytował w locie język swego twórcy i czuł, że jego wydajność rośnie. Jednocześnie kontemplował program, który czekał w jego wnętrzu. Nazywał się on ETCETERA, zajmował bardzo dużo miejsca i był abstrakcyjną, chaotyczną, wymyślną próbą opisu ludzkiego charakteru.

Najwyraźniej Travnicek chciał, by android konsultował się z tym programem, gdy zderzy się z problemami ludzkiej motywacji. ETCETERA była za duża i źle skonstruowana, a sam język pełen dodanych później elementów oraz pozornych sprzeczności. Gdyby używano go tak, jak zamierzał Travnicek, program byłby stosunkowo mało wydajny. Android wiedział, że ETCETERA byłaby znacznie bardziej użyteczna, gdyby ją podzielił na podprogramy i włączył je do części głównego oprogramowania mającej zarządzać kontaktami z ludźmi. To zwiększyłyby wydajność.

Postanowił, że przeprowadzi tę zmianę. Przeanalizował program, podzielił go i dodał do głównego oprogramowania.

Gdyby był człowiekiem, zachwiałby się, być może nawet utracił kontrolę nad ruchami. Był jednak androidem i nadal zmierzał wyznaczonym kursem, mimo że jego umysł gorzał niczym miniaturowa nowa pod naporem zakodowanych ludzkich doświadczeń. Jego obraz świata zewnętrznego, skomplikowany dla człowieka i złożony z podczerwieni, światła widzialnego, ultrafioletu oraz obrazów radaru, wyblakł w porównaniu z potężną falą ludzkich namiętności. Miłość, nienawiść, żądza, zawiść, strach, transcendencja... wszystko to wyszywało w umyśle androida elektryczny, analogowy wzór.

Jego umysł płonął, ale on leciał przed siebie, zwiększając prędkość, aż wreszcie uszy wypełniło mu zawrodoenie wiatru. Włączyły się czujniki podczerwieni. Lufy na jego ramionach obróciły się, oddając próbne strzały ku niebu. Jego radar badał otoczenie, dotykając dachów, ulic oraz ruchu ulicznego. Maszynowy umysł Modułowego porównywał uzyskane w ten sposób obrazy z wcześniejszymi, szukając różnic.

Z radarowym obrazem Empire State Building z pewnością coś było nie w porządku. Po ścianie wieżowca wspinał się wielki obiekt. Wokół złotej iglicy najwyraźniej krążyło też kilka mniejszych, wielkości ludzi. Android porównał ten fakt z informacjami zawartymi w jego plikach, po czym zmienił kurs.

Z wysiłkiem zapanował nad chaosem wypełniającym jego umysł. To nie była odpowiednia chwila.

Na gmach wdrapywała się mała o wysokości prawie czternastu metrów, ta sama, którą według plików androida trzymano w zoo w Central Parku, odkąd odkryto ją, gdy wałęsała się po okolicy podczas wielkiej awarii nowojorskiej w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Z jej nadgarstków zwisały zerwane okowy. W jednej pięści trzymała blondynkę. Wokół krążyli latający ludzie. Gdy android przybył na miejsce, tłum latających asów zrobił się gęsty. Krążyli niczym małe elektrony wokół włochatego, warczącego jądra. W powietrzu unosiły się dźwięki rakiet, skrzydeł, pól siłowych, śmigieł, a również bekania. W stworzenie celowano z pistoletów, różdżek, emiterów oraz innych, trudniejszych do zidentyfikowania broni. Nikt jednak nie strzelał.

Małpa z kretyńską determinacją kontynuowała wspinaczkę. Szyby w oknach pękały, gdy wsadzała do środka palce nóg. Z wnętrza budynku dobiegały odległe krzyki strachu.

Android wyrównał prędkość z kobietą wyposażoną w szpony, pióra oraz skrzydła o rozpiętości ponad trzech metrów. Jego pliki sugerowały, że nazywa się Sokolica.

— To jego druga ucieczka w tym roku — poskarżyła się kobieta. — Zawsze porywa blondynkę i zawsze wspina się na Empire State Building. Dlaczego blondynkę? Chciałabym to wiedzieć.

Android zauważył, że skrzydlata kobieta ma błyszczące, brązowe włosy.

— Dlaczego nikt nic nie robi?

— Gdybyśmy go zastrzelili, mógłby zmiażdżyć dziewczynę — wyjaśniła Sokolica. — Albo ją wypuścić. Z reguły Wielki i Potężny Żółw po prostu wyrywa ją szympansovi z palców i ląduje z nią na ziemi, a potem ktoś próbuje ogłuszyć małpiszona. On się regeneruje, więc nie możemy wyrządzić mu trwałej szkody. Ale tym razem Żółwia tu nie ma.

— Chyba już rozumiem, w czym problem.

— Hej, swoją drogą, co ci się stało w głowę?

Zamiast odpowiedzieć, android włączył pole dematerializujące. Rozległo się skwierczenie. Wewnętrzne energie odpłynęły w przestrzeń n-wymiarową. Zmienił kurs i pomknął w stronę małpy. Bestia warknęła na niego, odsłaniając zęby. Android wniknął wewnątrz dłoni trzymającej blondynkę, widząc impresjonistyczny obraz jasnych, rozczochranych włosów, łez oraz niebieskich oczu o błagalnym wyrazie.

— O kurwa — odezwała się dziewczyna.

Modułowy obrócił niematerialny laser mikrofalowy wewnątrz dłoni małpy i przesunął wiązką o pełnej mocy wzdłuż jej ramienia. Małpiszon zareagował jak użądłony, otwierając dłoń. Blondynka z niej wypadła. Stworzenie wybałuszyło oczy z przerażenia.

Android wyłączył pole strumieniowe, ominął pterodaktyla o czterometrowej rozpiętości skrzydeł, złapał dziewczynę w materialne teraz ramiona i odleciał.

Oczy małpy wyrażały coraz większe przerażenie. W ciągu dwudziestu ostatnich lat uciekała już dziewięć razy i wiedziała, czego się spodziewać.

Android usłyszał za sobą serię wybuchów, trasków, wystrzałów, rakiet, syczących promieni, krzyków, łoskotów i bezsilnych ryków. Potem rozległ się drżący, śmiertelny jęk i ujrzał mroczny cień długorękiego giganta, spadającego z wieżowca. Rozległo się skwierczenie i nad Piątą Aleją pojawiła się pajęczyna czegoś, co wyglądało jak zimny, niebieski ogień. Małpa spadła na sieć, odbiła się raz i opadła znowu. Potem nieprzytomne, tłące się stworzenie zaniesiono z powrotem do jego domu w zoo w Central Parku.

Android przyjrzał się ulicom na dole w poszukiwaniu kamer wideo. Zaczął obniżać lot.

— Mógłbyś jeszcze chwilę polatać? — zapytała blondynka. — Jeśli chcesz wylądować na

oczach mediów, chciałabym najpierw poprawić makijaż, dobra?

Szybko wraca do siebie, pomyślał android i zaczął orbitować nad kamerami. Widział swoje odbicie w ich odległych soczewkach.

— Nazywam się Cyndi — oznajmiła blondynka. — Jestem aktorką. Przyjechałam z Minnesoty dopiero parę dni temu. To moja wielka szansa.

— Moja też — rzekł android i uśmiechnął się do niej. Miał nadzieję, że dobrze odda ten wyraz twarzy. Dziewczyna nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej, więc zapewne tak było. — Swoją drogą, uważam, że mała wykazała się znakomitym gustem — dodał.



— Nieźle, nieźle — mruknął Travnicek, oglądając na swym telewizorze nagranie przedstawiające androida, który po krótkiej rozmowie z prasą odleciał pod niebo, unosząc Cyndi w ramionach.

Zwrócił się ku swojemu dziełu.

— Czemu, do chuja, cały czas zasłaniałeś głowę rękami?

— Chodzi o moją kopułę radarową. Zrobiłem się wstydlivy. Wszyscy pytają, co mi się stało w głowę.

— Porażająco nieśmiały wieloczynnościowy system zaczepno-obronny — poskarżył się Travnicek. — Jezus Maria. Tego właśnie potrzebuje świat.

— Czy mogę zrobić sobie mykę? Z takim wyglądem jak teraz trudno mi będzie trafić na okładki czasopism.

— Jak sobie chcesz.

— Restauracja Wieża Asów oferuje darmową kolację dla dwóch osób każdemu, kto przyczynił się do schwywania zbiegłej małpy. Mogę tam pójść dziś wieczorem? Mam wrażenie, że mógłbym tam spotkać wielu użytecznych ludzi. Cyndi, kobieta, którą uratowałem, chciała się tam ze mną spotkać. Sokolica również prosiła, bym pojawił się w jej programie telewizyjnym. Czy mogę iść?

Travnicek był zachwycony. Jego android odniósł sukces. Postanowił, że każe mu zdemolować gabinet Bushmilla w MIT.

— Jasne — zgodził się. — Ludzie cię zobaczą. To będzie korzystne. Ale najpierw otwórz kopułę. Chcę wprowadzić kilka poprawek.



Zimowe niebo było pełne ciągnących za sobą ogony gwiazd. Gdy nie było chmur, miliony obserwowały gorejące wzory — czerwone, żółte, niebieskie, zielone — mknące przez firmament. Nawet po daytimej stronie Ziemi można było zobaczyć na niebie dymiące palce, gdy z kosmosu opadał obcy sztorm.

Podróż trwała trzydzieści tysięcy lat, odkąd Matka Roju opuściła ostatnią podbitą planetę,

wystrzelona na oślep ku niebu jak torebka nasienna poszukująca żyznej gleby. Miała trzydzieści kilometrów długości i dwadzieścia średnicy. Wyglądała jak nieregularna planetoida, ale składała się całkowicie z materii organicznej. Gruby żywiczny kadłub osłaniał wrażliwe wnętrze, sieci nerwów i włókien, ogromne, wilgotne worki pełne biomasy i materiału genetycznego, z których Matka Roju stworzy swe sługi. Wewnątrz Rój istniał w stanie zawieszenia, ledwie żywy, ledwie świadomy istnienia czegokolwiek poza nim. Zaczął się budzić dopiero wtedy, gdy zbliżyli się do Sol.

Rok po przekroczeniu orbity Neptuna Matka Roju odebrała chaotyczne transmisje radiowe z Ziemi. Wykryła w nich regularności, które rozpoznała dzięki wspomnieniom zapisanym w odziedziczonym po przodkach DNA. Istniało tam inteligentne życie.

Matka Roju, o ile w ogóle miała jakieś preferencje, uważała, że bezkrwawy podbój jest najdogodniejszy. Cel pozbawiony inteligentnego życia nie obroniłby się przed powtarzającymi się inwazjami doskonalszych drapieżników z Roju. Zdobyty w ten sposób materiał genetyczny oraz biomasę wykorzystano by do konstrukcji nowej generacji rodziców Roju. Jednakże inteligentne gatunki potrafiły nieraz bronić swych planet przed atakiem. Temu kryzysowi trzeba było stawić czoło.

Najskuteczniejszym sposobem pokonania nieprzyjaciela było mikrożycie. Rozproszenie specjalnie zaprojektowanych wirusów mogło zniszczyć wszystko, co oddychało. Jednakże Matka Roju nie potrafiła kontrolować wirusów tak, jak rozkazywała większym istotom. Miały one nieprzyjemny zwyczaj mutowania, przechodzenia w formy toksyczne dla gospodarzy. Matka Roju, długa na trzydzieści kilometrów i wypełniona biomasą oraz zmodyfikowanym, mutagennym DNA, była zbyt wrażliwa na atak biologiczny, by mogła podjąć ryzyko stworzenia potomstwa, które pożre ją samą. Konieczne było inne podejście.

Powoli, przez jedenaście następnych lat, przebudowywała siebie samą. Mali, debilni słudzy Roju — pączki — modyfikowali materiał genetyczny w starannie kontrolowanych warunkach i wprowadzali go za pomocą bezpiecznych wirusowych implantów do oczekującej biomasy. Najpierw skonstruowano monitorującą inteligencję, która odbierała i rejestrowała niezrozumiałe transmisje nadchodzące z Ziemi. Potem, stopniowo, ukształtowała się rozumująca inteligencja, zdolna analizować dane i działać, opierając się na nich. Owa inteligencja najwyższej klasy dysponowała ogromnymi możliwościami, lecz mimo to potrafiła zrozumieć tylko część regularnych przekazów, które odbierała.

Pora działać, skonkludowała Matka Roju. Postanowiła sprowokować Ziemię, jak chłopiec prowokuje mrowisko, używając patyka. Słudzy namnożyli się w jej ciele, przemieszczając genetyczny materiał, by zrekonstruować najstraszliwsze drapieżniki zarejestrowane w pamięci Roju. Silniki na paliwo stałe hodowano niczym rzadkie orchidee w komorach skonstruowanych specjalnie do tego celu. Głęboko w macicy Matki Roju ślepi słudzy kształtowali kosmiczne

kapsuły z twardych żywic. Na ten cel poświęcono jedną trzecią dostępnej biomasy, tworząc pierwszą generację potomstwa Roju.

To potomstwo nie było inteligentne, ale potrafiło prosto reagować na telepatyczne rozkazy Matki Roju. Owych budzących postrach idiotów zaprogramowano wyłącznie z myślą o zabijaniu i niszczeniu. W ich pamięci genetycznej zapisano zasady taktyki. Następnie umieszczono ich w kapsułach, zapalono silniki i wszyscy pomknęli ku Ziemi niczym inwazja migotliwych świetlików.

Każdy pączek był elementem gałęzi, a każda gałąź miała od dwóch do dziesięciu tysięcy pączków. W różne części masy lądowej Ziemi wycelowano w sumie czterysta gałęzi.

Żywica osłaniająca kapsuły płonęła w ziemskiej atmosferze, rozświetlając niebo. Wystrzelone przez nie nici spowalniały upadek, stabilizując wirujące stateczki. Potem, tuż nad powierzchnią planety, kapsuły eksplodowały, rozsiewając wkoło swój ładunek.

Po długim pozostawaniu w stanie stazy pączki były głodne.



Za barem w kształcie podkowy stał człowiek odziany w coś w rodzaju skomplikowanej zbroi. Wspierał stopę na mosiężnej poręczy, rozmawiając z gibką blondynką w masce, której ciało w chwilach nieuwagi stawało się przezroczyste.

— Przepraszam, ale czy nie widziałem cię, kiedy mała uciekała?

— Twój stół jest już prawie przygotowany, Modułowy — odezwał się Hiram Worchester.

— Przepraszam. Nie wiedziałem, że Fortunato zaprosi wszystkich swoich znajomych.

— Nic nie szkodzi, Hiram — odparł android. — Niczego nam nie brakuje. Dzięki.

Eksperymentował z użyciem potocznych form. Nie miał pewności, kiedy są odpowiednie, i był zdeterminowany się tego dowiedzieć.

— Czeka też na was dwóch fotografów.

— Pozwól im zrobić kilka zdjęć, kiedy już usiądziemy, a potem ich przegnaj, dobra?

— Oczywiście. — Hiram, właściciel Wieży Asów, uśmiechnął się do androida. — Swoją drogą — dodał — taktyka, jaką dziś zaprezentowałaś, była znakomita. Ja zamierzam uczynić stworzenie nieważkim, jeśli kiedykolwiek wespnie się tak wysoko. Ale nigdy tego nie robi. Rekord to siedemdziesiąt dwa piętra.

— Jestem pewien, że następnym razem ci się uda, Hi ram.

Restaurator uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym oddalił pośpiesznie. Android uniósł rękę, zamawiając kolejnego drinka.

Cyndi miała na sobie coś lazurowego, co odsłaniało większą część mostka i jeszcze większą część kręgosłupa. Spojrzała na Modułowego i się uśmiechnęła.

— Podoba mi się ta mycka.

— Dziękuję. Sam ją zrobiłem.

Popatrzyła na jego pustą szklaneczkę do whisky.

— Czy od tego naprawdę... no wiesz, szumi ci w głowie?

Android zerknął na puste naczynie.

— Nie. Po prostu mieszam ją w zbiorniku razem z jedzeniem, żeby generator pola strumieniowego przetworzył wszystko na energię. Ale z jakiegoś powodu... — Podano mu nową szklaneczkę single malt i przyjął ją z uśmiechem. — Z jakiegoś powodu czuję się dobrze, kiedy tu stoję, wspieram nogę na poręczy i piję whisky.

— Ehe. Wiem, co masz na myśli.

— I, oczywiście, czuję smak. Nie wiem, co powinno być smaczne, a co niesmaczne, więc próbuję wszystkiego, żeby jakoś się zorientować.

Uniół whisky pod nos, powąchał ją, a potem skosztował. Receptory smaku zadziałały. Poczul w jamie nosowej coś, co sprawiało wrażenie małego wybuchu.

Mężczyzna w zbroi spróbował objąć zamaskowaną kobietę. Jego ręka przeszła przez nią na wylot. Spojrzała na niego z uśmiechem w błękitnych oczach.

— Tylko na to czekałam. Jestem w niematerialnym ciele, frajerze.

Wrócił Hiram, by zaprowadzić ich do stolika. Gdy tylko otworzył butelkę szampana, rozbłyły flesze aparatów fotograficznych. Spoglądając przez okno, android zobaczył w luce między chmurami spadającą gwiazdę.

— Mogłabym się do tego przyzwyczaić — rzekła Cyndi.

— Chwileczkę — odezwał się android. Usłyszał coś przez radio. Empire State Building był wystarczająco wysoki, by odbierać transmisje z daleka. Dziewczyna popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

— W czym problem?

Transmisja się skończyła.

— Będę cię musiał przeprosić. Czy mogę zadzwonić później? — zapytał. — W New Jersey mają kryzys. Wygląda na to, że mamy do czynienia z inwazją z kosmosu.

— No cóż, jeśli musisz nas opuścić...

— Zadzwonię później. Obiecuję.

Sylwetka androida się zamazała. Rozległo się skwierczenie, któremu towarzyszyła woń ozonu. Modułowy odleciał przez sufit.

Hiram gapił się na to z butelką szampana w rękę.

— Czy mówił poważnie? — zapytał, spoglądając na Cyndi.

— To miły facet, jak na maszynę — odpowiedziała, wspierając brodę na dłoni. — Ale z pewnością coś pod tą kopułą nie działa jak trzeba. — Uniosła szklaneczkę. — Bawmy się, Hiram.



Niedaleko stąd spał mężczyzna dręczony przez koszmary. W jego snach ślinoły się wygłodniałe potwory. Przez jego umysł przemykały obrazy — martwa kobieta, odwrócony pentagram, gibki nagi mężczyzna z głową szakala. W gardle rodziły mu się krzyki.

Obudził się z głośnym okrzykiem, zlany potem.

Sięgnął na oślep do stojącej przy łóżku lampy i zapalił ją. Poszukał okularów. Nos miał wilgotny od potu i ciężkie, grube szkła zsunęły się na jego koniec. Nawet tego nie zauważył.

Pomyślał o telefonie, a potem uświadomił sobie, że musiałby się jakoś dostać na wózek inwalidzki, żeby do niego dotrzeć. Istniały łatwiejsze sposoby łączności. Sięgnął myślami do miasta i poczuł śpiący umysł odpowiadający wewnątrz jego własnego.

Obudź się, Hubbard — powiedział w myślach tamtemu, poprawiając okulary na nosie.
Przybyła TIAMAT.



Nad Princeton wzniósł się słup ciemności. Android zobaczył go na ekranie radaru i w pierwszej chwili pomyślał, że to dym. Potem jednak uświadomił sobie, że chmura nie przemieszcza się z wiatrem. Składała się z tysięcy żywych stworzeń krążących nad ziemią jak chmara drapieżnych ptaków. Słup był żywy.

W makroatomowym sercu androida pojawił się cień niepewności. Oprogramowanie nie przygotowało go na coś takiego.

Jego umysł wypełniały alarmowe przekazy, pytania, prośby o pomoc, krzyki rozpacz. Modułowy zwolnił, jego zmysły przeszukiwały pogrążoną w mroku ziemię na dole. Wielkie plamy widoczne w podczerwieni — kolejne pęczki Roju — pełży obsadzonymi drzewami ulicami. Były rozproszone, ale w ich ruchach widziało się celowość. Wszystkie zmierzały w stronę miasteczka. Najwyraźniej Princeton miało być dla nich miejscem zbiórki. Android obniżył lot i usłyszał odgłosy niszczenia, krzyki oraz strzały. Lufy na jego ramionach śledziły cele, gdy android opadł w dół, zwiększając prędkość.

Pęczek roju nie miał nóg. Przemieszczał się jak ślimak, wijącymi ruchami gładkiego, długiego na ponad dziewięć metrów ciała. Głowę chronił mu pancerz, a asymetryczna paszcza ociekała śliną. Para potężnych, bezkostnych rąk kończyła się szponami. Stworzenie waliło głową w piętrowy podmiejski budynek w stylu kolonialnym. Wpychało ręce w okna, szukając żyjących wewnątrz istot. Odgłosy strzałów dobiegały z piętra. W narożnikach dachu i na ozdobnych krzakach migotały bożonarodzeniowe lampki.

Modułowy zawisnął nad budynkiem i wystrzelił precyzyjną wiązkę z lasera. Mikrofalowy impuls był niewidzialny i bezgłośny. Stworzenie zadrzało, przetoczyło się na bok i zaczęło się miotać. Dom chwiało się pod jego bezmyślnymi ciosami. Android wystrzelił po raz drugi. Stwór zadygotał gwałtownie i znieruchomiał. Modułowy wleciał nogami naprzód przez okno, z którego padały strzały, i zobaczył całkowicie nagiego grubasa ściskającego strzelbę na jelenie, nastolatka

ze sportowym pistoletem oraz kobietę obejmującą dwie dziewczynki. Kobieta krzyczała. Dziewczynki były zbyt wstrząśnięte, by choćby drzeć.

— Jezu Chryste — odezwał się grubas.

— Zabiłem go — oznajmił android. — Możecie się dostać do samochodu?

— Chyba tak — odparł grubas, ładując naboje do strzelby. Jego żona nie przestawała krzyczeć.

— Jedźcie na wschód, do Nowego Jorku — poradził Modułowy. — Wygląda na to, że w tej okolicy jest ich najwięcej. Może uda się wam połączyć z sąsiadami, utworzyć konwój.

— Co się dzieje? — zapytał mężczyzna, przesuwając zamek do tyłu, a potem do przodu. — Kolejny atak dzikiej karty?

— Najwyraźniej to potwory z kosmosu.

Nagle za domem rozległ się głośny łoskot. Android odwrócił się błyskawicznie i zobaczył coś, co wyglądało jak wąż długości mniej więcej dwudziestu metrów, który posuwał się naprzód na sposób grzechotnika, przewracając po drodze krzewy, drzewa oraz słupy telegraficzne. Dolną powierzchnię stworzenia pokrywały trzymetrowe, wijące się witki. Modułowy wypadł przez okno i wystrzelił kolejną mikrofalową wiązkę w głowę bestii. Bez rezultatu. Następny wystrzał, to samo. Za jego plecami wypaliła strzelba. Kobieta nie przestawała krzyczeć. Modułowy doszedł do wniosku, że mózg węża nie znajduje się w głowie. Zaczął strzelać raz po raz, celując precyzyjnie w kolejne odcinki ciała.

Drewniane belki zatrzęszczały, gdy cielsko stworzenia uderzyło w dom. Budynek się przechylił, wytrącony z fundamentów, jedna ze ścian się rozpadła. Android nie przestawał strzelać. Czuł, że zaczyna mu brakować energii. Strzelba wypaliła znowu. Wąż uniósł głowę, po czym uderzył w okno, z którego strzelał grubas. Ciało bestii zapulsowało kilka razy. Jej ogon uderzył jak bicz. Android wystrzelił. Krzyki ucichły. Wąż cofnął głowę i popęzł w stronę następnego domu. Energia wyczerpała się niemal całkowicie. Android mógł jedynie utrzymywać się w powietrzu.

Doszedł do wniosku, że ta taktyka nie jest skuteczna. Próby pomocy indywidualnym osobom doprowadzą tylko do rozproszonych i w sumie bezskutecznych wysiłków. Powinien skupić się na zwiadzie, odkryć liczebność i strategię nieprzyjaciela, a następnie odnaleźć jakąś stawiającą zorganizowany opór grupę i pośpieszyć jej z pomocą.

Polecał w stronę Princeton. Jego instrumenty badały okolicę, próbując stworzyć obraz wydarzeń.

Gdzieś w dole zabrzmiały syreny. Ludzie wypadali z rozbitych domów. Uprzywilejowane pojazdy mknęły przed siebie, migocząc dachowymi światłami. Garstka samochodów poruszała się szalonym zygzakiem po usianych gruzem ulicach. Tu i ówdzie wybuchły pożary, ale wilgoć i padająca gdzieś tam mżawka nie pozwalały im się rozszerzyć. Modułowy wypatrzył jeszcze

kilkanaście węży, setkę mniejszych drapieżników, poruszających się na sposób sześcionożnych panter oraz dziesiątki dziwnych stworzeń przypominających skaczące pająki. Miały szerokie na ponad metr ciała i przeskakiwały drzewa na swych szczudłowatych nogach. Wysoki na sześć metrów dwunogi drapieżnik szczyrzył zęby groźne jak u tyranozaura. Inne stwory, trudne do zobaczenia w podczerwieni, poruszały się tuż nad ziemią niczym dywany. Coś niewidocznego wystrzeliło do niego chmurę niespełna metrowych igieł, ale zobaczył ją na obrazie radaru i się uchylił. Chmura nad Princeton nie przestawała wirować. Android postanowił zbadać sprawę.

Były ich tysiące — ciemne, bezpióre, łopoczące skrzydłami stworzenia przypominały latające wycieraczki. Poprzez szum ich skrzydeł przebijał się niski, jękliwy dźwięk, jakby ktoś szarpał struny kontrabasu. Wznosiły się w górę i znowu opadały w dół. Android rozumiał ich taktykę, gdy zobaczył, jak jakiś pojazd wypadł z garażu w miasteczku i popędził ulicą. Opadła na niego grupa wycieraczek. Tłukły skórzastymi ciałami w pojazd, pokrywały go całkowicie, przygniatały swym ciężarem. Android, który odbudował już częściowo zasoby energii, wystrzelił do nich, zabijając kilka, ale samochód wjechał już na chodnik i uderzył w budynek. Opadła na niego kolejna grupa stworzeń, podczas gdy pierwsze zaczęły się wciskać do środka przez rozbite okna. Karoserię pokrywały plamy od żrącego kwasu. Android wzniósł się wyżej i zaczął strzelać do unoszącej się w powietrzu chmary, próbując przyciągnąć uwagę stworzeń.

Cała grupa pomknęła ku niemu, setki jednocześnie. Modułowy zwiększył prędkość, lecąc na południe. Próbował je odciągnąć. Martwe wycieraczki spadały na ziemię jak liście, gdy ostrzeliwał je krótkimi impulsami. Do pościgu przyłączały się wciąż nowe stworzenia. Najwyraźniej nie były zbyt inteligentne. Uchyłał się i kluczył, trzymając się tuż przed łopoczącym skrzydłami stadem. Wkrótce miał już za sobą tysiące istot. Przeleciał nad wzniesieniem i ujrzał przed sobą zastęp Roju. Przytłaczający potop danych zalał na chwilę jego czujniki.

Armia stworów posuwała się naprzód łukowatą falą przypominającą półksiężyc o ostrych końcach wskazujących na północ, w stronę Princeton. W powietrzu niosły się odgłosy miażdżenia i rozwalania. Rój przedzierał się przez miasteczko, niszcząc wszystko, co stało mu na drodze — domy mieszkalne, drzewa i biurowce. Android wzniósł się wyżej, prowadząc obliczenia. Podążające za nim stworzenia zawodziły i łopotały skrzydłami. Choć zastęp Roju niszczył wszystko bardzo skrupulatnie, poruszał się naprzód dość szybko — według oceny androida od dwudziestu do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę.

Modułowy potrafił w miarę dokładnie ocenić przeciętne rozmiary stworzenia z Roju. Podzieliwszy potężną emisję w podczerwieni na pojedyncze części, skonkludował, że ma przed sobą co najmniej czterdzieści tysięcy bestii. Cały czas dołączały do nich nowe. Natomiast latających wycieraczek było co najmniej dwadzieścia tysięcy. To były szalone liczby.

Android, w przeciwieństwie do ludzi, nie potrafił wątpić w swoje obliczenia. Trzeba było

kogoś poinformować o tym, co zagroziło światu. Lufy na jego ramionach obróciły się do tyłu, by zapewnić mu bardziej aerodynamiczny kształt. Modułowy zawrócił na północ, zwiększając prędkość. Latające stworzenia zrobiły to samo, ale nie były w stanie dotrzymać mu kroku. Skierowały się z powrotem do Princeton.

Modułowy w kilka sekund znalazł się nad miasteczkiem. Wtargnęło do niego już co najmniej tysiąc stworzeń z Roju. Android słyszał nieustanny łoskot towarzyszący atakom na budynki, rozproszone odgłosy strzałów, a w jednym punkcie huk, grzechot i trzask cięższej broni. Popędził w tamtym kierunku.

Arsenał Gwardii Narodowej był oblężony. Jeden z wielkich węży, rozerwany odłamkowymi pociskami, wił się na ulicy przed wejściem, wzbijając w powietrze chmury spadłego na ziemię gazu łzawiącego. Wokół budynku walały się martwe drapieżniki oraz ludzkie ciała. Na betonie leżał przewrócony do góry gąsienicami czołg M60. Drugi blokował otwarte drzwi garażu, zalewając drogę wejścia podczerwonym światłem. Za wieżyczką czołgu stali trzej gwardziści z pełnym wyposażeniem bojowym, łącznie z maskami gazowymi. Android oddał osiem precyzyjnie wymierzonych strzałów, zabijając aktualną falę napastników, a następnie przeleciał nad wieżyczką i wylądował obok gwardzistów. Gapili się na niego w osłupieniu spod swych masek. Za nimi było kilkunastu cywilów uzbrojonych w strzelby i śrutówki, a dalej z tyłu około pięćdziesięciu uchodźców. Gdzieś w budynku słychać było warczenie grzejących się silników.

— Kto tu dowodzi?

Mężczyzna ze srebrnymi belkami porucznika na epoletach uniósł rękę.

— Porucznik Goldfarb — przedstawił się. — Byłem oficerem dyżurnym. Co tu się dzieje, do licha?

— Będzie pan musiał wyprowadzić stąd tych ludzi. Wylądowali kosmici.

— Tak też sobie myślałem, że to nie Chińczycy.

Maska gazowa tłumiała jego głos.

— Zmierzają tu od strony Grovers Mills.

Jeden z pozostałych gwardzistów wydał z siebie charkotliwy dźwięk, ledwie rozpoznawalny jako śmiech.

— Jak w *Wojnie światów*. Rewelacja.

— Zamknij się, do cholery. — Goldfarb zeszywniał z gniewu. — Mam tylko około dwudziestu żołnierzy. Myśli pan, że zdołamy ich zatrzymać przy Raritan Canal?

— Jest ich co najmniej czterdzieści tysięcy.

Porucznik oklapł, opierając się o wieżyczkę.

— W takim razie ruszamy na północ. Spróbujemy dotrzeć do Somerville.

— Sugeruję, byście wyruszyli szybko. Wracają latacze. Widzieliście je?

Goldfarb wskazał na kilka martwych latających stworzeń.

— Są tutaj. Gaz łązwiący je powstrzymuje.

— Idzie coś nowego, szefie.

Jeden z żołnierzy uniósł granatnik. Nie oglądając się za siebie, Modułowy wypalił przez ramię i zastrzelił pająka.

— Nie ma sprawy — mruknął żołnierz.

— Niech pan posłucha — ciągnął porucznik. — W miasteczku jest rezydencja gubernatora. Morven. To nasz głównodowodzący i powinniśmy jakoś go uratować.

— Mogę spróbować — odparł android — ale nie wiem, gdzie jest ta rezydencja. — Łuska pancernego pocisku spadła mu za ramię. Spojrzał na Goldfarba. — Mógłbym pana unieść.

— Zgoda.

Porucznik przewiesił przez plecy M16 i rozkazał pozostałym gwardzistom załadować ludzi do opancerzonych pojazdów i uformować konwój.

— Bez świateł — dodał android. — Może wtedy latacze nie zauważą was tak łatwo.

— Mamy noktowizory. To standardowe wyposażenie pojazdów.

— To fart.

Pomyślał, że coraz lepiej radzi sobie z potocznymi formami.

Goldfarb zakończył wydawanie rozkazów. Z innych części budynku wynurzyli się żołnierze Gwardii Narodowej dźwigający karabiny oraz amunicję. Gąsienicowe pojazdy grały silniki. Android objął Goldfarba i wznosił się ku niebu.

— Lecimy! — zawołał porucznik. Modułowy doszedł do wniosku, że to wojskowy wyraz aprobaty.

Potężny szum wskazywał, że wracają latacze. Android obniżył lot, klucząc między rozwalonymi budynkami i pniakami zwalonych drzew.

— O kurwa mać — odezwał się Goldfarb. Morven leżało w gruzach. Rezydencję gubernatora zrównano z ziemią. Nie było widać nikogo żywego.

Modułowy zaniósł porucznika z powrotem na placówkę, likwidując po drodze około dwudziestu stworów przygotowujących się do ataku na kwaterę główną Gwardii. Garaż wypełniały spaliny. Sześć transporterów opancerzonych i dwa czołgi były gotowe do drogi. Posadził Goldfarba obok jednego z pojazdów. Powietrze wypełniał ogłuszający hałas lataczy.

— Spróbuję je odciągnąć — oznajmił android. — Zaczekajcie, aż niebo zrobi się czyste, i dopiero wtedy ruszajcie w drogę.

Pomknął w górę, strzelając krótkimi wiązkami lasera i krzyząc ku ciemniejącemu firmamentowi. Latacze ponownie ruszyły w pościg. Tym razem również poprowadził je w stronę Grovers Mills i zobaczył półksiężyc naziemnych stworzeń z Roju, posuwający się naprzód miarowym, przerażającym tempem. Zawrócił, zostawiając ścigających z tyłu, i przyśpieszył, zmierzając do Princeton. Kilka stworzeń poderwało się z ziemi, próbując go ścigać.

Najwyraźniej pożerały trupa mężczyzny odzianego w wymyślną zbroję — tę samą, którą Modułowy widział w Wieży Asów. Pokrywały ją teraz czarne plamy od kwasów trawiennych.

W miasteczku zobaczył konwój Goldfarba posuwający się naprzód autostradą 206. Otaczała go łuna podczerwonego światła oraz ognia karabinów. Przyciągnięci dźwiękiem czołgów i transporterów uchodźcy czepiali się pojazdów. Android strzelał raz po raz, zabijając skaczące do ataku stworzenia z Roju, ale znowu zaczynało brakować mu energii. Podążał za konwojem tak długo, aż doszedł do wniosku, że opuścili już niebezpieczny obszar. Konwój musiał tam zwolnić z powodu olbrzymiego korka spowodowanego przez zmierzających na północ uchodźców.

Android postanowił, że poleci do Fort Dix.



Porucznik John F.X. Black z komisariatu w Dżokerowie nie zdjął Tachionowi kajdanek, dopóki nie znaleźli się tuż pod drzwiami gabinetu burmistrza w ratuszu. Inni policjanci trzymali gotowe do strzału śrutówki.

Strach, pomyślał Tachion. Ci ludzie są przerażeni. Dlaczego? Potarł nadgarstki.

— Płaszcz i kapelusz, proszę.

Pomimo uprzejmego słowa i tak zabrzmiało to jak rozkaz.

— Jeśli pan nalega — odparł Black, wręczając mu kapelusz z piórem i frak z lawendowego aksamitu, harmonizujący z kolorem oczu Tacha. Na szczupłej twarzy porucznika wykwił cyniczny uśmiezek.

— W policji trudno byłoby znaleźć kogoś o pańskim guście.

— Śmiem twierdzić, że ma pan rację — odparł zimno doktor i zmierzwił opadające mu na kołnierz włosy.

— Tędy — rzekł Black. Tach opuścił sobie kapelusz na jedno oko i popchnął drzwi.

Pośrodku wielkiego pomieszczenia o wyłożonych boazerią ścianach stał długi stół. Panował tu straszliwy harmider. Pełno było policjantów, strażaków i ludzi w wojskowych mundurach. Burmistrz krzyczał coś do radiotelefonu, ale — sądząc po wścieklej minie — nie mógł się przebić. Tach omiół spojrzeniem drugą stronę pokoju i przymrużył powieki. Stał tam senator Hartmann, pogrążony w cichej rozmowie z grupką asów: Sokolicą, Impulsem, Wyjcem, całą grupą ze SKAZA.

Tach zawsze czuł się niepewnie w towarzystwie senatora. Hartmann mógł być nowojorskim liberałem, ale był też przewodniczącym Senackiej Komisji do spraw Asów i Zasobów Analogicznych, która zdobyła złowrogą reputację pod rządami Josepha McCarthy'ego. Prawo było teraz inne, ale Tachion nie chciał mieć nic wspólnego z organizacją rekrutującą asów do służby interesom władzy.

Burmistrz podał radiotelefon asystentowi. Nim zdążył gdzieś umknąć, Tachion podszedł

bliżej, strzepnął mankiety i przeszył go zimnym spojrzeniem.

— Przyprowadzili mnie tu pańscy szturmowcy — oznajmił. — Wyważyli drzwi. Mam nadzieję, że miasto zastąpi je na swój koszt, a także zapłaci odszkodowanie za wszystko, co może zostać skradzione pod ich nieobecność.

— Mamy problem — odparł burmistrz. Asystent podbiegł do niego, niosąc całe naręczce map New Jersey, sprzedawanych na stacjach benzynowych. Burmistrz kazał mu rozłożyć je na stole. Tachion nie przestawał mówić.

— Mógł pan zatelefonować. Przyszedłbym. Pańskie zbiry nawet nie zapukały. W tym kraju nadal obowiązuje konstytucja, nawet w Dżokerowie.

— Pukaliśmy — sprzeciwił się Black. — Pukaliśmy naprawdę głośno. — Spojrzał na jednego ze swych policjantów, dzokera pokrytego brązową łuską. — Słyszałeś, jak pukałem, Kant?

Kant uśmiechnął się jak zębata jaszczurka. Tachion zadrżał.

— Pewnie, że słyszałem, poruczniku.

— A ty, Matthias?

— Ja też słyszałem.

— W... ogóle... nie... pukali... — wycedził Tach przez zaciśnięte zęby.

Black wzruszył ramionami.

— Doktor zapewne nas nie usłyszał. Był zajęty. — Uśmiechnął się lubieżnie. — Miał towarzystwo, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. To była pielęgniarka. Ładniutka. — Uniósł dokument o oficjalnym wyglądzie. — Tak czy inaczej, nasz nakaz był legalny. Sędzia Steiner podpisał go zaledwie przed półgodziną.

Burmistrz spojrział na Tachiona.

— Chcieliśmy tylko się upewnić, że nie ma pan z tym nic wspólnego.

Tach zdjął kapelusz i pomachał nim leniwie przed twarzą, rozglądając się po pokoju. Roilo się w nim od biegających ludzi. Był wśród nich — dobry Boże — również liczący prawie metr wysokości tyranozaur, który nagle zmienił się w nagiego chłopca w wieku może trzynastu lat.

— O czym mówisz, dobry człowieku? — zapytał wreszcie.

Burmistrz wbił w niego spojrzenie oczu zimnych jak kawałki lodu.

— Z New Jersey dobiegły raporty o czymś, co może być atakiem dzikiej karty.

Serce Tachiona zabiło gwałtownie. Tylko nie znowu to samo, pomyślał, wspominając te pierwsze, straszliwe tygodnie, ofiary śmiertelne, oszpecenia, od których krew zamarzała mu w żyłach, obłęd, smród... Nie, to niemożliwe. Przełknął ślinę.

— W czym mogę wam pomóc? — zapytał.



— Czterdzieści tysięcy w jednej grupie — mruknął generał broni, licząc w myślach. — Zapewne są już w Princeton. Dwadzieścia tysięcy lataczy. Może drugie tyle rozproszyło się

po okolicy i zmierza do punktu zbornego w miasteczku. — Spojrzał na androida. — Domyśla się pan, gdzie skierują się potem? Do Filadelfii czy do Nowego Jorku? Na północ czy na południe?

— Nie mam pojęcia.

Generał przygryzał kostki dłoni. Był chudym mężczyzną w okularach i nazywał się Carter. Sprawiał wrażenie, że w ogóle nie niepokoi go myśl o lądowaniu mięsożernych kosmitów w New Jersey. Dowodził Pierwszą Armią Stanów Zjednoczonych i jego kwatera główna znajdowała się tutaj, w Fort Meade w stanie Maryland. Modułowego skierował tu spocony generał dywizji z Fort Dix, który okazał się centrum szkolenia.

Wokół otaczającej Cartera aury spokoju szalał chaos. Telefony dzwoniły, adiutanci biegali, a z korytarza dobiegały krzyki.

— Do tej pory mam tylko Osiemdziesiątą Drugą i Gwardię Narodową — mówił Carter. — To nie wystarczy, by obronić i Nowy Jork, i Filadelfię przeciwko takim liczbom. Gdybym miał pułki marines z Lejeune, moglibyśmy poradzić sobie lepiej, ale dowódca nie chce ich odłączyć od Sił Szybkiego Reagowania, którymi dowodzi generał marines. Chce, żeby to Siły Szybkiego Reagowania przejęły dowodzenie, zwłaszcza że Osiemdziesiątą Drugą również obowiązują ich protokoły. — Pociągnął z westchnieniem łyk soku żurawinowego. — Tak wygląda proces przestawiania sił zbrojnych ze stopy pokojowej na wojenną. Nasz czas nadejdzie i wtedy otrzymamy swą szansę.

Android zorientował się, że Rój wylądował w czterech punktach Ameryki Północnej: w New Jersey; w Kentucky na południe od Louisville; w Teksasie wokół McAllen, ale po obu stronach granicy z Meksykiem; oraz na bardzo rozległym obszarze, najwyraźniej pokrywającym większą część północnej Manitoby. Lądowanie w Kentucky również znajdowało się w obszarze działań Pierwszej Armii i Carter wysłał do boju żołnierzy z Fort Knox i Fort Campbell. Na szczęście, nie potrzebował do tego pozwolenia marines.

— Na północ czy na południe? — zastanawiał się generał. — A niech to, chciałbym wiedzieć, w którą stronę zmierzają. — Potarł skronie. — Pora brać się do roboty — zdecydował. — Widział pan, że idą na północ. — Wyślę powietrznodesantową do Newark i każę Gwardii skupić tam siły.

Do pomieszczenia wpadł kolejny adiutant i podał Carterowi kartkę.

— W porządku — rzekł generał. — Gubernator stanu Nowy Jork rozkazał wszystkim asom w regionie zebrać się w ratuszu. Mówi się o wykorzystaniu was jako oddziałów szturmowych. — Zerknął przez okulary na androida. — Pan jest asem, prawda?

— Jestem maszynową inteligencją szóstej generacji zaprogramowaną do obrony społeczeństwa.

— Jest pan maszyną? — Carter najwyraźniej uświadomił to sobie dopiero w tej chwili. — Ktoś pana zbudował?

— No jasne.

Coraz lepiej radził sobie z potocznymi formami, mówił coraz płynniej. Był z siebie zadowolony.

Carter zareagował szybko.

— Czy jest was więcej? Moglibyśmy zbudować więcej? Mamy do czynienia z kryzysem.

— Mogę przekazać tę prośbę mojemu twórcy, ale nie wydaje się prawdopodobne, by mogło to nam pomóc w najbliższym czasie.

— Proszę to zrobić. Chcę też, by przed odlotem porozmawiał pan z kimś z mojego sztabu. Proszę mu opowiedzieć o sobie i o swoich możliwościach. W ten sposób bardziej się nam pan przyda.

— Tak jest.

Android starał się odpowiedzieć jak żołnierz i był przekonany, że mu się udało.



— Nie — zaprzeczył Tachion. — To nie jest dzika karta.

Przybyły nowe informacje, w tym również zdjęcia. Żadna epidemia dzikiej karty — nawet w zaawansowanej wersji — nie mogłaby spowodować takich rezultatów. Przynajmniej nie obciążą mnie winą, pomyślał.

— Sądzę — ciągnął — że w New Jersey mamy do czynienia z zagrożeniem, z którym mój gatunek spotykał się już kilkakrotnie. Te stworzenia zaatakowały dwie nasze kolonie. Jedną zniszczyły i niewiele zabrakło, by taki sam los spotkał drugą. Później zostały unicestwione przez nasze korpusy ekspedycyjne, ale wiemy, że jest ich znacznie więcej. *T'zand'ran...* — Przerwał, widząc pełne niezrozumienia spojrzenia. — To chyba się tłumaczy jako Rój.

Senator Hartmann był pełen niedowierzania.

— To nie jest dzika karta? Chce mi pan powiedzieć, że New Jersey zaatakowały zabójcze pszczoły z kosmosu?

— To nie są owady. Przypominają raczej... jakby to powiedzieć... — Wzruszył ramionami.

— To drożdże. Wielkie, drapieżne, telepatyczne pączki drożdży, sterowane przez gigantyczną matkę przebywającą w kosmosie. Bardzo głodne. Na waszym miejscu zacząłbym mobilizację.

Burmistrz miał zbolałą minę.

— W porządku. Na dole czeka sześcioro asów. Niech pan tam zejdzie i udzieli im potrzebnych informacji.



Przez świetlik do środka napływały odgłosy paniki. Była czwarta rano, ale połowa mieszkańców Manhattanu najwyraźniej próbowała uciec z miasta. To był największy korek od Dnia Dzikiej Karty.

Travnicek uśmiechnął się, przerzucając naukowe notatki, które spisał na papierze od rzeźnika

i pustych paczkach po papierosach w czasie wielomiesięcznego ataku kreatywności.

— Zatem wojskowi chcą dostać więcej takich jak ty, tak? A ile oferują?

— Generał Carter tylko wyraził zainteresowanie. Jestem pewien, że nie on podejmuje decyzje w sprawie zakupów.

Gdy Travnicek uniósł kartkę ku oczom, uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca zasepionemu wyrazowi. Miał okropne pismo i notatka była całkowicie nieczytelna. Co chciał napisać, do diabła?

Rozejrzał się po lofcie. Pomieszczenie było straszliwie zaśmiecone. Wałały się tu tysiące notatek. Bardzo wiele z nich spadło na podłogę i z czasem zostało wgniecione w płyty.

Oddech Travnicka zamieniał się w parę w zimnym powietrzu.

— Poproś o konkretną ofertę. Powiedz mu, że chcę dziesięć milionów za sztukę. Nie, lepiej dwadzieścia. Plus tantiemy za oprogramowanie. Chcę też zachować dziesięć pierwszych jednostek dla siebie, by służyły mi jako straż osobista.

— Tak jest. Jaki termin dostawy pierwszych jednostek mam mu podać?

Travnicek ponownie spojrzął na walające się wszędzie papiery.

— To może trochę potrwać. — Będzie musiał wszystko zrekonstruować. — Najpierw wydobądź od niego obietnicę zapłaty.

— Tak jest.

— Zanim mnie opuścisz, posprzątaj ten bałagan. Ułóż moje notatki w stosach. Tam — dodał, wskazując na w miarę pustą część blatu jednego ze stołów.

— Proszę pana, obcy...

— Zaczekają. — Travnicek zachichotał. — Jak już te stwory zeżrą połowę New Jersey, zrobisz się znacznie cenniejszy dla wojska.

Twarz androida nic nie wyrażała.

— Tak jest — odparł i zaczął sprzątać laboratorium.



— A niech to — mruknął Carter. Otaczający go chaos choć na chwilę przestał istnieć. Ciszę panującą na prowizorycznym stanowisku dowodzenia w poczekalni dla odlatujących lotniska Newark International mącił jedynie dźwięk wojskowych transportowców lądujących z żołnierzami i ekwipunkiem. Spadochroniarze w spodniach z włożonymi w buty nogawkami i nowoczesnych hełmach z kevlaru stali obok brzuchatych oficerów Gwardii Narodowej i asów w kombinezonach. Wszyscy czekali na następne słowa generała. Carter uniósł serię wykonanych w podczerwieni zdjęć ku słabemu światłu, które zaczęło się sączyć przez okna.

— Posuwają się na południe. W stronę Filadelfii. Straż przednia, straż boczne, główny korpus i straż tylna. — Carter popatrzył na swój sztab. — Wygląda na to, że czytali nasze podręczniki taktyki, panowie.

Rzucił zdjęcia na stół.

— Chcę, żebyście wsadzili swoich chłopaków do maszyn i ruszyli na południe. Pojedźcie prosto autostradą Jersey Turnpike. Rekwirujcie cywilne pojazdy, jeśli będzie to konieczne. Musimy ich oskrzydlić i zaatakować od wschodu, posuwając się ku Trenton. Jeśli zaatakujemy ich flankę, może uda się nam odciąć straż tylną, zanim opuści Princeton. — Zwrócił się w stronę adiutanta. — Niech pan zawiadomi Gwardię Narodową z Pensylwanii. Chcę, żeby wysadzono wszystkie mosty na Delaware. Jeśli nie mają saperów, którzy mogliby to zrobić, niech je zablokują. Stawiając w poprzek jezdni ciężarówki z naczepami, jeśli nie będzie innego wyjścia.

Carter spojrział na asów, którzy stali w kącie, obok sterty pośpiesznie zgromadzonych plastikowych krzeseł. Modułowy, Wyjec, Mistral, Impuls. Pterodaktyl, który w rzeczywistości był małym chłopcem potrafiącym się zmieniać w gady. Za kilka godzin matka przyjedzie po niego po raz drugi. Sokolicy towarzyszyła ekipa kamerzystów. Żółw krążył nad terminalem w swej masywnej pancerne skorupie. Tachiona tu nie było. Wezwano go do Waszyngtonu, by służył jako doradca do spraw naukowych.

— Marines z Lejeune ruszają do Filadelfii — mówił cichym głosem Carter. — Ktoś wreszcie okazał rozsądek i powierzył mi dowództwo nad nimi. Ale tylko jeden pułk zdąży do Delaware na czas, by napotkać straż przednią przeciwnika, a do tego nie będą mieli czołgów ani ciężkiej broni. Będą zmuszeni dotrzeć do mostów w szkolnych autobusach i Bóg wie, czym jeszcze. To znaczy, że obcy ich zmiażdżą. Nie mogę wam rozkazywać, ale chciałbym, żebyście ruszyli do Filadelfii, by im pomóc. Potrzebujemy czasu, by przerzucić na miejsce resztę marines. W ten sposób możecie uratować życie cholernie wielu ludziom.



Coleman Hubbard stanął przed grupą zebranych mężczyzn i kobiet. Na twarzy miał sokołą maskę Re. Wdział masonowski fartuszek, a poza tym był nagi do pasa. Czuł się nieswojo, ponieważ odsłaniał zbyt wiele blizn, które pokrywały jego ciało po pożarze starej świątyni. Zadrżał na wspomnienie płomieni, a potem uniósł wzrok, chcąc odciągnąć swój umysł od tej wizji...

Nad nim gorzała sylwetka astralnej istoty, olbrzymiego mężczyzny o głowie barana. Miał on kolosalny, wzwiedziony fallus, a w rękach dzierżył ankh oraz krzywy pręt, symbole życia i mocy — bóg Amun, stwórca wszechświata, lśniący pośród aury wielobarwnego światła.

Wielki Amun, pomyślał Hubbard. Władca egipskich masonów, a w rzeczywistości na wpół kaleki starzec mieszkający w pokoiku wiele kilometrów stąd. Swemu astralnemu ciału potrafił nadać dowolny kształt, ale w fizycznej postaci był znany jako Astronom.

Blask Amuna odbijał się w oczach zgromadzonych czcicieli. W głowie Hubbarda zabrzmiał głos boga. Mężczyzna uniósł ręce i przekazał wiernym słowa Amuna.

— Przybyła TIAMAT. Nasza chwila jest blisko. Musimy skupić swe wszystkie wysiłki na nowej świątyni. Trzeba zmontować i skalibrować Śakti.

Nad baranią głową pojawiła się inna postać, zmieniające się nieustannie skupisko protoplazmy — macki, oczy i straszliwie zimne ciało.

— Oto TIAMAT — rzekł Amun. Czyciele zaszeptali. Stworzenie nie przestawało rosnąć, przyćmiewając blask boga.

— Przybyła moja mroczna siostra — oznajmił bóg. — Jego głos niósł się echem w głowie Hubbarda. — Musimy zgotować jej powitanie.



Harrier oddziałów marines wessał latacza do wlotu powietrza. Pluł z głośnym wizgiem stopionym metalem, opadając bokiem na skazane na zagładę Trenton. Łopot skrzydeł zagłuszał ryk odrzutowych silników oraz terkot helikopterów. Całą rzekę pokrywał płonący napalm. W górę wznosiły się chmury dymu z naboarów sygnałowych.

Główne oddziały Roju torowały sobie drogę przez Trenton. Przednia straż była już po drugiej stronie rzeki. Nie powstrzymało ich wysadzanie ani blokowanie mostów. Obcy po prostu weszli do lodowatej wody i przebrnęli przez nią niczym ogromna, mroczna fala. Setka lataczy otoczyła helikopter dowódcy marines i strąciła go. Później nikt już nie dowodził. Zostały tylko grupki zdesperowanych ludzi broniących się tam, gdzie było to możliwe, próbujących utworzyć falochron mający powstrzymać falę Roju.

Grupa asów rozdzieliła się, próbując radzić sobie z pilnymi sytuacjami. Modułowy palił wrogów, niosąc pomoc rozproszonym gniazdom oporu, które jednak padały jedno po drugim. Zadanie było beznadziejne.

Z lewej strony dobiegały go wrzaski Wyjca, od których ścinały się nerwy i kości stworzeń. Jego talent był tu użyteczniejszy od posiadanych przez Modułowego; mikrofalowy laser był zbyt precyzyjną bronią na walkę z falowym atakiem, natomiast ultradźwiękowe krzyki Wyjca w jedną sekundę niszczyły całe plutony nieprzyjaciela.

Za walczącym w powietrzu androidem zza rogu wyjechał czołg Gwardii Narodowej. Pojazd uderzył w budynek i ugrzązł w gruzie. Latacze pokryły jego pancerz, zasłaniając widok załodze. Modułowy opadł na czołg i zaczął odrywać stworzenia, rozdzierając je jak papier. Kwasowe soki zbryzgały jego ubranie. Z syntetycznego ciała buchnął dym. Czołg odsunął się od budynku, miażdżąc cegły pod gąsienicami.

Gdy android wstał, na obrazie jego radaru pojawiła się rozległa plama reprezentująca Wielkiego i Potężnego Żółwia. As chwycił kolejno pączki Roju, wyrzucał je wysoko w powietrze, a potem pozwalał im spaść. Wyglądało to jak fontanna kaskadowa. Latacze tłukły bezsilnie o pancerną skorupę. Ich kwasy nie były w stanie przeżreć się przez płyty składające się kiedyś na kadłub pancernika.

Powietrze zaskwierczało, przeszyte przez wysokoenergetyczne fotony. Impuls zamienił swe ciało w światło. Ludzka wiązka laserowego blasku odbijała się rykoszetem od ciał nieprzyjaciół.

Impuls zabił kilkunastu i zniknął. Gdy brakowało mu energii, odzyskiwał ludzką postać i stawał się podatny na atak. Android miał nadzieję, że latacze nie zdołają go znaleźć.

Mistral wzbiła się wysoko, barwna jak bandera wojenna. Miała siedemnaście lat, studiowała na uniwersytecie Columbia i nosiła stroje o jaskrawych patriotycznych kolorach, tak samo jak jej ojciec, Cyklon. Utrzymywał ją w powietrzu płaszcz niesiony wiatrami, które sama stworzyła. Atakowała latacze tajfunami, ciskała nimi na boki, rozdzierała je na strzępy. Nic nie mogło się do niej zbliżyć.

Sokolica krążyła bezużytecznie wokół niej. Była za słaba, by mogła zaatakować Rój w którymkolwiek z jego wcieleń.

Nic z tego jednak nie wystarczało. Stworzenia z Roju posuwały się naprzód przez luki między asami.

Nagle rozległ się huk. Z nieba opadły czarne, kanciaste cienie, A-10 Gwardii Powietrznej. Zabrzmiały działa, nadając Delaware biały kolor. Spod skrzydeł posypały się bomby, zamieniające się na ziemi w gorejące kwiaty napalmu.

Android nie przestawał strzelać, aż jego generatory się wyczerpały. Następnie walczył z lataczami gołymi rękami. Wypełniła go desperacja, która przeszła w gniew. Nic nie pomagało.

Główna część sił nieprzyjaciela dotarła do rzeki i zaczęła płynąć. Tylko niewielu żołnierzy pozostało przy życiu, by stawić im opór. Większość ocalałych próbowała się ukryć albo uciec.

Szósty Pułk Marines zginął w akcji i nic nie mogło zmienić tego faktu.



Między Trenton a Levittown bomby i ogień nadały brązowemu grudniowemu krajobrazowi czarną barwę. Pączki Roju posuwały się przez spustoszoną krainę jak koszmarny przypływ. Na przedmieściach Filadelfii okopały się dwa kolejne pułki marines. Tym razem miały wsparcie artyleryjskie oraz niewielką grupę lekkich czołgów.

Asowie czekali w restauracji Howard Johnson nieopodal Pennsylvania Turnpike. Plan przewidywał wykorzystanie ich w ewentualnym kontrataku.

Bateria dział o kalibrze 155 mm ustawiona na parkingu nie przerywała ostrzału. Crescendo dźwięku wybiło już większość szyb w budynku. Z góry nieustannie dobiegał huk przelatujących samolotów.

Impuls leżał gdzieś w szpitalnym namiocie. Wyczerpał zasoby energii i był bliski załamania. Mistral zwinęła się na boku w plastikowym boksie radosnej pomarańczowej barwy. Jej ramiona drżały przy każdym wystrzale z dział. Po twarzy dziewczyny spływały rzeki łez. Rój nie zdołał się do niej zbliżyć, ale była świadkiem śmierci bardzo wielu ludzi. Trzymała się w garści podczas walki oraz długiego, koszmarnego odwrotu, ale teraz zaczęła się reakcja. Sokolica siedziała obok, przemawiając do niej łagodnym tonem. Android nie słyszał jej słów. Modułowy podążał za Wyjcem, gdy były pracownik kesoony szukał w restauracji czegoś do zjedzenia.

Miał potężną klatkę piersiową, a jego zmutowana krtań czyniła szyję tak szeroką, że android nie był w stanie jej objąć obiema dłońmi. Wyjec miał na sobie pożyczony mundur połowy marines: jego cywilne ubranie zniszczył kwas lataczy. Pod koniec bitwy Modułowy musiał go stamtąd zabrać, trzymając asa w dłoniach strawionych przez kwas aż do metalowych kości.

— Indyk w puszcze — odezwał się Wyjec. — Świetnie. Urządzimy sobie Dzień Dziękczynienia. — Zerknął na Modułowego. — Jesteś maszyną, prawda? Musisz jeść?

Android wetknął dwa metalowe palce do kontaktu. Nastąpił błysk. Powietrze wypełniła woń ozonu.

— Ten sposób jest lepszy — oznajmił.

— Wprowadzą was wkrótce do produkcji? Pentagon mógłby być zainteresowany.

— Przedstawiłem warunki mojego twórcy generałowi Carterowi. Jak dotąd nie odpowiedział. Podejrzewam, że hierarchię dowodzenia opanował chaos.

— Ehe. Nie musisz mi tego mówić.

— Chwileczkę — rzekł android. Przez huk dział i ryk odrzutowców zaczął się przebijać inny dźwięk. Odgłos strzałów z broni ręcznej.

Do restauracji wpadł oficer marines trzymający hełm w dłoni.

— Zaczęło się! — zawołał. Android przystąpił do kontroli systemów.

Mistral skierowała na oficera zażawione oczy. Wyglądała na znacznie mniej niż siedemnaście lat.

— Jestem gotowa — oznajmiła.



Rój zatrzymał się na przedmieściach Filadelfii. Dwa pułki marines zdołały się obronić. Ich reduty otaczały ściany martwych stworzeń. Zwycięstwo stało się możliwe dzięki wsparciu samolotów lotnictwa i marynarki oraz pancernika „New Jersey”, którego półmetrowe pociski uderzały w przeciwnika aż z Oceanu Atlantyckiego, dzięki wsparciu Gwardii Narodowej i spadochroniarzy Cartera, atakujących wroga od tyłu, a również dzięki asom, którzy walczyli do późna w nocy, nawet wtedy, gdy Rój zaczął się wahać, a potem ruszył na zachód, ku odległym Góróm Błękitnym.

Przez całą noc na filadelfijskim lotnisku roило się od transportowców przywożących kolejną dywizję marines aż z Kalifornii.

Rankiem zaczęła się kontrofensywa.



Po zmierzchu następnego dnia z kolorowego telewizora ustawionego w kącie poczekalni dla odlatujących płynął pełen przejęcia głos. Carter przygotowywał się do przeniesienia stanowiska dowodzenia na zachód, do Allentown. Modułowy przyleciał przed chwilą z wiadomościami o najnowszych ruchach Roju, ale generał był zajęty rozmową przez radio ze swymi dowódcami

w Kentucky, android mógł więc wysłuchać wiadomości z reszty świata.

Przez ekran przemykały obrazy przemocy z Kentucky. Filmy nakręcono z bezpiecznej odległości, za pomocą kamer z lunetą. Obraz rwał się i podskakiwał. W samym środku znajdował się wysoki mężczyzna w mundurze roboczym pozbawionym insygniów. Jego ciało świeciło jak złota gwiazda. Trzymał w rękach sześciometrowy pień drzewa i masakrował nim pączki Roju. Potem przeprowadzono z nim wywiad. Wyglądał na najwyżej dwadzieścia lat, ale w jego oczach czaiły się tysiącletnie duchy. Nie powiedział dużo. Zaraz się usprawiedliwił i poszedł walczyć. Jack Braun, Złoty Chłopiec z lat czterdziestych i As Judasz z lat pięćdziesiątych wrócił do akcji na czas kryzysu.

Więcej asów: Cyklon, ojciec Mistral, walczył z Rojem w Teksasie, przy pomocy osobistej ekipy kamerzystów wyposażonych w broń automatyczną. Rój wycofywał się na drugą stronę granicy meksykańskiej, ścigany przez czołgi z Fort Bliss i Fort Hood oraz przez piechotę z Fort Polk. Latacze zdziętkowało masowe użycie defoliantów z czasów wojny wietnamskiej. Meksykanie, którzy wolniej się mobilizowali, a ich armia nie była przygotowana do nowoczesnych działań na wielką skalę, nie byli zadowoleni, że Amerykanie spychają Rój do stanu Chihuahua, ale protesty na nic się im zdały.

Nowe obrazy, inne miejsca, kolejne ciała walające się na zrytej ziemi. Sceny z jesiennych równin północnych Niemiec, gdzie Rój opadł prosto na wielkie manewry brytyjskiej Armii Renu i nie zdążył skupić sił. Bardziej niepokojące obrazy napływały z Tracji, gdzie atak Roju nastąpił w punkcie zbiegu granic Grecji, Turcji i Bułgarii. Ludzkie rządy nie chciały ze sobą współpracować i obywatele cierpieli.

Obrazy nadziei i modlitwy: ulice Jerozolimy i Betlejem, już przedtem pełne chrześcijańskich pielgrzymów, którzy tłoczyli się teraz w kościołach, bez końca powtarzając szeptem modlitwy.

Surowe, czarno-białe obrazy z Chin — uchodźcy i długie szeregi maszerujących żołnierzy. Liczbę ofiar oceniano na pięćdziesiąt milionów. Afryka, Bliski Wschód, Ameryka Południowa — obrazy Roju posuwającego się przez trzeci świat, niepowstrzymana fala śmierci. Żaden kontynent poza Australią nie pozostał nietknięty. Obiecywano pomoc, gdy tylko supermocarstwa uporządkują własne podwórka.

Trwały spekulacje na temat tego, co się dzieje w bloku wschodnim. Nikt nic nie mówił, ale wyglądało na to, że Rój wylądował w południowej Polsce, na Ukrainie oraz co najmniej w dwóch miejscach na Syberii. Układ Warszawski zmobilizował swe siły i wysłał je do walki. Komentatorzy przewidywali masowy głód w Rosji. Mobilizacja na pełną skalę wymagała użycia ciężarówek i pociągów używanych przez cywilną ludność do transportu żywności.

Pojawiły się stare obrazy: Mistral unosząca się pod niebem, bezpieczna przed atakiem; Carter podczas przygaszonej, urządzonej z niechęcią konferencji prasowej; burmistrz Filadelfii na granicy hysterii... android odwrócił wzrok. Zobaczył już zbyt wiele.

Wtem wydało mu się, że coś przez niego przeniknęło, jakiś upiorny wiatr, który dotknął jego cybernetycznego serca. Nagle poczuł się słabszy. Z telewizora dobiegł syk. Obraz zniknął. Łącznościowcy zaczęli gadać nerwowo. Część ich sprzętu przestała działać. To zaniepokoiło androida. Coś się działo.

Upiorny wiatr powrócił, dotykając jego wnętrza. Modułowy miał wrażenie, że czas ominął jedno uderzenie serca. Kolejne urządzenia przestały działać. Android podszedł do Cartera.

Gdy generał odłożył słuchawkę, jego dłoń drżała. Android po raz pierwszy widział u niego strach.

— To był impuls elektromagnetyczny — wyjaśnił Carter. — Ktoś właśnie użył broni jądrowej i nie sądzę, żebyśmy to byli my.



Nagłówki gazet nadal krzyczały o inwazji. Dzieci na środkowym zachodzie ostrzegano przed picciem mleka. Istniało ryzyko skażenia od powietrznych wybuchów jądrowych, dzięki którym Sowieci zniszczyli syberyjskie Roje. Łączność nadal była utrudniona. Odbite od jonosfery promieniowanie uszkodziło mnóstwo czipów w amerykańskich komputerach.

Ludzie na ulicach poruszali się ukradkowo. Trwały debaty na temat tego, czy wprowadzić w Nowym Jorku zaciemnienie, mimo że po sześciu dniach ciężkich walk Rój wyraźnie był w odwrocie.

Coleman Hubbard był zbyt zajęty, by mogło go to obchodzić. Szedł Szóstą Aleją i zgrzytał zębami. Głowa pękała mu z bólu spowodowanego niedawnym przedsięwzięciem.

Zawiódł. Jednego z najbardziej obiecujących członków Zakonu, młodego Fabiana, aresztowano pod głupim zarzutem napaści. Chłopak nie potrafił trzymać rąk z dala od kobiet, nawet jeśli nie były zainteresowane. Hubbardowi zlecono interwencję u zajmującego się sprawą kapitana. To nie powinno wymagać wiele, być może kilku zaginionych dokumentów albo umieszczenia w głowie policjanta sugestii, że dowody są niewystarczające... ale umysł tego człowieka był śliski i Hubbard nie był w stanie go pochwycić. W końcu kapitan McPherson warknął gniewnie i wyrzucił go za drzwi. Zdołał osiągnąć tylko tyle, że skojarzono go ze sprawą Fabiana, co mogło spowodować poszerzenie zakresu śledztwa.

Wielki Amun nie zwykł tolerować niepowodzeń. Kara, którą wymierzy, będzie okrutna. Hubbard szukał w myślach argumentów na swą obronę.

Wtem na ulicę tuż przed nim wybiegła smukła, rudowłosa kobieta odziana w eleganckie Burberry. Omal na niego nie wpadła, a potem popędziła dalej bez słowa przeprosin. Pod pachą miała skórzaną teczkę, a na nogach tenisówki. Z przerzuconej przez ramię torby wystawało bardziej odpowiednie obuwie.

Hubbarda przeszył gniew. Nienawidził nieuprzejmości.

Nagle na jego twarzy wykwitł złowrogi uśmiezek. Sięgnął na zewnątrz swym umysłem,

dotknął jej myśli, jej świadomości. Wykrył słabość, stwarzającą mu szansę. Uśmiezek zamarł na jego twarzy, gdy Hubbard przywołał swą moc i uderzył.

Kobieta zachwiała się na nogach, kiedy przejął kontrolę nad jej umysłem. Teczka, którą niosła, upadła na ziemię. Hubbard podniósł ją i ujął kobietę za łokieć.

— Proszę — rzekł. — Wygląda pani na trochę zmieszaną.

Spojrzała na niego, mrugając.

— Słucham?

Jej umysł całkowicie wypełniła dezorientacja. Uspokoił ją delikatnie.

— Moje mieszkanie jest niedaleko stąd. Na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Może powinna pani tam pójść i trochę odpocząć.

— Mieszkanie? Jakie mieszkanie?

Delikatnie zapanował nad jej umysłem i skierował ją w górę ulicy. Rzadko udawało mu się trafić na kogoś tak podatnego. Wezbrała w nim potężna fala radości.

W dawnych czasach używał swej mocy, by wykorzystywać kobiety i niekiedy też dostać awans w pracy. Potem poznał Wielkiego Amuna i zrozumiał, do czego naprawdę służy moc. Rzucił pracę i był teraz na utrzymaniu Zakonu.

Postanowił, że pozostanie w jej umyśle przez kilka godzin. Dowie się, kim była, pozna skrywane strachy, które w niej żyły. A potem zwróci je przeciwko niej, jeden po drugim. Będzie żył w jej umyśle i jednocześnie we własnym, ciesząc się jej przerażeniem, jej pogardą dla samej siebie. Zmusi ją, by błagała na głos o wszystko, co będzie jej robił. Będzie pieścił jej umysł i napawał się narastającym w niej szaleństwem, gdy każe jej błagać o każde ponizienie, o wszystko, co ją przerażało.

A to była tylko drobna część tego, czego nauczył się od Wielkiego Amuna. Tego, co obudziło go do życia.

Na kilka godzin będzie mógł się zatopić w jej strachu i zapomnieć o własnym.



Do szóstej generacji

Część druga

Miasto atakował mroźny front strumieniowy napływający z Syberii. Wdzierał się w luki między budynkami, szarpał pozbawione entuzjazmu bożonarodzeniowe dekoracje, roznosił po ulicach drobiny rosyjskiego opadu radioaktywnego. To była najchłodniejsza zima od wielu lat. Przed dwoma dniami Rój z New Jersey i Pensylwanii oficjalnie uznano za martwy. Asowie, marines oraz siły lądowe wrócili do domu i na Piątej Alei urządzono paradę zwycięstwa. Za kilka dni amerykańscy żołnierze i ci spośród asów, których da się przekonać, by do nich dołączyli, polecą na północ i na południe, aby powstrzymać inwazję Roju w Afryce, Kanadzie i Ameryce Południowej.

Android dotknął pokrytym nowym ciałem palcem otworu na monetę w automacie telefonicznym i poczuł, że coś kliknęło. Te urządzenia po prostu trzeba było zrozumieć. Wykręcił numer.

— Cześć, Cyndi. Jak idą poszukiwania pracy?

— Moduł! Hej... Chciałam powiedzieć... wczorajszy dzień był wspaniały. Nigdy nie myślałam, że będę jechała w paradzie u boku bohatera wojennego.

— Przepraszam, że minęło tyle czasu, nim do ciebie zadzwoniłem.

— Przypuszczam, że walka z Rojem była ważniejsza. Nie przejmuj się. Nadrobiłeś utracony czas. — Roześmiała się. — To był zdumiewający wieczór.

— O nie. — Android odebrał kolejną policyjną rozmowę. — Obawiam się, że muszę lecieć.

— To chyba nie kolejna inwazja, co?

— Nie sądzę. Zadzwonię później, dobra?

— Będę na to czekała.

Ze studzienki w Dżokerowie eksplodowała zielona, galaretowata masa, zalewając ulice. To był pączek Roju, który zdołał uciec z bitwy po drugiej stronie Hudson River. Pożarł dwóch klientów robiących świąteczne zakupy oraz sprzedawcę precli, nim wezwano pomoc i na policyjnej częstotliwości zaczęły się rozmowy.

Android pierwszy przybył na miejsce. Zanurkował w kanion ulicy i zobaczył coś, co wyglądało jak szeroka na dziewięć metrów miska żelatyny, która stanowczo za długo stała w lodówce. W żelatynie unosiły się czarne porzeczkę — trawione powoli ofiary.

Android zawisł nad stworzeniem i otworzył ogień z lasera. Starał się omijać porzeczkę, w nadziei że może uda się je przywrócić do życia. Żelatyna zaczęła wrzeć w miejscach, gdzie

uderzała bezgłówna, niewidzialna wiązka. Pączek bezskutecznie spróbował dosięgnąć nibynóżką swego latającego dręczyciela. Stworzenie potoczyło się w stronę zaułka, szukając drogi ucieczki. Było zbyt głodne albo za głupie, by porzucić zdobycz i schować się w kanałach.

Zdołało się wcisnąć do zaułka i pomknęło wzdłuż niego. Android nie przerywał ognia. Od stwora odpadały kawałki skwierczącego ciała. Wydawało się, że z każdą chwilą opuszczają je siły. Modułowy spojrział przed siebie i zobaczył w zaułku jakąś zgarbioną sylwetkę.

To była biała kobieta, odziana w liczne warstwy strojów, wszystkie znoszone i brudne. Filcowy kapelusz z opadającym rondem włożyła na starą marynarską czapkę robioną na drutach. Z jej przedramion zwisały dwie torby na zakupy. Na czoło opadały splecione siwe włosy. Grzebała w puszcze na śmieci, rzucając przez ramię na ziemię zmięte gazety. Modułowy przyspieszył. Mknął przez zimną mżawkę, wystrzelując przez ramię sterowane radarem pociski. Opadł na jezdnię przed puszką na śmieci. Jego kolana zamortyzowały wstrząs.

— Więc mówię do Maxine, mówię... — powtarzała bezdomna.

— Przepraszam — odezwał się android. Podniósł kobietę i pomknął z nią przed siebie. Za nim pączek Roju parował stopniowo pod ostrzałem spójnych mikrofal.

— Maxine mówi, że moja matka złamała jej dziś rano biodro i nie uwierzysz...

Staruszka okładała go wszystkimi kończynami, nie prze rywając monologu. Android bez słowa zniósł cios łokciem w szczękę, wylądował na najbliższym dachu i wysadził tam pasażerkę. Zwróciła się ku niemu, zaczerwieniona z gniewu.

— No dobra, koleś — warknęła. — Pora, żebyś zobaczył, co Hildy ma w torbie.

— Później zniosę panią na dół — obiecał Modułowy. Odwracał się już, by ruszyć w pościg za stworzeniem, gdy nagle zobaczył kącikiem oka, że kobieta otwiera torbę.

W środku było coś czarnego. Coś, co rosło z każdą chwilą.

Android spróbował się poruszyć, spróbował odlecieć, ale coś go pochwyciło i nie chciało puścić.

To, co kryło się w torbie, robiło się coraz większe. Rosło bardzo szybko. Pochwyciło androida i zaczęło wciągać go do wnętrza torby.

— Stój — powiedział po prostu. Ale tajemniczy napastnik nie posłuchał. Android próbował walczyć, lecz użycie lasera kosztowało go mnóstwo mocy i nic mu już nie zostało.

Ciemność nie przestawała się poszerzać, aż wreszcie go pochłonięła. Poczuł, że spada. A potem nie czuł już nic



Wezwani na pomoc nowojorscy asowie w końcu poradzi sobie z pączkiem Roju. Zostały po nim tylko kałuże ciemnozielonej masy, które szybko zamarzły i przerodziły się w bryły brudnego lodu. Częściowo pożarte ofiary udało się zidentyfikować dzięki niejadalnym kartom kredytowym oraz laminowanym dokumentom.

O zmierzchu zahartowani mieszkańcy Dżokerowa nazywali już stworzenie Zdumiewającym Kolosalnym Potworem Smarkowym. Żaden z nich nie zauważył bezdomnej, która zeszła schodami przeciwpożarowymi ku mroźnym ulicom.



Android ocknął się w puszcze na śmieci w zaułku za Pięćdziesiątą Drugą Ulicą. Kontrola stanu wewnętrznego wykazywała uszkodzenia: laser mikrofalowy wygiął się w sinusoidę; monitor pola strumieniowego był rozbity; moduł lotu wykrzywił się, jak w dłoniach olbrzyma. Modułowy uniósł z brzękiem pokrywę puszek i rozejrzał się po zaułku.

Nikogo tu nie było.



Wielki Amun gorzał w umyśle Hubbarda. W oczach barana płonął gniew. W zaciśniętych pięściach bóg trzymał ankh oraz laskę.

— TIAMAT została pokonana — oznajmił. Mężczyzna wzdrygnął się przed mocą jego gniewu. — Śakti nie była gotowa na czas.

Hubbard wzruszył ramionami.

— To tylko chwilowa porażka — stwierdził. — Mroczna Siostra powróci. Może przebywać gdziekolwiek w Układzie Słonecznym. Wojsko nie potrafi jej odnaleźć ani zidentyfikować. Nie po to żyliśmy w ukryciu przez tyle stuleci, by teraz dać się pokonać.



W porównaniu z niedawnym chaosem w lofcie panował teraz względny porządek. Notatki Travnicka równo ułożono i — o ile było to możliwe — sklasyfikowano według tematów.

Zaczął je przerzucać. To była ciężka robota.

— To znaczy, że zostałeś przeniesiony w przestrzeni o jakieś pięćdziesiąt przecznic, a w czasie o jedną godzinę naprzód, tak? — zapytał androida. Oddech zamarał mu przed twarzą, kondensując się na szklach okularów do czytania. Travniczek je zdjął.

— Na to wygląda. Kiedy wyszedłem z puszek, przekonałem się, że walki w Dżokerowie zakończyły się prawie przed godziną. Porównanie z moim zegarem wewnętrznym wskazało, że minęły siedemdziesiąt dwie minuty i piętnaście przecinek trzysta trzydzieści trzy sekundy.

Android otworzył klatkę piersiową i zastąpił niektóre elementy nowymi. Laser utracił na dobre, ale odzyskał zdolność lotu i udało mu się skłonić do działania monitor pola strumieniowego.

— To ciekawe. Mówisz, że bezdomna raczej nie współpracowała z potworem?

— Najprawdopodobniej znaleźli się na tej samej ulicy przypadkowo. Jej monolog nie sprawiał wrażenia ściśle racjonalnego. Chyba nie jest w pełni władz umysłowych.

Travniczek podkreślił ogrzewanie w kombinezonie. Temperatura w ciągu dwóch godzin spadła o dwanaście stopni i choć było jeszcze popołudnie, na szybach świetlików osadzał się szron.

Zapalił rosyjskiego papierosa, włączył blachę kuchenną, by zagotować wodę na kawę, a potem wsadził ręce do ciepłych kieszeni kombinezonu.

— Chcę obejrzeć zapis twojej pamięci. Otwórz klatkę piersiową — rozkazał.

Modułowy wykonał polecenie. Travnicek wyjął parę przewodów z mikrokomputera ustawionego pod zestawem sprzętu wideo i wetknął je do gniazdek wewnątrz piersi androida, tuż obok osłoniętego maszynowego mózgu.

— Zapisz jego kopię w komputerze — polecił mężczyzna. W jego skupionych oczach odbijały się migotliwe błyski efektów wywoływanych przez generator pola strumieniowego. Po chwili komputer zasygnalizował, że zadanie wykonano.

— Zapnij się — polecił. Gdy android wyjmował przewody i zamykał pierś, Travnicek włączył odtwarzacz, a potem nacisnął klawisz. Obraz zaczął się przewijać do tyłu.

Po dotarciu do punktu, w którym pojawiła się bezdomna, uczony odtwarzał nagranie kilka razy. Potem podszedł do terminala komputera i wpisał instrukcje. Ekran wypełniła twarz bezdomnej. Android przyjrzał się jej pomarszczonemu, brudnemu obliczu, zwisającym w strąkach włosom oraz znoszonemu, wystrzępionemu ubraniu. Po raz pierwszy zauważył, że brakuje jej części zębów. Travnicek wstał i ruszył do swego jednopokojowego mieszkania położonego w tylnej części loftu. Po chwili wrócił z poobtlukiwanym polaroidem. Wykorzystał trzy pozostałe na kliszy zdjęcia i wręczył jedno z nich swemu dziełu.

— Proszę. Możesz je pokazywać ludziom i pytać, czy ją widzieli.

— Tak jest.

Travnicek wyjął pineski i przypiął dwa pozostałe zdjęcia do niskich belek sufitu.

— Chcę, żebyś odnalazł tę bezdomną i zdobył to, co ma w torbie. Dowiedz się też, gdzie to znalazła. — Potrząsnął głową, strącając popiół na podłogę. — Nie sądzę, by wynalazła coś takiego — mruknął. — Musiała gdzieś na to trafić.

— Proszę pana, co z Rojem? Zgodziliśmy się, że za dwa dni mam polecieć do Peru.

— Pierdolić armię — odparł Travnicek. — Nie zapłacili ani grosza za nasze usługi. Nie dostaliśmy nic poza zasraną paradą, a i ją urządzono na koszt miasta, nie wojska. Niech sami się przekonają, jak łatwo się walczy z Rojem bez ciebie. Może wtedy zaczną nas traktować poważnie.

Prawda wyglądała tak, że Travnickowi trudno by było powtórzyć swe rezultaty. To wymagałoby tygodni, być może nawet miesięcy. Armia zażądałaby gwarancji, planów, ujawnienia jego tożsamości. Poza tym problem bezdomnej był ciekawszy. Zaczął machinalnie przewijać w tył zapis pamięci androida.

Modułowy skrzywił się boleśnie w swym komputerowym umyśle. Zaczął mówić pośpiesznie, próbując odciągnąć uwagę swego wynalazcy od obrazów.

— Jeśli chodzi o bezdomną, mógłbym sprawdzić w schroniskach, ale to zajęłoby wiele czasu.

Moje pliki mówią, że w normalnej sytuacji w Nowym Jorku jest około dwudziestu tysięcy bezdomnych, a teraz doszły jeszcze niezliczone tłumy uchodźców z New Jersey...

— Szczać do kielicha! — zaklął Travniczek po niemiecku. Android poczuł, że nadchodzi kolejny nieprzyjemny impuls. Zdumiony mężczyzna gapił się na ekran.

— Rzniesz tę aktorkę! — zawołał. — Tę Cyndi! Jak ją tam zwał?

Android pogodził się z myślą o tym, co nadejdzie.

— To prawda — przyznał.

— Jesteś tylko cholernym opiekaczem — stwierdził wynalazca. — Skąd przyszło ci do głowy, że możesz się pierdolić?

— Wyposażyłeś mnie w ekwipunek — wskazał android. — Wszczepiłeś mi uczucia. A w dodatku uczyniłeś mnie przystojnym.

— Ha. — Travniczek raz po raz przenosił spojrzenie między Modułowym a ekranem. — Wyposażyłem cię w ekwipunek, żebyś mógł udawać człowieka, gdyby okazało się to konieczne. I dałem ci uczucia, żebyś mógł zrozumieć wrogów społeczeństwa. Nie spodziewałem się, że zrobisz z nich użytek. — Rzucił niedopałek na podłogę. Na jego twarzy pojawił się lubieżny uśmiech. — Fajnie było? — zapytał.

— Tak, to sprawiło mi przyjemność.

— Twoja blond lalczka jest wyraźnie zadowolona. — Travniczek sięgnął do konsoli. — Chcę obejrzeć tę zabawę od początku.

— Chyba chciałeś jeszcze raz zobaczyć tę bezdomną?

— Wszystko w swoim czasie. Przynies mi urquella. — Uniósł głowę, jakby nasunęła mu się nowa myśl. — Mamy prażoną kukurydzę?

— Nie! — burknął przez ramię android.

Modułowy przyniósł piwo. Czech pociągnął pierwszy łyk i spojrzał na niego z irytacją.

— Nie podoba mi się to, jak na mnie patrzysz — oznajmił.

Android rozważył jego słowa.

— Czy wolałbyś, żebym spojrzał na ciebie w inny sposób? — zapytał.

Travniczek poczerwieniał.

— Marsz do kąta, mikrofalówko, która się pierdoli! — ryknął. — Odwróć cholerną głowę, odtwarzaczu wideo, który się pierdoli!

Przez resztę popołudnia dzieło Travnicka stało w kącie, podczas gdy on sam oglądał nagranie wideo. Miał świetną zabawę. Najlepsze fragmenty oglądał kilkakrotnie, chichocząc za każdym razem. Potem, powoli, jego śmiech przygasł. Poczuł, że po karku pełźnie mu zimne poczucie niepewności. Zaczął rzucać spojrzenia na stojącą spokojnie w kącie sylwetkę. Wyłączył odtwarzacz, wrzucił niedopałek do butelki po urquellu i zapalił następnego papierosa.

Android okazywał zaskakującą niezależność. Travniczek poddał przeglądowi elementy jego

oprogramowania, skupiając się na pliku ETCETERA. Stworzony przez niego skrótowy opis ludzkich uczuć opierał się na rozmaitych specjalistycznych źródłach, od Freuda po doktora Spocka. Jego napisanie było dla Travnicka intelektualnym wyzwaniem, gdyż wymagało transformacji nielogiczności ludzkiego zachowania na zimną retorykę programu. Wykonał to zadanie podczas drugiego roku pracy na uniwersytecie Texas A&M, kiedy przez cały rok prawie w ogóle nie wychodził z mieszkania i wiedział, że musi sobie postawić szeroko zakrojone zadanie, by nie dać się wpędzić w obłąd szalonej atmosferze panującej na uczelni. Przypominała ona połączone spełnienie podświadomych marzeń Stonewalla Jacksona i Alberta Speera. Wystarczyło mu spędzić tam dziesięć minut, by się zorientować, że popełnił błąd — ostrzyżeni na jeża studenci ze swymi mundurami, butami z cholewami oraz szablami za bardzo przypominali mu SS. Travnicek ledwie ocalał życie w Lidicach, ukryty pod ciałami swych bliskich, a po Niemczech były jeszcze sowieckie i czeskie siły bezpieczeństwa. Wiedział, że jeśli ma przetrwać w Teksasie, musi sobie znaleźć jakąś straszliwie trudną robotę, bo inaczej wspomnienia zeżrą go żywcem.

Nigdy nie interesował się zbyt ludzką psychologią — dawno już doszedł do wniosku, że pasje są nie tylko głupie, lecz również po prostu nudne. Były zwykłą stratą czasu. Ale przerobienie ich na program... tak jest, to było intere sujące.

Ledwie teraz pamiętał ten okres. Ile miesięcy spędził w kreatywnym transie, połączony z najgłębszymi warstwami swego ducha? Co wtedy stworzył? Czym, do licha, było ETCETERA?

Travnicka przeszło przelotne drzenie strachu. W jego umyśle pojawił się na moment cień potwora stworzonego przez Victora Frankensteina. Czy android mógł się zbuntować? Czy mogła się w nim pojawić wrogość do jego twórcy? Nie, bo Travnicek wmontował na stałe do jego systemu nienaruszalne imperatywy. Modułowy nie mógł się oddalić od swych pierwszych dyrektyw, dopóki jego komputerowa świadomość pozostanie fizycznie nienaruszona, podobnie jak człowiek nie mógłby bez niczyjej pomocy zmienić w jednym pokoleniu swego genotypu.

Travnicek poczuł się znacznie lepiej. Spojrzał na androida z czymś w rodzaju podziwu. Był dumny, że zaprogramował maszynę zdolną uczyć się tak szybko.

— Jesteś niezły, opiekaczu — stwierdził wreszcie, wyłączając odtwarzacz. — Całkiem jak ja w młodych latach. — Uniósł palec w ostrzegawczym geście. — Ale dziś w nocy nie będzie numerków. Znajdź mi tę bezdomną.

— Tak jest — odpowiedział stłumionym głosem zwrócony twarzą do ściany Modułowy.



Blask neonu rozświetlał zamarzające w powietrzu oddechy członków gangu natoli stojących pod pastelowym szyldem Run Run Club. Trzeci detektyw John F.X. Black czekał za kierownicą nieoznaczonego samochodu na zmianę świateł, by móc skręcić w Schiff Parkway, i odruchowo

obserwował tłum, zapamiętując twarze, nazwiska i możliwości. Właśnie skończył służbę i zabrał nieoznaczony pojazd, ponieważ jutro miał przez cały dzień odmrażać sobie tyłek, zajęty „obserwacją”, jak to nazywano w telewizji. Ricky Santillanes, drobny złodziejasek, który wczoraj wyszedł za kaucją, uśmiechnął się do Blacka, odsłaniając cały szereg stalowych koronek na zębach, a potem pokazał mu wysunięty środkowy palec. Niech się trochę pocieszy, pomyślał policjant. Gangi natoli przy każdej okazji dostawały łomot od Władców Demonów z Dżokerowa.

Black wyczytał na plakacie, że występująca dziś grupa nosi nazwę Matka Roju. Nikt nie mógłby twierdzić, że hardkorowe zespoły nie nadążają za duchem czasu. Tylko czysty przypadek zrządził, że w tej samej chwili, gdy Black zerkał na plakat, w krąg światła wszedł chwiejnym krokiem policjant nazwiskiem Frank Carroll. Wyglądał jak szaleniec — czapkę trzymał w ręce, włosy miał rozczochrane, a płaszcz pobrudzony czymś, co lśniło fluorescencyjnym żółtym blaskiem w migotliwym świetle neonu. Sprawiał wrażenie, że zmierza do odległego o dwie przecznice komisariatu. Natole roześmiali się i ruszyli ku niemu. Black wiedział, że sektor Carrolla znajduje się daleko stąd i drugi policjant nie powinien się nawet zbliżyć do tego rogu.

Carroll służył w policji od dwóch lat. Zaczął zaraz po ukończeniu liceum. Był białym mężczyzną o ciemnorudych włosach, krótko przyciętych wąsach oraz średniej budowie, choć wzmocnił nieco mięśnie dzięki nieregularnym ćwiczeniom. Sprawiał wrażenie, że poważnie traktuje pracę w policji, był pilny i metodyczny, a do tego często pracował po godzinach, chociaż nie musiał. Black uważał go za pracowitego, lecz pozbawionego wyobraźni. Raczej nie zaliczał się do ludzi, którzy zimą o północy biegaliby po ulicach z szaleństwem w oczach.

Black otworzył drzwi, wstał i zawołał Carrolla po imieniu. Tamten odwrócił się i obrzucił go dzikim spojrzeniem. Potem na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Podbiegł do samochodu i szarpnął za klamkę po stronie pasażera. Black otworzył drzwi.

— Jezu! — zawołał Carroll. — Przed chwilą bezdomna wrzuciła mnie do śmietnika.

Black uśmiechnął się w duchu. Światło wreszcie się zmieniło i wykonał planowany skręt.

— Zaskoczyła cię? — zapytał.

— Masz cholerną rację. Schowała się w zaułku przy Forsyth Street. Miała pudełko zapalek i wielką stertę papierów. Zamierzała podpalić całą puszkę na śmieci, żeby się ogrzać. Kazałem jej przestać i próbowałem ją zaprowadzić do samochodu, żeby ją zawieźć do schroniska w Rutger Park. I nagle bach! Jej torba mnie dorwała. — Spojrzał na Blacka, przygryzając wargę. — Myślisz, że mogła być dżokerką, poru?

„Poru” to był używany w nowojorskiej policji skrót słowa „porucznik”.

— Nie rozumiem. Uderzyła cię torbą, tak?

— Nie. Ta torba... — Do jego oczu powróciło szaleństwo. — Torba mnie zjadła, poru. Coś z niej wylazło i mnie połknęło. To było... — Przerwał, poszukując odpowiednich słów.

— Z pewnością coś paranormalnego. — Zerknął na swój mundur. — Popatrz na to, poru.

Odnakę miał wygiętą jak zegarek na obrazach Salvadora Dali. Dwa guziki również. Dotknął ich z czymś przypominającym bojaźń.

Black wjechał na podjazd załadunkowy i zaciągnął ręczny hamulec.

— Opowiedz mi o tym.

Carroll był wyraźnie zbity z tropu. Potarł czoło.

— Poczułem, że coś mnie złapało, poru. A potem... wessało mnie do torby. Widziałem, jak robi się coraz większa, aż nagle... nagle znalazłem się na śmietniku przy Ludlow Street, na północ od Stanton. Biegłem na komisariat, kiedy mnie zatrzymałeś.

— Teleportowano cię z Forsyth Street do Ludlow Street na północ od Stanton.

— Teleportowano. Tak. To jest odpowiednie słowo. — Na twarzy Carrolła pojawiła się ulga.

— To znaczy, że mi wierzysz. Jezu, poru. Myślałem, że jak nic stanę do ra portu.

— Długo służyłem w Dżokerowie i widziałem wiele dziwnych rzeczy. — Black zwolnił hamulec ręczny. — Znajdźmy tę twoją bezdomną. Minęło tylko kilka minut, prawda?

— Ehe. I mój samochód nadal tam stoi. Cholera, dżokerzy na pewno już go okradli.

Łunę bijącą od płonącej puszkii, pomarańczową na tle brązowego piaskowca budynków, było widać już z Forsyth Street. Black wjechał na podjazd załadunkowy.

— Chodźmy tam na piechotę.

— Czy nie powinniśmy zawiadomić straży pożarnej?

— Jeszcze nie. To mogłoby być dla nich niebezpieczne.

Weszli do zaułka. Black prowadził. Puszka paliła się jasno. Płomienie unosiły się cztery metry w górę pośród obłoków wzbijającego się ku niebu popiołu. Radiowóz Carrolła jakimś cudem pozostał nietknięty, mimo że tylne drzwi były otwarte. Przed puszką, przestępując z nogi na nogę, stała niska biała kobieta, trzymająca w obu rękach pełne torby na zakupy. Miała na sobie kilka warstw obdartych ubrań i mamrotała coś do siebie.

— To ona, poruczniku!

Black przyjrzał się bez słowa kobiecie. Zastanawiał się, jak się do niej zbliżyć.

Nagle rozległ się trzask i płomienie buchnęły wyżej. Wokół kobiety i jej toreb płąsały jasne, migotliwe światła, przypominające ogień świętego Elma. Z jednej z toreb wysunął się jakiś mroczny cień. Ogień pochylił się ku niemu niczym płomień świecy na wietrze i został wessany do środka. W jednej chwili i płomienie, i cień zniknęły. Niezwykłe, barwne światła tańczyły łagodnie po sylwetce kobiety. Na chodnik posypał się tłusty popiół.

— Niech to szlag — wyszeptał Carroll. Black podjął decyzję. Pogrzebał w kieszeni i wyjął portfel oraz klucze do swego nieoznaczonego samochodu. Wręczył Carrollowi dziesięciodolarowy banknot.

— Weź mój wóz, pojedź do Burger Kinga na West Broadway, kup dwa podwójne

cheeseburgery, dwa razy duże frytki i dużą kawę.

Carroll gapił się na niego ze zdziwieniem.

— Zwykłą czy czarną, poru?

— Ruszaj się! — warknął Black. Carroll się oddalił.



Potrzeba było obu cheeseburgerów, kawy oraz jednej porcji frytek, by zwabić bezdomną do nieoznaczonego samochodu. Black był przekonany, że nigdy nie dałoby się jej namówić do wejścia do niebiesko-białego pojazdu Carrolla. Kazał młodszemu policjantowi zamknąć w bagażniku mundurowy płaszcz oraz broń, żeby nie straszyc kobiety. Siedzący w fotelu dla pasażera Carroll drżał z zimna.

Za ich plecami bezdomna mamrotała do siebie, pożerając frytki. Okropnie śmierdziała.

— Dokąd teraz? — zapytał Carroll. — Do jednego ze schronisk? Do kliniki?

Black włączył bieg.

— Do specjalnego miejsca. W górnej części Manhattanu. Nie wiesz wszystkiego o tej kobiecie.

Gdy Black mknął w stronę Dżokerowa, Carroll większą część swej energii wkładał w dygotanie. Bezdomna zasnęła na tylnym siedzeniu. Chrapała świszcząc przez lukę w zębach. Black zatrzymał się przed kamienicą z elewacją z piaskowca na Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

— Zaczekaj tu — polecił. Zszedł po schodach do drzwi mieszkania w piwnicy i nacisnął dzwonek. Na drzwiach wisiał plastikowy wieniec bożonarodzeniowy. Ktoś wyjrzał przez judasza. Drzwi się otworzyły.

— Nie spodziewałem się ciebie — rzekł Coleman Hubbard.

— Mam w samochodzie kogoś, kto... posiada moc. To kobieta niespełna rozumu. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy ją umieścić w sypialni na zapleczu. Jest ze mną policjant, który nie może się dowiedzieć, co jest grane.

Hubbard zerknął na pojazd.

— Co mu powiedziałeś?

— Żeby został w samochodzie. To dobry chłopak i zrobi, co mu każę.

— W porządku. Daj mi włożyć płaszcz.

Carroll przyglądał się z zainteresowaniem, jak Hubbard i Black zwabiali bezdomną do mieszkania za pomocą jedzenia z lodówki. Policjant zastanawiał się, co powiedziałyby jego młodszy kolega, gdyby zobaczył dekoracje w specjalnym, zamkniętym na klucz pokoju za sąsiednimi drzwiami, mrocznym, dźwiękoszczelnym pomieszczeniu z jego świecami, ołtarzem, wymalowanym na podłodze pentagramem, inkrustowanymi metalem rynienkami, błyszczącymi łańcuchami przytwierdzonymi do uchwyty... Pokój nie był tak pięknie urządzony, jak

zniszczona przez wybuch świątynia w śródmieściu, ale przecież była to tylko tymczasowa kwatera główna, z której korzystali, nim skończy się budowa nowej świątyni w tej części miasta.

W mieszkaniu Hubbarda znajdowały się dwa pokoje przygotowane dla gości. Zaprowadzili bezdomną do jednego z nich.

— Zamknij drzwi na klucz — powiedział Black. — I zawiadam Astronoma.

— Wielkiego Amuna już wezwano — odparł Hubbard, stukając się palcem w głowę.

Black poszedł do samochodu i ruszył z powrotem do Dżokerowa.

— Wrócimy po twój samochód — oznajmił Carrollowi. — Potem pojedziemy na komisariat, żebyś mógł złożyć meldunek.

— Kim był ten facet, poruczniku? — zapytał Carroll, spoglądając na niego.

— Specjalistą od dżokerów i od zaburzeń psychicznych.

— Ta kobieta może mu wyrządzić krzywdę.

— Będzie z nią bardziej bezpieczny niż my.

Black zatrzymał się za pojazdem Carrolla. Wysiadł, otworzył bagażnik, wyjął z niego płaszcz oraz kapelusz młodszego policjanta i wręczył mu je. Następnie sięgnął po flet — używane w nowojorskiej policji określenie niewinnie wyglądającej butelki coli zawierającej alkohol — który zamierzał wykorzystać, by ogrzać się podczas jutrzejszej służby. Podał flet Carrollowi. Młody policjant z wdzięcznością przyjął trunek. Black sięgnął po pistolet u pasa kolegi.

— To był fart, że cię spotkałem, poru.

— Ehe. Z pewnością tak.

Black cztery razy strzelił Carrollowi w pierś z jego własnego pistoletu, a potem, gdy drugi policjant upadł na ziemię, wypalił mu jeszcze dwa razy w głowę. Następnie wytarł z broni odciski palców i rzucił ją na ziemię, zabrał butelkę i wrócił do swojego samochodu. Być może dzięki rozlanemu rumowi śledczy uznają, że Carroll próbował zatrzymać jakiegoś menela i ten go załatwił.

W samochodzie pachniało cheeseburgerami. Black przypomniał sobie, że nie jadł kolacji.



Bezdomna zignorowała łóżka i zasnęła na podłodze w kącie pokoju. Torby położyła przed sobą i na sobie niczym szaniec. Hubbard siedział na stołku, przyglądając się jej z uwagą. Uśmiezek na jego twarzy zamarł w nieprzyjemnej parodii samego siebie. W jego mózgu pulsował ból. Wysilek czytania w jej myślach kosztował go bardzo wiele.

Nie ma odwrotu, pomyślał. Musi doprowadzić tę sprawę do końca. Poniósł porażkę w sprawie kapitana McPhersona i z tego powodu jego pozycja w Zakonie znacznie osłabła, i utracił też szacunek Amuna. Gdy Black zjawił się z bezdomną, Hubbard uświadomił sobie, że ma szansę odzyskać dawne miejsce. Okłamał Blacka, mówiąc mu, że zawiadomił Amuna.

Tu była moc. Być może wystarczająco wielka, by napędzać Śakti. Jeśli rzecz w torbie

potrafiła tego dokonać, Amun przestanie być niezbędny.

Hubbard wiedział, że rzecz w torbie pożera ludzi. Być może potrafiłaby połknąć nawet Amuna. Przypomniawszy sobie pożar starej świątyni. Amun zignorował wtedy jego krzyki i przeszedł przez płomienie, prowadząc swych uczniów.

Tak jest, pomyślał. To byłoby warte ryzyka.

Drugi detektyw, Harry Matthias, znany w Zakonie jako Judasz, siedział na łóżku, kryjąc podbródek w dłoniach. Wzruszył ramionami.

— Nie ma mocy asa. To, co ma w torbie, też nie.

Widzę dwa umysły — przemówił do niego w myślach Hubbard. Jeden należy do niej i jest pogrążony w chaosie. Nie jestem w stanie go dotknąć. Drugi kryje się w torbie i w jakiś sposób pozostaje z nią w kontakcie... to empatyczna więź. Ten drugi umysł również sprawia wrażenie uszkodzonego, jakby się do niej przystosował.

Judasz wstał. Twarz miał czerwoną z gniewu.

— Na Boga, dlaczego po prostu nie zabierzemy jej tej choleralnej torby!

Podszedł do bezdomnej, wyciągając ręce.

Hubbard poczuł w umyśle elektryczny impuls świadomości. Bezdomna nie spała. Dzięki mentalnemu łączu z Judaszem zorientował się, że mężczyzna się zawahał na widok złości gorejącej w oczach staruszki. Judasz sięgnął po torbę.

Torba sięgnęła po Judasza.

Pokój wypełniła ciemność szybsza niż myśl. Judasz w niej zniknął. Hubbard gapił się na pustą przestrzeń, która pozostała po policjancie. W jego umyśle tańczył perfekcyjny obłęd bezdomnej.



Judasz drżał. Wargi miał sine. Z włosów zwisała mu bożonarodzeniowa lameta. Do podeszwy jednego z butów przylepił mu się kawałek lepkiej tektury. Jego pistolet wygiął się w sinusoidę. Drżał. Wargi miał sine. Przeniesiono go do puszek na śmieci na Christopher Street. Przeszedł istnieć około dwudziestu minut. Wrócił taksówką.

Moc, pomyślał Hubbard. Niewiarygodna moc. Torba w jakiś sposób wypacza czasoprzestrzeń.

— Dlaczego śmietniki? — zapytał Judasz. — Dlaczego sterty syfu? I popatrz na mój pistolet...

Zauważył, co ma pod podeszwą, i spróbował to oderwać. Tektura odkleiła się z młasnieniem.

— Chyba ma obsesję na punkcie śmieci — stwierdził Hubbard. — Przeniesienie zniekształca też niekiedy nieożywione przedmioty. Wyczułem, że obiekt jest uszkodzony. Może na tym właśnie polega problem?

Musi wymyślić coś, co pozwoli mu poskromić bezdomną. Czekanie, aż zaśnie, nie okazało

się skuteczne. Obudziła się na pierwszy grożący jej ruch Judasza. Zastanawiał się przez chwilę nad gazem trującym, ale potem nasunął mu się inny pomysł.

— Czy macie w komisariacie pistolet strzelający pociskami ze środkiem uspokajającym?

Judasz potrząsnął głową.

— Nie. Może straż pożarna ma taki, bo musi sobie czasem radzić ze zbiegłymi zwierzętami.

Pomysł skryształizował się w umyśle Hubbarda.

— Chcę, żebyście z Blackiem ukradli mi taki pistolet.

Każę wystrzelić Blackowi. Jeśli rzecz w torbie odpowie kontratakami, jej ofiarą padnie policjant. A potem bezdomna zaśnie i urządzenie wpadnie w ręce Hubbarda...

Wtedy nadejdzie jego chwila. Będzie się bawił umysłem bezdomnej bez potrzeby pośpiechu, aż wreszcie z jej mózgu zostanie tak niewiele, że nie będzie wiedziała, co się z nią dzieje. Och, tak.

Wypróbuje moc zdobycznego urządzenia, porywając ludzi z ulicy. A potem może przyjść kolej na samego Amuna.

Oblizął wargi. Nie mógł się doczekać.



Legiony nocy sprawiały wrażenie niezliczonych. Android posiadał abstrakcyjną wiedzę o nowojorskiej podklacie. Wiedział, że tysiące ludzi wegetują pośród szklanych wieżowców i solidnych kamienic, a ich egzystencja jest tak odległa od życia mieszkańców budynków, że równie dobrze mogliby być Marsjanami. Abstrakcyjne, cyfrowe fakty nie stanowiły jednak adekwatnego opisu rzeczywistości, tłumów ludzi podających sobie butelki pośród płonących pojemników na śmieci; mieszkających za kartonowymi ścianami wydzielonych, w których oczach odbijały się bożonarodzeniowe światła; chorych umysłowo, którzy obejmowali się w zaułkach albo w wejściach do metra, wyśpiewując litanie szaleńców. To było tak, jakby na miasto spadł zły czar, jakby część populacji padła ofiarą wojny albo katastrofy i stała się bezdomnymi uchodźcami, podczas gdy pozostałym zakłęcie nie pozwalało ich zauważyć.

Android odnalazł dwa trupy. Z ciał odpłynęły już resztki ciepła. Zostawił je w ich trumnach z gazet i dalej szedł przed siebie. Natrafił też na innych, którzy byli umierający albo chorzy. Tych zabierał do szpitali. Jeszcze inni uciekali przed nim. Niektórzy udawali, że przyglądają się podobnie bezdomnej, unosili zdjęcie, by obejrzeć je w świetle ognia, a potem domagali się pieniędzy w zamian za w oczywisty sposób fałszywe informacje.

Android pomyślał, że jego zadanie jest niemal beznadziejne.

Ale nie dawał za wygraną.



Black i Hubbard czekali pod zamkniętym pokojem bezdomnej. Policjant sączył rum z colą ze swej butelki.

— Sny, kurczę. Niewiarygodne sny. Jezu. Potwory, w jakie nigdy byś nie uwierzył. Ciała lwów, twarze ludzi, skrzydła orłów, cokolwiek tylko można wymyślić. I wszystkie były głodne. Wszystkie chciały mnie zjeść. Za nimi było coś ogromnego, tylko cień, a potem... Jezu...
— Uśmiechnął się nerwowo i otarł czoło. — Nadal zalewa mnie pot, gdy o tym myślę. Po chwili sobie uświadomiłem, że wszystkie te potwory są w jakiś sposób ze sobą powiązane. I wtedy obudziłem się z krzykiem. Ten sen powtarzał się raz po raz. Byłem już niemal gotów pójść do psychologów z wydziału.

— We śnie twój umysł dotknął TIAMAT.

— Ehe. To właśnie powiedział mi Matthias, to znaczy Judasz, kiedy mnie rekrutował. Wyczuł, że TIAMAT do mnie dotarła.

Hubbard rozciągnął usta w swym krzywym uśmiešku. Black nadal nie wiedział, że Ożywienie co noc wnikał do jego umysłu, umieszczał w nim sny i sprawiał, że policjant budził się z krzykiem, doprowadzając go do granic psychozy. Dzięki temu, gdy Judasz wyjaśnił mu, co się dzieje, i zapewnił, że Zakon może go uwolnić od snów, egipscy masoni wydali się mu jedynym możliwym rozwiązaniem. A wszystko to dlatego, że Zakon potrzebował człowieka zajmującego w policji pozycję wyższą od Matthiasa, a Black był wzorowym gliniarzem i czekała go kariera.

— A potem mnie odrzucili. — Policjant potrząsnął głową. — Balsam i inni masoni ze starej szkoły nie chcieli nikogo, kto wychowywał się jako katolik. Skurwysyny. A TIAMAT była już w drodze. Nadal nie potrafię tego zrozumieć.

— Pewnie nie pomógł ci fakt, że twoim patronem jest Franciszek Ksawery.

— Dobrze chociaż, że nigdy się nie dowiedzieli, że moja siostra jest zakonnica. To by mnie załatwiło na sto procent. — Wypił resztę zawartości fletu i poszedł do salonu, by wyrzucić butelkę do śmieci. — Ale za drugim podejściem mi się udało.

Nigdy się nie dowiesz dlaczego, pomyślał Hubbard. Nigdy się nie dowiesz, że Amun używał twojego członkostwa jako narzędzia przeciwko Balsamowi, że chciał, by poprzedni mistrz, z jego irracjonalnymi uprzedzeniami, przestarzałymi poglądami i odziedziczonymi po przodkach mistycznymi bzdetami, przestał blokować mu drogę. Że wykorzystał odrzucenie kandydatury Blacka, by przekonać Kim Toy, Czerwonego oraz Ożywieńca, że Balsama należy się pozbyć. A potem nadszedł pożar w świątyni, zaaranżowany w jakiś sposób przez Amuna, który uratował z płomieni swoich ludzi, pozwalając zginąć Balsamowi i jego zwolennikom.

Hubbard pamiętał wybuch, ogień i ból, pamiętał, jak jego ciało czerniało od dotyku płonącego gazu. Wzywał krzykiem pomocy, widział, jak ogromna astralna postać Amuna wyprowadza swych uczniów. Zginąłby tam, gdyby Kim Toy nie uparła się, że po niego wróci. Amun nie ufał mu wtedy w pełni. Hubbard dopiero niedawno wstąpił do Zakonu i Amun nie miał jeszcze okazji się z nim zabawić, wtargnąć do jego mózgu i obudzić w nim przerażenia, zamieszać w jego

umyśle i podać go długiej serii upokorzeń... Tak, pomyślał, taki właśnie jest Amun. Wiem o tym, bo sam wcale się od niego nie różnię.

Ktoś zapukał do drzwi. Hubbard otworzył je, wpuszczając do środka Judasza, który przyniósł ukradziony pistolet na pociski uspokajające w czerwonej metalowej skrzynce z nalepkami głoszącymi TYLKO DO UŻYTKU SŁUŻBOWEGO.

— Niech to szlag. Myślałem, że kapitan McPherson nigdy mnie nie wypuści.

Wyjęli z Blackiem ze skrzynki wielki czarny pistolet wiatrówkowy, a potem załadowali strzałkę.

— To powinno ją uspić na wiele godzin — stwierdził pewnym tonem Black. — Dam jej coś do jedzenia, a potem strzelę z wejścia, gdy będzie zajęta. — Wsadził pistolet za wszywany pasek na plecach, wyjął z lodówki papierowy talerzyk z pizzą i podszedł do drzwi sypialni. Przekręcił klucz w masywnej kłódce i otworzył ostrożnie drzwi. Hubbard i Matthias nieświadomie cofnęli się o krok, na wpół spodziewając się, że Blacka pochłonie czasoprzestrzenna osobliwość zamieszkująca torbę... ale wyraz twarzy policjanta zmienił się nagle. Black wsadził głowę do środka, spojrział w prawo i w lewo, a potem cofnął się na korytarz ze zdziwioną miną.

— Zniknęła — oznajmił. — W środku jej nie ma.



Modułowy popatrzył na drinki ustawione przed nim na barze. Kawa po irlandzku, martini, margarita, boilermaker, napoleon. Miał wielką ochotę natychmiast zaznajomić się z nowymi smakami. Zastanawiał się, czy uszkodzenie niektórych jego części przez ustrojstwo bezdomnej nie osłabiło w nim poczucia śmiertelności.

— Zaczynam sobie uświadamiać, że mój stwórca to nieuleczalny socjopata — stwierdził, unosząc do ust kawę po irlandzku.

Cyndi rozważyła jego słowa.

— Jeśli wybaczysz mi odrobinę teologii, moim zdaniem oznacza to tylko tyle, że jedziesz na tym samym wózku co my wszyscy.

— On zaczyna... mniejsza z tym, co zaczyna robić. Myślę, że jest nienormalny.

— Mógłbyś uciec. Słyszałam, że niewolnictwo jest nielegalne. Podejrzewam, że nie płaci ci nawet minimalnej pensji.

— Nie jestem człowiekiem. Maszyny nie mają praw.

— To jeszcze nie znaczy, że musisz robić wszystko, co ci każe, Moduł.

Android potrząsnął głową.

— To się nie uda. Wbudował we mnie ograniczenia, które każą mi go słuchać i wykonywać jego polecenia, a także zabraniają mi ujawniania jego tożsamości w jakikolwiek sposób.

— Jest dokładny — zauważyła Cyndi ze zdumioną miną. — Muszę mu to przyznać. — Przyjrzała się z uwagą Modułowemu. — Po co właściwie cię zbudował?

— Chciał mnie produkować masowo i sprzedawać wojsku. Podejrzewam jednak, że za dobrze się mną bawi i może nigdy nie odstąpić praw Pentagonowi.

— Na twoim miejscu cieszyłabym się z tego.

— Za mało na ten temat wiem.

Android sięgnął po kolejnego drinka, a potem pokazał Cyndi zdjęcie kobiety.

— Muszę odnaleźć tę osobę.

— Wygląda na bezdomną.

— Bo to jest bezdomna.

— Nie słuchałeś wiadomości? — zapytała ze śmiechem Cyndi. — Wiesz, ile tysięcy takich kobiet mamy w mieście? Trwa recesja. Menele, dzieci, które uciekły z domu, bezrobotni, pechowcy, pacjenci wyrzuceni z psychiatryków z powodu cięć w budżecie stanowym... Schroniska dają uchodźcom przed Rojem pierwszeństwo przed ludźmi z ulicy. Jezus, nawet w taką noc jak dzisiaj. Wiesz, że już w tej chwili to najzimniejsza grudniowa noc w historii? Musieli otworzyć kościoły, komisariaty i wszystkie takie miejsca, żeby włóczędzy nie zamazali na śmierć. A wielu z nich nie chce korzystać z żadnych schronisk, bo za bardzo boją się władz albo są zbyt szaleni, by sobie uświadomić, że potrzebują pomocy. Nie zazdroszczę ci, Moduł, nawet w najmniejszym stopniu. Jutro w pojemnikach na śmieci będzie pełno trupów.

— Wiem o tym. Sam na parę natrafiłem.

— Jeśli chcesz ją odnaleźć, zanim zamazanie na śmierć, sprawdź najpierw ogniska palone w puszkach, a dopiero później schroniska. — Znowu przyjrzała się zdjęciu, marszcząc brwi.
— Dlaczego właściwie jej szukasz?

— Chyba... była świadkiem czegoś.

— W porządku. No dobrze. Życzę ci szczęścia.

Android zerknął przez ramię na taras widokowy na patio, pokryty błyszczącą warstewką lodu. Za barierą lśniły zimne światła Manhattanu. Nigdy jeszcze nie wydawały się tak klarowne, jakby razem z budynkami i ludźmi zostały uwięzione w ogromnym kryształ. To było tak, jakby miasto nie znajdowało się bliżej niż gwiazdy i podobnie jak ono nie było w stanie dawać ciepła.

Umysł androida przeszło czysto mentalne drżenie. Pragnął zostać tutaj, w ciepłej Wieży Asów, wykonując czysto dla niego abstrakcyjne ruchy unoszenia do ust naczyń z ciepłymi napojami. Dawało mu to pocieszenie, nawet jeśli logika wskazywała, że nie ma w tym sensu. Nie rozumiał do końca tego impulsu, wiedział jednak, że tak jest. Zapewne odpowiadała za to ludzka część jego oprogramowania.

Na jego pragnienia nałożono jednak bariery, a jedną z nich było posłuszeństwo. Mógł pozostawać w Wieży Asów dopóty, dopóki służyło to jego misji poszukiwania bezdomnej.

Dokończył szereg drinków i pożegnał się z Cyndi. Jeśli nie zdarzy się cud i nie znajdzie szybko bezdomnej, spędzi resztę nocy na ulicach.



Czwarta nad ranem. Samochód podskoczył na włązie do studzienki i na udo Colemana Hubbarda wylała się gorąca kawa. Zignorował to. Wyjął wielki styropianowy kubek spomiędzy ud i pociągnął łapczywie łyk. Musiał zachować przytomność.

Szukał bezdomnej. Sprawdzał wszystkie schroniska, przejeżdżał przez wszystkie ciemne ulice, sięgał na zewnątrz swym umysłem, w nadziei że odnajdzie regularności szaleństwa i gniewu, które wyczuł w jej uszkodzonym mózgu.

Zajmował się tym już od prawie dwudziestu czterech godzin. Ogrzewanie w starym, wynajętym gracie przestało działać. Jego ciało zmieniło się w masę kurczów, a pod czaszką tłukł rytmicznie kafar. Nie pocieszał go też fakt, że Black i Judasz również zamarzają, zajęci tym samym zadaniem.

Hubbard ponownie wsunął kubek między uda, włączył światelko i spojrzął na kartkę z listą schronisk. Salę gimnastyczną w pobliskiej szkole dla dziewcząt wypełniali uchodźcy. Jeszcze jej nie sprawdzał.

Gdy się do niej zbliżył, wypełniło go niepokojące poczucie znajomości, przypominające déjà vu. Ból głowy się nasilił. Dopadły go mdłości. Minęło kilka sekund, nim sobie uświadomił, co znaczy to wrażenie.

Była tu. Ogarnęło go uniesienie. Oderwał myśli od wypaczonych regularności umysłu bezdomnej i sięgnął nimi do Blacka, który patrolował inną okolicę. U boku miał pistolet naładowany usypiającą strzałką.

Pośpiesz się! — zawołał. Znalazłem ją!



Modułowy szedł długimi przejściami między szeregami łóżek, rozglądając się na lewo i prawo. Do sali gimnastycznej prywatnego liceum wciśnięto ośmiuset uchodźców. Dla mniej więcej połowy znaleziono składane łóżka, najwyraźniej ściągnięte z jakiegoś składu Gwardii Narodowej. Reszta spała na podłodze. W wielkiej sali niosły się echa chrapania, płaczu oraz krzyków dzieci.

Była tu. Chodziła między łóżkami i mamrotała do siebie, wlokąc za sobą ciężkie torby. Uniosła wzrok w tej samej chwili, gdy android ją zauważył, i ona również przeżyła szok rozpoznania. Towarzyszył mu złowrogi, szczerbaty uśmiech.

Android w jednej pikosekundzie zerwał się do lotu. Jego myśli były szybkie jak światło. Jeśli kobieta zamierzała użyć przeciwko niemu tego, co miała w torbie, chciał się znaleźć jak najdalej od niewinnych świadków. Gdy tylko oderwał stopy od podłogi, włączyło się pole strumieniowe, otaczając go skwierczącą osłoną. Rzecz w torbie nie odnajdzie niczego materialnego, co mogłaby pochwycić.

Modułowy włączył radar. Miotacz granatów gazowych na jego lewym ramieniu obrócił się

z terkotem, celując w bezdomną. Bark androida zaabsorbował odrzut. Granat stał się materialny, gdy tylko opuścił pole, ale zachował impet. Bezdomną otoczyła nieprzejrzysta chmura gazu.

Kobieta uśmiechnęła się do siebie. Wokół niej pojawiła się nagle ciemność. Gaz utonął w niej, wciągnięty do torby niczym trąba wodna.

Gdy tylko uchodźcy zauważyli, co się dzieje, wybuchła panika.

Bezdomna ponownie otworzyła torbę. Android zobaczył kryjącą się w niej ciemność. Poczł, że przenika przez niego coś zimnego, co próbuje przyciągnąć jego niematerialne ciało. Nad jego głową stalowe dźwigary podtrzymujące sufit zadźwięczały jak dzwoneczki.

Z twarzy bezdomnej zniknął krzywy uśmieszek.

— Ty sukinsynu — mruknęła. — Przypominasz mi Shauna.

Modułowy zatrzymał się pod sufitem. Zanurkuje na kobietę, w ostatniej chwili stanie się materialny i spróbuje wyrwać jej torbę, licząc na to, że uniknie pochłonięcia.

Bezdomna znowu się uśmiechnęła. Gdy android znalazł się tuż za nią, włożyła sobie torbę na głowę.

I torba ją połknęła. Najpierw zniknęła głowa, a po niej reszta ciała. Następnie torba złożyła się i również zniknęła.

— To niemożliwe — powiedział ktoś.

Android rozejrzał się uważnie po sali. Bezdomnej nigdzie nie było.

Ignorując narastający na dole niepokój, uniósł się w górę i umknął przez sufit. Wokół niego pojawiły się zimne światła Manhattanu. Wzlatywał coraz wyżej w noc.



Hubbard przez niekończącą się chwilę gapił się na miejsce, gdzie przed chwilą była bezdomna. A więc tak to zrobiła, pomyślał.

Potał skostniałe dłonie, myśląc o ciągnących się bez końca mroźnych ulicach, o długich, zimnych godzinach poszukiwań. O ile wiedział, bezdomna mogła już być w New Jersey.

Czekała go długa noc.



— Niech szlag trafi tę babę! — warknął Travnicek. Dłoń, w której trzymał list, drżała z gniewu. — Eksmitowali mnie! — Machnął ze złością kartką. — Zakłócenie porządku! — mruknął. — Niebezpieczny sprzęt! Kurwa, sześćdziesiąt dni! — Zaczął tupać ciężkimi buciorami w podłogę, celowo próbując wywołać wstrząsy w mieszkaniu na dole. Jego oddech przy każdym słowie zamieniał się w parę. — Co za suka! — ryknął. — Wiem, co kombinuje! Chciała, żebym wyremontował loft na własny koszt, po to, by potem mnie wykwaterować i zażądać wyższego czynszu. Ale ja nie wydałem fortuny na remonty, więc postanowiła poszukać innego jelenia. Jakiegoś dupka z pierdolonej klasy średniej.

Zerknął na androida, który czekał cierpliwie, trzymając papierową torbę z gorącymi

croissantami oraz kawą na wynos.

— Chcę, żebyś dziś w nocy wtargnął do jej gabinetu i zdemolował go — oznajmił. — Niech nic nie pozostanie nietknięte, ani jedno krzesło czy kawałek papieru. Tylko połamane meble i konfetti. A gdy będzie tam sprzątała, zrób to samo w jej mieszkaniu.

— Tak jest — odparł z rezygnacją android.

— Pierdolona Lower East Side — poskarżył się Travnicek. — Jeśli ta dzielnica zacznie mieć pretensje, co nam pozostanie? Będę musiał się przenieść do Dżokerowa, żeby zdobyć odrobinę spokoju.

Wziął kawę z rąk androida, nie przestając tupać w podłogę.

Nagle obejrzał się przez ramię, spoglądając na swoje dzieło.

— I co? — warknął. — Szukasz tej bezdomnej czy nie?

— Tak jest, szukam. Ale skoro granat gazowy nie okazał się skuteczny, pomyślałem sobie, że spróbuję oślepiacza.

Travnicek podskoczył kilka razy. Stukot poniósł się echem po lofcie.

— Jak sobie życzysz. — Przestał skakać i się uśmiechnął. — Dobra — rzekł. — Wiem, co zrobię. Włączę wielkie generatory!

Modułowy postawił papierową torbę na stole roboczym, wymienił broń i odleciał bezgłośnie przez sufit. Nad miastem nadal dął zimny wichur, który wnikał między wieżowce, przesuwał ludzi jak słomki unoszące się na wodzie. Temperatura podniosła się nieco powyżej punktu zamarzania wody, ale wiatr przynosił chłód tworzący wrażenie mrozu.

Dziś w nocy umrą kolejni ludzie, pomyślał android.



— Hej — odezwała się Cyndi. — Może byśmy zrobili chwilę przerwy?

— Jak sobie życzysz.

Uniosła ręce i ujęła jego głowę w dłonie.

— Tyle wysiłku — zauważyła. — Czy nigdy się nie pocisz?

— Nie. Po prostu włączam chłodzenie.

— Zdumiewające. — Android zsunął się z niej. — Robię to z maszyną — dodała z namysłem. — No wiesz, przedtem bym pomyślała, że to będzie choć trochę perwersyjne. Ale nie jest.

— To miłe, że tak mówisz. Tak myślę.

Modułowy poszukiwał bezdomnej przez dwie doby i doszedł do wniosku, że potrzebuje kilku godzin dla siebie. Usprawiedliwiał tę przerwę jako konieczną dla morale. Zamierzał przenieść całość wspomnień z tego wieczoru z właściwego miejsca w jakieś inne i zastąpić je nudną powtórką z wczorajszych poszukiwań bezdomnej. Jeśli szczęście się do niego uśmiechnie, Travnicek przewinie cały zapis patrolu i nie będzie próbował szukać pornograficznych

wspomnień.

Usiadła w łóżku i sięgnęła do nocnego stolika.

— Chcesz trochę koki?

— Szkoda jej dla mnie marnować. Ale nie krępuj się.

Ustawiła ostrożnie lusterko przed sobą i zaczęła ostrożnie przygotowywać biały proszek. Potem wciągnęła go w obie dziurki i z uśmiechem wsparła głowę na poduszkach. Spojrzała na androida i ujęła go za rękę.

— No wiesz, naprawdę nie musisz się aż tak spinać — rzekła. — No wiesz, mógłbyś skończyć, gdybyś chciał.

— Ja nigdy nie kończę.

— Co? — zdziwiła się. Jej oczy lekko się zaszklily.

— Nie kończę. Orgazm to złożona seria losowych impulsów neuronów. Nic, co robię, nie jest naprawdę losowe. To tak nie działa.

— O kurwa. — Cyndi zamrugęła. — Co w takim razie czujesz?

— Przyjemność. W bardzo skomplikowany sposób.

Uniosła głowę i zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami.

— To by się mniej więcej zgadzało — skonkludowała. Wciągnęła dwie kolejne kreski i popatrzyła na niego radośnie. — Dostałam robotę — oznajmiła. — Dlatego mogę sobie pozwolić na kokę. Zrobiłam sobie prezent na Boże Narodzenie.

— Gratuluję — odparł z uśmiechem.

— To będzie w Kalifornii. Reklama. Wielka mała ma mnie w ręce i ratuje mnie Bud Man. No wiesz, ten facet z reklam piwa. A na koniec... — Zatoczyła oczami. — Na koniec wszyscy upijamy się na wesoło, Bud Man, mała i ja, pytam małpę, jak leci, i ona beka. — Zmarszczyła brwi. — W sumie to niesmaczne.

— To właśnie chciałem powiedzieć.

— Ale będę miała szansę na gościnny występ w *Hotelu za dwadzieścia dolarów*. Mam mieć romans z gangsterem albo coś w tym rodzaju. Mój agent nie wyrażał się zbyt precyzyjnie. — Zachichotała. — Ale przynajmniej nie będzie żadnych olbrzymich małp. No wiesz, jedna mi wystarczy.

— Będzie mi ciebie brak — rzekł android. Nie był pewien, co czuje. W gruncie rzeczy nie wiedział nawet, czy to, co czuł, można nazwać czuciem. Cyndi odgadła jego myśli.

— Uratujesz też inne miłe panie.

— Pewnie tak. Ale żadna nie będzie miłsza od ciebie.

Znowu się roześmiała.

— Prawisz świetne komplementy — zauważyła.

— Dziękuję.

Poklepała go po kopule.

— Minie jeszcze z tydzień, nim będę musiała wyjechać. Możemy spędzić razem jeszcze parę chwil.

— To by było dobre.

Android zamyślił się nad swym głodem doświadczeń i nad tym, w jak dziwny sposób jego kariera zaspokaja ten głód. Odnosił wrażenie, że żadne wrażenia nigdy nie zaspokoją go do końca.



Android unosił się nad ulicą. Detektory podczerwieni w jego plastikowych oczach włączały się i wyłączały na przemian. Podmuchy wiatru próbowały uderzać nim o budynki. Poza kilkoma godzinami spędzonymi z Cyndi robił to non stop przez cztery dni.

Na ulicy ktoś wyrzucił styropianowy kubek przez okno niebieskiego dodge'a. Modułowy zastanawiał się, gdzie poprzednio widział identyczne zachowanie.

Makroatomowe przełączniki wykonały bezgłośny nadprogowy przegląd danych i android uświadomił sobie, że widuje tego niebieskiego dodge'a bardzo często, i to z reguły w tych samych miejscach, które sam odwiedzał w ciągu kilku ostatnich dni — w centrach i schroniskach dla uchodźców oraz podczas nieustannego nocnego patrolowania ulic. Ten, kto siedział w tym samochodzie, kogoś szukał. Android zadał sobie pytanie, czy może chodzić o bezdomną. Postanowił, że będzie obserwował dodge'a.

Samochód poruszał się wolniej od niego, Modułowy zaczął więc lecieć zygzakiem, sprawdzając ulice po lewej i po prawej, a co jakiś czas wracając do dodge'a. W ośrodku Armii Zbawienia w Dżokerowie miał okazję dobrze przyjrzeć się pasażerowi samochodu. To był biały mężczyzna w średnim wieku. Jego skrzywiona, wymizerowana twarz miała udręczony wyraz. Android zapamiętał numer rejestracyjny i znowu uleciał pod niebo.

Wreszcie, po wielu godzinach, znowu ją ujrzał. Była tuż przed dodge'em, skuliła się przy czymś ganku, jej torby leżały na niej. Android wylądował na dachu i czekał. Dodge zwolnił.



— I Shaun mówi do mnie, mówi, chcę, żebyś poszła do tego doktora...

Hubbard chował się pod płaszczem. Miał wrażenie, że wiatr przenika przez jego ciało, wędruje przez mięśnie i kości. Dzwonił zębami. Jechał chyba przez całe lata, nim znowu nawiedziło go to okropne, przyprawiające o mdłości wrażenie déjà vu. Znalazł ją. Kuliła się za czymś gankiem, skryta za szanćcem z toreb na zakupy.

— Twojej matce nie dolega nic, czego nie wyleczyłaby szklaneczka irlandzkiej whisky...

Black, znowu ją znalazłem. Lower East Side.

Jesteś pewien, że tym razem nic nie pójdzie źle? — odpowiedział sardonycznym pytaniem policjant.

Robota tu nie ma. Postaram się nie rzucać w oczy.

Dziesięć minut.

Przywieź coś do zarcia — zażądał Hubbard. Spróbujemy ją zaskoczyć.

— Pierdol się, Shaun, mówię. Pierdol się.

Bezdomna zerwała się na nogi, potrząsając pięścią ku niebu.

Hubbard spojrział na nią.

— Zgadzam się z tobą — wymamrotał. Następnie uniósł wzrok. — O kurwa.



Modułowy wystartował z dachu. Nie potrafił określić, czy bezdomna krzyczy na niego, czy na sam firmament. Kierowca dodge'a skrył się za innym gankiem, odległym o kilka domów. Nic nie wskazywało na to, by zamierzał cokolwiek zrobić.

Android pomyślał o tym, jak bezdomna wypaczyła jego elementy, o zaprzestaniu istnienia, które nastąpi, jeśli moc kobiety dosięgnie jego generatorów albo mózgu. Jego umysł wypełniły wspomnienia: zapach whisky single malt w nosie; grubas ze strzelbą; Cyndi jęcząca cicho w jego ramionach; warcząca, tocząca pianę małpa... Nie chciał stracić żadnego z nich.



— O kurwa — powiedział Hubbard, spoglądając z przerażeniem w górę. Android unosił się w powietrzu, dwanaście metrów nad bezdomną. Kobieta krzyczała na niego, sięgając po torbę. To, co było w niej ukryte, poprzednim razem nie zdołało go pochwycić.

Hubbardem zawładnęła nagła furia. Sięgnął na zewnątrz swym umysłem. Przejmie kontrolę nad androidem i zacznie nim walić o chodnik, aż wreszcie zostanie tylko sterta rozbitych części...

Jego umysł dotknął zimnego, makroatomowego mózgu maszyny. W świadomości Hubbarda zapłonął ogień. Z jego ust wyrwał się krzyk.



W torbie na zakupy było coś czarnego. Coś, co rosło.

Android zanurkował prosto na to coś, rozpościerając szeroko ręce. Jeśli kobieta w ostatniej chwili poruszy torbę, może się zrobić naprawdę paskudnie.

Ciemność rosła. Wiatr targał Modułowym, próbując wytrącić go z kursu, ale android wprowadził poprawki.

Zderzywszy się z ciemnością portalu, ponownie poczuł, że ogarnia go pochłaniająca wszystko pustka. Nim jednak zdążył się zatracić, jego dłonie zacisnęły się na brzegach torby i nie zwolniły uścisku.

Przez krótki ułamek sekundy czuł satysfakcję. Potem, zgodnie z przewidywaniami, nie czuł już nic.



Ciepłego powietrza nad miejskim wysypiskiem śmieci w St. Petersburgu na Florydzie nie chłodził syberyjski wicher. Smród był tu okropny. Tym razem Modułowy stracił prawie cztery godziny. Instrumenty kontrolne nie wykrywały żadnych uszkodzeń wewnętrznych. Miał szczęście.

Stanął pośród cuchnących odpadków i zaczął grzebać w torbie na zakupy. Szmaty, fragmenty ubrania, kawałki jedzenia, a potem sam obiekt, czymkolwiek mógł być. Czarna sfera wielkości kuli do kręgli ważyła około dwóch kilogramów. Nie widział żadnych przełączników ani nic, co pozwalałoby nią sterować.

W dotyku była ciepła. Android przycisnął ją do piersi i uniósł się pod pogodne niebo.



— Nieźle — ucieszył się Travnicek. — Dobrze się spisałeś, opiekaczu. Mogę się poklepać z uznaniem po plecach za to, jak cię zaprogramowałem.

Android przyniósł mu kubek kawy. Czech uśmiechnął się, wypił łyk i wrócił do kontemplacji obcej kuli leżącej na jego stole roboczym. Próbował nią manipulować za pomocą rozmaitych zdalnych urządzeń, ale nic nie osiągnął.

Podszedł do stołu i przyjrzał się obiektowi z bezpiecznej odległości.

— Może potrzebna jest bliskość, żeby ją uruchomić — zasugerował android. — Może powinienes jej dotknąć.

— A może ty powinienes pilnować swojego nosa. Nie zamierzam się zbliżyć do tego skurwysyństwa.

— Tak jest.

Modułowy umilkł na chwilę. Travnicek popijał kawę. Nagle potrząsnął głową i odwrócił się od stołu.

— Możesz jutro polecieć do Peru i dołączyć do swych kumpli z wojska. Przy okazji skontaktuj się z jakimiś południowoamerykańskimi rządami. Może zapłacą więcej niż Pentagon.

— Tak jest.

Travnicek zatarł dłonie.

— Mam ochotę to uczcić, mikserze. Idź do sklepu i kup mi butelkę cold duck, a do tego trochę pączków z dżemem.

— Tak jest.

Android z twarzą bez wyrazu przybrał niematerialną postać i odleciał przez sufit.

Travnicek poszedł do ogrzewanego pokoiku, w którym sypiał, włączył telewizor i usiadł w sfatygowanym, głębokim fotelu. Poza ostatnimi bożonarodzeniowymi reklamami dla ostatnich nabywców nadawano japońską kreskówkę o gigantycznym androidzie walczącym z ziejącymi ogniem jaszczurami. Travnicek ją uwielbiał. Usiadł wygodniej i pogрузzył się w oglądaniu.

Kiedy android wrócił, jego twórca spał. Na ekranie Reginald Owen grał Scrooge'a.

Modułowy postawił cicho torbę na podłodze i się oddalił.

Może Cyndi będzie w domu.



Coleman Hubbard przebywał na swym oddziale w Bellevue. Miał na sobie szpitalną pizamę. Ludzie o uszkodzonych mózgach łazili po korytarzach, kłócili się, grali w karty. Na stanowisku pielęgniarek świeciło plastikowe drzewko. Niewidoczny dla nikogo poza Johnem F.X. Blackiem Amun unosił się w swej królewskiej chwale nad głową Hubbarda, słuchając jednocześnie jego słów:

— Jeden jeden zero jeden zero zero zero jeden jeden zero jeden jeden jeden...

— To trwa już dwadzieścia cztery godziny — odezwał się Black. — Nie możemy z niego wydobyć nic poza tym.

— Jeden zero zero zero jeden zero...

Obraz Amuna przygasł na chwilę i Hubbard zobaczył sylwetkę chudego staruszka o oczach przypominających roztrzaskane cienie. Potem Amun wrócił.

Nie jestem w stanie się z nim skontaktować. Ani nawet zadać mu bólu. To jest tak, jakby jego umysł był w kontakcie... z jakąś maszyną. Zaciśnął pięści. Co mu się stało? Z czym tam się skontaktował?

Z *TIAMAT*? — zapytał Black, unosząc brwi.

Nie. TIAMAT nie jest taka. Jest bardziej żywa niż wszystko, co kiedykolwiek spotkasz.

— ...zero jeden jeden zero zero zero jeden zero...

Kiedy go znalazłem, zobaczyłem bezdomną i uśpiłem ją pociskiem, ale nic nie znalazłem w jej torbach. Cokolwiek to było, teraz ma to ktoś inny.

— ...jeden zero zero jeden zero...

W oczach barana zapłonął ogień. Potem jego ciało się wykręciło, przybierając postać chudego charta o łukowatym pysku, odsłoniętych kłach oraz potężnym, rozdwojonym ogonie unoszącym się nad grzbietem. Black poczuł na karku dotknięcie strachu. Amun przerodził się w Setecha, niszczyciela. Astralna iluzja wydawała się przerażająco realna. Policjant spodziewał się ujrzeć skapującą ze zwierzęcego pyska krew, ale nie było jej tam. Przynajmniej jak dotąd.

Wykorzystał cię do nieautoryzowanej misji — poinformował go Setech. *Zapewne był to element spisku skierowanego przeciwko mnie. Teraz stał się zagrożeniem dla nas wszystkich. Jeśli się z tego wyrwie, może powiedzieć coś, czego nie powinien mówić.*

Wykończ go, panie — zasugerował Black.

Z pyska bestii skapnęła piana. Gdy krople spadły na podłogę, buchnął z nich dym. Inni pacjenci nie zwracali na to uwagi.

Jeśli wniknę do jego głowy, mogę... zarazić się tym, co on.

Policjant wzruszył ramionami.

Chcesz, żebym ja to zrobił?

Tak. Tak chyba byłoby najlepiej.

Podrzuciłem już do jego mieszkania testament, w którym zostawia wszystko naszej organizacji.

Bestia wywaliła ozór. Wyraz jej oczu złagodniał.

Potrafisz wybiegać myślą naprzód. To mi się podoba. Być może pora dać ci awans.



Miliony kilometrów od Ziemi, niemal całkowicie zasłonięta przez Słońce, Matka Roju kontemplowała swe ocalałe, rozproszone pączki. Ziemscy obserwatorzy byliby zaskoczeni, gdyby się dowiedzieli, że Rój nie uważa ataku za porażkę. Miał on być raczej sondą niż poważną próbą podboju, a analiza danych uzyskanych przez uczestniczące w nim stworzenia pozwoliła stworzyć szereg różnych hipotez.

W Tracji Rój spotkał się z trzema różnymi reakcjami, pozbawionymi nawet najmniejszych oznak współpracy. Mogło to sugerować, że Ziemia jest podzielona między grupę różnych jestestw, ekwiwalentów Matki Roju, które nie pomagały sobie nawzajem w swych przedsięwzięciach.

Liczne stworzenia w syberyjskim Roju zostały zniszczone w jednej chwili, przekazując Matce telepatyczny sygnał swej agonii. Nie było wątpliwości, że ziemskie matki dysponują straszliwie niszczycielską bronią, której jednak są skłonne używać tylko na niezamieszkanym obszarach. Być może niepokoiły się o szkody dla środowiska.

Jeśli ziemskie matki są podzielone i wszystkie posiadają tego typu broń, być może uda się zwrócić je przeciwko sobie. A jeżeli Ziemia nie będzie się potem nadawać do zamieszkania, Rój był gotowy poczekać tysiące lat, by znowu stała się użyteczna. Ten okres będzie niczym w porównaniu z dotychczasowym oczekiwaniem.

Rój, zasłonięty przez słońce, postanowił skoncentrować swe obserwacje na próbach potwierdzenia tych hipotez.

Wyczuwał tu szansę.



— Więc mówię do Maxine, mówię. Kiedy coś zrobisz z tą swoją chorobą? Mówię, pora już pójść do doktora.

Bezdomna jedną torbę zawiesiła na ramieniu, drugą zaś przyciskała do piersi. Posuwała się powoli w głąb zaułka, walcząc z syberyjskim wichrem.

Blond włosy Cyndi powiewały ma wietrze. Odziana w kurtkę z cielej skóry dziewczyna drżała z zimna. Modułowy spróbował porozmawiać z bezdomną i wręczyć jej torbę pełną chińszczyzny, ale ona nadal mamrotała do siebie, brnąc w głąb zaułka. Wreszcie android wpełchnął poczęstunek do jej torby i wrócił do miejsca, gdzie czekała Cyndi.

— Daj sobie spokój, Moduł. Nie możesz nic dla niej zrobić.

Wziął ją w ramiona i pomknął po spirali ku niebu.

— Ciągłe myślę, że coś jednak mogę.

— Nadludzkie moce nie są odpowiedzią na wszystko, Moduł. Musisz się pogodzić ze swoimi ograniczeniami.

Android nie odpowiedział.

— Jeśli nie chcesz, żeby ten interes doprowadził cię do szaleństwa, musisz zrozumieć, że nikt jeszcze nie wynalazł mocy dzikiej karty zdolnej choć w niewielkim stopniu pomóc staruszkom, które mają nie po kolei w głowie, noszą cały swój świat ze sobą w torbach na zakupy i mieszkają w puszkach na śmieci. Nawet ja o tym wiem, mimo że nie mam żadnych mocy. — Przerwała.

— Słuchasz mnie, Moduł?

— Tak, słyszę cię. Wiesz co? Jesteś okropnie cyniczna, jak na dziewczynę z Minnesoty.

— Hej, życie w Hibbing podczas recesji jest trudne.

Mknęli w stronę Wieży Asów. Cyndi wyjęła z kieszeni kurtki paczuszkę owiązaną czerwoną wstążką.

— Mam dla ciebie prezent — oznajmiła. — Bo to nasza ostatnia noc. Wesołych świąt.

— Nie pomyślałem o prezencie dla ciebie — wyznał android z zażenowaną miną.

— Nie szkodzi. Miałaś wiele spraw na głowie.

Modułowy otworzył paczuszkę. Barwna wstążka umknęła na wietrze w ciemność. W środku była złota spinka w kształcie karty do gry, asa kier. Wryto na niej słowa MÓJ BOHATER.

— Pomyślałam sobie, że przydałoby ci się coś na poprawę nastroju. Możesz ją przypinać do bokserek.

— Dziękuję. To miły pomysł.

— Nie ma za co.

Uściskała go.

Z Empire State Building biła w noc włącznia barwnych świateł reflektorów. Modułowy i Cyndi wylądowali na tarasie Hirama. Ożywione dźwięki dobiegające z baru przedzierały się nawet przez zawrodożenie wichru. Tłum wigilijnych gości bawił się świetnie. Oboje przez długi czas gapili się na to przez szyby.

— Hej — odezwała się wreszcie. — Znudziło mi się już drogie żarcie.

— Mnie też — zgodził się po chwili zastanowienia android.

— Co myślisz o tej chińskiej restauracji? Potem możemy polecieć do mojego mieszkania.

Pomimo dmącego z Syberii wichru załazała go fala ciepła. W ułamku sekundy zerwał się do lotu.



W głębi zaułka spojrzenie bezdomnej przyciągnęło coś jaskrawego. Pochyliła się i podniosła

kawałek czerwonej wstążki.

Wsadziła go do torby i ruszyła przed siebie.



Jube: Trzy

— Święta to najbardziej okrutny czas, powiedział mu kiedyś Croyd, w sylwestra przed wielu laty. Na Times Square pełno było pijanych ludzi, czekających na opadnięcie kuli. Jube poszedł na to popatrzeć, a Croyd przywitał go, stojąc pod zamkniętymi drzwiami. Nie poznał Śpiocha, ale przecież rzadko mu się to udawało. Tym razem Croyd był o głowę niższy od Jube'a, a jego obwisłą, workowatą skórę porastał delikatny, różowy puszek. Miał błony między palcami nóg i piersiówkę z ciemnym rumem. Chciał pogadać o swojej rodzinie, o utraconych przyjaciółach i o algebrze.

— Święta to najbardziej okrutny czas — powtarzał raz po raz, aż wreszcie kula opadła, Croyd zaś nadął się jak balon na paradzie Macy's na Dzień Dziękczynienia i uleciał ku niebu. — Najbardziej okrutny! — zawołał raz jeszcze, nim zniknął Jube'owi z oczu.

Dopiero dzisiaj Jube zrozumiał, co miał na myśli jego przyjaciel. Sam zawsze lubił ludzkie święta, z ich barwnymi paradami, ekstrawaganckimi pokazami chciwości i szczodrości oraz fascynującymi zwyczajami, które mógł analizować. Jednakże w tym roku, gdy ostatniego dnia grudnia stał w swym kiosku, przekonał się, że sylwester stracił dla niego urok.

Ironia była zbyt okrutna. W całym mieście ludzie przygotowywali się do świętowania nadejścia Nowego Roku, który mógł się okazać ostatnim w ich życiu, ostatnim w życiu ich cywilizacji i ich gatunku. W gazetach pełno było podsumowań roku, który właśnie się kończy. Wszystkie bez wyjątku uważały wojnę z Rojem za najważniejsze z jego wydarzeń i wszystkie uważały, że już się skończyła i pozostało tylko oczyszczenie Trzeciego Świata i niedobitków nieprzyjaciela.

Jhubben wiedział lepiej.

Przerzucił niektóre gazety, sprzedał „Playboya” i spojrzał posepnie na pogodne poranne niebo. Nie było na nim nic poza garstką unoszących się wysoko, niesionych szybkim wiatrem cirrusów. Wiedział jednak, że ona gdzieś tam jest. Daleko od Ziemi, mknąca przez ciemność kosmosu, czarna i masywna jak planetoida. Zaslaniała gwiazdy, dryfując między nimi, milcząca i zimna, z pozoru całkowicie martwa. Ile światów i gatunków zginęło, wierząc w to kłamstwo? Ukryta wewnątrz, żyła i ewoluowała, jej inteligencja i poziom zaawansowania rosły z każdą chwilą, a taktyka z każdą porażką stawała się doskonalsza.

Dla gatunków składających się na Sieć była wrogiem o stu nazwach: demonicznym nasieniem, wielkim rakiem, matką piekła, pozeraczką światów, matką koszarów. Ogromne

umysły boskich królowych Kondikki określały ją symbolem znaczącym po prostu „strach”. Maszynowe inteligencje Kregów posługiwały się serią binarnych impulsów oznaczających dysfunkcję, lyn-ko-noon śpiewali o niej w tonach wysokich, przenikliwych i pełnych bólu. Najlepiej jednak pamiętali ją Ly’bahrowie. Dla tych ogromnych, długo żyjących cyborgów była *Thyat M’hruh*, ciemnością dla gatunku. Dziesięć tysięcy lat temu Rój opadł na ojczysty świat Ly’bahrow. Zamknięte w swych podtrzymujących życie skorupach cyborgi przetrwały, ale ci, którzy zostali w domu, by nosić ciała, zginęli, a wraz z nimi wszystkie przyszłe pokolenia. Od dziesięciu tysięcy lat Ly’bahrowie byli wymarłym gatunkiem.

— Matka! — zakrzyknął Ekkedme, ale Jube go wówczas nie zrozumiał. Pojął wszystko dopiero wtedy, gdy przeciął sznurek na swych gazetach w dniu, gdy pączki wylądowały w New Jersey. To na pewno jakaś pomyłka, pomyślał bez sensu, ujrawszy nagłówki. Rój był postrachem z historii i legend, koszmarem, który przytrafiał się innym, odległym planetom, nie tej, na której się mieszkało. Ta sprawa wykraczała poza jego wiedzę i doświadczenie. Nic dziwnego, że po zagładzie monostatku podejrzewał Takizjan. Czuł się teraz jak głupiec.

Co gorsza, był głupcem bezradnym i skazanym na klęskę.

Nadal tam była — dotykalna, żywa ciemność. Jube niemalże ją wyczuwał. W jej wnętrzu legła się nowa generacja pomiotu, życie, które jest śmiercią. Wkrótce jej dzieci powrócą i pożą ten przewrotnie wspaniały gatunek, który tak bardzo polubił... Jego również pożą, jeśli już o tym mowa, i co właściwie mógł zrobić, żeby je powstrzymać?

— Wyglądasz dziś jak garnek pełen ekskrementów — wychrypiał od niechcienia głos drażniący jak papier ścierny.

Jube uniósł wzrok... a potem uniósł go jeszcze bardziej. Troll miał dwa metry osiemdziesiąt wzrostu i zieloną, pełną brodawek skórę. Nosił szary mundur, a kiedy się uśmiechał, odsłaniał krzywe, żółte zęby, sterczące na wszystkie strony. Zielona dłoń szeroka jak pokrywa studzienki uniosła „New York Timesa”, trzymając go delikatnie między dwoma palcami o paznokciach czarnych i ostrych jak pazury. Pod potężnymi wałami nadoczodołowymi kryły się czerwone oczy, spoglądające przez wykonane na zamówienie lustrzanki na kolumny gazetowego tekstu.

— I tak też się czuję — odparł Jube. — Święta to najbardziej okrutny czas, Troll. Co słychać w klinice?

— Mnóstwo roboty — odparł olbrzym. — Tachion ciągle lata do Waszyngtonu na zebrania. — Potrząsnął „New York Timesem”. — Ci obcy zepsuli wszystkim święta. Zawsze wiedziałem, że New Jersey to jedna wielka drożdżowa infekcja. — Pogrzebał w kieszeni i wręczył Jube’owi zmięty banknot jednodolarowy. — Pentagon chce przywalić tej Matce kilkoma bombami wodorowymi, ale nikt nie potrafi jej znaleźć.

Jube pokiwał głową, wydając mu resztę. On również próbował odnaleźć Matkę Roju, posługując się satelitami obserwacyjnymi pozostawionymi przez Sieć na orbicie, ale nic nie

osiągnął. Mogła się ukrywać za Księżycem, po drugiej stronie Słońca albo gdziekolwiek w rozległej przestrzeni. A jeśli on nie potrafił jej odnaleźć za pomocą technologii, którą miał do dyspozycji, ludzie nie mieli szans.

— Doktor nie zdoła im pomóc — oznajmił z przygnębieniem.

— Pewnie masz rację — zgodził się Troll. Podrzucił półdolarówkę, złapał ją zgrabnie i schował do kieszeni. — Ale trzeba spróbować, tak? Cóż innego nam pozostaje? Szczęśliwego Nowego Roku, Mors.

Oddalił się na nogach grubych i sękatych jak pnie niedużych drzew, a długością dorównujących wzrostowi Jube'a.

Kioskarz odprowadzał go wzrokiem. Ma rację, pomyślał, gdy Troll zniknął za rogiem. Trzeba spróbować.

Zamknął kiosk wcześniej i wrócił do domu.

Unosząc się w zimnej wodzie w słabym czerwonym blasku, rozważył stojące przed nim opcje. Właściwie pozostała mu tylko jedna.

Sieć mogła ocalić ludzkość przed Matką Roju. Oczywiście, nie za darmo. Sieć niczego nie dawała za darmo. Jube był jednak pewien, że Ziemia z radością zapłaci każdą cenę. Nawet jeśli Wielcy Kupcy zażądają praw do Marsa, do Księżyca albo do wszystkich gazowych olbrzymów, jakie miało to znaczenie w porównaniu z przetrwaniem gatunku?

„Okazja” znajdowała się jednak wiele lat świetlnych stąd i nie wróci do tego układu planetarnego przed upływem pięciu albo sześciu ludzkich dziesięcioleci. Trzeba ją wezwać, zawiadomić Wielkiego Kupca, że inteligentnemu gatunkowi mogącemu stać się źródłem wielkich zysków grozi zagłada. A tachionowy nadajnik zaginał razem z Embe i monostatkiem.

Jhubben musi zbudować nowy.

Czuł się rozpaczliwie bezsilny w obliczu tego zadania. Był ksenologiem, nie technikiem. Korzystał z setki wyprodukowanych przez Sieć urządzeń, których nie miałby szans zbudować, naprawić ani nawet zrozumieć. Wiedza była najcenniejszym towarem w Galaktyce, jedyną prawdziwą walutą używaną przez Sieć. Każdy z wchodzących w jej skład gatunków zazdrośnie strzegł swych tajemnic. Mimo to wszystkie placówki Sieci posiadały tachionowe nadajniki, nawet prymitywne światy, takie jak Glabber, które nie mogły sobie pozwolić na kupno własnych gwiazdolitów. Gdyby pomniejsze gatunki nie miały możliwości wezwania wielkich statków na swe zacofane, rozproszone światy, jak mógłby się odbywać handel, jak można by kupować i sprzedawać planety, jak Wielcy Kupcy ze Starholme mogliby gromadzić zyski?

Biblioteka Jube'a składała się z dziewięciu małych krystalicznych prętów. Na jednym znajdował się zbiór pieśni, literatury oraz erotyków z jego ojczystego świata, na drugim zaś dzieło jego życia, w tym wszystko, co odkrył na Ziemi. Pozostałe zawierały wiedzę. Z pewnością można będzie na nich znaleźć plany nadajnika tachionowego. Rzecz jasna, każdy

dostęp do wiedzy zostanie zarejestrowany, a jego wartość odliczona od wartości badań przeprowadzonych przez niego na Ziemi, ale z pewnością warto zapłacić tę cenę, by uratować rozumny gatunek?

Wiedział, że nie uniknie wydatków. Nawet jeśli odnajdzie plany, było mało prawdopodobne, by posiadał niezbędne części. Będzie się musiał zadowolić prymitywną ludzką elektroniką, najlepszą, jaką uda mu się zdobyć. Zapewne będzie też zmuszony wyjąć część elementów z własnego sprzętu. Niech i tak jest. Z niektórych urządzeń i tak nigdy nie korzystał: z systemów bezpieczeństwa strzegących jego mieszkania (wystarczą dodatkowe zamki), skafandra kosmicznego z ciekłego metalu, w który nie mógł się już wcisnąć, trumny hibernacyjnej stojącej w szafie wnękowej z tyłu pokoju (nabył ją na wypadek, gdyby podczas jego pobytu na Ziemi wybuchła wojna termojądrowa), maszyny do gier...

Miał jednak poważniejszy problem. Był przekonany, że potrafi zbudować nadajnik tachionowy. Ale skąd weźmie energię? Jego termojądrowe baterie mogą wystarczyć, by wysłać wiązkę do Hoboken, ale tę miejscowość od gwiazd dzieliło wiele lat świetlnych.

Jhubben wyszedł z balii i wytarł się w ręcznik. Wiedział wiele o tym, co się wydarzyło, gdy Śpioch poszukiwał ciała Ekkelego. Croyd opowiedział mu o tym tydzień po owym strasznym popołudniu, które Jhubben poświęcił na splukiwanie szczątków swego brata Embego do słonego morza, z którego wszyscy przybyli, przynajmniej w metaforycznym sensie. Gdy wylądował pomiot, wszystko to przestało się wydawać ważne.

Ale teraz odzyskało znaczenie.

Poszedł do głównego pokoju i otworzył dolną szufladę kredensu kupionego w sklepie przeznaczonym na cele charytatywne w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Było w niej pełno kamieni: zielonych, czerwonych, niebieskich i białych. Za cztery białe kupił ten budynek w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, nawet jeśli starzec w zielonej czapeczce z daszkiem zapłacił mu za nie tylko połowę wartości. Jube zawsze oszczędnie korzystał z tych zasobów, zwłaszcza że nie można było zsyntetyzować nowych kamieni, dopóki nie powróci „Okazja”. To jednak była kryzysowa sytuacja.

Nie był asem, nie dysponował żadnymi nadzwyczajnymi mocami. Kamienie będą musiały zastąpić mu moc. Sięgnął do szuflady i ujął w czteropalcą dłoń garść nieoszlifowanych szafirów. Dzięki nim zdoła zlokalizować przenośnik osobliwościowy Embego, który da mu energię potrzebną, by wysłać wiadomość do gwiazd.

Albo przynajmniej spróbuje.



1986

Gdyby wzrok mógł zabijać

WALTON SIMONS

Wybór odpowiedniej ofiary zawsze był morderstwem. Musieli mieć mnóstwo forsy, żeby opłacało się ich zabić, i trzeba to było zrobić w odludnym miejscu. Gdy nadchodziła pora spłaty czynszu, więcej sensu miało załatwienie jakiegoś przypadkowego gościa niż właściciela kamienicy. To mogłoby zdradzić innym miejsce jego pobytu, a on miał już dość ciągłego zmieniania mieszkań.

Zimno go irytowało. Wnikało w jego chude, wysokie na metr osiemdziesiąt ciało, osadzając się w kościach. Postawił futrzany kołnierz za dużego płaszcza. Zanim umarł, gdy był tylko Jamesem Spector, nowojorskie zimy przyprawiły go o odrętwienie. Teraz tylko nieustannie wzbierająca w nim śmierć mogła powodować prawdziwy ból.

Minął kościół św. Marka i ruszył na wschód Dziesiątą Ulicą. Tam okolica była bardziej niebezpieczna i łatwiej mógł spełnić swe potrzeby.

— Cholera — warknął, gdy znowu zaczął sypać śnieg. Nieliczni ludzie nadal przebywający na ulicach z pewnością poszukają schronienia wewnątrz. Jeśli nie znajdzie tu ofiary, będzie musiał spróbować w Dżokerowie. Ta myśl mu się nie spodobała. Na jego ciemne włosy i wąsy opadały płatki śniegu. Strzepnął je urękawiczoną dłonią i ruszył w dalszą drogę.

W pobliskich drzwiach ktoś zapalił zapałkę. Spector ruszył powoli w górę schodów, szukając papierosa.

Stojący w drzwiach mężczyzna był wysoki i potężnie zbudowany. Miał bladą, krostowatą cerę i jasnoniebieskie oczy. Zaciągnął się głęboko i dmuchnął papierosowym dymem prosto w twarz Spectora.

— Masz ognia? — zapytał Spector, który nie dał się zastraszyć.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Znam cię? — Przyjrzał się mu uważnie. — Nie. Ale może ktoś cię przysłał.

— Może.

— Cwaniak z ciebie, hej. — Młody mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając równe, białe zęby.
— Lepiej powiedz, co cię tu sprowadza, koleś, bo inaczej dostaniesz kopa w chudą dupę i zlecisz ze schodów.

Spector postanowił zawierzyć intuicji.

— Od wielu dni nie mogę nic dostać. Moje źródło wyschło, ale jeden kumpel powiedział mi,

że gdzieś tu znajdę kogoś, kto będzie mógł mi pomóc.

Jego głos i postawa wyrażały głód.

Mężczyzna poklepał go ze śmiechem po plecach.

— To twój fartowny dzień. Chodź do salonu Mike'a. Zaraz zaradzimy twoim problemom.

Smród panujący w mieszkaniu Mike'a przebijał nawet nieczyszczoną przez tydzień kocią kuwetę. Na podłodze walały się brudne łachy i pornograficzne magazyny.

— Ładne mieszkanie — stwierdził Spector, ledwie skrywając pogardę.

Mike popchnął go brutalnie pod ścianę i uniósł jego ręce nad głowę. Następnie przeszukał go, szybko, ale do kładnie.

— A teraz powiedz mi, czego potrzebujesz, a ja ci powiem, ile to będzie kosztowało. Jeśli będziesz robił kłopoty, strzelę ci w łeb. Robiłem to już przedtem.

Mike wyciągnął pistolet kalibru .38 z dołączonym tłumikiem i znowu się uśmiechnął.

Spector odwrócił się powoli. Zatrzymał się w chwili, gdy spojrzał dilerowi w oczy, a potem połączył więzią ich umysły. Straszliwe wspomnienie jego śmierci przemknęło przez ciało Mike'a. Diler poczuł na piersi przygniatający ciężar. Jego mięśnie skurczyły się bez udziału woli, z siłą tak wielką, że kości pękały i ścięgna się zrywały. Jego gardło się zacisnęło, gdy do ust podeszły wymioty. Serce zabiło szaleńczo, pompując przez ciało skażoną krew. Płonący ból płynący z umierających tkanek krzyczał w jego umyśle. Jego płuca pękły i się zapadły. Serce zatrzępotało i przestało bić. Nawet po nadejściu ciemności ból nie zniknął. Spector cały czas patrzył Mike'owi w oczy, sprawiając, że diler czuł każdy szczegół, przekonywał jego ciało, że jest martwe. Nie zatrzymywał się, dopóki Mike nie zadrzał w sposób, który nauczył się już rozpoznawać. Potem było po wszystkim.

Mike wywrócił oczy i zwałił się martwy na podłogę. Mięśnie palca skurczyły się w przedśmiertnych drgawkach i pistolet wypalił. Pocisk trafił Spectora w bark. Zabójca przygryzł wargę, ale poza tym zignorował ranę. Przewrócił Mike'a na plecy.

— Teraz wiesz, jak to jest, gdy się wyciągnie Czarną Damę. — Podniósł i zabezpieczył pistolet, a następnie wsunął go ostrożnie za pas. — Ale popatrz na jasną stronę. Musisz przez to przejść tylko jeden raz. Ja budzę się z tym co rano.

Spector przeszukał ciało. Zabrał wszystkie pieniądze, nawet drobne. W sumie było tego niespełna sześćset dolarów.

— Drobny cwaniaczku, cieszę się, że mogłem się z tobą czymś podzielić.

Spector uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Nie zobaczywszy nikogo, zszedł szybko na dół. Zimno i śnieg tłumiły odgłosy miasta, spowalniały jego życie.

Gdy wrócił do mieszkania, bark już mu się zagoił.



Śledzili go. Dwaj mężczyźni po drugiej stronie ulicy dotrzymywali mu kroku, trzymając się

z tyłu, by nie wchodzić w jego pole widzenia. Spector zauważył ich już przed kilkoma przecznicami. Skręcił na południe, oddalając się od swego mieszkania. Zmierzał do Dżokerowa. Tam łatwiej mu będzie ich zgubić. Szedł powoli, oszczędzając energię na wypadek, gdyby był zmuszony do szybkiej ucieczki.

Może to byli przyjaciele dilerka Mike'a. Mało prawdopodobne — byli za dobrze ubrani, a poza tym ludzie tacy jak Mike nie mieli przyjaciół. Najprawdopodobniej pracowali dla Tachiona. W dzień swej ucieczki z kliniki Spector był zmuszony zabić sanitariusza. Mały, rudy zasraniec z pewnością będzie próbował go odszukać i wysłać za kratki. Albo jeszcze gorzej, zabrać z powrotem do swej kliniki w Dżokerowie. Spector zachował stamtąd wyłącznie złe wspomnienia.

Ty mały skurwysynu, pomyślał, czy nie zrobiłeś już wystarczająco wiele? Nienawidził Tachiona za to, że ten przywrócił mu życie. Nienawidził go bardziej niż kogokolwiek czy czegokolwiek na świecie. Ale jednocześnie bał się małego obcego. Zaczął się pocić pod grubym płaszczem.

Chodnik przed nim blokował czworonożny dżoker. Gdy się do niego zbliżył, dżoker oddalił się bokiem wzdłuż zaułka, by uniknąć kontaktu. Spector odwrócił się i spojrział na drugą stronę ulicy.

Dwaj mężczyźni nadal tam byli. Zatrzymali się i zbliżyli do siebie. Potem jeden z nich przekroczył ulicę, zmierzając ku niemu. Spector mógłby go zabić, ale wtedy Tachion zaczęłby go ścigać jeszcze intensywniej. Lepiej ich zgubić i liczyć na to, że Takizjanin o nim zapomni.

Pokryte lodem ulice były niemal całkowicie opustoszałe. Nawet dżokerzy musieli traktować z respektem tak dojmujący chłód. Spector przygryzł wargę. Kryształowy Pałac był odległy tylko o przecznicę. Jeśli chciał ich zgubić, to miejsce będzie równie dobre jak każde inne. Może Sascha złapie ich i wywali na zbity pysk.

Gdy wchodził do lokalu, portier popatrzył na niego nieprzychylnie. Spector miał ochotę mu zademonstrować, jak wygląda naprawdę paskudne spojrzenie, ale wkurzanie Poczwaraki było ostatnim, czego w tej chwili potrzebował. Poza tym bardzo niewiele miejsc w Dżokerowie miało odźwiernych.

Wewnątrz Kryształowego Pałacu zawsze czuł się nieswojo. Umeblowanie — od podłogi aż po sufit — składało się tu z antyków z przełomu stulecia. Gdyby coś przypadkowo złamał albo uszkodził, musiałby zapewne zabić ze dwudziestu ludzi, żeby pokryć straty.

Saschy nie było, nie mógł więc liczyć na jego pomoc. Przeszedł pośpiesznie przez główną salę i wszedł do sąsiedniego pomieszczenia, w którym były zapewniające prywatność łóżka. Wsunął się w najbliższą i zasunął za sobą grube zasłony burgundowego koloru.

— Czy mogę panu jakoś pomóc?

Spector powoli się odwrócił. Mężczyzna siedzący za stołem naprzeciwko niego nosił maskę

trupiej czaszki oraz czarną pelerynę z kapturem.

— Zapytałem, czy mogę panu jakoś pomóc?

— No cóż — odparł Spector, starając się zyskać na czasie. — Ma pan coś do picia?

Maska go przestraszyła, a w dzisiejszych czasach Spector nigdy nie potrzebował powodu, by się napić.

— Obawiam się, że tylko dla siebie — odparł tamten, wskazując na opróżniony do połowy kieliszek stojący przed nim. — Wydaje się, że ma pan jakieś kłopoty?

— A kto ich nie ma?

Spectorowi nie podobał się fakt, że można go przejrzeć równie łatwo jak skórę Poczwaraki.

— Tak jest, kłopoty są powszechne. Jednego z moich najbliższych współpracowników w zeszłym miesiącu zjadł, pożarł, jeden z naszych kosmicznych gości. — Pociągnął łyk. — Żyjemy w niepewnym świecie.

Spector uchylił nieco zasłonę. Dwaj mężczyźni stali przy barze. Rozmawiający z nimi barman potrząsał głową

— Nie ulega wątpliwości, że pana śledzą. Gdyby miał pan jakieś przebranie, być może udałoby się panu wymknąć niepostrzeżenie.

Mężczyzna zdjął pelerynę z kapturem i rzucił ją na stół

Spector przygryzł paznokcie. Nie znosił komukolwiek ufać.

— Dobra. A teraz proszę mi powiedzieć, co ja mogę dla pana zrobić?

— Niech mi pan przyniesie brandy. Barman będzie wiedział jakiej.

Zdjął maskę i ją również cisnął na stół.

Spector odwrócił wzrok. Twarz mężczyzny wyglądała identycznie jak maska. Jego poślódkła skóra ciasno opinała się na wydatnych kościach policzkowych. Nie miał nosa. Zapadnięte, przekrwione oczy dzokera wpatrywały się w niego.

— No cóż...

Spector pośpiesznie wdział pelerynę i unióś kieliszek.

— Zaraz wracam.

Rozsunął zasłony i wyszedł na zewnątrz.

Mężczyźni siedzieli sześć metrów od niego. Śledzili go wzrokiem, gdy szedł do baru. Znowu zaczął się pocić.

— Nalej — zażądał, gdy przyciągnął uwagę barmana. Mężczyzna spełnił jego życzenie. Spector wrócił powoli do łoży. Tylko jeden z mężczyzn mu się przyglądał, ale za to z wielką uwagą.

— Proszę bardzo — rzekł, stawiając kieliszek przed nieznanym. — Już sobie pójdę.

— Może pan zechcieć zachować ten strój — rzekł mężczyzna o twarzy czaszki. — Chyba będzie panu po trzeba.

Zasunął kotary.

Spector ruszył miarowo ku drzwiom. Obaj mężczyźni nadal siedzieli przy stoliku.

Gdy tylko wyszedł na zewnątrz, zerwał się do biegu. Gnał sprintem po pokrytych lodem chodnikach niczym odziana w pelerynę wizja śmierci, aż wreszcie zabrakło mu tchu w piersiach. Wpadł do zaułka, zdjął pelerynę i maskę, wetknął je pod płaszcz i ruszył do domu.



Położył się spać pijany po raz trzeci z rzędu. Alkohol łagodził ból i pomagał mu zasnąć. Nie był pewien, czy nadal potrzebuje snu, ale przyzwyczał się do niego w latach przed śmiercią.

Nagle rozległ się szcęk. Spector otworzył oczy i zaczerpnął głęboko tchu, niejasno uświadamiając sobie, że coś się dzieje. Drzwi otworzyły się nieco, wpuszczając do środka wąski promyk światła. Potarł powieki i usiadł. Gdy sięgnął po ubranie, drzwi zatrzymały się na łańcuchu. Cofnął się pod okno, wciągając spodnie.

Wkładając płaszcz, usłyszał, że coś upadło na podłogę. Drzwi się zamknęły. Spector poczuł woń dymu i gnijących cytrusów. Oczy zaszyły mu łzami. Zachwiał się na nogach. Musiał uciekać, nim gaz pozbawi go przytomności. Otworzył okno i rozbił kopniakiem żaluzję, ale potknął się o parapet i spadł na schody przeciwpożarowe. Nie zdołał utrzymać równowagi i wyrznął głową o ośnieżoną stalową poręcz. Od bólu i zimna natychmiast przejaśniło mu się w głowie. W wejściu na schody nad nim stanął jakiś mężczyzna, który bezzwłocznie pobiegł ku niemu. Słyszał też, że z dołu zbliża się drugi. Za chwilę obaj go dopadną.

Spróbował wstać. Intruza na dole dzieliła od niego już tylko jedna kondygnacja. Spector skoczył na niego. Udało mu się go zaskoczyć i uderzył nim o poręcz. Usłyszał trzask łamiącego się kręgosłupa. Wziął się w garść i popędził w dół, pozostawiając na pomoście krzyczącego mężczyznę.

Gdy znalazł się dwie kondygnacje nad ulicą, skoczył w dół. Pośliznął się przy lądowaniu i upadł na oblodzony chodnik. Zaczerpnął tchu i zdołał obrócić się na plecy. Stała nad nim kobieta w lustrzankach na oczach, trzymająca w dłoni strzykawkę. Rozpoznał ją w tej samej chwili, gdy igła wniknęła w jego ciało.



Ocknął się na korytarzu. Ręce i nogi porządnie związane mu nylonowym sznurem. Kobieta, która podała mu środek usypiający, przyglądała się, gdy dwaj mężczyźni w grubych płaszczach i lustrzankach na oczach nieśli go do ciemnego pokoju. Ponieważ nosili ochronne okulary, nie mógł im spojrzeć prosto w oczy.

Rzucili go na twarde drewniany fotel. W pokoju pachniało starością, jak na strychu albo w od dawna niezamieszkanym domu.

— Och, siostrze Gresham. Widzę, że wróciła pani z naszym rozrabiaką.

Głos należał do starszego mężczyzny, brzmiał zimno i stanowczo.

— Nie było z nim łatwo. Jeden z naszych ludzi zginął.

Mężczyzna cmoknął.

— Jak sama pani mówiła, jest niebezpieczny. Przyjrzyjmy mu się uważnie, dobra?

Spector usłyszał zgrzyt kamieni. Sufit nad nim się otworzył. Przez świetlik do środka wpadł jasny blask księżyca i gwiazd. Całe życie mieszkał w Nowym Jorku, gdzie smog i miejskie światła utrudniały zobaczenie gwiazd. Tu jednak świeciły one tak jasno, że aż rozboleły go oczy. Ci, którzy go pojмали, trzymali się poza kręgiem światła.

— No cóż, panie Spector, co ma pan na swoje usprawiedliwienie? — Cisza. — Niech pan mówi. Tym, którzy marnują mój czas, przytrafiają się nieprzyjemne rzeczy.

Spector się bał. Wiedział, że Jane Gresham pracuje dla doktora Tachiona w klinice w Dżokerowie, ale przesłuchujący go mężczyzna z pewnością nie był Tachionem.

— O ile potrafię to ocenić, porwaliście mnie bez żadnego powodu — odparł. — Przykro mi, że ten człowiek nie żyje, ale to nie była moja wina.

— Nie o tym rozmawiamy, panie Spector. Przed trzema dniami zamordował pan bez powodu jednego z naszych ludzi. On tylko próbował zaspokoić pańską żądzę narkotyków.

— Niech pan posłucha, to nie było tak. — Spector doszedł do wniosku, że przypadkowo wpadł na jakąś operację zakrojoną na szeroką skalę. Siostra Gresham mogła kraść dowolne specyfiki z kliniki Tachiona. — Załatwiliśmy interes jak trzeba. Zabójcą musiał być ktoś inny.

Rozległo się ciche brzęczenie i starszy mężczyzna wjechał w krąg światła. Siedział na elektrycznym wózku inwalidzkim. Głowę miał nienaturalnie wielką i porośniętą rzadkimi, białymi włosami, a chude ciało było powykręcane, jakby kryjące się w nim siły próbowały poruszać nim w różnych kierunkach. Cerę miał bladą, ale zdrową, a na nosie okulary o grubych szklach.

— Pamięta pan to?

Mężczyzna pokazał mu monetę. Spector natychmiast ją rozpoznał. To był stary pieniążek, który zabrał zabitemu Mike'owi. Ponieważ był wielkości półdolarówki i widniała na nim data „1794”, Spector go zachował, sądząc, że może być coś wart.

— Nie — odparł, starając się zyskać na czasie.

— Naprawdę? Proszę się przyjrzeć uważniej.

Pieniążek lśnił krwawym blaskiem w świetle księżyca.

Spector usłyszał już wystarczająco wiele, by sobie uświadomić, że ma kłopoty. Siostra Gresham i ten facet go zabiją. Jeśli chce ich powstrzymać, teraz nadeszła odpowiednia pora.

— Niech nikt się nie rusza, bo wykończę tego staruszka tak samo, jak załatwiłem waszego kumpla, dilerka.

Roześmiali się.

— Niech pan na mnie spojrzy, panie Spector. — Starzec pochylił się ku niemu. — Proszę

użyć na mnie swojej mocy.

Spector spojrział mu prosto w oczy i spróbował podzielić się z nim swoją śmiercią. Poczł jednak, że z jakiegoś powodu nic z tego nie wychodzi. Oklapł na krześle, pokonany.

— Przykro mi, że pana rozczarowałem. Nie tylko pan dysponuje nadzwyczajnymi mocami. Proszę go rozwiązać, siostrze Gresham.

Kobieta z niechęcią wykonała rozkaz.

— Niech pan uważa — ostrzegła starca. — Może nadal być niebezpieczny.

Spector nie czuł się niebezpieczny. W cokolwiek się wpakował, nie ulegało wątpliwości, że nie chodzi tu o zwykły handel narkotykami.

— Skąd o mnie wiecie? Czego chcecie?

— Siostra Gresham prowadziła w klinice bardzo dokładnie zapiski na pana temat. — Starzec otworzył notes i zaczął czytać. — James Spector, nieudany biegły księgowy z Teaneck w stanie New Jersey, zarażony wirusem dzikiej karty przed dziewięcioma miesiącami. Przywieziono pana do kliniki w Dżokerowie w stanie śmierci klinicznej. Ponieważ nie miał pan rodziny, która mogłaby się sprzeciwić, doktor Tachion ożywił pana za pomocą eksperymentalnej metody, którą obecnie zarzucono. Spędził pan sześć miesięcy na OIOM-ie, krzycząc niepowszrymanie. Wreszcie, za pomocą medykamentów, udało się przywrócić panu zdrowe zmysły. Zniknął pan mniej więcej przed trzema miesiącami. Dziwnym trafem, tego samego dnia zmarł sanitariusz. Wszystko tu jest opisane. Bardzo dokładnie.

— Suka — warknął Spector, próbując zlokalizować pielęgniarkę w ciemności.

— No, no — skarcił go starzec. — Jeśli pozwolę panu żyć, panie Spector, może ją pan z czasem polubi.

— Pozwoli mi pan żyć? — Uświadomił sobie nagle, że źle to sformułował. — To znaczy...

— Patrząc na sprawę realistycznie — przerwał mu starzec — ma pan wielki talent. Asowie są rzadkością i nie spuszcza się ich z wodą w toalecie. Mógłby się pan okazać bardzo użyteczny dla naszej sprawy.

— A co to za sprawa?

— Dowie się pan, jeśli przyjmie pan do naszego... towarzystwa — odparł z uśmiechem starzec. — Nim jednak zechcemy choćby rozważyć taką możliwość, będzie pan musiał dowieść swej użyteczności. Mamy dla pana drobne zadanie. Przy pańskich zdolnościach i dzięki informacjom, które panu damy, nie powinno się ono okazać zbyt trudne.

— A jeśli się nie zgodzę?

Spector bał się, ale chciał się dowiedzieć, jakie dokładnie konsekwencje mu grożą.

Starzec wyrwał kartkę z notesu i wręczył mu ją razem z długopisem.

— Niech pan napisze na niej swój adres i schowa ją do kieszeni.

Spector był zdziwiony, ale wykonał polecenie. Starzec zacisnął mocno powieki i złączył

koniuszki palców.

Spector zadrżał. To było tak, jakby na jego odsłonięty mózg lano lodowatą wodę.

— Czuję się...

Przerwał, porażony tym wrażeniem.

— Tak, wiem. To nie przypomina niczego innego. A teraz proszę mi podać swój adres.

Spector otworzył usta, by odpowiedzieć, i uświadomił sobie, że nie pamięta własnego adresu. Informacja po prostu zniknęła.

— Selektywna amnezja. Gdy ktoś jest fizycznie blisko mnie, mogę mu odebrać, co tylko zechcę. — Uniósł kosmate brwi. — Albo mogę wymazać wszystko.

Spector był wstrząśnięty, wiedział jednak, że starzec mógłby również wymazać wspomnienie jego śmierci. Utraciłby wówczas moc, ale to nie byłaby zbyt wysoka cena za spokojny sen.

— Rozumiem, co chce pan powiedzieć. Zrobię wszystko, co pan zechce.

— Widzi pani, siostró Gresham? Nie sprawia nawet najmniejszych kłopotów. Byłoby głupotą zabić kogoś, kto może być aż tak użyteczny. Proszę mu zrobić drugi zastrzyk i odwieźć do jego mieszkania, zanim się ocknie.

— Chwileczkę. Kim pan jest? Jeśli zechce mi pan to powiedzieć.

— Moje prawdziwe nazwisko znaczyłoby dla pana jeszcze mniej niż dla mnie. Może mnie pan zwać Astronomem.

Spector pomyślał, że każdy, kto wybrał sobie taki przydomek, musi mieć świra, ale to nie był odpowiedni czas i miejsce, by o tym wspominać.

— Proszę bardzo. No cóż, Astronomie, co mogę dla ciebie zrobić? Jedyne, w czym jestem dobry, to zabijanie ludzi.

Starzec skinął głową.

— W rzeczy samej.



Spector niepokoił się myślą o zabiciu gliny, zwłaszcza że był nim kapitan McPherson. Nikt nie był tak głupi ani tak odważny, by zadzierać z głową Jednostki Sił Specjalnych przydzielonej do Dżokerowa. Starzec nie pozostawił mu jednak wyboru. Śmierć McPhersona musiała sprawiać wrażenie wypadku, ponieważ jego miejsce miał zająć jeden z ludzi Astronoma. Jeśli Spector nie wykona zadania albo spróbuje ucieczki, starzec wymaże z jego umysłu wszystko poza wspomnieniem śmierci.

Zawiązał mocno sznurowadła nagolenników i podwinął nogawki dżinsów. Miał też ubiór ochronny pod koszulą i na przedramionach.

Astronom najwyraźniej już od dawna planował zabójstwo McPhersona. Spector siedział na sofie w mieszkaniu położonym bezpośrednio pod należącym do jego celu. Właścicielka mieszkania pozostawała na usługach Astronoma. Sądząc z tego, co powiedziano Spectorowi,

gospościa kapitana również uczestniczyła w operacji.

— Jeśli chce się kogoś zastąpić swoim człowiekiem, najpierw trzeba zrobić to samo z tymi, którzy go otaczają — oznajmił Astronom.

Spector spojrział na zegar ścienny. Minęła pierwsza w nocy. Sprawdził kieszeń, by się upewnić, że ma w niej strzykawkę, a potem zgasił światło i otworzył drzwi na balkon.

Uniósł linę i wziął w rękę wygłuszony hak na jej końcu. Odległość między balkonami wynosiła około czterech metrów. Wychylił się poza barierkę i rzucił linę. Hak wylądował perfekcyjnie, zaczepiając jednym z wielkich zadziorów o krawędź. Na twarz Spectora spadła odrobina śniegu. Pociągnął za linę. Naprężyła się i hak wytrzymał.

Spector wspiął się pośpiesznie na górę i przelazł przez barierkę balkonu McPhersona. Gruba warstwa śniegu pokrywająca beton tłumiała jego kroki. Czekał przez chwilę, ale nie usłyszał wewnątrz żadnych dźwięków.

Gospościa zrobiła to, co jej kazano. Drzwi balkonu nie były zamknięte. Spector uchylił je i do mieszkania wtargnął zimny powiew. Wszedł cicho do środka i zamknął drzwi za sobą.

Pies na niego czekał. Spector widział czerwony blask światła odbijającego się w jego siatkówkach. Zwierzę warknęło groźnie i rzuciło się do ataku. Intruz nie widział go dokładnie, uniósł więc jedną rękę, by chronić nieosłoniętą głowę i gardło. Wolną ręką sięgnął po strzykawkę, którą dała mu siostra Gresham.

Doberman uderzył w niego, chwytając w zęby wyciągniętą rękę. Spector czuł, że zwierzę próbuje przegryźć osłonę, by dobrać się do ścięgien.

Wbił strzykawkę w brzuch psa. Zwierzę nie przestawało warczeć i szarpać jego ręki. W sąsiednim pokoju zapaliło się światło. Odzyskawszy zdolność widzenia, Spector odepchnął psa na bok. Doberman zwałił się ciężko na podłogę i natychmiast spróbował wstać.

— Bierz go, Oscar. Rozerwij go na strzępy.

Głos dobiegał z oświetlonego pokoju.

Oscar spróbował wykonać polecenie. Obnażył zęby i postąpił krok naprzód, ale potem zamknął oczy i znowu upadł na podłogę.

Jak dotąd wszystko idzie dobrze, pomyślał Spector. Ruszył w stronę oświetlonego pokoju, udając, że utyka.

— Poddaję się. Pański pies bardzo mnie pogryzł. Potrzebuję lekarza. Niech mi pan pomoże. Staraj się, by jego głos sugerował ból.

— Oscar? — W głosie McPhersona zabrzmiała niepewność. — Nic ci się nie stało, piesku? Zwierzę dyszało ciężko, nie ruszając się z miejsca. Światło w sąsiednim pokoju zgasło.

Spector stłumił panikę. Jego plan nie przewidywał możliwości, że McPherson zgasi światło. W ciemności jego moc była bezużyteczna. Zamarł w bezruchu na kilka długich chwil. Z sąsiedniego pomieszczenia nie dobiegały żadne dźwięki.

Postąpił krok naprzód. Znał rozkład mieszkania. Przełącznik światła był przy drzwiach po jego prawej stronie. Żeby go dosięgnąć, będzie musiał stanąć w drzwiach, całkowicie odsłonięty. Wiedział, że McPherson ma broń i będzie gotowy jej użyć. Zaczął się pocić. Poczuł wewnątrz ucisk bólu, przygotowującego się do ataku. Postąpił kolejny krok. Jeszcze jeden i znajdzie się w drzwiach.

Usłyszał dźwięk podnoszonej słuchawki. Ruszył naprzód, sięgnął do przełącznika i włączył światło.

McPherson przykucnął za wielkim mosiężnym łóżkiem. W jednej ręce trzymał słuchawkę, w drugiej pistolet automatyczny. Broń była wymierzona w serce Spectora. Spojrzeli sobie w oczy. Spector przypomniał sobie palec martwego Mike'a i zadrzał, gdy doświadczenie jego śmierci przepłynęło w McPhersona.

Policjant dygotał, chwytając rozpaczliwie powietrze. Potem osunął się powoli za łóżko. Spector zacisnął z westchnieniem pięści. Podeszedł do trupa i wyjął mu pistolet z ręki. Następnie otworzył urękawiczoną dłonią szufladę stojącego przy łóżku stolika i ostrożnie schował w niej broń. Zalała go fala ulgi. Wyobrażał sobie ze szczegółami, jak kula przebija jego klatkę piersiową, a on wykrwawia się na śmierć, nim zdąży się zregenerować.

Wziął w rękę poduszkę i rzucił ją na podłogę, jak zawodnik kładący piłkę na boisku po przyłożeniu. Być może teraz Astronom i siostra Gresham dadzą mu spokój. Położył poduszkę z powrotem na miejsce.

W słuchawce rozległ się sygnał.

Spector odłożył ją na widelki i postawił telefon na stoliku. Potem usiadł na zmierzwionej narzucie i przyjrzał się ofierze. Mina McPhersona wyglądała tak samo, jak wyobrażał sobie własną w chwili śmierci.

— Czy to śmierć, czy to tylko wspomnienie? — zapytał trupa. — To bardziej imponujące niż tłuczenie szkła, co glino?

Roześmiał się.



Spector pociągnął łyk jacka danielsa Black Label, radując się ciepłem wypełniającym mu wnętrzności. Leżał na swym twardym materacu, wpatrując się w mały, czarno-biały telewizor. W nocnych wiadomościach pokazywano powtórkę z inwazji obcych. Potwory nadal były newsem tak ważnym, że śmierć McPhersona nawet się nie dostała na pierwszą stronę „New York Timesa”.

Relację z ataku na Grovers Mill pokazywano już po raz tysięczny. Gwardia Narodowa atakowała jednego z potworów miotaczem ognia. Płonące stworzenie wydało z siebie przenikliwy krzyk. Spector potrząsnął głową. Zdolność zabijania ludzi wzrokiem powinna wystarczyć, by mógł się poczuć bezpiecznie, tak jednak nie było. Potwory z kosmosu budziły

w jego brzuchu równie nieprzyjemne wrażenie co Astronom. Wykonał zadanie i miał nadzieję, że nigdy już nie zobaczy starca ani nie otrzyma od niego żadnej wiadomości.

Relacja dobiegła końca.

— Na zakończenie — oznajmił prowadzący — kilka uwag na temat tej tragedii wygłosi nasz gość, doktor Tachion.

Spector uniósł prawie już pustą butelkę, gotowy rzucić ją w telewizor. Powietrze obok łóżka zamigotało i poczuł, że w pokoju zrobiło się zimniej. Półprzezroczysta sylwetka zmieniła się w olbrzymią, pozbawioną ciała głowę szakala. Z jego pyska i nozdrzy buchały kolorowe płomienie.

Spector spadł z łóżka, pociągając za sobą kołdrę.

— Znowu pijesz — stwierdził szakal. — Gdybym nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że masz wyrzuty sumienia.

Głowa zmieniła się w parę, z której szybko uformował się Astronom.

— Niech to szlag! Czy jest coś, czego nie potrafisz zrobić?

Spector odrzucił kołdrę na bok i położył się z powrotem.

— Wszyscy mamy jakieś ograniczenia. Swoją drogą, jeśli znowu zobaczysz głowę szakala, zwracaj się do niej „Wielki Amunie”. Pojawiam się pod tą postacią dzięki zaawansowanej projekcji astralnej. To jedna z moich mniej zdumiewających możliwości, ale ma swoje zastosowania. — Astronom spojrział na telewizor. Ekran zgasł z trzaskiem. — Nie chcę, żeby coś nam przeszkadzało.

— Posłuchaj, zrobiłem to, czego ode mnie chciałeś. Facet nie żyje i wszyscy mówią, że to atak serca. Powiedzmy, że jesteśmy kwita i możesz mnie zostawić w spokoju. — Rzucił butelką w zjawę. Przeniknęła przez nią bezgłośnie i rozbiła się o ścianę. — Odpierdol się, dobra?

Astronom potarł czoło.

— Nie bądź głupi. To by nie pomogło żadnemu z nas. Możesz się nam przydać. Człowiek dysponujący takimi mocami byłby bardzo użyteczny. Pragnę, abyś się do nas przyłączył, i nie kieruje mną wyłącznie własny interes. Byłoby zbrodnią pozwolić, byś tak marnował swój talent. Potrzebujesz przewodnictwa, aby zrealizować swój potencjał.

— Tak? — odparł Spector, starając się nie mówić bełkotliwie. — A co to za potencjał?

— Możesz zostać członkiem elity władzy nowego społeczeństwa. Sprawić, by inni bledli na myśl o tobie. — Astronom rozpostarł widmowe dłonie. — To nie są czcze obietnice. Przyszłość znalazła się teraz w zasięgu naszych rąk. To, co robimy, ma znaczenie w skali kosmosu.

— Brzmi nieźle — stwierdził Spector bez przekonania. — Gdybyś chciał mnie zabić, pewnie już byś to zrobił. Ale w tej chwili nie czuję się na siłach mierzyć z problemami na kosmiczną skalę.

— Oczywiście. Wyśpij się dobrze, jeśli zdołasz. Mój samochód podjedzie tu po ciebie jutro

o dziesiątej wieczorem. Nauczysz się bardzo wiele i postawisz pierwszy krok na drodze do wielkości.

Sylwetka Astronoma zamigotała i zniknęła.

Spector był pijany i zbity z tropu. Nadal nie ufał Astronomowi, ale starzec pod jednym względem miał rację. Marnotrawił swoją nową moc i nowe życie. Pora coś w tej sprawie zrobić. W tę albo w tamtą.



Czarna limuzyna Astronoma przybyła w umówionym czasie. Spector schował pistolet do kieszeni płaszcza i ruszył powoli ku drzwiom frontowym. Jeśli nadarzy się okazja, zabije starca. Astronom był niebezpieczny i wiedział zbyt wiele, by można mu było zaufać. Okno z półprzezroczystego szkła się opuściło i blada dłoń zaprosiła go skinieniem do środka. Głowę starca pokrywały wielkie zmarszczki, których wczoraj tam nie było. Miał na sobie czarną aksamitną szatę i nosił naszyjnik z monet z roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego czwartego.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Spector, starając się okazywać obojętność. Wiedział, że w starciu z Astronomem jego jedyną bronią byłby pistolet.

— Ciekawość. Świetnie. To znaczy, że jesteś zainteresowany. — Astronom poprawił szarfę. — Doświadczyłeś w swym życiu bardzo wiele bólu i śmierci. Dzisiaj czeka cię to samo. Ale tym razem to nie będzie twój ból ani twoja śmierć.

Spector poruszył się nerwowo.

— Posłuchaj, czego właściwie ode mnie chcesz? Zadajesz sobie mnóstwo trudu dla kogoś obcego. Musi ci chodzić o coś szczególnego.

— Mnie zawsze chodzi o coś szczególnego. Musisz mi jednak zaufać, kiedy ci powiem, że nic ci nie grozi. Potrzebowałem wieloletnich eksperymentów, by zapanować nad swymi mocami. Niektóre z tych mocy już poznałeś. Inne... — Potarł przesadnie wypukłe czoło. — ...ujrzysz dzisiejszej nocy. Widziałem przyszłość i wiem, że odegrasz ważną rolę w naszym zwycięstwie. Musisz jednak wzmocnić i udoskonalić swe moce, a to mogą ci zapewnić tylko odpowiednie instrukcje.

— Świetnie. Jeśli chcesz, żebyśmy zabił dla ciebie więcej ludzi, po prostu to powiedz. Oczywiście, będę oczekiwał zapłaty. Nie sądzę jednak, bym pasował do waszej grupki. — Spector potrząsnął głową. — Nadal nie wiem, kim, do licha, jesteście.

— Jesteśmy tymi, którzy rozumieją prawdziwą naturę TIAMAT. Dzięki niej otrzymamy niewyobrażalną moc. — Astronom bez obaw patrzył mu prosto w oczy. — Zadanie będzie trudne i by je wykonać, potrzebne będą wielkie ofiary. Gdy już osiągniemy cel, będziesz mógł wymienić swą cenę.

— TIAMAT — mruknął Spector. Zapął Astronoma brzmiał autentycznie, ale wyczuwało się w nim obłąd. — Posłuchaj, to dla mnie w tej chwili zbyt wiele. Po prostu powiedz, dokąd

jedziemy.

— Do Cloisters Museum, po krótkim postoju.

— Czy to nie jest trochę niebezpieczne? Tam często są kłopoty z nastoletnimi gangami. Zabito tam mnóstwo ludzi.

Astronom roześmiał się cicho.

— Gangi pracują dla nas. Dzięki nim inni trzymają się z daleka, w tym również policja, a my pomagamy im skonsolidować władzę nad okolicą. Cloisters Museum idealnie się dla nas nadaje. Stary budynek na starej glebie. Idealnie.

Spector miał ochotę zapytać, do czego się nadaje, powstrzymał się jednak.

— Ale chyba nie masz kontrolnego pakietu akcji Metropolitan Museum, co?

Próba żartu pozostała niezauważona.

— Nie mam. Mieliśmy inną świątynię, w dolnej części Manhattanu, ale zniszczył ją niefortunny wybuch. Zginął tam jeden z moich najdroższych braci. — W głosie Astronoma zabrzmiał pełen satysfakcji sarkazm. — Proszę wybrać dla nas kobietę, panie Spector.

Limuzyna krążyła metodycznie w okolicach Times Square.

— Dlaczego po prostu nie zadzwonić po call girl? — Spector zawsze pragnął zadać ból pięknej kobiecie. — Te suki to wyrzutki społeczeństwa.

— Zniknięcie call girl by zauważono — ostrzegł go Astronom. — I nie potrzebna nam wybitna uroda. W przeszłości miewaliśmy kłopoty, gdy używaliśmy drogich kobiet. Od tamtej pory jesteśmy ostrożniejsi.

Spector zaakceptował tę radę w ponurym milczeniu. Rozejrzał się wkoło.

— Ta blondynka jest niezła.

— Dobry wybór. Podjedźmy do niej.

Astronom zatarł dłonie.

Kierowca zatrzymał limuzynę i starzec opuścił szybę.

— Przepraszam, panienko, czy byłabyś zainteresowana małym przyjęciem? Prywatnym, oczywiście.

Kobieta pochyliła się, zaglądając do środka. Była młoda, miała włosy ufarbowane na platynowy blond i rzeczową minę. Wytarte sztuczne futro rozchyliło się, odsłaniając kształtne ciało, tylko częściowo osłonięte przez obcisłą czarną minispódniczkę.

— Chcecie się zabawić, chłopaki? — Przerwała na chwilę, czekając na odpowiedź. — Skoro jest was dwóch, musicie zapłacić podwójnie — podjęła. — Jeśli macie jakieś perwersyjne życzenia, to będzie was kosztowało dodatkowo. A jeśli jesteście pierdolonymi glinami, wyrwę wam serca.

Astronom skinął głową.

— Dla mnie to brzmi dobrze. Jeśli mój przyjaciel się zgodzi.

— Czy jestem tym, o co ci chodziło, kochanie? — zapytała kobieta, przesyłając Spectorowi wilgotnego całusa.

— Jasne — potwierdził, nie patrząc na nią.



Na West Side Highway było prawie pusto i jazda nie trwała długo. Astronom wstrzyknął kobiecie narkotyk, po którym zachowała świadomość, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, co ją otacza. Gdy samochód zatrzymał się na podjeździe, Spector zauważył kilka sylwetek tłoczących się pod bezlistnymi drzewami. Ujrzał w słabym świetle zimny błysk stali. Dotknął kieszeni płaszcza, by się upewnić, że nadal ma w niej pistolet.

Wysiadł z samochodu, okrążył go pośpiesznie, wyciągnął kobietę na zewnątrz i poprowadził ją w stronę budynku. Astronom szedł już powoli ku drzwiom.

— Myślałem, że jesteś kaleką.

— Czasami bywam silniejszy od innych. Dzisiejszej nocy muszę być tak silny, jak to tylko możliwe.

Jego szaty załopotwały na zimnym wietrze, ale Astronomowi to najwyraźniej nie przeszkadzało. Wymienił kilka słów z mężczyzną przy drzwiach i uściśnął jego dłoń w rytualny sposób. Mężczyzna otworzył drzwi i skinął na Spectora, nakazując mu wejść.

Był kilka razy w Cloisters Museum, w latach dzieciństwa. Era, której wspomnienie przywoływała tamtejsza architektura, obrazy oraz gobeliny, wydawała się Spectorowi przyjemniejsza od tej, w której był zmuszony żyć.

W holu stała potężna bestia z marmuru. Miała kanciastą sylwetkę, a małe skrzydła spoczywały na szerokim grzbiecie. Głowa i paszcza były ogromne. Trzymaną w cienkich, wyposażonych w szpony dłoniach sferę unosiła do wielkiego, pełnego kłów pyska. Spector zorientował się, że to kula ziemiska.

Zza posągu wyłoniła się jakaś postać, oddalając się od nich. Na w przybliżeniu ludzkie ciało zarzuciła fartuch laboratoryjny. Ukryła brązową, owadzią twarz i zniknęła w cieniach. Spector zadrżał.

Kobieta zachichotała, przytulając się mocno do niego.

— Za mną — rzucił niecierpliwie Astronom.

Spector wykonał polecenie. Zauważył, że wnętrze budynku ozdobiono również innymi odrażającymi posągami oraz obrazami.

— Paracie się magią, prawda?

Astronom zeszywniał na to słowo.

— Magia. To tylko słowo używane przez ignorantów na określenie mocy. Talenty, które obaj posiadamy, nie są nadprzyrodzone. To produkty takizjańskiej technologii. Pewne rytuały, uważane dotąd za czarną magię, w rzeczywistości otwierają jedynie kanały zmysłowe, łączące

nas z owymi mocami.

Korytarz wychodził na dziedziniec. Pokrywający go śnieg lśnił jasno w blasku księżyca i gwiazd. Spector pomyślał, że z pewnością tu właśnie go przesłuchiwali. Pośrodku placu stały dwa kamienne ołtarze. Na jednym z nich leżał nagi, związany mężczyzna. Astronom podszedł do niego.

— Rozbierz kobietę i zwiąż ją — rozkazał.

Spector zdjął z niej ubranie i skrępował jej ręce i nogi. Nie przestawała chichotać.

— Za perwersję płacicie dodatkowo — powtarzała.

Astronom rzucił mu knebel i Spector zatkał jej usta.

— Kim jest ten facet? — zapytał, wskazując na nagiego mężczyznę.

— Szefem konkurencyjnego gangu. Jest młody, serce ma silne, a krew gorącą. A teraz bądź cicho.

Astronom uniósł dłonie wewnętrznymi powierzchniami ku górze i zaczął coś mówić w niezrozumiałym dla Spectora języku. Na dziedziniec weszła grupa obleczonych w szaty mężczyzn i kobiet. Wielu z nich miało zamknięte oczy, inni gapili się na nocne niebo. Starzec włożył rękę do klatki piersiowej ofiary. Mężczyzna krzyknął.

Astronom skinął wolną ręką na ludzi czekających z tyłu gościńca. Kilkanaście osób przyniosło do ołtarza wielką klatkę.

Zamknięte w niej stworzenie było potężne. Jego porośnięte futrem, kielbasowate ciało wspierało się na licznych, krótkich nogach. Podobnie jak posąg w holu, bestia składała się głównie z paszczy i lśniących zębów. Miała dwoje wielkich, ciemnych oczu oraz małe uszy przylegające do głowy. Spector uświadomił sobie, że to jeden z potworów z kosmosu.

Mężczyzna nie przestawał krzyczeć i błagać. Od otwartej paszczy stworzenia dzieliła go tylko odległość wyciągniętej ręki. Klatkę pchano powoli naprzód, aż wreszcie głowa młodzieńca znalazła się między kratami. Bestia kłapnęła szczękami, przerywając jego ostatni krzyk.

Astronom postawił pionowo zdekapitowane ciało, przecinając krępujące je sznury. Na jego skórę i szaty trysnęła krew. Starzec wyprostował się nagle, a jego skóra zalśniła nienaturalną witalnością. Nie przestawał śpiewać. Zdjął rękę z piersi ofiary i uniósł ją nad głowę, a następnie cisnął coś do stóp Spectora. Serce wycięto z chirurgiczną precyzją. Spector widział filmy o parapsychicznych chirurgach, ale żaden z nich nie potrafiłby dokonać czegoś tak spektakularnego.

Starzec podszedł do klatki i wbił wzrok w zamkniętą w niej bestię.

— TIAMAT, dzięki krwi żyjących stanę się twoim panem. Nie będziesz miała przede mną żadnych tajemnic.

Stworzenie miauknęło cicho, odsuwając się od Astronoma tak daleko, jak tylko pozwalała na to klatka. Ciało starca zeszytywniało, jego oddech stał się wolniejszy. Przez kilka chwil nic się nie

poruszało. Potem Astronom zacisnął pięści i krzyknął. Spector nigdy w życiu nie słyszał podobnego wycia.

Starzec podszedł chwiejnym krokiem do ciała i zaczął je rozszarpywać, ciskając na boki kawałkami mięsa i trzewi z siłą tornada. Następnie pobiegł z powrotem do klatki i wbił zakrwawione palce w czaszkę stworzenia. Próbowano się uwolnić, ale nie było w stanie pochwycić w paszczę żadnej z rąk Astronoma. Starzec zawył i szarpnął gwałtownie głową bestii. Rozległ się trzask łamanego karku. Astronom osunął się na ziemię.

Zebrani podbiegli do niego, ale Spector trzymał się z boku. Krwawa scena wypełniła go oszałamiającą radością. Czuł, że potrzeba zabijania narasta w nim szybko i gwałtownie, tłumiąc wszelkie inne myśli. Zwrócił się ku leżącej na ołtarzu dziewczynie.

— Nie! — Astronom wyprostował się i ruszył chwiejnie naprzód. — Jeszcze nie.

Spector poczuł narzucany mu z zewnątrz spokój. Wiedział, że to robota Astronoma.

— Ty mi to zrobiłeś. Muszę wkrótce zabić. Potrzebuję tego.

— Tak, tak, wiem. Ale zaczekaj. Zaczekaj, a to będzie lepsze, niż potrafisz sobie wyobrazić.

— Zachwiał się i zaczerpnął kilka głębokich oddechów. — TIAMAT nie odsłania się tak łatwo. Niemniej musiałem podjąć próbę.

Astronom skinął na zebranych i wszyscy pośpiesznie opuścili dziedziniec.

— Co chciałeś zrobić z tym stworem? Dlaczego go zabiłeś? — zapytał Spector, próbując zapanować nad swą potrzebą.

— Próbowalem nawiązać kontakt z TIAMAT poprzez jedno z jej pomniejszych stworzeń. Nie udało mi się, więc stworzenie było dla nas bezużyteczne.

Astronom ściągnął szatę i zwrócił się ku kobiecie. Przesunął okrwawionymi palcami po jej ciemnych włosach łonowych, a potem wsparł obie dłonie na jej brzuchu. Wszedł w nią, wsunął dłonie do jej brzucha i zaczął ugniatać narządy wewnętrzne. Jęczała, ale nie krzyczała. Najwyraźniej nadal była zbyt zdezorientowana, żeby zrozumieć, co się z nią dzieje.

Spector obserwował akt dość obojętnie. Sądząc po tym, co widział, starzec masował się wewnątrz jej ciała. Przed śmiercią był tylko umiarkowanie zainteresowany seksem. Teraz nawet to zniknęło.

Jeśli chciał zastrzelić Astronoma, zapewne nie będzie miał lepszej okazji. Sięgnął po pistolet. W tej samej chwili zawładnęło nim pragnienie zabijania. Uspokajający wpływ starca zniknął. Spector wyjął rękę z kieszeni płaszcza. Wiedział, czego potrzebuje. Satysfakcja nie rodziła się w lufie pistoletu.

Astronom ekscytował się coraz bardziej. Zmarszczki na jego czole zaczęły pulsować. Wyszarpywał z ciała kobiety małe fragmenty. Teraz zaczęła krzyczeć.

Spector czuł, że jego pragnienie narasta jednocześnie z podnieceniem starca.

— Teraz — odezwał się Astronom, poruszając szaleńczo biodrami. — Zabij ją teraz.

Spector podszedł bliżej. Jego oczy dzieliło od oczu kobiety zaledwie kilka centymetrów. Dostrzegął w nich strach i był pewien, że ujrzała w jego oczach swoją śmierć. Podzielił się więc z nią swoją. Powoli. Nie chciał utopić w niej kobiety. To by było zbyt szybkie. Wypełnił powoli jej umysł i ciało. Była wijącym się, krzyczącym pojemnikiem na lepki, czarny płyn jego śmierci.

Astronom osunął się na nią z jękiem, wyrывая z transu Spectora. Wyrwał kawałki jej ciała zębami i dłońmi. Kobieta nie żyła.

Spector odsunął się i zamknął oczy. Do tej pory akt zabijania nigdy nie sprawiał mu przyjemności, ale satysfakcja i ulga, które teraz czuł, wykraczały poza wszystko, co uznaliby za możliwe. Po raz pierwszy zapanował nad swoją mocą, zmusił ją, by mu służyła. Wiedział też, że potrzebuje Astronoma, by móc powtórzyć to doświadczenie.

— Czy wciąż chcesz mnie zastrzelić? — Wyczerpany Astronom zsunął się z trupa.
— Zakładam, że pistolet nadal masz w kieszeni. Wybieraj, tamto albo to.

Podsunął Spectorowi jeden z piątek.

Nie miał właściwie wyboru. To, czego przed chwilą doświadczył, wymazało wszelkie wątpliwości. Bez wahania przyjął monetę.

— Hej, w Nowym Jorku każdy nosi broń. W tym mieście jest mnóstwo bardzo niebezpiecznych ludzi.

Astronom roześmiał się w głos. Dźwięk jego śmiechu odbijał się echem od kamiennych murów.

— To tylko pierwszy krok. Przy mojej pomocy nauczysz się rzeczy, które nigdy ci się nawet nie śniły. Od tej chwili nie jesteś już Jamesem Spectorem. My z wewnętrznego kręgu nadajemy ci imię Zgon. Dla tych, którzy staną nam na drodze, będziesz śmiercią. Szybką i bezlitosną.

— Zgon. To mi się podoba.

Skinął głową i schował piątek do kieszeni.

— Ufaj tylko tym, którzy zidentyfikują się za pomocą monety. Wybrano już dla ciebie przyjaciół i wrogów. Jeśli chcesz, możesz spędzić tu noc. Jutro zacznie się twoja edukacja.

Astronom podniósł szatę z ziemi i wrócił do budynku.

Spector potarł skronie i podążył za nim. Ból znowu zaczął narastać. Pogodził się z nim, a nawet go pokochał. Odnajdzie w nim moc i spełnienie. Wyciągnął Czarną Damę i spotkała go straszliwa śmierć, ale potem wydarzył się cud. Jego darem dla świata będzie groza, którą w sobie nosi. Światu może to nie wystarczyć, ale jemu wystarczy.

Zwinął się pod posągami w holu i zasnął snem umarłego.



Jube: Cztery

Na trzecim piętrze Kryształowego Pałacu znajdowały się prywatne pokoje, które Poczwarzka zachowała dla siebie. Czekwała na niego w wiktoriańskim salonie, siedząc w obitym czerwonym aksamitem fotelu o wysokim oparciu, ustawionym za dębowym stołem. Nie tracąc czasu, wskazała mu miejsce.

— Pobudziłeś moje zainteresowanie, Jubal.

— Nie wiem, o co ci chodzi — odparł Jube, siadając na krześle o szczebelkowym oparciu.

Poczwarzka otworzyła antyczną atlasową portmonetkę, wyjęła z niej garść klejnotów i ułożyła je na białym obrusie.

— Dwa gwiazdne szafiry, jeden rubin i jeden niebiesko biały diament bez skazy — oznajmiła swym zimnym, pozbawionym wyrazu głosem. — Wszystkie nieoszlifowane, wszystkie najwyższej jakości i żaden nie waży mniej niż cztery karaty. Wszystkie pojawiły się na ulicach Dżokerowa w ciągu ostatnich sześciu tygodni. To ciekawe, nieprawdaż? Co sądzisz na ten temat?

— Nie mam pojęcia — odparł Jube. — Będę miał uszy otwarte. Słyszałaś o dżokerze, który ma moc ściśnięcia diamentu tak mocno, że zamienia się w kawałek węgla?

Blefował i oboje o tym wiedzieli. Poczwarzka przesunęła szafir po obrusie małym palcem lewej ręki o skórze i mięśniach przezroczystych jak szkło.

— Ten dałeś śmieciarzowi za kulę do kręgli, którą znalazł w puszcze na śmieci.

— Ehe — przyznał Jube. Miała kolor magentowo-biały, zrobiono ją na zamówienie dla jakiegoś dżokera, jej sześć otworów ułożono w krąg. Nic dziwnego, że wylądowała na śmietniku.

Poczwarzka trąciła małym palcem rubin, przesuwając go o ponad centymetr.

— Ten trafił do policyjnego archiwisty. Chciałeś zobaczyć akta dotyczące ciała zwiniętego z kostnicy oraz wszystko, co mieli na temat tej zaginionej kuli. Nie wiedziałam, że tak się pasjonujesz kręglami, Jubal.

Jube poklepał się po brzuchu.

— Czy nie wyglądam na kogoś, kto gra w kręgle? Nie ma nic, co lubiłbym bardziej, niż rzucić kilka kul i wypić kilka piw.

— Nigdy w życiu nie postawiłeś nogi w kręgielni. Nie potrafiłbyś odróżnić strike'a od przyłożenia. — Kości jej palców nigdy nie wyglądały groźniej niż w chwili, gdy ujęła w nie

diament. — Ten klejnot przekazano Johnowi Diabłu Pięknej Stopie w mojej czerwonej sali.

Przetoczyła diament po przezroczystych palcach, a mięśnie jej twarzy wykrzywiły się w czymś, co musiało być ironicznym uśmiechem.

— Należały do mojej matki — oznajmił Jube.

Poczwarka zachichotała.

— I nigdy nie chciało się ich oszlifować albo oprawić? To bardzo osobliwe. — Odłożyła diament i wzięła w rękę drugi szafir. — A ten... Doprawdy, Jubal! Naprawdę myślałeś, że Elmo nic mi nie powie? — Położyła ostrożnie klejnot obok pozostałych. — Potrzebowałeś wynająć kogoś, kto wykona pewne niesprecyzowane zadania i przeprowadzi równie nieokreślone dochodzenia. Dlaczego po prostu nie przyszedłeś z tym do mnie?

Jube podrapał się po jednym z kłów.

— Zadajesz za dużo pytań.

— To prawda — przyznała, przesuwając dłonią nad klejnotami. — Tu mamy cztery. Czy były też inne?

Jube skinął głową.

— Jeden albo dwa. Umknęły ci szmaragdy.

— Szkoda. Lubię zielony. To kolor brytyjskich samochodów wyścigowych. — Westchnęła. — Dlaczego klejnoty?

— Ludzie niechętnie przyjmują moje czeki, a to jest łatwiejsze niż noszenie ze sobą wielkich ilości gotówki — wyjaśnił Jube.

— Jeśli masz ich więcej, lepiej by było, gdyby zostały na miejscu — ostrzegła go Poczwarka. — Jeśli po Dżokerowie rozejdzie się wieść, że Mors ma tajny skład klejnotów, twoje szanse będą o kant dupy potłuc. Niewykluczone, że już zmąciłeś wody, ale miejmy nadzieję, że rekiny niczego nie zauważyły. Elmo oczywiście nie powiedział nikomu poza mną, a John Diabeł ma własne, specyficzne poczucie honoru i chyba możemy wierzyć, że będzie trzymał gębę na kłódkę. Jeśli zaś chodzi o śmieciarza i policjanta, razem z klejnotami kupiłam ich milczenie.

— Nie musiałaś tego robić!

— Wiem — odparła. — Jeśli kiedyś znowu będziesz potrzebował informacji, znasz drogę do Kryształowego Pałacu, prawda?

— Ile już wiesz? — zapytał Jube.

— Wystarczająco wiele, by móc odgadnąć, kiedy kłamiesz — odparła. — Wiem, że szukasz kuli do kręgli, z powodów niezrozumiałych dla nikogo, czy to mężczyzny, kobiety, czy dżokera. Wiem, że Piękna Stopa ukradł z kostnicy tego trupa dżokera, zapewne za pieniądze, bo raczej nie zrobiłby czegoś takiego sam z siebie. Wiem, że ciało było małe i porośnięte futrem, miało nogi jak u pasikonika i było poważnie uszkodzone przez ogień. Żadne z moich źródeł nie słyszało o dżokerze pasującym do tego opisu. To ciekawy fakt. Wiem, że tego samego dnia, gdy

ukradziono ciało, Croyd wpłacił na lokatę znaczną sumę, a następnego dnia drugą, jeszcze większą. W międzyczasie stał się publicznie z Piękną Stopą. Wiem, że zapłaciłeś Johnowi Diabłu sporo forsy, by zdradził, czyje interesy reprezentował w tym melodramatycznym incydencie, i bezskutecznie próbowałeś pozyskać jego usługi. — Pochyliła się ku niemu. — Ale nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy, a wiesz, że nie znoszę tajemnic.

— Mówią, że gdy tylko gdzieś na Manhattanie pierdnie dzoker, Poczwarzka łapie się za nos — stwierdził Jube. Przyjrzał się jej z uwagą, ale przezroczyste ciało uniemożliwiało wyczytanie czegokolwiek z jej twarzy. Ukryta pod kryształową skórą czaszka kierowała ku niemu nieprzeniknione niebieskie oczy. — Jaki masz interes w tej sprawie? — zapytał.

— Nieokreślony, dopóki się nie dowiem, co to za sprawa. Niemniej przez długi czas byłęś dla mnie cenny i bardzo bym nie chciała stracić twych usług. Wiesz, że jestem dyskretna.

— Chyba że ktoś ci zapłaci za niedyskrecję — zauważył Jube.

Dotknęła ze śmiechem diamentu.

— Biorąc pod uwagę twoje zasoby, milczenie może się okazać bardziej lukratywne niż mowa.

— To prawda — zgodził się Jube. Doszedł do wniosku, że nie ma nic do stracenia. — W rzeczywistości jestem szpiegiem obcych i pochodzę z odległej planety... — zaczął.

— Jubal — przerwała mu Poczwarzka — nie nadużywaj mojej cierpliwości. Nigdy nie przepadałam za twoim poczuciem humoru. Do rzeczy. Co się wydarzyło podczas rozmowy z Piękną Stopą?

— Niewiele — przyznał Jube. — Wiedziałem, po co potrzebowałem tego ciała, ale nie rozumiałem, dlaczego miałyby obchodzić kogoś innego. John Diabeł nie chciał mi tego powiedzieć. Myślę, że mają kulę do kręgli. Próbowałem mu zapłacić, żeby ją dla mnie odzyskał, ale nie chciał mieć z nimi nic więcej do czynienia. Chyba się ich boi, kimkolwiek mogą być.

— Myślę, że masz rację. A Croyd?

— Znowu zasnął. Kto wie, do czego będzie się nadawał, kiedy wróci? Może będzie czekał sześć miesięcy, a on obudzi się jako chomik.

— Na zamówienie mogę opłacić usługi kogoś, kto znajdzie dla ciebie odpowiedzi — oznajmiła z chłodną pewnością Poczwarzka.

Jube postanowił, że będzie szczery. Wykręty nic mu nie dadzą.

— Nie jestem pewien, czy mógłbym zaufać komuś, kogo byś wynajęła.

— Mój drogi, to najmądrzejsza rzecz, jaką powiedziałaś od miesięcy — odparła ze śmiechem. — Masz rację. Łatwo cię nabrać, a muszę przyznać, że niektórzy z moich kontaktów nie cieszą się zbyt dobrą opinią. Ale moje pośrednictwo wszystko zmieni. Zdołałam pewną reputację.

— Obok łokcia miała mały, srebrny dzwoneczek. Zadzwoiła cicho. — Tak czy inaczej, człowiek, który najlepiej by się do tego nadawał, jest wyjątkiem od ogólnej reguły. On naprawdę

wie, co to etyka.

Jube poczuł pokusę.

— Kto to jest?

— Nazywa się Jay Ackroyd. Jest prywatnym detektywem. To prawdziwy as. W obu znaczeniach tego słowa. Czasami mówią na niego Rzutnik, ale nigdy prosto w oczy. Od czasu do czasu wyświadczamy sobie przysługi. W końcu oboje pracujemy w tej samej branży.

Jube pociągnął się z namysłem za kiel.

— Ehe. A co mi przeszkodzi wynająć go osobiście?

— Nic — odparła Poczwarła. Do sali wszedł wysoki kelner z imponującymi rogami z kości słoniowej. Przyniósł amaretto i Singapore Sling na antycznej srebrnej tacy. — O ile wolisz, żeby zaczął się interesować twoimi motywami zamiast moich — dokończyła po jego wyjściu.

To skłoniło Jube'a do zastanowienia.

— Może faktycznie nie powinienem przyciągać uwagi.

— Tak też sobie pomyślałam — rzekła Poczwarła, pijąc amaretto. — Jay nawet nie będzie wiedział, że to ty jesteś jego klientem.

Jube wyjrzał przez okno. Była ciemna, bezchmurna noc. Widział gwiazdy i wiedział, że Matka nadal czeka gdzieś wśród nich. Potrzebował pomocy i to mu kazało zapomnieć o ostrożności.

— Znasz jakiegoś dobrego złodzieja? — zapytał bez ogródek.

To ją zaskoczyło.

— Może i tak — przyznała.

— Potrzebuję — zaczął z zażenowaniem — hmm, części. Instrumentów naukowych i, hmm, elektronicznych mikroczipów i temu podobnych rzeczy. Mogę ci zrobić listę. To pewnie by wymagało włamania do korporacyjnych laboratoriów, być może nawet rządowych.

— Nie mieszam się w nic aż tak nielegalnego — oznajmiła Poczwarła. — Po co ci ta cała elektronika?

— Zbuduję sobie krótkofalówkę — odparł Jube. — Czy nie zrobiłabyś tego, żeby uratować świat? — Nie odpowiedziała. — A za sześć identycznych szmaragdów wielkości gołębic jaj?

Rozciągnęła usta w powolnym uśmiechu i wzniosła toast.

— Za długą i korzystną współpracę.

Mogłaby prawie być Wielkim Kupcem, pomyślał Jube z pewną dozą podziwu. On również się uśmiechnął, odsłaniając kły, a potem uniósł szklanekę z koktajlem i wziął słomkę do ust.



Do szóstej generacji

Epilog

To było łatwe. Flush i Sweat udawali, że pobili się na chodniku przed bagażówką. Ricky i Loco po prostu podeszli do tyłu pojazdu, zabrali po dwa pudła i poszli sobie. Wysoki typek, który się przeprowadzał, nawet nie zauważył, że czegoś brakuje. Ricky serdecznie sobie gratulował tego pomysłu.

W dzisiejszych czasach podobne okazje nie trafiały się często. Tereny należące do natoli kurczyły się z każdą chwilą. Dżokerskie gangi, takie jak Władcy Demonów, pochłaniały coraz większe terytoria. Jak, do cholery, mieli walczyć z czymś, co wyglądało jak kałamarnica?

Ricky Santillanes pogrzebał w kieszeni dzinsów. Wyciągnął klucze i otworzył drzwi klubu. Flush poszedł do lodówki po parę piw, a pozostali postawili pudła na sfatygowanej sofie, żeby je otworzyć.

— Kurde. Odtwarzacz wideo.

— Co jest na taśmach?

— Chyba japońskie filmy o potworach. A tu jest coś z napisem PORNO.

— Hej! Dawaj to!

Otworzono piwa.

— Loco! Komputer!

— To nie jest komputer. To korektor graficzny.

— Nie pierdol. Widziałem już komputer. W szkole, zanim ją rzuciłem.

Ricky przyjrzał się urządzeniu.

— Wang nie produkuje sprzętu stereo, brachu.

— Chuja wiesz.

Sweat uniósł wypalarkę.

— Kurde, a co to jest?

— Założę się, że coś drogiego.

— Jak mamy to sprzedać, jeśli nie wiemy, ile zawołać od pasera?

— Hej! Udało mi się włączyć odtwarzacz!

— A to? — zapytał Sweat, unosząc gładką, czarną sferę.

— Kula do kręgli.

— Nie pierdol. Jest za lekka — sprzeciwił się Ricky, biorąc przedmiot w rękę.

— Hej. Ta blondynka jest niezła.

— Co ona robi? Pieprzy się z kamerą? Gdzie jest facet?

— Gdzieś ją widziałem.

— Kurde, gdzie jest facet? To porąbane. Wygląda jak zbliżenie jej ucha.

Ricky patrzył na ekran, nie przestając żonglować czarną kulą. Była ciepła w dotyku.

— Hej! Ta panienka leci albo coś!

— Nie chrzań.

— Przyjrzyj się. Tło się porusza.

Blondynka najwyraźniej unosiła się w powietrzu. Latała do tyłu wokół pokoju, jednocześnie oddając się słabo widocznym aktom seksualnym. Wyglądało to tak, jakby jej niewidzialny partner potrafił latać.

— To zupełnie porąbane.

Loco spojrział na czarną kulę.

— Daj mi to — zażądał.

— Kurde, patrz na ten cholerny film.

— Kit z nim. Daj mi to — powtórzył i wyciągnął rękę po kulę.

— Spierdalaj, dupku!

Na dłoniach Ricky'ego zatańczyły dziwaczne światła. Coś ciemnego sięgnęło po Loco i ten nagle zniknął.

Ricky stał nieruchomo, milczący i pogrążony w szoku. Dwaj pozostali stali i krzyczeli. Czuł się, jakby coś muskało jego umysł.

Czarna kula mówiła do niego. Sprawiała wrażenie zagubionej i w jakiś sposób uszkodzonej.

Mogła powodować znikanie. Ricky pomyślał o Władcach Demonów i o tym, co można zrobić z kimś, kto wygląda jak kałamarnica. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Hej, posłuchajcie — rzekł. — Chyba mam pomysł.



Zimowy chłód

GEORGE R.R. MARTIN

Ów dzień wreszcie nadszedł. Tom wiedział, że prędzej czy później tak się stanie. Była sobota, zimna, szara, a od Kill van Kull dął ostry wiatr. Gdy obudził się o wpół do dziesiątej, czekała już na niego kawa z ekspresu. W weekendy lubił długo spać. Do pierwszego kubka dodał sporo mleka i cukru, a potem zabrał go ze sobą do pokoju.

Na stoliku wałało się mnóstwo starej poczty — sterta rachunków, druki reklamowe z supermarketów, informujące o dawno minionych wyprzedażach, kartka pocztowa wysłana przez jego siostrę podczas letniej podróży do Anglii, długa brązowa koperta z informacją, że pan Thomas Tudbury mógł właśnie wygrać trzy miliony dolarów, oraz mnóstwo innych śmieci, z którymi będzie teraz musiał szybko coś zrobić.

Pod tym wszystkim spoczywało zaproszenie.

Dopił kawę, gapiąc się na pocztę. Ile miesięcy tu leżało? Trzy? Cztery? Za późno, by coś na to poradzić. Nawet potwierdzenie byłoby teraz rozpaczliwie nie na miejscu. Przypomniał sobie zakończenie *Absolwenta* i cieszył się przez chwilę tą fantazją. Nie był jednak Dustinem Hoffmanem.

Jak ktoś, kto drapie stary strup, Tom przerzucał pocztę, aż wreszcie znowu odnalazł małą, kwadratową kopertę. Umieszczono w niej biały kartonik.

PAN I PANI STANLEY CASKO
PROSZĄ, BY ZASZCZYCIŁ PAN SWĄ OBECNOŚCIĄ
ŚLUB ICH CÓRKI BARBARY
Z PANEM STEPHENEM BRUDEREM W WEEHAWKEN
W KOŚCIELE ŚWIĘTEGO HENRYKA
WESELE ODBĘDZIE SIĘ W KLUBIE „TOP HAT”
PROSIMY O POTWIERDZENIE 555-6853

Tom przez długi czas jeździł palcem po tłoczonych literach, a potem odłożył ostrożnie zaproszenie na stół. Następnie wyrzucił śmieci do wiklinowego kosza stojącego u końca kanapy, podszedł do okna i zaczął się przez nie gapić.

Po przeciwnej stronie Pierwszej Ulicy czarny śnieg zbierano na zaspę ulokowane wzdłuż

ścieżek w małym parku nad wodą. Frachtowiec pod norweską banderą płynął Kill van Kull w stronę Bayonne Bridge i Port Newark, holowany przez niebieski, przysadzisty holownik. Tom stał w oknie swego pokoju, z jedną ręką na parapecie, a drugą schowaną głęboko w kieszeni, i obserwował bawiące się w parku dzieci, posuwający się majestatycznie naprzód frachtowiec, zimne, zielone wody Kill van Kull oraz nabrzeża i wzgórze Staten Island na drugim brzegu.

Dawno, dawno temu jego rodzina mieszkała w osiedlu przy Pierwszej Ulicy, a okno ich salonu wychodziło na park i na Kill van Kull. Nocą, gdy jego rodzice spali, czasami wstawał, brał sobie mleko czekoladowe i gapił się przez okno na światła Staten Island. Wydawały mu się wówczas tak niewiarygodnie odległe i pełne obietnicy. Co mógł wtedy wiedzieć? Był chłopakiem z osiedla mieszkaniowego, który nigdy w życiu nie opuścił Bayonne.

Wielkie statki przepływały tamtędy przez całą dobę, a nocą nie widziało się plam rdzy na ich burtach ani ropy, którą spuszczały do wody. Nocą statki były magiczne, płynęły ku wspaniałym, romantycznym przygodom, ku legendarnym miastom o mrocznych ulicach pełnych niebezpieczeństw. W prawdziwym życiu nawet Jersey City było dla niego nieznaną ziemią, ale w marzeniach znał wrzosowiska Szkocji, zaułki Szanghaju i pył Marrakeszu. Zanim ukończył dziesięć lat, Tom nauczył się już rozpoznawać bandery z górą trzydziestu państw.

Ale nie miał już dziesięciu lat. W tym roku ukończy czterdzieści dwa i oddalił się od osiedla zaledwie o cztery przecznice. Mieszkał w małym domu z pomarańczowej cegły przy tej samej Pierwszej Ulicy. Kiedy uczył się w liceum, w wakacje zajmował się naprawą telewizorów. Nadal pracował w tym samym zakładzie, tyle że awansował na kierownika. Był właścicielem prawie jednej trzeciej całego interesu, znanego w dzisiejszych czasach jako Broadway ElectroMart, i sprzedawał nie tylko telewizory, lecz również komputery, odtwarzacze CD oraz wideo.

Daleko zaszedłeś, Tommy, pomyślał z goryczą. A teraz Barbara Casco miała wyjść za Steve'a Brudera.

Nie mógł mieć do niej pretensji. Nie mógł mieć pretensji do nikogo poza samym sobą. No, może również do Śmiga i doktora Tachiona... Tak, do nich też, w niewielkim stopniu.

Odwrócił się, pozwalając, by zasłony opadły. Czuł się paskudnie. Poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Jej wnętrze wyglądało mniej więcej tak jak u wszystkich kawalerów. Nie było tam piwa, tylko troszeczkę pozbawionej już gazu coli Shop Rite na dzień dwulitrowej butelki. Zdjął folię z miski sałatki z tuńczyka, chcąc zrobić sobie kanapkę na śniadanie, ale zawartość porosła czymś zielonym. Stracił nagle apetyt.

Wziął w rękę słuchawkę ściennego telefonu i wcisnął siedem znajomych cyfr. Przy trzecim sygnale rozmowę odebrało dziecko.

— Hało?

— Cześć, Vito — rzekł Tom. — Twój stary jest w domu?

Usłyszał dźwięk podnoszenia słuchawki w drugim aparacie.

— Halo? — odezwała się kobieta. Dziecko zachichotało. — Już odebrałam, kochanie.

— Pa, Vito — powiedział Tom, gdy dziecko odkładało słuchawkę.

— Vito — powtórzyła Gina tonem łączącym irytację z wesołością. — Masz świra, Tom, wiesz o tym? Dlaczego ciągle mieszasz mu w głowie? Poprzednim razem to był Giuseppe. On się nazywa Derek.

— E tam — obruszył się Tom. — Derek? I to ma być italiańskie imię? Dwoje sympatycznych makaroniarzy, takich jak ty i Joey, nazwało dzieciaka na cześć jakiego przygłupa z opery mydlanej. Dom dostałby udaru. Derek DiAngelis? To brzmi jak chodzący kryzys tożsamości.

— Postaraj się o własne dziecko — odcięła się Gina. — Będziesz mógł mu dać na imię Vito.

To był tylko żart. Gina się wygłupiała. Nic się za tym nie kryło. Ale ta świadomość w niczym mu nie pomogła. I tak czuł się, jakby go kopnięto w brzuch.

— Jest Joey? — burknął.

— Pojechał do San Diego — odparła. — Tom, nic ci nie jest? Dziwnie mówisz.

— Nic. Chciałem tylko powiedzieć „cześć”.

Pewnie, że był w San Diego. Joey ostatnio bardzo dużo podróżował. Farciarz. Joey Złomiarz DiAngelis był gwiazdą autorodeo, a zimą pokazy przenosiły się w cieplejsze okolice. Była w tym odrobina ironii. Kiedy byli dziećmi, nawet ich rodzice byli przekonani, że to Tom będzie podróżował po świecie, podczas gdy Joey zostanie w Bayonne i będzie prowadził złomowisko ojca. A teraz Joey stał się sławny, natomiast jego rodzinny skład złomu należał do Toma. Powinni byli to przewidzieć. Już w podstawówce szalał na samochodzikach w wesołym miasteczku.

— Dobra, powiedz mu, że dzwoniłem.

— Mam numer do motelu, w którym się zatrzymali — zasugerowała.

— Dziękuję. To nie jest aż takie ważne. Do zobaczenia, Gina. Opiekuj się Vitem.

Tom odłożył słuchawkę.

Kluczyki leżały na blacie w kuchni. Włożył obszerną brązową kurtkę z zamszu, zasunął ekspres i zszedł do ulokowanego w piwnicy garażu. Drzwi zamknęły się automatycznie za ciemnozieloną hondą. Ruszył Pierwszą Ulicą na wschód, mijając osiedla mieszkaniowe, a potem skręcił w Lexington Avenue. Przy Piątej Ulicy skręcił w prawo, zostawiając za sobą dzielnice mieszkaniowe.

Była zimna, pochmurna, marcowa sobota. Na ziemi leżał śnieg, a w powietrzu czuło się zimowy chłód. Miał czterdzieści jeden lat i Barbara wychodziła za męża. Thomas Tudbury pragnął znowu się skryć w swej skorupie.



Poznali się w Fundacji Młodzieżowej Przedsiębiorczości, jako uczniowie ostatnich klas dwóch różnych liceów.

Tommy'ego szczególnie obchodziły zasady funkcjonowania gospodarki rynkowej, za to bardzo interesowały go dziewczyny. Do jego szkoły chodziły tylko chłopaki, ale FMP przyjmowała uczniów ze wszystkich okolicznych liceów i zaczął do niej uczęszczać od samego początku.

Nawet z chłopakami trudno mu było się zaprzyjaźnić, a dziewczyny wręcz go przerażały. Nie wiedział, co do nich mówić, i bał się, że palnie coś głupiego. Dlatego nie mówił nic. Po kilku tygodniach niektóre dziewczyny zaczęły go prowokować, ale większość po prostu go ignorowała. Przez cały pierwszy rok panicznie bał się urządzanych we wtorkowe wieczory spotkań.

Ale podczas drugiego roku wszystko się zmieniło. Dzięki dziewczynie nazwiskiem Barbara Casko.

Gdy spotkali się po raz pierwszy, Tom siedział w kącie, czując się smutny i gruby. Barbara podeszła do niego i się przedstawiła. Była szczerze przyjazna, co zdumiało Toma. Naprawdę niewiarygodne, jeszcze bardziej zdumiewające niż fakt, że zadała sobie trud, by okazać mu sympatię, wydawało się to, że była najładniejszą dziewczyną na kursie, a być może nawet w całym Bayonne. Miała ciemnoblond włosy, opadające na ramiona i zakręcone na końcach, jasnoniebieskie oczy i najcieplejszy uśmiech na świecie. Nosiła swetry z angory, szczególnie obcisłe, ale podkreślające jej dobrą figurę. Była wystarczająco ładna, by zostać cheer leaderką.

Tommy nie był jedynym, któremu imponowała Barbara Casko. Wkrótce wybrano ją na prezesa kursu. A gdy po Bożym Narodzeniu jej kadencja się skończyła i nadeszła pora nowych wyborów, wysunęła jego kandydaturę. Była tak popularna, że naprawdę go wybrano.

— Umów się z nią na randkę — poradził mu Joey DiAngelis w październiku, gdy Tom zdobył się wreszcie na odwagę, by mu o niej opowiedzieć. Joey rzucił szkołę rok wcześniej. Uczył się na mechanika w stacji obsługi na Avenue E. — Podobasz się jej, ty głąbie.

— Daj spokój — sprzeciwił się Tom. — Czemu miałaby się ze mną umawiać? Szkoda, że jej nie widziałeś, Joey. Mogłaby się umówić, z kim zechce.

Thomas Tudbury nigdy w życiu nie był na randce.

— Może ma gówniany gust — odparł z uśmiechem Joey.

To nie była ich ostatnia rozmowa o Barbarze. Tom mógł się zwierzyć jedynie Joeyowi, a przez cały rok mówił wyłącznie o niej.

— Daj mi wreszcie spokój, Tuds — rzekł w końcu DiAngelis pewnej grudniowej nocy, gdy pili piwo we wraku packarda nad brzegiem zatoki. — Jeśli ty się z nią nie umówisz, ja to zrobię.

Ten pomysł nie spodobał się Tomowi.

— Ona nie jest w twoim typie, ty durny makaroniarzu.

— Chyba mówiłeś, że jest dziewczyną — zdziwił się Joey.

— Pójdzie do college'u i zostanie nauczycielką.

— Kurde, to nieważne. Czy ma duże cycki?

Tom walnął go w bark.

W marcu, gdy nadal się z nią nie umówił, Joey zapytał:

— Cholera, na co czekasz? Zgłosiła swoją kandydaturę na prezesa waszego zasranego kursu, tak? Podobasz się jej, głąbie.

— To, że wiedziała, że będę dobrym prezesem, wcale nie znaczy, że chce się ze mną umówić.

— Zapytaj ją, debilu.

— Może i to zrobię — odparł z zażenowaniem Tom. Po dwóch tygodniach, w środę wieczorem, po spotkaniu, podczas którego Barbara zachowywała się szczególnie przyjaźnie, posunął się nawet do tego, że sprawdził jej numer w książce telefonicznej. Ale nie zadzwonił do niej.

— Jest tam dziewięć różnych osób o nazwisku Casco — oznajmił Joeyowi podczas następnego spotkania. — Nie byłem pewien, który numer należy do niej.

— Zadzwon do wszystkich, Tuds. Kurwa, na pewno są spokrewnieni.

— Czuję się jak idiota — wyznał Tom.

— Bo jesteś idiotą — poinformował go Joey. — Posłuchaj, jeśli to takie trudne, przy następnej okazji zapytaj ją o numer.

Tom przełknął ślinę.

— Wtedy pomyśli, że chcę się z nią umówić.

— I co z tego? — zapytał ze śmiechem Joey. — Przecież chcesz!

— Nie jestem jeszcze gotowy, to wszystko. Nie wiem, jak to zrobić — wyznał z przygnębieniem Tom.

— To łatwe. Dzwonisz, a kiedy ona odbiera, mówisz: „Hej, mówi Tom, czy chcesz się ze mną umówić?”

— A co, jeśli powie „nie”?

Joey wzruszył ramionami.

— Wtedy zadzwonimy do wszystkich pizzerii w mieście, żeby przez całą noc dostarczali jej do domu pizze. Z anchois. Nikt nie da rady zjeść pizzy z anchois.

Gdy nadszedł maj, Tom zdołał w końcu ustalić, do której z rodzin Casco należy Barbara. Powiedziała coś od niechcienia o okolicy, w której mieszka, a on to zauważył, ponieważ obsesyjnie zwracał uwagę na wszystko, co mówiła. Poszedł do domu, wyrwał kartkę z książki i zaznaczył kółkiem jej numer. Zaczął go nawet wykręcać. Pięć albo sześć razy. Ale nigdy nie doszedł do końca.

— Kurwa, dlaczego? — zapytał Joey.

— Jest już za późno — odparł z przygnębieniem Tom. — No wiesz, znamy się od września i nadal się z nią nie umówiłem. Jeśli spróbuję zrobić to teraz, pomyśli, że miałem cykora albo

coś.

— Bo masz cykora — zauważył DiAngelis.

— Zresztą, co by to dało? Pójdziemy do innych college'ów. Po końcu czerwca zapewne już nigdy się nie spotkamy.

— Bal na zakończenie roku szkolnego — powiedział Joey, gniotąc w garści puszkę po piwie.

— Co z nim?

— Zaproś ją. Chyba się wybierasz, co?

— Nie wiem — odparł Tom. — No wiesz, nie umiem tańczyć. Co to, kurwa, ma znaczyć? Ty nigdy nie byłeś na żadnym cholernym balu!

— Bale są do dupy — wyjaśnił Joey. — Kiedy się umawiam z dziewczyną, wolę pojechać z nią cholerną Czterdziestą Czwartą, żeby się przekonać, czy zobaczę kawałek gołego cycka, niż trzymać ją za rękę w jakiejś popierdolonej sali gimnastycznej, tak? Ale ty to nie ja, Tuds. Nie wciskaj mi kitu. Chcesz iść na ten głupi bal i obaj o tym wiemy, a gdybyś zjawił się z najładniejszą dziewczyną na sali, czułbyś się jak w pierdolonym niebie.

— Jest maj — burknął przygnębiony Tom. — Barbara to najładniejsza dziewczyna w Bayonne. Niemożliwe, żeby jeszcze nie miała partnera na bal.

— Tuds, chodźcie do innych szkół. Ma partnera na swój bal, tak jest, ale, kurwa, jakie są szanse, że ma go na twój? Dziewczyny uwielbiają te zasrane bale, kochają się stroić, wkładać gorsety i tańczyć. Zrób to, Tuds. Nie masz nic do stracenia. Poza cnotą — dodał z uśmiechem.

W następnym tygodniu Tom nie myślał o niczym poza tą rozmową. Czas mijał. Kurs wkrótce się skończy, a potem nigdy już nie zobaczy Barbary, chyba że spróbuje coś zrobić. Joey miał rację: musiał spróbować.

Gdy nadszedł wtorkowy wieczór, przez całą długą jazdę autobusem do górnej części Manhattanu czuł ucisk w żołądku. Raz po raz ćwiczył w myślach rozmowę z Barbarą, ale słowa nie chciały zabrzmieć prawidłowo, bez względu na to, ile razy je przestawiał. Był jednak zdeterminowany coś powiedzieć. Bał się, że mu odmówi, a jeszcze bardziej przerażała go myśl, że mogłaby się zgodzić. Musiał jednak spróbować. Nie pozwoli Barbarze odejść, nie powiedziaławszy jej przedtem, jak bardzo ją lubi.

Najbardziej martwił się o to, jak zdoła ją odprowadzić gdzieś na bok, daleko od pozostałych. Z pewnością nie spróbuje jej zaprosić na oczach wszystkich. Na samą myśl o tym dostawał gęsiej skórki. Inne dziewczyny i tak uważały go za pożałowania godnego, a gdyby ośmielił się zaprosić Barbarę Casco na bal, pękłyby ze śmiechu. Musi mieć nadzieję, że Barbara im o tym nie opowie. Nie sądził, by miała tak postąpić.

Problem rozwiązał się sam. To było ostatnie spotkanie i doradcy rozmawiali z prezesami różnych kursów, by wręczyć certyfikat temu, kogo wybiorą na prezesa roku. Barbara kierowała ich kursem przez pierwszą połowę, a Tom przez drugą, oboje czekali więc w korytarzu, sam na

sam, podczas gdy reszta dzieciaków była na spotkaniu, a doradcy prowadzili rozmowy.

— Mam nadzieję, że ty wygrasz — powiedział jej.

Uśmiechnęła się do niego. Miała na sobie jasnoniebieski sweter i plisowaną spódnicę sięgającą nieco poniżej kolan. Szyję zaś zdobił medalion w kształcie serduszka na cienkim złotym łańcuszku. Jej blond włosy wydawały się tak miękkie, że pragnął ich dotknąć, ale oczywiście nie ośmielił się tego zrobić. Stała tak blisko, że czuł, jaka jest czysta i świeża.

— Wyglądasz bardzo ładnie — palnął z zażenowaniem.

Czuł się jak idiota, ale Barbara najwyraźniej tego nie zauważyła. Spojrzała na niego swymi tak bardzo niebieskimi oczami.

— Dziękuję — powiedziała. — Mogliby się pośpieszyć. — Nagle zrobiła coś, co go zaskoczyło. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego ramieniu. — Tommy, czy mogę cię o coś zapytać?

— Zapytać — powtórzył. — Jasne.

— O bal na zakończenie roku szkolnego — dodała Barbara.

Stał przez długą chwilę jak zombie, zdając sobie sprawę z panującego w korytarzu chłodu, odległych śmiechów dobiegających z klasy oraz głosów doradców słyszalnych za drzwiami o szybach z matowego szkła, z lekkiego nacisku dłoni Barbary, a nade wszystko z jej bliskości, z intensywnie niebieskich oczu wpatrujących się w niego, z medalionu wiszącego między małymi, okrągłymi wzgórkami jej piersi, z jej czystego zapachu. Choć raz przestała się uśmiechać. Wyraz jej twarzy mógł nawet sugerować niepokój. To jednak tylko dodawało jej urody. Pragnął ją uściskać i pocałować, ale bał się rozpaczliwie.

— O bal — zdołał wreszcie wykrztusić. Słabo. Nagle zauważył absurdalny, potężny wzwód, unoszący tkaninę jego spodni. Miał nadzieję, że nic nie spostrzegła.

— Znasz Steve'a Brudera? — zapytała.

Tom znał go od drugiej klasy. Był gospodarzem klasy i gwiazdą drużyny koszykówki. W podstawówce on i jego kumple nieraz upokarzali Toma za pomocą pięści. Teraz stali się kulturalnymi licealistami i używali wyłącznie słów.

Barbara nie czekała na jego odpowiedź.

— Spotykaliśmy się ze sobą — oznajmiła mu. — Myślałam, że mnie zaprosi na bal na zakończenie roku, ale tego nie zrobił.

Mogłabyś pójść ze mną! — pomyślał Tom jak szaleniec.

— Naprawdę? — zapytał tylko na głos.

— Naprawdę — potwierdziła. — Wiesz może, czy przyjdzie z jakąś inną dziewczyną?

— Nie wiem — odparł Tom pozbawionym wyrazu głosem. — Rzadko ze sobą rozmawiamy.

— Och — rzekła Barbara i cofnęła rękę. Drzwi się otworzyły i wyczytano nazwisko Toma.

Wygrał certyfikat oszczędnościowy wart pięćdziesiąt dolarów jako prezes kursu roku. Matka

nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wydaje się tak nieszczęśliwy.



Złomowisko znajdowało się przy Hook Road, między opuszczoną rafinerią a zimnymi, zielonymi wodami Zatoki Nowojorskiej. Wysoki na trzy metry płot z siatki drucianej zapadał się, a na tablicy po prawej stronie bramy, głoszącej, że nieupoważnionym wstęp wzbroniony, pojawiła się rdza. Tom wygramolił się z samochodu, otworzył kłódkę, zdjął ciężkie łańcuchy i wjechał do środka.

Barak, w którym kiedyś mieszkali Joey i jego ojciec Dom, uległ daleko posuniętej degradacji. Napis na szyldzie umieszczonym na dachu z blachy falistej dawno już wyblakł, ale Tom nadal potrafił odczytać ledwie widoczne litery: DI ANGELIS: ZŁOM I CZĘŚCI SAMOCHODOWE. Przed dziesięcioma laty, gdy Joey się ożenił, Tom kupił i zamknął złomowisko. Gina nie chciała mieszkać w takim miejscu, a poza tym miał już dość ludzi, którzy przyjeżdżali tu, chcąc kupić skrzynię biegów do DeSoto albo zderzak do edsela z pięćdziesiątego siódmego. Żaden z nich nigdy nie odkrył jego tajemnic, ale kilkakrotnie niewiele do tego zabrakło. Zdarzało się, że musiał spędzać noc na jakimś obskurnym dachu w Dżokerowie, bo powrót do domu nie byłby bezpieczny.

Teraz, po dziesięcioleciu łagodnego zaniedbania, złomowisko przerodziło się w pustkowie pełne rdzy i rozkładu. Nikomu już nie chciało się tu przyjeżdżać.

Tom zaparkował hondę za barakiem i wysiadł. Schował ręce w kieszeniach, naciągnąwszy czapkę na uszy dla osłony przed zimnym, słonym wiatrem dmącym od strony zatoki. Nikt tu nie sprzątał śniegu i nie było też samochodów, które zmieniłyby go w brudną, brązową breję. Sterty złomu i odpadków wyglądały jak posypane cukrem pudrem. Mijał zasy pyższe od niego, zamrożnięte, białe fale, które runą z hukiem w dół, gdy nadejdzie wiosna i temperatura wzrośnie.

W głębi złomowiska, między dwiema stertami samochodów, które obróciły się już w ostrą jak brzytwa rdzę, znajdował się pusty placyk. Tom odkopywał śnieg piętą buta, aż wreszcie dotarł do metalowej płyty. Uklęknął, odnalazł pierścień i pociągnął za niego. Metal był zimny jak lód, a on zdyszał się, nim zdołał odsunąć pokrywę prawie metr na bok i odsłonić ukryty pod spodem tunel. Znacznie łatwiej byłoby użyć TK, przesunąć ją mocą umysłu. Kiedyś tak właśnie by postąpił. Ale nie teraz. Czas dziwnie działa na ludzi. Wewnątrz skorupy stawał się coraz silniejszy, ale na zewnątrz jego telekineza słabła z upływem lat. Wiedział, że to zjawisko ma psychologiczne podstawy. Skorupa stała się dla niego czymś w rodzaju podpory. Bez niej jego umysł nie chciał produkować telekinetycznych efektów, to wszystko. W niektóre dni towarzyszyło mu jednak wrażenie, że Thomas Tudbury oraz Wielki i Potężny Żółw są dwiema różnymi osobami.

Zszedł w ciemność, do tunelu, który wykopali we dwójkę z Joeyem, pracując noc po nocy, w... który to był rok? Sześćdziesiąty dziewiąty? Siedemdziesiąty? Coś koło tego. Znalazł dużą

plastikową latarkę, ale jej światło było już blade i słabe. Musi pamiętać, żeby kupić nowe baterie. Tym razem alkaliczne, bo takie wytrzymują znacznie dłużej.

Przeszedł około dwudziestu metrów, nim dotarł do końca tunelu, i otworzyła się przed nim ciemność bunkra. To była po prostu wielka dziura w ziemi, którą wygrzebał za pomocą swojej TK. Jej prosty dach pokrywała cienka warstwa ziemi i kawałków złomu, maskująca to, co znajdowało się pod spodem. Było tu duszno. W powietrzu unosiła się woń stęchlizny. Słyszał szczury pierzchające przed światłem jego latarki. W komiksie Żółw miał swoją Żółwiową Jaskinię, ukrytą głęboko pod wodami zatoki, cudowne miejsce o kopulastych sufitach, pełne komputerów. Mieszkał tam na stałe kamerdyner, który odkurzał wszystkie trofea i przygotowywał wysmienite posiłki. Pisarze z Cosh Comics stworzyli dla niego znacznie lepsze życie, niż sam zdołał stworzyć dla siebie.

Minął dwie starsze skorupy i dotarł do najnowszego modelu. Wcisnął kombinację cyfr, a potem uniósł klapę wejścia. Wczołgawszy się do środka, zamknął za sobą klapę, znalazł swój fotel, poszukał po ciemku pasów i zapiął je. Fotel był szeroki i wygodny, miał grube wyściełane poręcze i otaczał go znajomy zapach skóry. Panele kontrolne wmontowano w końce obu poręczy, by łatwo ich było dosięgnąć palcami. Zatańczył nimi na klawiszach z łatwością zrodzoną z wieloletniej wprawy, włączając wentylatory, ogrzewanie oraz światła. Wnętrze skorupy było wygodne i przytulne, całość wyłożono zielonym, włóchatym dywanem. W ściany wmontowano cztery dwudziestotrzycalowe telewizory, otoczone szeregami mniejszych ekranów oraz innych instrumentów.

Nacisnął klawisz lewym palcem wskazującym i zewnętrzne kamery obudziły się do życia, wypełniając ekrany niewyraźnymi, szarymi kształtami. Przełączył obraz na podczerwień, a następnie obrócił powoli maszynę, sprawdzając jakość obrazów i światła, by się upewnić, że wszystko funkcjonuje jak należy. Pogrzebał w skrzynce z kasetami i znalazł Springsteena. To fajny chłopak z Jersey, pomyślał. Wsunął kasetę do magnetofonu i Bruce natychmiast zaśpiewał *Glory Days*. Na twarzy Toma pojawił się twardy, surowy uśmiech.

Tom pochylił się do przodu i dotknął przełącznika. Z zewnątrz dobiegł furkot. Sądząc po tym dźwięku, mechanizm otwierający drzwi garażu wymagał już wymiany. Na ekranach pojawiło się światło napływające z zewnątrz do bunkra. Na klepisko spadła kaskada śniegu i lodu. Uniósł siłą umysłu pancerną skorupę nad ziemię i zaczął ją przemieszczać w stronę światła. Barbara Casco wychodziła za mąż za tego dupka Steve'a Brudera. Guzik go to obchodziło. Wielki i Potężny Żółw za chwilę skopie tyłek jakiemś potworowi.



Tom Tudbury już dawno nauczył się przynajmniej tego, że w życiu rzadko zdarzają się drugie szanse. Szczęście jednak się do niego uśmiechnęło. Otrzymał drugą szansę z Barbarą Casco.

To było w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, dziesięć lat po ich ostatnim

spotkaniu. Sklep nadal nazywał się „Broadway Television and Electronics”, a Tom był zastępcą kierownika. Stał za kasą, zwrócony plecami do lady, i poprawiał towar na półkach, gdy nagle usłyszał kobiecy głos.

— Przepraszam.

— Słucham? — odparł. Odwrócił się, a potem wytrzeszczył oczy.

Jej ciemnoblond włosy były teraz znacznie dłuższe, opadały do pasa. Nosiła okulary o barwionych szklach, w przesadnie dużej plastikowej oprawie, ale jej ukryte za soczewkami oczy były tak samo niebieskie jak niegdyś. Miała na sobie sweter z farerskiej wełny oraz wyblakłe džinsy, a jej figura w wieku dwudziestu siedmiu lat była chyba jeszcze lepsza niż dziesięć lat wcześniej. Spojrzał na jej dłoń, ale nosiła tylko pierścionek z college’u.

— Barbaro — odezwał się.

— Czy pana znam? — zapytała ze zdziwioną miną.

Tom wskazał na znaczek kampanii prezydenckiej McGoverna, przypięty do jej swetra.

— Kiedyś zgłosiłaś moją kandydaturę — wyjaśnił.

— Nie... — zaczęła. Zmarszczyła lekko czoło w zamyśleniu, ale nadal pozostawała najpiękniejszą dziewczyną, jaka kiedykolwiek uśmiechnęła się do Toma Tudbury’ego.

— Strzygłem się wtedy na jeża — mówił. — I nosiłem dwurzędową sztruksową marynarkę. Czarną. — Dotknął okularów lotnika. — Kiedy ostatnio mnie widziałaś, miałem rogowe oprawki. Ważyłem mniej więcej tyle samo, ale mogłem być o jakieś dwa centymetry niższy. I kochałem się w tobie tak bardzo, że nigdy byś w to nie uwierzyła.

Barbara Casco się uśmiechnęła. Przez chwilę sądził, że to błąd, ale potem spojrzała mu w oczy i już wiedział.

— Jak się masz, Tom? Kopę lat, co?

Kopę lat, pomyślał. Tak jest. To był inny eon.

— Mam się świetnie — odparł. Była to co najmniej w połowie prawda. Kończyło się najwspanialsze dziesięciolecie Żółwia. Życie Toma nie śpieszyło się donikąd. Rzucił college po zamachu na JFK i od tego czasu gnieździł się w lichym mieszkanku na Trzydziestej Pierwszej Ulicy. W gruncie rzeczy było mu to obojętne. Tom Tudbury, jego kiepska praca i nędzne mieszkanie miały tylko uboczne znaczenie w porównaniu z jego prawdziwym życiem. Były ceną, jaką płacił za noce i weekendy spędzane w skorupie. W liceum był tłustym introwertykiem strzygącym się na jeża, znerwicowanym i dysponującym sekretną mocą, o której wiedział tylko Joey. Teraz był Wielkim i Potężnym Żółwiem. Tajemniczym bohaterem, celebrytą, asem nad asami, kimś totalnie rewelacyjnym.

Oczywiście, nie mógł jej o tym powiedzieć.

Z jakiegoś powodu nie miało to jednak znaczenia. Tom Tudbury zmienił się, gdy został Żółwiem. Dało mu to pewność siebie. Przez dziesięć lat nie opuszczały go fantazje oraz

erotyczne sny o Barbarze Casco. Żałował swego tchórzostwa, zastanawiał się nad drogą, na którą nie wkroczył, nad balem, na który nie poszedł. Z dziesięcioletnim opóźnieniem Tom Tudbury wreszcie odnalazł słowa.

— Wyglądasz rewelacyjnie — oznajmił z pełną szczerością. — Kończę robotę o piątej. Możesz zjeść ze mną kolację?

— Jasne — zgodziła się ze śmiechem. — Zastanawiałam się, ile czasu będziesz potrzebował, żeby się ze mną umówić. Nigdy bym nie pomyślała, że to będzie dziesięć lat. Niewykluczone, że właśnie pobiłeś rekord szkoły.



Potwory są jak gliniarze, pomyślał Tom. Nigdy nie można ich znaleźć, kiedy są potrzebne.

W grudniu wyglądało to inaczej. Pamiętał chwilę, gdy zobaczył je po raz pierwszy, pamiętał długą, surrealistyczną wędrówkę autostradą Jersey Turnpike w stronę Filadelfii. Za nim podążała pancerna kolumna; przed nią autostrada była opustoszała. Nie poruszało się tam nic poza garstką gazet niesionych wiatrem po pasach ruchu. Widoczne po obu stronach drogi wysypiska odpadów toksycznych oraz zakłady petrochemiczne wyglądały jak porzucone miasta. Od czasu do czasu napotykali wynędzniałych uchodźców uciekających przed Rojem, ale na tym koniec. To całkiem jak w filmie, pomyślał Tom. Nie potrafił w pełni uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Aż do chwili pierwszego kontaktu.

Gdy android wrócił do kolumny z wiadomością, że nieprzyjaciel jest blisko i zmierza w stronę Filadelfii, po plecach Toma przebiegł zimny dreszcz.

— Zaczęło się — powiedział do Sokolicy, która przysiadła na jego skorupie, by pozwolić odpocząć skrzydłom.

Zdążył jeszcze znaleźć kasetę — *Creedence Gold* — i wsunął ją do magnetofonu, nim pomiot Roju wyłonił się zza horyzontu niczym mroczna fala. Latacze wypełniały powietrze tak daleko, jak sięgały jego kamery. Ich ciemny obłok przypominał czoło nadciągającej chmury burzowej. Przypomniał sobie tornado z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* i to, jak bardzo się go przestraszył, gdy oglądał ten film po raz pierwszy.

W cieniu ich skrzydeł wędrował inny pomiot — pełzający na segmentowanych brzuchach, biegnący na pajęczych nogach długości metra, przelewający się niczym Blob, zabójca z kosmosu. A nigdzie nie było widać Steve'a McQueena. Zajmowały całą szerokość autostrady i wylewały się na pobocza. Poruszały się szybciej, niż potrafiłby to sobie wyobrazić.

Sokolica wystartowała. Android mknął już z powrotem w stronę wroga. Tom zauważył też Mistral opadającą z góry, błysk błękitu na tle rzadkich, zimnych chmur. Przełknął ślinę i podkręcił głośniki na maksa. Ku mrocznemu niebu popłynęły dźwięki *Bad Moon Rising*. Pamiętał, że pomyślał wtedy, że życie już nigdy nie będzie takie samo. Niemalże pragnął w to uwierzyć. Może nowy świat będzie lepszy od starego.

To jednak działo się w grudniu, a teraz był marzec. Życie wykazało się nadspodziewanie wielką zdolnością adaptacji. Niczym gołębie wędrownie, pomiot Roju zasłaniał słońce i tak samo jak one wyginał bardzo szybko. Po tym pierwszym, niezapomnianym momencie nawet wojna światów przerodziła się w kolejną zmundną robotę. To była raczej eksterminacja niż walka, coś w rodzaju zabijania wyjątkowo dużych i brzydkich karaluchów. Szpony, szczypce i jadowite pazury były bezużyteczne przeciwko jego skorupie. Kwas wydzielany przez latacze paskudnie uszkodził soczewki jego kamer, ale to raczej go irytowało, niż stanowiło poważne zagrożenie. Złapał się na tym, że z nudy wymyśla nowe, pomysłowe metody zabijania stworów. Podrzucał je wysoko w górę, rozrywał na pół, łapał w zaciśnięte pięści i miażdżył na sos guacamole. Raz po raz, dzień za dniem, bez końca, aż wreszcie ich zabrakło.

Po powrocie do domu zdumiał się, jak szybko wojna z Rojem zniknęła z pierwszych stron gazet i życie wróciło w stare koleiny. W Peru, w Czadzie i w górach Tybetu wielkie chmary obcych nadal siały spustoszenie, a mniej liczne niedobitki sprawiały kłopoty Turkom i Nigeryjczykom, ale pomiot z różnych regionów Trzeciego Świata dla amerykańskiej prasy był co najwyżej tematem na czwartą stronę. Życie toczyło się dalej. Ludzie spłacali hipoteki i chodzili do pracy, a ci, którzy stracili pracę i dom, cierpliwie wypełniali kwestionariusze ubezpieczeniowe i występowali o zasiłek. Ludzie skarżyli się na pogodę, opowiadali kawały, chodzili do kina, dyskutowali o sporcie.

Planowali śluby.

Rzecz jasna, pomiotu Roju nie eksterminowano całkowicie. Tu i ówdzie — w odległych miejscach, a czasami również w nie tak bardzo odległych — czały się jeszcze ocalałe potwory. Tom miał dziś wielką ochotę jakiegoś dorwać. Wystarczy mu mały — fruujący, pełzający, wszystko jedno. Zadowoliliby się nawet jakimiś zwyczajnymi przestępcami, pożarem, wypadkiem samochodowym, wszystkim, co pozwoli mu zapomnieć na chwilę o Barbarze.

Nic się nie działo. Dzień był szary, zimny i przygnębiający, a do tego nudny, nawet w Dżokerowie. Radio odbierające policyjne komunikaty nie informowało o niczym poza kilkoma rodzinnymi kłótniami, a w te z zasady nigdy się nie mieszał. Z biegiem lat przekonał się, że nawet najgorzej traktowana żona czuje się wstrząśnięta, gdy pancerna skorupa wielka jak lincoln continental wpada do sypialni, rozwalając ścianę, i mówi znęcającemu się nad nią mężowi, żeby nie ważył się jej więcej tknąć.

Przeleciał wzdłuż Bowery Street, unosząc się tuż powyżej poziomu dachów. Skorupa rzucała na chodnik długi, czarny cień, dotrzymujący mu kroku. Jadące ulicą samochody nawet nie zwalniały. Wszystkie kamery prowadziły nieustanną obserwację, dostarczając mu więcej obrazów, niż mógłby ich kiedykolwiek potrzebować. Tom przenosił niespokojnie wzrok z ekranu na ekran, przyglądając się przechodniom, którzy niemal już nie zwracali na niego uwagi. Spoglądali szybko w górę, gdy skorupa pojawiała się na granicy ich pola widzenia,

a potem znudzeni wracali do swoich zajęć. *To tylko Żółw* — tak zapewne sobie mówili. Wczorajsza nowość. Dni chwały szybko mijają.

Dwadzieścia lat temu wyglądało to inaczej. Był pierwszym asem, który pokazał się publicznie po długim dziesięcioleciu życia w ukryciu, i wszystko, co zrobił albo powiedział, przyjmowano z radością. W gazetach było pełno relacji o jego czynach, a gdy Żółw przelatywał, dzieci krzyczały i wyciągały ręce. Wszystkie spojrzenia kierowały się ku niemu. Tłumy witały go entuzjastycznymi oklaskami podczas pożarów, parad i imprez publicznych. W Dżokerowie mężczyźni uchylali przed nim masek, a kobiety przesyłały mu całusy. Był miejscowym bohaterem. Ponieważ ukrywał się w pancernej skorupie i nigdy nie pokazywał twarzy, wielu dżokerów uważało, że musi być jednym z nich, i dlatego go kochało. To była miłość oparta na kłamstwie, a przynajmniej na nieporozumieniu, i czasami czuł się winny z tego powodu, ale w owych czasach dżokerzy rozpaczliwie potrzebowali własnego bohatera, nie dementował więc tych pogłosek. Nigdy nie ujawnił publicznie, że w rzeczywistości jest asem. W pewnym momencie, nie pamiętał dokładnie kiedy, świat przestał się interesować tym, kto albo co może się kryć w skorupie Żółwia.

Obecnie w samym tylko Nowym Jorku było siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu asów, być może nawet stu, a on nadal pozostawał tym samym starym Żółwiem. Dżokerzy mieli teraz własnych bohaterów, Kuriozum, Trolla, Quasi -człowieka, Wypaczone Siostry i innych dżokerskich asów, którzy nie bali się pokazać światu swoich twarzy. Przez wiele lat doskwierala mu myśl, że podziw, którym darzą go dżokerzy, opiera się na fałszywych założeniach, ale kiedy się skończył, przekonał się, że mu go brakuje.

Przelatując nad Sara Roosevelt Park, Tom zauważył dżokera z głową kozła, przykucniętego u podstawy pomalowanej na czerwono abstrakcyjnej rzeźby ze stali, będącej pomnikiem tych, którzy zginęli w Wielkich Zamieszkach w Dżokerowie w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. Mężczyzna gapił się na jego skorupę z wyraźną fascynacją. Może jednak nie wszyscy o mnie zapomnieli, pomyślał Tom. Podleciał bliżej, by przyjrzeć się uważniej swemu fanowi, i zauważył gruby sznur zielonego, wilgotnego śluzu zwisający z kącika ust człowieka kozła oraz nieobecny wyraz czarnych oczek. Usta Toma rozciągnęły się w smętnym uśmiechu. Włączył mikrofon.

— Hej, ty — zawołał przez głośniki. — Nic ci nie jest?

Człowiek kozioł poruszył bezgłośnie ustami.

Tom westchnął. Sięgnął na zewnątrz swym umysłem i z łatwością unióś dżokera w górę. Człowiek kozioł nawet nie próbował się opierać. Gapił się tylko w dal, widząc Bóg wie co. Z ust wypływała mu ślina. Tom ulokował go pod skorupą i ruszył w kierunku South Street.

Położył delikatnie nieszczęśnika między wytartymi przez erozję kamiennymi lwami strzegącymi schodów kliniki w Dżokerowie, a potem podkreślił głośność.

— Tachion — powiedział do mikrofonu. — TACHION! — zahuczały głośniki, powodując drżenie szyb i strasząc kierowców na FDR Drive. Przez drzwi frontowe wypadła pielęgniarka o groźnym wyglądzie i łypnęła na niego.

— Przyniosłem wam pacjenta — oznajmił ciszej Tom.

— Kim on jest? — zapytała.

— Prezesem Fan Klubu Żółwia — odparł. — Skąd mam wiedzieć, do licha? Potrzebuje pomocy. Niech pani na niego spojrzy.

Pielęgniarka obejrzała pobieżnie dzokera i wezwała dwóch sanitariuszy, którzy zaprowadzili go do środka.

— Gdzie Tachion? — zapytał Tom.

— Poszedł coś zjeść. Wróci o wpół do drugiej. Pewnie jest u Włochacza.

— Nieważne — stwierdził Tom i wzbiał się skorupą pod niebo. Droga szybkiego ruchu, rzeka oraz dachy Dżokerowa skurczyły się pod nim.

To dziwne, ale im wyżej się unosił, tym piękniej wyglądał Manhattan. Wspaniałe kamienne łuki Mostu Brooklyńskiego, kręte zaułki Wall Street, Statua Wolności na swej wyspie, statki na rzece i promy na zatoce, wyniosłe wieże budynku Chryslera oraz Empire State Building, zielono-białą przestwór Central Parku — z wysoka Żółw mógł podziwiać to wszystko. Skomplikowane regularności ruchu na miejskich ulicach wywierały niemal hipnotyczne wrażenie, jeśli przypatrywał się im wystarczająco długo. Oglądany z góry mroźną zimową nocą, Nowy Jork wydawał się piękny i wspaniały. Żadne miasto na świecie nie mogłoby się z nim równać. Dopiero po zejściu w dół, do kamiennych kanionów, można było zobaczyć brud, poczuć smród śmieci w milionie powgniatanych puszek, usłyszeć krzyki i przekleństwa, poczuć beznamiętny strach i cierpienia.

Unosił się wysoko nad miastem, a zimny wichur świstał po jego skorupie. Policyjne radio mówiło tylko o nieistotnych drobiazgach, Tom przełączył się więc na morski kanał, w nadziei, że znajdzie jakąś małą łódź potrzebującą pomocy. Kiedyś uratował sześć osób, których jacht przewrócił się do góry dnem podczas letniego szkwału. Wdzięczny właściciel oferował mu potem wysoką nagrodę. Wykazał się też bystrością. Całą sumę wypłacił gotówką, w małych, starych banknotach, najwyżej dwudziestodolarowych. Sześć cholernych walizek. Bohaterowie, o których Tom czytał w dzieciństwie, zawsze odmawiali przyjęcia nagród, ale żaden z nich nie mieszkał w nędznej norze ani nie jeździł ośmioletnim plymouthem. Tom przyjął pieniądze, dla uspokojenia sumienia przekazał jedną walizkę klinice, za pięć pozostałych kupił zaś dom. Nie było szans, by mógł sobie na to pozwolić za pensję Toma Tudbury'ego. Czasami martwił się o kontrolę z urzędu podatkowego, ale do tej pory żadna się nie zjawiała.

Zegarek pokazywał pierwszą zero trzy. Pora coś zjeść. Otworzył małą lodówkę wbudowaną w podłogę, w której miał jabłko, kanapkę z szynką oraz sześciopak.

Gdy skończył jeść, była pierwsza siedemnaście. Mniej niż czterdzieści pięć minut, pomyślał. Przypomniał sobie stary film Cagneya o George'u M. Cohanie oraz piosenkę *Czterdzieści pięć minut drogi od Broadwayu*. Autobus odjeżdżający w tej chwili z dworca Port Authority potrzebowałby właśnie tyle czasu, by dotrzeć do Bayonne, ale drogą powietrzną będzie szybciej. Mógłby wrócić do domu za dziesięć minut, góra piętnaście.

Ale po co?

Wyłączył radio, znowu sięgnął po kasetę ze Springsteenem i przewinął ją, szukając *Glory Days*.



Za drugim razem poszło mu znacznie lepiej.

Pierwszego wieczoru poszli do Hendricksona. Przy kanapkach z wołowiną i piwie Barbara opowiedziała mu, że po ukończeniu liceum studiowała na uniwersytecie Rutgers, zdobyła dyplom nauczycielski, dwa lata mieszkała ze swym chłopakiem w Kalifornii, a gdy ze sobą zerwali, wróciła do Bayonne. Uczyła tu teraz, w przedszkolu i, o ironio, w dawnej podstawówce Toma.

— Uwielbiam to — oznajmiła. — Dzieciaki są fantastyczne. Pięć lat to magiczny wiek.

Tom pozwolił jej bardzo długo opowiadać o sobie. Cieszył się, może być przy niej i słuchać jej głosu. Podobały mu się iskiereki pojawiające się w jej oczach, kiedy mówiła o dzieciach. Gdy wreszcie skończyła, zadał jej pytanie, którym gryzł się przez wszystkie te lata.

— Czy Steve w końcu zaprosił cię na ten bal?

Skrzywiła się.

— Nie. Skurczybyk poszedł z Betty Moroski. Płakałam przez cały tydzień.

— Co za idiota. Jezu, nie była nawet w połowie tak ładna jak ty.

— To prawda — zgodziła się Barbara z ironicznym uśmiechem. — Ale ona dawała, a ja nie. Mniejsza z tym. Co u ciebie? Czym się zajmowałeś przez wszystkie te lata?

To byłoby nieporównanie ciekawsze, gdyby jej opowiedział o Żółwiu, o życiu pod zimnym niebem i na niebezpiecznych ulicach, o ryzykownych misjach, wspaniałych chwilach i nagłówkach gazet. Mógłby się pochwalić schwytaniem Wielkiej Małpy podczas awarii w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym, opowiedzieć, jak uratował życie i zdrowe zmysły doktora Tachiona, mógłby od niechcienia rzucać imionami sławnych i niesławnych asów, dzokerów oraz wszelkiego rodzaju celebrytów. Wszystko to jednak było częścią innego życia, należącego do asa uwięzionego w żelaznej skorupie. Jedyńm, co miał jej do zaoferowania, był Thomas Tudbury. Mówiąc o sobie, po raz pierwszy zorientował się, jak bardzo puste i przygnębiające jest w rzeczywistości jego „prawdziwe” życie.

Ale z jakiegoś powodu to wystarczyło.

Po pierwszej randce nastąpiła druga, a po drugiej trzecia. Wkrótce spotykali się już

regularnie. To nie były najbardziej ekscytujące zaloty na świecie. W dni powszednie chodzili do miejscowego kina — tego na De Witt Street albo do Lyceum. Czasami oglądali też razem telewizję albo gotowali na zmianę kolację. W weekendy wybierali się do Nowego Jorku — przedstawienia na Broadwayu, gdy mogli sobie na to pozwolić, późne kolacje w chińskiej albo włoskiej dzielnicy. Im dłużej z nią przebywał, tym trudniej mu było się bez niej obejść.

Oboje lubili czerwone wino, pizzę i rock and rolla. W zeszłym roku Barbara uczestniczyła w marszu na Waszyngton, domagając się wycofania wojsk z Wietnamu. On również tam był (wewnątrz skorupy, unosił się nad tłumem z pacyfami namalowanymi na pancerzu oraz śliczną blondynką w staniku i džinsach, która siedziała na szczycie, dodając swój głos do antywojennych pieśni płynących z jego głośników; ale o tym nie mógł opowiedzieć Barbarze). Uwielbiała Ginę i Joeya, a jej rodzice najwyraźniej go aprobowali. Była fanką baseballu, nauczoną gardzić Yankees i kochać Brooklyn Dodgers, tak samo jak on. Gdy nadszedł październik, usiadła obok niego na odkrytych trybunach Ebbetts Fields i patrzyła, jak Tom Seaver dał Dodgersom zwycięstwo nad Oakland Athletics w siódmym i decydującym meczu World Series. Miesiąc później dzielił z nią ból po wyborczej klęsce McGoverna. Łączyło ich ze sobą wiele.

Jak bardzo wiele, uświadomił sobie jednak dopiero tydzień po Dniu Dziękczynienia, gdy przysłała do niego na kolację. Poszedł do kuchni, by otworzyć butelkę wina i sprawdzić sos do spaghetti, a kiedy wrócił, Barbara stała przed jego szafą z książkami, przerzucając miękkoładkowe wydanie *Dnia dzikiej karty* Jima Bishopa.

— Widzę, że interesujesz się tymi sprawami — zauważyła, wskazując głową na książki. Jego kolekcja dotycząca dzikich kart zajmowała prawie trzy półki. Miał wszystko: wszystkie biografie Śmiga, zebrane mowy Earla Sandersona oraz wspomnienia Archibalda Holmesa, *Szyk dzikich kart* Toma Wolfe'a, autobiografię Cyklona opowiedzianą Robinowi Moore'owi, almanach „Information Please” o asach i wiele, wiele innych pozycji. W tym oczywiście również wszystko, co napisano o Żółwiu.

— Tak — przyznał. — No wiesz, zawsze mnie to interesowało. Ci ludzie. Chciałbym któregoś dnia spotkać dziką kartę.

— Już spotkałeś — oznajmiła z uśmiechem, stawiając książkę z powrotem na półce obok *Niewidzialnego człowieka* Ralpa Ellisona.

— Naprawdę? — Był zbity z tropu i w pewnym stopniu nieprzyjemnie zaskoczony. Czyżby zdradził się w jakiś sposób? A może Joey jej powiedział? — A kto nią jest?

— Ja — odparła Barbara. Jego mina musiała wyrażać niedowierzanie, bo zaraz dodała: — Nie, naprawdę. Wiem, że tego nie widać. Nie jestem aską ani nikim w tym rodzaju. Wirus nic ze mną nie zrobił, o ile można to ocenić. Ale złapałam go. Miałam wtedy tylko dwa lata, więc nic nie pamiętam, ale mama mówi, że o mało nie umarłam. Objawy musiały wyglądać

dramatycznie. Nasz lekarz z początku myślał, że to świnka, ale twarz puchła mi coraz bardziej, aż zrobiłam się podobna do piłki do koszykówki. Wtedy przenieśli mnie do szpitala Mount Sinai. Tam praktykował wtedy doktor Tachion.

— Ehe — zgodził się Tom.

— Tak czy inaczej, wyszłam z tego. Obrzęk utrzymywał się tylko przez dwa dni, ale zatrzymali mnie tam na miesiąc, żeby zrobić badania. To rzeczywiście była dzika karta, ale nie zrobiła mi więcej szkody niż wietrzna ospa. — Uśmiechnęła się. — To była nasza rodzinna tajemnica, mroczna i starannie skrywana. Tata rzucił pracę i przeniósł się do Bayonne, gdzie nikt o niczym nie wiedział. Ludzie wtedy dziwnie reagowali na dziką kartę. Sama dowiedziałam się dopiero w college’u. Mama bała się, że się wygadam.

— I zrobiłaś to?

— Nie — odparła Barbara z dziwną powagą. — Nie zdradziłam się przed nikim. Dopiero dzisiaj.

— To dlaczego mi powiedziałaś? — zapytał.

— Dlatego, że ci ufam — odparła cicho.

Omam jej wtedy nie powiedział, tam, w swoim salonie. Pragnął tego. Gdy potem myślał o tym wieczorze, zawsze żałował, że tego nie zrobił, i zastanawiał się, co by się wtedy stało.

Gdy jednak otworzył usta, by wypowiedzieć te słowa, opowiedzieć jej o TK, Żółwiach i tajemnicach złomowisk, poczuł się tak, jakby czas się cofnął, a on wrócił do liceum i stał z nią w korytarzu, rozpaczliwie pragnąc zaprosić ją na bal, ale z jakiegoś powodu nie mogąc tego zrobić. Słowa nie chciały nadejść. Wreszcie uznał się za pokonanego i uściskał ją.

— Cieszę się, że mi powiedziałaś — powiedział i wycofał się do kuchni, żeby wziąć się w garść. Popatrzył na sos do spaghetti gotujący się na gazie i nagle wyciągnął rękę, by zakręcić kurek. — Włóż płaszcz — rzekł, wróciwszy do niej. — Plany się zmieniły. Zabieram cię na kolację.

— Tak? A dokąd?

— Do Wieży Asów — odparł, unosząc słuchawkę, by zarezerwować stół. — Dzisiaj zobaczymy dzikie karty na własne oczy.

Zjedli kolację pośród asów i gwiazd. Wydał na to dwutygodniowe zarobki, ale było warto, nawet jeśli szef sali, spojrzawszy na jego sztruksowy garnitur, zaprowadził ich do stolika ulokowanego daleko z tyłu, obok kuchni. Jedzenie było prawie tak samo nadzwyczajne, jak blask w oczach Barbary. Gdy cieszyli się aperitifem, pojawił się doktor Tachion w zielonym welwetowym smokingu. Towarzyszyła mu Liza Minelli. Tom podszedł do ich stolika i dostał od niej autografy na serwetce koktajlowej.

Tej nocy po raz pierwszy kochali się ze sobą. Potem, gdy spała obok niego, Tom tulił się do jej ciepła, marząc o latach, które nadejdą, i zastanawiając się, czemu, do licha, musiał czekać tak

długo.



Przelatywał nad jeziorem w Central Parku, słuchając Bruce'a i jedząc Nacho Doritos o smaku sera, gdy zauważył, że śledzi go pterodaktyl.

Tom obserwował go przez teleobiektyw. Stworzenie krążyło nad nim, unosząc się na wietrze na skórzastych skrzydłach o rozpiętości prawie dwóch metrów. Zmarszczył brwi, wyłączył magnetofon i zwrócił się ku mikrofonowi.

— HEJ! — zagrzmiały głośniki. — NIE JEST DLA CIEBIE ZA ZIMNO? JESTEŚ GADEM, CHŁOPCZE, ODMROZISZ SOBIE TEN ŁUSKOWATY TYŁEK.

Pterodaktyl odpowiedział słabym, piskliwym wrzaskiem, zatoczył szeroki krąg i wylądował na jego skorupie. Jego pazury zazgrzytały o metal i znalazły punkt zaczepienia w szczelinach między pancernymi płytami.

Tom westchnął. Widoczna na jednym z dużych ekranów sylwetka pterodaktyla zafalowała, zamazała się i przerodziła w Dinochłopca.

— Ty też marzniesz — zauważył chłopak.

— Mam tu grzejniki — odparł Tom. Dzieciak naprawdę zrobił się siny. Nic w tym dziwnego, w końcu był nagi. Nie siedział też na skorupie zbyt pewnie. Jej szczyt był szeroki, ale wyraźnie pochyły, a ludzkie palce nie wnikały w szczeliny między płytami tak łatwo jak pazury pterodaktyla. Tom zaczął opadać.

— Powinienem zrobić pętlę i zrzucić cię do jeziora — stwierdził. — Dostałbyś za swoje.

— Po prostu zmieniłbym kształt i odleciał — odparł Dinochłopiec, drżąc wyraźnie. — Faktycznie jest zimno. Nie zauważyłem tego.

W ludzkiej postaci jedyny as łobuziak w Nowym Jorku był niezgrabnym trzynastolatkiem z małym znamieniem na czole. Miał nieskoordynowane ruchy i kudłate włosy opadające na czoło. Nieubłagane spojrzenie kamery pokazywało czarne wągry na nosie z bezlitosną szczegółowością. W szczelinie na podbródku widniał wielki pryszcz. Tom zauważył też, że nie jest obrzezany.

— Gdzie się podziało twoje ubranie? — zapytał Tom. — Gdybym wysadził cię w parku, mogliby cię przymknąć za obnażenie się w miejscu publicznym.

— Nie ośmieliliby się — odparł Dinochłopiec z arogancką pewnością nastolatka. — Co jest grane? Prowadzisz jakąś sprawę? Mógłbym ci pomóc.

— Czytasz za dużo komiksów — skarcił go Tom. — Słyszałem, co się wydarzyło, kiedy ostatnio komuś pomogłeś.

— E tam, przyszli mu rękę z powrotem. Tacky mówi, że wszystko będzie w porządku. Skąd miałem wiedzieć, że to tajniak? Nie ugryzłbym go, gdybym wiedział.

To nawet w najmniejszym stopniu nie było śmieszne, lecz Tom i tak się uśmiechnął.

Dinochłopiec był podobny do niego z czasów młodości. On również czytał za dużo ko mikarów.

— Hej, chłopcze, nie zawsze biegasz nago i zmieniasz się w dinozaur, prawda? — zapytał.

— Masz też inne życie?

— Nie zdradzę ci swej sekretnej tożsamości — odparł pośpiesznie Dinochłopiec.

— Boisz się, że powiem twoim rodzicom?

Twarz chłopaka poczerwieniała. Reszta ciała zrobiła się jeszcze bardziej sina niż przedtem.

— Niczego się nie boję, stary pierdzielu — zapewnił.

— A powinieneś — stwierdził Tom. — Na przykład mnie. Ehe, wiem, że mógłbyś się zmienić w metrowego tyranozaura i połamać zęby na mojej skorupie. A ja mógłbym tylko połamać ci wszystkie kości w dwunastu czy nawet trzynastu miejscach. Albo sięgnąć do wnętrza twojego ciała i zgnieść ci serce na miazgę.

— Nie zrobiłbyś tego.

— To prawda — przyznał Tom. — Ale są tacy, którzy by zrobili. Mieszasz się w sprawy, które wykraczają poza twoje możliwości, ty dumny pojebie. Cholera, nie obchodzi mnie, w ile różnych rodzajów kieszonkowych dinozaurów potrafisz się zmienić. Kula i tak cię zabije.

Dinochłopiec miał ponurą minę.

— Pierdol się — burknął. Emfaticzny ton sugerował, że w domu raczej nie używa takiego słownictwa.

To nie idzie dobrze, pomyślał Tom.

— Posłuchaj — rzekł pojednawczym tonem. — Chciałem ci tylko powiedzieć parę rzeczy, których nauczyłem się na własnej skórze. Lepiej nie angażuj się w to za bardzo. To pięknie, że jesteś Dinochłopcem, ale jesteś też, hmm, kimkolwiek właściwie jesteś. Nie zapominaj o tym. Do której klasy chodzisz?

Chłopak jęknął.

— O co chodzi tym dorosłym? Jeśli zaczniesz mnie pytać o algebrę, możesz o tym zapomnieć!

— O algebrę? — powtórzył ze zdziwieniem Tom. — Nic nie mówiłem o algebrze. Szkoła jest ważna, ale to również nie wszystko. Znajdź sobie kolegów, do cholery, umawiaj się na randki, idź na bal na zakończenie roku szkolnego. To, że potrafisz zmienić się w brontozaura wielkości dobermana, w niczym ci nie pomoże w życiu, kapujesz?

Wylądowali z cichym łoskotem na pokrytej śniegiem trawie pastwiska dla owiec. Sprzedający nieopodał gorące prekle mężczyzna w grubym płaszczu i czapce z nausznikami przyglądał się ze zdumieniem pancерnej skorupie i drżącemu z zimna chłopcu, który na niej siedział.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — zapytał Tom.

— Ehe. Gadasz zupełnie jak mój tata. Starzy, nudni pierdziele zawsze uważają, że wszystko wiedzą.

Jego wysoki, nerwowy śmiech nagle przerodził się w przeciągły gadzi syk. Kości i mięśnie chłopaka zmieniły postać, a jego miękka skóra stwardniała, pokrywając się łuskami. Mały triceratops zgrabnie pozostawił na skorupie protokoprolit, a potem zbiegł na ziemię i oddalił się, arogancko wznosząc rogi ku niebu.



To był najlepszy rok w życiu Thomasa Tudbury'ego.

Ale nie w życiu Wielkiego i Potężnego Żółwia.

W komiksach bohaterowie nigdy nie potrzebowali snu. Prawdziwe życie nie było jednak takie proste. Tom pracował osiem godzin dziennie i żółwiowaniem mógł się zajmować prawie wyłącznie nocami i w weekendy, a teraz wolny czas zabierała mu Barbara. Jego życie towarzyskie rozkwitało, natomiast kariera asa stosownie do tego cierpiała. Nad ulicami Manhattanu coraz rzadziej widywano pancerną skorupę.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy Thomas Tudbury zdał sobie sprawę z czymś bliskim szoku, że minęło prawie trzy i pół miesiąca, odkąd ostatnio pojechał na złomowisko, gdzie przechowywał swoje skorupy. Uświadomił mu to krótki artykuł na dwudziestej czwartej stronie „New York Timesa”, o tytule ŻÓŁW ZAGINAŁ, BYĆ MOŻE NIE ŻYJE. Artykuł wspominał, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy (jeden Bóg wiedział, kiedy ostatnio Tom włączył krótkofalówkę) kilkanaście wezwań skierowanych do Żółwia pozostało bez odpowiedzi. Doktor Tachion czuł się bardzo zaniepokojony, do tego stopnia, że umieszczał w gazetach ogłoszenia i zaoferował małą nagrodę za wszystkie meldunki o spotkaniach z Żółwiem (Tom nigdy nie czytał ogłoszeń. Ostatnio w ogóle rzadko czytał gazety).

Przeczytawszy artykuł, pomyślał, że powinien wleźć do skorupy i odwiedzić klinikę. Nie miał jednak na to czasu. Obiecał, że pomoże Barbarze zabrać klasę na wycieczkę do Bear Mountain. Mieli wyjechać za dwie godziny. Dlatego poszedł do najbliższej budki telefonicznej i wykrcił numer kliniki.

— Kto mówi? — zapytał z irytacją w głosie Tachion, gdy Tom wreszcie zdołał przyciągnąć go do telefonu. — Mamy mnóstwo roboty i nie mogę tracić czasu dla ludzi, którzy nie chcą się przedstawić.

— Mówi Żółw — odparł Tom. — Chciałem cię zawiadomić, że wszystko ze mną w porządku.

Nastąpiła chwila ciszy.

— To nie jest głos Żółwia — zauważył Tachion.

— System nagłaśniający skorupy ma za zadanie zniekształcać mój głos. Pewnie, że nie brzmię jak Żółw. Ale jestem nim.

— Będziesz musiał mnie o tym przekonać.

Tom westchnął.

— Boże, ale jesteś upierdliwy. Powinienem być się tego spodziewać. Przez dziesięć lat skarżyłeś się, że zламаłem ci rękę, chociaż to była twoja cholerna wina. Nie powiedziałaś mi, że schowasz się pod wózkim widłowym, niech to szlag. Nie jestem telepatą, jak pewne osoby, które mógłbym wymienić.

— Nie kazałem ci też rozwalić połowy magazynu — odgryzł się Tachion. — Miałaś szczęście, że nie zginąłem. Człowiek władający takimi mocami powinien... — Przerwał. — Faktycznie jesteś Żółwiem.

— Ehe — zgodził się Tom.

— Gdzie się podziewałeś?

— Byłem szczęśliwy. Nie przejmuj się, będę wracał od czasu do czasu. Ale nie tak często, jak kiedyś. Jestem zajęty. Chyba się ożenię. Gdy tylko zdobędę się na odwagę, żeby się oświadczyć.

— Gratuluje — rzekł Tachion ze szczerym zadowoleniem w głosie. — Kim jest szczęśliwa wybranka?

— Ach, to zdradziłyby zbyt wiele. Ale znasz ją. To jedna z twoich pacjentek z dawnych czasów. W wieku dwóch lat miała drobne spotkanie z dziką kartą. Nic poważnego. Teraz jest całkowicie normalna. Zaprosiłbym cię na ślub, Tacky, ale w ten sposób bym się zdemaskował, prawda? Może nazwiemy na twoją cześć jednego z dzieciaków.

Nastąpiła długa, krępująca cisza.

— Żółwiu — odezwał się wreszcie obcy głosem, który nagle utracił wszelki wyraz — musimy porozmawiać. Czy znajdziesz czas, żeby wpaść do kliniki? Umieszczę cię w planie dnia.

— Jestem strasznie zajęty — sprzeciwił się Tom.

— To ważne — nalegał Tachion.

— Dobra, w takim razie w porządku. Późnym wieczorem. Ale nie dzisiaj, jestem za bardzo zmęczony. Powiedzmy jutro, po Johnnym Carsonie.

— Zgoda — odparł Tachion. — Spotkamy się na dachu.



Ślub zdążył się już odbyć. Tom powinien podziękować Dinochłopcu przynajmniej za to. Mały skurczybyk odwrócił jego uwagę podczas najgorszych chwil.

Jego skorupa dryfowała powoli nad Broadwayem w stronę Times Square, ale jego umysł przebywał po drugiej stronie zatoki w klubie „Top Hat”. Ostatnio był tam na weselu Joeya i Giny, jako drużba. To była przyjemna noc. Pamiętał wszystko, od tapety w wypukłe wzory aż po smak kielbasy i brzmienie orkiestry.

Barbara z pewnością włożyła suknię ślubną po babci. Pokazywała mu ją kiedyś, dziesięć lat temu. Do dziś, kiedy zamknął oczy, widział wyraz jej twarzy, w chwili gdy głaskała staromodne koronki.

Niespodziewanie jej obraz wypełnił jego umysł. Barbara w ślubnej sukni, jej blond włosy ukryte pod welonem, a twarz zwrócona ku górze.

— Tak.

A obok niej stał Steve Bruder. Wysoki, ciemnowłosy, w świetnej formie. Skurczybyk wyglądał chyba jeszcze lepiej niż w liceum. Tom wiedział, że to fanatyk racquetballa. Miał na twarzy chłopięcy uśmiech i modne włosy w stylu Toma Sellecka. W smokingu będzie mu do twarzy. Razem stworzą wybuchową parę.

A ich dziecko będzie śliczne.

Powinien był tam pojechać. Co z tego, że nie odpowiedział na zaproszenie? I tak by go wpuścili. Zostawiłby skorupę na złomowisku albo nawet utopiłby ją w cholernej rzece, wsiadłby do samochodu i po chwili byłby na miejscu. Zatańczyłby z panną młodą, uśmiechałby się do niej i życzyłby jej szczęścia, całego szczęścia na świecie. I uściśnąłby dłoń pana młodego. Dłoń Brudera. No jasne.

Bruder miał bardzo mocny uścisk. Zajmował się teraz handlem nieruchomościami, głównie w Weehawken i w Hoboken. Dokonał zakupów na czas i miał teraz świetną pozycję na wypadek, gdyby wszyscy yuppies na Manhattanie obudzili się pewnego ranka ze świadomością, że Jersey City leży na drugim brzegu Hudson River. Zrobi cholerną fortunę, w wieku czterdziestu czterech lat zostanie milionerem. Sam to powiedział Tomowi tego okropnego wieczoru, gdy Barbara zaprosiła ich obu na wspólną kolację. Był przystojny i pewny siebie, z twarzy nie znikał mu zawadiacki chłopięcy uśmieszek, a do tego miał zostać milionerem. Ale nie wszystko w jego życiu układało się aż tak świetnie. Wielkoekranowy telewizor sprawiał mu kłopoty i może Tom zechciałby mu się przyjrzeć, hę? Ze względu na stare czasy.

W podstawówce podali sobie ręce tylko raz. Uścisk Steve'a był tak silny, że Tom osunął się z płaczem na kolana, nie mogąc uwolnić ręki. Nawet teraz kulturalny uścisk dorosłego Steve'a Brudera był znacznie silniejszy, niżby należało. Lubił, gdy ten drugi facet krzywił się z bólu.

Fajnie by było, gdyby to Żółw uściśnął jego pierdoloną dłoń, pomyślał ze złością Tom. Złapałby ją mocą umysłu i uściśnął przyjaźnie, aż zaczęłaby się marszczyć i odkształcać, aż gładka, opalona skóra pękłaby, palce złamałyby się niczym czerwone chińskie pałeczki, a ich kości wyszłyby na zewnątrz. Żółw mógłby szarpać jego pierdoloną rękę, aż wypadłaby ze stawu, a potem zaczęłaby odrywać kolejne palce. *Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha, KOCHA.*

Tomowi zaschło w gardle. Dokuczały mu mdłości i zawroty głowy. Otworzył lodówkę i wyjął piwo. Smakowało mu. Skorupa unosiła się nad brudem moralnym Times Square. Nieustannie przenosił spojrzenie z ekranu na ekran. Pokazy peep-show, kina porno, księgarnie dla dorosłych i seks na żywo na scenie, neony krzyczące **DZIEWCZYNY DZIEWCZYNY NAGIE DZIEWCZYNY** albo **NAJSEKSOWNIEJSZE PRZEDSTAWIENIE W MIEŚCIE** bądź

też NAGIE NASTOLETNI MODELKI, męskie dziwki w dżinsach i kowbojskich kapeluszach, alfonsy w długich futrach z nerek, trzymający w kieszeniach brzytwy, kurwy o twardych spojrzeniach, w kabaretkach i rozciętych skórzanych spódnicach. Tom nagle pomyślał, że mógłby sobie jedną wybrać, unieść ją sześć metrów nad ziemię i zmusić, by pokazała mu, co ma na sprzedaż, by zdjęła wszystko pośrodku Times Square, urządziła widowisko dla pierdolonych turystów. Albo mógłby sam wszystko z niej ściągnąć, zerwać i pozwolić, by upadło na ziemię. Mógłby to zrobić, tak jest. Niech Bruder sobie wsadzi noc poślubną z Barbarą. Żółw będzie miał własną.

Przełknął kolejny łyk piwa.

A może powinien oczyścić Times Square. Wszyscy ciągle narzekali, że plac stał się siedliskiem zepsucia, ale nie chcieli nic w tej sprawie zrobić. Kurwa, zrobi to za nich. Pokaże im, jak oczyścić brudną okolicę, jeśli tego właśnie chcieli. Zwali te neony, zagoni pierdolone dziwki i alfonsów do rzeki, uniesie w górę kilka ekstrawaganckich bryk należących do tychże alfonsów i wbije je w okna studiów fotograficznych na drugich piętrach budynków, tych od nagich nastoletnich modelek. Cholera, zerwie nawet same chodniki, jeśli będzie miał na to ochotę. Już najwyższy czas, by ktoś to zrobił. Spójrz na to miejsce, tylko na nie spójrz. Tylko rzut kamieniem od Port Authority, to pierwsze, co zobaczą wysiadające z autobusu dzieciaki.

Tom dopił piwo, rzucił puszkę na podłogę, obrócił się na fotelu i sięgnął po następną, ale z sześciopaka nie zostało już nic poza plastikowym pojemnikiem.

— Pierdolić to — warknął. Nagle ogarnęła go wściekłość. Zwrócił się w stronę mikrofonu i podkreślił głośność na maksa.

— PIERDOŁĘ TO — zawołał i głos Żółwia poniósł się echem nad Czterdziestą Drugą Ulicą, wzmocniony i zniekształcony aż do nieartykułowanego ryku. Ludzie zatrzymywali się nagle na chodniku, unosząc spojrzenia. Tom się uśmiechnął. Najwyraźniej wreszcie zdołał przyciągnąć ich uwagę.

— PIERDOŁĘ TO — powtórzył. — PIERDOŁĘ WAS WSZYSTKICH.

Przerwał, ale gdy chciał powiedzieć coś więcej na ten temat, jego uwagę przyciągnął głos policyjnej dyspozytorki, dobiegający z głośnika. Kobieta raz po raz powtarzała kod oznaczający „policjant w niebezpieczeństwie”.

Tom zapomniał o gapiach, nasłuchując z uwagą szczegółów. Częścią jaźni żałował biednego dupka, którego czekało skopanie tyłka.

Skorupa wzbija się wysoko nad ulice i budynki, a potem pomknęła na południe, w stronę Greenwich Village.



— Myślałam, że po prostu nie lubisz się śpieszyć — rzekła Barbara, gdy wreszcie wzięła się w garść. — Zawsze potrzebowałeś czasu, żeby się na coś zdecydować. Nie rozumiem, Tom.

Nie mógł jej spojrzeć w oczy. Rozglądał się po jej salonie, trzymając ręce w kieszeniach. Nad biurkiem wisiały dyplom i certyfikat nauczycielski. Wokół nich umieszczono zdjęcia: Barbara z grymasem na twarzy zmieniająca pieluszkę czteromiesięcznej siostrzenicy, Barbara z trzema siostrami, Barbara ucząca dzieci wycinać z kartonu czarne czarownice i pomarańczowe dynie na Halloween, obserwująca sześciu tańczących prezydentów ćwiczących przed szkolnym przedstawieniem. I czytająca dzieciom. To była jego ulubiona fotografia. Na kolanach Barbary siedziała mała czarna dziewczynka, a kilkanaścioro innych dzieciaków słuchało z uniesieniem na twarzach, jak czytała na głos fragmenty *O czym szumią wierzyby*. Tom sam jej zrobił to zdjęcie.

— Nie ma czego rozumieć — warknął, odwracając wzrok od fotografii. — Skończyło się, to wszystko. Rozstańmy się w zgodzie, dobra?

— Masz kogoś innego? — zapytała.

Być może lepiej by było, gdyby skłamał, ale był kiepskim kłamcą.

— Nie — odparł.

— W takim razie dlaczego?

Była zaskoczona i zraniona, ale jej twarz nigdy nie wyglądała piękniej. Nie był w stanie na nią patrzeć.

— Tak będzie najlepiej — rzekł, odwracając się, by wyjrzeć przez okno. — Nie pragniemy tego samego, Barbaro. Chcesz małżeństwa. Ja nie. Zapomnij o tym, nie ma mowy. Jesteś wspaniała. Nie chodzi o ciebie, tylko... kurwa, to nie może się udać. Dzieci, gdziekolwiek bym się zwrócił, widzę stada dzieci. Ile ma twoja siostra, troje? Czwooro? Mam już dość udawania, że je lubię. Nie lubię bachorów. Nie mogę ich znieść, rozumiesz? — zakończył podniesionym głosem.

— Wiem, że nie mówisz poważnie, Tommy. Widziałam cię z dziećmi w mojej klasie. Zaprowadziłeś je do siebie i pokazałeś swoją kolekcję komiksów. Pomogłeś Jenny zbudować model samolotu Śmiga. Lubisz dzieci.

Tom roześmiał się w głos.

— Kurwa, jak możesz być aż tak naiwna? Po prostu chciałem ci zaimponować. Żeby cię zaciągnąć do łóżka. Nie... — Jego głos się załamał. — Cholera — dodał — jeśli aż tak bardzo lubię dzieci, to dlaczego zrobiłem sobie wazektomię? Dlaczego, hę? Powiedz mi.

Kiedy się odwrócił, jej twarz była czerwona, jakby ją uderzył.



Wokół boiska do koszykówki stało sześć policyjnych samochodów. Ich czerwono-niebieskie światła dachowe mąciły gęstniejącą ciemność. Gliniarze przykucnęli za samochodami z bronią w rękach. Za wysokim płotem z siatki było widać trzy mroczne sylwetki — dwie leżały pod jednym z koszy, trzecia zaś była rozciągnięta na beczie. Ktoś jęczał z bólu.

Tom zauważył policjanta, którego znał. Mężczyzna trzymał za kołnierz młodego, chudego dzokera o twarzy białej i miękkiej jak pudding z tapioki i potrzasał nim tak mocno, że policzki tamtego aż się trzęsły. Zbliżywszy się, Tom zauważył, że chłopak jest ubrany w barwy Władców Demonów. Obniżył lot.

— GŁOWY DO GÓRY — zagrzemiał. — W CZYM PROBLEM?

Powiedzieli mu.

To była walka gangów, nic więcej. Groszowa sprawa. Grupa młodocianych natoli działających na granicach Dżokerowa wtargnęła na teren Władców Demonów. Ci ostatni zwołali piętnastu albo dwudziestu członków i wyruszyli do East Village, żeby nauczyć intruzów poszanowania dla granic. Do starcia doszło na boisku do koszykówki. Noże, łańcuchy, kilka pistoletów. Paskudna sprawa.

Ale potem zrobiło się dziwnie.

Chłopak z puddingowatą twarzą wykrzyczał, że natole coś mają.



Rozstali się jak przyjaciele. Był z tego dumny. Najtrudniej było wtedy, gdy rany jeszcze się nie zagoiły. Przez jedenaście miesięcy unikali siebie nawzajem. Bayonne jednak było na swój sposób małym miasteczkiem i mieli zbyt wielu wspólnych znajomych, by mogło to trwać długo.

To mogło być jedenaście najtrudniejszych miesięcy w życiu Toma Tudbury'ego. Całkiem możliwe.

Pewnej nocy zadzwoniła do niego niespodziewanie. Ucieszył się. Tęsknił za nią rozpaczliwie, ale wiedział, że po tym, co się między nimi wydarzyło, nie może zadzwonić pierwszy.

— Muszę z tobą porozmawiać — oznajmiła głosem brzmiącym jak po kilku piwach. — Byłeś moim przyjacielem, Tom. Bez względu na wszystko inne, byłeś moim przyjacielem. A dzisiaj potrzebuję przyjaciela, tak? Czy możesz do mnie przyjść?

Kupił sześciopak i przyszedł do niej. Nie można było nic zrobić ani powiedzieć, ale Tom i tak powtórzył wszystkie bezużyteczne frazesy i był przy niej, pozwalając jej mówić aż do nadejścia świtu. Potem położył ją do łóżka, a sam zasnął na kanapie.

Obudził się późnym popołudniem. Barbara stała nad nim, odziana we frotowy szlafrok. Oczy miała czerwone od łez.

— Dziękuję — powiedziała. Usiadła na skraju kanapy, ujęła jego dłoń i przez długi czas trzymała ją bez słowa.

— Chcę, żebyś był w moim życiu — rzekła wreszcie z wyraźnym trudem. — Nie chcę, żebyśmy znowu się od siebie oddalili. Zostaniemy przyjaciółmi, zgoda?

— Zgoda — odparł Tom. Pragnął pociągnąć ją na siebie i obsypać pocałunkami, ale zamiast tego uściskał tylko jej dłoń. — Bez względu na wszystko, Barbaro. Na zawsze. Dobra?

Uśmiechnęła się. Udał, że ziewa, i wcisnął twarz w poduszkę, by Barbara nic nie wyczytała

z jego oczu.



— KRYJCIE SIĘ — ostrzegł policjantów Żółw. Nie trzeba im było powtarzać tego dwa razy. Chłopak schował się w jednej z betonowych beczek i widzieli, co się stało z policjantem, który próbował za nim podążyć. Zniknął, zniknął, jakby nigdy nie istniał, ulotnił się, pochłonięty przez nagłą ciemność, która go... wymazała.

— Załatwilibyśmy skurwysynów — mówił Władca Demonów. — Dalibyśmy im nauczkę, żeby zrozumieli, co to znaczy zaczynać z Dżokerowem, jebane natolskie oferty, ale nagle ten Latynos ruszył na nas z jebaną kulą do kręgli. Głupi, mały kutafon. Wyciągnął tę kulę w stronę Woskowatego i ona urosła, kurde, jakby była żywa. Wylazł z niej jakiś czarny syf, cholernie szybko, czarne światło, wielka mroczna ręka albo coś, nie mam pojęcia co. Poruszyło się cholernie szybko i Woskowaty zniknął. — Głos chłopaka nabrał przenikliwych tonów. — Kurde, zniknął. W jednej chwili tam był, a w następnej już go nie było. A potem ten skurwysyński natol zrobił to samo Brzytwie i Ghulowi. Wtedy właśnie Osioł go postrzelił i skurwiel o mało co nie wypuścił kuli. Chyba trafił go w bark, ale potem kutas załatwił go tak samo jak tamtych. Z takim czymś nie da się walczyć. Nawet ten jebany glina nic nie poradził.

Skorupa prześliznęła się nad otaczającym boisko płotem, powoli i bezgłośnie.



— Coś nas łączy — oznajmiła Barbara. — Coś specjalnego. — Przesunęła palcem po śladach skroplonej pary na zewnętrznej powierzchni szklanki. Jej niebieskie oczy spoglądały na niego śmiało i szczerze, jakby chciała mu rzucić wyzwanie. — Oświadczył mi się, Tom.

— I co mu odpowiedziałaś? — zapytał, starając się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

— Że się zastanowię — odparła. — Dlatego właśnie prosiłam cię o spotkanie. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą.

Tom skinął na kelnera, zamawiając kolejne piwo.

— Decyzja należy do ciebie — stwierdził Tom. — Szkoda, że nie dałaś mi okazji go poznać, ale to, co o nim opowiedziałaś, brzmi całkiem nieźle.

— Jest rozwiedziony — zauważyła.

— Tak samo jak połowa świata — odparł Tom w tej samej chwili, gdy przyniesiono mu piwo.

— Wszyscy oprócz nas dwojga — dodała z uśmiechem Barbara.

— Ehe. — Popatrzył z zasepioną miną na pianę na piwie i westchnął z zażenowaniem.

— A czy ten tajemniczy amant ma dzieci?

— Dwoje. Opiekę powierzono jego byłej. Ale poznałam je. Lubią mnie.

— To się rozumie — mruknął Tom.

— Chce mieć więcej. Ze mną.

Tom spojrział jej prosto w oczy.

— Kochasz go?

Barbara spokojnie napotkała jego spojrzenie.

— Pewnie tak. Ale czasami brakuje mi pewności. Chyba nie jestem już taka romantyczna jak kiedyś. — Wzruszyła ramionami. — Czasami zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby między nami ułożyło się inaczej. Moglibyśmy teraz obchodzić dziesiątą rocznicę ślubu.

— Albo dziewiątą rocznicę dramatycznego rozvodu — zauważył Tom. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Barbary. — Wcale nie jest tak źle, prawda? Tamto nie mogłoby się udać.

— Drogi, których nie wybraliśmy — rzekła tęsknym tonem. — W moim życiu jest za wiele niewykorzystanych szans, Tom. Zbyt wiele żalu z powodu rzeczy, których nie zrobiłam, i decyzji, których nie podjęłam. Mój biologiczny zegar tyka. Jeśli będę czekała dłużej, nie doczekam się nigdy.

— Szkoda, że nie znałaś go dłużej — zauważył Tom.

— Och, znam go do dawna — odparła, odrywając rozek koktajlowej serwetki.

— Zdawało mi się, że mówiłaś, że spotkałaś go w zeszłym miesiącu na przyjęciu — zdziwił się Tom.

— To prawda, ale poznaliśmy się już dawno. W liceum. — Znowu spojrzała na jego twarz.

— Dlatego właśnie nie zdradziłam ci jego nazwiska. Byłbyś zdenerwowany, a z początku nie wiedziałam, czy coś z tego wyniknie.

Nie musiała mówić nic więcej. Byli przyjaciółmi od z górą dziesięciu lat. Zajrzał w błękitną głębię jej oczu i poznał prawdę.

— Steve Bruder — mruknął z odrętwieniem.



Zawisł nad boiskiem i kolejno przeniósł powalonych wojowników na drugą stronę płotu, gdzie czekali policjanci. Dwóch chłopaków leżących pod koszem nie żyło. Będzie potrzeba mnóstwo szorowania, by usunąć z betonu ślady krwi. Trzeci, spoczywający na beczcze, okazał się dziewczyną. Jęknęła z bólu, gdy uniósł ją za pomocą TK. Trzymała się za brzuch w sposób sugerujący, że wypruto jej wnętrzności. Miał nadzieję, że uda się jej pomóc.

Wszyscy troje byli natolami. Na polu bitwy nie znalazł poległych dzokerów. Albo Władcy Demonów rzeczywiście skopali tyłki przeciwnikom, albo ich zabici znajdowali się gdzie indziej. Albo i jedno, i drugie.

Nacisnął klawisz w poręczy fotela i wszystkie jego reflektory włączyły się jednocześnie. Boisko zalał gorący, biały blask.

— GRA SKOŃCZONA — oznajmił. Głośniki wyrzycały te słowa w zapadającym mroku. Z biegiem lat nauczył się, że sama głośność skutecznie zastrasza chuliganów. — WYŁĄŻ,

CHŁOPCZE. JESTEM ŻÓŁW.

— Zjeżdżaj — odpowiedział mu słaby, ochrypły krzyk dobiegający z wnętrza betonowej beczki. — Bo cię zdeintegruję, jebana dzokerska gębo. Mam tu coś ze sobą.

Tom przez cały dzień szukał kogoś, komu mógłby zrobić krzywdę. Potwora, którego mógłby rozszarpać, zabójcę, któremu mógłby spuścić łomot, celu dla swego gniewu, gąbki, która wchłonęłaby jego ból. Teraz, gdy ta chwila wreszcie nadeszła, przekonał się, że nie ma już w sobie gniewu. Czuł się zmęczony. Pragnął wrócić do domu. Chłopak w beczce ukrywał się za maską brawury, ale był młody i wyraźnie się bał.

— TAKI Z CIEBIE TWARDZIEL? — zapytał Tom. — CHCESZ SIĘ MIERZYĆ Z ŻÓŁWIEM? ŚWIETNIE.

Skupił się na beczce ulokowanej na lewo od tej, w której skrył się chłopak, objął ją swym umysłem i ścisnął. Pękła tak nagle, jakby uderzyła w nią kula wyburzeniowa. Odłamki i pył posypały się na wszystkie strony.

— KURCZE, A WIĘC NIE W TEJ. — Zrobił to samo z beczką po drugiej stronie chłopaka. — I W TEJ TEŻ NIE. CHYBA SPRAWDZĘ W TEJ POŚRODKU.

Chłopak wypadł na zewnątrz tak pośpiesznie, że wstając, wałnął głową o obręcz. Uderzenie na chwilę go oszołomiło. Coś nagle wyrwało z jego uścisku kulę do kręgla, którą trzymał w obu rękach. Przedmiot pomknął prosto w górę. Chłopak wykrzykiwał przekleństwa, odsłaniając zęby o błyszczących stalowych koronkach. Podskoczył, desperacko próbując odzyskać swą broń, ale zdołał tylko musnąć jej dolną powierzchnię koniuszkami palców. Potem runął ciężko na ziemię, rozbijając sobie kolana i dłonie o beton.

Gliniarze ruszyli już do akcji. Otoczyli chłopaka, postawili go na nogi i przeczytali mu prawa. Miał dziewiętnaście lat, może mniej, nosił barwy gangu i wysadzaną ćwiekami obrozę, a czarne wełniste włosy uczesał na punka. Zapytali go, gdzie się podzieli ci wszyscy ludzie, ale on tylko przeklinał i powtarzał, że nie wie.

Gdy poprowadzili go ku czekającym radiowozom, Tom otworzył pancerne drzwiczki i wciągnął tajemniczy obiekt do wnętrza skorupy, by lepiej się mu przyjrzeć. Wyglądał dziwnie. Kiedy ujął go w rękę, pomyślał, że jest za lekki, by mógł być kulą do kręgla. Ważył cztery funty, może pięć. Nie miał też otworów. Przesunął dłonią po jego powierzchni i poczuł mrowienie w palcach. Na powierzchni obiektu pojawiły się na moment kolory, jak tęcze na pokrytej warstwą benzyny kałuży. Może Tachion będzie wiedział, co o tym sądzić. Odłożył przedmiot na bok.

Nad miastem zapadała ciemność. Tom wzbijał się w górę, aż wreszcie znalazł się powyżej odległego wierzchołka Empire State Building. Pozostał tam przez pewien czas, obserwując, jak zapalające się wszędzie światła przeobrażają Manhattan w elektryczną krainę baśni.

Z tej wysokości, pogodną zimną nocą, widział nawet światła Jersey City, po drugiej stronie

mroźnej, czarnej wody. Wiedział, że jednym z tych punkcików jest klub „Top Hat”.

Przyszło mu głowy, że nie powinien tak tu sobie latać. Powinien zabrać kulę do kręgli do kliniki. To był następny punkt w jego programie. Mimo to nie ruszył się z miejsca. Pomyślał, że równie dobrze może to zrobić następnego dnia. Tachion nigdzie nie ucieknie i kula do kręgli również nie. Nie potrafił się w tej chwili zdobyć na spotkanie z Tachionem. Nie dzisiejszej nocy.



W tamtych czasach jego skorupa była znacznie bardziej prymitywna. Nie miał teleobiektywów, obiektywów o zmiennej ogniskowej ani noktowizorów. Tylko pierścien gorących reflektorów, tak jasnych, że Tachion musiał przymrużyć oczy. Tom jednak ich potrzebował. Na dachu kliniki, gdzie wylądował skorupą, było ciemno.

Zresztą nie chciałby zbyt dokładnie zobaczyć przyniesionych przez Tachiona zdjęć. Siedział po ciemku, gapiąc się na swoje ekrany, i nie mówił nic, gdy doktor pokazywał mu kolejne fotografie. Wszystkie zrobiono na oddziale położniczym kliniki. Jedno czy dwoje dzieci pożyło wystarczająco długo, by przeniesiono je na oddział noworodkowy.

Wreszcie odnalazł głos.

— Te dzieci miały dzokerskie matki — stwierdził głosem przepojonym fałszywą pewnością. — Bar... jest normalna. Mówiłem ci, że to natolska kobieta. Zaraziła się w wieku dwóch lat, do cholery. Można by powiedzieć, że to nigdy się nie wydarzyło.

— Ale się wydarzyło — odparł Tachion. — Może sprawiać wrażenie normalnej, ale wirus w niej jest. Uśpiony. Najprawdopodobniej nigdy się nie objawi, a genetycznie jest recesywny, ale gdybyście oboje mieli...

— Wiem, że wielu ludzi myśli, że jestem dzokerem — przerwał mu Tom — ale to nieprawda, uwierz mi. Jestem asem. Asem, do cholery! Jeśli nawet dzieciak odziedziczy gen dzikiej karty, to co z tego? Otrzyma ode mnie TK wysokiej klasy. Będzie asem, tak samo jak ja.

— Nie — zaprzeczył Tachion. Schował zdjęcia do teczki, odwracając wzrok od kamery. Celowo? — Przykro mi, przyjacielu. Szanse przeciwko temu są astronomiczne.

— Cyklon — sprzeciwił się Tom z nutą hysterii w głosie. Cyklon był asem z Zachodniego Wybrzeża. Córka odziedziczyła po nim talent panowania nad wiatrami.

— Nie — powtórzył Tachion. — Mistral to szczególny przypadek. Jesteśmy w niemal stu procentach pewni, że Cyklon w jakiś sposób podświadomie manipulował jej plazmą zarodkową, kiedy była jeszcze w łonie matki. Na Takis... No cóż, znamy tę metodę, ale ona rzadko okazuje się skuteczna. Jesteś najpotężniejszym telekinetykiem, jakiego w życiu widziałem, ale coś takiego wymaga kontroli wykraczającej całe rzędy wielkości poza twoje możliwości, nie wspominając już o stuleciach doświadczenia w mikrochirurgii i inżynierii genetycznej. A nawet gdybyś miał to wszystko, zapewne i tak by ci się nie udało. Cyklon nie miał pojęcia, co robi, nie na świadomym poziomie, a do tego miał absurdalnego farta. — Takizjanin potrząsnął głową.

— Twój przypadek jest zupełnie inny. Masz tylko gwarancję, że wyciągniesz dziką kartę. Szanse są takie same, jak...

— Wiem, jakie są szanse — przerwał mu Tom ochryplym głosem. Tylko jeden na stu ludzi, którzy wyciągnęli dziką kartę, otrzymywał moce asa. Na każdego asa przypadało dziesięciu obrzydliwie zniekształconych dzokerów, a na każdego dzokera dziesięć śmiertelnych Czarnych Dam.

Ujrzał oczyma duszy siedzącą w łóżku Barbarę. Kołdra zsunęła się jej do talii, a miękkie blond włosy opadały kaskadą na ramiona. Ze spokojną, słodką miną przyglądała się ssącemu jej pierś dziecku. Potem niemowlę uniosło wzrok i Tom zobaczył jego zęby, wyłupiaste oczy oraz monstrualnie zniekształconą twarz. Gdy syknęło na niego, Barbara krzyknęła z bólu. Z jej rozdartego sutka płynęło mleko zmieszane z krwią.

— Przykro mi — powtórzył doktor Tachion z przygnębieniem w głosie.



Minęła północ, nim Tom wrócił do pustego domu przy Pierwszej Ulicy.

Zrzucił kurtkę i usiadł na kanapie, gapiąc się przez okno na Kull van Kill i światła Staten Island. Zaczął padać zamieniający się w grad deszcz. Kropelki uderzały o szyby z twardym, krystalicznym dźwiękiem, przypominającym brzęk widelców uderzających o puste kieliszki do wina, gdy weselni goście chcą, by nowożeńcy się pocałowali. Długo siedział w ciemności.

Wreszcie zapalił lampę i sięgnął po słuchawkę. Wcisnął sześć numerów, ale nie mógł się zdobyć na wciśnięcie siódmego. Jak licealista bojący się umówić na randkę z ładną dziewczyną, pomyślał, uśmiechając się z przygnębieniem. Nacisnął zdecydowanie guzik i słuchał sygnału.

— Klub „Top Hat” — odezwał się męski głos.

— Chciałbym mówić z Barbarą Casco — rzekł Tom.

— Ma pan na myśli nową panią Bruder — poprawił go mężczyzna.

Tom zaczerpnął głęboki oddech.

— Tak — potwierdził.

— Hej, nowożeńcy odjechali już parę godzin temu. Na noc poślubną. — Mężczyzna niewątpliwie był pijany. — Na miesiąc miodowy wybierają się do Paryża.

— Jasne — odparł Tom. — A czy jej ojciec jeszcze jest?

— Rozejrzę się.

Nastała długa cisza. Wreszcie ktoś znowu podniósł słuchawkę.

— Mówi Stanley Casco. Z kim rozmawiam?

— Tom Tudbury. Przepraszam, że nie mogłem przyjść, panie Casco. Byłem, hmm, zajęty.

— Rozumiem, Tom. Dobrze się czujesz?

— Świetnie. Nie mogłbym czuć się lepiej. Chciałem tylko...

— Tak?

Przełknął ślinę.

— Powiedz jej, że chcę, żeby była szczęśliwa, dobra? To wszystko. Żeby była szczęśliwa.

Odłożył słuchawkę.

Wzdłuż Kill van Kull płynął wielki frachtowiec. Było za ciemno, by Tom mógł zobaczyć banderę. Zgasił światło i gapił się na mijający go statek.



Jube: Pięć

Ślad łatwo było rozpoznać. Jube siedział za swą konsolą, obserwując odczyty przesuwające się przez holosześcian. Jego serca zatrzepotały ze strachu i nadziei.

Większą część pierwszych czterech miesięcy po przybyciu na Ziemię spędził w ciemnych salach kinowych. Oglądał te same filmy po kilkanaście razy, by poprawić znajomość angielskiego i lepiej zrozumieć kulturę oraz zwyczaje ludzi tak, jak przedstawiały je ich opowieści. Pokochał ich filmy, zwłaszcza westerny. Najbardziej zawsze lubił te fragmenty, gdy kawaleria wyjeżdżała zza wzgórze, powiewając sztandarami.

Sieć nie używała sztandarów, ale Jube miał wrażenie, że słyszy dźwięk trąbki i tętent kopyt w delikatnej pajęczynie światła dostrzegalnej w jego holosześcianie.

Tachiony! Trąbki i tachiony!

Jego satelity obserwacyjne odkryły tachionowy impuls, a to mogło znaczyć tylko jedno — na ciasną orbitę wokół Ziemi wszedł gwiazdolot. Ratunek był blisko.

Teraz satelity przeczesywały niebo w poszukiwaniu źródła impulsu. Jhubben wiedział, że to nie jest Matka Roju. Ona wędrowała między gwiazdami wolniej od światła. Czas nic dla niej nie znaczył. Tylko cywilizowane gatunki używały gwiazdolotów z napędem tachionowym.

Jeśli Ekkedme zdążył nadać transmisję, nim jego monostatek strącono z nieba... jeśli Wielki Kupiec postanowił sprawdzić postępy ludzkości wcześniej, niż planowano... jeśli obecność Matki wykryto za pomocą jakiejś nowej technologii, o której nikomu się nie śniło, gdy Jhubben rozpoczynał służbę na Ziemi... jeśli, jeśli, jeśli... wtedy to mogła być „Okazja”. Być może Sieć wróciła, by uratować Ziemię, a do ustalenia pozostały tylko sposoby oraz cena. Nawet wtedy nie byłoby to łatwe, ale w powodzenie nie sposób było wątpić. Jube uśmiechał się, gdy jego satelity sondowały, a komputery prowadziły analizy.

Wtem holosześcian przybrał fiołkowy kolor, a z twarzy Jhubbena zniknął uśmiech. W głębi jego gardła zrodził się niski, bulgoczący dźwięk.

Zaawansowane instrumenty jego satelitów przebiły się przez ekrany osłaniające gwiazdolot przed ludzkimi przyrządami i wyświetliły jego obraz wewnątrz holosześcianu o złowrogiej fiołkowej barwie. Statek obracał się powoli, nakreślony liniami czerwonego i białego światła niczym jakaś straszliwa konstrukcja z ognia i lodu. Pod obrazem rozbłyskiwały dane: wymiary, emisja tachionów, kurs. Wszystko, co musiał wiedzieć Jube, powiedział mu jednak zarys statku. Wypisano to w każdej wykręconej iglicy, oznajmiała to każda ekstrawagancka wyrośl, trąbiła

o tym każda barokowa spirala i projekcja, krzychał przepych niepotrzebnych światła.

Statek wyglądał jak efekt zderzenia czołowego świątecznej ozdóbki z owocem opuncji. Tylko Takizjanie lubili równie rokokową estetykę.

Jube zerwał się na nogi. Takizjanie! Czyżby wezwał ich doktor Tachion? Trudno mu było w to uwierzyć. Doktor spędził na wygnaniu bardzo wiele lat. Czy cały ten czas obserwowali Ziemię, podobnie jak Sieć, chcąc się dowiedzieć, jak się rozwija eksperyment z dziką kartą? Jeśli tak, dlaczego Jhubben do tej chwili nie wykrył żadnego ich śladu? Jak zdołali się ukryć przed Ekkedmem? Czy zniszczą Matkę Roju? Czy są w stanie to zrobić? „Okazja” była w przybliżeniu wielkości całego Manhattanu i na jej pokładzie przebywały dziesiątki tysięcy specjalistów reprezentujących niezliczone gatunki, kultury, kasty oraz powołania — kupcy i poszukiwacze wrażeń, uczeni, kapłani, technicy, artyści, wojownicy i emisariusze. Takizjański statek był maleńki. Nie mógłby pomieścić więcej niż pięćdziesięciu uczonych, być może nawet zaledwie połowę tej liczby. O ile w ciągu ostatnich czterdziestu lat takizjańska technologia militarna nie dokonała postępów na astronomiczną skalę, cóż mogło takie maleństwo zdziałać w pojedynkę przeciwko pożeraczce światów? Zresztą, czy Takizjan obchodziłby los ich zwierząt doświadczalnych?

Jhubben z narastającym gniewem i zmieszaniem wpatrywał się w zarysy statku, gdy nagle zadzwonił telefon.

Na moment w jego głowie zrodziła się szalona myśl, że Takizjanie odnaleźli go w jakiś sposób, że wiedzą, iż ich obserwuje, i zadzwonili, by go zbesztać. To jednak było śmieszne. Nacisnął kciukiem guzik i holosześcian zgasł. Potem Jube poczłapał do salonu. Musiał po drodze okrążyć udreżone kształty nieukończonego tachionowego nadajnika, które dominowały nad środkiem pokoju niczym wielka awangardowa rzeźba. Jeśli ustrojstwo nie zadziała, gdy dostarczy mu mocy, Jube miał zamiar nazwać je „Żądzą dzokera” i sprzedać jakiejś galerii z Soho. Choć nie było jeszcze ukończone, jego zarysy dziwnie łatwo wprowadzały w błąd i ciągle wpadał na jakąś jego część. Tym razem jednak ominął je zgrabnie i wyjął telefon z rąk Myszki Miki.

— Halo — rzekł, starając się zachować typowy dla siebie jowialny ton.

— Jubal, mówi Poczwarka.

To był jej głos, ale nigdy dotąd nie brzmiał w ten sposób. Nigdy też nie dzwoniła do niego do domu.

— Co się stało? — zapytał. W zeszłym tygodniu prosił Poczwarkę o kolejny zestaw mikroczipów, a nuta słyszalna w jej głosie zrodziła w nim obawę, że zatrzymano jej agenta.

— Przed chwilą zadzwonił Jay Ackroyd. Do tej pory nie miał nic do zameldowania. Dowiedział się paru rzeczy o ludziach, którzy wynajęli Piękną Stopę.

— To dobrze. A czy udało mu się zlokalizować kulę do kręgli?

— Nie. I wcale nie jest tak dobrze, jak ci się zdaje. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale Jay mówi, że ci ludzie byli przekonani, iż ciało jest pozaziemskiego pochodzenia. Najwyraźniej mieli nadzieję wykorzystać je w jakiegoś rodzaju odrażającym rytuale, by zdobyć władzę nad obcym potworem, który nas zaatakował.

— Nad Matką Roju? — zdumiał się Jube.

— Tak — odparła krótko Poczwarzka. — Jay mówi, że coś ich z nią łączy. Myśli, że oddają jej cześć. Posłuchaj, nie powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon.

— A to dlaczego? — zapytał Jube.

— Dlatego, że ci ludzie są niebezpieczni. Jay przyjdzie dziś w nocy do Pałacu, by zdać mi pełen raport. Bądź przy tym. Zwijam karty w tej sprawie, Jubal. Od tej pory możesz się kontaktować bezpośrednio z Jayem. Jeśli chcesz, poproszę Fortunata, żeby wpadł. Myślę, że będzie zainteresowany tym, czego się dowiedział Jay.

— Fortunata? — Jube był przerażony. Znał go głównie z reputacji. Wysokiego alfonsa o oczach w kształcie migdałów i wypukłym czole często widywano w Kryształowym Pałacu, ale on zawsze starał się go unikać. Obawiał się telepatów. Doktor Tachion nigdy nie zaglądał do czyjegoś umysłu bez poważnych powodów, ale Fortunato to co innego. Kto wie, kiedy i dlaczego zechce użyć swych mocy ani co może zrobić, kiedy się dowie, kim naprawdę jest Jube Mors? — Nie — odpowiedział pośpiesznie. — Wykluczone. To nie ma z nim nic wspólnego!

— On wie o tych masonach więcej niż ktokolwiek w mieście — zauważyła Poczwarzka. — No cóż, ty płacisz za ten pogrzeb, więc pewnie masz prawo wybrać trumnę — dodała z westchnieniem. — Nic mu nie powiem. Spotkamy się po zamknięciu.

— Po zamknięciu — powtórzył Jube. Odwiesiła słuchawkę, nim zdążył ją zapytać, o co chodzi z tymi masonami. Rzecz jasna, słyszał o masonach. Przed dziesięcioma laty prowadził badania nad ludzkimi bractwami, takimi jak shrinerzy, Rycerze Kolumba, Niezależny Zakon Odd Fellows oraz masoni. Porównywał je ze sobą nawzajem oraz z braterskimi kompaniami z księżyców Thdentien. O ile sobie przypominał, Reginald był masonem, a Denton próbował wstąpić do Łosi, ale nie przyjęto go ze względu na poroże. Co mieli z tym wszystkim wspólnego masoni?

Jube był dzisiaj zbyt niespokojny na żarty. Matka Roju, takizjańskie okręty i masoni — sam już nie wiedział, czego się bać. Nawet jeśli zza wzgórza naprawdę przybędą kawalerzyści, czy potrafią rozpoznać Indian? — zadał sobie pytanie. Spojrzał na niebo i potrząsnął głową.

Zamknął kiosk na noc, dostarczył prasę do Gabinetu Luster i do klubu „Chaos”, po czym postanowił skrócić obchód Dżokerowa, by jak najszybciej dotrzeć do Kryształowego Pałacu. Najpierw jednak musiał zajrzeć na komisariat.

Dyżurny sierżant wziął od niego „Daily News” i natychmiast przeszedł do wiadomości sportowych. Jube zostawił „New York Timesa” i „Krzyk Dżokerowa” dla kapitana Blacka.

Kierował się już ku wyjściu, gdy nagle zauważył go tajniak.

— Hej, grubasie! — zawołał. — Masz „Informera”?

Mężczyzna siedział na ławie, wsparty o wyłożoną kafelkami ścianę, jakby na kogoś czekał. Jube znał go z widzenia: niechlujny, nieprzyciągający uwagi typ o nieprzyjemnym uśmiechu. Nigdy nie raczył zwracać się do Jube’a po imieniu. Od czasu do czasu przychodził do jego kiosku, żeby wziąć sobie tablety. Czasami nawet płacił.

Ale nie dzisiaj.

— Dziękuję — mruknął, biorąc w rękę „National Informera”, którego podał mu Mors. CZY TAKIZJANIE WYNALEŻLI OPRYSZCZKĘ? — pytał nagłówek. To nie spodobało się Jube’owi. Autor drugiego artykułu, umieszczonego poniżej, zastanawiał się, czy Sean rzuci Madonnę dla Sokolicy. Tajniak nawet nie spojrzał na gazetę. Gapił się dziwnie na Jube’a. Rozciągnął kącik ust w dziwnym uśmieszku.

— Jesteś tylko brzydkim dzokerskim chłopakiem, prawda? — zapytał.

Jube odpowiedział przypochlebnym uśmiechem, jeszcze bardziej odsłaniającym kły.

— Co, ja brzydki? Kurde, mam cycki większe niż miss października!

— Za dużo czasu już zmarnowałem na słuchanie twoich debilnych kawałów — warknął tajniak. — Ale czego się spodziewałem? Nie jesteś też zbyt bystry, co?

Wystarczająco bystry, żeby oszukiwać wasz gatunek przez trzydzieści cztery lata, pomyślał Jube, ale nie powiedział tego na głos.

— Wiesz, ilu dzokerów potrzeba, żeby wkręcić żarówkę? — zapytał zamiast tego.

— Zabieraj stąd swoje brudne dzokerskie dupsko — warknął mężczyzna.

Jube poczłapał ku drzwiom. Na szczycie schodów odwrócił się i zawołał:

— Gazeta jest na mój koszt!

Potem ruszył do Kryształowego Pałacu.

Przyszedł dziś wcześniej niż zwykle i w lokalu nadal było tłoczno. Usiadł na stołku u samego końca baru, gdzie mógł oprzeć się plecami o ścianę i widzieć całą salę. Sascha miał wolny wieczór i barem zajmował się Lupo.

— Co ma być, Mors? — zapytał, wywalając długi czerwony ozór z boku pyska.

— Piña colada — odparł Jube. — Z podwójnym rumem.

Lupo skinął głową i poszedł zrobić koktajl. Jube rozejrzał się ostrożnie wokół. Odnosił niepokojące wrażenie, że ktoś go obserwuje. Ale kto? W pomieszczeniu było pełno nieznanym, a Poczwarki nigdzie nie widział. Trzy stołki od niego potężnie zbudowany mężczyzna w masce lwa zapalał papierosa młodej dziewczynie, której wieczorowa suknia o głębokim dekolcie odsłaniała znaczne części trzech obfitych piersi. Dalej zgarbiona postać owinięta w szary całun wpatrywała się w swojego drinka. Szczupła, pełna życia, zielonoskóra kobieta odwzajemniła jego spojrzenie i prowokacyjnie przesunęła różowym językiem po dolnej

wardze (a przynajmniej ludzkiemu mężczyźnie mogłoby się to wydawać prowokacyjne), ale nie ulegało wątpliwości, że jest dziwką, więc Jube ją zignorował. W innym miejscu wypatrzył Yin-Yang o dwóch głowach pograżonych w pełnej pasji kłótni, a także Starego Pana Świerszcza. Latający dzoker schlał się do nieprzytomności i znowu unosił się pod sufitem. Jube widział też jednak wiele twarzy i masek, których nie poznawał. Każdy z nieznanym mężczyznom mógł być Jayem Ackroydem. Poczwarzka mu nie powiedziała, jak on wygląda, tylko tyle, że jest asem. Mógł nawet być mężczyzną w masce lwa, który — jak zauważył kącikiem oka Jube — objął teraz ramieniem dziewczynę i muskał delikatnie palcami jej położoną najdalej na prawo pierś.

Lupo wytarł bar, zakręcił podkładką pod szklanekę i postawił na niej piña coladę. Gdy Jube pociągnął pierwszy łyk, na stołku obok usiadł nieznajomy.

— Czy to ty sprzedajesz te gazety? — zapytał.

— Jasne, że ja.

— Świetnie. — Jego głos zniekształcała maska, biała jak kość trupia czaszka. Miał na sobie czarną pelerynę z kapturem, narzuconą na wytarty garnitur, nieszczególnie dobrze leżący na jego wychudłym ciele o zapadniętej klatce piersiowej. — W takim razie wezmę „Krzyk Dżo kerowa”.

Jube pomyślał, że oczy mężczyzny mają w sobie coś nieprzyjemnego. Odwrócił wzrok, sięgnął po gazetę i wręczył ją nieznajomemu. Zakapturzony dał mu monetę.

— Co to jest? — zapytał Jube.

— Moneta — odparł mężczyzna.

Pieniążek był większy, niżby należało. Jego jaskrawoczerwona barwa silnie kontrastowała z granatową skórą dłoni. Jube nigdy w życiu nie widział nic takiego.

— Nie wiem, czy mogę...

— Mniejsza z tym — przerwał mu mężczyzna. Wyjął pieniążek z jego dłoni i w zamian dał mu dolara z Susan B. Anthony.

— A gdzie reszta, Mors? — zapytał i Jube dał mu trzy ćwierćdolarówki. — Nabrałeś mnie — poskarżył się ze złością, chowając monety do kieszeni.

— Nieprawda — oburzył się Jube.

— Spójrz mi w oczy i powtórz to, ty żaloszny głąbie.

Drzwi za plecami nieznajomego się otworzyły i do środka wszedł Troll, pochylając głowę w wejściu. Za nim podążał niski rudowłosy mężczyzna w żółtozielonym garniturze.

— Tachion — odezwał się Jube z nagłym niepokojem, przypomniawszy sobie o takizjańskim okręcie na orbicie.

Jego nieprzyjemny towarzysz odwrócił głowę tak szybko, że kaptur mu spadł, odsłaniając rzadkie brązowe włosy dotknięte paskudnym przypadkiem łupieżu. Zerwał się na nogi, zawahał na chwilę, a potem pognał ku drzwiom, gdy tylko Tachion i Troll ruszyli ku tylnej części sali.

— Hej! — zawołał za nim Jube. — Pańska gazeta!

Mężczyzna zostawił „Krzyk Dżokerowa” na barze. Wyszedł tak szybko, że omal nie przytrzasnął sobie drzwiami długiej czarnej peleryny. Jube wzruszył ramionami i wrócił do piña colady.

Po kilku godzinach i kilkunastu drinkach Jube zorientował się, że Poczwarzka nadal się nie pojawiła. Nie widział też nikogo, kto wyglądałby tak, jak wyobrażał sobie Rzutnika. Gdy Lupo ogłosił ostatecznie zamówienia, Jube skinął na niego.

— Gdzie ona jest? — zapytał.

— Poczwarzka? — odpowiedział pytaniem Lupo. Po obu stronach jego długiego, kudłatego pyska lśniły czerwone ślepia. — Spodziewa się ciebie?

Jube skinął głową.

— Mam dla niej parę informacji.

— Dobra — zgodził się Lupo. — Jest w czerwonej sali, trzecia łoża od lewej. Towarzyszy jej przyjaciel. — Uśmiechnął się. — Udawaj, że go nie widzisz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Skoro tak sobie życzy.

Jube pomyślał, że ten przyjaciel to na pewno Rzutnik, ale nic nie powiedział na głos. Zszedł ostrożnie ze stołka i ruszył do czerwonej sali, położonej na prawo od głównej. Wewnątrz panował półmrok, a w powietrzu unosił się papierosowy dym. Światła były tu czerwone, podobnie jak grube dywany, a ciężkie aksamitne zasłony w łożach miały intensywną burgundową barwę. O tej porze prawie wszystkie łoża stały puste, ale słyszał kobiece jęki, dobiegające z jednej z tych, które były zajęte. Podszedł do trzeciej od lewej, odsunął zasłonę i wsadził głowę do środka.

Przed chwilą słyszał ciche, poważne głosy, ale rozmowa nagle umilkła. Poczwarzka spojrzała na niego.

— Jubal — rzekła krótko. — Co mogę dla ciebie zrobić?

Jube spojrzał na jej towarzysza, krępego, żylastego białego mężczyznę w czarnym T-shircie i ciemnej skórzanej kurtce. Nosił najprostszą z masek, czarny kaptur zasłaniający wszystko oprócz oczu.

— Na pewno jesteś Rzutnik — zaczął Jube, nim sobie przypomniał, że detektyw nie lubi, gdy go tak nazywają.

— To nie ja — zaprzeczył zamaskowany mężczyzna zaskakująco delikatnym głosem. Zerknął na Poczwarzkę. — Jeśli musisz załatwić jakiś interes, dokończymy tę rozmowę później.

Wysunął się z łoży i oddalił bez słowa.

— Właż — poleciła Poczwarzka. Jube wszedł do środka i zasunął za sobą kotary. — Cokolwiek mi przynosisz, lepiej, żeby to było niezłe — oznajmiła z wyraźną irytacją w głosie.

— Przyniosłem? — zdziwił się Jube. — Nie rozumiem. Gdzie jest Rzutnik? Powinien już tu

być.

Wlepiała w niego zdumione spojrzenie. Pokryta przezroczystą skórą i szarymi jak duchy mięśniami czaszka przywodziła Jube'owi na myśl niesympatycznego mężczyznę, który usiadł przy nim w barze.

— Nie wiedziałam, że znasz Jaya. Dlaczego o niego pytasz? Czy jest coś, o czym oboje powinniśmy się dowiedzieć?

— Miał złożyć raport — wyjaśnił. — Opowiedzieć nam wszystko o tych masonach, którzy zapłacili Johnowi Diabłu, żeby ukradł ciało z kostnicy. Powiedziałaś, że oni są niebezpieczni.

Parsknęła śmiechem, rozsunęła zasłony i wstała leniwie.

— Jubal, nie wiem, ile egzotycznych drinków z rumem dzisiaj wypijeś, ale podejrzewam, że było ich o kilka za dużo. Zawsze mamy z tym problem, kiedy za barem stoi Lupo. Sascha potrafi poznać, kiedy klient ma dość, ale nasz wilczy chłopak nie radzi sobie z tym za dobrze. Idź do domu się wyspać.

— Do domu? — powtórzył Jube. — Ale co z ciałem, co z Johnem Diabłem i masonami...

— Jeśli chcesz wstąpić do loży, myślę, że Odd Fellows bardziej by ci odpowiadali — przerwała mu znudzonym tonem Poczwaraka. — Poza tym jednym, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Do domu było daleko i zgrzał się po drodze. Nie opuszczało go niepokojące wrażenie, że ktoś go obserwuje. Kilkakrotnie zatrzymywał się i rozglądał ukradkiem, ale nikogo nie zauważył.

Wróciwszy do mieszkania, Jube zanurzył się z radością w zimnej wodzie i włączył telewizor. Nadawano *Trzydzieści minut nad Broadwayem*, ale nie film Howarda Hawksa tylko okropny remake z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego z Jan-Michaelem Vincentem w roli Śmiga oraz Dudleyem Moore'em przedstawiającym komiczną interpretację Tachiona, w obrzydliwej rudej peruce na głowie. Jube i tak zaczął oglądać film. Bezmyślna rozrywka była dokładnie tym, czego w tej chwili potrzebował. O Poczwarakę i całą resztę będzie się martwił jutro.

Gdy Śmig uderzył swym JB-1 w sterowce, nagle pojawiły się zakłócenia. Potem ekran zgasł.

— Hej — mruknął Jube i nacisnął guzik pilota. Nic się nie wydarzyło.

Po chwili z jego telewizora wylażł pies wielkości małego konia.

Był chudy i straszliwy. Ohydne, szkieletowate ciało miało barwę szarą jak dym, a ślepia były oknami prowadzącymi do trupiarni. Długi, rozwidlony ogon unosił nad grzbietem niczym skorpion, kołysząc nim z boku na bok.

Jube wzdrygnął się tak gwałtownie, że rozlał wodę na podłogę sypialni. Zaczął krzyczeć na bestię. Pies obnażył zęby przypominające żółte sztylety. Jube uświadomił sobie, że wrzeszczy w języku handlowym Sieci i przeszedł na angielski.

— Zjeżdżaj! — darł się. — A sio!

Wylażł z wanny, rozlewając jeszcze więcej wody. Nadal miał w ręce pilota. Jeśli zdoła dotrzeć do swego azylu... W sumie na co to mu się zda w starciu z bestią, która potrafi przenikać ściany? Jego ciało zrobiło się gorące od nagłego przerażenia.

Pies poszedł za nim, ale nagle się zatrzymał. Wbił spojrzenie w krocze Jube'a. Na chwilę wyraźnie zdumiał go widok podwójnego, rozwidlonego penisa oraz pełnego zestawu żeńskich genitaliów widniejącego pod spodem. Jube doszedł do wniosku, że to najlepszy moment, by spróbować ucieczki na ulicę. Zaczął się cofać ukradkiem.

— Mały grubasku — odezwała się bestia głosem przesyconym nadskakującą złośliwością. — Chcesz przede mną uciec? Sam mnie szukałeś, ty głupcze. Myślisz, że na tych grubych dzokerskich nogach zdołasz prześcignąć Setecha niszczyciela?

Jube wytrzeszczył oczy.

— Kim...

— Jestem tym, kogo tajemnice próbowałeś przeniknąć — oznajmił pies. — Mały, żaloszny dzokerze, czy wydawało ci się, że tego nie zauważymy, czy sądziłeś, że to nas nie obejdzie? Usunąłem wiedzę o nas z umysłów tych, których wynająłeś, i trafiłem po śladzie do ciebie. A teraz umrzesz.

— Dlaczego? — zapytał Jubal. Nie wątpił, że stworzenie jest w stanie go zabić, ale jeśli czekała go śmierć, pragnął przynajmniej zrozumieć jej powód.

— Dlatego, że zmarnowałeś mój czas — odparł pies. Kiedy mówił, jego pysk wykrzywił się, przybierając odrażające, nienaturalne kształty. — Myślałem, że spotkam jakiegoś wielkiego nieprzyjaciela, ale znalazłem tylko małego, tłustego dzokera, który zarabia na życie, sprzedając plotki właścicielce saloonu. Ile twoim zdaniem mogły być warte tajemnice mojego Zakonu? I kto mógłby za nie zapłacić, Morsie? Odpowiedz mi, a nie będę się z tobą bawił. Ale jeśli skłamiesz, będziesz konał aż do świtu.

Jhubben uświadomił sobie, że bestia nie ma pojęcia, z kim rozmawia. Skąd miałyby to wiedzieć? Dowiedziała się o jego istnieniu od Poczwarki, zebrała informacje na ulicy; nie zdołała przeniknąć otaczającego go muru iluzji. Nagle, z powodów, których nie potrafiłyby wyjaśnić, Jube zrozumiał, że Setech nie może poznać prawdy. Musi go jakoś odciągnąć od swoich tajemnic.

— Nie chciałem być wścibski, potężny Setechu — rzekł na głos. Udawał dzokera od trzydziestu czterech lat i umiał się płaszczyć. — Błagam o litość — mówił, przesuwając się tyłem w stronę salonu. — Nie jestem twoim wrogiem — zapewnił.

Pies podszedł bliżej. Oczy mu płonęły, a z długiego pyska zwisał wywalony ozór. Jube skoczył do salonu, zamknął za sobą drzwi i rzucił się do ucieczki.

Bestia przeniknęła przez ścianę, by odciąć mu drogę. Jube wzdrygnął się gwałtownie, stracił równowagę i zwałił się na podłogę. Pies uniósł straszliwą łapę, by zadać cios, ale zatrzymał się,

gdy Jube skulił się trwoźnie. Jego pysk się wykrzywił, pociekła z niego widmowa ślina. Jube uświadomił sobie, że bestia się śmieje. Gapiła się na coś za jego plecami i rechotała. Odwrócił głowę, ale nie zobaczył tam nic poza tachionowym nadajnikiem.

Gdy znowu spojrzął przed siebie, pies zniknął. Jego miejsce zajął wąty staruszek, siedzący na wózku inwalidzkim i przypatrujący się z uwagą Jube'owi.

— Jesteśmy starym Zakonem — stwierdził niski mężczyzna. — Nasze tajemnice przekazywano przez wiele ust. Część z nich zesła z właściwej drogi, a niektóre gałęzie zaginęły i popadły w zapomnienie. Ciesz się, że nie zginąłeś, bracie.

— Och, tak — zgodził się Jube, podnosząc się na kolana. Nie miał pojęcia, dlaczego darowano mu życie, ale nie zamierzał się o to spierać. — Dziękuję, panie. Nie będę już więcej cię niepokoił.

— Pozwolę ci żyć, byś mógł nam służyć — oznajmiła siedząca na wózku zjawa. — Nawet ktoś tak głupi i słaby jak ty może się przydać w wielkiej walce, która nas czeka. Ale nie mów nikomu, czego się dowiedziałeś, bo inaczej nie dożyjesz inicjacji.

— Już o tym zapomniałem — zapewnił Jube.

Siedzącego w fotelu mężczyznę bardzo rozbawiły te słowa. Kiedy się śmiał, czoło mu się trzęsło. Po chwili zniknął. Jube bardzo ostrożnie wstał na nogi.

Wczesnym rankiem następnego dnia dzoker o jaskrawokarmazynowej skórze kupił od niego „Daily News” i zapłacił błyszczącym czerwonym pieniążkiem wielkości półdolarówki.

— Na twoim miejscu bym go zatrzymał, kolego — poradził mu z uśmiechem. — Myślę, że ta moneta przyniesie ci szczęście.

Następnie powiedział mu, kiedy i gdzie odbędzie się najbliższe spotkanie.



Kłopoty z krewnymi

MELINDA M. SNODGRASS

Doktor Tachion zbiegł po schodach kliniki imienia Blythe van Renssaeler i zatrzymał się na chwilę, by pogłaskać po głowie jednego z przygnębionych kamiennych lwów strzegących wejścia. Zauważył, że północny towarzysz lwa nadal ma na kruszącej się głowie tupecik z brudnego śniegu. Choć był już spóźniony na obiad z senatorem Hartmannem w Wieży Asów, nie potrafił się powstrzymać przed czułym strzepnięciem śniegu. Od East River dął rześki, zimny wiatr, niosący ze sobą strzępy białych chmur oraz dźwięk klaksonów z korków na Moście Brooklyńskim.

Te niecierpliwe dźwięki przypomniały mu o upływającym czasie. Dwa ostatnie stopnie pokonał długim skokiem. I nagle zatrzymał go widok plamy różowości. *Kamizelka* — zorientował się, nim widok przesłoniła mu podetknięta stanowczo pod nos gladiola. Uniósł wzrok, a potem uniósł go jeszcze trochę i zorientował się, że ma przed sobą nieznanego. A każdy nieznanomy oznaczał lub mógł oznaczać niebezpieczeństwo. Trzy szybkie kroki do tyłu pozwoliły mu znaleźć się poza zasięgiem wszelkich zagrożeń, pomijając broń palną, bądź też jakąś ezoteryczną mocą dzikiej karty. Przyjrzał się nieufnie nieznanemu.

Mężczyzna był bardzo wysoki i chudy, a jego wzrost dodatkowo podkreślał ogromny fioletowy cylinder wciśnięty na długie pozlepiane blond włosy. Zwisający z chudych ramion płaszcz — również fioletowy — zdaniem Tachiona pięknie kontrastował z pomarańczowo-fioletową koszulą we wzór paisley oraz zielonymi spodniami. Uśmiechnięty strach na wróble ponownie podsunął mu kwiat.

— Kurczę, jestem Kapitan Trips, brachu — oznajmił, kołyszając się z radosnym uśmiechem niczym pijana latarnia morska. Zafascynowany Tachion wpatrzył się w jego jasnoniebieskie oczy pływające za grubymi szklami okularów wyglądające, jakby zrobiono je z denek butelek po coli. Tachowi nie przychodziła do głowy żadna spójna logicznie odpowiedź, zatem po prostu przyjął kwiat.

— To nie jest moje prawdziwe nazwisko, brachu — wyznał Kapitan scenicznym szeptem, który z łatwością usłyszano by w całej Carnegie Hall. — No wiesz, jestem asem, więc muszę mieć sekretną tożsamość. — Przesunął kościstą dłońią po ustach, poprawiając nieco zabrudzone wąsy oraz wąską, kosmatą bródkę. — Ojej, nie mogę w to uwierzyć. Doktor Tachion we własnej osobie. Naprawdę cię podziwiam, brachu.

Tach nigdy nie czuł się niezadowolony z komplementów. Tym razem również się ucieszył, ale zdawał sobie zarazem sprawę z upływu czasu. Wetknął kwiat do kieszeni marynarki i ruszył szybko przed siebie. Jego nowy towarzysz podążył za nim. Mężczyzna wywierał miłe wrażenie, wsparte słabą wonią żeń-szenia, drewna sandałowego oraz starego potu. Tach nie potrafił się jednak uwolnić od poczucia, że ma do czynienia z sympatycznym szaleńcem. Wsadził rękę do kieszeni granatowych spodni, zerknął z ukosa na Tripsa i doszedł do wniosku, że powinien coś powiedzieć. Z pewnością nie pozbędzie się go zbyt szybko.

— Czy miałeś jakiś szczególny powód, żeby się ze mną skontaktować?

— No więc, chyba potrzebuję rady. No wiesz, tak sobie pomyślałem, że najlepiej będzie zapytać ciebie. — Sięgnął rękami do gigantycznego zielonego krawata w żółte groszki i pociągnął za niego mocno, jakby węzeł go dławił. — W rzeczywistości nie jestem Kapitanem Tripsem.

— Tak, wiem, powiedziałeś mi o tym — odparł Tach, walcząc o zachowanie szybko znikającej cierpliwości.

— Naprawdę nazywam się Mark Meadows. Doktor Mark Meadows. Mamy ze sobą wiele wspólnego, brachu.

— Chyba żartujesz — palnął Tach i natychmiast pożałował swej nieuprzejmości.

Wychudła postać skurczyła się nagle, jakby straciła kilka centymetrów wzrostu.

— To ja, brachu, naprawdę.

Przed dziesięcioma laty Marka Meadowsa uważano za najzdolniejszego biochemika na świecie, Einsteina tej dziedziny. Gdy nagle przeszedł w stan spoczynku, podawano kilkanaście różnych wyjaśnień: stres, rozkład osobowości, rozpad małżeństwa, uzależnienie od narkotyków. Ale myśl, że młody gigant zmienił się w tę żalosną...

— No wiesz, szukam Radykała, kurczę.

Raptem wróciło wspomnienie: rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty? Zamieszki w People's Park, gdy nagle na scenie pojawił się tajemniczy as, który uratował Króla Jaszczurów, a potem zniknął bez śladu. Nigdy już go nie widziano.

— Nie ty jeden. Próbowałem go zlokalizować w latach siedemdziesiątych, ale nigdy więcej się nie pojawił.

— Ehe, to wielka szkoda — zgodził się ze smutkiem Kapitan. — Raz go miałem... To znaczy wydawało mi się, że go mam, ale nie zdołałem go przywołać, więc może się myliłem. Może to były tylko, no wiesz, pobożne życzenia, brachu.

— Twierdzisz, że jesteś Radykałem?

Na skutek niedowierzania głos Tacha przesunął się o kilka oktaw w górę.

— Nie, nie, brachu. Nie mam dowodów. Przyrządzam proszki i próbuję go odnaleźć, ale kiedy je łykam, dostają tylko tych innych ludzi.

— Innych ludzi? — powtórzył Tach nienaturalnie spokojnym tonem.

— Ehe, brachu. Moich przyjaciół.

Tachion był już pewien, że ma do czynienia ze świrem. Szkoda, że nie posłał po limuzynę. Zaczął rozglądać się za czymś, co pozwoliłoby mu pozbyć się niepożądanego towarzysza i udać się na spotkanie, zanim odbiorą mu grant albo Ideał wiedział, co jeszcze... Zauważył zaułek, jak wiedział, prowadzący do postoju taksówek. Z pewnością tam uda mu się...

Trips znowu gadał od rzeczy.

— Jesteś dla wszystkich asów kimś w rodzaju ojca, brachu. I zawsze starasz się pomagać ludziom. Ja też chciałbym im pomagać, więc pomyślałem sobie, kurczę, może mógłbyś mnie nauczyć, jak być asem, walczyć ze złem i...

Czegokolwiek jeszcze mógł pragnąć Kapitan, zagłuszył to pisk opon. Jakiś samochód wpadł do zaułka i zatrzymał się gwałtownie. Instykt przetrwania, wpajany Tachionowi od niemowlęctwa, obudził się nagle. Doktor odwrócił się błyskawicznie i zaczął uciekać z tego, co nagle stało się śmiertelną pułapką. Trips odwracał się na boki, kierując głowę to ku samochodowi, to ku uciekającemu Takizjaninowi, niczym zdziwiony bocian.

Pisk! Trzask! Kolejny samochód zagroził mu drogę ucieczki. Ujrzał wypadające z obu pojazdów sylwetki. Znajome sylwetki. Nie miał czasu zastanawiać się nad niewytłumaczalną obecnością jego krewnych na Ziemi. Jego tarcze uniosły się akurat na czas, by odbić potężny mentalny impuls. Jego moc uderzyła, tarcze ugięły się, padły i jeden z napastników runął na ziemię.

Spróbował załatwić drugiego, ale tarcze wytrzymały. *Za wielu.* Pora spróbować fizycznej ucieczki. Przecieki z ich umysłów wskazywały, że planują proste pojmanie, ale nagle ujrzał porażacz wysuwający się z pochwy na nadgarstku kuzyna Rabdana. To była wyjątkowo paskudna broń, popularna wśród skrytobójców. Wystarczyło przycisnąć ją do piersi ofiary i serce się zatrzymywało. Prosty, czysty i szybki sposób na wykonanie zadania. Odwrócił się błyskawicznie i wyprowadził kopnięcie do tyłu. Rabdan zatoczył się i wpadł na szereg poobtłukiwanych puszek na śmieci. Wszystkie runęły z trzaskiem i brzękiem, uwalniając smród gnijących śmieci oraz cztery albo pięć prychających gniewnie ulicznych kotów. Srebrzysty dysk porażacza wytoczył się z ręki Rabdana i Tachion skoczył po niego.

Kącikiem oka zauważył, że Kapitan złapał się za głowę i runął z jękiem na śliski chodnik. Tarcza Tachiona odbiła kolejny mentalny atak, ale nie mógł ni chuja poradzić na pałkę w sprawnej dłoni Sedjura, który kiedyś uczył go walki. Pod czaszką eksplodowały mu fragmenty światła i bólu. Tachion poczuł się głęboko zraniony i zdradzony. Żałował, że nie ma pistoletu.



— ...zabrałeś tego drugiego?

— Powiedziałaś, żeby nie zostawiać świadków ani ciał.

Głos urażonego, próbującego się bronić Rabdana docierał do niego jak przez rozległe pola bawełny, a ten drugi głos...

To niemożliwe. Tach zacisnął mocniej powieki, pragnąc powrotu nieprzytomności. Wszystko tylko nie obecność *Kibr*, *Benaf'saj*.

Stara kobieta westchnęła.

— W porządku, może posłużyć jako kontrola. Zabierz go do kabiny razem z pozostałymi.

Rabdan się oddalił. Jego krokom towarzyszył dźwięk ciągniętego ciała.

— Chłopak dobrze się spisał — odezwał się Sedjur, gdy Rabdan odszedł i nie mógł już go obrazić tymi słowami. — Lata spędzone tutaj uczyniły go silniejszym. Załatwił Rabdana.

— Tak, tak. Idź już. Muszę pomówić z wnukiem.

Kroki Sedjura umilkły w oddali. Tach nadal udawał nieprzytomnego. Sięgnął umysłem na zewnątrz, dotknął obecności statku (to z pewnością był okręt wojenny klasy „Łowca”) i wyczuł znajome regularności takizjańskich umysłów, a także panikę dwóch, nie, trzech ludzkich. Na koniec zaś umysł, którego dotknięcie spowodowało przypływ strachu, nienawiści oraz żalu lekko zabarwionego smutkiem. Jego kuzyn Zabb uświadomił sobie obecność delikatnej jak piórko sondy i uderzył. Niekoszona tarcza Tachiona przepuściła część ciosu. Głowa rozboleła go jeszcze bardziej.

— Wiem, że jesteś przytomny — odezwała się swobodnym tonem *Benaf'saj*.

Otworzył z westchnieniem oczy i przyjrzał się wyrazistym rysom twarzy najstarszej z jego żyjących krewnych. Opalizujący blask ścian statku otaczał aureolą jej srebrno-białe włosy, podkreślając siatkę bruzd pokrywającą twarz. Nawet niszczące działanie czasu nie zdołało jednak zatrzeć śladów nadzwyczajnej urody, która pozwoliła jej oczarować kilka pokoleń mężczyzn. Według jednej z legend mężczyzna z rodziny *Alaa* zaryzykował wszystko, by spędzić z nią jedną noc. Rodziło się pytanie, czy odnalazł szczęście warte tej ceny, bo zabiła go przed nadejściem ranka (tak przynajmniej mówiła opowieść). Sękata dłoń pociągnęła za kosmyk, który uwolnił się z wymyślnej fryzury, a wyblakłe, szare oczy przyglądały się Tachionowi ze spokojem graniczącym z obojętnością.

— Przywitasz mnie jak należy czy może lata spędzone na Ziemi stępiły ostrze twych manier?

Podniósł się z wysiłkiem, pokłonił *Benaf'saj* i opadł przed nią na jedno kolano. Jej długie, suche palce otoczyły jego twarz i przyciągnęły go bliżej, a zwiędłe wargi wycisnęły pocałunek na jego czole.

— Nie zawsze byłeś takim milczkiem. W domu twoją gadatliwość uważano za wadę. — Nie odzywał się, nie chcąc postawić się w gorszej pozycji przez zadanie pierwszego pytania. — Sedjur mówi, że wprawiliś się w walce. Czy Ziemia nauczyła cię również trzymać język za zębami?

— Rabdan próbował mnie zabić.

Te otwarte słowa nie wprawiły jej w zakłopotanie. Nie uraził jej też jego jawnie wrogi ton.

— Nie wszyscy ucieszyliby się z twojego powrotu na Takis.

— Na pokładzie jest Zabb.

— Z tego faktu sam możesz wyciągnąć wnioski.

— Rozumiem. — Odwrócił wzrok, czując na języku ohydny smak odrazy. — Nie wróćę i ludzie też nie.

Jej cienkie palce zacisnęły się na jego podbródku, zmuszając go do spojrzenia na nią.

— Ty naburmuszony chłopcze, co z twoimi obowiązkami i odpowiedzialnością wobec rodziny?

— A co z moim poszukiwaniem cnoty? — sprzeciwił się, rzucając przeciwko niej równie ważną i absolutnie przeciwstawną zasadę rządzącą takizjańskim życiem.

— Czas nie stał w miejscu, kiedy ty zabawiałeś się na Ziemi. Po twoim zniknięciu Shaklan podejrzewał, że podążyłeś za udającym się tam statkiem. Jednakże nie tylko ty jeden niepokoiłeś się o rezultaty wielkiego eksperymentu. Inni również go obserwowali, ale zamiast pognać na ziemię, by zapobiec uwolnieniu wirusa, uderzyli w jego źródło. L'gura, to zwierzę bez matki, stworzył koalicję z piętnastoma innymi rodzinami i wszyscy ruszyli do ataku. — Popatrzyła na swe dłonie i nagle wydała się bardzo stara. — Wielu poległo w walce. Myślę, że wszyscy moglibyśmy zginąć, gdyby nie Zabb. — Tach przygryzł dolną wargę, powstrzymując się przed usprawiedliwianiem swej nieobecności. — Minęło tak wiele lat, a my nadal się nie zjawialiśmy. Czy zastanawiałeś się kiedyś, co mogło się wydarzyć?

Poczuł, że w brzuchu obróciło mu się zimne ostrze.

— Ojciec? — wykrztusił.

— Został ranny w głowę. Ciało żyje, ale umysł odszedł. — Ogarnęło go odrętwienie. Reszta jej słów zdawała się dobiegać go z bardzo daleka. — Pod twoją nieobecność Zabb agitował, by oddano mu berło, ale wielu obawiało się jego ambicji. By je zablokować, twój stryj Taj został regentem, ale postanowiono, że trzeba cię odnaleźć, ponieważ nie wiadomo, jak długo jeszcze wytrzyma ciało Shaklana...

Dojmująco zimne poranki i ojciec wciskający mu w rękę papierowy rożek pełen pieczonych orzechów, podczas gdy uliczny sprzedawca kłaniał się szlachetnie urodzonym i uśmiechał do nich promiennie... Smętne kołysanie się na drzwiach, gdy Shaklan zajął się interesami i zapomniał, że obiecał dziś nauczyć synka jeździć. Koniec spotkania i szeroko rozpostarte ramiona. Wbiegł w owe objęcia, poczuł się bezpiecznie, gdy silne ręce zamknęły się wokół niego. Koronkowy krawat łaskoczący go w policzek, ciepły męski zapach przesycony wonią wody kolońskiej... Niemożliwy do opisanego ból, gdy ojciec przeszył mu górną część uda podczas jednej z lekcji psionicznej walki. Ich łzy mieszały się ze sobą, kiedy Shaklan próbował mu wyjaśnić, dlaczego to zrobił. Tisianne musiał być w stanie wytrzymać wszystko, co nie doprowadziło do

śmierci, nie tracąc panowania nad swym umysłem. Pewnego dnia może od tego zależeć jego życie... Migotliwy blask ognia pojawił się na twardych rysach jego twarzy, gdy siedzieli razem przy butelce wina i płakali, tej nocy, gdy dowiedzieli się o samobójstwie Jadlan.

Tach ukrył twarz w dłoniach i się rozplakał. Benaf'saj nie zrobiła nic, fizycznie ani mentalnie, by złagodzić jego cierpienia. Nienawidził jej za to. W końcu burza minęła. Wytarł oczy i nos chusteczką, którą dostał od jednego ze swych przodków sprzed kilku pokoleń. Spojrzał jej w oczy i wyczytał w nich... ból? Ledwie potrafił w to uwierzyć. Chwila minęła, nim zdążył się upewnić, że się nie pomylił.

— Wyruszymy w drogę, gdy tylko się upewnimy, że w okolicy nie ma pomiotu. Jesteśmy za słabo uzbrojeni, by odeprzeć atak jednego z pożeraczy, a musimy unieść zasłony, by móc rozpocząć widmowy lot. Szkoda, że udało się nam zebrać tak mało próbek — ciągnęła. — *T'zan-d'ran* prawdopodobnie zniszczy ten świat. — Potrząsnął pośpiesznie głową na znak zaprzeczenia. — Nie zgadzasz się?

— Myślę, że ludzie mogą cię zaskoczyć.

— Wątpię w to. Ale przynajmniej zebraliśmy dane. — Przeszyła go zimnym spojrzeniem szarych oczu. — Oczywiście, będziesz mógł swobodnie poruszać się po statku, ale proszę, nie zbliżaj się do ludzi. To tylko ich podekscytuje i utrudni im przystosowanie się do nowego życia.

Wysłała telepatyczne wezwanie i do pomieszczenia weszła szczupła kobieta. Tach uświadomił sobie z zaskoczeniem, że gdy widział ją po raz ostatni, była pulpetowatą pięciolatką opiekującą się całą rodziną pięknych lalek. Kazała mu obiecać, że się z nią ożeni, gdy już będzie dorosła, by mogli mieć ładne dzieci. Nigdy nie będzie mogła wyjść za mąż. Sam fakt, że przebywała na statku, zamiast siedzieć bezpiecznie zamknięta w pokojach dla kobiet, świadczył, że jest *bitshuf'di*, jedną z tych, których pozbawiono płodności, ponieważ byli nosicielami niebezpiecznych recesywnych genów, bądź też uznano, że ich wartość genetyczna jest niewystarczająca, by pozwolić im się rozmnażać.

Przesunęła po nim spojrzeniem (ze smutkiem? Uczucie zniknęło zbyt szybko, by mógł je odczytać), a potem się pokłoniła.

— Panie, jeśli zechcesz mi towarzyszyć.

Pożegnał pokłonem Benaf'saj i podążył za Talli, zastanawiając się, jak przerwać milczenie między nimi. Doszedł do wniosku, że niezobowiązujące pogawędki byłyby nie na miejscu. *Pewnie, że dorosła! Minęły dziesięciolecia!*

— Nie powiesz mi ani słowa na przywitanie, Talli?

Korytarz zakrzywił się przed nimi, lśniący niczym polerowana macica perłowa. Schodzili coraz głębiej po spirali, zmierzając ku sercu statku.

— Ty nic mi nie powiedziałeś na pożegnanie.

— To było coś, co musiałem zrobić.

— Życiem innych również kieruje podobny imperatyw.

Rozejrzała się nerwowo i przeszła na bliski, intymny kontakt telepatyczny. *Zabb pragnie twojej śmierci. Nie jedz ani nie pij nic, czego ci nie przyniosę, i strzeż własnych pleców.* Wcisnęła mu w rękę mały, ostry sztylet. Schował go pośpiesznie do rękawa.

Podejrzewałem to. Ale dziękuję za ostrzeżenie i za broń.

Zabije mnie, jeśli czegoś się domyśli.

Ode mnie niczego się nie dowie. Zawsze byłem od niego lepszy w mentatyce.

Jej mina wyrażała jednak niedowierzenie. Uświadomił sobie z zawstydzieniem, jak bardzo zaniedbał swe tarcze. Wzmocnił je i skinęła głową z ulgą.

Tak lepiej.

Nie, jest fatalnie. To bardzo niedobra sytuacja. Spojrzał na nią poważnie. *Nie mam zamiaru wracać na Takis.*

Dotarł do drzwi kabiny i okręt uprzejmie otworzył je przed nim.

Położyła dłonie na jego ramionach, popychając go do środka. *Musisz. Potrzebujemy cię.*

Gdy drzwi się zamknęły, doszedł do wniosku, że może jednak nie powinien jej uważać za sojuszniczkę.



To był jeden z najgorszych dni w życiu Toma Tudbury’ego. Najgorszy był ósmy marca, kiedy Barbara wyszła za Steve’a Brudera, ale ten zajmował drugie miejsce z niewielką stratą. Gdy zmierzał do kliniki Tachiona z niezwykle urządzeniem, które zabrał ulicznemu chuliganowi, dziwny statek przypominający muszlę schodówki opadł z chmur, wylądował obok niego i zaprosił go na pokład. Być może „zaprosił” nie było odpowiednim określeniem. Lepiej byłoby powiedzieć „zmusił do wejścia”. To było tak, jakby w jego umysł wbiły się lodowate szpony, a on wpłynął spokojnie do środka przez otwarte drzwi ładowni. Nie pamiętał nic więcej aż do chwili, gdy ocknął się, stojąc w gigantycznym pomieszczeniu. Skorupa przycupnęła za jego plecami.

Kilku szczupłych mężczyzn w złoto-białych mundurach jak z opery komicznej podeszło do Toma i przeszukało go. Kolejny wszedł do skorupy i po chwili wrócił z niezwykle czarną kulą oraz w połowie wypitym sześciopakiem. Potrząsnął puszkami, aż zastukały głucho o siebie. Rozległ się śmiech. Potem poddano oględzinom urządzenie, przy akompaniamencie melodyjnych słów, przerywanych od czasu do czasu niewytłumaczalnymi chwilami milczenia. W końcu jeden z mężczyzn wrzucił ramionami i położył urządzenie na półce biegnącej wzdłuż jednej z łukowatych ścian. Drugi skinął dwornie na Toma, wskazując na drzwi. Uprzejmość tego gestu ukoila jego najgorsze obawy. Najwyraźniej nie wpadł w ręce Roju. Kurtuazja i potwory nie pasowały do siebie.

Weszli do długiego, krętego korytarza o ścianach, podłodze i suficie lśniących jak polerowana

muszła słuchotki. Gdy szli naprzód, sufit jaśniał przed nimi, a potem ciemniał za ich plecami. Na jednej ze ścian widniała siateczka różowych linii przywodzących na myśl płatki kwiatu. Ta sekcja otworzyła się nagle niczym przesłona i Toma wprowadzono do luksusowej kabiny.

Przywitała go eksplozja nerwowego kobiecego śmiechu. Wytrzeszczył oczy na widok pięknej kobiety leżącej pośrodku wielkiego, okrągłego łóżka.

— No cóż, nie wyglądasz zbyt imponująco — stwierdziła, omiatając go spojrzeniem. Wciągnął brzuch, żałując, że jego T-shirt nie jest czystszy. — Jestem Asta Lenser. A kim ty jesteś, do licha? — Bał się, ale strach czynił go ostrożnym. Potrząsnął głową. — Popierdoliło cię? Tkwimy w tym razem.

— Jestem asem. Muszę zachować ostrożność.

— Kurwa, i co z tego? Ja też jestem aską.

— Naprawdę?

— Ehe. Tańczę taniec siedmiu zasłon. Jestem lepszą Salome niż sama Salome. — Miał zdziwioną minę. — Nie chodzisz na balet?

— Nie.

— Kretyn.

Sięgnęła po wielką, bezkształtną torbę i wyjęła z niej paczuszkę białego proszku, lusterko oraz słomkę. Dłonie drżały jej tak bardzo, że musiała próbować pięć razy, nim zdołała usypać kreskę jak należy. Wciągnęła kokainę i położyła się z westchnieniem ulgi.

— Na czym to stanęliśmy? Aha, moja moc. Hipnotyzuję ludzi swym tańcem. Zwłaszcza mężczyzn. To naprawdę kiepska umiejętność, jeśli kogoś porwą obcy. Ale Jegomości z pewnością się podobała. Ta moja kiepska moc zdobyła dla niego masę cennych informacji i nie pozwoliła mu opaść.

Wsadziła rękę między nogi i wykonała obsceniczny gest.

Tom nie miał pojęcia, kogo i co miała na myśli. Szczerze mówiąc, nie chciało mu się nad tym zastanawiać. Powłókł się na drugi koniec kabiny i osunął na niską ławę, sprawiającą wrażenie wyrosłego ciała samego statku. Gdy usiadł na grubej, wyszywanej poduszce, rozległ się trzask pękających liści albo suszonych kwiatowych płatków i w powietrzu uniósł się intensywny korzenny aromat.

Nie był pewien, jak długo tam siedział, rozmyślając smętnie o swojej sytuacji.

Takizjanie! Jezu Chryste! Co z nimi zrobią? Tach? Czy mógł im pomóc? Czy w ogóle o tym wiedział? Niech to szlag!

— Hej — zawołała Asta. — Przepraszam. Posłuchaj, skoro oboje jesteśmy asami, powinniśmy być w stanie zrobić coś, żeby się wydostać z tej kabały.

Tom tylko potrząsnął głową. Jak miał jej powiedzieć, że zostawił swe moce w skorupie?



Trzask zapalanej zapalki wydawał się bardzo głośny w cichym pomieszczeniu. Tach z niepotrzebną uwagą przyglądał się budzącej się do życia świecy. Jej światło wymazało kolory ze ściany statku i przegnało delikatną woń kwiatów. Wyciągnął z kieszeni ćwierćdolarówkę i położył ją na ołtarzu. Zupełnie nie pasowała do złotych takizjańskich monet. Wziął w rękę sztylecik o perłowej rękojeści, wyszeptał szybką modlitwę o uwolnienie ducha swego ojca i zaciął się lekko w poduszkę palca wskazującego. Krew wypłynęła powoli i dotknął czerwoną kropelką monety. Potem usiadł ze skrzyżowanymi nogami przed rodzinnym ołtarzem, ssąc skaleczony palec i podrzucając jedną ręką maleńki, pięciocentymetrowy nożyk.

— To raczej kiepska broń.

Zabb opierał się o drzwi, krzyżując ramiona na piersi. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupłe, muskularne ciało, głęboką klatkę piersiową i szerokie bary. Wyglądał jak długodystansowy pływak albo mistrz sztuki walki. Faliste włosy barwy połacanego srebra muskały kołnierz jego złoto-białej bluzy. Zaczesał je do tyłu, odsłaniając wysokie, białe czoło. Zimne szare oczy wzmacniały jeszcze wrażenie, że zrobiono go z metalu i kryształu. Nie było w nim ani krzty ciepła. Miał jednak moc, zdolności przywódcze oraz przytłaczającą charyzmę.

— Nie o tym myślałem.

— A powinieneś.

W tej chwili było coś — pozycja ramion Zabba, czy może przechylona pobłażliwie głowa — co przypomniało Tachowi dawniejsze czasy, zanim rodzinne intrygi wszystko zepsuły, zanim zaczął rozumieć szeptę łączące matkę Zabba ze śmiercią jego matki. To były czasy, gdy Tach podziwiał fascynującego starszego kuzyna.

— Wspominałem, jak dałeś mi pierwszego szczeniaka, z tego miotu starej Tu'shuli

— Nie rób tego, Tis. To już umarło.

— Tak samo jak ja wkrótce umrę?

Ich spojrzenia się napotkały. Tach pierwszy odwrócił wzrok.

— Tak. — Zabb jedną wypielęgnowaną dłońią nerwowo szarpał bujne wąsy oraz bokobrody.

— Zamierzam cię zabić, nim wrócimy na Takis — rzucił od niechcienia.

— Nie pragnę rodziny. Chcę zostać na Ziemi.

— To nie ma znaczenia. Dopóki żyjesz, nie może należeć do mnie.

— A co z ludźmi?

— To tylko zwierzęta laboratoryjne. Przydatne, jeśli zamierzamy przejść do drugiego etapu.

Odwrócił się ku wyjściu.

— Zabb, co się stało?

Jego kuzyn zgarbił się na moment, ale szybko wrócił do wyprostowanej żołnierskiej postawy.

— Dożyłeś wieku dojrzałego.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym szmerem.



Tom i Asta poderwali się nagle, gdy do kabiny weszło dwóch mężczyzn, ciągnących między sobą bezwładną, patykowatą postać w fioletowym stroju Wuja Sama. Młodszy mężczyzna opadł na jedno kolano, pośpiesznie przeszukał kieszenie obszernego płaszcza hipisa i wydobył z jednej z nich małą fiolkę z niebieskim proszkiem usianym plamkami srebra. Starszy przyjął fiolkę, otworzył ją i powąchał z zaciekawieniem zawartość. Uniósł jedną brew.

— To on towarzyszył Tisianne’owi? — zapytał po angielsku.

— Tak, Rabdanie.

— I sprawiali wrażenie przyjaciół? — dodał, kierując na Toma spojrzenie jasnych oczu.

— T... tak.

— To jest jakiś narkotyk. A nadmiar narkotyku miewa fatalne skutki. Mam nadzieję, że mój drogi kuzyn potrafi leczyć efekty przedawkowania. W przeciwnym razie jego przyjaciel może umrzeć.

Znowu zerknął na Toma, potajemnie jak kot.

Jego towarzysz pośpiesznie uniósł palce do ust.

— Czy nie powinniśmy zapytać Zabba? — zapytał potem z wahaniem.

— Bzdura. Nie będzie go obchodził los ludzkiego przyjaciela Tisianne’a.

Kłęcząc, wlał zawartość fiolki między bezwładne wargi hipisa. Tom zaczął się podnosić, chcąc zaprotestować, ale spojrzenie Rabdana kazało mu z powrotem usiąść. Wszyscy skupili spojrzenia na leżącym na podłodze chudzielcu — Asta z podnieceniem, wysuwając z ust czubek języka; Tom z przerażeniem; młody Takizjanin z niepokojem; Rabdan zaś z jowialną wesołością.

Hipis zaczął się wić, a następnie zmieniać kształt. Wszyscy rozdziawili usta ze zdumienia, gdy z podłogi wstała majestatyczna postać lśniąca błękitnym blaskiem. Widoczne pod kapturem czarnego jak głęboka próżnia płaszcza oczy były szczelinami białego ognia, podszycie stroju było zaś usiane lśniącymi gwiazdami, mgławicami oraz spiralami galaktyk. Takizjanie skoczyli do ataku, ale zdołali pochwycić tylko powietrze. Tajemnicza istota zapadła się w podłogę, szybko i bez przeszkód.



Tachion wrócił do kabiny i położył się w łóżku na brzuchu, wspierając podbródek na dłoniach. Próbował zdecydować, co teraz zrobić. Krótka rozmowa z Zabbem wskazywała, że niebezpieczeństwo grozi nie tylko jemu, lecz również ludziom. Nie ulegało wątpliwości, że bez względu na słowa Benaf’saj mają posłużyć jako eksperymentalne świnki morskie.

Nie potrzebował wiele czasu, by zidentyfikować okręt jako Złośnicę, ulubioną jednostkę jego kuzyna. Zabb szczerze ją kochał. Oznaczało to, że próby przejęcia kontroli nad statkiem będą daremne. Nie miał szans zapanować nad Złośnicą. Po dziś dzień pamiętał, jak hodowcy oznajmili, że lepiej byłoby odrzucić nowy statek jego kuzyna i zacząć od nowa. Złośnica była

dzika i arogancka, nie sposób jej było niczego nauczyć. To wystarczyło Zabbowi. Nawet wśród innych rodzin, zawsze niechętnie udzielających pochwał, słynął jako najlepszy treser statków na planecie. Nie był w stanie oprzeć się wyzwaniu. Dziewięcioletni Tisianne był przy tym obecny. Towarzyszył ojcu na orbitalnej stacji treningowej. Zabb wszedł na pokład, zwolniono potężne chwytacze i Złościca umknęła gdzieś w stronę jądra Galaktyki. Wszyscy się spodziewali, że już nigdy nie zobaczą Zabba, ale po dwóch tygodniach statek i mężczyzna przywlekli się z powrotem do domu. Nic nie mogłoby być bardziej potulne od Złościcy, gdy dowodził nią ten, kto ją poskromił. Była statkiem uznającym tylko jednego kapitana.

Tak samo jest z Maleńką i ze mną, pomyślał Tach.

Rzecz w tym, że nad Złościcą nie można było zapanować samą tylko mocą psioniczną. Niemniej była okrętem wojennym i w związku z tym w jej kadłub wmontowano konsole sterownicze, na wypadek gdyby została ciężko ranna. To pozwoliłoby załodze odprowadzić ją do domu, ale gdyby Tach spróbował przejąć nad nią kontrolę przez jedną z tych konsoli, po prostu zlekceważyłaby jego rozkazy i natychmiast zaalarmowała Zabba. A choć Tach poradziłby sobie z kuzynem w mentalnej konfrontacji jeden na jednego, na pokładzie było też dziewiętnastoro innych Takizjan.

Co więc miał zrobić? Misją najwyraźniej dowodziła Benaf'saj. Gdyby rozkazała dostarczyć Tachiona i więźniów z powrotem na Ziemię... Stoczył się z łóżka i poszedł na poszukiwania swej *Kibr*.

Stała na mostku, łypiąc spode łba na Andamiego, podczas gdy Sedjur spoglądał z zasepioną miną na odczyt, uprzejmie wyświetlony na podłodze przez Złościcę. Młodszy mężczyzna wiercił się nerwowo.

— Czy raczyłbyś nam wytłumaczyć, dlaczego podałeś więźniowi nieznaną substancję?

— To był Rabdan — burknął Andami.

— Zatem obaj jesteście półgłówkami. On dlatego, że to zrobił, a ty, bo mu na to pozwoliłeś. Po statku krąży teraz obce stworzenie, którego możliwości nie znamy.

— Znowu się porusza — wtrącił Sedjur. — Jest na piątym poziomie. Nie, wrócił na drugi. Teraz jest w twojej kabinie.

Benaf'saj wykrzywiła usta w grymasie dezaprobaty.

— Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się przejmują. Złościca zawsze może go zlokalizować.

— Dlatego, że on przenika przez ściany i podłogi. Kiedy dotrzemy na miejsce, będzie już gdzie indziej — wyjaśniła stara kobieta cierpliwie, jakby przemawiała do niedorozwiniętego dziecka.

Tach podszedł bliżej, starając się nie przyciągać uwagi trzech osób stojących przy głównym otworze wejściowym. Złapał za oparcie fotela antyprzeciążeniowego i wysłał cieniutką nitkę.

Posiadał dar przekradania się przez tarcze, ale Benaf'saj miała z górą dwa tysiące lat na udoskonalenie swoich. Zaschło mu w ustach i czuł tętno pulsujące mu w gardle, gdy przeniknął przez pierwszą barierę.

Drugi poziom. Tu będzie trudniej. Pułapki zastawione na nieostrożnych, by uwięzić intruzów w zamkniętych pętlach mentalnych. Dopóki Benaf'saj nie raczy ich uwolnić.

Zadrapał jedną z tarcz i szybko utkał osłonę maskującą jego błąd. Siedziała niczym tańczący płatek śniegu pośrodku umysłu jego Kibr, wygładzając ostrą krawędź, którą po sobie pozostawił. Drugi poziom z głowy. *Ile ich jeszcze ma ta stara diablica?*

*Brrrrrang*****!* Nawet nie zauważył nadchodzącego ciosu. Poruszył jakiś alarm i gorejąca bielą płachta uniosła się niczym fala ognia, by zaraz na niego opaść. Czuł się tak, jakby wszystkie synapsy w jego mózgu wystrzeliły jednocześnie. Jego umysł grzechotał w czasce jak gnijący orzech wewnątrz skorupy. Czuł, że ślizga się do tyłu, siedząc na perłowej podłodze Złościcy. Jego palce rozpaczliwie szukały punktu zaczepienia. Walnął w ścianę tak mocno, że powietrze umknęło mu z płuc.

Benaf'saj spoglądała na niego z rozbawieniem i irytacją na twarzy. Czuł krew napływającą mu do szczupłych policzków.

— Miałem tarcze uniesione! — oznajmił irracjonalnie. Głos przepajał mu pulsujący ból. Czuł, że potraktowano go podle.

— Chciałeś zapanować nade mną, głupiutki chłopcze? Zresztą, nie potrafisz wznieść tarczy, której nie mogłabym przebić. Zmieniałam ci pieluszki, gdy byłeś jeszcze rozwrzeszczanym bachorem! Nie ma nic, czego bym o tobie nie wiedziała! — Odwróciła się, każdą cząstką wątłego ciała wyrażając lekceważenie. Poczucie upokorzenia ścisnęło mu gardło. — Zabierz go — warknęła, spoglądając przez ramię na Sedjura. — I tym razem zamknij go w kabinie.

Ten ostatni rozkaz był skierowany do statku.

Sedjur z kamienną twarzą wyciągnął rękę i zaprowadził go z powrotem do kabiny. Tach szedł szybko, ze zwieszoną głową i pochylonymi barkami. Czuł się jak pięciolatek. Starszy mężczyzna zamknął za sobą drzwi i Tach pociągnął kilka zdrowych łyków ze srebrnej manierki. Brandy pomogła mu uspokoić stargane nerwy, ale nawet w najmniejszym stopniu nie wzmocniła procesów mentalnych. Spacerował w kółko po luksusowo urządzonej kabinie, próbując ułożyć jakiś plan, i wpadał w panikę, gdy nie nasuwał mu się żaden pomysł. Zastanawiał się, co wyrwało się na wolność na pokładzie statku.

Postanowił, że musi ustalić, których ludzi tu uwięziono. Dotknął znajomego kobiecego umysłu. Asta Lenser, primabalerina Amerykańskiego Teatru Baletowego. Myślała o mężczyźnie. Mężczyźnie, który miał poważne trudności. Gdy jego masywne, śliskie od potu ciało poruszało się rytmicznie na niej, szukając spełnienia, myślała o tym, cóż to za ironia, że mężczyzna dysponujący tak potężną mocą nie potrafi sprawić, żeby mu stanął. *Człowiek budzący największy*

lęk w całym...

Zawstydzony swym wścibstwem Tach wycofał się, czując się jak podglądacz. Ruszył na dalsze poszukiwania. Nie wyczuwał nic, co przypominałoby sympatycznego szaleńca, który zaczepił go pod kliniką. Miał nadzieję, że jego kuzyni nie pozbyli się Tripsa jako bezużytecznego. Nagle natrafił na coś dziwnego. Umysł osłonięty tak szczelnie, że był niemal nieprzezroczysty. Nie miałby szans go wykryć, gdyby nie nagły rozbłysk przerażenia, który jednak szybko stłumiono, i nie zdołał namierzyć źródła. Być może to właśnie był intruz. Szukał dalej, aż wreszcie znalazł...

— Żółw! — zawołał, podrywając się nagle z zaskoczenia i niepokoju.

Wzmocnił swoją sondę, zawężając ją do wybranego obszaru. Stworzył półcień, by wywołać iluzję, że śpi, na użytek ewentualnych mentalnych podsłuchiowaczy, a potem nawiązał kontakt. Było to trudniejsze, niż się spodziewał. Pierwsze, krótkie dotknięcie pokazało mu Żółwia, jakiego dotąd nie znał. Nie chciał wytrącać go z równowagi, pojawiając się nagle w jego głowie. Zaczął szukać sposobów, które pozwoliłyby mu stopniowo uświadomić tamtemu swoją obecność. Z każdą chwilą ogarniała go jednak coraz większa depresja. Mroczne, intensywne emocje kłębiły się w umyśle Żółwia niczym posępne, lepkie fale: strach, gniew, żal, samotność, a także przytłaczające poczucie beznadziejności i daremności.

Czując się jak intruz i nie chcąc, żeby Żółw pomyślał, że wścibia nos w jego prywatne sprawy, które nie powinny go obchodzić, podłączył się do prymitywnych tarcz tamtego, aż wreszcie iskierka zaskoczenia i ostrożnego zainteresowania powiedziała mu, że przyciągnął uwagę ludzkiego więźnia.

Żółwiu.

Tacky, to ty?

Tak. Wyczuł nieufność i podejrzliwość. Zabolęło go to i ponownie zadał sobie pytanie, co się stało z jego najstarszym przyjacielem na Ziemi. *Jestem tu więźniem, tak samo jak ty.*

Aha. Czy to jedna z tych innych rodzin, o których opowiadałeś?

Nie. To moja rodzina. Przylecieli tu, by sprawdzić wyniki eksperymentu oraz odnaleźć mnie. Niedowierzenie Żółwia było jak ostry nóż. *Jak mogę cię przekonać, że nie brałem w tym udziału?*

Niewykluczone, że nie możesz.

Przyjacielu, kiedyś nie byłeś taki.

Tak. W tej myśli pobrzmiwały echa goryczy. *Nie skończyłem też czterdziestki, nie byłem samotny i miałem na co czekać oprócz śmierci.*

Żółwiu, o co chodzi? Co się stało? Chciałbym ci pomóc.

Tak samo, jak ty i twoi pobratymcy pomogliście nam, przynosząc na Ziemię wirusa? Dziękuję, nie skorzystam.

Wróciły zastarzały ból i poczucie winy, najsilniejsze od wielu lat. Lat, podczas których zbudował klinikę, zamienił niesławę na sławę i wiele jego „dzieci” go pokochało. Lat, które złagodziły ostrze wyrzutów sumienia. Otworzyli się szeroko przed sobą i Tach pomyślał, że wyczuwa w Żółwiu przewrotną satysfakcję spowodowaną dręczącym go bólem.

Jak im się udało cię pojmać?

To nie było zbyt trudne. Z pewnością zapanowali nad moim umysłem, bo po prostu do nich poleciałem.

Dokąd właściwie się wybierałeś? — zapytał poirytowany Tach, irracjonalnie próbując zrzucić winę na przyja ciela.

Chciałem ci przynieść pieprzoną kulę do kręgli. Myślałem, że może będziesz miał ochotę zagrać. Kurwa, dokąd mogłem się wybierać?

Nie wiem. Dlatego właśnie pytam — warknął Tach mentalnym tonem równie opryskliwym jak ton Żółwia.

To była kurewsko dziwna kula do kręgli. Zabrałem ją bandzie chłopaków z ulicy.

I gdzie ona jest teraz?

Wynieśli ją ze skorupy i położyli na półce w pokoju.

W którym pokoju? Pokaż mi.

Irytacja Żółwia była jak kwas parzący umysł. Spełnił jednak jego prośbę. Tach właściwie nie wiedział, dlaczego tak go zainteresowało to urządzenie. Pewnie chciał na chwilę zapomnieć o swej obecnej sytuacji.

Zastanawiam się nad szansami ucieczki — podjął po długiej chwili. *Twoja TK na spółkę z moimi zdolnościami panowania nad umysłem oraz sztyletem, który dała mi moja cioteczna prawnuczka, Talli, powinna nam to umożliwić. Cieszę się, że nie próbowałeś się uwolnić przedtem.*

Nie... nie mogę.

Słucham?

Powiedziałem, że nie mogę.

Nagle wróciła przeszłość, i to on, nie Żółw, mówił te słowa. Stał na stopniach mauzoleum Śmiga, drząc i płacząc, i mówił, że chce pomóc, ale po prostu nie potrafi. Żółw go wtedy uderzył. TK asa strąciła go ze schodów niczym wielką, niewidzialną pięść. Ale on nie chciał uderzyć Żółwia. Chciał tylko zrozumieć.

Dlaczego, Żółwiu? Dlaczego nie możesz?

Nie mam skorupy. Wielki i Potężny Żółw zrobiłby z tych zasrańców siekaną wątróbkę, ale nie ja. Ja jestem tylko starym, zwyczajnym Tomem...

Tachion szarpnął się nagle do tyłu, ale i tak wyraźnie usłyszał resztę jego myśli.

Tomem Tudburym.

Na szczęście to nazwisko nic dla niego nie znaczyło. Można było spokojnie uznać, że tajemnica tożsamości Żółwia pozostaje nienaruszona.

W porządku — uspokoił go. Zapewne i tak by się nie udało. Plan wymagałby, żebyśmy załatwiali ich jednego po drugim, a gdy tylko rozerwałbyś drzwi, Złościca natychmiast wezwałaby Zabba i wszyscy rzuciliby się na nas jednocześnie. A nawet gdyby się udało, wrócilibyśmy do początkowego dylematu. Jak sobie poradzić ze Złościcą.

Z kim?

Ze statkiem. To rozumna istota.

W takim razie pewnie czuje się trochę zdziwiona, bo krąży tu jakiś facet, który przechodzi przez ściany.

Widziałeś go? Co...

— TO TY! — zagrział czyjś głos, wypełniający te słowa pulsującym gniewem tak silnym, jak to tylko możliwe.

Tach otworzył raptownie oczy. Skupienie potrzebne do podtrzymywania prywatnego łącza telepatycznego opuściło go całkowicie. Pośrodku jego kabiny stała lśniąca niesamowitym błękitnym blaskiem postać. Szybko stoczył się z łóżka, sztylet z jego rękawa zsunął się do dłoni. Tachion przykucnął w pozycji bojowej, kreśląc sztyletem i pustą dłonią zawile wzory mające wprowadzić w błąd przeciwnika. Zza bariery mentalnych tarcz wysunął telepatyczną sondę, która natknęła się na potężną blokadę.

— Och, schowaj to, ty okropny człowieczku! Mnie nie zdołasz skrzywdzić.

— Nie o to mi chodziło. Bardziej martwię się tym, co ty możesz zrobić mnie.

Istota się wyprostowała, jej niezwykle oczy lśniły jak zimne ognie w pozbawionej rysów twarzy.

— Wszystko to twoja wina. Próbowałem sprowadzić tego naćpanego hipisa z jego absurdalnego kursu, ale on był nieustępliwy, totalnie nieustępliwy! Ojciec asów, też coś. Ma w pełni zadowolającego ojca, który nigdy nie zachęcałby go do tego typu młodzieńczej nieodpowiedzialności. Świat świetnie by sobie poradził bez twojej ingerencji. Nie dosyć, że poddałeś nas działaniu dziwacznym i nienaturalnych obcych substancji, musiałeś jeszcze ściągnąć nam na głowy swoją rodzinę. Całe plemię! Nasza jedyna nadzieja w tym, że okażą się równie nieudolni i gnuśni jak ty. Najpierw straciłeś wirusa, potem dopuściłeś do jego uwolnienia, pomogłeś nękać i dręczyć swych przyjaciół oraz kochanki, zamykać ich w więzieniach, zakładach dla obłąkanych i...

— CISZA! — ryknął Tachion. *Och, Blythe* — zapłakał i ta myśl podziałała jak woda lana na ogień, ugasila płonący w nim gniew, pozostawiając tylko zimne wilgotne błoto oraz popioły.

Niemniej jego wybuch wyraźnie wpłynął na gościa. Mężczyzna zacisnął mocno usta i oddychał płytko przez zwężone nozdrza. Potem z niewzruszoną godnością zaczął się zapadać

w podłogę. Tachion wytrzeszczał przez chwilę oczy. Nieznajomy mógł się okazać użyteczny, a on przegnał go jak głupiec. A przecież chełpił się swoją przenikliwością, umiejętnością rozumienia ludzi i wpływania na nich. Nadeszła chwila, by sprawdzić, czy naprawdę posiada tę umiejętność.

Podbiegł do intruza.

— Nie rób tego. Błagam, mój dobry panie. Pozwól, bym cię przeprosił za swe chamstwo i brak manier. — Zjawa się zatrzymała. Nad podłogę wystawała tylko jej głowa i górna część tułowia. — Nie miałem zaszczytu ci się przedstawić. Jestem doktor Tachion.

— Kosmiczny Wędrowiec.

— Wybacz mi, proszę. Przeżyłem... przeżyłem dziś wielki stres. Byłem nieuważny, gdy się zjawiłeś, w przeciwnym razie od początku dostrzegłbym twą wielką moc.

Wędrowiec uśmiechnął się głupkowato. Potem jego twarz przybrała wyraz olimpijskiego spokoju i mądrości. Tachion uświadomił sobie, że nie musi się trudzić subtelną. W tym przypadku nawet najbardziej bezwstydne pochlebstwa spełnią swoje zadanie.

— Czy zechcesz zostać jeszcze chwilę? Mój umysł ogarnął zamęt i jestem pewien, że nawet krótka rozmowa z tobą bardzo mi pomoże.

Wędrowiec łaskawie wypłynął z podłogi i usiadł na krześle. W tej samej chwili zarysy jego ciała stały się wyraźniejsze i lepiej zdefiniowane.

A więc może się zmaterializować, pomyślał Tachion.

— Widziałeś pozostałych więźniów?

— Tak. Kiedy tego żalostnego kretyna Tripsa zaprowadzono do kabiny, zauważyłem niskiego, pękatego mężczyznę w niebieskich dżinsach i T-shircie oraz nadzwyczaj piękną młodą kobietę.

Z jego wąskich ust wyłonił się czubek języka. Zwilżył górną wargę i zniknął.

— Gdzie byłeś?

— Byłem... obecny — odparł tamten niejasno. — Na szczęście udało mi się wyrwać na wolność. Drzę na myśl o tym, co by się stało, gdyby zamiast mnie pojawił się kolejny z tych nieudolnych głupców. Mój los nic ich nie obchodzi.

Łypnął ze złością na Tachiona, najwyraźniej mając na myśli również i jego.

Tach nie miał pojęcia, o co chodzi w tej całej gadaninie o innych osobach i zaćpanych hipisach. Może mówił o Meadowsie? W tej jednak chwili niezwykle talenty Kosmicznego Wędrowca obchodziły go znacznie bardziej niż metafizyczne problemy, jakie prezentował.

— Wędrowcze, myślę, że z twoją pomocą moglibyśmy uciec i wrócić na Ziemię.

— Tak?

W tym słowie zabrzmiała nuta podejrzliwości.

— Wróć do kabiny, w której przetrzymują Żółwia, Kapitana oraz kobietę...

— Kapitana już tam nie ma.

— He?

— Jestem tutaj.

— Hmm... tak. No cóż, skoro tak mówisz. Tak czy inaczej, wróć do kabiny i powiedz im, żeby byli gotowi. Potem odciągnij Zabba i jego zbirów na drugi koniec statku. — Tachion przechylił głowę na bok, przyglądając się swemu niezwykłemu sojusznikowi. — Zaoszczędzilibyśmy na czasie, gdybyś nie musiał tu wracać, żeby złożyć meldunek. Czy zechciałbyś opuścić blokadę, żebym mógł utrzymywać z tobą kontakt telepatyczny?

— Nie! Miałbym wpuścić do głowy jakiegoś obcego podglądacza? To nie wchodzi w grę. Tachion przeszył go pełnym irytacji spojrzeniem.

— Nieszczególnie mnie obchodzi to, co masz w głowie. Chodzi mi raczej o...

Drzwi otworzyły się niczym przesłona. Wędrowiec zniknął, przenikając z wdziękiem przez krzesło, nadal w pozycji siedzącej. Do kabiny wpadł Zabb z pięcioma swoimi żołnierzami.

Tach zamknął usta. Na jego twarzy pojawiła się mina niewinnego zainteresowania.

— Gdzie on jest? — warknął Zabb.

— Poszedł w tamtą stronę — odparł Tach, wskazując palcem podłogę.



Robiło się coraz dziwniej. Najpierw zniknął hipis, po nim świecąca błękitnym blaskiem zjawą. Takizjanie ruszyli za nią w gorączkowy, choć raczej zdezorganizowany pościg, po czym skontaktował się z nim Tachion, a teraz doktor przerwał nagle rozmowę w pół słowa. Tom próbował ponownie nawiązać kontakt z przyjacielem, posunął się nawet do tego, że kilkakrotnie wyszeptał pod nosem „Tach?”. Uniósł wzrok, napotkał podejrzliwe spojrzenie Asty i z zakłopotaniem przesunął dłonią po włosach.

— Pró... próbowałem nawiązać kontakt z Tachem.

— Jasne.

Fakt, że najwyraźniej uważała go za świra, nawet w najmniejszym stopniu nie poprawiał jego i tak już kiepskiego nastroju.

Gdyby to Żółw tu był, nie patrzyłaby tak na niego, pomyślał, rozdarty między pretensjami a znużeniem. Weszłaby na jego skorupę w poszukiwaniu bezpieczeństwa, a on wypadłby z kabiny, rozrzucając Takizjan jak kręgle, uratowałby Tacha i triumfalnie wróciłby z obojgiem do domu. Czy raczej zmusiłby Takizjan, żeby ich tam dostarczyli. W skorupie nie było miejsca dla pasażerów. Nie miał też pewności, czy jest szczelnie zamknięta. Wyszedłby na kompletnego głąba, gdyby wszyscy zginęli z braku powietrza...

Walnął się pięścią w udo, przerywając kuszące, lecz bezużyteczne myśli. Nie był Żółwiem. Był tylko Tomem Tudburym, chłopakiem z New Jersey, który w ciągu trzydziestu lat zdołał się przeprowadzić na odległość dwóch przecznic od rodzinnego domu. Zamknął oczy i wpatrzył się w mroczne, widmowe statki płynące Kill van Kull. Ich światła odbijały się w ciemnych,

niewidocznych wodach. Uświadomił sobie, że w końcu wyruszył w podróż, choć nie dobrowolnie.

Asta pisnęła nagle. Uniósł głowę. Zjawa wróciła.

— Jestem Kosmiczny Wędrowiec — oznajmiła istota i umilkła, jakby czekała na fanfarę. Asta i Tom przyglądali się gościowi z fascynacją. — Tamten śmieszny, mały człowieczek wysłał mnie tu, abym sprawdził, gdzie są nasi strażnicy, a także przekazał wam, że pracuje nad jakimś planem ucieczki, z pewnością absolutnie nierealnym i wysoce niebezpiecznym.

Asta przesunęła się ku niemu na łóżku, podnosząc się płynnie na kolana.

— Możesz swobodnie wędrować po statku — wyszeptała. — Czy potrafisz też wrócić na Ziemię?

— Tak.

Rozpostarła ręce. Pod jej białą skórą uwydatniły się obojczyki.

— A czy zechciałbyś zabrać mnie ze sobą? — mruknęła.

Tom miał ochotę zadać jej dwa pytania. Po pierwsze, skąd wiedziała, czy Kosmiczny Wędrowiec mówi prawdę, a po drugie, nawet jeśli potrafił się oprzeć zimnu i próżni kosmosu, jak mógł ją ze sobą zabrać?

Wygięła łabędzią szyję i uniosła włosy dłońmi. Te gesty sprawiły, że jej małe, sterczące piersi uwydatniły się pod trykotem. Pod cienkim materiałem łatwo można dostrzec twarde wzgórki sutków.

— Potrafię być bardzo wdzięczna tym, którzy mi pomogą, a mój pracodawca mógłby przedstawić interesującą propozycję komuś o twoich niepowtarzalnych talentach.

Absurdalność tej sytuacji zaparła Tomowi dech w piersiach. Zastanawiał się, czy ta kobieta rzeczywiście ściągnie ubranie i będzie się pieprzyć z nieznanym na jego pełnych niedowierzania oczach. Z pewnością Kosmiczny Wędrowiec zdawał sobie sprawę, że mają na głowie ważniejsze sprawy? Najwyraźniej jednak miał wielką ochotę skorzystać z propozycji Asty. Dyszał ciężko, gdy kobieta wykonywała taneczne ruchy, a palce jego zwisających u boków dłoni poruszały się spazmatycznie. Obejrzał się jeszcze nerwowo na drzwi. Tom widział, że na jego gładkiej, niebieskiej twarzy żądza walczy ze strachem. Żądza wygrała.

— Zgoda — wydyszał głosem brzęącym prawie jak jęk i zatoczył się w stronę łoża. Asta ściągała już niebieskie dżinsy. Pod spodem miała jasnoróżowe rajtuzy. Je również szybko zdjęła, razem z trykotem, a następnie wyciągnęła ramiona. Wędrowiec osunął się z jękiem na jej szczupłe białe ciało i zaczęła się gorączkowa gra wstępna.

Tom, zawstydzony, ale i zafascynowany, zauważył (gdy ktoś znajdzie się w głęboko żenującej sytuacji, zawsze zwraca uwagę na wszystkie szczegóły), że stopy Asty są wyjątkowo brzydkie. Ich palce pokrywały rany i stwardnienia, a jeden paluch zrobił się zupełnie czarny od nieustannego uderzania baletką o podłogę.

Po dziesięciu minutach nadal byli tym zajęci.

— No już! No już! — powtarzała Asta z narastającą irytacją. Wędrowiec od czasu do czasu stękał ochryple, poruszając niebieskim tyłkiem z narastającym wigorem i desperacją, w górę i w dół, w górę i w dół.

Zastukały obcasy. Asta wciągnęła nagle powietrze, a potem wrzasnęła jak szalona, gdy Wędrowiec przeniknął przez jej leżące na łóżku ciało i zniknął w głębiach łoża. Tom również omal nie stracił panowania nad sobą. Podbiegł do łóżka, by się upewnić, czy kobieta jeszcze żyje. Leżała nieruchomo jak trup. Wyciągnął rękę i dotknął jej nagiego barku. Wrzasnęła po raz drugi. Zaskoczony tym wybuchem Tom stracił równowagę i zwałił się na łóżko, głową naprzód. Takizjanin spojrział na nich, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

— Kapitanie, on się... — zawołał. Resztę jego słów zagłuszyły zamknięte drzwi.

Kosmiczny Wędrowiec wrócił.

— Mam szczerą nadzieję, że nie musisz służyć Takizjanom jako seksualna zabawka, bo brak ci najbardziej podstawowych umiejętności erotycznych.

— Mnie — pisnęła Asta, odpychając Toma na bok. — To ty nie mogłeś...

— Z czego tak chichoczesz, grubasku? — ryknął Wędrowiec. Tom nie chichotał, nie naprawdę, ale cała ta śmieszna sytuacja sprawiła, że z jego ust wydobyło się kilka dźwięków.

— Czy wiesz, co dla ciebie zaplanowali? — ciągnął Wędrowiec. — Wiwisekcję! Wiesz, co to znaczy? Nie mam pojęcia, dlaczego cię porwali! Musisz być najsłabszym z asów. Drżysz jak miska galarety i pochlipujesz niczym niechętna dziewczica.

Przeszył Astę gorejącym złością spojrzeniem. W odpowiedzi go wygwizdała.

— Może byś się wyniósł? — wybuchnął wreszcie Tom. — Spierdalaj! Wydaje ci się, że taki z ciebie jebany mądrała, ale jesteś tu uwięziony, tak samo jak my. Nie możesz uciec z tego statku. Gdybyś mógł, już byś to zrobił. A teraz zjeżdżaj. Zjeżdżaj!

Tom rzucił się do ataku, wymachując szaleńczo rękami, jakby płoszył kury. Wędrowiec oddalił się z wyraźnie kwaśną miną.



— Gdzie się podziewałeś, do licha? — Tachion przerwał nerwową przechadzkę po kabinie. — Ile czasu potrzeba, by zbadać okręt... — Wędrowiec, który przeszedł już w połowie przez ścianę, zaczął się wycofywać. Tachion podbiegł do niego. — Nie, proszę, zaczekaj, przepraszam. To stres. Czego się dowiedziałeś?

— Nasi strażnicy biegają po statku w pościgu za mną. Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób mnie wykrywają. Z pewnością wkrótce się tu zjawią...

— A moja *Kibr*? Stara kobieta z klejnotami we włosach — wyjaśnił, ujrawszy brak zrozumienia w oczach Wędrowca.

— Nie mam pojęcia.

Tachion nie odpowiedział. Doszedł do wniosku, że miejsce pobytu Benaf'saj może nie być aż tak ważne.

— Dobra, mniejsza z tym. Spróbujemy to zrobić. Na lewo od wejścia do kabiny w ścianie jest niewielka wypukłość. To panel otwierający drzwi. Otwórz moje, a potem...

— Nie.

— Proszę... — zaczął uprzejmie, ale nagle przerwał. — Co? — warknął.

— Słyszałeś mnie. Powiedziałem, że tego nie zrobię. Nawet w najmniejszym stopniu nie wierzę, byś był w stanie skutecznie zrealizować swój plan ucieczki. Nie zamierzam w nim uczestniczyć. Poza tym, jeśli znajdę się, materialny i bezbronny, za twoimi drzwiami, te zbiry mnie odkryją i zrobią mi krzywdę.

— To potrwa tylko chwilę.

Wędrowiec skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał majestatycznie na przeciwległą ścianę.

— Nie.

— Proszę?

— Nie.

Tachion splótł dłonie na piersiach.

— Proszę, proszę, proszę.

— Nie.

— Ty nędzny, płacziwy tchórze! — ryknął Tach. — Narażasz nas wszystkich. Tylko ty...

Ale Wędrowiec już go opuszczał. Tachion skoczył do wnęki w ścianie, złapał piękną wazę z Membres i cisnął nią w oddalającego się szybko asa. Przeniknęła przez niego i rozbiła się o ścianę. Wędrowiec obrzucił go spojrzeniem przepojonym porażającą pogardą i wstrętem. Tach nie mógł powstrzymać drżenia — częściowo wywołanego gniewem, a częściowo desperacją zrodzoną ze świadomości, że nie zdołał powstrzymać gwałtownej reakcji. Rozwiązał koronkowy krawat i rozluźnił szarpnięciem kołnierz, zaczerpnąwszy gwałtownie powietrza. Od lat bardzo się starał zostawić takie reakcje za sobą, odnosić się do wszystkich uprzejmie i z wyrozumiałością. A teraz utracił to w jednej chwili. Zachował się...

Przystanął, zastanawiając się nad jakimś odpowiednio odrażającym porównaniem.

Jak Zabb.

Chwila poświęcona na oskarżanie samego siebie przyniosła mu ulgę, ale nie rozwiązała zasadniczego problemu. Nadal nie mieli wyjścia z sytuacji, w której się znaleźli.

I to również jest moja wina, pomyślał Tach, zastanawiając się, czy przekupstwo albo komplementy mogłyby jakoś wpłynąć na upartego asa.



Jego godzina prawie już minęła. Wściekając się na kaprysy nieprzychylnego i obojętnego wszechświata, który uwięził go w ciele człowieka w jego opinii niewiele się różniącego od

rośliny, wędrował po takizjańskim statku, wymykając się coraz bardziej rozhisteryzowanym poszukiwaczom. To jednak nie potrwa długo. Jeśli nadal będzie zwlekał, znowu stanie się tym kretynem Meadowsem i wtedy obcy będą mogli go skrzywdzić. Bez względu na to, jak mocno Wędrowiec gardził ciałem swego gospodarza, zdawał sobie sprawę, że bez Marka nie będzie miał życia. Zauważył, że drzwi pozostawiają na ścianach delikatne linie przypominające skamieniałe odciski prehistorycznych płatków kwiatów. Niektóre otwierały się automatycznie, inne najwyraźniej wymagały telepatycznych rozkazów, jeszcze inne zaś miały otwierające je panele, jakie opisał Tachion. Ruszył na poszukiwania takich, które nie otwierałyby się automatycznie i sprawiałyby wrażenie solidnie zamkniętych z zewnątrz.



Mark wrócił powoli do siebie. Zamrugał raz i drugi, ponieważ było ciemno. Przesuwał nerwowo dłońmi po swej twarzy i głowie, aż wreszcie się upewnił, że rzeczywiście jest przytomny. Nadal jednak panował mrok. Powlókł się przed siebie i wyrznął mocno nosem o ścianę. Złapał się jedną ręką za bolące miejsce, wytrzeszczając oczy w nieprzeniknionej ciemności. Rozpostarł powoli ręce, starając się określić wymiary swego więzienia. Było małe. Jak szafka w ścianie. Jak trumna.

Ta ostatnia myśl była tak przygnębiająca, że strząsnął ją z siebie. Spróbował zajrzeć do wspomnień Wędrowca przez spowijającą je mgiełkę, by ustalić, co się stało.

— Obcy, brachu. A niech to.

I Tachion... uwięziony? Tak jest, to się zgadzało. Gniewał się na Wędrowca, który coś zrobił... albo czegoś nie zrobił. Mark westchnął i potarł twarz dłońmi. Tak, to by pasowało do Wędrowca. Przez chwilę pograżył się w posępnej kontemplacji społecznych oraz emocjonalnych niedostatków swych alternatywnych osobowości.

Zastanawiał się, która godzina. Sprout mogła już wrócić z przedszkola. Mógł liczyć na to, że Susan będzie ją miała na oku, dopóki „Dyńia” pozostanie otwarta, ale kto się nią zajmie po zamknięciu sklepu? Z pewnością Susan nie zostawi jej samej, jeśli Mark nie wróci. Spróbował spacerować po swym maleńkim więzieniu, ale w czarnym jak smoła mroku nie potrafił ocenić odległości i ciągle wpadał na ściany.

— Muszę się stąd wydostać i pomóc doktorowi Tachionowi. On będzie wiedział, co zrobić.

Wsadził palce do skórzanego woreczka i wydobył z niego fioletkę. Uniósł ją do oczu i spróbował wyteńczyć wzrok, ale nic to nie dało. Było za ciemno, by mógł zobaczyć szkło, nie wspominając już o barwie proszku znajdującego się w środku.

— A niech to. Jeśli dostanę Ognika, może uda mu się spalić te drzwi, ale Gwiazdny Blask nie może pracować po ciemku, a Księżycowe Dziecko... — Dźgnął palcem nieustępliwą ścianę.
— Nie jestem pewien, czy potrafiłaby to rozwalić.

Schował fioletkę i wydobył z woreczka drugą. Zawahał się i sięgnął po następną. Na koniec

wyciągnął dwie. Przesuwał głowę od jednej do drugiej niczym zdziwiony bocian. Wreszcie schował je również i złapał się za głowę.

— Muszę coś zrobić. Kurczę, jestem asem. Ludzie na mnie liczą. To coś jakby test i muszę dowieść, że jestem godny.

Wrócił do bezowocnego grzebania w woreczku. Wyobrażał sobie, że czuje, jak statek mknie przez przestrzeń, zabierając ich za orbitę Neptuna, coraz dalej od Sprout, jego pięknej, złotowłosej córki, która umysłowo nigdy nie przekroczy wieku czterech lat. Jego ukochanej Alicji w Krainie Czarów, która go potrzebowała. A on musiał być komuś potrzebny. Zacisnął konwulsyjnie palce na fiolce i wyciągnął ją z torebki.

— Ech, chuj z tym — mruknął.

Wyciągnął zatyczkę i połknął zawartość fiolki. Później się przekona, czy dokonał trafnego wyboru.



Talli przyniosła mu posiłek. Delikatne naleśniki z mięsem i owocami, które były w domu jego ulubionym przysmakiem. Zakrztusił się pierwszym kęsem i wyrzucił resztę do toalety. Niespokojne spacerowanie po pomieszczeniu nie dało mu nic poza kurczami w lewej łydce, złapał więc szczotkę leżącą na toalecie w łazience i spróbował się uspokoić, szczotkując włosy. Jej dotyk na skórze głowy sprawiał mu przyjemność i z barków odpłynęła choć część napięcia.

Potem Złośnica zadrżała lekko i jego umysł wypełniło głośne, pełne oburzenia AU!. Najwyraźniej ten okręt nie uznawał cierpienia w milczeniu.

Wędrowiec? pomyślał. Czyżby ten skubany tchórz w końcu postanowił coś zrobić?

A może Żółw uwolnił się od psychologicznej blokady, rozerwał drzwi i zmiażdżył Zabba na galarecie...

Złośnica robiła tak wielki psioniczny hałas, że Tach nie sądził, by ktokolwiek mógł to zauważyć, jeśli nawiąże nieosłonięty kontakt z Żółwiem. Wypuścił sondę.

O cholera!

Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

W umyśle Żółwia nie było nic, co by sugerowało poczucie zagrożenia. Tach westchnął. *Jak rozumiem, nie jesteś zajęty ratowaniem nas.*

Nie mogę — burknął naburmuszony Żółw. Już ci mówiłem.

Tom — odparł Tach delikatnym tonem. Dopiero gdy usłyszał westchnienie Żółwia, uświadomił sobie, że nie powinien znać jego sekretnej tożsamości. Nie dawał jednak za wygraną. *Nie mógłbyś po prostu spróbować? Jestem pewien, że gdybyś się postarał...*

NIE MOGĘ! Ile razy muszę ci to powtarzać? Nie mogę. Chyba sobie przypominam zapijaczonego menela, który powtarzał, że nie potrafi tego zrobić, i czuł się urażony, gdy nie okazałem zrozumienia. No cóż, role się odwróciły, Tachy. Ty musisz okazać zrozumienie.

To go zabolalo. Świetnie zdawał sobie sprawę z długu, jaki ma wobec Żółwia, nie lubił jednak, gdy wypominano mu dawne grzechy. One były... no cóż, dawne. *Wirus jest zakodowany w twoich komórkach.*

Wiem o tym. Jak mógłbym o tym zapomnieć? Kurwa, to zniszczyło mi życie! Ty, Śmig i twoi przekłeci, popierdoleni Takizjanie. Odpierdol się ode mnie, dobra?

Żółwiowi brakowało mentalnych talentów potrzebnych do zablokowania Tachiona, ale potrafił ukryć wszystkie znaczące myśli pod grubą zasłoną gniewu, znacznie utrudniając ich odczytanie oraz wysyłanie komunikatów. Tach zaczerpnął kilka gwałtownych oddechów przez nos i powiedział sobie, że to jest jego najstarszy przyjaciel na Ziemi. Zastanawiał się, czy potrafiłby przejąć kontrolę nad umysłem Żółwia i zmusić go do przezwyciężenia emocjonalnego bloku. Nie, trauma skrywała się zbyt głęboko, by mógł do niej dotrzeć za pomocą równie brutalnych metod. Jego ojciec posiadał umiejętności, które... Tach objął się ramionami i zaczął kołysać w przód i w tył, gdy żaloba powróciła, ponownie przygniatając go swym ciężarem.

Krzyki, trzaski i przekleństwa przywołały go z powrotem. Spojrzał na drzwi z zamyśloną miną, a potem zaczął się powoli cofać w stronę łóżka. Dźwięki się zbliżały. Szybko. Były już bardzo blisko. Przez drzwi przebiła się wielka szara pięść. Łopatkowate palce zacisnęły się na nierównych krawędziach otworu, naprężyły się i urwały wielki fragment drzwi. Złościca wrzasnęła przeraźliwie. Z rany popłynął przejrzysty, lepki płyn będący krwią rozumnego statku. Wkrótce zastygł, tworząc jasne, zamrożone strumyki. Tach gapił się z przerażeniem i fascynacją, jak kolejne fragmenty drzwi spadają na podłogę.

Przez nierówny otwór do środka wszedł potężnie zbudowany, krępy mężczyzna o szarej, gładkiej skórze, łysej głowie i wypukłym czole. Takizjanie zwisali z niego jak ozdóbki z choinki.

— Załatwcie go psionicznie! — wrzeszczał Zabb, waląc pięścią w twarz stworzenia. Cofnął się tanecznym krokiem, gdy monstrum zerwało żołnierza ze swych pleców i cisnęło nim w takizjańskiego kapitana.

Jednego z żołnierzy stworzenie nie zdołało jednak zerwać mimo swej wielkiej siły. Twarz o delikatnych rysach — choć ciało było masywne jak góra — zastygła w wyrazie nieustępliwej gwałtowności. Durg at'Morakh bo Zabb, ulubiony potwór Zabba. Tach poczuł w gardle ucisk obrzydzenia i wstrętu. Pobiegł w stronę drzwi. Myśli w jego głowie kotłowały się szaleńczo.

Nie z tych rąk. Wykąp się w mojej krwi, jeśli musisz, Zabb, ale nie...

Natknął się na metr hartowanej stali.

Nie. Tylko z mojej ręki.

Na ustach Zabba wykwitł pełen żalu, lecz również drapieżny uśmiech. Kuzyn Tacha skoczył do ataku. Tachion cofnął się, stracił równowagę na śliskiej podłodze i runął na nią. To uratowało mu życie. Ostrze przeszło zaledwie kilka centymetrów nad jego głową. Rozległy się kolejne trzaski i łoskoty. Groteskowa, szara bestia łaziła chwiejnie po pomieszczeniu, ciskając na boki

Takizjanami i bezskutecznie próbując zerwać z pleców Durga. Do kabiny weszła Benaf'saj. Zabb opuścił broń. Najwyraźniej nie był jeszcze gotowy popełnić morderstwa w obecności *Ajayiz'et*. Tachion nigdy się tak nie ucieszył z czyjegoś widoku.

Stara kobieta wypuściła impuls mentalnej energii, który wstrząsnął synapsami wszystkich obecnych. Stworzenie runęło na podłogę jak ścięte drzewo. Poobijani i posiniaczeni członkowie załogi rzucili się na nie, krępując je sznurami.

Benaf'saj przeszła Zabba zimnym spojrzeniem szarych oczu.

— Czy zechciałbyś łaskawie wyjaśnić przyczynę tego tumultu?

— Znaleźliśmy go.

— Doprawdy?

Jej ton był zimny jak lód.

Zabb wessał policzki. Jego spojrzenie unikało oczu protoplastki.

— Hmm, wygląda na to, że znowu zmienił postać.

Benaf'saj przeniosła spojrzenie na Rabdana.

— A czy możemy przyjąć założenie, że te zmiany mają coś wspólnego z fiolkami?

Mężczyzna odchrząknął nerwowo.

— To brzmi logicznie.

— Gdzie więc podziały się fiolki?

— Nie wiem, *Kibr*. Może ukrył je gdzieś na statku.

— A może są obecne tylko wtedy, gdy wraca do ludzkiej postaci. — Spojrzała na zniszczone drzwi. — *Che Chu-erh of Al Matraubi* — ciągnęła, posługując się pełnym rodowodowym imieniem statku — będzie potrzebowała trochę czasu, by naprawić te drzwi. Wystawcie strażników. Będą mogli obserwować i Tisianne'a, i więźnia, a jeśli powróci człowiek, przeszukają go, by odnaleźć fiolki. Mam nadzieję, że to będzie koniec tych niestosownych incydentów.

Odeszła z szelestem brokatowych spódnic.

Tach wyjął z kieszeni chusteczkę i uklęknął przy niezwykłym więźniu.

— Jak się nazywasz? — zapytał, wycierając delikatnie krew wypływającą ospale z rany.

Mężczyzna spojrzał na niego.

— Wodnik — warknął z niechęcią.

— Miło mi cię poznać. Jestem Tisianne brant T'sara sek Halima sek Ragnar sek Omian, znany też jako doktor Tachion.

— Wiem — odparł tamten, spoglądając w jakieś miejsce położone za lewym barkiem Tacha.

Takizjanin pochylił się nad Wodnikiem.

— Czy masz w zanadrzu jakieś inne sztuczki? — zapytał szeptem. — Coś, co pomogłoby nam... — Wskazał podbródkiem na drzwi i dwóch stojących przy nim w wyprostowanej pozycji

wartowników. — ...ich załatwić.

Wodnik uniósł ku niemu pełne złości spojrzenie.

— Zmieniam się w delfina i pływam naprawdę szybko.

Jego mina w połączeniu z ostrym, gniewnym tonem zerwała cienką nić cierpliwości, której do tej pory zdołał się trzymać Tachion.

— Wybacz, ale to raczej nie pomoże nam w obecnym kryzysie.

— Nie prosiłem się o to, by się tu znaleźć, lądowcu.

Wodnik zamknął oczy, ignorując zarówno współwięźnia, jak i strażników.

Tach odpiął manierkę od pasa i zaczął spacerować po kabinie, popijając pokaźne łyki brandy. Po około dwudziestu minutach zauważył, że skóra Wodnika zaczyna pękać i się łuszczyć.

— Dobrze się czujesz?

— Nie. Muszę być wilgotny, bo inaczej grozi mi uszkodzenie ciała.

— Czemu nie powiedziałeś mi tego piętnaście minut temu?

Wodnik nie odpowiedział. Tach prychnął z irytacją, potruchtał do toalety i przyniósł szklanekę wody. To nie pomogło zbyt wiele leżącej na podłodze potężnej postaci.

— Andami, czy mógłbyś mi przynieść dzbanek albo wiadro?

Młodszy mężczyzna nerwowo przygryzł dolną wargę.

— Rozkazano mi tu zostać.

— Jest was dwóch.

— Spróbujesz czegoś.

— Czy jestem twoim księciem?

— Tak. Ale i tak czegoś spróbujesz. Nie chcę dostać kolejnej reprimendy od Zabba.

— Niech twoja linia zwiędnie — warknął i znowu zaczął truchtać po pomieszczeniu.

Następne trzydzieści minut mijało bardzo powoli. Tach starał się powstrzymać szybkie wysychanie skóry Wodnika. Gdy lał wodę ze szklanki na jego twarz, istota nagle zamigotała i zmieniła kształt. Na jej miejscu pojawił się Kapitan Trips, kaszlący i prychnący, gdy woda spływała mu do nosa.

Zaskoczony tą nagłą transformacją Tach krzyknął, wypuścił szklanekę i się odsunął.

Trips rozejrzał się mętym wzrokiem po kabinie, a potem przyjrzał się swej długiej, chudej postaci, nadal luźno owiniętej sznurami. Z odejściem Wodnika jego objętość znacznie się zmniejszyła i kiedy wstał, sznury zsunęły się i spadły na podłogę u jego stóp.

Zdjął okulary i zaczął je z pasją wycierać. Przez cały ten czas wpatrywał się w Tachiona, mrugając krótkowzrocznie.

— A niech to, brachu — mruknął, włożywszy okulary na nos.

Andami podbiegł do Tripsa i pośpiesznie sprawdził jego kieszenie. Znalazł skórzany woreczek z trzema nieużytymi fiołkami. Tachion wyciągnął szyję, by coś zobaczyć, ale

jaskrawe proszki sprawiały wrażenie zupełnie nieszkodliwych. Miał wielką ochotę dostać te substancje w swoje ręce i przeprowadzić ich pełną analizę. Coś, co mogło przeobrazić ludzką postać...

Nagle coś sobie uświadomił. Kapitan Trips nie był świrem. Był asem.

— Kapitanie. — Wyciągnął rękę. — Jestem ci winien przeprosiny.

— Hmm... mnie, brachu?

— Tak. — Tach złapał bezwładną dłoń mężczyzny i uścisnął ją mocno. — Powątpiewałem w twoją opowieść. Szczerze mówiąc, uważałem cię za nieszkodliwego wariata. Ale ty jesteś asem. I to wyjątkowo niezwykłym. Te proszki?

— Pomagają mi przywoływać przyjaciół.

Tachion przysunął się bliżej.

— Pewnie nie masz więcej... — zaczął ściszone głosem. Mrugnął znacząco i Trips popatrzył na niego bez zrozumienia. Tach westchnął. Jego współwięzień mógł być sympatyczny, ale z pewnością nie zaliczał się do bystrych. — Czy masz gdzieś schowane więcej fiolek?

— Nie, nie, brachu. Produkcja tego syfu jest bardzo czasochłonna, a nie spodziewałem się, że spotkam obcych. No wiesz, pokonaliśmy Rój i myślałem... Naprawdę mi przykro, brachu, nie chciałem cię zawieść...

— Nie, nie. Nie mogłeś się tego spodziewać. Spisałeś się bardzo dobrze.

Kapitan się rozpromienił. Tach uświadomił sobie z przytłaczającym poczuciem porażki, że ten człowiek uwielbia go i podziwia.

A ja go zawiodę.

Podszedł do łóżka i osunął się na nie, zwieszając bezwładnie ręce między udami. Trips wykazał się wrażliwością, jakiej obcy się po nim nie spodziewał. Przeszedł na drugą stronę kabiny, zostawiając go sam na sam z przygnębiającymi myślami. Po pewnym czasie dotknął niepewnie jego ramienia.

— Wybacz, brachu. Przepraszam, że cię niepokoję, ale zastanawiam się, no wiesz, ile czasu minie, nim sprowadzisz nas... — Przerwał. Na jego twarzy pojawiły się czerwone plamy. — Posłuchaj, mam tę małą dziewczynkę. Pewnie wróciła już ze szkoły, sklep wkrótce się zamknie, obawiam się, że Susan z nią nie zostanie, a Sprout, no wiesz, nie poradzi sobie sama.

Długie palce jego dłoni desperacko splatały się ze sobą.

— Przykro mi. Gdybym tylko wiedział, co zrobić. Gdybym tylko był przywódcą, za jakiego wszyscy mnie uważają. Ale nim nie jestem. Jestem oszustem, Trips, zarówno wśród mojego ludu, jak i wśród waszego.

Wysoki hipis położył ramię na barkach Tacha i przyciągnął jego głowę do swej kościstej piersi.

Trips potrząsnął z żalem głową.

— To nie jest tak jak w komiksach. Tam dobrzy faceci zawsze wygrywają. No wiesz, za każdym razem znajdują odpowiednią moc w odpowiednim momencie.

— Niestety, to tak nie działa. Jestem bardzo zmęczony.

— Czemu się nie prześpisz? Ja będę pełnił straż.

Tachion miał ochotę go zapytać: „A przed czym miałbyś nas strzec?”, ale doceniał stojącą za tą propozycją życzliwość i zachował milczenie. Zsunął buty, a Trips delikatnie nakrył go kołdrą aż po podbródek.

Zapadając w sen, uświadomił sobie niejasno, że zawsze szukał ucieczki we śnie i w alkoholu, a dzisiaj posłużył się i jednym, i drugim. *Odpowiednia moc w odpowiednim momencie*. Ta myśl nie przestawała go niepokoić na granicach świadomości... *Odpowiednia moc...*

— Na Ideał!

Wyprostował się nagle i zrzucił kołdrę.

— Hej, o co chodzi?

Rozgorączkowany Tach złapał Tripsa za kłapy płaszcza.

— Jestem idiotą. Idiotą. Miałem odpowiedź przed nosem i nie zauważyłem jej.

— Słucham?

— Urządzenie Sieci.

— Hę?

Andami spoglądał na niego z zainteresowaniem i Tach pośpiesznie ściszył głos do szeptu.

— To nie jest kula do kręgli. To przenośnik osobliwościowy. — Szybko wsunął stopy w balerinki. — Przed laty, zanim opuściłem dom, jeden z Wielkich Kupców rozważał możliwość sprzedaży mojemu klanowi nowego, eksperymentalnego teleportera. Zademonstrował nam takie urządzenie i powiedział, że po kilku dodatkowych testach mogą się one stać dostępne na rynku. To z pewnością jeden z tych przenośników. I jest w głównej ładowni.

Jego gadanina całkowicie zbiła z tropu Tripsa. Hipis uczeplił się jedyne zdania, które zrozumiał.

— Ehe, ale, no wiesz, my nie jesteśmy w głównej ładowni.

— Jak moglibyśmy wszyscy się tam dostać? — Tach podrapał się palcami po włosach. — Gdybyśmy byli tam razem, chyba potrafiłbym uruchomić urządzenie i odesłać nas do domu. Im silniejszy talent telepatyczny, tym większa dokładność oraz rozmiary tego, co można przemieścić. Przynajmniej w teorii. Oczywiście, Wielki Kupiec mógł po prostu wciskać nam kit. Z Siecią nigdy nic nie wiadomo. Oni mają dusze chciwych handlarzy.

— Hmm, co to jest Sieć?

— To kolejny gatunek kosmicznych podróżników. Ścisłej mówiąc, związek wielu gatunków, ale w tej chwili nie musimy się tym przejmować. Rzecz w tym, że przenośnik jest na statku i może nas zabrać do domu. Oczywiście, jeśli Żółw go miał, to znaczy, że Sieć jest obecna na

Ziemi, a to z kolei może oznaczać kłopoty. — Podrapał się po twarzy. — Nie. Wszystko po kolei. Jak się dostać do ładowni?

— A, no wiesz, co tam się dzieje?

— No cóż, rzecz jasna przechowuje się tam ładunek, a jeśli nie ma ładunku, a na statku tej klasy z reguły go nie ma, wykorzystuje się ją w celach rozrywkowych. Tańce i tak dalej.

— Nie sądzę, byśmy mogli zaprosić wszystkich na tańce — zauważył Trips z pełną powątpiewania miną.

— Masz rację — przyznał ze śmiechem Tach. Jego twarz straciła nagle wyraz. — Ale możemy ich zaprosić na pojedynek.

— Hę?

— Zaczekaj chwilkę. Muszę się nad tym zastanowić.

Wreszcie zrobił to, co powinien był uczynić już na początku. Zaczął myśleć jak Takizjanin, nie jak mieszkaniec Ziemi.

— Już wiesz? — zapytał Trips, gdy Tachion otworzył oczy.

— Tak.

Położył się na plecach i poszukał znajomego umysłu.

Żółwiu. Mam drogę wyjścia.

Naprawdę? Jego mentalny ton przesycił rozpacz i brak nadziei.

To twoje urządzenie może nas odesłać do domu.

Tak, ale ono jest...

Zamknij się i słuchaj. Wszyscy znajdziemy się w ładowni...

Dlaczego?

Przestań wreszcie! Postaram się, żeby tak się stało. Wszyscy skupią uwagę na mnie, a w tym czasie ty musisz zabrać urządzenie.

Jak?

Wiesz jak.

Nie mogę!

Tom, musisz! To nasza jedyna nadzieja.

To niemożliwe. Wielki i Potężny Żółw mógłby tego dokonać, ale ja jestem tylko...

...Thomasem Tudburym. Wielkim i Potężnym Żółwiem.

Nie. Jestem tylko zwyczajnym facetem, który przekroczył już czterdziestkę, pije za dużo piwa, nie odżywia się prawidłowo i pracuje w pierdolonym punkcie naprawy sprzętu elektronicznego. Kurwa, nie jestem bohaterem.

Dla mnie jesteś. Zwróciłeś mi zdrowe zmysły i zapewne również życie.

To był Żółw.

Tom, Żółw to konstrukcja złożona z żelaznych płyt, telewizorów, kamer, świateł i głośników.

Żółwiem czyni go człowiek siedzący w środku. Jesteś asem, Tom. Pora już wyjść ze skorupy.

Z umysłu Toma wypływały potężne fale przerażenia, uderzające w osłony Tacha z taką siłą, że aż zwątpił w szanse swego planu. *Nie mogę. Daj mi spokój.*

Nie ma mowy. Zrobię to i będziesz musiał mi pomóc, bo jeśli tego nie zrobisz, moja śmierć pójdzie na marne.

Śmierć! Co zamierzasz...

Przerwał telepatyczne połączenie, zastanawiając się, czy nie wywarł zbyt wielkiego nacisku na kruche emocje Żółwia. Było już jednak za późno, by się o to martwić.

Kibr?

O co chodzi, chłopcze?

Twój ton nie wzbudza naszego zadowolenia, Ajyiz'et Benaf'saj.

Złagodziła brzmienie swego mentalnego głosu, dodając powłokę formalnego szacunku, jeśli nie dla niego, to przynajmniej dla jego pozycji. *O co chodzi, głowo klanu?*

Wezwij załogę, trzeba urządzić ceremonię adopcji.

Co to znowu za sztuczka?

Zaczekaj, a przekonasz się sama. Jeśli mi odmówisz, nigdy nie zaspokoisz swej ciekawości — dodał bezczelnym tonem.

Jej śmiech załśnił w jego umyśle. *Wyzwanie. Proszę bardzo, mały księżę, przekonamy się, co uknułeś.*



Wszyscy zebrali się w ładowni. Tom rozejrzał się wkoło.

— Moja skorupa! — zakrzyknął z bólem.

Zabb rozciągnął usta w okrutnym uśmiešku.

— Wyrzuciliśmy ją. Zajmowała stanowczo za dużo miejsca.

Tach nie zwracał większej uwagi na cierpienie Żółwia. Przesunął szybko wzrokiem po sali, by się upewnić, że przenośnik osobliwościowy jest na miejscu.

— Miała kamery noktowizyjne i zmiennoogniskowe, elegancką skórzaną tapicerkę i...

— Zabb się roześmiał. — Ty zasańcu!

Zabb podszedł bliżej, unosząc pięść.

— Zabbie brant Sabina sek Shaza sek Risalam, jeśli tkniesz mojego *stirpsa*, nie przyznam ci łąski pojedynku. Zabiję cię jak ulicznego kundla.

Zabb zamarł w bezruchu. Następnie powoli odwrócił się i spojrzał na niskiego kuzyna.

— Co to za farsa?

— Jako płodny członek domu Ilkazam korzystam z prawa poszerzenia swej linii przez krew i przez kość.

— Pragniesz adoptować tych ludzi? — zapytała Benaf'saj.

— Tak.

Przeszyła ich władczym spojrzeniem.

— Nie sędzę, by mieli wiele dodać do twego znaczenia.

Tachion wszedł między Tripsa a Żółwia i uściskał ich za nadgarstki.

— Wolę, by oni połączyli się ze mną więzią, niż wielu z tych, którzy mogą twierdzić, że mają do tego większe prawa — oznajmił, przenosząc spojrzenie na Zabba.

— Jak sobie życzysz. Masz do tego prawo. — Stara kobieta usiadła na stołku, który uprzejmie wyłoniła dla niej Złośnica. — Czy zgadzacie się na tę adopcję, świadomi obowiązków i zobowiązań tych, których spotkał podobny zaszczyt?

Trzy pary oczu skierowały się na Tacha, który skinął lekko głową.

— Zgadzamy się — odparła stanowczo Asta, gdy obaj mężczyźni nie mogli się zdecydować.

— Dowiedzcie się zatem, że wy oraz wszyscy wasi dziedzice przez krew czy przez mianowanie jesteście na zawsze związani z domem Ilkazam i Linią Sennari, poprzez jego syna, Tisianne'a. We wszystkich sprawach, wielkich i małych, przynosiscie chwałę i ofiarujecie służbę temu do mowi.

— Kurczę, to znaczy, że jesteśmy teraz Takizjanami czy co? — zapytał Trips donośnym szeptem.

— Rytuał wiąże ślepych psionicznie z domem. Nie będziecie mogli wchodzić w związki z członkami klasy mentatów, ale zasługujecie na naszą pomoc oraz ochronę.

— A więc jesteśmy poddanymi — wychrypiał Tom.

— Nie. Raczej czymś w rodzaju ochmistrzów. Zwykłej służby nigdy nie adoptuje się formalnie. — Tach odwrócił się na pięcie i przeszył Zabba twardym spojrzeniem. — Ale, na moich ojców, kuzynie, znieważyłeś mnie, okazując pogardę moim *stirpsom* i zadając im ból. Żądam satysfakcji.

— Nie musisz akceptować tego wyzwania — odezwała się Benaf'saj, nim Zabba zdążył się poruszyć. — Wobec ślepych psionicznie uprzejmość nie obowiązuje wstecznie.

Kapitan pokłonił się jej nisko.

— Ale, *Ajayiz'et*, z najwyższą przyjemnością stawię czoło ukochanemu kuzynowi. Rabdanie, czy będziesz moim sekundantem?

— Tak jest, kapitanie.

— A ty moim, Sedjurze? — zapytał Tachion. Stary mężczyzna zdołał skinąć głową.

Obaj sekundanci ruszyli szybko do schowka na broń. Tach podszedł do przyjaciół. Zrzucił z nóg buty, zdjął płaszcz i brokatową kamizelkę, a potem zaczął podwijać rękawy.

— Trzymajcie się blisko siebie — rzekł cicho. — Tom, wiesz, co musisz zrobić. Na Boga, pośpiesz się z tym. — Zignorował gorączkowo potrząsającego głową człowieka. — Na szczęście, krótka broń daje przewagę obronie, ale i tak trudno mi będzie powstrzymać Zabba.

Uwaga całej rodziny skupi się na mnie. Nikt nie powinien zauważyć, co robisz. Gdy już będziecie mieli urządzenie, odeślę was do domu.

— A co z tobą? — mruknął Tom.

Tachion wzruszył ramionami.

— Zostanę tutaj. W końcu to sprawa honorowa. Nie będę uciekał.

— Nienawidzę pierdolonych bohaterów.

— Czy ktoś ma coś, czym mógłbym związać włosy z tyłu?

Asta opadła na jedno kolano i pogrzebała w obszernej torbie sportowej. Wyciągnęła z niej baletkę, urwała od niej różową wstążkę i wręczyła ją Takizjaninowi. Jej kolor okropnie się kłócił z jego metalicznie rudymi lokami.

— Panie — rzekł cicho Sedjur, podając mu kolczy rękaw, chroniący rękę aż po łokieć, a także pięknie wykuty i zdobnie wytrawiony rapier. Rękojeść była wysadzana kamieniami półszlachetnymi, a filigran na koszu był tak delikatny, że wyglądał jak koronka.

— Nie bądź taki przygnębiony, stary przyjacielu.

— Jak mógłbym nie być? Nie możesz się z nim równać.

— To niemiłe, że tak mówisz. Zwłaszcza że to ty mnie uczyłeś.

— Jego również uczyłem i raz jeszcze powtarzam, że nie możesz się z nim równać.

— To konieczne — odparł Tach tonem wskazującym, że sprawa jest zamknięta. Spoglądał autokratycznie nad głową starego domownika, gdy ten przypinał mu kolczugę do prawego przedramienia.

Asta zachichotała histerycznie, gdy przyniesiono pudełko z żywicą i Tach starannie wysmarował podeszwy swych odzianych w pończochy stóp. Zasłoniła usta dłońmi i się uspokoiła.

Tach przeszedł na środek pomieszczenia, poruszył kilkakrotnie rapierem, by przyzwyczać się do jego wagi i przypomnieć mięśniom dawno nieużywane umiejętności. Nie miał pretensji do Asty. Współczesnym ludziom cały ten archaiczny rytuał z użyciem archaicznej broni musiał się wydawać dziwaczny, zwłaszcza u gatunku znającego loty międzygwiazdne. Takizjanie nie bez powodu jednak pokochali białą broń. Mieli lasery i broń atomową, ale do walki wewnątrz żywego statku lepiej nadawało się coś, co nie wykraczało poza zasięg ręki. Niekontrolowana wymiana ognia przy użyciu pocisków albo wiązek spójnego światła mogła doprowadzić do poważnych uszkodzeń statku, a wtedy nie miałyby już znaczenia, czy załoga zwyciężyła, czy nie. Nie należy też zapominać o takizjańskim umiłowaniu dramatyzmu. Każdy dureń mógł się nauczyć strzelać z pistoletu, a szermierka wymagała prawdziwych umiejętności.

Zabb podszedł do niego.

— Od lat czekałem na tę chwilę — rzekł cichym głosem.

— Zatem jestem zachwycony, że mogę spełnić twoje życzenie. Jeśli ktoś pragnie czegoś tak

bardzo, nie powinno mu się tego odmawiać.

Rapiery błysnęły w krótkim salucie i uderzyły o siebie. Stal zgrzytnęła o stal.

Tom nie był znawcą sztuki szermierki, zauważył jednak, że walka nie przypomina zbyt wiele olimpijskiej rywalizacji, jaką niekiedy widywał przelotnie w telewizji. Szybkość była taka sama, ale obaj mężczyźni byli śmiertelnie skupieni. W końcu walczyli o życie. Wpatrywali się w siebie nawzajem, a ruchy ich osłoniętych pończochami stóp na pokładzie statku tworzyły delikatny, szepczący kontrapunkt do głośniejszych oddechów Tacha.

Towarzysze gapili się na Toma — Trips miał wyraz oczu zdesperowanego basseta, Asta zaś zwilżała usta koniuszkiem języka. Odwrócił powoli głowę i wbił wzrok w czarną kulę spoczywającą na półce w odległości zaledwie kilkunastu stóp. Sięgnął ku niej umysłem, wyętzając siły tak bardzo, że na jego czole i górnej wardze pojawiły się kropelki potu. Odnalazł jednak tylko wielką, ziejącą pustkę. Urządzenie nawet nie drgnęło.

Trips jęknął. Tom odwrócił głowę akurat na czas, by zobaczyć, jak słaba część broni Zabba drasnęła ramię Tacha, ciągnąc za sobą strużkę czerwieni. Tachion cofnął się, raczej z pośpiechem niż z gracją, i ledwie zdołał sparować okrutny atak kuzyna. Trips, z szalonym błyskiem w zażawionych niebieskich oczach ukrytych za grubymi szklami okularów, rzucił się do ataku, skacząc Zabbowi na plecy. Takizjanin warknął, sięgnął za siebie i cisnął zręcznie hipisem na drugą stronę ładowni. Trips leżał oszołomiony na świetlistym pokładzie, rozdziawiając usta jak ryba. Kilku strażników Zabba odciągnęło go stamtąd i cisnęło na podłogę obok pozostałych ludzi.

— Nie mogę, po prostu nie mogę — wyszeptał gorączkowo Tom.

— Ty pierdolony tchórze — powiedziała wyraźnie Asta, po czym odwróciła się do niego plecami, skupiając swą uwagę na pojedynku, który zaczął się na nowo.



Tach mrugał intensywnie, starając się usunąć z oczu powodujący swędzenie pot. Każdy oddech palił mu płuca. Czuł się tak, jakby mięśni jego prawej ręki dotykały maleńkie jęczyczki ognia.

Uważaj, uważaj, powtarzał sobie.

Rapier uderzył w górę tak szybko, że stał się zamazaną plamą.

Sparował cios z ostrym brzękiem. Potężna wibracja wstrząsnęła jego i tak już przeciążonymi mięśniami.

Riposta... ale nie rapierem. Umysłem. Część tarczy rozplynęła się, zamigotała. Tach uderzył i Zabb zachwiał się pod siłą mentalnego ataku. Zwarcie, gorący oddech Zabba na jego twarzy, splątane rapiery między nimi. Tachion wyętzwał siły, starając się odepchnąć kuzyna, ale był na to za słaby. Umysł, szara, nieprzenikniona ściana. *Nie, niezupełnie!*

Tach przesunął się nagle w bok, unikając okrutnego kopniaka w pachwinę, odskoczył do tyłu

i kopnął wysuniętą do tyłu nogę Zabba, pozbawiając go równowagi. Obejście, ale kuzyn był dla niego za szybki. Zabb sparował pchnięcie i wyprowadził szybką ripostę, wspartą mentalnym atakiem, który ześliznął się po tarczach Tacha.

Na granicy jego pola widzenia obraz się zamazywał. Brakowało mu wytrzymałości. Ledwie mógł oddychać. *Żółwiu!*

Spróbował szalonego, desperackiego pchnięcia w trzecią. Zabb sparował atak niemal pogardliwym ruchem. Walczył jak demon. Z jego twarzy nie zniknął uśmiech, a na kręconych bokobrodach lśniło tylko kilka kropelek potu. Opuścił powieki, zasłaniając oczy rzęsami. Nie zaprzestawał ataku. Tach poczuł na języku intensywny smak wymiotów, uświadomiwszy sobie, że do tej pory Zabb tylko się z nim bawił.

— Chciałbyś powiedzieć, że jesteśmy kwita, kochany kuzynie? — wyszeptał jego dręczyciel. — Pewnie, że byś chciał. Ale tak się nie stanie. Zabiję cię, tak jak obiecałem.

Był zbyt zdyszany, by odpowiedzieć na drwinę. Potrząsnął tylko głową, raczej po to, by uwolnić się od potu, niż zaprzeczyć słowom przeciwnika. Wyprowadził rozpaczliwy mentalny cios, który odbił się od tarcz Zabba, a potem, niczym cud, otworzyła się przed nim szansa. Skoczył naprzód. Jego broń zgrzytnęła o rapier Zabba. Przeciwnik sparował atak, uderzając w słabą część jego oręża, i przeszedł do przeciwnatarcia, mierząc prosto w serce.

Pchnięcie w tempo! Pułapka na nieostrożnych. Śmierć!



Był pewien, że to widzi: lekkie rozwarcie nozdrzy, sardoniczny uśmieszek. Steve Bruder, z tymi samymi manierami, które demonstrował, gdy miażdżył dłoń Toma. *Pierdol się!* — cisnął w stronę Zabba. W jej samej chwili wypełniła go moc, powodując mrowienie w kończynach. Sięgnął na zewnątrz i...



Rapier szybko zmierzał do celu, a potem jakimś cudem zszedł na bok. Nieznacznie, ale to wystarczyło! Tachion uniósł broń, parując uderzenie.

Odsłoniło się przed nim mnóstwo celów. Serce, brzuch, cięcie w bark? Tach przygryzł dolną wargę. Przez szaloną, zachwycającą chwilę rozważał możliwość wbicia sztychu głęboko w nienawidzone ciało kuzyna. Skoczył naprzód. Ich oczy spotkały się ze sobą na wieczną, nieruchomą chwilę. Rapier odwrócił się w jego dłoni, rękojeść uderzyła w podbródek przeciwnika z odgłosem przypominającym rąbanie drewna. Broń Zabba spadła ze stukotem na pokład, a on sam zwałił się na twarz. Z ust gapiów wyrwało się westchnienie brzmiące jak nagły poszum wiatru. Tach przez chwilę gapił się na swój miecz, a potem odrzucił go na bok i klęknął obok kuzyna. Przetoczył go delikatnie na plecy i ujął wyższego mężczyznę w ramiona.

— Widzisz, nie potrafiłem tego zrobić — wyszeptał, zastanawiając się, skąd się wzięły łyzy zbierające mu się pod powiekami. — Wiem, że wolałbyś, żebym cię zabił, ale nie potrafiłem.

Wbrew temu, czego nas uczą, śmierć nie jest lepsza od hańby.

Tom zaciskał zwisające luźno pięści, napawając się falami podniecenia i radości, przepływającymi przez jego ciało. Udało się mu. Co prawda, potrzebował koncentracji, która powinna przemieścić buldożer i w rezultacie przesunął tylko nieco ostrze rapiera. *Ale to wystarczyło!* Tach ocalił życie — a nawet zwyciężył — dzięki Tomowi. Spojrzał z lekką dumą na obce urządzenie. Uniosło się w powietrze i wylądowało w jego dłoniach z satysfakcjonującym trzaskiem.

— Chodź, Tachy, pora zniknąć — zaśpiewał. Jego pucołowate policzki zaczerwieniły się z ekscytacji.

Tach położył delikatnie Zabba na pokładzie i skoczył do przyjaciół. Żaden z jego krewnych nie ruszył się z miejsca.

Tom wręczył mu urządzenie z płytkim, niezgrabnym ukłonem.

Tachion odwzajemnił salut.

— Dobra robota, Żółwiu. Wiedziałem, że dasz radę.

Spojrzał na Benaf'saj, pokłonił się nisko, mrugnął znacząco i wydał rozkaz powrotu do domu.



To było tak, jakby znaleźli się w oku wiru nicości. Lodowaty chłód, nieprzenikniona ciemność, a dla Tachiona również wrażenie, że jego umysł rozdziera na wąskie pasemka stres związany z utrzymywaniem czworga wędrowców wewnątrz pola przenośnika osobliwościowego.

Na przodków! — zawył. *Obyśmy przynajmniej wylądowali na suchym lądzie.*



Tachion osunął się na ziemię. Urządzenie wypadło z jego odrętwiałych palców. Trips przykucnął w rynsztoku, ujmując jego głowę w dłonie.

— Ojejku! — mruknął.

Tom zwymiotował kilka razy, gdy jego udręczony żołądek próbował zdecydować, w którym punkcie czasoprzestrzeni obecnie się znajduje. Wokół narastał rwetes. Ludzie krzyczeli, okna otwierały się raptownie, klaksony trąbiły, samochody się zatrzymywały, siedzący w nich ludzie gapili się na żywy obraz, który pojawił się nagle na chodniku. Tom potarł oczy kłębami dłoni, spojrzał na Takizjanina i pośpiesznie opadł na kolana u jego boku. Z długiej rany na ramieniu Tacha, a także z jego nosa, wypływała ospale krew. Obcy pobladł niepokojąco. Wydawało się, że ledwie oddycha. Tom przyłożył ucho do piersi przyjaciela. Serce trzepotało nierówno.

— Nic mu nie będzie, brachu? — wymamrotał Trips.

— Nie mam pojęcia. — Tom odchylił głowę do tyłu i spojrzał na pierścień czarnych twarzy.

— Niech ktoś sprowadzi lekarza.

— Kurde, popatrz, pojawili się znikąd.

— Teleportujące się białasy. Myślisz, że są asami albo coś?

— Lekarza, wezwijcie lekarza — zawołał jakiś muskularny mężczyzna.

Asta odsunęła się powoli od kręgu gapiów, pośpiesznie poszukując wzrokiem czarnej kuli. Urządzeniem zainteresowała się dwójka dzieci. Podeszła do nich.

— Dam wam za to po pięć dolarów.

— Pięć dolarów! Kurde! To tylko kula do kręgli bez otworów. Na co pani ona?

— Och, zdziwiłybyście się — odparła cicho i wyjęła portfel. Szybko dokonano wymiany, po czym wsadziła urządzenie do torby.

Dźwięk syren zapowiadał przybycie policji oraz karetki. Tacha załadowano do środka i Tom zaczął pakować się tam za nim.

— Hej, gdzie jest to ustrojstwo?

Asta otworzyła usta, zamrugała kilka razy i znowu je zamknęła.

— Kurczę, nie wiem. — Rozejrzała się wkoło, jakby się spodziewała, że urządzenie zmaterializuje się nagle w krajobrazie Harlemu. — Może ktoś z gapiów je zabrał.

— Hej, ty, chcesz jechać ze swoim kumplem do szpitala czy nie? — warknął jeden z sanitariuszy.

— Hmm, poszukaj go — rozkazał Tom i wsiadł do karetki.

Asta pomachała ironicznie ręką na pożegnanie.

— Och, zrobię to.

Kien będzie bardzo zadowolony.

Oddaliła się nieśpiesznie, zmierzając do stacji metra, by wrócić w oczekujące na nią ramiona swego kochanka i szefa.



Kłódka otworzyła się z nagłym zgrzytem. Tach popchnął małe, boczne drzwi magazynu. Trips i Żółw weszli za nim w pełną ech ciemność. Kapitan wymamrotał coś niezrozumiałego na widok statku spoczywającego pośrodku ogromnego, pustego budynku. Bursztynowe i lawendowe światła na czubkach kolców Maleńkiej lśniły słabo w mroku, a kurz ze wszystkich stron napływał ku niej po spiralach, by mogła go zebrać i przetworzyć na paliwo. Śpiewała jedną z wielu heroicznym ballad składających się na znaczną część kultury statków, ale umilkła, gdy tylko wyczuła obecność Tacha. Dla obu ludzi muzyka była, rzecz jasna, nie słyszalna.

Maleńka — przemówił do niej telepatycznie.

Władcza istoto, czy polecimy? — zapytała z żalonym zapalem.

Nie, nie dzisiejszej nocy. Otwórz się, proszę.

Są z tobą ludzie. Czy oni też mają wejść?

Tak. To są Kapitan Trips i Żółw. Są dla mnie jak bracia. Szanuj ich.

Tak, Tisianne. Cieszę się, że otrzymałam wasze imiona.

Nie słyszą cię. Jak większość ich gatunku są umyślowo ślepi.

Smutek.

Gdy Tach prowadził gości do swego prywatnego salonu, pierś wypełniał mu ból wywołany smutkiem innego rodzaju. Wspomnieniem — jak mogło być aż tak klarowne? — dnia, gdy ojciec zabrał go ze sobą, by wybrać dla siebie statek. *Wszystko to minęło.*

Ułożył się pośród poduszek na swym łóżku i wydał polecenie. *Wyszukanie i kontakt.*

Czy będą tam władcze istoty?

Tak.

I jedna z mojego rodzaju? — zapytała Maleńka, ponownie okazując żałosny zapał.

Sekundy przechodziły w minuty. Tach wylegiwał się na łóżku, Trips przycupnął na kanapie jak nerwowy ptak na grzędzie, a Tom kołysał się nerwowo, stojąc na palcach.

Ściana przed Tachionem zamigotała. Pojawiła się twarz Benaf'saj. Statek zwiększył swą potężną moc telepatyczną i nawiązał kontakt.

Tisianne.

Kibr. Spodziewałaś się, że się odezwę?

Oczywiście. Znam cię...

Od pieluszek. Tak. Wiem o tym.

Zaskoczyłeś mnie, Tisianne. Mam wrażenie, że Ziemia wywarła na ciebie dobroczynny wpływ.

Nauczyła mnie wielu rzeczy — poprawił ją z przekąsem. Niektóre z nich są bardziej przyjemne od innych. Przerwał, dotykając palcami delikatnych koronek pod podbródkiem. *Czy nadal są między nami sztychy sztyletów?*

Nie, dziecko, możesz zostać ze swoimi wsiowymi ludźmi. Po porażce, jaką mu zadałeś, Zabb nie ma szans na berło. No wiesz, powinieneś był go zabić. Tach potrząsnął tylko głową. Benaf'saj zmarszczyła brwi, spoglądając na dłonie, i poprawiła pierścienie. Zatem się rozstajemy. Ku naszemu rozczarowaniu nie udało się zdobyć próbek, ale nie sposób zaprzeczyć, że eksperyment zakończył się sukcesem. Bakonur będzie zachwycony danymi, które zebraliśmy. To przedsięwzięcie jeszcze ocali rodzinę.

Tak — zgodził się bez przekonania Tach.

Co jakieś dziesięć lat będę przysyłała statek, żeby sprawdzić, jak ci idzie. Gdy już będziesz gotowy wrócić, przywitamy cię z radością. Powodzenia.

Powodzenia — wyszeptał.

— I co? — zapytał Tom.

— Zostawią nas w spokoju.

— Kurczę, bardzo się cieszę, że nas nie opuścisz.

— Ja też — odparł Tach, ale w jego głosie nie było pewności. Wpatrywał się z żalem w lśniąca ścianę, jakby z powrotem próbował przywołać obraz babki.

Ciepła, zręczna dłoń o krótkich kielbaskowatych palcach zacisnęła się mocno na jego barku. Po chwili Trips złapał go za drugą rękę i Tachion usiadł bez słowa, radując się miłością i sympatią obu mężczyzn. Tęsknota za domem wkrótce go opuściła.

— Najdrożsi przyjaciele, ależ przygodę przeżyliśmy — rzekł, kładąc rękę na dłoni Toma.

— Jasne, życie jest... no wiesz, ciekawe, brachu.

— Dlaczego go nie zabiłeś? — zapytał Tom.

Tach przesunął się i spojrzał prosto w brązowe oczy przyjaciela.

— Dlatego, że chciałbym wierzyć w możliwość odkupienia.

Tom zacisnął mocniej rękę.

— Uwierz w nią.



Z niewielką pomocą przyjaciół

VICTOR MILÁN

Nagłówek brzmiał: „KONTROWERSYJNY UCZONY BRUTALNIE ZAMORDOWANY W SWYM LABORATORIUM”.

— Szkoda, że pan nie widział, co napisali w „Daily News” — odezwała się.

— Młoda damo — odparł doktor Tachion, odsuwając z niesmakiem czubkami palców „New York Timesa” i opierając się niebezpiecznie na obrotowym krześle — nie jestem policjantem. Jestem lekarzem.

Zmarszczyła brwi, spoglądając na niego nad nieskazitelnym, prostokątnym blatem biurka. Odchrząknęła, cicho i delikatnie.

— Zaskłynął pan jako ojciec i opiekun Dżokerowa. Jeśli pan czegoś nie zrobi, niewinny dżoker zostanie skazany za morderstwo.

Tym razem to on się zasepił, stukając wysokim obcasem buta o metalowy brzeg biurka.

— Ma pani dowody? Jeśli tak, powinna się pani zwrócić do prawnika reprezentującego tego biedaka.

— Nie. Nie mam nic.

Wyjął złotego żonkila z wazonu stojącego u jego łokcia i pomachał sobie kwiatem przed nosem.

— Zastanawiam się nad czymś. Z pewnością jest pani wystarczająco wrażliwa, by odwołać się do mojego poczucia winy.

Odwzajemniła uśmiech, machnęła lekceważąco ręką w geście szybkim jak u leśnego zwierzęcia i niemalże skrytym, lecz zarazem nieco sztywnym. Nasunęła mu się oderwana myśl, że bardzo już się zasymilował na tym świecie o wysokiej grawitacji. Gdy ujrzał dziewczynę, najpierw pomyślał, że jest niemalże boleśnie chuda, i dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo przypomina bladą elfkę — takizjański ideał urody. Cera blada jak papier, prawie jak u albinoski, białoblond włosy i ledwie niebieskie oczy. Jej strój był bezbarwny, jak na jego gust — brzoskwiniowy kostium z bardzo krótką spódnicą, nałożony na białą bluzkę, a na szyi łańcuszek, blady i delikatny jak jej włosy.

— To moja praca, doktorze, i świetnie pan o tym wie. Gazeta oczekuje ode mnie, że będę wiedziała, co się dzieje w Dżokerowie.

Sara Morgenstern była w „Washington Post” specjalistką od spraw asów, odkąd przed

dziesięciu laty reportaż z rozruchów w Dżokerowie dał jej nominację do nagrody Pulitzera.

Nie odpowiedział. Kobieta opuściła wzrok.

— Klucha by tego nie zrobił. Nikogo by nie zabił. To chodząca łagodność. Rozumie pan, on jest niedorozwinięty.

— Wiem o tym.

— Mieszka z dżokerem zwanym Połyskiem, na Eldridge Street. Połysk się nim opiekuje.

— Jest niewinny.

— Jak dziecko. Och, aresztowano go w siedemdziesiątym za zaatakowanie policjanta, ale to było co innego. Był... Takie były czasy.

Sprawiała wrażenie, że chce powiedzieć coś więcej, ale głos uwiązł jej w gardle.

— W rzeczy samej. — Przechylił głowę. — Bardzo się pani zaangażowała w tę sprawę.

— Nie mogę znieść myśli, że Klusze stanie się krzywdą. Jest oszołomiony, boi się. Po prostu nie potrafię zachować dziennikarskiego obiektywizmu.

— A co z policją? Czemu nie pójdzie pani do nich?

— Już mają podejrzanego.

— A co z pani gazetą? Z pewnością „Washington Post” ma wpływy.

Strząsnęła do tyłu lodospad włosów.

— Och, mogłabym napisać oskarżycielski artykuł, doktorze. Być może nowojorskie gazety by go przyjęły. Albo nawet „Sześćdziesiąt minut”. Może, za jakiś rok albo dwa, powszechne oburzenie sprawi, że sprawiedliwości stanie się zadość. A tymczasem on siedzi w więzieniu Tombs, doktorze. Dziecko, samotne i przerażone. Wie pan, co to znaczy, być niesprawiedliwie oskarżonym, utracić wolność z powodu fałszywych zarzutów?

— Tak, wiem.

Przygryzła wargę.

— Przepraszam. Zapomniałam o tym.

— Nieważne. — Tach pochylił się nad biurkiem. — Jestem bardzo zajęty, moja droga. Kieruję kliniką. Ciągłe próbuję przekonać władze, że Matka Roju wcale nie musi się oddalić po tym, jak odparliśmy jej pierwszy atak, lecz może zamiast tego przygotowywać nowy, jeszcze groźniejszy. — Westchnął. — No cóż, chyba będę musiał zbadać tę sprawę.

— Pomoże pan?

— Tak.

— Dzięki Bogu.

Wstał, okrążył biurko i podszedł do niej. Uniosła głowę. Jej wargi wydawały się dziwnie bezwładne. Odnosił wrażenie, że próbuje być pociągająca, ale nie bardzo wie, jak to się robi.

Co tu jest grane?, zadał sobie pytanie. Z reguły nie zwykł odrzucać zaproszeń tak atrakcyjnych kobiet, ale coś się w tym kryło i instynkty wyostrome na takizjańskich wendetach

kazały mu zachować dystans. Nie chodziło o to, że wyczuwał zagrożenie. Tylko tajemnicę, ale dla członka jego kasty było to wystarczająco groźne.

Pod wpływem impulsu, nieco poirytowany tym, że złożyła mu propozycję, a jednocześnie uniemożliwiła jej przyjęcie, wyciągnął rękę i złapał za łańcuszek, który miała na szyi, wyciągając pozbawiony ozdób srebrny medalionik, na którym wyryto kaligraficzne inicjały A.W. Spróbowała mu go wyrwać, ale Takizjanin otworzył go, zręczny jak kot.

Portret dziewczynki, najwyżej trzynastoletniej. Włosy miała blond, rysy pełniejsze niż Sara Morgenstern, a uśmiech bardziej wyniosły, lecz z całą pewnością była do niej bardzo podobna.

— To pani córka?

— Moja... moja siostra.

— „A.W.”?

— Morgenstern to nazwisko po mężu, doktorze. Zachowałam je po rozwodzie. — Odwróciła się bokiem, zaciskając kolana i garbiąc ramiona. — Nazywała się Andrea. Andrea Whitman.

— Nazywała?

— Nie żyje.

Wstała pośpiesznie.

— Przykro mi.

— To było dawno temu.



— Wujku Tachy! Wujku Tachy!

Blond pocisk uderzył go w goleń i owinął się wokół niego niczym kłęb wodorostów, gdy tylko Tach stanął w drzwiach sklepu z wyrobami tytoniowymi połączonego z delikatesami, o nazwie „Kosmiczna Dynia (pokarm dla ciała, umysłu i ducha)”, ulokowanego na Fitz-James O’Brien Street, nieopodal granicy Dżokerowa z Greenwich Village. Pochylił się z uśmiechem, uniósł dziewczynkę z podłogi i uściskał ją.

— Co mi przyniosłeś, wujku Tachy?

Pogrzebał w kieszeni płaszcza i wyjął stamtąd kostkę karmelową.

— Nie mów ojcu, że ci to dałem.

Potrząsnęła z powagą głową, otwierając szeroko oczy.

Zaniósł ją do wypełnionego sympatycznym nieładem pomieszczenia, ale w duchu czuł się zdruzgotany. Trudno było uwierzyć, że to piękne, dziewięcioletnie dziecko było upośledzone i podobnie jak Klucha nigdy nie przekroczy umysłowego wieku czterech lat.

Z Kluchą było łatwiej. Potężny mężczyzna o wzroście ponad dwa metry wyglądał jak prawie kulista masa białego ciała. Jego pozbawiona zarostu, lekko sinawa twarz była tak obrzękła, że niemal nie widziało się rysów, a zatopione w tłuszczu i łzach oczy przypominały rodzynki. Nie pamiętał, by nazywano go inaczej niż tym okrutnym przezwiskiem. Bał się. Tęsknił za panem

Połykiem i panem Bensonem, który sprzedawał gazety i mieszkał na dole. Chciał się pobawić Go-Botem, którego kupił mu pan Połyk na krótko przed tym, nim zabrali go ci ludzie. Chciał wrócić do domu, uciec od brutalnych nieznajomych, którzy dźgali go palcami i przezywali okrutnie. Był żałośnie wdzięczny Tachionowi, gdy ten przyszedł go odwiedzić. A kiedy Tach opuszczał pokój odwiedzin o żółtozielonych ścianach, więzień złapał go za rękę i się rozplakał.

Tach również płakał, ale dopiero później, gdy Klucha nie mógł już tego zobaczyć.

On jednak wyraźnie był dzokerem, ofiarą wirusa dzikiej karty, sprowadzonego na ten świat przez klan Tacha, natomiast Sprout Meadows była fizycznie doskonałym dzieckiem, pięknym nawet według wygórowanych kryteriów arystokratycznych rodów, takich jak Ilkazam, Alaa albo Kalimantari, a do tego miała słodsze usposobienie niż jakakolwiek córka Takis. Mimo to była równie zdeformowana jak Klucha. Na rodzinnym świecie Tacha uważano by ją za takiego samego potwora jak on — i podobnie jak jego natychmiast pozbawiono by ją życia.

Rozejrzał się wkoło. Przy frontowym oknie, pod zwietrzałą egidą drewnianego Indianina reklamującego papierosy, dwie sekretarki jadły spóźniony obiad.

— Gdzie twój tata?

Dziewczynka miała usta zamknięte karmelem, wskazała więc tylko głową w stronę sklepu tytoniowego

— Na co się gapisz, frajerze? — zapytał jakiś głos.

Zamrugał i z opóźnieniem skierował wzrok na młodą, muskularną kobietę w brudnej, szarej bluzie sportowej z napisem CUNY, stojącą za ladą delikatesów.

— Przepraszam?

— Słuchaj, ty męski szowinistyczny dupku. Wiem coś o tobie. Lepiej uważaj.

Tach z opóźnieniem przypomniał sobie dwie trudno odróżnialne ekspedientki Marka Meadowsa.

— Ach, jesteś Brenda, tak? — Skinęła wojowniczo głową. — Brendo, mogę cię zapewnić, że nie miałem zamiaru się na ciebie gapić.

— Och, rozumiem. Nie jestem młodą damą z towarzystwa, jak Sokolica. Nie w twoim typie. Jestem jedną z tych kobiet, których mężczyźni tacy jak ty nie dostrzegają. — Przesunęła dłonią po sztywnych, rudawych, ale u podstawy mających barwę herbaty włosach, i pociągnęła nosem.

— Doktorze!

W drzwiach sklepu tytoniowego pochylała się znajoma, przypominająca bociana postać.

— Mark, tak się cieszę, że cię widzę — rzekł szczerze Tachion. Pocałował Sprout w czoło, zmierzwił jej związane w mysie ogonki włosy, i postawił ją na linoleum. — Biegnij się pobawić, najdroższe dziecko. Chcę porozmawiać z twoim ojcem.

Dziewczynka uciekła.

— Masz chwilkę, Mark?

— Och, oczywiście, brachu. Dla ciebie zawsze.

Pośród rozmaitych akcesoriów i starych plakatów na drugim końcu sklepu krążyło dwóch chłopaków ubranych w skórzane płaszcze, o fryzurach przypominających dojrzałe dmuchawce, ale Mark nie zaliczał się do podejrzliwych. Skinięciem głowy wskazał Tachowi stolik pod odległą ścianą, wziął imbryk i dwa kubki, a potem podążył za przyjacielem, powłócząc nogami i kołysząc lekko głową. Miał na sobie starą różową koszulkę Brooks Brothers, skórzaną kamizelkę z frędzlami i straszliwie szerokie spodnie dzwony, wyblakłe niemal do koloru białych fajerwerków, umieszczonych na nich metodą nierównomiernego farbowania. Opadające do ramion blond włosy związał sobie na wysokości skroni rzemieniem z frędzlami. Gdyby Tachion nie widział go w pełnym splendorze jego sekretnej tożsamości, pomyślałby, że jego przyjaciel w ogóle nie potrafi się ubrać.

— Co mogę dla ciebie zrobić, brachu? — zapytał Mark, spoglądając radośnie zza okrągłych szkielec druczianych okularów.

Tach oparł łokcie na obrusie — również nierównomiernie farbowanym — i wyduł wargi, przyglądając się, jak Mark nalewa herbatę.

— Dżokera zwanego Kluchą aresztowano za morderstwo. Przyszła do mnie młoda reporterka zapewniająca, że jest niewinny. — Zaczerpnął głęboki oddech. — Ja też w to wierzę. On ma bardzo łagodny charakter, mimo że jest wielki, paskudny i nadludzko silny. Jest też upośledzony umysłowo.

Czekał przez chwilę na odpowiedź. Serce podchodziło mu do gardła.

— A więc go wrobili — rzekł tylko Mark. — O co oskarżają go psy?

Wypowiedział ten epitet bez złości.

— Ofiarą był niejaki doktor Warner Fred Warren, piszący do tabloidów popularne artykuły z zakresu astronomii. W luźnym znaczeniu tego słowa. Żeby dać ci pojęcie o jego twórczości, jeden z tych artykułów był zatytułowany: „Czy kometa Kohoutka przyniosła na Ziemię AIDS?”.

Mark się skrzywił. Nie był typowym hipisem, gardzącym nauką albo traktującym ją nieufnie. Ale z drugiej strony nawrócił się na wiarę Flower Power późno, dopiero w czasach, gdy wszyscy w San Francisco zostali już wyznawcami Stalina.

— Ostatnia prognoza Warrena mówiła, że w Ziemię uderzy planetoida, która zniszczy wszelkie życie, a przynajmniej cywilizację, jaką znamy. Artykuł wywołał spore kontrowersje. To zdumiewające, że Ziemianie poświęcają tak wiele uwagi podobnym głupstwom. Policja wysunęła przypuszczenie, że Klucha usłyszał, jak jego znajomi o tym rozmawiają, wystraszył się i pewnej nocy w zeszłym tygodniu zakradł się do laboratorium doktora, by załuc go na śmierć.

Mark zagwizdał cicho.

— Mają jakieś dowody?

— Troje świadków. — Tach przerwał na chwilę. — Jeden z nich zidentyfikował Kluchę jako

człowieka, którego widział opuszczającego mieszkanie Warrena w noc morderstwa.

Mark machnął ręką.

— To żaden problem. Uwolnimy go, brachu.

Tachion otworzył usta, po czym je zamknął.

— Musimy się dowiedzieć, jakie jeszcze informacje zebrano w tej sprawie — stwierdził po chwili. — Policja nie jest skłonna do współpracy. Niemalże powiedzieli mi, że to nie mój interes!

Mark odwrócił jasnoniebieskie oczy od gościa. Tach popił łyk herbaty. Miała cierpki, ziołowy smak, coś w rodzaju mięty.

— Wiem, jak można to załatwić. Czy ten Klucha ma adwokata?

— Doradcę prawnego.

— Czemu się z nim nie skontaktujesz i nie zaproponujesz, że podejmiesz się bezpłatnie roli medycznego rzeczoznawcy?

— Rewelacja. — Spojrzał pytająco na przyjaciela, przechylając głowę niczym zaniepokojony ptak. — Jak na to wpadłeś?

— Nie wiem, brachu. Po prostu przyszło mi do głowy. A na czym ma polegać moja rola?

Tach popatrzył na blat stolika. W tle było słycać stukot widelców przecinających tofu i uderzających o ceramiczne naczynia wyłożone wilgotną sałatą rzymską. Przyszedł tu z więzienia Tombs głównie dla uspokajającego efektu, jaki Mark wywierał na jego ducha. Niemniej...

Ta sprawa wykraczała poza jego możliwości. Jak powiedział Sarze, nie był detektywem. Mark Meadows, Ostatni Hipis, na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia lepszego kandydata do tej roli, ale był też doktorem Marcusem Aureliusem Meadowsem, najzdolniejszym żyjącym biochemikiem. Przed wypadnięciem z obiegu dokonał kilku przełomowych odkryć i położył podstawy pod wiele następnych. Nauczono go obserwacji i myślenia.

Co więcej, Tach lubił krój jego płaszcza, a dla Takizjanina był to wystarczający powód.

— Już mi pomogłeś, Mark. W końcu to twój świat. Rozumiesz miejscowe zwyczaje lepiej ode mnie. — *Mimo że ja jestem tu dłużej*, uświadomił sobie nagle. — I są jeszcze twoi przyjaciele. Hmm, masz ich więcej niż tych dwóch, których spotkaliśmy na statku mojego kuzyna?

Mark skinął głową.

— Jeszcze troje, do tej pory.

— Świetnie. Mam nadzieję, że okażą się bardziej skłonni do współpracy od tamtej dwójki.

Liczył na to, że któreś z alter ego kapitana posiada talenty użyteczne w tej sprawie. Na szczęście nie potrafił sobie wyobrazić sytuacji, w której mógłby się im przydać gburowaty morświnołak Wodnik, ale chełpliwy tchórz Kosmiczny Wędrowiec to co innego, on zaś nie był

gotowy tak szybko znowu narażać się na jego towarzystwo, nawet po to, by uratować biednego Kluchę przed śmiercią za życia.

Odsunął ze zgrzytem krzesło i wstał.

— Zabawmy się razem w detektywów.



Dzieciak miał spodnie w kolorach maskujących i opaskę na głowę w stylu Rambo. Stał na rogu Hester i Bowery, próbując przytrzymać targane wiatrem strony czasopisma. Tach obejrzał się przez ramię. Nagłówek głosił: „Doktor Śmierć: stworzony przez samego siebie cyborg najemnik walczy z komuchami w Salvo”.

Chłopiec uniósł wzrok, gdy dwaj mężczyźni przystanęli przy kiosku obok niego. Jego szczupła portorykańska twarz zamarła w wojowniczym grymasie. Następnie jego mina zmieniła się niczym wosk, przechodząc w zachwyt.

Patrzył na środkowy guzik żółtej kamizelki we wzór paisley. Powyżej jego czoła powiewał ogromny zielony krawat w żółte groszki, wykwitający z różowego kołnierza koszuli. Po obu stronach łopotały poły fioletowego fraka. Cylinder tego samego koloru, z zielonym otokiem ozdobiony złotymi pacyfami, zagrażał chmurom barwy rozwodnionego mleka.

Obleczone w żółtą rękawiczkę palce ułożyły się na kształt litery V.

— Pokój.

To słowo dobiegło od twarzy wielkonosego *norteamericano*, unoszącej się gdzieś pośród tych wszystkich barw.

Chłopak rzucił czasopismo właścicielowi i uciekł.

Kapitan Trips zamrugał, śledząc go wzrokiem. Miał zranioną minę.

— Kurde, co ja powiedziałem?

— Nie szkodzi — odezwała się z chichotem istota stojąca za ladą. — I tak by go nie kupił. Czym mogę ci służyć, doktorze? I twojemu barwnemu przyjacielowi?

— Mniam. — Mark powęszył, rozwierając szeroko nozdrza. — Świeża prażona kukurydza.

— To ja — wyjaśnił Jube. — Tak pachnę.

Tachion skrzywił się boleśnie.

— Ale odjazd!

Paciorkowate oczy Jube'a wpatrzyły się na moment w nieznanego. Ciemnoniebieska skóra na jego czole zmarszczyła się w wyrazie orogenicznego zaskoczenia. Potem kioskarsz się roześmiał.

— Kapuję! Jesteś hipisem.

Kapitan rozpromienił się radośnie.

— Zgadza się, brachu.

Tuszcz pokrywający ciało Jube'a zatrzęsł się gwałtownie.

— Goo-goo-goo-jube! — ryknął. — Jestem Morsem. Miło mi cię poznać.

Faktycznie przypominał morsa. Miał góra metr pięćdziesiąt wzrostu, zwiślały z niego fałdy tłuszczu, wielka gładka głowa porośnięta tu i ówdzie kosmykami włosów, przywodzącymi na myśl pokryte rdzą pędzle do golenia, znikająca bez pośrednictwa szyi pod kołnierzem zielono-czarno-żółtej koszuli hawajskiej. Miał małe, białe kły, sterczące z kącików uśmiechniętych ust. Wyciągnął dłoń jak z kreskówek Warner Brothers — cztery palce, w tym przeciwstawny kciuk — i Kapitan uścisnął ją z radością.

— To jest Kapitan Trips. As i mój nowy znajomy. Jube, potrzebujemy od ciebie pewnych informacji.

— Strzelaj.

Wykonał prawą ręką gest naśladujący pistolet, wznosząc spojrzenie ku Tripsowi.

— Co wiesz o dzokerze zwanym Kluchą?

Jube skrzywił się na tektoniczną skalę.

— Paskudna sprawa. Chłopak nie skrzywdziłby nawet muchy. Mieszka w tym samym domu co ja. Widuję go prawie codziennie. To znaczy widywałem, przed tą aferą.

— Czy przypadkiem nie słyszał, no wiesz, jak ludzie opowiadają, że w Ziemię uderzy planetoida, i nie podekscytował się tym? — zapytał Trips. Zbłąkany kawałek gazety przywarł od tyłu do jego łydek, niesiony wiatrem, który jeszcze sobie nie uświadomił, że nadeszła wiosna. Trips zignorował ją, podobnie jak ignorował chłód.

— Gdyby usłyszał coś takiego, schowałby się pod łóżko i nie wyszedłby stamtąd, dopóki ktoś by go nie przekonał, że to był żart. Czy tak brzmi ich wersja?

Trips skinął głową.

— Musicie pogadać z Połyskiem. To on wynajmuje mieszkanie, utrzymuje Kluchę i pozwala mu tam mieszkać. Czyści buty na Bowery, niedaleko Delancey. Tamtą część Dżokerowa częściej odwiedzają turyści.

— A czy znajdziemy go tam o tej porze? — zapytał Tach.

Jube zerknął na zegarek z Myszka Miki, którego pasek niemal całkowicie nikał w jego gumowatym nadgarstku.

— Przerwa obiadowa się skończyła, więc pewnie sam poszedł coś zjeść. Powinien być w domu. Pod szóstką.

Tachion podziękował mu, a Trips uchylił z powagą kapelusza. Ruszyli w drogę.

— Doktorze?

— Słucham, Jubal?

— Lepiej załatwcie to szybko. Jeśli Klucha powędruje na ciężkie roboty, może się tu zrobić bardzo gorąco. Mówią, że Gimli wrócił na ulice.

Tachion uniósł brwi.

— Tom Miller? Myślałem, że jest w Rosji.

Mors dotknął palcem szerokiego, płaskiego nosa.

— O to właśnie mi chodzi, doktorze. O to właśnie mi chodzi.



— Spotkałem go, och, jakieś piętnaście, szesnaście lat temu. — Mężczyzna zwany Połyskiem siedział na łóżku w pokoju mieszkania na Eldridge Street. Kołysał się w przód i w tył, zaciskając ręce między chudymi kolanami. — W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Była zima. Siedział obok puszki na śmieci w zaułku za sklepem z maskami i ryczał wniebogłosey. Mama zaprowadziła go tam i zostawiła.

— Kurde, to okropne — odezwał się Trips. Stali z Tachem na pięknie wysprzątanym parkiecie. Nie było tu żadnych mebli poza łóżkiem Połyska i wielkim materacem o brudnej powłoce.

— Och, pewnie potrafię to zrozumieć. Miał jedenaście, może dwanaście lat, już był dwa razy większy ode mnie i silniejszy niż większość mężczyzn. Opieka nad nim musiała być cholernie trudna.

Połysek był drobny, jak na Ziemianina, niższy od Tacha. Z daleka wyglądał jak zwyczajny czarny mężczyzna po pięćdziesiątce. Miał siwiejące włosy i złotą koronkę na prawym kle. Z bliska można było zauważyć, że jego skóra lśni nienaturalnym blaskiem, jak obsydian, a nie ludzkie ciało.

— Sam jestem dla siebie reklamą — wyjaśnił. — To przywabia do mnie klientów.

— Czy Klucha potrafił sam znajdować drogę w mieście? — zapytał Tachion.

— Nie ma mowy. W Dżokerowie sobie radził, bo, no wiesz, miejscowi zawsze pilnowali, żeby nie zabłądził. — Przez chwilę siedział bez słowa, wpatrując się w plamę słonecznego światła na podłodze. Małe metalowe ferrari leżało w niej na boku. — Słyszałem, że tego naukowca zabili blisko Central Parku. On był tam tylko dwa razy w życiu. Nie ma pojęcia o astronomii.

Zacisnął powieki. Wypływały spod nich łzy.

— Och, doktorze, musisz coś zrobić. To mój chłopak. Jest dla mnie jak syn. On cierpi. A ja nie mogę mu po móc.

Tachion przestępował z nogi na nogę. Kapitan wyciągnął z klapy zmiętą stokrotkę, przykucnął i podał ją Połyskowi.

Zapłakany mężczyzna otworzył oczy, lecz natychmiast przymrużył powieki, podejrzliwy i zbity z tropu. Trips nie ruszał się z miejsca, podsuwając mu kwiat. Po chwili Połysek go przyjął.

Trips uściśnął mu dłoń. Na jego rękę spadła łza. Obaj z Tachionem wyszli cicho.



— Doktor Warren nie był tylko uczonym — oznajmiła Martha Quinlan, prowadząc ich

z powrotem przez mieszkanie. — Był świętym. Nigdy nie zaprzestawał walki o to, by ludzie mogli poznać prawdę. Jest męczennikiem poszukiwania wiedzy.

— Ojej — odezwał się Kapitan Trips.

O ile Tachion potrafił to określić, nieżyjący Warner Fred Warren nie pozostawił spadkobierców. Walka o prawa do funduszu powierniczego, dzięki któremu mógł sobie pozwolić na penthouse w wieżowcu przy Central Parku oraz na poświęcenie życia nauce — jego dziadek był milionerem, który dorobił się na ropie naftowej w Oklahomie, wierzył, że zawdzięcza swój majątek różdżkarstwu i umarł, twierdząc, że jest królową Wiktorią — dopiero się zaczynała, ale pani Quinlan, jako p.o. redaktora naczelnego „National Informera”, najwyraźniej została wykonawcą testamentu.

— To bardzo miło, że przyszedł pan złożyć wyrazy szacunku tragicznie zmarłemu koledze, doktorze. To by znaczyło bardzo wiele dla biednego Freda, gdyby się dowiedział, że nasz sławny gość z gwiazd zainteresował się nim osobiście.

— Wkład, jaki wniósł w naukę doktor Warren, nie ma sobie równych — oznajmił z namaszczaniem doktor Tachion. *Od czasów Trofima Łysenki* — dodał w myślach. *Ach, Klucho, obyś nigdy nie zgadł, na co muszę się narażać, by wywalczyć dla ciebie sprawiedliwość.* Historia, jaką opowiedział tej kobiecie, by móc zobaczyć miejsce zbrodni, była przykładem odruchowego zastosowania takizjańskiej sztuki dezinformacji.

— To okropna sprawa — powtarzała Quinlan, prowadząc ich korytarzem pełnym oprawionych w ramki odbitek fotografii z czasopism z lat dwudziestych, przedstawiających psy myśliwskie. Była nieco wyższa od Tacha i nosiła suknię spowijającą ją niczym czarny worek od szyi i łokci aż po uda, szkarłatne rajstopy, białe buty oraz grube plastikowe bransolety na rękach. Siwiejące blond włosy były uczesane prosto i ścięte po skosie. Oczy miała umalowane jak Theda Bara, ale nie używała szminki. — To prawdziwa tragedia. Całe szczęście, że złapali tego, kto to zrobił. Podobno ma nie po kolei w głowie, a do tego jest dzokerem. Zapewne też zbrodnicem. Zapewniam pana, że nasi reporterzy badają tę sprawę bardzo dokładnie.

Trips wydał z siebie jakiś dźwięk. Quinlan zatrzymała się na końcu korytarza.

— Proszę bardzo, panowie. Wszystko wygląda tak, jak w dzień jego śmierci. Zamierzamy zrobić z tego muzeum, gdy wielkość Freda zostanie wreszcie uznana przez naukowy establishment, który tak go prześladował za życia.

Zaprosiła ich do środka zamaszystym gestem.

Dębowe drzwi laboratorium doktora Freda były solidne nawet jak na szykowne nowojorskie mieszkanie. Poprzedniego gościa to jednak najwyraźniej nie powstrzymało. Pracowite gnomy z zakładu medycyny sądowej mieszczącego się w ceglany gmachu One Police Plaza usunęły większość drzazg, ale resztkę roztrzaskanych drzwi nadal zwisiała na wygiętych mosiężnych zawiasach.

Wzrok Tachiona po dziś dzień miał trudności z przyzwyczajeniem się do utylitarnych, prostokątnych kształtów ziemskiego sprzętu naukowego. Na Takis nauka była dziedziną nielicznych, nawet wśród psionicznych władców. Używane przez nich instrumenty wyhodowano z genetycznie zmodyfikowanych organizmów, podobnie jak ich statki, albo wykonywali je na zamówienie rzemieślnicy starający się, by każde urządzenie było jedyne w swoim rodzaju i miało szczególne znaczenie. Tutaj nie miał podobnych kłopotów. Sprzęt stojący na stołach roboczych o gumowych blatach porozbijano na kawałki. Wszędzie walały się papiery i potłuczone szkło.

— Kurde, czy miał tu obserwatorium? — zapytał Trips, rozglądając się wkoło. Zdumiewający cylinder trzymał w ręce.

— Nie, nie. Jego obserwatorium znajduje się na Long Island. Tam najczęściej patrzył w gwiazdy. Tutaj pewnie analizował uzyskane wyniki. Jest tu ciemnia i tak dalej. — Dotknęła długim paznokciem linii żuchwy... — Jak właściwie się pan nazywa? Kapitan...

— Trips.

— Jak w tej książce Kinga? Jak ona się nazywała? *Bastion*.

— Hmm, nie. Tak nazywali Jerry'ego Garcię. — Jej twarz nie wykazywała oznak oświecenia. — On był liderem Grateful Dead. To znaczy, hmm, nadal nim jest. No wie pani, nie wyciągnął asa jak Jagger, Tom Douglas czy...

Zauważył, że jej oczy zaszklily się i wpatrzyły w pustkę. Umilkł i zaczął spacerować wkoło po sporym, zagraconym i pełnym zniszczeń pokoju.

— Hej, doktorze, co to za ciemne plamy na ścianach?

Tach uniósł wzrok.

— Ach, te? Zakrzepła krew oczywiście.

Trips pobladł i wybałuszył nieco oczy. Tachion uświadomił sobie, że ponownie pogwałcił jego wrażliwość. Jak na tak odporną rasę, Ziemianie mieli wyjątkowo słabe żołądki.

Niemniej nawet on był zdumiony gwałtownością wydarzeń, które rozegrały się w ulokowanym w penthousie laboratorium. Wyczuwał ich bezmyślny charakter, dotykalne emanacje furii i złości. Biorąc pod uwagę ograniczoną wyobraźnię większości policjantów, jakich spotkał, Tachion nie był już zaskoczony, że Klucha wydał się im wiarygodnym podejrzanym. Uważali go za obłąkanego dziwoląga, karykaturę rodem z kiepskich filmów o masowych mordercach, a to z pewnością dobrze opisywało napastnika, który zabił doktora Warnera Freda Warrena. Tachion był jednak coraz bardziej przekonany, że to potężne, łagodne dziecko nie byłoby zdolne do podobnego czynu, nawet najsilniej sprowokowane.

Redaktorka „Informer” zniknęła, z pewnością pod wpływem gwałtownych uczuć.

— Hej, doktorze, spójrz na to — zawołał Trips. Pochylał się nad stołem kreślarskim pełnym przedstawiających gwiazdy fotografii, wpatrując się intensywnie w jego skraj.

Tach spojrział w to samo miejsce. Na powierzchni widniała szara, pomarszczona plamka, jakby kawałek mokrej serwetki rozciągnięto na plastikowej powierzchni i zostawiono tam, żeby wyschnął. Plamka wywierała dziwnie błoniaste wrażenie, muskające granice jego wiadomości.

— Co to za substancja? — zapytał Trips.

— Nie wiem — odparł Tachion, wodząc wzrokiem po zdjęciach. Jego uwagę przyciągnęła data, wypisana ołówkiem na brzegu jednej z fotografii. „5 kwietnia '86”. Tego dnia zamordowano Warrena.

Kapitan Trips wyjął z kieszeni małą fiolkę i skalpel w jednorazowym plastikowym opakowaniu.

— Zawsze nosisz ze sobą takie przybory? — zapytał Tach, zdrapując kilka płatków szarej substancji.

— Kurde, pomyślałem sobie, że mogą się przydać, jeśli mam zostać detektywem i tak dalej.

Tach wzruszył ramionami i skupił uwagę na zdjęciu, które przyciągnęło jego spojrzenie. Leżało na wierzchu małego stosiku. Kiedy je podniósł, pod spodem dostrzegł kilkanaście podobnych. Dla jego niewprawnych oczu wszystkie wyglądały tak, jakby przedstawiały to samo pole gwiazdne.

— Hej, doktorze, kapitanie — zabrzmiał za ich plecami nieznajomy głos. — Proszę o szerokie uśmiechy dla potomności.

Ze zręcznością, która zaskoczyła nawet jego, Tach na wpół zwinął zdjęcia i wsunął je do szerokiego rękawa płaszcza, jednocześnie odwracając się w stronę intruza.

Martha Quinlan weszła do laboratorium z radosnym uśmiechem na ustach, a stojący obok niej młody, czarnoskóry mężczyzna opadł na jedno kolano i zaatakował ich fleszem tak jasnym, jakby chciał wysłać laserową wiązkę na Marsa.

Z lekkimi oporami Tach cofnął palce od przesadnie wielkiej drewnianej rękojeści magnum kalibru .357, które miał w kaburze pod pachą, ukrytej pod żółtym płaszczem.

— Mam nadzieję, że potrafi to pani wytłumaczyć — odezwał się lodowatym takizjańskim tonem.

— Och, to tylko Rick — zawołała Quinlan. — Jeden z fotografów naszego pisma. Po prostu musiałam go tu zawołać, żeby uwiecznił to wydarzenie.

— Proszę pani, obawiam się, że nie robimy tego dla rozgłosu — odezwał się zdenerwowany Tachion.

Rick wstał i machnął uspokajająco ręką.

— Bez obaw — uspokoił go. — To tylko do naszego archiwum. Może mi pan zaufać.



— Tezcatlipoca — stwierdził doktor Allan Berg, rzucając fotografię na szczyt sterty książek, papierów oraz zdjęć, pod którą przypuszczalnie krył się blat jego biurka.

— Słucham? — zapytał Trips.

— 1954C-1100. To skała, panowie. Nic więcej i nic mniej.

W małym gabinecie wyczuwało się silny zapach potu oraz tytoniu fajkowego. Trips wyglądał przez okno na popołudniowy kampus uniwersytetu Columbia, obserwując szarą wiewiórkę, która siedziała na klonie i skrzeczała na czarnego chłopaka niosącego waltornię w porysowanym futerale.

— Ciekawa nazwa — zauważył Tachion.

— To był aztecki bóg. Miał dość nieprzyjemny charakter, o ile się orientuję, ale tak to już jest. Ten, kto odkryje planetoidę, ma prawo nadać jej nazwę. — Berg wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Zastanawiałem się nad tym, czy nie poszukać jakiejś, by nazwać ją na swoją cześć. Hej, to swego rodzaju nieśmiertelność.

Wyglądał jak sympatyczny żydowski chłopak — pełne zapału oczy, długa owalna twarz i wielki nos, tyle że jego kędzierzawe, rozczochrane włosy były siwe. Miał na sobie niebieską koszulę i brązowy krawat, pod swetrem utkanym tak luźno, że prawie można by nim łowić ryby. Jego sposób bycia był zaraźliwy.

— A czy jest wystarczająco duża, by, no wie pan, spowodować szkody, kiedy spadnie? — zapytał Trips. — A może to również jest przesada?

— Nie, hmm. Kapitanie, mogę pana zapewnić, że nie. — Zająknął się lekko, wypowiadając ten tytuł. Normowie, zwłaszcza z okolic Nowego Jorku, musieli się przyzwyczaić do zwyczajów asów, szczególnie tych, którzy postanowili naśladować dawnych komiksowych bohaterów i wdziać barwne kostiumy. A Kapitan Trips zaliczał się do najdziwaczniejszych. — Tezcatlipoca to niklowo-żelazna bryła o wymiarach w przybliżeniu kilometr na półtora. Waży wiele milionów ton. Zależnie od kąta, pod jakim uderzy, może spowodować niszczycielskie tsunami i trzęsienia ziemi, a także efekty podobne do tych, które kojarzymy z zimą atomową. Niewykluczone też, że mogłoby dojść do pęknięcia ziemskiej skorupy albo wybicia w kosmos znacznej części atmosfery. Niemal na pewno byłaby to największa katastrofa w zarejestrowanej historii. Mógłbym wam podać dokładniejszą ocenę, gdybym poświęcił trochę czasu na policzenie tego na papierze. Ale nie zrobię tego, bo Tezcatlipoca nie uderzy w Ziemię. — Pociągnął łyk kawy z pękniętego kubka. — Biedny Fred.

— Przyznaję, że byłem zaskoczony, słysząc, że mówi pan o nim z taką sympatią, kiedy rozmawialiśmy przez telefon — rzekł Tachion.

Berg odstawił kubek i zapatrzył się w ciemny, letni płyn.

— Studiowałem z nim w MIT, doktorze — wyjaśnił. — Przez rok mieszkaliśmy w tym samym pokoju.

— Myślałem, że wszyscy mówią, że doktor Warren był świrem — zdziwił się Trips.

— Rzeczywiście, tak mówią. I rzeczywiście był świrem, choć przyznaję to z wielką

niechęcią. Ale nie takim zwyczajnym świrem.

— Nie rozumiem, jak wykwalifikowany naukowiec może głosić teorie, dzięki którym doktor Warren okrył się taką, hmm...

— Niesławą, doktorze. Może pan to powiedzieć. Na pewno nie chcecie kawy?

Obaj uprzejmie odmówili. Berg westchnął.

— Fred miał wolę z żelaza, jak to mówią. Miał też w sobie coś z romantyka. Zawsze uważał, że powinny istnieć fantastyczne rzeczy. Starożytni astronauty, maszyny obcych na Księżycu, stworzenia nieznanie nauce. Chciał być pierwszym, który udowodni naukowo wiele spraw, z których szanowani uczeni drwili. — Rozciągnął usta w smutnym uśmiechu. — I kto wie? Kiedy byliśmy dziećmi, ludzie uważali myśl o życiu na innych planetach za naciągana. Może i by mu się udało. Ale Fred był niecierpliwy. Jeśli nie mógł zobaczyć rezultatów, których oczekiwał... No cóż, i tak zaczynał je widzieć, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Zatem było tak, jak doktor Sagan napisał w „New York Timesie” — stwierdził Tachion. — Doktor Warren uczył się skały, która regularnie przelatuje blisko Ziemi, i przedstawił ją jako zagrożenie.

Doktor Berg zmarszczył brwi.

— Z całym należnym szacunkiem, tym razem doktor Sagan się pomylił. Panowie, doktor Warren miał nieograniczone zdolności oszukiwania samego siebie, ale nie był po prostu jakimś durniem znalezionym przez „Informera” na Siódmej Alei. Potrafił się posługiwać efemerydami i z pewnością znał historię 1954C-1100. Był dyplomowanym astronomem, i to cholernie dobrym, gdy chodzi o kwestie techniczne i prowadzenie obserwacji. — Potrząsnął kudłatą głową. — Jeden Bóg wie, jak zdołał przekonać samego siebie do uwierzenia w te bzdury o Tezcatlipoce.

Trips wycierał okulary w swój fantastyczny krawat.

— Kurde, czy są szanse, że mógł mieć rację?

Berg parsknął śmiechem.

— Niech mi pan wybaczy, kapitanie, ale japońscy astronomowie już przed ośmioma miesiącami zauważyli zbliżanie się Tezcatlipoki i obliczyli jego trajektorię. Rzeczywiście przecina ona orbitę Ziemi, ale nawet się nie zbliża do samej planety.

Wstał i poprawił sweter, który podniósł się do połowy wysokości tułowia.

— Wielka szkoda, panowie. Och, nie mówię o tym... — Poklepał się po zaznaczającym się brzuchu. — Mówię o szkodach, jakie Fred wyrządził innym uczonym. Nasze instrumenty są obecnie znacznie bardziej zaawansowane niż przy poprzednim przejściu Tezcatlipoki w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. A mimo to każdego astronoma, który odważy się skierować swój teleskop w jego kierunku, już zawsze będzie się łączyć z von Dänikem i Velikovskym.



Noc zapadła już na dobre. Tach oklapł na krzesło w swym mieszkaniu, odziany w brązową bonzurkę. Słuchał w półmroku Mozarta granego na skrzypcach, popijając brandy i pogrążając się w ckliwym nastroju, gdy nagle zadzwonił telefon.

— Doktorze? To ja, Mark. Coś znalazłem.

Ton jego głosu przebił się przez wywołaną brandy mgiełkę niczym strumień wody z węża strażackiego.

— Tak, Mark, o co chodzi?

— Chyba lepiej, żebyś sam to zobaczył.

— Już lecę.

Po piętnastu minutach był już na piętrze nad „Kosmiczną Dynią” i rozglądał się wkoło, porażony zdumieniem.

— Mark? Masz nad swoim sklepem całe laboratorium?

— Nie jest kompletne, brachu. Nie mam żadnego poważnego sprzętu, mikroskopów elektronowych ani nic. Tylko to, co sam zdołałem zmontować z biegiem lat.

Wyglądało to jak skrzyżowanie laboratorium Cricka i Watsona z norą jakiegoś hipisa z roku mniej więcej tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego wepchnięte do pokoiku niewiele większego niż schowek na miotły. Diagramy nici DNA oraz polisacharydów dzieliły ściany z plakatami Stonesów, Jimiego, Janis i oczywiście bohatera Marka, Toma Mariona Douglasa, Króla Jaszczurów. Tacha przeszło ukłucie bólu. Nadal czuł się odpowiedzialny za śmierć Douglasa w siedemdziesiątym pierwszym. Doktor znał ziemskie instrumenty biochemiczne lepiej od astronomicznych, rozpoznał więc wirówkę, mikrotom i tak dalej. Część sprzętu niewątpliwie trafiła w ręce Tripsa mocno sfatygowana, a niektóre urządzenia zmontował własnoręcznie, wszystko jednak sprawiało wrażenie funkcjonalnego.

Mark wdział fartuch laboratoryjny. Miał przygnębioną minę.

— Oczywiście, nie potrzebowałem niczego szczególnie wymyślnego, gdy już zobaczyłem wynik chromatografii gazowej tej próbki tkanki.

Tach zamrugał i potrząsnął głową, uświadomiwszy sobie, że wielkie, wymyślne urządzenie, nad którego przeznaczeniem zastanawiał się przez ostatnie pół minuty, jest prawdopodobnie największą na świecie fajką do palenia trawy.

— Co znalazłeś? — zapytał.

Mark podał mu kartkę.

— No wiesz, mam za mało danych, by potwierdzić strukturę łańcucha proteinowego. Ale skład chemiczny, proporcje...

Tachion czuł się, jakby wzdłuż jego kręgow przeciągano monetę.

— Biomasa pomiotu Roju — wydyszał.

Mark wskazał na stos papierów leżących na stole.

— Możesz to porównywać z wynikami analiz z czasu inwazji...

— Nie, nie, Mark, ufam twoim wynikom bardziej niż jakimkolwiek poza własnymi.

— Potrząsnął głową. — Zatem to pomiot zamordował doktora Warrena. Dlaczego?

— Może lepiej zapytałbyś jak, brachu? Myślałem, że to są wielkie skurczybyki, jak w jakimś japońskim filmie o potworach.

— Z początku tak. Ale kultura Roju... Matka... jak by to powiedzieć? Ewoluuje w odpowiedzi na bodźce. Pierwszy atak, przy użyciu brutalnej siły, zakończył się niepowodzeniem, postanowiła więc spróbować bardziej wyrafinowanego podejścia. Od początku próbowałem przekonać tych durniów w Waszyngtonie, że tak się może stać. — Zaciśnął usta.

— Podejrzewam, że próbuje teraz imitować formę życia, która odparła ją poprzednim razem. To typowa strategia tych potworów.

— Masz dużo doświadczenia w kontaktach z tymi stworzeniami?

— Ja nie, ale mój lud tak. Można powiedzieć, że stworzenia z Roju są naszymi najgorszymi wrogami. A my ich.

— I teraz, no wiesz, infiltrują nas?

Mark zadrżał.

— Chyba jeszcze daleko im do zdolności poruszania się wśród ludzi niepostrzeżenie. Coś w tym mnie jednak niepokoi. Na tym etapie zwykle nie mają tak dobrego rozeznania.

— Dlaczego wybrały biednego Freda?

— Zaczynasz mówić jak ta okropna kobieta, przyjacielu. — Tach uśmiechnął się i poklepał Tripsa po ramieniu. — Mam nadzieję, że znajdziemy odpowiedź na to pytanie, gdy już wytropimy te monstra. To właśnie musimy teraz zrobić.

— A co z Kluchą?

Tach westchnął.

— Masz rację. Rano zadzwonię na policję i powiem, czego się dowiedzieliśmy.

— Nigdy w życiu w to nie uwierzą.

— Mogę tylko spróbować. Dobrze wypocznij, przyjacielu.



Nie uwierzyli mu.

— A więc znalazł pan tkankę pomiotu w laboratorium Warrena — wychrypiła porucznik z Wydziału Zabójstw Południowego Manhattanu zajmująca się sprawą. Przez telefon sprawiała wrażenie młodej, udręczonej Portorykanki, niedarzącej nawet najmniejszą sympatią Tisianne'a brant T'sara z klanu Ilkazam. — Jak na medycznego rzeczoznawcę, bardzo się pan interesuje tą sprawą, doktorze.

— Staram się spełnić obywatelski obowiązek. Uratować niewinnego człowieka przed

dalszymi cierpieniami. A przy okazji ostrzec władze przed straszliwym niebezpieczeństwem zagrażającym całemu światu.

— Doceniam pańskie zaangażowanie, doktorze. Ale jestem policjantką z wydziału zabójstw i obrona planety nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Nawet żeby działać w Queens, potrzebuję pozwolenia.

— Ale rozwiązałem dla was sprawę morderstwa!

— Doktorze, śledztwo w sprawie Warrena prowadzą kompetentne władze, to znaczy my. Mamy świadka, który zidentyfikował Kluchę jako człowieka, który opuszczał laboratorium w odpowiednim czasie.

— Ale próbki tkanki...

— Może hodował je na płytce Petriego. Nie wiem tego, doktorze. I nie znam kwalifikacji tego, kto zidentyfikował tę domniemaną próbkę...

— Zapewniam panią, że jestem ekspertem od biochemii obcych...

— W końcu sam jest pan obcym. — Odsunął się nieco od słuchawki. Z jakichś przewrotnych powodów zaczynał lubić tę kobietę. — Nie mówię, że wątpię w pana słowa, doktorze. Ale nie mogę po prostu skinąć ręką i wypuścić podejrzanego. To zależy od prokuratora okręgowego. Na cokolwiek pan natrafił, niech pan to pokaże doradcy prawnemu Kluchy, żeby mógł to przedstawić jako dowód. A jeśli rzeczywiście znalazł pan pomiot roju, sugeruję, by zwrócił się pan z tym do generała Meadowsa ze SPACECOM.

Który jest ojcem Marka.

— I jeszcze jedno, doktorze.

— O co chodzi, porucznik Arrupe?

— Niech się pan przestanie mieszać do śledztwa albo wsadzę pana do aresztu. Nie potrzebuję mąjących sprawę amatorów.



Poczwarzka zwróciła ku niemu twarz o mięśniach jak szkło i kościach niczym porcelana.

— Coś dziwnego w Dżokerowie? — zapytała ze swym hermafrodytycznym brytyjskim akcentem. — Dlaczego uważasz, że może się tam dziać coś dziwnego?

Siedział przy końcu baru, z dala od regularnych porannych klientów. Właściwie nie był obcym w Kryształowym Pałacu, ale nigdy nie czuł się tu zbyt swobodnie.

— Nie tylko w Dżokerowie. W całej południowej części Manhattanu.

Odstawiła szklanę, którą wycierała.

— Mówisz poważnie?

— Kiedy powiedziałem „dziwne”, miałem na myśli dziwne nawet jak na Dżokerowo. Nie chodziło mi o ostatnie wybryki w Szalejących Dżokerach. Nie o to, że Czarny Cień powiesił jakiegoś rabusia za nogę na latarni. Nawet nie o kolejnego człowieka zastrzelonego z łuku przez

tego maniaka z talią kart. Miałem na myśli coś, co wykracza poza lokalną normę.

— Gimli wrócił.

Tachion pociągnął łyk brandy z wodą sodową.

— Tak mówią.

— Co możesz mi oferować w zamian?

Uniósł brwi.

— Cholera, nie jestem jakąś barową plotkarą! Płacę za informacje.

— I dobrze ci za nie płacą. Ja już wniosłem swój wkład.

— To prawda. Ale wielu rzeczy mi nie mówisz. O tym, co się dzieje w klinice... o poufnych sprawach.

— Które pozostaną poufne.

— W porządku. Zaufanie w tej społeczności mutantów jest walutą, którą ja również się posługuję. Nie musisz mi przypominać, jak wielkie masz wpływy. Ale któregoś dnia posuniesz się za daleko, ty mały lisie o metalicznych włosach.

Oddalił się z uśmiechem.



Tring. Tach otworzył z wysiłkiem jedno oko. Na świecie panowała ciemność, mącona tylko typową mgiełką światła Manhattanu i być może również odrobiną księżycowego blasku, który przesączał się przez rozchylone zasłony, barwiąc na srebrno nagi kobiecy tyłek, widoczny obok niego na rdzawobrazowej narzucie wodnego łóżka. Zamrugał lepiącymi się powiekami, próbując sobie przypomnieć imię osoby, do której należały pośladki. A były naprawdę nadzwyczajne.

Tring. Tym razem dźwięk był bardziej natarczywy. Telefon był jednym z najbardziej szatańskich wynalazków na świecie. Wspaniałe pośladki leżące obok niego poruszyły się lekko. Spod kołdry wyłoniły się barki.

Trrrr. Odebrał telefon.

— Tachion.

— Mówi Poczwarzka.

— Jestem zachwycony, że cię słyszę. Masz pojęcie, która jest godzina?

— Wpół do drugiej. Wiem na ten temat więcej od ciebie. Mam coś, co cię zainteresuje, kochany doktorze.

— Kto to, Tach? — wymamrotała leżąca obok kobieta. Poklepał ją z roztargnieniem po tyłku, próbując sobie przypomnieć jej imię. Janet? Elaine? A niech to.

— A co to takiego?

Cathy? Candi? Sue?

Poczwarzka zanuciła jakąś melodię.

— Co to ma być, na Ideał? — zapytał. Mary? Niech szlag trafi Poczwarzkę i jej melodyjki!

— To piosenka, którą śpiewaliśmy, kiedy byłam w skautach. *Johnny Rebeck*.

— Zadzwoiłaś o wpół do drugiej w nocy, żeby mi zaśpiewać skautowską piosenkę? Belinda? To zaczynało go irytować.

— „A psów i kotów więcej nie spotkasz w okolicy. Zmielili je na kiełbasę Johnny’ego robotnicy”.

Usiadł nagle.

— Co się dzieje? — zapytała kobieta. W jej głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia. Zwróciła ku niemu twarz zamaskowaną przez sen i ciemne włosy.

— Masz coś.

— Już ci mówiłam, kochanie. Nie w Dżokerowie, ale blisko niego. Przy stacji Division, nieopodal chińskiej dzielnicy. Znikają psy i koty. Bezdomne i domowe. Ludzie w tych okolicach nie przejmują się przepisami dotyczącymi smyczy. I gołębie. I szczury. I wiewiórki. Na przestrzeni kilku przecznic zniknęła cała miejska fauna. Pomijając kawały na temat kuchni orientalnej, można to chyba uznać za dziwne wydarzenie, o jakie ci chodziło.

— Można.

Na przodków, i to jak!

— Masz wobec mnie dług, Tachion — zamruczała.

Stawiał już nogi na podłodze, próbując w imię uprzejmości przypomnieć sobie, jak ma na imię kobieta, nim każe jej sobie pójść.

— Wiem.

— Swoją drogą — dodała Poczwarzka — ona ma na imię Karen.



— Doktorze — odezwał się Trips, otoczony obłokiem własnego oddechu — czy masz pojęcie, jak Brenda mnie nazwała, kiedy do niej dzwoniłem z prośbą, żeby zaopiekowała się Sprout nocą o tej porze?

Znał Marka już od kilku tygodni, ale nigdy dotąd nie słyszał, by się na cokolwiek skarżył. Współczuł mu.

— Nawet nie chcę tego sobie wyobrazić, drogi przyjacielu. Ale to sprawa o kluczowym znaczeniu. Mam też wrażenie, że nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu.

Mark skrzywił się ze smutkiem.

— Ehe. Masz rację. Klucha jest w sytuacji gorszej niż wszystko, co mnie spotkało w życiu. Wybacz, doktorze.

Tachion przyjrzał się mu. Ten mężczyzna był kiedyś wybitnym uczonym, ale osobiste demony zmieniły go w niewiele więcej niż menela. Szczerze się zastanawiał, czy jego przyjaciel się nie myli. Pogłaskał go po ramieniu.

— Nic się nie stało, Mark.

Nieopodal samochody przejeżdżały z szumem przez Manhattan Bridge. Mieli tu pogrążoną w mroku boczną ulicę w nieszczerólnie ciekawej części miasta — małe sklepiki, cienie, lombardy oraz porzucone domy mieszkalne, szare budynki mrugające tu i ówdzie resztkami szyb w świetle jedynej, przygasającej latarni. To nie była odpowiednia godzina na kręcenie się po tej okolicy, nawet bez wizji pozaziemskiego niebezpieczeństwa.

— To może być fałszywy alarm — stwierdził Tach. — Kiedy Poczwarzka poinformowała mnie o znikaniu zwierząt, przyszło mi do głowy, że pomiot potrzebuje jedzenia, a raczej nie może go kupować w supermarkecie, chyba że ta kultura rozwija się szybciej niż wszystkie, o których dotąd słyzałem.

Przerwał, spojrział na przyjaciela i uściślał jego biceps.

— Zrozum, Mark, tu może nic nie być. Ale jeśli znajdziemy to, czego szukamy, będziemy mieli do czynienia z potworem, jak z filmu grozy. Ale on jest realny. To wróg wszystkich żyjących istot na tej planecie, całkowicie pozbawiony współczucia.

Mark ze spokojem wskazał w prawą stronę.

— Czy wygląda jakoś tak, brachu?

Tach gapił się na niego przez moment, a potem odwrócił powoli głowę we wskazanym kierunku.

Na rogu bliższym estakady stała jakaś postać. Spowijał ją płaszcz, a na głowę naciągnęła głęboko kapelusz, ale nawet to nie ukrywało faktu, że proporcjami różni się od normalnego człowieka.

— Muszę cię na chwilę przeprosić, brachu — rzekł Trips. Odsunął się i — nie zdejmując kapelusza — uciekł przed zjawą, unosząc wysoko kolana i tłukąc podszewkami o chodnik. Po chwili zniknął za rogiem.

Tchórz — zapłonęło niczym nowa w piersi Tachiona. *Ale nie* — pomyślał jednak zaraz. *Nie mogę go osądzać tak surowo. Nie jest wojownikiem, a to niebezpieczeństwo jest obce dla jego gatunku.*

Rozprostował ramiona, poprawił krawat i zwrócił się w stronę stworzenia.

Postąpiło chwiejny krok naprzód, a potem drugi. Jedna z jego stóp wydawała mlaszczący odgłos, gdy odrywało ją od asfaltu. W mroku za nim majaczyła druga sylwetka. Była tak samo ubrana, a jej zarys był inny, choć sugerował bliskie pokrewieństwo. *Ach, Benaf'saj, miałaś rację, że we mnie wątpiłaś. Nie przypuszczałem, że mogą być dwa.* Przygotował swego ducha na śmierć.

— Doktorze.

Odwrócił błyskawicznie głowę. Obok stała młoda kobieta, obleczone od szyi aż po podeszwy butów w czerń, zmąconą tylko skośnymi przecinkami wzoru jin-jang na klatce piersiowej. Z tym znakiem harmonizowała czarna maska o łukowatym brzegu, który biegł od lewego policzka po

prawą stronę czoła, zostawiając połowę twarzy odsłoniętą. Kobieta była wyższa od niego. Włosy miała czarne i błyszczące, a widoczna część jej twarzy należała do olśniewająco pięknej Azjatki.

Uklonił się dwornie, choć raczej krótko.

— Nie sądzę, bym miał przyjemność panią poznać.

— Jestem Księżycowe Dziecko, doktorze. I miałam zaszczyt cię poznać, choć nie całkiem bezpośrednio.

Zrozumienie zaczęło się przesączać przez jego barierę krew-mózg.

— Jesteś jedną z przyjaciół Kapitana.

— Tak.

Niebezpieczeństwo zawsze rozgrzewało mu krew. Tak przynajmniej tłumaczył sobie później atak chuci, który nagle go dopadł.

— Najdroższe dziecko — wydyszał, ujmując ją za rękę. — Jesteś najpiękniejszym widokiem, jaki te oczy ujrzały od wieków...

Nawet w słabym świetle latarni zauważył, że się zarumieniła.

— Zrobię wszystko, by ci pomóc, na miarę swych skromnych możliwości — zapewniła, błędnie interpretując jego słowa. Być może.

Odwróciła się błyskawicznie od niego i ruszyła przed siebie, spokojna, rozluźniona i śmiertelnie groźna — jak skradający się lampart. Zdumiewał się otaczającą ją aurą siły, jej płynną gracją, grą pośladków pod obcisłym, czarnym kombinezonem — dzisiejszej nocy pośladki ciągle mu towarzyszyły. Potruchtął za nią. Był Takizjaninem i nie chciał pozwolić, by kobieta narażała się na niebezpieczeństwo.

W odległości dwudziestu metrów od bliższego pomiotu przeszła płynnie w szarżę, a gdy dzieliło ją od niego dziesięć, skoczyła w górę z elegancją tak wielką, że Tachion wciągnął nagle powietrze z wrażenia. Wykonała w locie piruet i uderzyła w obrocie prawą piętą w tył, wyprowadzając kopnięcie wymierzone prosto w bark bestii. Rozległ się suchy mlask, jakby rzucona z wysoka dynia spadła na ziemię. Dziewczyna odbiła się od chodnika, a potem wylądowała lekko i ponownie przybrała postawę bojową.

Potworowi odpadła ręka. Wsunęła się z rękawa i runęła na ziemię.

Księżycowym Dzieckiem zawładnęło przerażenie. Dziewczyna krzyczała, zawodziła, miotała się na wszystkie strony jak trzy walczące ze sobą koty, jednocześnie osuwając się powoli na chodnik. Tachion gapił się na to ze zdumieniem. Zaczęła tak dobrze, pomyślał płaczkliwie.

Przez chwilę oba pomioty również patrzyły na nią. Potem jednocześnie zwróciły się ku Tachionowi. Chemoreceptory, które ostrzegły stworzenia przed jego bliskością, niepowstrzymanie kierowały je ku zniechęconemu, przerażającemu Takizjaninowi. U boku pierwszej bestii groteskowo powiewał pusty rękaw.

Tach sięgnął do jego umysłu, ale znalazł tam tylko gęstą mgłę. Jego impuls przeniknął

bezskutecznie przez rozproszone elektromagnetyczne sygnały składające się na myśli stworzenia.

To go nie zaskoczyło. Wyciągnął smith-wessona o tępo zakończonej lufie, stanął w równoramiennej pozycji, trzymając broń w obu rękach, wycelował w sam środek paskudnej masy, wciągnął powietrze, zatrzymał je w płucach i nacisnął dwa razy spust. Pistolet wyprodukował zadowalający błysk, odrzut i hałas. Innych rezultatów nie było.

Wstrząśnięty doktor opuścił broń. Bestia była tylko dwadzieścia metrów od niego. Nie mógł chybić. Potem zauważył dwa małe otwory, tam gdzie powinny być, po obu stronach guzików płaszcza. Nie tylko mentalne ataki przenikały przez pomiot bez szkody.

— Mam kłopoty — oznajmił na głos. Wycelował w cień pod rondem kapelusza i ponownie wystrzelił dwa raty. Kapelusz spadł. A razem z nim wielkie fragmenty masy o konsystencji zgniłego ziemniaka służącej stworowi jako głowa. To również go nie zatrzymało.

Księżycowe Dziecko przestała wrzeszczeć i okładać się pięściami. Siedziała z dłońmi między kolanami, przyglądając się z uwagą wydarzeniom.

— Kule nie robią im krzywdy — zauważyła ochryłym od krzyku głosem. — To... to nie są ludzie.

— Celne spostrzeżenie.

Wystrzelił dwa ostatnie pociski i zaczął się cofać, poszukując w kieszeni szybkoładowacza. Miał nadzieję, że nie zapomniał go zabrać.

— Myślałam, że okaleczyłam istotę ludzką, dzokera — wyjaśniła. Zerwała się na nogi i popędziła w stronę budynku położonego na prawo od doktora. Przebiegła za ociężałymi pomiotami i ponownie skoczyła w górę. Tach przysięgłby, że tym razem jej trajektoria sięgnęła wysokości drugiego piętra. Nie widział tego jednak, bo gdy znalazła się w cieniu budynku, zniknęła.

Ale po paru sekundach pojawiła się ponownie. Uderzyła stopami w sam środek drugiego pomiotu. Tkanina się rozdarła, biomasa ustąpiła i cała istota po prostu się rozleciała. Dziewczyna wylądowała na chodniku i się przetoczyła.

Po chwili zerwała się i pognęła sprintem naprzód. Pochyliła się nisko, wsparła na jednej ręce i zatoczyła nogą szeroki łuk niczym kosą. Nogi pod pierwszym pomiotem po prostu się złamały. Wylądował na kikutach i niewzruszenie kontynuował marsz. Nieustępliwa dziewczyna ponowiła atak.

Kiedy skończyła, dźwięki syren ścigały się już po niebie. Tachion nagroził ją cichymi brawami.

— Piękna pani, jestem ci winien przeprosiny za to, co o tobie pomyślałem.

Zaczęła przyglądać włosy, ale spojrzała na swe palce i zamiast nich użyła nadgarstka.

— Nie musisz mnie przeproszać, doktorze. Miałeś prawo tak pomyśleć. Ale ja nigdy nie

mogę używać swych umiejętności po to, by wyrządzić trwałą szkodę myślącej istocie. A wydawało mi się, że to zrobiłam.

Objął ją ramionami. Wsparła głowę na jego barku. Zaiste, pomyślał. Nie był pewien, jak wytłumaczy to Markowi...

Odsunęła się nagle.

— Nie byłoby dobrze, gdyby mnie tu znaleźli. Za dużo pytań.

— Zaczekaj chwilę. Nie odchodź... zostało tak wiele do powiedzenia!

— Ale nie mamy na to czasu. — Pocałowała go w policzek. — Uważaj na siebie, ojciec — powiedziała i ponownie zniknęła.



— A więc naprawdę znalazł pan pomiot, doktorze — zauważyła porucznik Pilar Arrupe, wyjmując z ust czarną cygaretkę z plastikowym ustnikiem. — Z całą pewnością jest pan najaktywniejszym rzeczoznawcą, jakiego w życiu widziałam.

Ojciec, pomyślał. To był tylko wyraz szacunku, nic więcej.

— Nieźle załatwił tych skurczybyków — zauważył posterunkowy, ściskający karabinek do tłumienia zamieszek niczym talizman.

— Z niewielką pomocą przyjaciół, doktora Smitha i doktora Wessona — zasugerował ktoś inny.

Na ulicy pełno było niebieskich migających świateł, mundurowych oraz kamerzystów.

— Broń palna niewiele szkodzi tym skurwielom z Roju — sprzeciwił się pierwszy policjant.

— Jak więc pokonał pan te stworzenia, doktorze? — zapytał reporter, podsuwając mu pod nos piankowy fallus mikrofonu.

— Dzięki mistycznym sztukom walki.

— Zabierzcie stąd tych głąbów — warknęła Arrupe. Ku rozczarowaniu Tacha nie była ładna. Miała krępą figurę, grube nogi, twarz buldoga i krótkie, sztywne włosy, jak Brenda z „Dyń”. Jej perkaty nos pokrywały liczne, ciemne pęgi, ale oczy miała bystre jak górski potok.

— Czy teraz uwolni pani Kluchę? W laboratorium ofiary znaleziono domniemaną tkankę pomiotu, a tutaj ma pani całą ulicę pełną niewątpliwych fragmentów pomiotu. Tyle że przedtem wyglądał on jak dzieci Godzilla, a teraz przypomina raczej meneli, co może być poprawą albo nie. Paskudna sytuacja. Nie robi pani tego? — zapytał, ujrzawszy jej minę.

— Mam świadka, doktorze.

— Na Płonące Niebo, kobieto, czy nie zna pani współczucia? Nie dba pani o sprawiedliwość?

— Myśli pan, że dopiero co przypląnąłam tu z San Juan? To jest solidny obywatel, nie ma pojęcia, kim jest Klucha, nie ma nic przeciwko dzokerom. Sam do mnie przyszedł i go opisał. Niech mi pan nie mówi, że świadkom nie można ufać. Wiem o tym. Ale ten jest solidny.

Tach zaczesał włosy do tyłu wygiętymi palcami.

— Niech mi pani pozwoli z nim porozmawiać. — Zatoczyła oczami. — To ważne. Coś tu się dzieje. Nie chodzi tylko o Kluchę. Jestem tego pewien.

— Ma pan na myśli jakąś cholerną obcą *brujeria*.

— Ależ oczywiście — odparł z uwodzicielskim uśmiechem.

Oklapła.

— Zabijając ten pomiot, został pan bohaterem, doktorze. I wie pan o tych sprawach więcej ode mnie. — Zerknęła na niego z ukosa. — Ale jeśli będę miała przez to kłopoty z obrońcami praw obywatelskich, po prostu pana zastrzelę, *'manito*.



Gdy tylko dotknął jego umysłu, poznał prawdę.

To był dentysta, niski, muskularny mężczyzna o rumianej twarzy, który przekroczył już pięćdziesiątkę. Mieszkał w budynku sąsiadującym z domem Warrena. Wyszedł na spacer z psem — odważny czyn o tej porze nocy — i zobaczył mężczyznę o osobliwym wyglądzie, który wyłonił się z zaułka za apartamentowcami. Nieznajomy zatrzymał się na moment w odległości niespełna trzech metrów od śmiałego dentysty, popatrzył mu prosto w oczu i powlókł się w stronę parku.

Ta relacja zgadzała się z zeznaniami dwojga pozostałych świadków. Pierwszym był dozorca, który zauważył wyłamane drzwi z tyłu budynku, postanowił zbadać sprawę i oberwał w głowę z tyłu. Drugim była kobieta, która z sobie tylko znanych powodów obserwowała zaułek z okna po drugiej stronie. Oboje zauważyli wielką, bladą, człekokształtną postać, która wyszła przez tylne drzwi i oddaliła się zaułkiem. Oboje jednak podali jedynie pobieżny opis.

Tachionowi wystarczyło tylko musnąć umysł dentysty, by się zorientować, że opowieść nie jest prawdziwa. Nie była też kłamstwem. Mężczyzna wierzył w nią bez zastrzeżeń. Dlatego, że wszczepiono ją do jego umysłu.

Tach z niechęcią sięgnął głębiej. Bolesne wspomnienie Blythe zbladło, nie rozklejał się już całkowicie na myśl o użyciu swych mentalnych mocy. Nie o to chodziło. Natura wszczepu jasno świadczyła, jakiego rodzaju istota go tam umieściła. Pozostawało tylko ustalić, który z bardzo niewielu podejrzanych jest za to odpowiedzialny. Tachionowi nasunął się dobry pomysł.

W pewnym sensie nie miało to jednak znaczenia. Implikacje były już jasne.

I bardziej potworne niż wszystko, co mógłby sobie wyobrazić.



— Nie podoba mi się to miejsce — poskarżył się Durg at'Morakh bo Zabb Vayawand-sa, gdy wchodzili po rozklekotanych schodach z tyłu budynku do swego mieszkania w wyjątkowo niemodnym zakątku Greenwich Village.

Rabdan obejrzał się przez ozdobione złotym epoletem ramię, uśmiechając się szyderczo.

— Jak możesz mieć zastrzeżenia? Nawet nie byłeś w środku.

— Odźwierny, ten z dziwną, martwą twarzą, nie chce mnie wpuścić.

— Ha! Co by powiedział Vayawand, gdyby się dowiedział, że jeden z jego cennych mutantów Morakhów pozwolił, by powierzchniowiec wydawał mu rozkazy? Ich sperma zaiste zrobiła się rzadka.

Durg poruszył dłonią mogącą zmiażdżyć granit na proszek. Twardy biały diagonal rękawa jego munduru pękł na wysokości bicepsa z dźwiękiem przypominającym strzał z pistoletu.

— Zabb brant Sabina sek Shaza sek Risala rozkazał, bym walczył tylko wtedy, gdy będzie to konieczne dla dobra misji — wychrypiał. — Rozkazał mi też służyć komuś tak niegodnemu jak ty, by poddać próbie moją wierność. Ostrzegam cię jednak: któregoś dnia twoja niekompetencja sprawi, że utracisz łaski naszego pana. Tego dnia urwę ci kończyny, karzełku, i zmiażdżę twoją głowę, jakby była pryszczem.

Rabdan spróbował się roześmiać, ale bezskutecznie. Ponowił próbę.

— Cóż za wrogość. Wielka szkoda, że nie mogłeś tego zobaczyć: kobieta obdarta ze skóry, służka zrozpaczona. Bardzo stylowa rozrywka. Muszę przyznać, że gdy ci powierzchniowcy zostaną zniszczeni, wraz z nimi zginą pewne rzadko spotykane talenty.

Dotarli na najwyższy pomost, gdzie znajdowały się drzwi ich mieszkania. Rabdan zatrzymał się na zewnątrz i zmarszczył brwi, wysyłając do środka mentalną sondę. Nie chciał, żeby zaskoczyli go powierzchniowi włamywacze. Durg czekał bez słowa kilka stopni niżej. Jego krewni należeli do klasy psionicznych władców, ale on był w praktyce umysłowo ślepy, podobnie jak większość Morakhów. Jeśli Rabdan wykryje niebezpieczeństwo, Durg wykona swoje zadanie.

Usatysfakcjonowany Rabdan otworzył drzwi i wszedł do środka. Morakh podążył za nim, zamykając drzwi za sobą. Z korytarza wyłoniła się jakaś postać, która następnie weszła do sypialni.

— Tisianne! Przecież sprawdziłem...

— Ze wszystkich moich kuzynów ty jeden nigdy nie byłeś w stanie wysłać sondy, której nie potrafiłbym odbić — przerwał mu Tachion. — Źle dla nas wróży, że cię tu znalazłem. Być może nawet dla całej Takis.

— Ale najgorzej dla ciebie — warknął Rabdan, usuwając się na bok. — Durg, rozszarp go na strzępy.

— Potwór Zabba! — wysyczał mimo woli Tachion.

— Mały książę — odezwał się Durg. — To będzie słodkie.

U boku Tachiona pojawiła się druga postać.

— Doktorze, kto to jest? — zapytała Księżycowe Dziecko, mrużąc powieki w jasnym blasku stojącej na niskim stole lampy.

Zobaczyła niskiego mężczyznę — nawet ona potrafiła poznać, że to z pewnością Takizjanin

— o pięknych, ostrych rysach, blond włosach o metalicznym połysku, jasnych, wytrzeszczonych oczach i szybko mrugających powiekach. Drugą istotę, kroczącą ociężale po wytartym dywanie pokrywającym podłogę pokoiku, trudniej było sklasyfikować. Mężczyzna był niski — niewiele ponad półtora metra wzrostu — ale monstrualnie umięśniony. Jego szerokość dosłownie dorównywała wysokości. Miał jednak elfią głowę takizjańskiego władcy, długą i wąską, o surowych rysach: piękną. Kontrast był uderzający,

— To totumfacki mojego kuzyna, Rabdan — wyjaśnił Tachion. — I jego potwór, Durg.

Mimo że od czterdziestu lat żył wśród dzokerów, nie był w stanie znieść widoku krwiożerczego Morakha. To nie był bliski Takizjanom Ziemianin, który padł ofiarą groteskowego przeobrażenia. To był widok najbardziej odrażający dla pobratymców Tacha, wypaczenie samej takizjańskiej formy. Jednym z powodów, dla których Morakh był tak przerażającym wojownikiem, była odraza, jaką budził we wrogach.

— To stworzenie wyhodowane przez rodzinę, która jest nieprzyjacielem naszej. Organiczna maszyna do zabijania, silna jak słoń i doskonale wyszkolona. — Durg zatrzymał się, marszcząc nieskazitelne czoło na widok nieznajomej. — Nawet według naszych standardów Morakhowie są niemal niezniszczalni. Zabb zdobył go podczas ataku, gdy Durg był jeszcze szczeniakiem. Morakh przeniósł lojalność na niego.

— Doktorze, jak możesz tak mówić o ludzkiej istocie?

— To nie jest człowiek — warknął Tach. — Uważaj na niego.

Przysadzisty jak troll Durg rzucił się do ataku z szybkością, jakiej nie mógłby dorównać żaden człowiek. Ale Księżycowe Dziecko nie była, ściśle mówiąc, człowiekiem. Jakakolwiek była jej natura, skądkolwiek przybywała, była aską. Złapała wyszywany złotą nicią rękaw, z którego sterczała sięgająca ku niej dłoń, pociągnęła i obróciła biodra. Durg przeleciał obok niej i uderzył w ścianę. Gips posypał się na wszystkie strony.

— Jak udało ci się nas znaleźć? — zapytał Rabdan, opierając się o framugę.

— Kiedy trafiliśmy na mężczyznę, którego umysłem manipulowałeś, uświadomiliśmy sobie, że na Ziemi nadal są Takizjanie — odparł Tach, odsuwając się chyłkiem od Durga. — A nieudolna technika pozwoliła mi wywnioskować, że to z pewnością ty. Gdy już wiedzieliśmy, czego szukać, nie było tak trudno cię wytropić. Wyglądasz charakterystycznie i raczej nie byłbyś skłonny ukrywać się w opuszczonym magazynie, żywiąc się szczurami i ulicznymi kotami, jak pomiot Roju. Oczywiście — dodał, wskazując głową na biało-złoty strój Rabdana — nigdy bym nie pomyślał, że będziesz aż tak głupi, by chodzić po ulicach w liberii Zabba.

— Powierzchniowcy uważają nas za wzór mody. I czy chciałbyś, żeby łabędzie przebierały się za gęsi?

— Jeśli zadanie łabędzi... — Durg wygramolił się z zagłębienia, które wybił w płycie

gipsowej, jęcząc i strzepując z siebie gipsowy proszek niczym wodę. — ...wymaga udawania gęsi, to tak.

Durg wyprowadził straszliwy cios kantem dłoni, trafiając Księżycowe Dziecko w żebra. Dziewczyna uderzyła o przepierzenie oddzielające pokój od kuchni. Drewno pękło z trzaskiem. Tach ruszył z krzykiem ku niej. Durg zwrócił się z uśmiechem ku niemu.

Księżycowe Dziecko wyrwała się ze szczytków bariery, postąpiła dwa taneczne kroki naprzód i kopnęła Durga z boku w kolano. Noga ugięła się pod nim. Morakh jęknął, uniósł gwałtownie rękę, złapał dziewczynę za kostkę i szarpnął ją ku sobie, by znalazła się w zasięgu jego drugiej ręki.

Zamknął ręce wokół niej, próbując złamać jej kręgosłup. Tach ponownie ruszył ku niej, ale Rabdan wyjął rękę spod bluzy i doktor ujrzał blask czarnego porażacza.

— Stój albo cię załatwię, Tis.

Księżycowe Dziecko uderzyła łokciem w szczyt głowy Durga. Jego zęby uderzyły o siebie z dźwiękiem przypominającym trzask pułapki na myszy. Podkurczyła dłonie i uderzyła go w uszy z obu stron. Potrząsnęła z jękiem głową i uwolniła się z uścisku.

Durg stał przed nią. Wyprowadziła kopnięcie na jego pierś, ale zablokował je bez trudu. Rzuciła się na przeciwnika z furią *bolas*. Próbowała go kopnąć w głowę, kolano, pachwinę. Cofnął się o kilka kroków, a gdy zaatakowała znowu, podskoczył i uderzył obiema nogami. Poleciała na drugą stronę pokoju, uderzając o zewnętrzną ścianę. Tachion się zawahał. Mógł podjąć próbę zawładnięcia umysłem Durga, ale musiałyby się zmierzyć z jedynym psionicznym talentem Morakha — niemalże nieprzezwyciężoną odpornością na przymus mentalny. Jeśli skupi się na Durgu, Rabdan go zabije, a jeśli spróbuje się przebić przez dość słabe tarcze kuzyna, Morakh wykończy Księżycowe Dziecko. Sięgnął po pistolet, licząc na to, że dziewczyna nie osądzi go zbyt surowo.

Poruszyła się. Durg był wstrząśnięty. Kiedy mocno kopnął przeciwnika, ten już nie wstawał. Rzucił się do ataku, nie zważając na nic.

Spotkała go w połowie drogi, złapała za przód bluzy i upadła na plecy, wbijając but w jego brzuch. Przeleciał nad nią. Połączona siła jego skoku i jej pchnięcia sprawiła, że przeleciał przez ścianę niczym pocisk, cztery piętra nad ulicą.

— Ojej — zawołała, wstając. — Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. — Podbiegła do otworu w ścianie. — Rusza się.

Bez chwili wahania wylazła na zewnątrz.

Tach doszedł do wniosku, że poradzi sobie sama, i pozwolił jej odejść. Nadal jednak był zdumiony. Durg dorównywał siłą potężnym ludzkim asom. Księżycowe Dziecko — choć nadludzko silna — nie miała szans się z nim mierzyć. Pokonała go wyłącznie dzięki umiejętnościom Durga, mistrza sztuki zabijania.

Rabdan wyrwał się z paraliżu i otworzył drzwi. Tachion zamknął jego umysł w mentalnym uścisku, silnym jak pancerna pięść. A potem go zacisnął.

— A teraz, kuzynie — rzekł — porozmawiamy.



Nie było to łatwe. Rabdan był niekompetentny i do tego raczej tchórzliwy, ale był też psionicznym władcą i w ostatniej chwili zachował się, jak przystało na kogoś z jego klasy. Tym gorzej dla niego. Żadna tarcza, którą mógłby wznieść w normalnych warunkach, nie powstrzymałaby subtelnego Tisianne'a przed wydłubaniem z jego mózgu wszystkich okrucich informacji. Jednakże w obliczu śmierci Rabdan postanowił zostać bohaterem. Założył śmiertelny zamek i umieścił na nim swe imię. *Wszystko, czym był*, sprzeciwiało się Tachionowi i żadna subtelność, podstęp ani siła nie pozwoliła mu złamać oporu tak, by pozostawić choć cząstkę umysłu przeciwnika nietkniętą.

Być może to właśnie był ostatni sprytny pomysł Rabdana. Wiedział, że jego daleki kuzyn ma miękkie serce, postawił więc na to, że Tisianne cofnie się przed straszliwym, nieodwracalnym czynem, jakim byłoby całkowite rozsąpanie jego umysłu.

Nigdy nie był zbyt bystry.



Radość, radość, radość. Mój pan wraca tak szybko. A może stało się coś złego i dlatego nagle ma dla mnie tak wiele czasu?

Przestań, Maleńka.

— Cześć, Maleńka. Co słychać?

Zamrugła światłami w radosnym przywitaniu i rozwarła wejście w swej burcie.

Rzecz jasna, cholerna skała rzeczywiście zmierzała ku Ziemi. Słudzy Zabba zmienili jej tor już przed miesiącami. Tylko nieznacznie, potrzeba by było ogromnej mocy, by w znaczący sposób przesunąć tak wielką masę. Tylko ułamek stopnia, ledwie dostrzegalny — ale to wystarczyło.

Powierzchniowcy znali tę skałę, jej widok nie przyciągał uwagi. Mimo to na Ziemię wysłano Rabdana i Durga z rozkazem dopilnowania, by ci, którym miała spaść na głowy, niczego nie zauważyli. Szczęście się do nich uśmiechnęło. Jedyнным człowiekiem, który zauważył zmianę trajektorii, był ktoś, kogo nikt z władz nie zechciałby wysłuchać. Co więcej, sam fakt, że zajął się tą skałą, spowodował, że wszyscy pozostali uczeni na planecie omijali ją szerokim łukiem niczym śmierdzącą padlinę. Nic innego nie mogłoby skuteczniej przypieczerować losu planety. Nikt nie uświadomiłby sobie, co się dzieje, dopóki planetoida nie znalazłaby się tak blisko, że jej tor stałby się oczywisty. A wtedy byłoby już za późno. Nawet wszystkie bomby termojądrowe przechowywane na Ziemi nie zdołałyby zapobiec katastrofie.

Ale ich sojusznik wpadł w panikę. Sojusznik Zabba. Choć Tachion gorąco nienawidził

kuzyna, ledwie potrafił w to uwierzyć.

Ogromna, przepojona złą wolą bryła, jaką była Matka Roju, wykryła obecność Złościcy, gdy ta orbitowała wokół świata, który Matka na swój tępy, uparty sposób zamierzała uczynić swoim. Zaatakowała. A po odparciu ataku ogar wojenny klanu Ilkazam z własnych, obłąkanych powodów postanowił zawrzeć sojusz z najgorszym wrogiem swego domu i wszystkich Takizjan.

Wspólnie uknuli plan. Na wpuł rozumna Matka zdała sobie sprawę, że ich zamiary wykryto, dopiero wtedy, gdy doktor Warren ogłosił swe odkrycie. Zareagowała pośpiesznie, zostawiając Rabdanowi niewiele czasu na zażegnanie groźby, którą spowodowała.

Wydawało się cudownym uśmiechem fortuny, że spotkał na ulicach Dżokerowa istotę, którą można było wziąć za pomiot Roju. Dlatego Rabdan udał się z Durgiem do Central Parku, by stworzyć dla siebie świadka. *Co mogłoby pójść źle?* — przechwalał się przed towarzyszem.

Tach przyznał kuzynowi ostatnią łaskę, której żaden Takizjanin nie odmówiłby drugiemu. Księżycowe Dziecko uwierzyła, że serce Rabdana zatrzymało się nagle pod wpływem mentalnej sondy. Tach czuł się zbrukany tym, że ją okłamał. Pokazał fotografie ukradzione z laboratorium Warrena Maleńkiej i jej astrograficzna analiza potwierdziła opowieść Rabdana. Przyszła kolej na pośpieszną naradę, po której nastąpiła noc spędzona na próbach zaśnięcia.

Trips i Tachion byli już gotowi wprowadzić w życie swój idiotyczny plan uratowania świata. Nie mieli czasu wymyślić nic lepszego. Zresztą mogło być już za późno.

A gdzieś tam czekał Zabb. Zabb. Zabójca *Kibr* Tacha. I zdrajca całej Takis. W swym okręcie wojennym. Zabb.



Jake włókł się ulicą, trzymając w ręce butelkę La Copita schowaną w papierowej torbie. Nad wodą w Dżokerowie nie miał nic do roboty jako natot, i do tego tak zalany. Nie był właściwie pewien, dokąd doszedł po tym, jak ten skurwysyn z głową iguany wykopał go z baru za to, że narzygał na podłogę. Dobrze, że miał zapasową flaszkę w kieszeni płaszczka.

Nagle usłyszał jakiś łoskot. Zatrzymał się i zobaczył, że z budynku na prawo przed nim odpada szczyt. Nie eksplodował ani się nie zawalił, ale po prostu odłączył się równo od reszty niczym przykrywką pudełka i opadł łagodnie na sąsiedni dach. Następnie z wnętrza budynku wyłoniła się gigantyczna muszla, cała pokryta maleńkimi światełkami. Zawisła bezgłośnie na tle matowopomarańczowego nieba, czekając, aż dach wróci na miejsce. Potem wzbiła się ukośnie w górę i zniknęła, umykając w bezkresny mrok.

Jake bardzo ostrożnie podszedł do najbliższego spływu i z wielką celnością wrzucił do niego opróżnioną w połowie butelkę La Copita, po czym bardzo szybko opuścił Dżokerowo.



— Nigdy bym na to nie wpadł, brachu — odezwał się wyraźnie zafascynowany Kapitan Trips. — Żeby sterować gwiazdolotem z własnej sypialni?

— U was chyba nazwano by to prywatną kabiną, tak?

W rzeczywistości pomieszczenie przypominało skrzyżowanie otomańskiego haremu z grotami w parku narodowym Carlsbad Caverns. Pośrodku tego wszystkiego ustawiono wielkie łoże z baldachimem, pokryte grubymi poduszkami. Między nimi leżał odziany w szlafrok Tach. Dawno temu przysiągł, że umrze w łóżku. Dzięki takizjańskiej biotechnologii taka śmierć mogła równocześnie być bohaterską, jeśli ktoś tego właśnie pragnął.

— Na takim statku nie ma formalnego centrum dowodzenia. Mostka. Na okrętach wojennych, takich jak Złośnica mojego kuzyna, są, ale nie na jachtach.

Poczuł, że Maleńka zaskwierczała z wściekłości, usłyszawszy imię Złośnicy. Od dawna były rywalkami.

— Takizjańskim okrętem-symbiontem kieruje się psionicznie. Pilot może bezpośrednio odbierać informacje, mentalnie albo wizualnie. Na przykład...

Tach skinął dłonią i na łukowatej membranie grodzi obok łóżka pojawił się obraz Ziemi. Odchodziła od niego żółta linia, reprezentująca ich trajektorię. Potem, jak w animacji komputerowej, glob odwrócił się i skurczył, aż pojawił się nieprzedstawiony w wiernej skali obraz projektowanej trasy lotu z Ziemi na 1954C-1100.

Trips nagrodził to oklaskami.

— To fantastyczne, brachu. Bomba.

— W rzeczy samej. Wy, Ziemianie, próbujecie stworzyć rozumność w swych komputerach, my wyhodowaliśmy istoty rozumne zdolne pełnić funkcję komputerów. A także wiele więcej.

— A co sądzi o tym wszystkim Maleńka?

Obraz zniknął. Pojawiły się słowa: *Czuję się zaszczycona, mogąc przewozić władców takich jak pan Tis i ty, chociaż obawiam się, że będziesz mnie dźgał tym swoim cylindrem. Jest okropnie wysoki.*

Trips podskoczył nagle.

— Nie wiedziałem, że potrafi to robić.

— Ja też nie. Kradnie ode mnie znajomość angielskiego w pisanej formie za pomocą kanału o bardzo małej mocy. To trochę nieładnie, ale wie, że jestem wyrozumiały i jej wybaczę.

Trips potrząsnął ze zdumieniem głową. Siedział na krześle, które wyłoniło się dla niego z podłogi i przystosowało swój kształt, gdy Tach wreszcie zdołał go przekonać, by na nim usiadł.

— Nie chodzi o to, że nie wierzę w Maleńkę — odezwał się. — Ale, no wiesz, czy jednostka twojego kuzyna to nie okręt wojenny?

— Tak. I nie musisz zadawać pytania, którego pragniesz uniknąć. W normalnej sytuacji Maleńka nie miałaby szans w starciu ze Złośnicą. Nie wypełniaj mi głowy zakłóceniami, Maleńka, bo dostaniesz klapsa. To prawda. Ale Maleńka jest szybka, nawet bez widmowego napędu. I ma większą manewrowość. Szczerze mówiąc, jest też inteligentniejsza. Najważniejszy

jest jednak fakt, że Złośnica odniosła poważne rany, odpierając atak Roju. Matka Roju tak starożytna i ogromna jak ta zapewne rozwinęła już bronie biologiczne, niemalże przeciwciała, skierowane przeciwko Takizjanom i ich widmowym statkom. My również używamy w walce z nimi podobnych broni, ponieważ tylko cała flota wojenna może dysponować siłą ognia potrzebną, by uszkodzić choć małą Matkę, a infekcja szerzy się sama. Zabb zdołał odeprzeć próbę abordażu i pokonać pomiot za pomocą mieczy, pistoletów i broni biologicznych, ale Złośnica została zarażona i uszkodzona, a choć chorobę udało się powstrzymać, minie wiele czasu, nim okręt wróci do zdrowia. Co więcej — dodał cichszym głosem — cokolwiek można by powiedzieć o Zabbie, odczuł każdą z jej ran jak swoją własną.

Oczy go zaszczypały.

Trips potrząsnął głową z pełną żalu miną.

— Całe to gadanie o walce tylko mnie przygnębia, brachu.

— To musi być dla ciebie trudne, biorąc pod uwagę twoje pacyfistyczne przekonania. Ale rola, jaką masz odegrać, nie wymaga walki, a ja będę walczył tylko w obronie własnej.

— Ale Księżycowe Dziecko walczyła. Większość pozostałych również jest gotowa to zrobić. Ja nie walczyłem nigdy w życiu. Tylko raz uderzyłem człowieka, a on zamachnął się i rozkwaślił mi nos, aż nagle pewnego dnia znalazłem się w innym ciele i ona cisnęła jakimś obcym mięśniakiem przez ścianę.

— To był wspaniały widok.

Tach zachichotał mimo woli.

— Okazało się, że wcale nie jest łatwo być asem.

Tisianne, czuję ją! Złośnica się zbliża.

Tach potargał z westchnieniem włosy.

— Obawiam się, że już czas, przyjacielu. — Postawił nogi na podłodze i wstał.
— Odprowadzę cię do służy.

Blask towarzyszył im, gdy posuwali się łukowatym korytarzem.

— Jesteś pewien, że potrafisz... to znaczy on potrafi znaleźć tę skałę? — zapytał Tachion.

— W okolicy raczej nie będzie wielu innych, doktorze.

Ta suka kształtuje orbitę przechwytyjącą. W maksymalnym zasięgu broni za dwadzieścia minut.

Odciągnij ją, Maleńka.

Zatrzymali się przy wewnętrznym zwieraczu służy dla załogi. Tach i Trips się objęli. Obaj mieli łzy w oczach i obaj starali się tego nie okazać.

— Życzę ci szczęścia, Mark.

— Nawzajem, doktorze. Posłuchaj, cały ten statek to Maleńka, zgadza się?

— Tak.

Trips pochylił się z zażenowaną miną i lekko ucałował wyrośl ściany o formie płynnej niczym stalagmit.

— Żegnaj, Maleńka. Pokój z tobą.

Żegnaj, Kapitanie. Niech Bóg ci sprzyja.

Ulegasz prymitywnym przesądom — skarcił ją Tachion, gdy oboje wycofali się uprzejmie za zakręt.

Rozbawienie. *Jaka będzie ta nowa osoba, Tis?*

Nie wiem. Nie mogę się doczekać, aż ją zobaczę. Trudno było liczyć na nowe Księżycowe Dziecko. Szczęście i tak im sprzyjało, skoro mieli asa dysponującego kombinacją mocy dających im choć małą szansę sukcesu.

— Doktorze?

Głos płynął ku nim niczym fala płynnego bursztynu, głęboki i dźwięczny. Tachion ruszył w tamtą stronę.

Widok wstrząsnął nim tak mocno, że stanął jak wryty. As niby grecki bóg: wysoki, potężnie umięśniony, zuchwa jak przyczółek mostu, klarowne zielone oczy, nimb kędzierzawych blond włosów, a do tego obcisły żółty kombinezon ozdobiony słońcem na piersi.

— Jestem Gwiazdny Blask — oznajmiła zjawa.

— Cały zaszczyt po mojej stronie — odparł odruchowo Tachion.

— To prawda. Jesteś militarystą reprezentującym dekadencją, represyjną cywilizację. Podejmę próbę zapobieżenia katastrofie, którą ściągnęła na mój świat wasza niekontrolowana technologia, podczas gdy ty wdasz się w walkę z inną frakcją waszego technokratycznego gangu, który zaraził Ziemię szatańskim wirusem. W tej sytuacji trudno mi życzyć ci sukcesu, doktorze. Niemniej życzę ci go.

Tachion najwyraźniej stracił głos. Maleńka wypełniała jego głowę fosfenowymi trzaskami przypominającymi zakłócenia na linii.

— Jestem bardzo wdzięczny — zdołał wreszcie wykrztusić.

— Tak. — Gwiazdny Blask pogłaskał się po heroicznej zuchwie. — Może stworzę poemat opiewający dylemat moralny, przed którym stoję...

— Czy nie powinieneś najpierw zająć się planetoidą? — niemalże krzyknął Tachion.

Gwiazdny Blask skrzywił się jak Zeus przyłapany przez Herę.

— Pewnie tak.

Śluza otworzyła się niczym przesłona.

— Powodzenia — zawołał Tach.

— Dziękuję — odparł as i wszedł do śluzy.

Gdy otworzyły się zewnętrzne drzwi, Maleńka przekazała obraz z przestrzeni — w razie potrzeby każdy centymetr kwadratowy jej powierzchni mógł się stać światłoczuły — do umysłu

doktora. Gwiazdny Blask wyszedł w próżnię, zwrócił twarz ku gorejącemu Słońcu, które znajdowało się teraz mniej więcej za rufą, i najwyraźniej zaczerpnął głęboki oddech. Następnie odepchnął się od statku, układając ciało oraz ręce w prostą linię, i przerodził się w jasną żółtą wiązkę światła przecinającą wieczną noc.

— Transformacja fotonowa. — Tachion był pod wrażeniem. — Jak tachionowa transformacja naszego widmowego napędu, ale pozwalająca rozwinąć tylko prędkość światła. Niewiarygodne.

Przez chwilę czuł się niemalże dumny z dzikiej karty.

Strząsnął z siebie to uczucie.

— Tego trudno mi będzie polubić — zauważył.

Niemily skurczybyk. Kapitana lubiłam znacznie bardziej.

Tis, zbliżają się.



Unosił się w beczasowości. Czyste uwolnienie, nieistnienie/współistnienie z całym wszechświatem. Ostateczne spełnienie: satori pod postacią wiązki laserowej.

Ale trwanie jest niezbędne. Uszczegółowienie, w dół, do ego. Do materii.

Czekała na niego planetoida. Brzydka bryła szlaki zdawała się spadać ku niemu, mimo że linia jego wzroku przecinała prostopadle jej trajektorię.

Potał zuchwę i zmarszczył brwi. Miał bardzo wiele do powiedzenia temu obcemu doktorowi — na temat zła, jakie jego gatunek przyniósł na ten świat, a także o tym, że jest winny narażania żalostnego rozbitka Tripsa na straszliwe niebezpieczeństwa. To jednak będzie musiało poczekać. Czas mijał.

Zastanawiał się, ile mu jeszcze go zostało. Wspomnienia, które dzielił z Markiem i resztą, powiedziały mu, że działanie proszku trwa godzinę. Miał nadzieję, że zdąży w tym czasie zrobić to, co konieczne.

Uniół rękę. Trysnęła z niej wiązka oślepiająco białego światła, uderzając w pokrytą dziobami powierzchnię Tezcatlipoki. Kolisty wycinek powierzchni planetoidy przemknął przez całe spektrum i się zagotował. W przestrzeń trysnął świecący strumień stopionej skały.

Gwiazdny Blask był niesamowicie silny, ale cała jego siła nie wystarczyłaby, by zepchnąć złowrogą masę z jej orbity. Nie miał też mocy potrzebnej, by zniszczyć planetoidę. Jedyne, co mógł zrobić, to za pomocą swej słonecznej wiązki ogrzać punkt na jej flance, by składająca się na nią materia wytrysnęła w przestrzeń niczym gaz z dyszy rakiety, pod kątem prostym do orbity planetoidy. Nawet teraz, tylko milion mil od Ziemi, niewielkie odchylenie zmieni wszystko.

Niemniej nawet minimalna zmiana kursu tak wielkiego obiektu wymagała fantastycznych ilości energii. I nieznanego czasu.

Gwiazdny Blask stopniowo zwiększał moc. Czuł się żywy, ogromny i potężny. Nie mógł przegrać, nie tutaj, przed nagim okiem Słońca, którego energia go karmiła.

Stawką była planeta. Jego planeta. Ziemia, zielona i brzezienna. A przy okazji również jego życie, a także życie Marka Meadowsa i innych istot, których byt w jakiś sposób sprzął się z jego bytem.



Już w chwili wykrycia Tach zorientował się, że najgroźniejsza broń Złościcy nie działa. Gdyby widmowa lanca funkcjonowała, w attosekundę rozsiałyby atomy składające się na Maleńką — i na niego również — po dwunastu wymiarach. A ponieważ Maleńka straciła gruczoł napędu, nie otrzymaliby ostrzeżenia. Tach podjął jednak ryzyko, stawiając na to, że atak Roju uszkodził lancę. To z pewnością był priorytetowy cel Matki. Te wielkie jak planetoidy istoty były się lanc, nawet małych, w które były wyposażone okręty klasy „Łowca”, takie jak Złościca.

Okręt Zabba z pewnością jednak nie był bezbronny. Gdy Maleńka zbliżała się do niego po stycznym kursie, oddalając się od Słońca i od trasy, którą zmierzał Gwiezdny Blask, po jej lewej burcie rozblęło fioletowe światło. *Spodziewałam się tego* — oznajmiła z zadowoleniem Maleńka, rozpoczynając taniec uników, skomplikowany jak menuet. Raz po raz wymykała się zbliżającej się Złościcy.

Wspólnie wysłali sondę. Tach kierował większą psioniczną mocą Maleńkiej, by dokonać skanu drugiego statku. Wykrył uszkodzenia tak poważne, że poczuł w gardle smak żółci. W burtach Złościcy ziały otwarte rany o brzegach spalonych albo wyschniętych. Pragnie nas zabić, ale żaden wierny okręt z Takis nie zasługuje na zakażenie skazą Roju, pomyślał.

Nim zdążył przyjrzeć się lepiej, mentalny kontratak odciął go z siłą gilotyny. Nie szkodzi. Maleńka zdołała wyczuć wystarczająco wiele, by mogła ocenić, jakimi zdolnościami nadal dysponuje jej rywalka. Niemniej Tach był zaskoczony.

Okulawiona dziwko, kochanko barek! — Tach poczuł gniew Złościcy, przesywający Maleńką niczym włócznia. *To pozółkłe słońce wkrótce poczuje smak ciebie i twojego słabowitego pana!*

Śmiałe słowa, jak na kogoś, kto człapie tak powoli, że nigdy mnie nie złapie!

Twoje mentalne moce wzrosły, kuzynie — wysłał Tach.

W jego umyśle zabrzmiał ironiczny śmieszek. *Przeciwności zmuszają do rozwoju. Zjawieś się, Tisianne. Jak rozumiem, znalazłeś moich emisariuszy na Ziemi?*

Maleńka składała mu meldunek o stanie Złościcy: *Nabłonek osłabiony w kilku sekcjach; rana w głównym narzędziu napędowym...*

Znalazłem — potwierdził Tach.

Rabdan był głupcem. Czy się go pozbyłeś? Wyczuwam, że tak. A co z Durgiem? Mam nadzieję, że jego śmierć była czysta.

On żyje, kuzynie. Przeniósł swą lojalność na powierzchniowca, który go pokonał — dodał

złośliwie. *Twojego dawnego więźnia, kapitana Tripsa.*

Odpowiedziało mu ukłucie gorącego gniewu. *Kłamiesz! Chwila przerwy. Ale nie. Być może zaczynasz rozumieć, dlaczego podjąłem te kroki, Tis.*

Zgodnie z planem, Maleńka ukształtowała łukowatą orbitę, cały czas przyśpieszając. Choć Złośnica bardzo się wysilała, nie była w stanie jej doścignąć. Jej narządy celownicze również ucierpiały. Na ten dystans przygniatającą przewagę siły ognia, jaką dysponował okręt wojenny, równoważyła większa celność jedyne go ciężkiego lasera Maleńkiej, która cały czas strzelała do rywalki, zmuszając ją do spowalniających pościg uników.

Rozumiem, że zdradziłeś swój kraj i lud — odparł Tach.

Mogłoby tak się zdawać, Tis. Ale pomyśl! Wirus, który uwolniliśmy, na tym gorącym, ciężkim świecie zagraża naszemu istnieniu znacznie bardziej niż bezmyślny Rój.

Eksperyment zakończył się sukcesem.

Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo. Ci przekształceni powierzchniowcy, ci asowie, pomogli ci w ucieczce przed naszą mocą. A teraz mówisz mi, że chuderlawy słabeusz pokonał największego mistrza walki wręcz, jakiego stworzyła Takis. Czy nie dostrzegasz nadciągającego zmierzchu naszego rodzaju, Tisianne?

Być może pora już, by psioniczni władcy upadli.

I ty zwiesz mnie zdrajcą. Tach wyczuwał w tej myśli więcej znużonego rozbawienia niż gniewu.

Chciałeś zniszczyć cały gatunek.

Oczywiście. To tylko powierzchniowcy.

Tach poczuł nagły ból, który trysnął na jego mózg niczym kwas. Spadł połową ciała z łóżka, gdy pole kompensujące przyśpieszenie przestało na moment działać. *Maleńka! Nic ci się nie stało?*

To tylko otarcie, panie Tisie. Nic mi nie jest. Tach wyczuwał jednak nutę niepewności. Maleńka nigdy dotąd nie została ranna w walce.

Popieścił ją krótkim, uzdrawiającym dotknięciem umysłu i wysłał z wściekłością do Zabba: I dlatego postanowiłeś połączyć siły z plugawym Rojem?

Widziałeś, co pomiot zrobił biednej Złośnicy. Ta Matka spotykała już Takizjan albo wymieniła plazmę z inną, która ich napotkała i przeżyła, co powinno ci wiele powiedzieć, kuzynie. Wysłała kapsułę, która posiadała pomiot na orbicie po drugiej stronie tego twojego przybranego świata. Czekał tam nieczynny, dopóki nie znaleźliśmy się pośród niego. Wtedy zaatakował nas za pomocą kwasów, patogenów o szybkim działaniu oraz brutalnej siły.

Odparliśmy ten atak. Umysł Tacha wypełniły obrazy ukradzione Rabdanowi. Toczona w migotliwym świetle bitwa z amorficznymi stworzeniami, których dotknięcie mogło oznaczać śmierć przez niepowstrzymany rozkład. Błyszczące miecze, krzyki i najbardziej desperacka

forma obrony — laserowe pistolety rozbłyskujące w korytarzach. Całą strukturą Złościcy targały perystaltyczne spazmy. *Straciliśmy czterech, między innymi naszego starego nauczyciela walki. Następny atak zniszczyłby nas. Dlatego wybrałem negocjacje.*

Tach zacisnął powieki fiołkowych oczu. *Sedjur.*

Gdy już odparliśmy atak — ciągnął Zabb — udało mi się dotknąć obrzękłego mroku, jakim jest świadomość Matki. Jednocześnie zajęliśmy się rannymi i wypłukaliśmy korytarze antybiotykową emulsją. Udało mi się wytłumaczyć jej, że pragnę zawrzeć ugodę. Zrozumiała mnie tylko niejasno. Myślę, że moja śmiałość obudziła w niej coś w rodzaju ciekawości. Chciała zbadać mnie dokładniej. Poleciałem do niej w jednoosobowej szalupie i wszedłem do środka.

Maleńka odzyskała już kontrolę. Jej gwałtowne manewry na wielkim przyspieszeniu powodowały tylko drobne zmarszczki na powierzchni brandy pozostałej w stojącym przy łóżku kielichu. Pot pokrył czoło Tachiona zimnymi kroplami. Mimo woli poczuł fascynację kuzynem, a nawet podziw do niego. Żeby wejść samemu i bez broni do wnętrza kolosalnego ciała Matki — starożytnego wroga, potwora z miliona bajek dla dzieci — to wymagało odwagi godnej epickich pieśni.

Wiedział też, że to był najważniejszy motyw, który kierował Zabbem. Nie zaznał dotąd porażki, a teraz Tach go upokorzył. Musiał dokonać jakiegoś nieprawdopodobnego czynu, bo inaczej jego znaczenie, jego *virtu*, wypłynęłoby niczym woda z rozbitego naczynia. A dla Takizjan nawet zdrada była tytułem do chwały, o ile popełniono ją na wystarczająco wielką skalę.

Wewnątrz ogromnej jaskini wysiadłem ze statku i stanąłem na samym ciele naszego najdawniejszego wroga. Otaczające mnie ściany sprawiały wrażenie obwieszonych wstęgami jakiejś czarnej masy. Oświetlały je upiorne światła, ukryte w kilkadziesiąt białych powłokach. Smród był tak wielki, że słabo widziałem. Nawiązałem jednak kontakt z umysłem gigantycznym i rozproszonym jak mgławica. W pewnym sensie rozmawialiśmy ze sobą.

I potwór, i ja byliśmy zainteresowani zniszczeniem życia na tej Ziemi. Dlatego nawiązaliśmy porozumienie.

Żółć wypełniła usta Tacha w wywołanym szokiem odruchu. „Nawiązaliśmy porozumienie”. Z jakąz niefrasobliwością jego kuzyn pomyślał te słowa, jakby nie opisywały jednocześnie najgorszej zdrady i najodważniejszego czynu w całej historii ich gatunku.

Oddaję ci honor, Zabb. Muszę. Jeśli dzisiaj zwyciężysz, twoją pieśń będzie się śpiewać przez tysiąc pokoleń. Ale... gardzę tobą.

Postaram się jakoś to znieść.

Tachion zaczerpnął z drzeniem oddech. *Zamordowałeś Benaf'saj.*

Musiałem. Nigdy by się nie zgodziła na podjęcie działań przeciwko tobie i twojej drogocennej Ziemi, nie wspominając już o paktowaniu z Rojem. Wszystkie pozory wskazują, że zginęła

podczas ataku pomiotu. Z pewnością ucieszy cię wieść, że zajął się tym Rabdan.

Na jedwabną kołdrę spadła łąza.

Zabb, zabiję cię.

Złoźnica jest tak osłabiona, że może ci się to nawet udać. A może to ja zabiję ciebie. Znużony chichot. Z mojego punktu widzenia oba rezultaty są zadowolające.

Maleńka krzyknęła.

Tachem nagle zaczęło miotać o ściany jego luksusowej, organicznej komnaty. Poczłł odór gorącego silikonu. Umysł wypełniły mu echa bólu statku.

Teraz, suko, nie możesz już uciekać — nadeszła myśl Złoźnicy, skwiercząca od nienawiści. Rozbłysnął niebiesko-biały ogień, gdy okręt wojenny przestawił napęd na najwyższe, triumfalne obroty, ruszając do rozstrzygającego ataku.

Maleńka, Maleńka! Jej umysł wypełniał biały szum przerażenia i bólu. Statki-symbionty miały wiele zalet w porównaniu z nieorganicznymi jednostkami: potrafiły myśleć samodzielnie, a ich rany goiły się same. Miały też jednak wolną wolę, którą można było złamać.

Tach złapał się mocno jakiejś wyrastającej ze ściany części i rozszerzył umysł tak, by objąć nim cały statek. Z długiej na dwa metry rany w kadłubie wypływało powietrze. Okręt koziółkował w przestrzeni. Och, Maleńka, weź się w garść.

Poczłł, że demoniczne tchnienie lasera przeszło obok. *Tato, tato, nie mogę, nie mogę!*

Ściany pulsowały światłem, tworząc bezładne plamy barw. Tach przywołał całą swą uzdrawiającą siłę, całą miłość i empatię do Maleńkiej, wlał całą swą jaźń w płomienie przerażenia wypełniające jego statek. *Kocham cię, Maleńka. Ale musisz pozwolić, bym ci pomógł.*

Nie!

Stawką jest nasze życie. I cały świat.

Przerażenie opadło powoli. Szalona rotacja statku ustała i Tachion poczulł, że kompensujące pole TK znowu wzięło go w objęcia. Odetchnął.

Złoźnica miała już kształt nawet bez powiększenia — kolczasta ciemność usiana maleńkimi światełkami, niesiona przez tsunami ognia. Jej triumf wypełnił umysł Tacha, gdy uderzył promień lasera i jedna z barbet Maleńkiej ulotniła się z jasnym błyskiem. *Wrzeszcz o litość tchórzliwa, suko! Będziesz po kres wieków unosić się w pustce bez przyjaciół!*

NIECH CIĘ SZLAG! Wewnętrznie światła Maleńkiej przygasły. Całą swą moc włożyła w laser. Szkarłatna wiązka przeszła Złoźnicę tuż przed napędem. Okręt Zabba wrzeszczał coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie Tach pomyślał, że mózg mu eksploduje od tego bolesnego tumultu.



1954C-1100 wymiotował w przestrzeń własną substancją. Przez chwilę Gwiazdny Blask

niemalże żałował, że nie zabrał jakiegoś instrumentu, który mógłby zmierzyć jego postępy. Czas uciekał szybko i nic nie wskazywało na to, by ten zdradziecki obcy technokrata miał wkrótce wrócić. As chciałby wiedzieć, czy jego poświęcenie nie poszło na marne.

Zduślił stanowczo tę myśl. Przynajmniej umrze wolny od subtelnych łańcuchów technologii. A zielony świat przetrwa jeszcze chwilę, nim gwałciciele ziemi i technoświry wypalą go do końca.

Zaczął tworzyć swój ostatni poemat, chwytający za serce tym bardziej, że zagłuszał go bezgłośny wrzask fotonów i nigdy nie usłyszy go nikt poza innymi jestestwami składającymi się na konglomerat, jakim był Kapitan Trips.



Gdy tylko odzyskał zdolność myślenia: *Maleńka, co z tobą?*

Zwyciężyliśmy! Panie Tisie, pokonałam ją! Obraz Złośnicy, rozdartej i pozbawionej światła, oddalającej się bezwładnie od orbity komety i od świata, który chciał zniszczyć jej pan.

Zabb! Zabb, żyjesz? Nie było odpowiedzi. Tach zastanawiał się, dlaczego jego puls nagle przyspieszył.

Aż wreszcie: Żyję, niech cię szlag. Czy niczego nie potrafisz zrobić jak trzeba?

A co z załogą?

Troje zginęło, kiedy twój strzał rozwalił napęd: Aliura, Z'ovar Sang i ta dziewczka służebna, którą tak lubieś. Wszystkich pochłonęła eksplozja płomieni. Jesteś z siebie dumny, Tisianne?

Siedział całkowicie nieruchomo. Wypełniała go zimna pustka. Zamordował własnych kuzynów, najpierw Rabdana, a teraz następnych. I Talli, towarzyszkę z lat dzieciństwa, która ostrzegła go przed zamiarami Zabba, kiedy porwano go razem z Żółwiem i Tripsem. Wszystko to zrobił w dobrej sprawie, oczywiście. Ale czy Zabb nie mógłby również tak twierdzić?

Wygrałeś. Teraz się zemścij, Tisianne.

Maleńka, zsynchronizuj kurs ze Złośnicą. Trzeba to załatwić szybko.

Ale, panie...

Słucham?

Gwiazdny Blask... zaraz wróci do postaci kapitana Tripsa.

Na co czekasz? Głos Zabba przybrał wyższą tonację. Chcesz się chełpić, Tisianne? To do ciebie niepodobne. Skończ z tym.

Tach gapił się bez wyrazu na membranową ścianę przed sobą. Maleńka utworzyła na niej obraz pokonanej rywalki. Jego duma domagała się czynów. W grę wchodziły też względy praktyczne. Dopóki Zabb pozostanie przy życiu, Tachionowi będzie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. I całej Ziemi również.

Tis, kiedy moja matka zrzuciła ze schodów tę skundloną sukę, która wydała cię na świat, przyglądałem się temu. Stałem przy balustradzie i się śmiałem. Jej głowa zataczała się na szyi

tak...

Jednakże Tachion roześmiał się w głos. *Dość już tego. Zachowaj swój jad dla Pustki, Zabb.*

No to strzelaj. Strzelaj, do cholery.

Nie. Napraw Złośnicę, jeśli potrafisz, i dowlecz się z powrotem na Takis albo ucieknij do Sieci i żyj jako renegat. Żyj ze świadomością, że znowu cię pokonałem. Że zdradziłeś swój ród i przegrałeś.

Wzniósł barierę przeciwko nagłej fali furii. *Maleńka, znajdź szybko Kapitana!* Skręciła gwałtownie. Jej napędy otoczyła żółta koma.

...zniszczę cię, Tisianne. Przysięgam... — wyczuł jeszcze. Potem Zabb wyszedł poza zasięg, spadając w bezdenną studnię nocy.



Blask jego dłoni zaczął mrugać. W tej samej chwili Gwiazdny Blask poczuł mdłości. Sama struktura jego bytu zaczęła się przeobrażać. *Przynajmniej umarłem w objęciach Słońca...*

Trzysta sekund później Maleńka wyhamowała gwałtownie, wyrównując prędkość ze z pozoru martwą postacią unoszącą się nad wciąż jeszcze świecącym kraterem na powierzchni planetoidy. Sięgnęła delikatnie na zewnątrz polem chwytającym, ujęła odzianego w fioletowy strój mężczyznę o ustach i uszach otoczonych pierścieniami krwi, a także jedwabny cylinder, również fioletowej barwy, krążący wokół niego jak satelita, i wciągnęła go do środka. Jej pan pochylił się ze łzami nad przyjacielem, a ona skierowała dziób ku światu, który stał się ich domem.



— Mark. Mark, stary przyjacielu!

Doktor Tachion wpadł do środka „Kosmicznej Dyni” z całym naręczem bukietów oraz butelek wina w papierowych torebkach.

Mark wyjechał na wózku ze sklepu tytoniowego.

— Doktorze, kurde, ależ się cieszę, że cię widzę. Co to za okazja?

Jego twarz zrobiła się nienaturalnie rumiana, gdy naczynia włosowate pod skórą popękały w próżni, a dopóki bębenki mu się nie zagoją, będzie musiał nosić aparat słuchowy przytwierdzony do wyrostka sutkowatego przy lewym uchu, ale biorąc pod uwagę, przez co przeszedł, wcale nie wyglądał tak źle.

— Pytasz, co to za okazja? Co to za okazja? Kluchę uwolniono od wszelkich zarzutów. Dzisiaj wraca do domu. Zostałeś bohaterem. To znaczy twój przyjaciel Kapitan nim został. I ja też, oczywiście. W Kryształowym Pałacu odbędzie się uroczystość. Drinki na koszt lokalu.

— To po co ci te butelki?

— Te? — Uśmiechnął się. — Być może urządzę sobie prywatną uroczystość, jak już impreza u Poczwaraki się skończy.

Podsunał przyjacielowi bukiet.

— To dla ciebie. Pozwól, że pierwszy ci pogratuluję, Mark.

Mark pociągnął nosem.

— Hmm, dziękuję, doktorze.

— To jak, ruszamy? Czemu nie włożysz, no wiesz, czegoś bardziej eleganckiego?

Mark odwrócił wzrok.

— Hmm, kapujesz, chyba lepiej zostanę tutaj. Muszę się zajmować sklepem i Sprout, a do tego trudno mi się poruszać.

— Bzdura. Musisz tam pojechać. Zasłużyłeś na podziw, Mark. Ty. Jesteś bohaterem.

Przyjaciel unikał jego spojrzenia.

— Brenda z radością popilnuje sklepu i Sprout za ciebie.

— Nie tak szybko, frajerze — sprzeciwiła się stojąca za ladą kobieta. — Swoją drogą, jestem Susan.

Tach wbił w nią przenikliwe spojrzenie. Po chwili się skuliła.

— Pewnie... pewnie bym mogła to zrobić.

— Ale mój wózek — poskarżył się Mark.

— Potrzebujesz pomocy, pani Isis? — zapytał głos dobiegający z wnętrza sklepu, głęboki i dźwięczny jak obcy gong. Durg at'Morakh bo-Isis Vayawand-sa wszedł do delikatesów. Poszukiwany przez kolekcjonerów T-shirt grupy Steppenwolf rozciągał się na jego gigantycznej piersi do granic eksplozji. Utykał, policzki zaś miał obrzękłe i posiniaczone, ale poza tym nie ucierpiał zbytnio. — Mogę cię zanieść, dokąd tylko zapragniesz, pani.

Pijacki rumieniec na twarzy Meadowsa pogłębił się jeszcze.

— Kurde, wołałbym, żebyś mnie tak nie nazywał. Mam na imię Mark.

Durg skinął głową.

— Jak sobie życzysz, pani. Jeśli pragniesz ukrywać swe miano przed zazdrością słabszych współplemieńców, podobnie jak ukrywasz swą postać, będę się posługiwał twoim pseudonimem, gdy tylko powierzchownicy są obecni.

— Jezu — mruknął Mark. Ze swej strony Tach czuł się poirytowany, że Morakh zdołał się jakoś dowiedzieć, że prawdziwe nazwisko Księżycowego Dziecka (cokolwiek mogło to znaczyć) brzmi Isis Moon. On tego nie wiedział. Cała ta sytuacja bawiła go też nieco.

— Znakomicie — rzekł, przesuwając ręce, w których trzymał ładunek. — Przebierz się na górze. Spotkamy się w Pałacu.

— Dokąd się teraz wybierasz?

— Mam jeszcze umówione spotkanie.

Durg uniósł Marka razem z wózkiem i zaniósł go na górę po schodach.



W późnopopołudniowym półmroku wypełniającym gabinet Tacha twarz Sary Morgenstern

wydawała się niemal tak samo zaczerwieniona jak oblicze Marka.

— A więc udało się panu — wydyszała kobieta.

Zdawał sobie sprawę z jej zapachu, wyczuwał jej podniecenie.

— To było proste — skłamał.

— Niech mi pan powie, jak popełniono zbrodnię?

Opowiedział jej wszystko, tylko z niewielkimi upiększeniami, ponieważ zmysłowość wydawała się w tej chwili ważniejsza niż karmienie własnego ego. Kiedy skończył, zauważył ze zdumieniem, że jej pełna zapału mina zapadła się w sobie niczym suflet.

— Obcy? To byli obcy?

Ledwie zdołała wykrztusić z siebie te słowa. Jej rozczarowanie uderzyło w płyty czołowe Tacha z siłą przyboju.

— Ależ oczywiście. Pomiot drugiego stadium, sprzymierzony z moim kuzynem Zabbem. To ważna część artykułu, który pani napisze, ponieważ to znaczy, że Matka nie odeszła i nie zamierza zostawić tego świata w spokoju.

Bukiet, który jej wręczył, upadł na podłogę. Dwanaście róż leżało wokół stóp Sary niczym drzewa zwalone przez wybuch bomby.

— Andi — załkała z wykrzywioną z żalu, polakierowaną łzami twarzą. A potem uciekła z karkołomnym stukotem obcasów.

Gdy ich odgłos się oddalił, Tach uklęknął i delikatnie podniósł jeden krwawoczerwony pączek. Nigdy nie zrozumieł Ziemiań, pomyślał.

Wetknął kwiat do butonierki jasnoniebieskiej marynarki, przeszedł ostrożnie nad pozostałymi, zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i pogwizdując, ruszył na imprezę.



Jube: Sześć

Metro było perwersyjnym ludzkim wynalazkiem, do którego Jube nigdy nie zdołał się w pełni przyzwyczaić. Było w nim gorąco i duszno, a smród moczu w tunelach bywał niekiedy przemożny. Nie znosił też świateł, ciągle włączających się i wyłączających podczas jazdy. Długa podróż linią A do Sto Dziewięćdziesiątej Ulicy była wyjątkowo nieprzyjemna. W Dżokerowie Jube czuł się pewnie. Był członkiem miejscowej społeczności, kimś znanym i akceptowanym. W środkowej części Manhattanu, Harlemie i położonych dalej dzielnicach był dziwolągiem. Dzieci gapiły się na niego, a ich rodzice bardzo się starali go nie zauważać. Czuł się przez to prawie jak, no cóż, obcy.

Nie sposób jednak było tego uniknąć. Sprzedawca gazet zwany Morsem raczej nie powinien zajeżdżać do Cloisters Museum taksówką.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy mogło się niekiedy wydawać, że jego życie legło w gruzach, ale interes szedł lepiej niż kiedykolwiek. Jube przekonał się, że masoni również czytają gazety, na każde spotkanie zabierał więc wielkie naręczce i czytał je w metrze (kiedy światła się paliły), by choć na chwilę zapomnieć o smrodzie, hałasie oraz niesmaku na twarzach współpasażerów.

Na pierwszej stronie „New York Timesa” pisano o utworzeniu federalnych sił specjalnych mających walczyć z zagrożeniem ze strony Roju. Spory kompetencyjne między NASA, Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, SKAZA oraz sekretarzem obrony — wszystkie te ciała uważały, że Rój należy do ich dziedziny — miały się wreszcie zakończyć, co pozwoli na koordynację działań prowadzonych przeciwko Rojowi. Siłami specjalnymi miał dowodzić człowiek nazwiskiem Lankester, zawodowy dyplomata z Departamentu Stanu, który obiecał bezzwłocznie rozpocząć przesłuchania. Siły specjalne miały nadzieję zarekwirować radioteleskopy VLA z Nowego Meksyku do swego wyłącznego użytku, by w ten sposób zlokalizować Matkę Roju, ale ten pomysł spotkał się z silnym sprzeciwem społeczności naukowców.

„Washington Post” umieścił na czołówce artykuł o najnowszym morderstwie asa pik, ilustrowany zdjęciami ofiary ze strzałą wbitą w lewe oko. Zabity był dżokerem mogącym się pochwalić listą popełnionych przestępstw długą jak jego chwytny ogon, miał też powiązania z gangiem z Chińskiej Dzielnicy znanym pod różnymi nazwami, takimi jak Śnieżne Ptaki, Śnieżne Chłopaki i Niepokalane Czaple. „Daily News” — które prezentowały na pierwszej

stronie to samo morderstwo, tyle że bez zdjęć — spekulowały, że zabójca z łukiem pracuje dla mafii, ponieważ wiadano, że Niepokalane Czaple z Chińskiej Dzielnicy oraz Władcy Demonów z Dżokerowa próbowali wtargnąć na terytorium rodziny Gambione, a Frederico „Rzeźnik” Macellaio nie zwykł tolerować podobnych prowokacji. Ta teoria nie tłumaczyła jednak, dlaczego zabójca używa łuku i strzał, dlaczego pozostawia na każdym ciele laminowaną kartę — asa pik — i dlaczego nie tknął kilograma anielskiego pyłu, który miała przy sobie ostatnia ofiara.

„National Informer” miał na okładce kolorowe zdjęcie doktora Tachiona, zwiedzającego laboratorium w towarzystwie jakiegoś wysokiego i chudego mężczyzny w fioletowym stroju Wuja Sama. Zdjęcie wyglądało bardzo niepoehlebnie. Podpis głosił: *Doktor Tachion i Kapitan Zipp składają hołd doktorowi Warnerowi Fredowi Warrenowi.* „Wkład, jaki wniósł w naukę, nie ma sobie równych” — *mówi obcy geniusz i telepata.* Towarzyszący zdjęciom artykuł sugerował, że doktor Warren uratował świat, i proponował, by jego laboratorium uczyniono narodowym muzeum, przypisując autorstwo tej propozycji doktorowi Tachionowi. Rozkładówkę tabloidu poświęcono na zeznania sprzątaczk z Bronksu, twierdzącej, że pomiot próbował ją zgwałcić w wagonie szybkiej kolei, ale jeden z pasażerów zmienił się w trzyipółmetrowego aligatora i pożarł stworzenie. Ta historia zaniepokoiła Jube’a. Uniósł wzrok i przyjrzał się ludziom jadącym z nim metrem. Miał nadzieję, że żaden z nich nie jest pomiotem ani aligatorołakiem.

Miał też nowy numer magazynu „Aces”. Na pierwszej stronie umieszczono artykuł o Skaczącym Ogniku, „najgorętszym nowym asie w Wielkim Jabłku”. O Ogniku pierwszy raz usłyszano dopiero przed dwoma tygodniami, gdy pojawił się nagle — w pomarańczowym kombinezonie z rozcięciem do pępka — i ugasił pożar magazynu na South Street, zagrażający pobliskiej klinice w Dżokerowie. As wciągnął płomień w siebie i stłumił je w jakiś sposób. Od tej pory widywano go wszędzie. Przemykał przez niebo Manhattanu na gorejącej kolumnie ognia, strzelał płomieniami z palców, udzielał enigmatycznych, sardonicznych wywiadów oraz przyprowadzał piękne kobiety do Wieży Asów, gdzie jego talent do podpalania własnych steków doprowadzał Hirma do szału.

Na stacji przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy do pociągu wsiadł szczupły, łysiejący mężczyzna w trzyczęściowym garniturze i usiadł na drugim końcu wagonu. Pracował w urzędzie skarbowym i był znany w Zakonie jako Kamizelka. Na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy dołączyła do nich zwalista, siwowłosa, czarnoskóra kobieta w różowym stroju kelnerki. Jube ją również znał. Oboje byli zwyczajnymi ludźmi, nie mieli mocy asów ani nie byli zdeformowani jak dżokerzy. Okazało się, że wśród masonów jest bardzo wiele takich osób: budowlanych i księgowych, studentów i pracowników firm spedycyjnych, kanalarzy i kierowców autobusów, gospodyń domowych i dziwek. Jube poznał na spotkaniach sławnego prawnika, telewizyjnego zapowiadacza pogody oraz specjalistę od dezynsekcji, który uwielbiał opowiadać o swojej pracy

i ciągle dawał Jube'owi wizytówki. „Założę się, że w Dżokerowie jest mnóstwo karaluchów”. Niektórzy byli bogaci, nieliczni bardzo biedni, a większość ciężko pracowała na życie. Nikt nie sprawiał wrażenia szczególnie szczęśliwego.

Przywódcy byli bardziej niezwykli, ale każda grupa potrzebuje szarych członków, a każda armia szeregowców. To właśnie było miejsce dla Jube'a.

Jay Ackroyd nigdy się nie dowie, w którym punkcie popełnił błąd. Był zawodowym prywatnym detektywem, bystrym i doświadczonym, a do tego zachowywał maksymalną ostrożność od chwili, gdy się zorientował, z czym ma do czynienia. Gdyby tylko był trochę mniej utalentowany, gdyby Poczwarzka wysłała kogoś bardziej zwyczajnego, mogłoby im się udać. To właśnie jego zdolności go zdradziły. Ukryte moce asa. Rzutnik, który nie znosił swej ksywki, był wysyłającym teleporterem. Wystarczyło, że wskazał na kogoś palcem, by mógł go przenieść gdzie indziej. Robił, co tylko mógł, by nie przyciągać niczyjej uwagi, nie przeteleportował ani jednego masona, ale Judasz i tak wyczuł jego moc i to wystarczyło. Teraz Ackroyd całkowicie zapomniał o istnieniu masonów. Podobnie jak Poczwarzka i John Diabeł Piękna Stopa. Tylko fakt, że był dżokerem i ewidentnie nie posiadał żadnej mocy, uratował życie i umysł Jube'a... a także maszynę, którą miał w mieszkaniu.

Gdy pociąg linii A zatrzymał się przy Sto Dziewięćdziesiątej Ulicy, było już ciemno. Kamizelka i Łyżka szybko wyszli na powierzchnię, a Jube włókł się za nimi, niosąc gazety pod pachą. Uprząż uwierała go pod koszulą i czuł się rozpaczliwie samotny. Nie miał sojuszników. Poczwarzka i Rzutnik o wszystkim zapomnieli. Croyd obudził się jako obrzękłe, szarozielone stworzenie o ciele przypominającym meduzę i zaraz znowu położył się spać, pocąc się krwią. Takizjanie przylecieli i odlecieli. Niczego nie zrobili i nic ich to nie obchodziło. Przenośnik osobliwościowy, jeśli nadal był nietknięty i działał, zaginął gdzieś w mieście, a bez niego tachionowy nadajnik był bezużyteczny. Jube nie mógł też zgłosić się do ludzkich władz. Masoni byli wszędzie. Zinfiltrowali policję, straż pożarną, urząd skarbowy, urząd kierowania ruchem oraz media. Na jednym ze spotkań Jube zauważył nawet pielęgniarkę ze szpitala w Dżokerowie.

Ten ostatni fakt zaniepokoił go głęboko. Spędził kilka bezsennych nocy w balii z zimną wodą, zastanawiając się, czy powinien coś komuś powiedzieć. Ale komu? Mógłby szepnąć nazwisko siostry Gresham Trollowi, donieść na Harry'ego Mathiasa jego kapitanowi, opowiedzieć całą historię Krabowemu Ciastku z „Krzyku Dżokerowa”. Co jednak, jeśli Troll również był masonem? Albo kapitan Black czy Krabowe Ciastko? Szeregowi członkowie Zakonu widywali swych przywódców tylko z daleka, i to często osłoniętych maskami. Krążyły też pogłoski o innych nowicjuszach wysokiej rangi, którzy nigdy nie przychodzili na spotkania, asach, szarych eminencjach oraz innych wpływowych osobistościach. Mógł ufać tylko sobie.

Dlatego chodził na ich spotkania, słuchał i się uczył. Przyglądał się, zafascynowany, jak wkładają maski i odprawiają swe ceremonie oraz rytuały. Zapoznał się z atrybutami

mitologicznych bogów, których imitowali, opowiadał swoje kawały i śmiał się z opowiadanych przez nich, zaprzyjaźnił się z tymi, którzy byli skłonni zaprzyjaźnić się z dżokerem, i obserwował tych, którzy nie byli. Zrodziło się w nim pewne podejrzenie, monstrualne i niepokojące.

Nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie to robi. Przypomniał sobie coś, co wydarzyło się bardzo dawno temu, na pokładzie potężnego gwiazdolotu Sieci „Okazja”. Wielki Kupiec przyszedł do jego kabiny pod postacią wiekowego Glabberanina o poczerniałej ze starości szczecinie. Jhubben zapytał, dlaczego zaszczycono go tym zadaniem.

— Jesteś do nich podobny — odparł Wielki Kupiec. — Różnisz się od nich postacią, ale ukryjesz się wśród tych, których zniekształciła i wypaczyła takizjańska biotechnologia. Będziesz kolejną anonimową ofiarą. Twoje procesy myślowe, kultura, wartości, moralność — wszystko to jest bliższe ludzkim normom niż u kogokolwiek innego, kogo mógłbym wybrać. Mieszkając między nimi, z czasem upodobnisz się do nich jeszcze bardziej. Dzięki temu ich zrozumiesz i po naszym powrocie staniesz się dla nas bardzo cenny.

Wszystko to okazało się prawdą. Jube stał się bardziej ludzki, niż mógłby się tego spodziewać. Jednakże Wielki Kupiec przemilczał jeden fakt. Nie powiedział Jhubbenowi, że pokocha ludzi i poczuje się za nich odpowiedzialny.

W cieniu Cloisters Museum drogę zagroziło mu dwóch młodzieńców noszących kolory gangu. Jeden z nich miał nóż sprężynowy. Znali go już, ale i tak musiał im pokazać błyszczący czerwony pieniążek, który miał w kieszeni. Tak mówiły zasady. Skinęli bez słowa głowami i Jube wszedł do środka. Znalazł się w wielkiej sali, w której czekali już na niego ze swymi tabardami i maskami, ze swymi rytualnymi słowami i tajemnicami, których poznanie go przeraziło. Czekali, aż się zjawi, by rozpocząć inicjację.



Po zapomnianych drogach

PAT CADIGAN

Było niezwykle gorąco jak na maj. Krótka zapowiedź upalnego lata i dzieci zgromadzone wokół hydrantu przeciwpożarowego tworzyły ponadczasową scenę. Brakowało im tylko znajomości rzeczy — żadne nie wiedziało, jak spowodować, żeby woda popłynęła. Nieważne, że doprowadziłoby to do gwałtownego spadku lokalnego ciśnienia, co z kolei znacznie utrudniłoby zadanie strażakom. Dlatego właśnie podpalacze zawsze z chęcią pomagają bandzie spoconych dzieciaków w upalny dzień. Ale kiedy człowiek potrzebuje podpalacza, nigdy nie można go znaleźć.

Mężczyzna w rodzinnym sklepiku ogólnospożywczym nie patrzył na dzieci. Obserwował przyglądającą się im młodą kobietę o opadających na ramiona kasztanowych włosach oraz wielkich zielonych oczach. Śledził ją od chwili, gdy przed trzema dniami wysiadła z autobusu, z reguły zza zasłony któregoś ze swych ulubionych tabloidów, tak samo, jak czynił to teraz. Nagłówek głosił. **KOBIETA ZMIENIA SIĘ W DŻOKERA I ZJADA MĘŻA W NOC POŚLUBNĄ.** Harry Mathias zawsze lubił wszystko, co szokujące.

Dziewczyna po drugiej stronie ulicy nie miała jednak w sobie nic szokującego. Słowo „dziewczyna” określało ją lepiej niż „młoda kobieta”, mimo że był pewien, iż ukończyła już dwadzieścia jeden lat. Jej twarz o kształcie serca była świeża, wolna od zmarszczek, nieukończona. Niewinna i bardzo atrakcyjna, jeśli przyjrzeć się jej uważniej, a podejrzewał, że większość mężczyzn to robiła. Nikt by nie pomyślał, że była czymkolwiek więcej niż kolejnym niewiniątkiem rzucającym się w paszczę wielkiego miasta. Jednakże Harry, częściej zwany Judaszem, wiedział, że jest inaczej. Astronom hojnie go za nią nagrodzi.

Czy raczej zrobią to ludzie Astronoma. On sam nie zawracał sobie głowy swymi podkomendnymi, o ile mieli szczęście, a Judasz zawsze miał farta, niemalże zbyt wielkiego, by żyć. Zaczynał jako fan dżokerów, jak mówili ludzie, „dżokuś” (i śmiali się przy tym z niego), ale wkrótce sam został asem. Co prawda, jego talent był bardzo subtelny, lecz również wyjątkowo użyteczny. Potrafił wykrywać innych asów i określać ich moc. W nim moc objawiła się owej nocy w zwariowanym kabarecie o nazwie „Szalejący dżokerzy”. Uratowała mu życie, bo byli gotowi go załatwić, gdy zarodnik pękł, a on zdemaskował tę zmiennokształtną kobietę. Poddali ją naprawdę wielkim zmianom, jeśli mógł tak to ująć. Nie lubił o tym myśleć, ale lepiej ją niż jego. Lepiej kogokolwiek niż jego, nawet tę dziewczynę z drugiej strony ulicy, choć to

sprawiłoby mu ból. Była atrakcyjna. Ale on tylko odda ją masonom, którzy jej nie zmarnują. Cóż za wspianiały talent miała. Pewnie dadzą mu medal, kiedy ją przyprowadzi. No cóż, przynajmniej zapłacą mu wystarczająco wiele, by miano Judasza przestało go boleć. O ile by go kiedykolwiek bolało, a tak przecież nie było.

Dziewczyna uśmiechnęła się i poczuł, że na jego twarzy również pojawił się uśmiech. Czuł, że jej moc narasta. Rzucił machinalnie kasjerowi kilka monet za tabloid, a potem wyszedł na chodnik, niosąc gazetę pod pachą. Znowu poczuł się zdumiony. Choć wiedział, że trzeba dysponować specjalną mocą, by móc rozpoznać asa, nadal dziwiło go, że ludzie nigdy nie potrafią się zorientować, że mają przed sobą coś większego niż oni, czy był to as, TIAMAT czy Jedyne Prawdziwy Bóg. Zerknął na niebo. Bóg nadal miał przerwę na kawę, a TIAMAT jeszcze nie przybyła. Na razie pozostawał sam na sam z dziewczyną i to towarzystwo mu wystarczało.

Tylko on poczuł, gdy uwolniła moc. Wypłynęła z niej zarówno jako fala, jak i jako kanonada cząstek. Jej skala była przerażająca. To była pierwotna moc, coś, co wydawało się stare, mimo że wirus dzikiej karty był czymś względnie nowym, jakby obudził on jakiś talent wrodzony, lecz uśpiony od stuleci.

To całkiem możliwe, pomyślał nagle. W końcu wszystkie prymitywne ludy posługiwały się jakimiś rytuałami przywołującymi deszcz.

Nagle rozległ się stuk i woda z hydrantu trysnęła na ulicę. Dzieci brodziły w niej, bijąc brawo i śmiejąc się radośnie. Cieszyła się tak bardzo, że nawet nie zauważyła, gdy do niej podszedł.

— Policja, panienko. Proszę nie stawiać oporu. — Całkowite zaskoczenie malujące się na jej twarzy, gdy podsunął jej pod nos odznakę, sprawiło, że wydawała się jeszcze młodsza. — Chyba nie myślała pani, że ujdzie to pani na sucho, co? Proszę nie udawać niewiniątka. Oprócz pani mamy tu też innych asów.

Skinęła potulnie głową i pozwoliła, żeby ją odprowadził.



Cloisters Museum nie wywarło na niej żadnego wrażenia. Nie raczyła choćby spojrzeć na wyniosłą architekturę w stylu francuskiego gotyku, ani nawet na pięknie rzeźbione drewniane drzwi, pod które dostarczył ją niczym towar i przekazał w oczekujące ręce Kim Toy O'Toole oraz Czerwonego. Oparł się pokusie pocałowania jej. Dla faceta zwanego Judaszem tego byłoby zbyt wiele. Hej, dziewczynko, nawet nie zauważyłaś braku policyjnych mundurów.



Nim ukąsił go wirus dzikiej karty, Czerwony był tylko lekko rumiany. Teraz zrobił się szkarłatny od stóp do głów. Uważał, że ten stan da się jakoś znieść.

— Może mam w żyłach domieszkę indiańskiej krwi — mawiał od czasu do czasu. Nie było to jednak prawdą. Jego żona była potomkiem irlandzkiego zawodowego żołnierza oraz miłości jego życia, którą spotkał na przepustce w Hongkongu. Sean O'Toole był masonem, ale trudno by mu

było rozpoznać organizację, do której wstąpiła jego córka po tym, jak rozkwitł w niej zarodek dzikiej karty i przekonała się, że połączenie mentalnych mocy z feromonami pozwala jej czarować mężczyzn znacznie skuteczniej, niż było to normalne dla w miarę atrakcyjnej kobiety. Czerwony nie potrzebował tego typu zauroczenia. I całe szczęście, bo nie potrafiła sprawić, by nie było fatalne.

Odebrali świeży towar dostarczony przez Judasza i zamknęli dziewczynę w jednym ze starych gabinetów na dole, gdzie można było spokojnie prowadzić przesłuchania (Roman zawsze ich poprawiał, mówiąc, że to wywiady). Potem usiedli w korytarzu, korzystając z nieplanowanej przerwy. Roman wkrótce się zjawi, a potem będą musieli zrobić z dziewczyną to, co Astronom uzna za najlepsze.

— Mały zbok — mruknął Czerwony, przyjmując od Kim Toy zapalonego już papierosa. Tak zawsze mówili o Astronomie. — Czasami uważam, że powinniśmy zgnieść mu tyłek i zwiąć.

— On będzie właścicielem całego świata — zauważyła łagodnie Kim Toy. — I podaruje nam jego kawałek. Myślę, że z tego powodu warto go znosić.

— Mówi, że podaruje nam jego kawałek. Jakby był jakimś feudałem. Ale nie wszyscy jesteśmy samurajami, o moja żono.

— Ja również nie. Jestem Chinką, durniu. Pamiętasz? — Kim Toy odwróciła wzrok od męża, spoglądając za jego plecy. — Idzie Roman. I Kafka.

Oboje wyprostowali się, starając się okazywać obojętność. Roman był jednym z wysokich rangą sługusów Astronoma i mógł się obracać w kręgach społecznych niedostępnych dla większości bardziej podejrzanych typów zwerbowanych do organizacji. Miał blond włosy, był bardzo przystojny i nieskazitelnie ubrany, a to zapewniało mu wejście niemal wszędzie. Krążyły szept, że jest jednym z rzadkich „odwróconych dzokerów”, kimś, kogo zarodnik przerobił z obrzydliwie zdeformowanego wraka w ideał męskiej urody. Sam Roman nic nie mówił na ten temat.

Za nim szedł mężczyzna będący jego przeciwieństwem, zwany Kafką albo Karaluchem (choć nigdy prosto w oczy), ponieważ wyglądał mniej więcej tak, jak karaluch wyobrażałby sobie człowieka. Nikt jednak z niego nie drwił. Śakti, urządzenie, które według Astronoma miało ich zbawić, było w przeważającej części jego dziełem. Kafka rozgryzł tajemnice instrumentu obcych, który od stuleci pozostawał w posiadaniu masonów, a potem w pojedynkę zaprojektował i zbudował maszynę uzupełniającą jego moc. Nikt go nie niepokoił i nikt nie miał ochoty tego robić.

Roman pozdrowił Czerwonego i Kim płyciutkim skinieniem głowy, a potem podszedł do drzwi gabinetu i zatrzymał się tak nagle, że jego towarzysz omal na niego nie wpadł. Kafka uskoczył do tyłu, przyciskając do piersi chude ramiona, przerażony perspektywą zetknięcia z kimś, kto mył się rzadziej niż dwanaście albo trzynaście razy na dobę.

— Gdzie się wybierasz? — zapytał Roman z pozbawionym wyrazu uśmiechem.

Kafka odważnie postąpił krok naprzód.

— W ciągu trzech ostatnich tygodni odkryliśmy sześciu obcych udających ludzi. Chciałem się tylko upewnić, że ona jest człowiekiem.

— Chcesz się upewnić, że ona jest człowiekiem. — Roman omiół go spojrzeniem od stóp do głów. — Przyprowadził ją Judasz. Ci, których on przyprowadza, zawsze są ludźmi. A Astronom nie chce, żebyśmy odstraszaali tych dobrych. Dlatego właśnie przeprowadzam z nimi wywiady, gdy tylko tutaj trafiają. Wybacz, że tak mówię, mój drogi Kafko, ale nie sądzę, by twój wygląd kogokolwiek uspokoił.

Kafka odwrócił się ze zgrzytem szkieletu zewnętrznego. Kim Toy i Czerwony odprowadzali go spojrzeniem. Żadne z nich nie odważyło się zmącić ciszy choćby oddechem.

— Patrzył na monitory, kiedy weszła do środka — oznajmił Roman, poprawiając drogi i gustowny tweedowy garnitur. — Szkoda. Na pewno z chęcią by się zbliżył do tak miłej kobiety, ale z jego wyglądem...

— Jak się miewa twoja żona, Roman? — zapytał nagle Czerwony.

Roman znieruchomiał w trakcie strzepywania wyimaginowanego kłaczka z rękawa. Nastąła długa przerwa. Jedna z niepasujących do architektury jarzeniówek pod sufitem zaczęła buczeć.

— Świetnie — odparł wreszcie. — Powtórzę jej, że o nią pytałeś.

Gdy Roman wszedł do gabinetu, Kim Toy dała mężowi kuksańca w żebra.

— Po co to zrobiłeś, do licha? Co ci to dało?

Czerwony wzruszył ramionami.

— Roman to skurwysyn.

— Kafka też! Oni wszyscy są skurwysynami! A ty jesteś głupi! Następnym razem, jak będziesz chciał go zranić, przywał mu w nos. Ellie Roman nigdy nie zrobiła ci nic złego.

— Najpierw mi mówisz, że chcesz być właścicielką świata... przepraszam, kawałka świata... a potem robisz mi awanturę o to, że wypominam Romanowi Ellie. Jesteś prawdziwą chińską zagadką, o moja żono.

Kim Toy popatrzyła z zasepioną miną na brzęczące światło, które teraz zaczęło również migać.

— Cały świat jest zagadką, o mój mężu.

Czerwony jęknął.

— Samurajskie pieprzenie.



— Proszę podać nazwisko. Pełne.

Był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

— Jane Lillian Dow — odpowiedziała. W wielkich miastach mieli wszystko, nawet

przystojnych mężczyzn zajmujących się przesłuchaniami. Kocham Nowy Jork, pomyślała i stłumiła histerię grożącą wybuchem śmiechu.

— Ile ma pani lat, pani Dow?

— Dwadzieścia jeden. Urodziłam się...

— Dziękuję, potrafię odejmować. Gdzie się pani urodziła?

Była przerażona. Co by pomyślał Sal? Och, Sal, gdybyś tylko mógł mnie teraz uratować. To była raczej modlitwa niż myśl, rzucona w pustkę ze słabą nadzieją, że wirus dzikiej karty zmienił również życie pozagrobowe i nieżyjący Salvatore Carbone może przyjść jej stamtąd z pomocą niczym ektoplazmatyczna kawaleria. Na razie jednak rzeczywistość nadal nie spełniała życzeń.

Odpowiedziała na wszystkie pytania mężczyzny. Gabinet był umeblowany po spartańsku — nagie ściany, kilka krzeseł oraz biurko z terminalem komputerowym. Mężczyzna ściągnął jej dane w ciągu niespełna minuty i sprawdzał zgodność jej odpowiedzi z tymi informacjami. Komputer dawał mu dostęp do całego jej życia. To był jeden z powodów, dla których miała tak wielkie opory przed zarejestrowaniem się na policji, gdy zaraziła się zarodnikiem dzikiej karty przed pięciu laty, kiedy była w liceum. To prawo wprowadzono w rodzinnym mieście Jane na długo przed jej urodzeniem i nigdy go nie odwołano, mimo że klimat polityczny nieco się zmienił. Ale z drugiej strony w małym miasteczku w Massachusetts, gdzie się wychowywała, nie zmieniło się zbyt wiele.

— Dostanę licencję i numer, jak pies — powiedziała Salowi. — Może nawet zabiorą mnie do schroniska i zagazują, również jak psa. — Przekonywał ją, by jednak to zrobiła, mówiąc, że przyciągnie do siebie mniej uwagi, jeśli będzie przestrzegała ich praw. Jeśli mają kogoś w rejestrze, zostawiają go w spokoju. — Jasne — odparła. — Zauważyłam, jak świetnie to podziało w Trzeciej Rzeszy.

Potrząsnął głową i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

I co na to powiesz, Sal? Nie zostawili mnie w spokoju. Nic nie jest dobrze. Nowy Jork był ostatnim miejscem, w którym spodziewałaby się zatrzymania przez policję jako aska. Powiedziała to, gdy poruszono ten temat w przesłuchaniu.

— Ale my nie jesteśmy policjantami — oznajmił miłym tonem przystojny mężczyzna. Jej rozpacz pogłębiła się jeszcze.

— N... nie? Ale ten facet pokazał mi odznakę...

— Kto? Ach, on. — Powiedział, żeby mówiła do niego Roman. Teraz mężczyzna zachichotał. — Judasz jest gliną. Ale ja nim nie jestem. A to raczej nie jest komisariat. Nie zauważyła pani tego?

Jane skrzywiła się na widok jego lekko niedowierzającego uśmiešku.

— Nie jestem stąd. I widziałam w telewizji, co się wydarzyło przed kilkoma miesiącami. Pomyślałam sobie, że policja może zarekwirować każdy budynek, który jest jej potrzebny.

— Spojrzała na własne kolana. Spoczywające na nich dłonie splatały się ze sobą jak dwa odrębne stworzenia toczące bezgłośnie walkę. — Nie opowiedziałabym panu o Salu, gdybym wiedziała, że nie jest pan policjantem.

— A co to za różnica, pani Dow? A może mam do ciebie mówić Jane? Skoro nie chcesz, żeby cię nazywano Lilią Wodną?

— Rób, co chcesz — odparła z niezadowoleniem. — I tak cię nie powstrzymam.

Zaskoczył ją, wstając i każąc ludziom czekającym w korytarzu przynieść kawę i coś do zjedzenia.

— Przyszło mi na myśl, że bardzo długo trzymamy cię tu bez posiłku. Policja by ci tego nie zrobiła. Przynajmniej nie nowojorska policja.

Zaczerpnęła głęboko powietrze i powoli wypuściła powietrze z płuc.

— Jasne. W takim razie wypiję kawę i pójdę sobie.

Mężczyzna nawet na moment nie przestawał się uśmiechać.

— A dokąd się wybierasz?

— Przyjechałam tutaj, to znaczy do Nowego Jorku, żeby spotkać się ze Skaczącym Ognikiem. Widziałam go w te lewizji...

— Zapomnij o tym. — Uśmiech pozostał na miejscu, ale oczy były zimne. — Nie możecie nic dla siebie nawzajem zrobić.

— Ale...

— Powiedziałem zapomnij o tym.

Znowu spojrzała na własne kolana.

— Daj spokój, Jane. — Jego głos nabrał łagodniejszych tonów. — Próbuję cię chronić. Potrzebujesz tego. Potrafię sobie wyobrazić, co ten napalony skurczybyk mógłby zrobić niewinnemu maleństwu takiemu jak ty. Natomiast dla Astronoma możesz być użyteczna.

Ponownie uniosła głowę.

— Użyteczna?

— Powinienem powiedzieć, że to twoja moc będzie dla niego użyteczna. Przepraszam.

Jane parsknęła krótkim, gorzkim śmiechem.

— Moja moc, czyli ja. W porównaniu z tobą mogę się wydawać niewinna, ale nie jestem głupia. Sal ostrzegał mnie przed tym.

— Tak, ale Sal nie był asem, prawda? Był tylko małą, żalostną ciotą, jedną z tych dawnych postaci dzokera, jakie zawsze mieliśmy na świecie. Jedną z pomyłek natury.

— Nie mów tak o nim! — wybuchnęła. Wilgoć nagle pojawiła się na jej policzkach i spłynęła po rękach i nogach. Mężczyzna przyglądał się jej z zainteresowaniem.

— Robisz to celowo czy to tylko reakcja na stres?

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, mężczyzna o czerwonej skórze i Azjatka weszli do środka

z talerzem małych, zgrabnie pokrojonych kanapek. Jane uspokoiła się, patrząc, jak para ustawia wszystko na biurku. Nawet nalali jej kawy.

— Prosto z kuchni Cloisters Museum — rzekł Roman, wskazując na półmisek. — Asowie muszą dbać o siłę.

— Nie, dziękuję.

Skinął głową na dwoje przybyszów, którzy zajęli miejsca po obu stronach drzwi. Woda ponownie spłynęła po twarzy Jane, skapując z koniuszków jej włosów. Ubranie dziewczyny zrobiło się mokre.

— Czerpię ją z powietrza wokół — wyjaśniła Romanowi, który zaczynał mieć zaniepokojoną minę. — To się czasem zdarza, kiedy ktoś na mnie naciska albo... albo coś.

— Ucieczka albo walka — stwierdził. — Adrenalina powoduje wydzielanie potu, od którego robisz się bardziej śliska i trudniej cię złapać. To pewnie działa na tej samej zasadzie.

Spojrzała na niego ze zwiększonym szacunkiem. Nawet Sal na to nie wpadł, a przecież był naprawdę inteligentny i wymyślił wszystkie te eksperymenty mające sprawdzić zasięg i głębię jej mocy. Tylko dzięki niemu wiedziała, że jej moc działa na obiekty odległe o nie więcej niż kilometr. Domyślił się, że Jane potrafi łączyć atomy, by tworzyć wodę, podobnie jak przywoływać istniejącą już wodę z obiektów w otoczeniu. Obliczył, że potrzebowała czterdziestu ośmiu godzin, by naładować się na nowo po wyczerpaniu mocy i nauczył ją oszczędzać energię, by nie wyładować się natychmiast.

— Nie jest dobrze być całkowicie bezbronną — oznajmił. — Nie pozwól, by kiedykolwiek ci się to zdarzyło.

Od owego dnia w rodzinnym Massachusetts nigdy już na to nie pozwoliła i nigdy więcej nie pozwoli. Sal czuwał nad nią przez te dwa dni, gdy — w połowie z nadzieją, a w połowie z bólem — myślała, że jej moc zniknęła na dobre. Przepowiadał jednak, że wróci, i miał rację. Była wtedy gotowa oddać się mu bez reszty.

Odmówił jej. Potem ponowiła propozycję i raz jeszcze spotkała się z odmową. Oznajmił, że nie może być jej kochankiem, a nie chce być ojcem. Będzie musiała wziąć odpowiedzialność za siebie, tak samo jak każdy. Potem, jakby chciał podkreślić ten punkt, wrócił do siebie i utopił się w wannie.

To było tak, jakby jakiś sadysta chciał jej zrobić najokrutniejszy dowcip na świecie. Sal Carbone, jej jedyny prawdziwy przyjaciel, przewrócił się, uderzył w głowę, wciągnął w płuca wodę z mydlinami i umarł. Zaledwie pięć tygodni temu.

— Sal, jesteś moją bratnią duszą — powtarzała mu raz po raz, a on przyznawał, że to prawda. Połączyła ich rzadko spotykana przyjaźń, związek umysłów, serc i duchów. Byli dla siebie stworzeni, pomijając fakt, że Sal był gejem. Drugi z kolei najokrutniejszy dowcip na świecie.

— Lilio Wodna.

To imię przywołało ją z powrotem do teraźniejszości.

— Powiedziała, żebyś mnie tak nie nazywał. Tylko Sal mógł to robić.

— Jego wyłączne prawa umarły razem z nim. — Nagle znowu złagodniał. — Mniejsza z tym, moja droga. Powiedz mi, ile wiesz o tym, co się wydarzyło w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

— Tyle, co wszyscy. — Wyciągnęła nieśmiało rękę po najbliższy kubek kawy. — Oglądam wiadomości. Chyba już o tym wspominałam.

— No cóż, to się jeszcze nie skończyło. W następnym miesiącu to miasto, ten kraj i cały świat ujrzą coś, w porównaniu z czym to, co wydarzyło się do tej pory, będzie przypominało piknik szkółki niedzielnej. Tylko ci, których zwerbujemy, mają szansę uniknąć cmentarza.

Na jej twarzy znowu pojawiła się woda.

— Jeśli nie jesteście policją, to kim jesteście?

Mężczyzna uśmiechnął się z aprobatą, gdy popijała łyk kawy.

— Co wiesz o masonach, Jane?

— O masonach? Masonach? — Mimo woli parsknęła śmiechem. — Mój ojciec jest masonem! — Stłumiła chichot, nim zdążył przejść w histerię. — Co mają z tym wspólnego masoni?

— Szkockiego rytu.

— Słucham?

Śmiech Jane ucichł na dobre. Uśmiech mężczyzny odzyskał zimny, nieprzenikniony wyraz.

— Twój ojciec zapewne jest związany z masonami szkockiego rytu. My jesteśmy egipskimi masonami. To coś całkiem innego.

Poczuła, że chichot znowu jej zagraża.

— To dziwne. Nie wyglądacie na Egipcjan.

— Nie bądź beczelna. To do ciebie nie pasuje.

Zerknęła na mężczyznę i kobietę stojących przy drzwiach.

— To wy wiecie tu wszystko. Ja zjawiłam się przed chwilą. — Woda znów wystąpiła jej na twarz i spłynęła po szyi. — I nie mogę odejść, prawda?

— Jesteś nam potrzebna, Jane. — Tym razem jego głos zabrzmiał niemal miło. Wzięła z biurka chusteczkę i wytarła sobie twarz. — Bardzo potrzebna. Twoja moc może o wszystkim zadecydować.

— Moja moc — powtórzyła z namysłem, wspominając chłopaka ze stołówki sprzed pięciu lat. Krzyczał, kiedy łzy wypływały mu z oczu. Nie płakał ani trochę, gdy nadeszły wiadomości o samobójstwie Debbie (wykrwawienie z powodu zadanych własnoręcznie ran — co w medycznym żargonie znaczy „przecięła sobie żyły i wykrwawiła się na śmierć” — i, tak jest, ofiara była w trzynastym tygodniu ciąży). Jane zawsze się zastanawiała, co by pomyślała Debbie o tym, co zrobiła jej niewiernemu chłopakowi. Zanim poznała Sala, Debbie była jej najlepszą

przyjaciółką, ale nigdy nie modliła się do niej tak, jak do Sala, jakby Debbie należała do jakiegoś innego wszechświata. Może rzeczywiście tak było. A może istniał jeszcze inny wszechświat, w którym Debbie nie odebrała sobie życia, gdy ojciec ich dziecka ją odrzucił, Jane nie musiała więc wyciskać łez z oczu chłopaka i wirus dzikiej karty się u niej nie ujawnił. Albo jeszcze inny, w którym Sal nie utopił się we własnej wannie i nie zostawił jej samej, przez co musiała szukać kogoś, kogokolwiek, komu mogłaby zaufać. Może...

Spojrzała na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Gdyby śwynie miały skrzydła, może szybowałyby wysoko jak orły. „Jesteś nam potrzebna” — oznajmił jej. Kimkolwiek byli ci „my”. Egipcscy masoni czy jak ich tam zwał. Dobrze byłoby zawierzyć komuś, kto będzie o nią dbał i zapewni jej bezpieczeństwo.

Potrafisz to zrozumieć, Sal? — zapytała wielką pustkę. Potrafisz zrozumieć, jak to jest, gdy ktoś został zupełnie sam i włada mocą zbyt wielką dla siebie? Jestem im potrzebna, Sal. Tak powiedzieli. Nie lubię ich — ty byś ich nienawidził — ale zaopiekują się mną, a w tej chwili bardzo tego potrzebuję. Jestem zupełnie sama, Sal, bez względu na to, dokąd trafię, a tutaj dotarłam po zapomnianych drogach i nie mam już dokąd pójść. Wiesz, Sal?

Wielka pustka nie odpowiedziała. Jane pokiwała głową do przystojnego mężczyzny.

— W porządku, zostanę tu. To znaczy wiem, że i tak nie pozwolicie mi odejść, ale zostanę dobrowolnie.

Uśmiech, jakim jej odpowiedział,omal nie uspokoił jej serca.

— Rozumiemy, na czym polega różnica. Czerwony i Kim Toy zaprowadzą cię do twojego pokoju. — Wstał i wyciągnął do niej rękę. — Witaj, Jane. Jesteś teraz jedną z nas.

Odsunęła się, unosząc obie ręce do góry, jakby celował do niej z pistoletu.

— Nie jestem — oświadczyła stanowczo. — Zostanę tutaj z własnej woli, ale na tym koniec. Nie jestem jedną z was.

Do jego oczu powrócił budzący strach chłód. Opuścił rękę.

— W porządku. Zostaniesz tu, ale nie jako jedna z nas. Tę różnicę również rozumiemy.



Pokój, który jej dali, znajdował się w rogu jakiejś większej sali z przygnębiająco zimnego kamienia, podzielonej na labirynt mniejszych pomieszczeń o ścianach z prefabrykowanymi płytami gipsowymi. Nie zapomnieli o tym, by przynieść jej nieliczne rzeczy z umeblowanego pokoiku, który wynajęła, pamiętali też, by dać jej telewizor oraz łóżko. Obejrzała wiadomości, licząc na nowe informacje o Skaczącym Ogniku. Potem zabawiła się wydzielaniem kropelek wody z koniuszków palców i przyglądaniem się, jak powiększają się i spadają.



— Czy jest ładna? — zapytał Astronom, siedząc w wózku obok grobowca Jeana d’Alluye. Na kamiennym posągu zostało jeszcze trochę krwi. Astronom niedawno uzupełniał swą moc.

— Całkiem ładna.

Roman pociągnął symboliczny łyk wina i odstawił kielich na pobliski stolik. Astronom zawsze oferował mu różne rzeczy — alkohol, narkotyki, kobiety. Cokolwiek to było, próbował tego dla uprzejmości, a potem odstawiał na bok. Nikt nie potrafiłby odgadnąć, jak długo Astronom będzie mu na to pozwalał. Prędzej czy później zażąda od niego czegoś dziwnego, co go upodli. Z kontaktów z Astronomem nikt nie wychodził bez blizn. Roman skierował uwagę na pogrążoną w cieniu niszę pod ceglany łukiem, w której siedział chudy, wyniszczony wrak zwany Zgonem, skupiający złowrogie spojrzenie bezdennych oczu na czymś, czego nikt poza nim nie widział. W innej części pomieszczenia, nieopodal jednej ze stojących lamp, Kafka szeleścił niecierpliwie. Ten jego cholerny szkielec zewnętrzny zawsze musiał szeleścić. Brzmiało to tak, jakby całe stada karaluchów pocierały skrzydełkami. Roman nawet nie próbował ukryć obrzydzenia na widok Kafki. Natomiast Zgon... no cóż, on wykraczał poza obrzydzenie. Czasami Roman odnosił wrażenie, że nawet Astronom traktuje tego asa bardzo ostrożnie. Jednakże zarówno Zgon, jak i Kafka przeżyli już swe upokorzenia dzięki wirusowi dzikiej karty, on zaś mógł tylko czekać, nim się przekona, co zaplanował dla niego Astronom. Miał nadzieję, że nie zabraknie mu czasu na podjęcie właściwej decyzji. Nie mógł też zapominać o Ellie. Myśl o żonie była dla niego jak uderzenie pięścią w brzuch. Nie, proszę, tylko nie kolejny cios dla niej. Spojrzał na kielich wina i po raz tysięczny stłumił pragnienie znieczulenia. *Jeśli zginę... nie, kiedy zginę, pragnę być w pełni świadomy tego, co się dzieje.*

Astronom roześmiał się nagle.

— Melodramatyzm do ciebie pasuje, Roman. Dlatego że jesteś taki przystojny. Potrafię sobie wyobrazić, że w innym życiu ratowałbyś wdowy i sieroty przed burzami śnieżnymi. — Śmiech ucichł, ustępując miejsca złośliwemu uśmieškowi. — Uważaj na siebie, gdy jesteś z tą dziewczyną, bo możesz przedwcześnie obrócić się w proch, z którego wszyscy powstaaliśmy.

— Mógłbym. — Roman przesunął spojrzenie na górną galerię. Włoskie drewniane posągi zniknęły. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądały. — Ale się nie obrócę.

— Skąd ta pewność?

— Ona jest po stronie tych dobrych. To dwudziestojednoletnie niewiniątko. W jej duszy nie ma żądy mordy.

Z opóźnieniem spojrzął na Zgona i zobaczył, że gapi się on na niego z wyrazem, jakiego nikt nie chciałby zobaczyć w jego oczach.

Roman oparł się o ułamany piedestał. To byłoby straszne, ale nie trwałoby długo, nie naprawdę. Wieczność złożona z kilku sekund. Przynajmniej na zawsze znalazłby się poza zasięgiem Astronoma. Ale to oznaczałoby też, że nie mógłby już więcej pomagać Ellie. Wybacz, kochanie, pomyślał, czekając na ciemność.

Ćwierć sekundy później Astronom uniósł jeden palec. Zgon zapadł się w siebie i ponownie

wpatrzył w pustkę. Roman wysiłkiem woli powstrzymał westchnienie.

— Dwadzieścia jeden lat — odezwał się Astronom, jakby jeden ze służących mu ludzi nie uniknął przed chwilą o włos zamordowania przez jego ulubioną morderczą maszynę. — Cóż za piękny wiek. Pełnia życia i sił. Ale mało rozsądku. Jesteś pewien, że ani trochę nie obawiasz się jej impulsów, Roman?

Roman nie potrafił się powstrzymać przed rzuceniem ukradkowego spojrzenia na Zgona, który nie zwracał już na niego nawet najmniejszej uwagi.

— Nie obawiam się zawierzyć swego życia komuś, kto ma serce po właściwej stronie.

— Swego życia. — Astronom zachichotał. — A co powiesz na coś, co ma prawdziwą wartość?

Roman pozwolił sobie na uśmiech.

— Wybacz, ale gdyby moje życie nie miało dla ciebie wartości, już dawno pozwoliłbyś Zgonowi mnie wykończyć.

Astronom niespodziewanie parsknął serdecznym śmiechem.

— Mózg i atrakcyjny wygląd. To właśnie czyni cię tak użytecznym dla nas. Twoją żonę z pewnością też przyciągnęło właśnie to, nie sądzisz?

— To bardzo prawdopodobne — odparł Roman, nie przestając się uśmiechać.



W jej snach pełno było niezwykłych obrazów, jakich nigdy dotąd nie widziała. Mąciły jej spokój, przepływając przez jej głowę z niecierpliwością, która sprawiała wrażenie ukierunkowanej, i przypominały jej o pasji, z jaką Roman błagał ją, by się do nich przyłączyła. Kimkolwiek byli. Egipskimi masonami. Sny powiedziały jej o nich wszystko. I o Astronomie.

Astronom. Mały człowieczek, niższy od niej, chudy jak szkielet, z za dużą głową. Oczy, które Sal nazwałby złowrogimi, wykonując przy tym ten swój gest — wskazujący i mały palec uniesione ku górze, a dwa środkowe podkulone pod dłońią. To pewnie był jakiś włoski przesąd. Twarz Sala przemknęła przez jej sen i odpłynęła.

Jane zobaczyła wejście do czegoś w rodzaju kościoła — nie, raczej świątyni, to z pewnością nie był kościół. Widziała je, ale nie było jej tam. Nie mogła tam być, to działo się jeszcze przed jej narodzeniem. Jej bezcielesna obecność rozejrzała się po pogrążonej w nocnych ciemnościach ulicy, a potem wpłynęła do środka nad schodami, mijając stojącego w drzwiach mężczyznę, który zamarł w całkowitym bezruchu. Ujrzała przelotnie wielką salę, w której paliły się świece, dwie kolumny oraz stojącego na podwyższeniu mężczyznę, noszącego jaskrawy czerwono-biały fartuszek. Zaraz potem rozległy się krzyki.

Nie po prostu krzyki, ale *krzyki*, KRZYKI wydostające się z gardła jakiejś potępionej duszy. Dźwięk przeszył ją niczym sztylet. W pewnej chwili jej punkt widzenia zatoczył krąg i zobaczyła, że to Astronom krzyczy. Mały człowieczek wszedł chwiejnym krokiem do sali,

a potem nastąpiła szybka seria obrazów: pysk szakala, głowa sokoła, inny mężczyzna o szerokiej, bladej twarzy. W okularach małego człowieczka odbiło się światło, a potem coś, jakieś stworzenie-stwór-śluz-masa-cholerstwo-coś-coś-coś...

Zorientowała się, że siedzi w łóżku, kryjąc twarz w ramionach.

— TIAMAT.

To słowo przyszło do niej niezapowiedziane i niechciane zawisło przed nią w ciemności. Potarła twarz obiema dłońmi i znowu się położyła.

Sen powrócił natychmiast, wciągając ją ze straszliwą siłą. Mały człowieczek o wielkiej głowie uśmiechał się do Jane — nie, nie do niej, jej tu nie było i cieszyła się z tego. Nie chciałyby, żeby ktokolwiek tak się do niej uśmiechał. Jej punkt widzenia się odsunął i widziała teraz, że Astronom stoi na podwyższeniu. Otaczało go kilka sylwetek — Roman, mężczyzna o czerwonej skórze, Azjatka, wynędzniały chudzielec emanujący aurę śmierci, kobieta, na której twarzy żal wyrył się tak głęboko, że patrzenie na nią sprawiało ból (Jane skądś wiedziała, że kobieta jest pielęgniarką), młody albinos o przedwcześnie postarzałej twarzy, stworzenie — płci męskiej, uznała — przypominające antropomorficznego karalucha. Dzięki ci Boże, że to mnie ominęło, pomyślała.

Bóg nadal ma przerwę na kawę, dziewczynko. Spojrzała prosto w twarz mężczyzny, który ją tu przyprowadził, tego, którego zwano Judaszem. Tylko on ją widział. To po prostu zrządzenie losu, mała. Miałaś szczęście. I ja też. Blackjack!

Zapadła ciemność. Jane miała wrażenie niewiarygodnie szybkiego ruchu. Coś ją popychało w kierunku maleńkiego punkcika światła, widocznego daleko przed nią.

I nagle się tam znalazła. Światło rozrosło się z punkcika w gorejącą masę i uderzyło w nią z prędkością myśli. Kiedy się rozprysło, Jane upadła lekko na porośniętą mchem ziemię w jakimś lesie. Przetoczyła się i zatrzymała u podstawy wielkiego drzewa.

No cóż — pomyślała. To jest lepsze. Biały Królik umknął mojej uwadze, ale Szalony Kapelusznik na pewno gdzieś tu jest. Zmieniła pozycję i zorientowała się, że musi się złapać wielkiego korzenia, żeby nie odpłynąć.

Patrz — wyszeptał jakiś głos tuż obok jej ucha. Odwróciła głowę. Włosy unosiły się wokół niej, jakby była pod wodą. Nie ujrzała jednak nikogo. Patrz. Patrz! Patrz, a ich zobaczysz!

Między dwoma modrzewiami przed nią przepłynął obłoczek mgły. Nagle się rozproszył, pozostawiając po sobie mężczyznę odzianego w najwykwintniejszy osiemnastowieczny strój. Miał arystokratyczną twarz, a spojrzenie tak przeszywające, że wstrzymała oddech, gdy zatrzymało się na niej. Nie miała jednak powodów do obaw. Mężczyzna się odwrócił, powietrze obok niego zamigotało i z niebytu wyłoniła się niezwykła maszyna. Jane zamrugała kilkakrotnie, próbując lepiej ją zobaczyć, ale kąty nie chciały się ustalić. Bez względu na wszelkie wysiłki nie potrafiła określić, czy urządzenie jest wielkie i kanciaste, czy też małe, o zaokrąglonych

kształtach, czy wyrzeźbiono je z marmuru, czy raczej sklecono z drewna i szmat. Coś rozbłysło i oddzieliło się od maszyny. Jej część po prostu wstała i odeszła, pomyślała ze zdumieniem dziewczyna.

Nie. To, co uważała za część maszyny, w rzeczywistości było żywą istotą. Chciała choć na moment oderwać od niej wzrok, ale nie potrafiła tego zrobić. Obcy jej na to nie pozwalał. Przypominał niektórych z tych, których widziała w telewizji podczas ataku. Skaczący Ognik. Tę myśl zrećźnie odsunięto na bok.

Obcy spojrzał na młodzieńca i wyciągnął ku niemu rękę czy jakąś inną kończynę. Teraz bardziej przypominał coś złożonego z żyjącej materii niż element maszyny. Wyglądził zarysy, przybierając w przybliżeniu dwunożną postać, choć wydawało się, że utrzymuje ją wyłącznie siłą woli. Hipoteza ergodyczna (skąd to się wzięło?). Kończyna dotknęła maszyny i wtopiła się w nią. Po chwili coś wyłoniło się z urządzenia bliżej młodzieńca. Wziął przedmiot w rękę i delikatnie wyjął go z uścisku obcego, który skurczył się nieco. Jane uświadomiła sobie, że istota poświęciła znaczną część swej siły życiowej, by dać młodzieńcu... właściwie co?

Człowiek przytknął obiekt do ust i czoła, a potem uniósł go wysoko nad głowę. Przedmiot zmieniał postać, stając się na moment ludzką kością, maczugą, pistoletem, a potem czymś innym.

Śakti — wyszeptał głos. Zapamiętaj to. To jest Śakti.

Nigdy nie zapomnę — przesłała. Wrażenie unoszenia się w powietrzu opuszczało ją powoli i zaczęła się bać.

A teraz patrz. W górę.

Mimo woli uniosła głowę i spojrzała na niebo. Jej punkt widzenia pomknął ku górze, przesywając słoneczny blask, chmury i błękit, aż wreszcie ujrzała nagie gwiazdy. One również rozproszyły się przed nią i widziała tylko czarną pustkę. Jej punkt widzenia nie przestawał jednak wędrować.

Coś było przed nią, niewidzialne w ciemności. Coś tak odległego, że nie potrafiła sobie wyobrazić tego dystansu. Zmierzało ku Ziemi. Było tak daleko w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym, gdy ten młodzieńca (*Cagliostro* — powiedział jej umysł i nie zastanawiała się, skąd to wie) przyjął urządzenie — Śakti — od obcego, a potem — a potem — dokonał wielu czynów uznawanych za cuda, jak na przykład czytanie w myślach, lewitacja i transsubstancjacja, budząc zdumienie na wszystkich europejskich dworach, a jednocześnie cierpliwie rekrutując członków masonerii egipskiej...

Starła się zapamiętać wiadomości napływające do niej we śnie. Nie miało to jednak znaczenia, bo przecież jak się obudzi, i tak wszystko zapomni. Ze snami zawsze tak było, nieprawdaż?

...ponieważ pragnął stworzyć organizację, która zapewni Śakti bezpieczeństwo i przechowa

urządzenie przez kolejne pokolenia, powierzając je tylko najbardziej zaufanym ludziom, aż wreszcie jego tajemnice uda się zrozumieć i rozgryźć, gdy będzie potrzebne z chwilą przybycia na Ziemię...

W ciemności przed nią coś zaczęło się wić. A może to cała ciemność wiała się z cierpienia spowodowanego tym, że musiała pomieścić to coś, to...

...z chwilą przybycia na Ziemię...

Zmaterializowało się przed nią bez uprzedzenia i litości. Znacznie gorsze niż wtedy, gdy dotknęła jego obecności w umyśle Astronoma. To było połączenie, skrzep, najwyższych, najniższych, najbardziej rozwiniętych, udoskonalonych i wyrafinowanych postaci zła we wszechświecie. To było zło, w porównaniu z którym najstraszliwsze popełnione przez ludzi okrucieństwa wydawały się drobiazgiem. Zło, którego nie potrafiła zrozumieć inaczej niż na poziomie uczuć. Zło, które mknęło ku temu światu od tysiącleci, pochłaniając wszystko, co stało mu na drodze. Zło, które mogło przybyć lada dzień, lada dzień...

TIAMAT.

Jane obudziła się z krzykiem. Złapały ją ręce, ale wrywała się im, szarpała i uderzała na oślep. Woda spływała po niej, skraplała się w powietrzu, wsiąkała w łóżko i w dywan.

— Sza, sza, wszystko w porządku — mówił czyjś głos. To nie był głos z jej snu. Należał do kobiety. Azjatka, Kim Toy, próbowała ją uspokoić, jakby Jane była pogrążonym w malignie dzieckiem. Zapalono światło. Kim Toy otoczyła ją uspokajającym objęciem. Jane pozwoliła na to i kazała zatrzymać się zalewającej je obie cieczy.

— Nic mi nie jest — zapewniła, gdy już odzyskała zdolność mowy. Mokre włosy opadały jej na oczy. Ściekająca z nich woda mieszała się z łzami. Całe łóżko było mokre, zobaczyła jednak z niejaką ulgą, że oszczędziła resztę pokoju.

— Krzyczałaś — wyjaśniła Kim Toy. — Myślałam, że ktoś próbuje cię zabić.

TIAMAT.

— Miałam koszmar.

Kim Toy pogłaskała ją delikatnie po włosach.

— Koszmar?

— Śniło mi się, że ktoś cisnął mi w twarz wiadro robaków.



Astronom ryknął śmiechem.

— Och, jest znakomita. Naprawdę znakomita!

Albinos siedzący na podłodze obok wózka uniósł wzrok, obrzucając go pytającym spojrzeniem.

— Czyli to był dobry sen?

— Och tak, sen też był znakomity. — Astronom pogłaskał go po białych włosach. — Zrobiłeś

to jak trzeba, Ożywieńcu.

Mężczyzna się uśmiechnął. Przedwcześnie postarzała skóra wokół jego różowych oczu zmarszczyła się z żalosej radości.

— Roman.

Jasnowłosy mężczyzna siedzący po drugiej stronie pogrążonego w cieniu pokoju oderwał wzrok od komputerowego terminala.

— Damy jej jeszcze chwilę, by groza zapadła w jej umysł, nim przedstawiś ją reszcie członków naszej małej konfederacji. Niech Kim Toy nadal jej matkuje.

Roman skinął głową, spoglądając ukradkiem na ekran.

— Jutrzejszej nocy znowu, Ożywieńcu — rozkazał albinosowi Astronom. — Zrób to znowu. Chcę, żeby budziła się z krzykiem przez następne dwie noce.

Ożywieńiec opuścił ze wstydem różowe oczy.

— Daj spokój. Wiesz, że żyje ci się lepiej niż przedtem, gdy sprzedawałeś zboczeńcom erotyczne sny za dziesięć dolców od działki, jeśli wybaczysz mi to porównanie. — Astronom zachichotał. — Jesteś jednym z moich najużyteczniejszych asów. A teraz idź trochę odpocząć.

Gdy tylko albinos zniknął w mrocznej galerii, Astronom oklapł na swym wózku.

— Zgon.

Wezwany as natychmiast znalazł się u jego boku.

— Tak jest, Zgon. Obaj teraz tego potrzebujemy, prawda? Wezwij samochód.

Gdy Zgon wytoczył Astronoma z pokoju, Roman pozostał przy terminalu. Znowu znajdują jakąś nędzną dziwkę, która nie będzie wiedziała, że spotkała swych ostatnich klientów. Nie chciał o tym myśleć. Nie będzie się litował nad żadnym z nich. Nie będzie! Wszyscy — Ożywieńiec, Kim Toy, Czerwony, John F.X. Black, Coleman Hubbard (och, to ci dopiero był numer, ukryty as w rękawie Astronoma, jego ostatnia karta), a nawet to małe niewiniątko Jane Lilia Wodna — wszyscy byli tacy sami. Pionki w grze Astronoma. On również, ale robił to tylko dla Ellie. Musiał ją chronić.

ELLIE — napisał. Litery załśniły na monitorze. KOCHAM CIĘ.

Słowa JA TEŻ CIĘ KOCHAM rozbłysły na chwilę na ekranie, nim zastąpiły je NIEPRAWIDŁOWE POLECENIE, NIE MOŻNA URUCHOMIĆ PROGRAMU.



Gdzieś w mieście Fortunato obudził się z drzeniem. Twarz zalewał mu zimny pot.

— Spokojnie, spokojnie, kochanie. — Głos Michelle brzmiał łagodnie, jej dłonie były miękkie i ciepłe. — Michelle cię trzyma. Jestem tutaj, kochanie. Jestem z tobą.

Fortunato pozwolił, by go objęła, i wcisnął twarz w jej doskonałe piersi.

— To znowu te sny, prawda? Nie bój się. Jestem z tobą.

Wcisnął twarz w jej ciepłe ciało, pogłaskał ją i kazał jej zasnąć. Potem wysunął się z jej objęć

i zamknął w eleganckiej łazience.

Co się stało, to się nie odstanie. Jeśli się czegoś nauczyłeś, nie mogłeś się tego oduczyć. Wiedza była mocą, a moc mogła się okazać pułapką.

Będzie musiał zadzwonić do Tachiona. Albo lepiej pojedzie do Greenwich Village i obudzi go.

Eileen.

Zacisnął powieki, czekając, aż myśl o niej minie. Powinien był pozwolić, by Tachion podał mu na to jakiś lek, coś, co pozwoliłoby mu zapomnieć, żeby nie potykał się ciągle o nią w myślach, ale nie potrafił się na to zdobyć. Wtedy naprawdę by ją utracił.

Spryskał sobie twarz wodą i zatrzymał się na moment, wycierając ją ręcznikiem. Przez pół sekundy widział inne oblicze pokryte wodą — młoda kobieta o szeroko rozstawionych zielonych oczach i ciemnych, rudawych włosach, bardzo ładna. Nie znał jej, ale wołała o pomoc. Nie zwracała się bezpośrednio do niego, po prostu krzyczała w pustkę, bez żadnej nadziei na odpowiedź. Modliła się. Następnie twarz zniknęła i Fortunato został sam na sam z własnym odbiciem.

Wcisnął twarz w ręcznik. Jeden z tych miękkich i luksusowych, które kupiła Michelle. Kiedy przyniosła je do domu, pocierali się nimi nawzajem i się kochali.

Kundalini. Poczuj moc.

(Lenore. Erika. Eileen. Utracił je wszystkie.)

Wrócił do Michelle.



Jane przyjęła kubek gorącej, zielonej herbaty z rąk Kim Toy i zaczęła ją ostrożnie popijać.

— To druga kolejna noc bez koszmarów — stwierdziła ze słabym uśmiechem.
— Przynajmniej mam taką nadzieję.

Uśmiech, jakim odpowiedziała jej Azjatka, nie był zbyt serdeczny. Po snach, jakie zesłał jej Astronom, dziewczyna powinna się zamienić w trzęsącą galaretę. A to był tylko przedsmak TIAMAT. Prawdziwy kontakt wpędziłby ją w nieuleczalny obłąd. Mimo to małe kruche niewiniątko popijało spokojnie herbatę, a na twarz wracały mu kolory. Zrobiono ją z mocniejszego materiału, niż im wszystkim się zdawało. To tych niewinnych zawsze trzeba mieć na oku, pomyślała z przekąsem Kim Toy. Ich siła równała się sile dziesięciu, ponieważ serca mieli czyste, a szczerłość czyniła ich śmiertelnie groźnymi. Zastanawiała się, czy stary, wypaczony zbok, taki jak Astronom, był w stanie to zrozumieć, czy też oddalił się od wszystkiego, co choćby przypominało niewinność, tak bardzo, że nie był nawet w stanie sobie wyobrazić czegoś podobnego. Pomyślała o tym, w jaki sposób Astronom odnawia swą moc. Tak jest, mogła przyznać, że to w pełni możliwe. Co mógł taki stary, pojebany psychol wiedzieć o niewinności?

A wkrótce świat stanie się jego własnością. Jasne.

Ale ona w to wierzyła. Niewzruszenie. Do niedawna. Nie, nadal w to wierzyła. Czyż nie tak? I kogo nazywała starym, pojebanym psycholem? Kim była kobieta, która podgrzewała mózgi mężczyzn, by się w niej zakochali, a gdy już przestali jej być potrzebni, podkręcała moc i smażyła te mózgi na dobre? Ciał pozbywali się ci sami ludzie, którzy zajmowali się ofiarami Astronoma. Zerknęła na Jane. Nic dziwnego, że wołała towarzystwo kobiet, jeśli nie mogła być z Czerwonym.

Jane wyciągnęła rękę i włączyła telewizor pilotem. Ekran obudził się do życia.

— Wczoraj wieczorem oglądałam *Grzędę Sokolicy* i sny nie przyszły — wyjaśniła z lekkim zażenowaniem. — Przez to jestem teraz trochę przesądna. Mam wrażenie, że muszę ją obejrzeć, żeby powstrzymać koszmary. Nawet jeśli to tylko powtórka.

Kim Toy skinęła głową.

— Miliardy ludzi reagują w ten sposób.

— Sal uwielbiał talk show. Zwłaszcza *Grzędę Sokolicy*. Mówił, że ogląda ją co noc, bo za każdym razem ciekawi go, jak sobie poradzą z tymi skrzydłami. — Przerwała, gdy reklama się skończyła, ustępując miejsca zachwycającej twarzy samej Sokolicy. — Mówił, że nigdy go nie rozczarowali.

— Kto?

— Garderobiani Sokolicy.

— Och.

Kim Toy umilkła i cierpliwie oglądała program razem z dziewczyną. Po półgodzinie na ekranie pojawił się obraz przystojnego, rudowłosego mężczyzny o rdzawych oczach i szczupłej, rzeźbionej twarzy. Jane zerwała się z krzesła na jego widok.

— To on! — Uklękła przed telewizorem. — Skaczący Ognik. Śledziłam wszystkie wiadomości o nim. To jeden z moich bohaterów.

Kim Toy podkręciła dźwięk. Twarz mężczyzny zniknęła, ustępując miejsca telewizyjnemu studiu, w którym Sokolica przeprowadzała wywiad z kobietą w kosztownym stroju, trzymającą w rękach jeszcze bardziej kosztowny aparat.

— Myślę, że świetnie uchwyciła pani ducha Skaczącego Ognika — mówiła Sokolica. — To nie mogło być łatwe.

— No cóż, niekłamane fotografie z pewnością są trudniejsze — odparła druga kobieta. — Może mi pani wierzyć lub nie, ale po prostu miałam szczęście. Znalazłam się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Ogniczek nie wiedział, że robię mu zdjęcie, choć później pozwolił mi je wykorzystać.

— Ogniczek? — zdziwiła się Sokolica.

Fotografka opuściła wzrok ze skromną miną.

— Tak nazywają go bliskie osoby.

— No jasne — mruknęła Kim.

— Słucham? — zdziwiła się Jane.

— „Bliskie osoby”. Daj spokój. Na pewno mówi wszystkim kobietom, z którymi śpi, żeby tak go nazywały, żeby się nie pomylić. To znacznie łatwiejsze niż zapamiętywanie ich imion i mniej kłopotliwe niż robienie nacięć na uszach albo piętnowanie.

Jane miała nieco urażoną minę. Jeden z jej bohaterów, też coś. Kim Toy potrząsnęła głową. W tym wieku dziewczyna powinna się już nauczyć, że niektórzy bohaterowie mają kutasy... No cóż, może nie gliniane, ale z pewnością hiperaktywne.

Jak twoi bohaterowie, moja pani? Na przykład Astronom?

Kim Toy odepchnęła tę myśl i nakazała sobie skupić się na wywiadzie. Fotografka najwyraźniej specjalizowała się w robieniu zdjęć asom. Na ekranie rozbłysły kolejne. Ku zachwytowi Jane Skaczący Ognik pojawił się jeszcze kilkakrotnie, podobnie jak Modułowy, doktor Tachion, skorupa Wielkiego i Potężnego Żółwia, Gwiazdny Blask oraz sama Sokolica.

— Szkoda, że tobie nie może zrobić zdjęcia — odezwała się Kim Toy, gdy ta część programu się skończyła i pojawiła się kolejna reklama.

— Jestem dzokerką — odparła Jane, wzruszając ramionami.

— Zaczynasz mnie wkurzać.

— Pomyśl, czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że z dwojga ludzi, którzy znaczyli dla mnie najwięcej, jeden się utopił, a druga wykrwawiła się na śmierć? — Jane odwróciła się od telewizora. — To bardzo zabawne, ale z jakiegoś powodu w ogóle mnie nie śmiesz.

Kim Toy już chciała jej odpowiedzieć, gdy nagle coś zamigotało w powietrzu na prawo od telewizora. Obie kobiety zamarły w całkowitym bezruchu, gdy z cieni wyłoniła się postać Astronoma.

— Kim Toy, Jane, chcę się z wami zobaczyć.

Nie było potrzeby mu odpowiadać. Kim Toy przyjęła postawę zbliżoną do zasadniczej, mając nadzieję, że nie widać jej irytacji. Tanie sztuczki na użytek Jane. Astronom musiał uważać ją za bardzo wartościową, jeśli posuwał się tak daleko, by jej zaimponować. Mógł zaoszczędzić energię i wysłać po nie Czerwonego.



Doktor Tachion nadal wyglądał bardzo stylowo, nawet po północy.

— Wiem, że ma tam trochę asów, ale maszyna, którą widziałeś w snach... No cóż, ona istnieje i według waszych standardów jest bardzo stara. — Przymrużył powieki, przyglądając się wypukłemu czółu Fortunata. — Spontaniczne doświadczenia przebywania poza ciałem są w twoim przypadku dość rzadkie, nieprawdaż?

Fortunato odwrócił się od Tachiona (*cholerna ciota, tego właśnie nam potrzeba, ciot*

z kosmosu) i wyjrzał przez okno w kierunku Cloisters Museum.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że tam się gromadzi cholernie wiele mocy. I ona mnie wzywa. Moc przywołuje moc.

— W rzeczy samej — wyszeptał Tachion. Cioty z kosmosu. Fortunato nigdy go nie polubi, ale doktor nigdy dotąd nie widział wysokiego Ziemianina o egzotycznym wyglądzie w stanie tak wielkiego pobudzenia emocjonalnego.

— Wzywają to coś z kosmosu. TIAMAT. Cała organizacja istniała przez stulecia tylko po to, by ściągnąć nam na głowy tę grozę.

Tachion westchnął ciężko. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Po czterdziestu latach wciąż nowych okropności miał prawo do wyczerpania. Wiedział jednak, że Fortunato, który stał teraz w jego eleganckim salonie ze swym wypukłym czołem i otaczającą go aurą skwierczącej mocy, nie zgodziłby się z nim.

Moc przywołuje moc? Och, mógłbym im coś powiedzieć na ten temat, pomyślał Tachion. A gdyby cofnął się wystarczająco daleko, by ujrzyć wielki plan wszechświata, czego mógłby się wtedy dowiedzieć o własnym ludzie, Dniu Dzikiej Karty i zbliżaniu się TIAMAT, Roju czy cokolwiek to było? Być może wielki plan wszechświata rzeczywiście istniał, a może po prostu moc dzikiej karty wzywała Rój. Oczywiście, to by znaczyło, że wirus przywołał Rój, zanim jeszcze powstał, ale Tachion był przyzwyczajony do absurdalnych paradoksów czasoprzestrzeni.

Zresztą, nic z tego i tak nie miało znaczenia. Spojrzał na Fortunata, podekscytowanego przez kundalini i niecierpliwość. Czas na bolesne wahania minął już bardzo dawno temu. Teraz nadeszła pora, by działać, zrobić tyle, ile będzie mógł, i ani trochę mniej. By zadośćuczynić — być może — za czas, kiedy mógł zrobić więcej, ale mu się nie udało.

Kiedy zawiódł Blythe.

Choć minęło tak wiele lat, poczucie utraty nadal go nie opuszczało. Nie zdołał go ukryć na dnie butelki, nie przesłoniła go niekończąca się parada pięknych kochanek. Tylko praca w klinice dawała mu jakieś pocieszenie — nieadekwatne, ale zawsze lepsze niż nic.

Spojrzał w oczy Fortunata i rozpoznał widoczny w niej wyraz.

— Moc przywołuje moc, a smutek smutek. — Tachion uśmiechnął się bledziutko do drugiego mężczyzny. — Obaj utraciliśmy coś cennego dla nas w walce przeciwko grozie, ale musimy walczyć dalej i powstrzymać ciemność, jeśli zdołamy.

Fortunato nie odwzajemnił uśmiechu. Cała ta sytuacja wyraźnie się prosiła o kolejną z jego przemów o cholernych pierdolonych ciotach.

— Jasne — mruknął, odwracając się. — Pojedziemy tam i skopimy trochę tyłków. Ty, ja i jaka armia?

Tachion sięgnął po telefon.

— Muszę ją zwołać.



Gliniarz naprawdę rzucił na niego sieć. To zaskoczyło go tak bardzo, że wrócił do ludzkiej postaci, rozbijając sobie łokcie i kolana oraz drapiąc nagie ciało, gdy przetaczał się po chodniku.

— Tylko nie próbuj się z powrotem zmieniać — ostrzegł policjant — bo będę musiał skrócić twoje męczarnie. Jezu, tylko zaczekaj, aż się o tobie dowiedzą w Cloisters Museum. Sam ledwie potrafię w to uwierzyć.

Drżał w sieci, nie mogąc oderwać spojrzenia od lufy pistoletu. Nie wątpił, że gliniarz jest gotowy go zastrzelić. Przeklinał sam siebie bezgłośnie za to, że nie zadowolili się unoszeniem nad miastem, podziwianiem świateł i straszaniem par kochających się tu i ówdzie na dachach. Jak wielu ludzi mogło się ostatnio pochwalić tym, że pterodaktyl opadł na nich lotem koszącym?

Gliniarz rzucił go na tylne siedzenie i ruszył przez miasto, nie przestając chichotać.

— Nie wiem, co zrobi z tobą Astronom, ale na pewno zdrowo się uśmieje. Jesteś najmniejszym tyranozaurom w historii.

— Ornitozuchem — wyszeptał, przełykając z wysiłkiem ślinę. Kolejny uzbrojony w pistolet ignorant, niemający pojęcia o dinozaurach. Nie był pewien, czego bardziej się bać — pistoletu, tego Astronoma czy ojca, który wkrótce się zorientuje, że nie ma go w sypialni. Miał dopiero trzynaście lat i nie powinien przebywać poza domem o tak późnej porze w dzień powszedni, zwłaszcza pod postacią szybko biegającego drapieźnika z triasu.



— Podejdz bliżej, moja droga. Żebyś mógł cię lepiej zobaczyć.

Jane się zawahała. Aurę zła, którą sugerowały jej sny, aż za łatwo można było wyczuć wokół siedzącego na wózku inwalidzkim starca. Na jej twarzy i szyi zaczęły się zbierać kropelki wilgoci. Spojrzała na Kim Toy, ale Azjatka skupiła całą uwagę na Astronomie, podobnie jak wszyscy przebywający w pomieszczeniu ludzie. Kimkolwiek byli. Masonami. Poznała mężczyznę, który ją tu przyprowadził. Roman zwał go Judaszem. Sam Roman siedział za komputerowym terminalem z boku, pod niskim ceglany murkiem, wyglądającym, jakby ktoś zaatakował go kilofem. Sprayem barwy metalicznego złota napisano na nim ZJEDZ MNIE.

— Dysponujesz wielką mocą, moja droga — rzekł starzec. — Mogłabyś być bardzo użyteczna dla gościa, który zmierza do nas z gwiazd. Dla TIAMAT. — Przerwał, czekając na jej reakcję. Czuła się niepewnie pod jego spojrzeniem. W świetle dodatkowych lamp, które tu przyniesiono i podłączono niedbale, cienie w odległych kątach wydawały się jeszcze mroczniejsze. Odnosiła wrażenie, że kryją się w nich jakieś straszliwe stwory, które czekają tylko na rozkaz Astronoma, by wyleźć stamtąd i ją pożreć. ZJEDZ MNIE. Wsparła łokieć na pięści drugiej ręki i zakryła usta dłonią, by zapobiec atakowi niepowstrzymanego śmiechu.

— Znasz to imię? TIAMAT? — zapytał Astronom. Jane silniej zakryła usta i wzruszyła niezgrabnie ramionami.

— No cóż. — Starzec pochylił się nieco do przodu. — Pomogłaby nam jakaś demonstracja twojej mocy. Pomijając to, co zrobiłaś z tym hydrantem na ulicy. — Przyjrzał się jej uważniej. — A może zrobisz to teraz, moja droga?

— Och, bardzo subtelnie — odezwał się posępny, chudy mężczyzna stojący po prawej stronie Astronoma. Jego oczy przywodziły Jane na myśl grobowce. — Tego właśnie nam potrzeba: aski, której mocą jest intensywne pocenie się. Władzo nad światem, nadchodzimy.

Astronom zachichotał. Jane pomyślała, że nigdy w życiu nie słyszała bardziej złowrogiego dźwięku.

— No, no. Wszyscy wiemy, że stać ją na znacznie więcej. Nieprawdaż? Prawdaż. Na przykład, mogłabyś usunąć z czyjegoś ciała całą wodę, pozostawiając, no cóż, bardzo niewiele. — Wskazał na resztę zebranych i zachichotał, widząc wyraz jej twarzy. — Nie. Nie sądzę. Jedyną osobą, przeciwko której chciałabyś w tej chwili użyć swej mocy, jestem ja sam, a ja jestem odporny.

Skinął głową na Czerwonego, który zniknął za jednym z ceglanych łuków. Po paru chwilach wrócił, prowadząc dwóch mężczyzn, którzy wpełzli na środek pomieszczenia klatkę na kołach. Jane zamrużyła kilkakrotnie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom w tak kiepskim oświetleniu.

W klatce był dinozaur. *Tyrannosaurus rex* wysokości metra.

Na jej oczach stworzenie obnażyło groźne zęby. Biegało w tę i w tę, przyciskając do pokrytego łuską ciała krótkie przednie kończyny. Jedno z ciemnych, gadzich oczu spojrzało na Jane z błyskiem inteligencji.

— To krwiożerczy stwór — stwierdził Astronom. — Gdybym wypuścił go z klatki, mógłby odgryźć ci nogę jednym ukąszeniem. Zabij go. Usuń z jego ciała całą wodę.

Jane opuściła ręce, nie przestając zaciskać pięści.

— Och, daj spokój. — Kolejny złowrogi chichot. — Nie mów mi, że widok każdego bezdomnego dinozaura łamie ci serce.

— Ktoś tam jest! — zawołała. — Chcesz zobaczyć próbkę mojej mocy? Masz zbliżenie!

Skupiła się na miejscu położonym tuż przed twarzą Astronoma, pragnąc chlusnąć mu w twarz galon wody. W powietrzu pojawiła się na moment zamazana plama, która jednak zaraz zniknęła. Starzec odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

— Miałaś rację, Roman. Ona okazuje brawurę w najmniej spodziewanych momentach! Mówiłem ci, moja najdroższa, że twoja moc nie zadziała, jeśli jej na to nie pozwolę. Bez względu na to, jak wiele jej masz, ja mam więcej. Prawda, Zgon?

Chudy mężczyzna postąpił kilka kroków naprzód, gotowy wykonać jakiś rozkaz. Astronom potrząsnął głową.

— Czeka na nas następna, znacznie bardziej uległa. Ona nie spróbuje chlusnąć nam w twarz

wiadrem wody.

Jane otarła twarz, ale nic to nie dało. U jej stóp zbierała się kałuża wody. Astronom obserwował ją ze spokojem.

— Mieć prawdziwą moc znaczy być w stanie zrobić z niej użytek, być zdolnym do pewnych czynów, bez względu na to, jak bardzo straszliwe mogą się wydawać. W zdolności popełniania takich czynów albo zmuszania innych do ich popełniania można odnaleźć więcej mocy, niż potrafisz to sobie wyobrazić.

Wskazał na klatkę. Jane podążyła spojrzeniem za jego gestem i musiała zakryć usta obiema dłońmi, by powstrzymać krzyk.

Tyranozaur zmienił się w dwunasto-, góra trzynastoletniego chłopca o rudoblond włosach i szaroniebieskich oczach. Na czole miał małe, różowe znamię. Wyglądałby zdumiewająco, nawet gdyby nie był zupełnie nagi. Skulił się za kratami, próbując jakoś osłonić ciało.

— Nie ma już sensu dłużej zabiegać o twoje względy, moja droga — mówił Astronom. Z jego głosu zniknęły wszelkie pozory sympatii. — TIAMAT jest już bardzo blisko i nie mogę poświęcić nawet najkrótszej chwili na dalsze próby przekonywania ciebie. Szkoda, bo gdybyś zabiła dziecko, nawet zamaskowane pod postacią groźnego dinozaura, ta trauma związałaby cię z nami nieodwołalnie. Gdybym miał jeszcze kilka tygodni, bezboleśnie uczyniłbym cię jedną z nas. Teraz pozostał ci tylko wybór między życiem a swoją małą, odważną etyką. Masz tylko tyle czasu, ile potrzebuję, by przejść na drugą stronę tego pokoju. Nie mam wątpliwości, co wybierzesz. Oby etyka pomogła ci w następnym życiu, o ile takowe istnieje. — Skinął na chudego mężczyznę. — Zgon...

Jednocześnie wydarzyło się kilka rzeczy.

— Nie! — zawołał człowiek karaluch, podchodząc bliżej z głośnym szelestem. Woda chlusnęła w twarz Zgona z siłą wystarczająco wielką, by zwalić go z nóg. Nagle zabrzmiał inny głos, niewiarygodnie donośny.

— JESTEM WIELKI I POTĘŻNY ŻÓŁW! JESTEŚCIE OTOCZENI. WYJDŹCIE WSZYSCY SPOKOJNIE, A NIKOMU NIE STANIE SIĘ KRZYWDA!

Potem stało się coś niewiarygodnego. Jane usłyszała coś, co brzmiało jak temat z kreskówki *Supermysz*: *Oto gnam na ratunek waaaam!* Następnie zabrzmiała nieziemski kocia muzyka, o paśmie rozciągającym się od skrajnych basów aż po przeszywające uszy piski, od których trząsł się cały budynek. Klatka zwała się z trzaskiem na podłogę i chłopiec wypadł na zewnątrz. Jane starała się zachować równowagę i dotrzeć do chłopca pośród chaosu uciekających we wszystkie strony ludzi. Chłopiec zmienił się w innego dinozaura, wysokiego tylko na pół metra. Stworzenie było bardzo wysmukłe i wyglądało na zręczne. Miało szczupłe palce zakończone pazurami. Gdy do niej podbiegło, zmusiła się do uściśnięcia mu dłoni.

— Musimy się stąd wydostać! — wydyszała raczej niepotrzebnie i rozejrzała się wkoło. Zgon

i Astronom zniknęli. Mały dinozaur pociągnął ją na drugi koniec pokoju, ku cienistej galerii pod łukami. Pobiegli nią przed siebie.

Trzymam się za ręce z dinozaurem, pomyślała. To jest możliwe tylko w Nowym Jorku.

Nie zauważyła wlokącego się za nimi Kafki.



To naprawdę był diabelnie piękny widok, miał później powiedzieć Wielki i Potężny Żółw. Asowie najróżniejszych rodzajów wyłaniali się spomiędzy drzew otaczających Cloisters Museum i atakowali masonów, uciekających z budynku na wyłożone ceglami ścieżki oraz do zaniedbanych ogrodów. Widział podczas bitwy prawie wszystko. Niektóre szczegóły umknęły jednak jego uwadze, między innymi Jane i chłopiec dinozaur skradający się kolumnadą, która otaczała porośnięty teraz zielskim teren. Widzieli Żółwia, przelatującego nad ich głowami, oraz kilku asów w jaskrawych kostiumach, którzy trzymali się jego skorupy. Jeden z nich wskazał nagle na coś i w następnej chwili opadł łagodnie na ziemię, unoszony mocą Żółwia. Jane nagle usłyszała alarmujący syk małego dinozaura. Kiedy się odwróciła, by zobaczyć, co się stało, zdążył już zmienić się w chłopca. Cienie ukryły jego nagość.

— To Żółw! — wyszeptał do Jane. — Gdyby udało się nam przyciągnąć jego uwagę, zabrałby cię stąd!

— A co z tobą?

W odpowiedzi z powrotem zmienił się w dinozaura, tym razem potężnie umięśnionego i wyglądającego prawie tak samo groźnie jak tyranozaur. Miała wrażenie, że skądś go zna, mimo że nie odróżniała krokodyla od aligatora. Spróbowała przypomnieć sobie jego nazwę. Aluzja coś tam. Aluzja, czy może raczej Alzacja, bo choć stworzenie wyglądało groźnie, nie było większe od owczarka niemieckiego. Warczało i popychało ją naprzód przednimi odnóżami o trzech pazurach wzdłuż wyłożonej kamieniami dróżki otaczającej zachwaszczony ogród. Rozległo się kolejne groteskowe wycie. Jane poczuła przeszywający ją dreszcz. Mały dinozaur — allozaur, przypomniała sobie nagle bez wyraźnego powodu — ryknął w odpowiedzi, łapiąc się boleśnie za głowę. Pochyliła się, chcąc go uściskać i dodać mu otuchy, gdy nagle usłyszała łopot piór i zobaczyła błysk metalu. Na niskim marmurowym murku wylądowała niezwykle piękna kobieta.

— Sokolica! — wydyszała Jane.

Allozaur wydał z siebie cichy, pełen ekscytacji dźwięk, spoglądając z szaleństwem w oczach na skrzydlatą kobietę.

— Lepiej stąd zwiewaj — poradziła z sympatią w głosie Sokolica. — Wyjec zaraz zakrzyczycie całe to miejsce. Poradzicie sobie, ty i twoja, hmm, jaszczurka?

— To jest chłopiec. To znaczy w rzeczywistości jest małym chłopcem, asem...

Allozaur ryknął albo na znak potwierdzenia, albo w proteście przeciwko temu, że nazwano go

małym chłopcem.

— Krwiożerczy, naprawdę bardzo krwiożerczy. — Sokolica uśmiechnęła się do Jane i poderwała do lotu, bijąc powietrze wielkimi skrzydłami. — Lepiej stąd zmiataj. Mówię poważnie! — zawołała jeszcze, a potem odleciała, unosząc swe sławne tytanowe szpony.

Jane i allozaur obiegli wkoło zaniedbany ogród i przemknęli przez kolejną arkadę. Zatrzymała się, słysząc, że mały dinozaur zostaje z tyłu.

— Co się stało?

Ledwie dostrzegła jego ludzką sylwetkę.

— Muszę się zmienić. Potrzebny mi szybki biegacz. Zaczynam się męczyć. Do biegania hipsylofodon jest lepszy od allozaura.

Po chwili poczuła, że długie pazury złapały ją delikatnie i pociągnęły naprzód. Ten dinozaur był wielkości dużego kangura.

— Chyba nie biegniemy w stronę wyjścia — wysapała, gdy dotarli na słabo oświetlony placyk. Były tam prowadzące w dół schody. Dinozaur na moment zmienił się z powrotem w chłopca, a potem przybrał postać pterodaktyla i poleciał w dół. Jane mogła tylko pocwalać za nim. U podstawy schodów pterodaktyl zawrócił nagle i poleciał z powrotem ku niej. Pochyliła się odruchowo, potknęła i spadła na dół akurat na czas, by stanąć twarzą w twarz z mężczyzną jeszcze przystojniejszym niż Roman. Nieznajomy był odziany w granatowy kombinezon, a na głowie miał obcisłą czapkę. Miał też broń, z pozoru wyrastającą bezpośrednio z obu jego ramion.

— Cześć — odezwał się. — Czy nie widziałem cię podczas ucieczki małpy?

Jane zamrużyła, potrząsając z oszołomieniem głową.

— Słucham... nie... — Mężczyzna uniósł nagle broń, śledząc krążącego nad nimi pterodaktyla. — Nie! To tylko mały chłopiec, jest po naszej stronie!

— W takim razie w porządku — odparł z uśmiechem mężczyzna. — Lepiej oboje stąd zmiatajcie. — Jane przebiegła obok niego. Pterodaktyl unosił się nad jej głową. — Jesteś pewna, że nie widziałem cię podczas ucieczki małpy? — zawołał jeszcze za nią.

Była zbyt zdyszana, by mu odpowiedzieć, nawet gdyby chciała to zrobić. Pterodaktyl poleciał przodem, gdy poczuła, że nogi jej słabną. Brnęła naprzód, sapiąc, ale dystans między nią a stworzeniem zaczął się zwiększać.

Pterodaktyl skręcił gwałtownie, omijając narożnik budynku, i zniknął za nim. Zaraz potem rozblęskło niebieskie światło, rozległo się skrzeczenie, a po nim łoskot. Jane zatrzymała się i uczepliła kamiennego muru. Proszę, modliła się. Tylko nie chłopca. Nie skrzywdźcie chłopca. Ze mną możecie zrobić, co chcecie. Zmusiła się do ruszenia naprzód, nadal wspierając się o mur. Po chwili wyrzała zza rogu.

Po upadku wrócił do ludzkiej postaci. Widziała, że jego pierś unosi się i opada. Oddychał.

Stał nad nim człowiek karaluch, trzymający w ręku broń o groźnym wyglądzie, przypominającą żądło.

— Musiałem go zatrzymać — rzekł, spoglądając na Jane. — Ale nic mu się nie stało. Za kilka minut wróci do siebie. Daję słowo. Potrzebuję twojej pomocy.

Wyciągnął wolną rękę do Jane. Postąpiła krok naprzód. Jego twarz była pozbawiona ludzkich cech, ale oczy je miały. Nim jednak zdążyła dotknąć jego ręki, cofnął ją raptownie.

— To miał być tylko gest. Nie dotykaj mnie. Chodź ze mną.

Jane uklękła przy nieprzytomnym chłopcu.



Judasz stał przy grobowcu, zakrywając uszy dłońmi. Nie był w stanie oczyścić myśli na chwilę wystarczająco długą, by zdecydować, co zrobić. Gdy tylko spróbował myśleć, znowu rozlegało się to cholerne wycie i przeszywały go dreszcze. Przysięgłby, że z uszu mu krwawi.

Chaos był niewiarygodny. Ludzie Astronoma wybiegali z wielkiej sali i wpadali do niej z powrotem niczym banda tchórzliwych frajerów, którymi w sumie byli. Już od początku wiedział, że to sami tchórze. Wystarczająco długo był gliniarzem, by nauczyć się rozpoznawać takich jak oni. Na ich widok miał ochotę przejść na drugą stronę i zacząć eliminować ich osobiście. Może to nie byłby taki zły pomysł, biorąc pod uwagę, że asowie szturmowali budynek. Miał odznakę, miał broń, mógłby twierdzić, że rozpracowywał ich jako tajny agent. Nikomu nie chciałoby się tego sprawdzać, przynajmniej nie dzisiaj. Jasne.

Rozejrzał się wokoło i zobaczył Czerwonego oraz Kim Toy. Oboje zmierzali ku jednej z ciemnych galerii, szukając drogi wyjścia. Równie dobrze mogę zacząć od nich, pomyślał i wyciągnął broń.

— Stój! Stój, bo strzelam!

Kim Toy odwróciła błyskawicznie głowę, powiewając długimi, prostymi, ciemnymi włosami.

Judasz przesunął pistolet na Czerwonego.

— Mówiłem, żebyś się nie ruszał!

Czerwony uniósł przed głowę otwartą dłoń. Judasz chciał już nacisnąć spust, ale nagle poczuł, że się zakochał. Ptaki śpiewały, wiły gniazda w jego mózgu, cały świat był piękny, a zwłaszcza Kim Toy, najbardziej ekscytująca i egzotyczna ze wszystkich kobiet. Odrzucił pistolet i ruszył ku niej chwiejnie. Za bardzo ją kochał, by poczuć się zraniony, gdy uciekła od niego z Czerwonym.

Z uszu naprawdę mu teraz krwawiło, ale takie sprawy przestały go obchodzić. Nawet tego nie zauważał.



Pomieszczenie — jak wszystkie w tym budynku — przywodziło jej na myśl kaplicę. Widziała miejsce, gdzie mógł kiedyś stać ołtarz albo chrzcielnica. Obecnie zajmowała je maszyna.

— Widziałas ją we śnie — wyjaśnił Kafka, kładąc rękę na jednym z niewiarygodnych kątów

urządzenia. Musiała odwrócić oczy. Szalony zarys maszyny groził zapętlaniem jej wzroku. Przeniosła uwagę na bardziej prozaiczną sylwetkę pobliskiego komputera. Na jego szczycie stał wielki monitor, ciemny i milczący.

— Śakti — powiedziała.

— Tak jest. Śakti. — Skrzywił się, gdy budynek przeszło kolejne straszliwe wycie. — Możemy dziś wszyscy zginąć, ale urządzenie musimy uratować.

Jane wykrzywiła z niesmakiem usta.

— Ta cała TIAMAT...

— To nasza jedyna szansa...

Rozległ się szelest, gdy chłopiec dinozaur — Dinochłopiec, jak przedstawił się Jane — owinął się ciasniej w prześcieradło zdjęte z łóżka Kafki. Poprosiła go, aby pozostał w ludzkiej postaci, by móc z nim rozmawiać, a on zgodził się z niechęcią, po warunkiem że człowiek karaluch da mu coś, czym mógłby osłonić nagość.

— Myślisz, że możesz mu zaufać? — rzucił. — Bo ja z pewnością mu nie ufam.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków. Roman wpadł do środka z szaleństwem w oczach.

— Obudowa, czy nic się jej nie stało? — Nie czekając na odpowiedź, odepchnął Kafkę na bok i popędził do komputera. — Ellie! Jestem tu, Ellie, jestem!

Kafka podszedł do niego.

— Gdzie Astronom?

— Pierdolę go — odparł Roman i ponownie odepchnął człowieka karalucha. — Pierdolę go i pierdolę was wszystkich!

Budynkiem wstrząsnęło kolejne wycie. Obaj mężczyźni razem upadli na komputer. Jedna z płyt obudowy oddzieliła się w rękach Romana, odsłaniając część obwodów.

— O cholera! — zawołał chłopiec. — Ale obrzydli stwo!

Nawet w słabym świetle Jane widziała, że obwody pulsują, dostrzegła teksturę płyt i ich wilgoć. Żywe ciało połączyło się z twardą, martwą maszyną. A może to samo ciało stwardniało? Zasłoniła oczy dłonią, czując mdłości.

— Lilio Wodna!

Ostrzeżenie Kafki nadeszło w tej samej chwili, gdy poczuła dotykające ją od tyłu ręce. Odwróciła się i spojrzała prosto w grobowe oczy Zgona. Położyła dłonie na jego ramionach i przez krótką, absurdalną chwilę wyglądało to tak, jakby się obejmowali.

— Boisz się umrzeć? — zapytał ją.

W tak ekstremalnej sytuacji to pytanie nie wydało się jej nie na miejscu.

— Tak — odpowiedziała po prostu.

— Lilio Wodna! — zawołał raz jeszcze Kafka. Jego głos przepełniała rozpacz. Ona jednak nie ruszyła się z miejsca i pozostała przy życiu, głaszcząc jedną ręką wychudłą twarz Zgona.

Wzdrygnął się pod jej dotykiem.

— To boli, prawda?

— Wszystko boli — odburknął brutalnie i odepchnął ją na bok. Runęła na podłogę obok maszyny Kafki, a gdy zaczęła wstawać, gruby witraż eksplodował do środka, zasypując pomieszczenie wielobarwnymi odłamkami szkła. Osłoniła głowę obiema rękami i znowu padła na podłogę. Do sali wpadł długi płomień, osmalając drewno i kamień. Usłyszała czyjś krzyk. Potem rozległ się szelest. To Kafka czołgał się ku niej po podłodze, próbując skłonić Jane do zbliżenia się do maszyny.

— Tylko ona — wydyszał. Kolejne wycie zaatakowało ich z siłą trzęsienia ziemi. — TIAMAT... ochroni... Potrzebuję twojej pomocy dla TIAMAT...

Oderwało go od niej. Usłyszała, że krzyknął w chwili zderzenia. Potem ktoś podniósł ją na nogi. Zauważyła, że Kafka padł na plecy po kopnięciu w głowę.

— Neeeeee! — zawołała. — Nie rób mu krzywdy, nie!

Widziała te rdzawe oczy już chyba z tysiąc razy, ostatnio dziś wieczorem. Poruszyła ustami, ale nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Następnie wokół oczu pojawiły się znamionujące uśmiech zmarszczki i mężczyzna odepchnął ją na bok.

— Nie zbliżaj się, kochanie. Nie chciałbym, żebyś się zmieszała z frytkami.

Odwrócił się i zaczął wskazywać na Kafkę, Śakti oraz chłopca, który znowu zmienił się w dinozaura, tym razem stegozaura, i z całą pewnością znajdował się na linii ognia. Jane próbowała odzyskać głos i odnaleźć właściwe słowa. Przyszła jej do głowy być moje jedyna rzecz, która mogła go powstrzymać przed zwęgleniem ich wszystkich.

— Ogniczku, nie!

Skaczący Ognik spojrzał na nią, rozdziawiając usta z zaskoczenia.

Chwilę później zdziwił się jeszcze bardziej, zauważywszy, że pokrywa ją woda.



Fortunato wpadał kolejno do wszystkich pokoiów, galerii i wnęk, szukając asów albo kogokolwiek innego. Ciota z kosmosu podążała tuż za nim. Do tej pory udało się im znaleźć tylko jakiegoś błazna, który czołgał się po kamiennej posadzce, a z uszu płynęła mu krew. Kosmiczna ciota chciała się zatrzymać i go zbadać, ale Fortunato na to nie pozwolił. Oznajmił kosmicznej ciocie, że to nie serial medyczny, i odciągnął ją za ozdobny kołnierz ciotowskiego płaszcza. Ciota, tak jest, kurde, porozmawiajmy, cioto, nazwijmy twojego Crowleya ciotą, a skoro już mowa o ciotach, jak udało ci się wskrzesić tego chło paka...

Przerwał stanowczo ten tok myśli, wbiegając do wąskiego korytarza.

— Fortunato... gdzie... co próbujesz zrobić...? — wysapał Tachion.

— Czuję go — odparł, odwracając się przez ramię.

— Kogo?

— To on załatwił Eileen. I Balsama. I całą masę innych ludzi... — Zachwiał się, gdy Wyjec wydał z siebie kolejny ze swych przeciągłych, przerażających krzyków. Tachion wpadł na niego i obaj o mało się nie przewrócili. — Niech go szlag. Mógłby się wreszcie zamknąć, do chuja — mruknął Fortunato. Zatrzymał się nagle i złapał Tachiona za poły ciotowskiego płaszcza. — Posłuchaj, trzymaj się z tyłu. On należy do mnie, tak?

Tachion zerknął na wypukłe czoło i na mroczne, gniewne oczy asa. Potem zdjął z siebie jego rękę.

— Nigdy cię nie widziałem w takim stanie.

— Ehe, no wiesz, gównu jeszcze widziałeś — warknął Fortunato i znowu ruszył przed siebie. Kosmiczna ciota podążała za nim.



Przez kilka długich chwil wydawało się, że nikt nie wie, co robić. Roman wstał i osłaniał komputer własnym ciałem. Kafka podbiegł do maszyny Śakti, a mały stegozaur rozglądał się z boku na bok. Nawet Skaczący Ognik znieruchomiał, spoglądając na Jane, na dziwną maszynę, na Kafkę, na Romana i znowu na Jane.

Potem odwrócił się od niej i czas zaczął biec na nowo. Wyciągnął rękę ku maszynie Kafki.

— Nie jego — zaprotestowała z desperacją, sięgając ku niemu.

— Hej, ty — odezwał się w tej samej chwili Zgon, tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Nim Skaczący Ognik zdążył zareagować, stegozaur zamigotał i przeobraził się w nagiego chłopca, a potem w tyranozaura, rzucił się do ataku i zatopił zęby w udzie Zgona.

Wychudzony mężczyzna wrzasnął z bólu i zwałił się na plecy, szarpiąc się z napastnikiem. Kafka zaczął krzyczeć, powstał wir światła, który nagle zamigotał, i pośrodku sali pojawił się Astronom. Jego głowa wyglądała teraz jak coś zrodzonego z koszmaru. Miał dziwny, łukowaty pysk, prostokątne uszy i skośne oczy, ale Jane wiedziała skądś, że to on.

— Bóg Setech! — usłyszała głos Kafki, pełen strachu albo ulgi. Astronom uśmiechnął się do Jane i zobaczyła, że zęby i wargi ma czerwone od krwi. Nie miał wózka inwalidzkiego, wypełniała go witalność i siła. Jakby chciał potwierdzić prawdziwość jej myśli, uniósł się nagle półtora metra nad podłogę.

Skaczący Ognik cofnął się o krok, uniósł obie ręce, a potem zrobił zdziwioną minę. Astronom pogroził mu palcem jak niegrzecznemu dziecku i przeniósł uwagę na Zgona, który nadal mocował się z tyranozaurow na podłodze. Po chwili gad z powrotem zmienił się w nagiego chłopca.

— O kurde! — pisnął dzieciak. Wyrwał się z uścisku przeciwnika i popędził ku drzwiom. Gdy tylko do nich dotarł, na progu stanął wysoki czarnoskóry mężczyzna o wypukłym czole. Jane wciągnęła nagle powietrze, nie na jego widok, lecz dlatego, że poczuła otaczającą go moc. W powietrzu gęstniała aura niewolnionych energii.

— Czulem cię — oznajmił Astronom — jak czaiłeś się tu i ówdzie na granicach.

— Nie tylko się czaiłem, skurwysynu.

Mężczyzna wyprostował się, przez co wydawał się jeszcze wyższy, a potem sięgnął ku Astronomowi, jakby chciał go objąć. Starzec opadł nieco, nie przestając się uśmiechać.

— Z radością poddam cię próbie — oznajmił i odskoczył nagle do tyłu, zbliżając się do maszyny Kafki. Uniósł raptownie nad głowę zaciśnięte pięści. Wysoki mężczyzna postąpił kilka chwiejnym kroków naprzód i zatrzymał się, rozstawiając szeroko nogi.

— Nie krępuj się, Fortunato. Podejdź bliżej.

Przyciągająca czarnoskórego mężczyznę moc zdawała się potężnieć z każdą chwilą. Skaczący Ognik zerknął na Jane.

— Znasz jakieś sztuczki poza topieniem samej siebie, kochanie? — zapytał cicho. — Jeśli tak, lepiej ich użyj.

W drzwiach pojawił się kolejny mężczyzna. Jane zdążyła zauważyć nieprawdopodobne rude włosy oraz jaskrawy strój, gdy nagle ujrzała więcej czerwieni, całkowicie czerwone ciało. Przybysz przewrócił rudowłosego i obaj zaczęli się przetaczać po podłodze. Czerwony usiłował przygwoździć drobniejszego przeciwnika. Nagle pojawiła się Kim Toy. Próbowała odciągnąć męża, mówiąc mu, żeby o tym zapomniał, po prostu zapomniał, bo muszą stąd uciekać.

W pobliżu maszyny Kafki Astronom i Fortunato nadal pozostawali w równowadze. Jane odnosiła jednak wrażenie, że starzec zaczyna zdobywać przewagę. Grymas wysiłku na twarzy czarnoskórego mężczyzny stawał się coraz silniejszy. Otaczała go dziwna poświata, a z wypukłego czoła wyrastały teraz rogi. W odpowiedzi ciało Astronoma przybierało zwierzęcy kształt, upodabniało się do charta o wielkim, rozdwojonym ogonie unoszącym się nad jego grzbietem niczym coś jadowitego. Fala wypełniającego Jane strachu przeszła w crescendo. Nie miała nikogo, na kim mogłaby się wesprzeć, kto oferowałby jej schronienie, pocieszenie albo szansę ucieczki.

Chłopiec dinozaur, który był teraz wysmukły i miał długi ogon, wpadł do pomieszczenia i wylądował na Czerwonym, strącając go z mężczyzny w barwnym stroju. Kim Toy odskoczyła do tyłu i wtedy pojawiła się czwarta osoba, dodatkowo komplikując sprawę. Nowy przybysz rzucił się na Azjatkę i wstrząśnięta Jane zauważyła, że to Judasz. Z uszu płynęła mu krew, ale najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. Ukłęknął na nogach Kim Toy, przycisnął jej klatkę piersiową jedną ręką, a potem ni w pięć, ni w dziewięć zaczął ściągać spodnie.

Jane potrząsnęła głową z niedowierzaniem. To było jak jakaś dziwaczna wizja piekła — Astronom, Roman, odrażający komputer, Kafka, maszyna Śakti, dinozaur, Czerwony, czarnoskóry mężczyzna z rogami, drugi mężczyzna — Tachion, teraz go poznawała, sprawiał wrażenie oszołomionego — Skaczący Ognik, który nie był w stanie nic zrobić, i ten podły łajdak, który ją tutaj przyprowadził — któremu pozwoliła się tutaj przyprowadzić, poprawiła się

— łajdak, który próbował teraz zgwałcić Kim Toy, podczas gdy wszyscy wokół walczyli o życie.

Wszystko to przemknęło w mgnieniu oka przez jej umysł. Moc zebrała się bez trudu i wypłynęła z niej.

Tym razem Judasz był jedynym, który nie zauważył, co robiła. Nigdy się nie dowiedział, że Jane chciała go tylko oślepić, zalewając mu oczy łzami — nawet wtedy, gdy moc w niego uderzyła. Zbyt długo zbierała się w niej, nie mogąc znaleźć uwolnienia, a ona za bardzo się bała i strach uczynił ją silną. Nigdy się nie dowiedział, nawet wtedy, gdy wstał. W następnej chwili już go nie było. Jego miejsce zajęła sylwetka utworzona z pyłu, który wisiał przez niewiarygodną chwilę w powietrzu, a potem się rozproszył. Wilgoć spryskała ściany, posadzkę i Kim Toy.

Jane chciała krzyknąć, ale z jej ust wydostało się tylko słabe westchnienie. Wszystko znieruchomiało, nawet walka między Astronomem i Fortunatem stała się jakby nieco wolniejsza.

— Niech nikt się nie rusza albo ona zrobi to znowu! — wrzasnął nagle Skaczący Ognik.

Jane zalała się łzami.

Cały pokój zalał się łzami. Nagle nadeszła ulewa. Woda tryskała na wszystkie strony. Skaczący Ognik wyskoczył przez okno i zawisnął w powietrzu.

— Utop ich albo wyłącz to! — zawołał.

Nagle Astronom zatrzymał potop skinieniem dłoni i obdarzył Jane kolejnym ohydny uśmiechem.

— Zrób to jeszcze raz. Dla mnie.

Poczuła, że niewidzialna ręka obróciła ją i moc zebrała się znowu, tym razem wymierzona w czarnoskórego mężczyznę, Fortunata...

Który jednak nie był już tam, gdzie przed chwilą, lecz przeniósł się za plecy Astronoma i stanął nad maszyną Kafki, unosząc obie ręce.

— NIE! — zawołał człowiek karaluch. To słowo poniosło się echem w umyśle Jane, gdy moc wypłynęła z niej wbrew jej woli, przekierowana jej ostatnim wysiłkiem tak, że ominęła wszystkich, nawet Astronoma, i uderzyła w komputer. W tej samej chwili Śakti rozpadła się z dźwiękiem stanowczo za bardzo przypominającym ludzki krzyk.

Moc Fortunata ponownie uderzyła w maszynę i rozległ się drugi krzyk, tym razem z pewnością ludzki. Prerażające żywe obwody komputera zamieniły się w proszek, który posypał się na ręce i pierś Romana.

Fortunato zwrócił się w stronę Astronoma, sięgając ku niemu. Zwierzęca postać się rozpuściła. Starzec znowu stał się człowiekiem, i to bardzo małym. Zamigotał na chwilę w powietrzu i otaczające go światło zaczęło ciemnieć.

— Ty głupcze — wyszeptał, ale ten szept przeszywał cały pokój i wszystkich, którzy w nim

przebywali. — Głupi, ślepy czarnuchu. — Rozejrzył się wkoło, spoglądając na obecnych. — Wszyscy zginiecie z krzykiem na ustach.

Potem ulotnił się jak dym.

— Zaczekaj! Zaczekaj, do cholery! — Zgon podniósł się z wysiłkiem, ściskając gojącą się nogę. — Obiecałeś mi, niech cię szlag, obiecałeś!

Łkanie Romana tworzyło dziwaczny kontrast z wściekłymi wrzaskami chudzielca.

Jane poczuła, że kolana się pod nią uginają. Nie miała już nic. Nawet jej moc nie mogła jej teraz dać więcej sił. Tachion wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wstać.

— Chodź — rzekł z delikatnością w głosie, pociągając ją ku drzwiom. Poczuła, że coś tłumi rodzącą się w jej umyśle histerię, coś pocieszającego jak ciepły koc. Na wpół pogrążona w transie, pozwoliła, by Tachion wyprowadził ją na zewnątrz. Inną częścią umysłu usłyszała wołającego ją Kafkę i poczuła się niejasno zasmucona, że nie może mu odpowiedzieć.



Ukryta w zagajniku, obserwowała zakończenie tego, co miało potem być znane jako Wielki Atak na Cloisters Museum. Od czasu do czasu dostrzegała Sokolicę, która zataczała kręgi wokół wieży albo wokół skorupy Żółwia. Niekiedy towarzyszył jej pełen gracji, ale mały (jak na jej oko) pteranodon. W noc wznosiły się kolumny ognia, przebijające dachy i osmalające mury. Nadaremnie szukała Kafki albo Zgona w grupie ludzi — masonów, pomyślała, kręcąc głową nad tym absurdem, masonów — zebranych i przeniesionych w bezpieczne miejsce przez moc Żółwia.

— Pod koniec próbowałam komuś pomóc. Próbowałam pomóc małemu chłopcu — wyszeptała, nie dbając o to, czy stojący obok Tachion wie, o co jej chodzi. Wiedział. Czują go, gdy sortował jej wspomnienia o Debbie, o Salu i o tym, jak znalazł ją Judasz. We wszystkich miejscach, których dotknął, zostawiał ciepło, pocieszenie i zrozumienie.

Wyjec wydał z siebie kolejny straszliwy wrzask, tym razem jednak krótki.

Mogłaby się rozpłakać, ale chwilowo nie miała w so bie łez.



Po krótkiej chwili znajome głosy przywołały ją z powrotem do rzeczywistości. Był tu Skaczący Ognik i chłopiec dinozaur w kolejnej dziwnej postaci, której nie znała. (— To iguanodon — wyszeptał do niej Tachion. Okaż mu należy podziw. — W jakiś sposób udało się jej to zrobić). Fortunato wyszedł z drzwi, w których palił się jeszcze dogasający ogień, przeszedł nad płonącymi fragmentami i dotarł do nich. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmęczonego niż Jane.

— Zgubiłem ich — oznajmił Tachionowi. — Karalucha, śmiercionośnego dziwołaga i tego trzeciego. Czerwonoskórego i jego kobietę. Wszyscy zwiali, chyba że Żółw ich przechwyił. — Wskazał podbródkiem na Jane. — Jak brzmi jej opowieść?

Odwróciła od niego wzrok, spoglądając na płonące muzeum, wzięła się w garść i poszukała mocy. Zostało jej jeszcze zaskakująco wiele. Wystarczy do tego, co chciała zrobić.

Woda spłynęła na najgorsze płomienie, przygaszając je nieco, ale nie za wiele. Okazało się, że gdy człowiek potrzebuje podpalacza, jednak można go znaleźć, pomyślała, spoglądając na Skaczącego Ognika.

— Nie marnuj energii — rzekł do niej. Jakby dla poparcia jego słów rozległy się syreny zbliżającej się straży pożarnej.

— Urodziłam się w remizie strażackiej — wyznała. — Matka nie zdążyła na czas do szpitala.

— Fascynujące — odparł. — Niestety, muszę wkrótce was opuścić. — Spojrzał na Tachiona. — Hmm, chciałbym się dowiedzieć, skąd wiedziałaś... Nazwałaś mnie Ogniczkiem.

Wzruszyła ramionami.

— Zdrobnienie od „Ognik”. To logiczne. — Zdobyła się na leciutki uśmiezek. — To wszystko. Nigdy się przedtem nie spotkaliśmy. Daję słowo.

Na jego twarzy malowała się potężna ulga.

— Hmm, no tak. Ale moglibyśmy się niedługo spotkać i...

— Sześćdziesiąt minut — przewał mu Tachion. — Powiedziałbym, że zaczyna brakować ci czasu. Statek wkrótce odpłynie. Musisz zdążyć na spotkanie z kapitanem.

Skaczący Ognik obrzucił go złowrogim spojrzeniem, a potem wzbił się w powietrze. Otoczyła go płonąca aureola, po czym umknął w ciemność.

Jane odprowadzała go przez chwilę wzrokiem, a następnie opuściła ze smutkiem spojrzenie.

— O mało bym go wtedy skrzywdziła. Komuś innemu zrobiłam krzywdę. A nawet...

Tachion objął ją ramionami.

— Oprzyj się na mnie. Wszystko będzie dobrze.

Wysunęła się delikatnie z jego objęć.

— Dziękuję, ale chyba nie potrzebuję już oparcia.

W porządku, Sal?

Ponownie zwróciła się ku płonącemu muzeum, by nadal lać wodę na najgorsze płomienie.



Przycupnięty w zaułku Zgon dygotał. Noga ucierpiała mu tak bardzo, że nadal się nie zagoiła, wiedział jednak, że z czasem tak się stanie, z równą pewnością, jak wiedział, że nienawidzi Astronoma za to, że go porzucił, i za to, że w ogóle go w to wciągnął swymi obietnicami i przysługami. TIAMAT, niech to szlag. Załatwi tego starego, wypaczonego pojeba, zanim TIAMAT zdąży tu dotrzeć. To była obietnica. Zatańczy ze starym skurwysynem tak, że to wspomnienie będzie mu towarzyszyć w piekle.

Pogrążył się w stanie bliskim delirium, nie wiedząc, że nieopodal Kafka obserwuje zagładę Cloisters Museum. Gdy woda spłynęła znikąd na płomienie, odwrócił się, pragnąc, by zimna,

śmiertelna nienawiść pozostała w nim na zawsze.



Kometa pana Koyamy

WALTER JON WILLIAMS

Część pierwsza: marzec 1983

Gdy w czerwcu roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego Koyama Eido, członek kadry kierowniczej Mitsubishi w trzecim pokoleniu, przeszedł na emeryturę, otrzymał ekstrawaganckie pochwały, a także zasłużony szacunek równych sobie oraz podwładnych. Upił się ekstrawagancko, spłacił kochankę i już następnego dnia zaczął wprowadzać w życie plan, nad którym pracował od prawie czterdziestu lat. Przeniósł się z żoną do domu na wyspie Sikoku, zbudowanego w górzystej, trudno dostępnej okolicy. Pan Koyama musiał słono zapłacić za podłączenie telefonu i kanalizacji, co więcej, dom zbudowano w niezwykłym stylu, z płaskim dachem niezbyt odpornym na pogodę — ale dla właściciela nic z tych rzeczy nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że dom był położony daleko od cywilizacji, więc zanieczyszczenie świetlne było niewielkie, i wychodził na Pacyfik na wschodzie oraz na kanał Bungo na południowym zachodzie. Nad wodą widoczność była lepsza.

W klatce zbudowanej na dachu pan Koyama zainstalował teleskop ze zwierciadłem o średnicy trzydziestu pięciu centymetrów, który skonstruował własnoręcznie. Gdy pogoda była dobra, wynosił teleskop na dach i obserwował niebo — gwiazdy, planety oraz odległe galaktyki. Wykonywał staranne zdjęcia, które następnie wywoływał w ciemni i zawieszał na ścianach. Ale sama obserwacja nieba mu nie wystarczała. Pan Koyama pragnął czegoś więcej. Chciał, żeby coś nosiło jego nazwisko.

Dlatego każdego dnia, tuż po zachodzie słońca i tuż przed świtem, pan Koyama wychodził na dach z marynarską lornetką Fujinan, którą w czterdziestym szóstym kupił w Chiba od głodującego byłego kapitana łodzi podwodnej. Odziany w ciepły wełniany płaszcz, kierował ku niebu soczewki o średnicy dwunastu centymetrów i cierpliwie wypatrywał komet.

W grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku udało mu się jedną znaleźć, ale niestety musiał się podzielić chwałą z Sekim, poszukiwaczem komet o sporej sławie, który zauważył ją kilka dni wcześniej. Pan Koyama nie był zadowolony, że Seki-Koyama 1982P umknęła mu o jakieś siedemdziesiąt dwie godziny, ale nie zaprzestawał poszukiwań, obiecując sobie, że będzie czujniejszy i bardziej pracowity. Chciał mieć kometę tylko dla siebie.

Marzec osiemdziesiątego trzeciego zaczął się chłodno i deszczowo. Pan Koyama drżał

z zimna pod płaszczem i kapeluszem, obserwując niebo podczas kolejnych nocy. Nagły atak grypy nie pozwalał mu wychodzić na dach aż do dwudziestego drugiego i z irytacją dowiedział się, że gdy leżał w łóżku, Seki i Ikeya odkryli na spółkę nową kometę. Czujniejszy i bardziej pracowity, obiecał sobie raz jeszcze.

Rankiem dwudziestego trzeciego pan Koyama wreszcie znalazł swoją kometę. Tuż obok jeszcze niewzruszonego Słońca wypatrzył zamazaną kulkę światła. Kichnął, złapał mocniej lornetkę i przyjrzał się jej ponownie. W tej części nieba nie powinno być niczego w tym rodzaju, pomyślał.

Serce tłukło mu mocno, gdy schodził na dół. Dotarł do gabinetu, sięgnął po telefon i zadzwonił na pocztę, by wysłać telegram do Międzynarodowej Unii Astronomicznej. (Zasady dobrego wychowania obowiązujące w MUA wymagały wysłania telegramu. Zwykły telefon uznano by za prostactwo). Powtarzając niejasne modlitwy do licznych bogów, w których tak naprawdę nie wierzył, wrócił na dach. Towarzyszyło mu dziwne poczucie, że kometa zniknie pod jego nieobecność. Gdy tylko spojrzął na niebo, odetchnął z ulgą.

Kometa nadal tam była.



Zawiadomienie z MUA nadeszło po dwóch dniach. Potwierdzało również to, czego pan Koyama dowiedział się już dzięki swoim obserwacjom. Koyama 1983D była naprawdę rewelacyjną kometą. Uciekała od Słońca niczym nietoperz z piekła.

Późniejsze raporty wskazywały na kolejne anomalie. Rutynowa analiza spektrograficzna dowiodła, że Koyama 1983D to bardzo dziwny obiekt. Zamiast typowych grup hydroksylowych oraz węgla kometa pana Koyamy zawierała bardzo dużo tlenu, azotu, wodoru, węgla, krzemu oraz rozmaitych soli mineralnych. Krótko mówiąc, wszystkiego, co niezbędne do życia organicznego.

Wokół komety natychmiast wybuchła burza kontrowersji. Jak wielką anomalię stanowiła i czy organiczne życie było możliwe w królestwie zimna i pyłu, jakim był Obłok Oorta? Z panem Koyamą przeprowadziły wywiady BBC, NBC oraz telewizja sowiecka. Napisano o nim artykuł w „Timesie”. Wygłaszał skromne oświadczenia o swym statusie amatora oraz o zdumieniu, w jakie wprawia go to całe zamieszanie. W duchu czuł się jednak bardziej zadowolony niż z czegokolwiek w życiu, nawet z narodzin pierwszego syna. Żona widziała, jak chodził po mieszkaniu dumnym krokiem dwudziestolatka, z szerokim uśmiechem klauna na twarzy.

Każdego wieczoru i ranka pan Koyama nadal wychodził na dach. Trudno przebić takie osiągnięcie, ale zamierzał spróbować.

Część druga: październik 1985

Astronomia przyciągała ostatnio więcej uwagi z powodu powrotu P/Halley 1982I, ale pan Koyama zachował równowagę w obliczu zamieszania. Był już starym wygą. Od czasu Koyama 1983D odkrył cztery dalsze komety i zapewnił sobie poczesne miejsce w historii astronomii kometarnej. Wszystkie jego komety należały do tak zwanego typu Koyamy, z jego dziwną spektrografią i prędkością nietoperza z piekła. Komety typu Koyamy wykrywali teraz najrozmaitsi amatorzy. Zawsze przelatywały blisko słońca.

Kontrowersje nie wygasły. W gruncie rzeczy, nasiliły się jeszcze. Czy było możliwe, że Układ Słoneczny nawiedziła burza komet zawierających organiczne składniki, czy też było to typowe wydarzenie, którego dotąd z jakiegoś powodu nie zaobserwowano? Fred Hoyle wydał z uśmiechem oświadczenie o treści „a nie mówiłem”, powtarzające jego teorię kosmicznych nasion zawierających organiczne życie. Nawet jego najzagorzalsi przeciwnicy przyznawali, że irytujący staruszek z Yorkshire mógł wygrać tę rundę.

Pan Koyama otrzymał wiele zaproszeń do wygłoszenia mów, ale odrzucał wszystkie. Czas poświęcony na publiczne wystąpienia oznaczałby mniej czasu spędzonego w obserwatorium na dachu. Rekord liczby odkrytych komet należał obecnie do australijskiego duchownego i wynosił dziewięć. Pan Koyama zdobył ten zaszczyt dla Japonii albo umrze, próbując.

Część trzecia: późny czerwiec 1986

Tam: następna kometa, ledwie widoczna, ścigająca Słońce po niebie. Pan Koyama zszedł do swego gabinetu i zadzwonił na pocztę. Serce mu przyśpieszyło. Rozpaczliwie potrzebował potwierdzenia tego odkrycia — nie samego faktu istnienia komety, ale danych spektrograficznych.

Pan Koyama wspinał się w górę w tabeli odkrywców komet, i to w okresie, gdy niebo obserwowano z narastającą nerwowością. Ludzie mieli nadzieję odnaleźć nieodbijającego światła rodzica Roju, który prawdopodobnie czał się gdzieś w pobliżu. Ale to nie perspektywa szóstej komety podekscytowała pana Koyamę. Czuł się już nieco zblazowany, gdy chodziło o nowe komety. Potrzebował potwierdzenia swej nowej teorii.

Pan Koyama przyjął gratulacje od telegrafisty i odłożył słuchawkę. Gapił się z zaszępiłą miną na leżący na biurku diagram. Ten obraz coś sugerował i pan Koyama podejrzewał, że jest jedynym, który to zauważył. To było coś, co mogli dostrzec tylko ludzie, którzy spędzali życie na dachach, licząc godziny i dni, nie zwracali uwagi na rosę i gapili się na fragmenty nocy przez długie refraktory.

Komety w stylu Koyamy cechowały się nie tylko osobliwym składem i wielką prędkością, lecz zarazem jeszcze dziwniejszą periodycznością. Co mniej więcej trzy miesiące w okolicy słońca pojawiała się nowa. To było tak, jakby Obłok Oorta zrzucił z siebie kulę organicznej

materii dla uczczenia nadejścia kolejnych ziemskich pór roku.

Pan Koyama z uśmiechem napawał się myślą o sensacji, jaką spowoduje jego odkrycie, oraz o panice wśród kosmografów próbujących stworzyć nowe formuły, które je wyjaśnią. Jego miejsce w annałach astronomii było zapewnione. Komety Koyamy okazały się równie regularne jak planety. Na swój sposób, pomyślał, lądowanie Roju było dla niego szczęśliwym wydarzeniem, bo w przeciwnym razie ktoś spostrzegłby to wcześniej...

Ta myśl odbijała się powoli echem w jego umyśle. Uśmiech na twarzy pana Koyamy przerodził się w zaszępiłą minę. Spojrzał na swój wykres i przeprowadził w głowie kilka obliczeń. Zaszępił się jeszcze bardziej. Wyjął kieszonkowy kalkulator i potwierdził swe obliczenia. Serce zabiło mu gwałtownie. Usiadł pośpiesznie.

Rój: twarda skorupa długości wielu kilometrów osłaniająca ogromne ilości biomasy. Coś w tym rodzaju byłoby silnie podatne na zmiany temperatury. Gdyby zbliżyło się do słońca, musiałyby się jakoś pozbyć nadmiaru ciepła. Rezultatem byłaby fluorescencja przywodząca na myśl komętę.

Przypuśćmy, że Rój krążył po szybkiej orbicie ze Słońcem w jednym ognisku i Ziemią w drugim. Ponieważ Ziemia poruszała się w stosunku do Słońca, orbita musiałaby być skomplikowana, ale nie niemożliwa. Komety typu Koyamy zaobserwowano już tak wiele razy, że przybliżone ustalenie pozycji Roju powinno być możliwe. A wtedy kilkaset pocisków z termojądrowymi głowicami będzie mogło z hukiem zakończyć wojnę światów.

— Ja pierdolę — wydyszał pan Koyama po angielsku. Takiego słownictwa nauczył się od amerykańskich żołnierzy podczas okupacji. Kogo, do licha, powinien o tym zawiadomić? MUA nie była odpowiednim forum. Premiera? Jieitai?

Nie. Oni nie mieliby powodu, by uwierzyć mało znanemu emerytowanemu biznesmenowi, który nagle zaczął coś bredzić o Roju. Z pewnością dostawali mnóstwo takich telefonów.

Zadzwoni do przyjaciół z Mitsubishi. Oni mają wpływy i sprawią, by go wysłuchano.

Gdy sięgnął po słuchawkę i zaczął wykłaskać numer, poczuł, że serce wypełnia mu przygnębienie. Wiedział, że zapewnił sobie miejsce w historii astronomii, ale nie w taki sposób, jak tego pragnął. Zamiast szczęścia komet odkrył tylko cholerną bryłę drożdży.



W połowie martwy

JOHN J. MILLER

I

Brennan podążał za mercedesem pełnym Niepokalanych Czapli aż do bramy cmentarza. Jechał szarym bmw, które ukradł gangowi przed trzema dniami.

Zatrzymał się niespełna sto metrów za nimi, zgasiwszy reflektory. Jeden z członków gangu wysiadł z mercedesa i otworzył zapadającą się bramę cmentarną z kutego żelaza. Brennan zaczekał, aż wszyscy znikną na cmentarzu, a potem wyśliznął się z bmw, zabrał z tylnego siedzenia łuk i kołczan pełen strzał, uniósł kaptur i przeszedł ulicę, podążając na nimi.

Cmentarz był otoczony wysokim na prawie dwa metry murem z cegieł, pokrytym plamami miejskiego brudu i rozsypującym się ze starości. Brennan wspiął się na niego bez trudu i zeskoczył bezgłośnie na ziemię po drugiej stronie.

Mercedes zatrzymał się nieopodal środka cmentarza. Kierowca na oczach Brennana wyłączył silnik i zgasił reflektory. Drzwi samochodu otworzyły się, a potem zatrzasnęły. Z miejsca, w którym stał, nie zobaczy ani nie usłyszy nic istotnego. Będzie musiał się zbliżyć do Czapli.

Noc była ciemna, księżyc w pełni często przesłaniały gęste, niesione wiatrem chmury. Większą część miejskich świateł zatrzymywały rosnące dziko na cmentarzu drzewa. Poruszał się powoli w ciemności, dźwięki jego kroków zagłuszał wiatr szepczący wśród gałęzi setką różnych głosów.

Jak cień przemieszczający się pośród cieni, przesunął się za starą płytę nagrobną, przechylającą się niczym krzywy ząb w ustach niechlujnego olbrzyma. Widział, jak trzy Czaple weszły do mauzoleum, będącego ongiś chlubą cmentarza. Pomnikowi kiedyś bogatej, a obecnie zapomnianej rodziny pozwolono pograć się w rozkładzie, podobnie jak całej reszcie nekropolii. Marmurowe płyty nadgryzły kwaśne deszcze oraz ptasie odchody, a pozłota złuszczyła się po latach zaniedbania. Jeden z członków gangu został z tyłu, podczas gdy pozostali otworzyli drzwi z kutego żelaza i weszli do środka mauzoleum. Zamknął je za nimi i oparł się o ścianę grobowca. Zapalił papierosa i jego twarz rozbłysła na chwilę w świetle zapalki. To był Chen, porucznik Czapli, którego Brennan śledził od dwóch tygodni.

Brennan przykucnął za grobowcem, marszcząc brwi. Już od czasów Wietnamu wiedział, że Kien przemycił heroinę do Stanów za pośrednictwem gangu z Chińskiej Dzielnicy zwanego

Niepokalany Czapla. Zbadał ów gang i wybrał Chena, który najwyraźniej zajmował dość wysoką pozycję w organizacji. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś dowody pozwalające połączyć Czaple z jego wrogiem. W ciągu kilku ostatnich tygodni był świadkiem kilkunastu przestępstw, ale nie odkrył nic, co miałyby związek z Kieniem.

Niemniej jedno pozostawało niewytłumaczalne. W ciągu kilku ostatnich tygodni napływ heroiny do miasta wzrósł niewiarygodnie. Było jej tak wiele, że płacone na ulicach ceny spadły na łeb na szyję, a liczba zgonów wzrosła rekordowo. Niepokalane Czaple, zajmujące się dystrybucją narkotyku, sprzedawały go po dumpingowych cenach, kradnąc na lewo i prawo klientom mafii i gangowi Goździków z Harlemu. Brennan nie był jednak w stanie ustalić, skąd czerpią tak wielkie ilości równie taniej hery.

Czajenie się za nagrobkiem nic mu nie da. Jeśli gdzieś na cmentarzu można było znaleźć jakieś odpowiedzi, to z pewnością tylko w mauzoleum.

Podjąwszy decyzję, wyjął strzałę z kołczana przypiętego rzepem do pasa i nałożył ją na cięciwę. Zacerpnął gładki, głęboki oddech, raz, a potem drugi, zatrzymał powietrze w płucach i wstał. Kącikiem oka zauważył nazwisko wyryte na zwietrzałym nagrobku. Archer. Łucznik. Miał nadzieję, że to nie jest omen.

Strzał nie był trudny, ale i tak odwołał się do szkolenia zen, by oczyścić umysł i uspokoić mięśnie. Wycelował stopę poniżej ogienka zapalonego papierosa i nieco na lewo od niego, a gdy chwila była odpowiednia, wypuścił cięciwę z palców.

Miał łuk o czterech eliptycznych bloczkach, który po osiągnięciu maksymalnej siły pięćdziesięciu czterech kilogramów naciągu odpuszczał ją do połowy. Nylonowa cięciwa brzdąknęła i strzała pomknęła przez noc niczym sokół opadający na niczego niepodjeżdżający cel. Usłyszał łoskot i stłumiony jęk, gdy w niego uderzyła. Wymknął się z cieni jak ostrożne zwierzę i podbiegł do leżącego pod murem mauzoleum Chena.

Zatrzymał się na chwilę, by się upewnić, że gangster nie żyje, i zostawić jedną ze swoich kart — laminowanego asa pik nadzianego na czubek strzały sterzący z pleców zabitego.

Nałożył na cięciwę kolejną strzałę i uchylił ze skrzypieniem żelazne drzwi grobowca. Za nimi znajdowały się schody, prowadzące kilkanaście stopni w dół, do kolejnych drzwi otoczonych aureolą słabego, niezmiennego światła zapalonego w położonej za nimi komorze. Zaczekał chwilę, nasłuchując, a potem zszedł bezgłośnie na dół. Zatrzymał się pod drzwiami wewnętrznej komory i ponownie wyteżył słuch. W środku ktoś coś prznosił. Brennan policzył powoli do dwudziestu, ale słyszał tylko ciche, szurające kroki. Dotarł już daleko i nie było sensu teraz się cofać.

Wtargnął do środka i opadł na jedno kolano, naciągając cięciwę aż do ucha. W pomieszczeniu znajdował się tylko jeden mężczyzna, noszący barwy Niepokalanych Czapli. Liczył plastikowe torebki wypełnione białym proszkiem i robił kreski na kartce trzymanej na podkładce do pisania.

Otworzył usta ze zdumienia w tej samej chwili, gdy Brennan wypuścił strzałę. Pocisk trafił wysoko w pierś i mężczyzna padł do tyłu na sięgającą kolan stertę kluczy.

Brennan skoczył ku niemu, ale gdy do niego dotarł, gangster był już równie martwy jak wszyscy na cmentarzu. Oderwał wzrok od ciała i rozejrzał się wkoło.

Co się stało z dwoma pozostałymi Śnieżnymi Ptakami, którzy weszli do grobowca? Obaj zniknęli bez śladu. Najbardziej prawdopodobne wydawało się, że wyszli przez drzwi ukryte w jednej ze ścian.

Zawiesił łuk na plecach i zaczął sprawdzać ściany, przesuwając po nich dłońmi w poszukiwaniu ukrytych szczelin oraz stukając w nie i nasłuchując głuchego dźwięku. Skończył z jedną ze ścian, nic nie znajdując, i zabierał się do następnej, gdy nagle usłyszał za plecami cichy szum powietrza i poczuł ciepły, wilgotny powiew.

Odwrócił się błyskawicznie. Wyraz zdumienia na jego obliczu był równie wyraźny jak na twarzach dwóch mężczyzn, którzy pojawili się znikąd pośrodku mauzoleum. Jeden z nich, noszący kolory Czapli, miał przerzucone przez oba ramiona końskie juki. Drugi, chudy dzoker o gadzim wyglądzie, trzymał w rękach coś, co wyglądało jak kula do kręgli. Brennan uświadomił sobie z niejakim zdumieniem, że rzeczywiście przed chwilą stąd zniknęli, a teraz pojawili się znowu.

Mężczyzna z jukami był bliżej, Brennan zerwał więc łuk z pleców i uderzył go nim w skroń jak kijem bejsbolowym. Gangster zwałił się z jękiem na ziemię tuż obok palety załadowanej heroiną.

Dzoker odchylił się do tyłu z głośnym sykiem. Był wyższy od Brennana, ale chudy jak głodomór. Czaszkę miał bezwłosą, a jego nos był tylko maleńkim wzniesieniem z parą szeroko rozwartych nozdrzy. Z górnej szczęki sterczały mu przesadnie długie kły. Skierował na Brennana spojrzenie niemrugających oczu, otworzył bezwargie usta i syknął, odsłaniając rozdwojony język, który wyciągał gorączkowo w stronę intruza. Przycisnął mocniej do piersi kulę do kręgli.

Brennan uświadomił sobie jednak, że to wcale nie jest kula do kręgli. Miała odpowiedni kształt oraz rozmiary, ale brakowało jej otworów na palce. Na jego oczach powietrze wokół niej zaczęło pulsować, wypełniając się migającymi punkcikami rozżarzonej energii. To było jakiegoś rodzaju urządzenie, które umożliwiło dzokerowi i jego towarzyszowi zmaterializowanie się w mauzoleum. Wykorzystywali je do sprowadzania heroiny z... skądkolwiek ją sprowadzali. A dzoker zaczął je znowu aktywować.

Brennan zamachnął się na niego łukiem, ale dzoker uchylił się ze swobodną, płynną gracją. Otaczająca artefakt aureola jeszcze bardziej pojaśniała. Odrzucił łuk i podszedł bliżej, zdeterminowany odebrać dzokerowi urządzenie, nim ten zdąży zniknąć albo wykorzystać energię artefaktu przeciwko niemu.

Złapał z łatwością przeciwnika, ale przekonał się, że jest on zaskakująco silny. Szarpał się i wyginał w jego uścisku w dziwnie płynny sposób, jakby jego kości miały nieograniczoną plastyczność. Szarpali się przez chwilę, aż nagle Brennan się zorientował, że patrzy dzokerowi prosto w oczy. Ich twarze dzieliło od siebie zaledwie kilka centymetrów.

Dzoker nagle wysunął długi, groteskowy język i polizał twarz Brennana w długim, niemalże pieszczotliwym geście. Mężczyzna wzdrygnął się mimo woli, odsłaniając szyję i gardło przed wyższym przeciwnikiem. Gadopodobny dzoker skoczył naprzód, wypuszczając z rąk niezwykle urządzenie, i ukąsił go w miejscu, gdzie gardło przechodzi w bark.

Brennan poczuł zęby rozdierające jego ciało. Dzoker poruszał ustami, pompując ślinę do rany. Otaczający ją obszar niemal natychmiast zrobił się odrętwiały i mężczyznę ogarnęła panika.

Nagły przypływ zrodzonej z przerażenia siły pozwolił mu wyrwać się z objęć dzokera. Poczuł, że jego ciało się rozdiera, a krew spływa po szyi i piersi. Odrętwienie szybko ogarnęło całą prawą stronę jego ciała.

Dzoker pozwolił mu się odsunąć. Uśmiechnął się okrutnie i zlizął z podbródka krew Brennana długim, rozwidlonym językiem.

Otruł mnie, pomyślał mężczyzna, rozpoznając objawy wywoływane przez neurotoksynę o szybkim działaniu. Wiedział, że ma kłopoty. Nie był asem, nie miał żadnych specjalnych osłon czy środków obrony ani zbroi wzmocnionego organizmu. Dzoker był pewien skuteczności swego jadu. Stał spokojnie i czekał, aż jego przeciwnik umrze. Brennan wiedział, że potrzebuje szybkiej pomocy. Tylko jedna osoba byłaby w stanie odwrócić uszkodzenia już spowodowane przez jad. Przebywała obecnie w klinice Tachiona w Dzokerowie, ale on nie był w stanie się z nią skontaktować. Miał już trudności z utrzymaniem się na nogach. Serce pompowało truciznę do wszystkich komórek jego ciała.

Mai by mu pomogła, gdyby zdołał do niej dotrzeć.

Wykrzyczał bezgłośnie jej imię w nagłym przypływie rozpaczliwej energii.

Mai!

Poczuł niejasno, że urządzenie, które przyciskał do piersi, odpowiedziało pulsowaniem energii. Było ciepłe i jego dotyk dodawał otuchy. Dzoker przestał się uśmiechać. Zasepił się i skoczył do ataku. Brennan nie był w stanie się poruszyć, ale nie miało to znaczenia.

Nadeszła chwila szarpającej wnętrzościami dezorientacji, którą jego odrętwiały umysł i ciało poczuły tylko z połową siły. Potem znalazł się w dobrze oświetlonym korytarzu o ścianach pomalowanych na łagodne kolory. Mai rozmawiała z niskim, szczupłym, fircykowatym mężczyzną o długich, kręconych, rudych włosach.

Oboje odwrócili się i spojrzeli na niego ze zdumieniem. Brennan nie był w tej chwili zdolny do podobnych uczuć.

— Trucizna — wychrypiał przez zeszywniałe, ociężałe usta i osunął się na podłogę, wypuszczając artefakt z rąk. Pochłonęła go głęboka ciemność.



Była ona pełna wirów i gwiazd, przepojona piżmowymi woniami dżungli. Punkciki światła rozsiane na polu jego świadomości były ognikami papierosów jego ludzi oraz odległymi gwiazdami na wietnamskim niebie. Wokół panowała cisza, mącona tylko cichymi oddechami oraz odgłosami zwierząt kryjących się gdzieś daleko wśród drzew. Spojrzał na świecące wskazówki zegarka. Czwarta nad ranem.

Gulgowski, jego pierwszy sierżant, przykucnął obok niego w chaszczach.

— Jest już późno — wysyczał.

Brennan wzruszył ramionami.

— Helikoptery zawsze się spóźniają. Dotrą tu.

Sierżant chrząknął niezobowiązująco. Brennan uśmiechnął się do mroku. Gulgowski zawsze był pesymistą, zawsze we wszystkim dostrzegał ciemną stronę. To jednak nie przeszkadzało mu dawać z siebie wszystkiego, gdy robiło się paskudnie, ani dodawać odwagi innym, kiedy tracili nadzieję.

Z oddali dobiegł warkot helikoptera. Brennan spojrział z uśmiechem na sierżanta. Gulgowski splunął bez słowa w mrok dżungli.

— Przygotuj ludzi. I pilnuj tej teczki. Drogo nas kosztowała.

Mendoza, Johnstone, Duży Al... zginęli trzej żołnierze z doborowej dziesięcioosobowej drużyny, którą Brennan poprowadził do ataku na miejscowy sztab Wietkongu. Ale udało im się wykonać zadanie. Zdobyli dokumenty potwierdzające to, co podejrzewał już od dawna. I w wietnamskiej, i w amerykańskiej armii byli ludzie, którzy splamili się współpracą z nieprzyjacielem. Miał czas tylko przelotnie zerknąć na papiery przed schowaniem ich do teczki, ale potwierdziły one jego podejrzenia, że największym złodziejem i najpodlejszym zdrajcą był generał południowowietnamskiej armii Kien. Te dokumenty staną się jego zgubą.

Helikopter wylądował na polanie i Gulgowski, ściskający w rękach dowody wystarczające, by skazać dwudziestu ludzi za zdradę, kazał pozostałym ruszać w drogę do domu. Brennan czekał w gąszczu, obserwując ścieżkę, którą w każdej chwili mógł nadejść pościg Wietkongu. Wreszcie upewnił się, że zgubili ścigających, i wyszedł na polanę. W tej samej chwili noc przeszły śmiercionośny grad pocisków.

Usłyszał krzyki swoich ludzi, odwrócił się w bok i poczuł palący ból, gdy kula musnęła mu czoło. Padł na ziemię, wypuszczając z rąk karabin, który zniknął w ciemności. Strzelano z polany. Z helikoptera.

Ucichł, wlepiając w polanę spojrzenie przesłoniętych mgiełką bólu oczu. Wszyscy jego ludzie leżeli w świetle gwiazd. Chodzili między nimi inni, szukając niedobitków. Brennan usunął

mruganiem krew z oczu, gdy jeden z napastników, ubrany w polowy mundur południowowietnamskiej armii, strzelił Gulgowskiemu w głowę z pistoletu, gdy sierżant spróbował wstać.

Na twarz zabójcy padł snop światła latarki. To był Kien. Brennan stłumił przekleństwo, gdy jeden ze zbirów generała wyrwał teczkę z martwych rąk Gulgowskiego i wręczył ją szefowi. Kien przerzucił jej zawartość, skinął z satysfakcją głową, po czym spalił wszystko metodycznie. Gdy papiery płonęły, Wietnamczyk wpatrywał się w dżunglę. Brennan wiedział, że to jego szuka. Przeklinał paralizujący szok, który zawładnął jego ciałem, sprawiając, że drżał, jakby miał gorączkę. Ostatnie, co zapamiętał, to widok Kiena oddalającego się w stronę helikoptera. Potem szok pozbawił go przytomności.

W tej ciemności nie było światła, a tylko dłonie z chłodnego ognia, muskające jego policzki. Ich kojące dotknięcie parzyło. Poczul, że cały ból, żal i gniew powoli z niego wypływają. Zrzucał je z siebie niczym stary płaszcz. Westchnął głęboko, z zadowoleniem pozostając w uzdrawiającej ciemności. Zalewało go morze niewysłowionego spokoju. Z całego tego zabijania nigdy nie wynikało nic dobrego. Zło żyło dalej. Zło i Kien. Zabił mojego ojca, ale ja nie mogę go skrzywdzić. Nie wolno mi tego zrobić. To złe zadawać szkodę innym rozumnym istotom. Złe.

Zdezorientowany Brennan otworzył oczy. Nie był w Wietnamie. Był w szpitalu. Nie, nie w szpitalu. W klinice doktora Tachiona w Dżokerowie. Jakaś twarz tuliła się do jego twarzy — oczy miała zamknięte, a usta mocno zaciśnięte. Młoda, kobieca, piękna na swój spokojny sposób, choć w tej chwili naznaczona straszliwym bólem. Mai. Jej długie, lśniące włosy opadały na jego oblicze niczym skrzydła ptaka. Dłonie przyciskała do jego policzków. Spomiędzy jej rozpostartych palców sączyła się krew, spływająca po grzbietach dłoni.

Używała swej mocy dzikiej karty, by uczynić swoim jego uszkodzone ciało, rozpocząć naprawę i zmusić je do jej kontynuowania. Ich umysły i jaźnie połączyły się ze sobą. Na moment on stał się częścią jej, a ona częścią jego. W tej bezładnej mieszaninie wspomnień doświadczył żałoby, jaką przeżyła Mai po śmierci ojca zamordowanego przez ludzi Kiena.

Otworzyła się i uśmiechnęła, pogodnie jak madonna.

— Cześć, kapitanie Brennan — rzekła tak cicho, że tylko on ją słyszał. — Już czujesz się dobrze.

Zdjęła dłonie z jego policzków i z chwilą przerwania fizycznego kontaktu unia umysłów się rozpadła. Westchnął. Już brakowało mu jej dotyku, spokoju, którego o własnych siłach nie odnajdzie nawet za tysiąc lat.

Mężczyzna, który był z Mai w korytarzu, podszedł do jego łóżka. To był doktor Tachion.

— Przez chwilę twój los wisiał na włosku — oznajmił z zatroskaniem na twarzy. — Dzięki Ideałowi za Mai... — Jego głos ucichł. Tachion przyglądał się z uwagą Brennanowi. — Co się

wydarzyło? Jak przenośnik osobliwościowy wpadł w twoje ręce?

Brennan usiadł z wielką ostrożnością. Odrętwienie opuściło jego ciało, ale nadal kręciło mu się w głowie i czuł się zdezorientowany po terapii zastosowanej przez Mai.

— Tak właśnie to się nazywa? — zapytał. Tachion skinął głową. — A co to właściwie jest?

— Teleporter. Jeden z najrzadszych artefaktów w Galaktyce. Myślałem, że utraciłem go na zawsze.

— Zatem należy do ciebie?

— Posiadałem go przez pewien czas.

Tachion opowiedział Brennanowi historię wędrownego przenośnika osobliwościowego, a przynajmniej to, co na jej temat wiedział.

— Ale jak Czaple go zdobyły?

— Hę? — Tachion przeniósł spojrzenie z Brennana na Mai. — Czaple?

— To uliczny gang z Chińskiej Dzielnicy. Niepokalane Czaple. Są też znani jako Śnieżne Ptaki, ponieważ kontrolują znaczną część handlu twardymi narkotykami w mieście. Najwyraźniej używali tego przenośnika do przemytu heroiny. Zabrałem go im, ale zranił mnie jeden z ich bardziej niezwykłych współpracowników.

— Urządzenie zniknęło, gdy wylądowaliśmy w Harlemie — wyjaśnił Tachion. — Być może w tłumie, który zebrał się wokół nas, był człowiek Czapli?

— I zabrał urządzenie, wiedząc, czym jest? Mało prawdopodobne — odparł cicho Brennan, pograżając się w zamyśleniu. — Bardzo mało. Poza tym Harlem to nie jest teren Czapli. Mają tam agentów, ale niewielu.

— No cóż, jakkolwiek do tego doszło, jestem zadowolony — stwierdził Tachion. — Otwiera się przed nami możliwość wspaniałej alternatywy dla głupiego planu Lankester, który chce zaatakować Rój w kosmosie.

— Rój? — Brennan zdawał sobie sprawę, że półrozumni obcy najeźdźcy od kilku miesięcy próbują utworzyć przyczółek na Ziemi, ale do tej pory walka z nimi umykała jego uwadze. — Na co przyda się ten przemieszczacz w walce z Rojem?

— To długa historia. — Tachion z westchnieniem pogłaskał twarz dłonią. — Lankester to człowiek z Departamentu Stanu dowodzący Siłami Specjalnymi do walki z Rojem. Już od tygodni zawraca mi głowę, żebym wykorzystał swoje wpływy wśród asów i przekonał ich do zaatakowania Matki Roju, która jest źródłem wtargnięć i krąży po ekscentrycznej orbicie wokół Słońca. To absurdalny pomysł, rzecz jasna. Zaatakowanie Matki byłoby samobójstwem nawet dla najpotężniejszych asów. To byłoby tak, jakby komary próbowały załatwić słonia. Jednakże przenośnik osobliwościowy stwarza interesujące możliwości.

— Może przenieść człowieka na taką odległość? — zapytał Brennan. On również dostrzegł pewne możliwości.

— Ktoś, kto w ogóle nie zna urzędnika, na przykład ty — zaczął Tachion — mógłby wykorzystać przenośnik do teleportacji na krótki dystans. Żeby dotrzeć do Matki Roju, potrzeba by potężnego telepaty. Ale można to zrobić. Ktoś mógłby się przenieść do wnętrza tego stworzenia. Człowiek uzbrojony w, powiedzmy, taktyczną bombę jądrową.

Brennan skinął głową.

— Rozumiem.

— Byłem pewien, że to zrozumiesz. Tłumaczę ci to wszystko, ponieważ z praktycznego punktu widzenia skaner jest twoją własnością.

Brennan odwrócił wzrok od Tachiona, zerkając na Mai, która stała bez słowa przy jego łóżku. Potem znowu spojrzął na Tachiona. Miał wrażenie, że kobieta opowiedziała doktorowi coś o nim. Wiedział jednak, że zdradziłaby mu tylko tyle, ile musiała. I wyłącznie dlatego, że mu ufała.

— Jestem twoim dłużnikiem — stwierdził Brennan. — Urządzenie należy do ciebie.

Doktor uściśnięła jego przedramię w ciepłym, przyjacielskim geście.

— Dziękuję — rzekł. Spojrzął na Mai, a następnie znowu na Brennana. — Wiem, że prowadzisz jakiegoś rodzaju wendetę przeciwko pewnym ludziom w mieście. Mai powiedziała mi coś na ten temat, kiedy wyjaśniała, skąd pochodzi i jakimi zdolnościami dysponuje. Ale nie podawała żadnych szczegółów. Nie były konieczne. — Przerwał. — Wiem aż za wiele o honorowych długach.

Brennan skinął głową. Wierzył Tachionowi i ufał mu do pewnego stopnia. Doktor zapewne nie miał kontaktów z Kieniem, ale któreś z asów towarzyszących mu w wyprawie — Żółw, Fantazja albo Trips — je miało. Jedno z nich z pewnością ukradło przenośnik i dało go Kieniowi. Brennan któregoś dnia dowie się, kto był winien.

II

Brennan opuścił klinikę niedługo przed północą i wrócił do jednopokojowego mieszkania na granicy Dżokerowa, gdzie znajdowała się jego baza operacji. W mieszkaniu panował zorganizowany bałagan. Składało się ono z łazienki, części kuchennej i części mieszkalnej, z rozkładaną kanapą, rozklekotanym fotelem na biegunach oraz niewątpliwie ręcznie wykonanym stołem warsztatowym, zastawionym sprzętem, który rozpoznałby każdy wytwórca luków. A także takim, którego by nie rozpoznał.

Rozłożył kanapę, rozebrał się i zwałił się na nią ze znamionującym śmiertelne zmęczenie westchnieniem. Przespał dwadzieścia cztery godziny, kończąc proces zdrowienia zapoczątkowany przez Mai. Po obudzeniu był głodny jak wilk i właśnie robił sobie posiłek, gdy ktoś zapukał cicho do drzwi. Brennan wyjrzał przez judasza. Zgodnie z jego oczekiwaniami, to

była Mai. Nikt inny nie znał jego adresu.

— Kłopoty? — zapytał Brennan, widząc niepokój na jej zwykle pogodnym obliczu. Usunął się na bok, by wpuścić ją do pokoju.

— Nie wiem. Chyba tak.

— Opowiedz mi o tym.

Wszedł za kontuar oddzielający część kuchenną od reszty pokoju i nalał wody ze stojącego na piecyku dzbanka do dwóch małych filiżanek bez uchwyty. Porcelanowe, ręcznie malowane w kolory ze snu i starsze niż Stany Zjednoczone, były najcenniejszymi przedmiotami, jakie posiadał Brennan. Wręczył jedną siedzącej w bujanym fotelu Mai, a sam usiadł z drugą na niepościelonym łóżku naprzeciwko niej.

— Chodzi o doktora Tachiona. — Popiła łyżeczek gorącej, aromatycznej herbaty, próbując zebrać myśli. — Zachowuje się... dziwnie.

— Pod jakim względem?

— Zrobił się opryskliwy, natarczywy i zaniedbuje pacjentów.

— Od kiedy?

— Od wczoraj, po spotkaniu z tym facetem z Departamentu Stanu. Jest też coś jeszcze.

Położyła sobie cenną filiżankę na kolanach i wyjęła złożoną gazetę z torebki, którą postawiła obok fotela.

— Widziałeś to?

Brennan potrząsnął głową.

Nagłówek krzyczał: TACHION POPROWADZI ATAK ASÓW NA ZAGROŻENIE Z KOSMOSU. Zdjęcie umieszczone pod wielkimi literami przedstawiało Tachiona stojącego u boku mężczyzny zidentyfikowanego jako Alexander Lankester, dowódca Sił Specjalnych do walki z Rojem. W towarzyszącym zdjęciu artykule wyjaśniano, że Tachion rekrutuje asów, którzy będą mu towarzyszyli w ataku na Matkę Roju, orbitującą wokół Ziemi poza zasięgiem pocisków balistycznych. Kapitan Trips i Modułowy zgodzili się już uczestniczyć w ataku.

Coś tu nie gra, pomyślał Brennan. Tachion miał nadzieję, że przerośnięty osobliwościami położy kres planom takiego bezowocnego ataku. Najwyraźniej jednak stało się na odwrót.

— Myślisz, że rząd zmusił go do tego szantażem? — zapytał Brennan. — Albo w jakiś sposób zapanował nad jego umysłem?

— Niewykluczone. — Mai wzruszyła ramionami. — Wiem tylko, że może potrzebować pomocy.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, a ona spokojnie odwzajemniała jego spojrzenie.

— Nie ma przyjaciół?

— Wielu jego przyjaciół to biedni, bezsilni dzokerzy. Innych trudno odnaleźć. Jeszcze inni mogą nie być skłonni do zbyt szybkiego działania, jeśli sprawa ma coś wspólnego z rządem.

Brennan wstał, odwrócił się do niej plecami i odniósł filiżankę na kontuar. Sieć międzyludzkich kontaktów znowu ku niemu sięgała, próbując go pochwycić w swe lekkie nici. Wyrzucił fusy do zlewu i wpatrzył się w dno filiżanki, błękitne jak doskonały bezdenny staw albo bezchmurne, nieskończone niebo. Patrzenie na nie było jak kontemplacja pustki. Ów osobliwy spokój sprawiał mu przyjemność, Brennan uświadomił sobie jednak, że to nie jest jego osobista droga ku oświeceniu.

Ponownie odwrócił się ku Mai. Podjął już decyzję.

— W porządku. Sprawdzę to. Ale nic nie wiem o takich sprawach jak panowanie nad umysłem. Będę potrzebował pomocy.

Sięgnął po telefon i wykręcił numer.



Brennan rzadko odwiedzał sale przeznaczone dla gości Kryształowego Pałacu, chociaż nieraz spędzał noc w pokojach na drugim piętrze. Elmo przywitał go skinieniem głowy, nie wygłaszając żadnych uwag na temat skrzynki, którą przyniósł ze sobą.

Karzeł wskazał mu stolik w rogu, gdzie Poczwarzka siedziała w towarzystwie mężczyzny w czarnych dżinsach oraz brązowej, skórzanej kurtce. Miał on przystojne, regularne rysy, ale wypukłe czoło.

— To ty — odezwał się Fortunato, gdy Brennan podszedł do stolika. Przeniósł spojrzenie z nowego gościa na Poczwarzkę. Popatrzyła na niego ze spokojem. W tętnicach jej przezroczystego jak szkło gardła pulsowała miarowo krew. Przyjrzała się Brennanowi i skinęła bez wyrazu głową, nie okazując nawet najmniejszego śladu pasji, którą Brennan pamiętał z ich spotkań na drugim piętrze Pałacu.

— To jest Yeoman — wyjaśniła, gdy Brennan usiadł na trzecim krześle przy stoliku. — Jestem przekonana, że ma pewne informacje, które mogą cię zainteresować.

Fortunato zmarszczył brwi. Ich ostatnie spotkanie nie było zbyt serdeczne, ale nie czuli wobec siebie prawdziwej wrogości.

— Krążą słuchy, że poszukujesz czegoś, co pomogłoby ci w walce z Rojem. Wiem o czymś, co mogłoby cię zainteresować.

— Chętnie cię wysłucham.

Brennan opowiedział mu o przenośniku osobliwościowym. Nie kłamał, ale ubarwił zrecznie swą relację, kierując się wskazówkami Poczwarzki, która podpowiedziała mu, jak najłatwiej przekona Fortunata do zainteresowania się sprawą osobliwego zachowania Tachiona.

— Co potrafisz zrobić, poza powodowaniem, że twój umysł znika? — zapytał Fortunato, gdy Brennan skończył opowieść.

— Potrafię zadbać o siebie. Poradzę też sobie z większością tych, którzy mogą spróbować nam przeszkadzać.

— Ty jesteś tym szalonym zabójcą, o którym ostatnio piszą w gazetach?

Brennan sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął kartę i położył ją na stoliku przed Fortunatem, twarzą do góry. Czarnoksiężnik-alfons przyjrzał się jej i skinął głową.

— Ja i Czarny Cień jesteśmy jedynymi asami pik, o których wiem — rzekł, spoglądając na Brennana. — Ale pewnie znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego. Nie rozumiem tylko, co ty z tego będziesz miała — wyznał, zerkając na Poczwarkę.

— Jeśli się uda, co tylko zechcę. Od was obu.

Fortunato chrząknął i wstał.

— Jasne. Zawsze tak jest. No to chodźmy. Sprawdzimy, czy ten kosmiczny Beau Brummell ma jeszcze własny umysł.

Brennan poprowadził ich przez wczesnoporanny mrok do mieszkania Tachiona. Kącikiem oka zauważał niekiedy, że Fortunato przygląda mu się z uwagą, ale as nie zadawał żadnych pytań. Brennan uświadomił sobie, że Fortunato jeszcze go nie zaakceptował i nadal pozostaje czujny i uważny, nawet jeśli nie okazuje otwartej nieufności. To jednak było w porządku. On również nie był jeszcze pewien czarnoksiężnika.

Zaparkował bmw w zaułku w pobliżu apartamentowca, w którym mieszkał Tachion. Obaj wysiedli i przyjrzeni się gmachowi.

— Wchodzimy frontowymi drzwiami czy tylnymi? — zapytał Fortunato.

— Jeśli mam taką opcję, zawsze wybieram tylne.

— Bystrzak z ciebie — wyszeptał alfons. — Bystrzak.

Fortunato przyglądał się z niedowierzaniem, ale nie odezwał się ani słowem, gdy Brennan wyjął skrzynkę z bagażnika, otworzył ją, zawiesił sobie bloczkowy łuk na plecach, a potem przytwierdził kołczan do pasa.

— Ruszajmy.

Dotarli do tylnych drzwi apartamentowca i Fortunato zużył odrobinę swej mentalnej energii, by opuścić drabinę przeciwpożarową. Wspięli się wejściem ewakuacyjnym do okna mieszkania Tachiona i zajrzeli do środka.

W oświetlonym przez przewróconą na bok lampę przy łóżku pokoju panował totalny bałagan. Pozostawił go niecierpliwy intruz, któremu po przeszukaniu mieszkania nie chciało się zrobić porządku. Brennan i Fortunato wymienili spojrzenia.

— Dzieje się tu coś dziwnego — mruknął as.

Okno było zamknięte, ale dla Brennana nie stanowiło to przeszkody. Wyciął krążek szkła z dolnej szyby, wsadził rękę do środka, otworzył okno i bezgłośnie wśliznął się do pokoju. Wyciągnął rękę, powstrzymując Fortunata przed podążeniem za sobą, i dotknął ust palcem. Nasłuchiwali przez chwilę, ale nie zarejestrowali żadnego dźwięku.

Brennan ruszył naprzód pierwszy. Zeskoczył z parapetu cicho jak kot. W lewej ręce ścisnął

łuk z naciągniętą cięciwą, prawą zaś trzymał blisko kołczanu przytwierdzonego rzepami do jego pasa. Fortunato podązał za nim, robiąc tyle hałasu, że jego towarzysz zatrzymał się, by obrzucić go oskarżycielskim spojrzeniem. As wzruszył ramionami i Brennan ruszył w dalszą drogę. W korytarzu prowadzącym do kuchni, salonu oraz sypialni dla gości usłyszeli serię stuków, głuchych łoskotów, a od czasu do czasu również trzasków towarzyszących łamaniu różnych obiektów, jakby jakiś nieostrożny albo brutalny intruz przeszukiwał kolejne pokoje.

Ruszyli cicho naprzód i zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami sypialni dla gości. Korytarz kończył się salonem, który wyglądał jak po przejściu tornada. Niski, szczupły mężczyzna o długich, kręconych, rudych włosach zrzucał metodycznie książki z półek, sprawdzając, co kryje się za nimi

— Tachion — odezwał się na głos Brennan.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na dwóch stojących w korytarzu intruzów. Był całkowicie spokojny, nie okazywał ani śladu zaskoczenia. Ruszył ku nim z twarzą absolutnie pozbawioną wyrazu.

Fortunato nagle położył dłoń na krzyżu Brennana, popchnął go i przewrócił na dywan.

— To nie jest Tachion! — zawołał.

Kilka następnych sekund wyglądało dla Brennana tak, jakby oglądał je na szybkim przewijaniu. Fortunato zrobił coś z czasem. Przerodził się w zamazaną plamę, mknącą w powietrzu ku sobowtórowi Tachiona, ale z chwilą zetknięcia tamten odrzucił go na bok.

Brennan wyciągnął strzałę i wystrzelił z pozycji klęczącej.

Pocisk był oznaczony czerwono-czarnym pierzyskiem. Aluminiowe drzewce wypełniono materiałami wybuchowymi, a grot był wrażliwym na ciśnienie detonatorem. Strzała była za ciężka, by mogła zachować aerodynamiczną stabilność na dużą odległość, ale od stworzenia udającego Tachiona dzieliło go tylko osiem metrów.

Pocisk wbił się w górną część jego piersi i eksplodował. Pokój zalała kaskada fragmentów ciała oraz zielonej mazi. Impet odrzucił stwora do tyłu. Górna połowa jego ciała zniknęła, pozostawiając parę drżących nóg połączonych z tułowiem, z którego wysypały się nieludzkie narządy oraz wypływała gęsta, zielona posoka. Minęło kilka chwil, nim nogi zaprzestały prób chodzenia.

— Co to było? — zapytał Brennan, przekrzykując ryk wypełniający mu uszy.

— Cholera, nie mam pojęcia — odparł Fortunato, podnosząc się z podłogi. — Próbowałem zbadać jego umysł, ale ono nie miało umysłu. Z całą pewnością nie był to człowiek.

— Wyglądało jak Tachion — zauważył Brennan cichszym głosem. Jego słuch wrócił do normy. W każdym szczególe. Zmarszczył brwi, spoglądając na asa. — Nie zapanowano nad jego umysłem. Zastąpiono go.

— Kiedy ostatnio rozmawiałeś z Tachionem, który na pewno był prawdziwy?

— Wczoraj w klinice. Nim poszedł na spotkanie w Olympia Hotel z tym całym Lankesterem z Departamentu Stanu.

— Chodźmy tam.



Chuderlawy białowłosa staruszek w mundurze boya hotelowego uniósł Brennana nad głowę i cisnął nim o ścianę. Mężczyzna uderzył w nią mocno i osunął się na podłogę, sapiąc jak zdyszany pies. Miał kłopoty.

Boy stanął nad nim. Jego pomarszczona twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Brennan podniósł się na kolana. Płuca mu płonęły. Nagle zobaczył, że staruszek zatoczył oczyma i uniósł się nad podłogę, wymachując kończynami, jakby porwał go huragan. Po krótkim, szaleńczym tańcu w powietrzu wyleciał przez okno na końcu korytarza. Ulica była daleko w dole.

Brennan wstał. Fortunato poruszył palcami i ujął go za ramię.

— Nie mają mózgow, nad którymi można by zapanować, ale da się nimi ciskać.

— Ktoś zapewne słyszał to, co zrobiłeś — wydyszał Brennan. Do jego płuc wracała zdolność oddychania.

— Mogłem mu pozwolić cię zmiażdżyć.

— Masz trochę racji. — Z wdzięcznością zaczerpnął głęboki oddech. — Musimy się na chwilę gdzieś schować.

Zatrzymali się przed drzwiami jednego z pokoiów.

— Co powiesz na ten? — zapytał Fortunato. Brennan wzruszył bez słowa ramionami. Alfons położył ręce na klamce i sięgnął umysłem do zamka. Rozległ się szcęk, zapadki się uniosły i drzwi się otworzyły.

— Minie trochę czasu, zanim nas wytropią — stwierdził alfons, gdy wchodzili do ciemnego pokoju hotelowego. — Jak myślisz, ilu agentów mają?

— Trudno wyczuć — odparł Brennan, ostrożnie przeciągając obolałe plecy. — Na pewno więcej, niż się spodzie wałem.

— Myślałem, że jesteś dyskretny jak diabli.

Brennan potrzęsnał głową. Zgodnie z planem miał zbadać piętro, na którym znajdował się apartament Lankeстера, i zebrać tyle danych, ile tylko zdoła, podczas gdy Fortunato wykorzysta swe mentalne moce, by monitorować jego poczynania ze schodów. Fałszywy boy zauważył go i zaatakował niemal natychmiast. Brennan mógł jedynie jakoś się bronić do chwili przybycia asa.

— Lepiej spróbujmy alternatywnego planu — zasugerował.

— To może trochę potrwać.

Fortunato usiadł na jednym z dwuosobowych łóżek. Skrzyżował nogi przed sobą, wyprostował plecy, ręce opuścił swobodnie na uda i wpatrzył się w pustkę. Brennan stał między nim a drzwiami i nasłuchiwał, czy z korytarza nie dobiegają żadne dźwięki, wyjmując

jednocześnie łuk i kołczan ze strzałami, które zostawił pod opieką Fortunata, kiedy wyruszał na zwiady.

As pogrążył się w głębokim transie, całkiem jak uczeń zen zapadający w zazen, pomyślał Brennan. Po chwili na wypukłym czole Fortunata zmaterializowała się para baranich rogów, migotliwych i ledwie widocznych w ciemności.

Brennan przyglądał się temu z wydętymi ustami. Ćwiczenia zen nauczyły go, że nie istnieje nic takiego jak magia, miał jednak przed oczyma dowód, że jest inaczej. Być może magia była po prostu niepoznaną dotąd nauką?

Odłożył to pytanie na bok z myślą o późniejszym rozważeniu, gdy Fortunato otworzył raptem oczy. Były jak kałuże ciemności, jego źrenice poszerzyły się tak bardzo, że niemal całkowicie pochłonęły tęczę.

— Te stwory są wszędzie wokół nas — przemówił ochrypłym, lekko drżącym głosem. — Co najmniej dwadzieścia, może nawet więcej. Nie są ludźmi, ani nawet nie pochodzą z tej Ziemi. Ich umysły, jeśli można je tak nazwać, całkowicie wykraczają poza moje doświadczenie.

— To stworzenia z Roju?

Fortunato wstał ze swobodną, płynną gracją i wzruszył ramionami.

— Bardzo możliwe. Myślałem, że wszystko, na co ich stać, to te maski wyglądające jak Klucha. Byłem przekonany, że boje hotelowi i inny taki syf nie leżą w ich możliwościach.

— Może udoskonalili swoje metody. — Brennan uniósł rękę i przystawił ucho do drzwi. Kroki słyszalne na korytarzu minęły ich pokój, podczas gdy obaj z Fortunatem czekali bezgłośnie. — A co z Tachionem?

As zmarszczył brwi.

— Skontaktowałem się z jednym ludzkim umysłem. To była pokojówka. Nie miała pojęcia, że dzieje się coś niezwykłego. Trochę się wkurzała, że goście na tym piętrze nie dają za dużych napiwków. W ogóle ich nie dają, szczerze mówiąc. Było też coś, czego dotknąłem obok wind. To mógł być umysł Tachiona, ale nakryto go kocem i otoczono ogrodzeniem. Odebrałem tylko niejasne, przefiltrowane wrażenia. Były pełne znużenia. I bólu.

— To mógł być Tachion?

— Niewykluczone.

Brennan zaczerpnął głęboki oddech.

— Masz jakiś plan?

— Załatwmy ich.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie nawzajem. Brennan dotknął kołczana, który miał u pasa.

— Szkoda, że nie masz broni.

— Mam kilka — odparł Fortunato, stukając się w czoło. — Wszystkie są tutaj.

Zaczekali, aż na korytarzu zapadnie cisza, a potem otworzyli drzwi i szybko ruszyli przed

siebie. Pobiegli hotelowym korytarzem tak cicho, jak tylko mogli, skręcili w prawo, dotarwszy do skrzyżowania w kształcie litery T, i znaleźli się przed szeregiem wind. W ułożonej z boku wnęce znajdowało się coś, co wyglądało jak schowek na pościel. Brennan nałożył strzałę na cięciwę i naciągnął ją, a Fortunato otworzył gestem drzwi.

Brennan opuścił łuk.

— Słodki Jezu w niebie — wyszeptał. Fortunato odwrócił od niego wzrok, zajrzał do środka i zamarł w bezruchu.

Tachion tam był. Pozlepiane od potu włosy opadały mu na twarz w miękkich strąkach. Spoglądające zza ich zasłony oczy były obrzękłe i przekrwione, pełne bólu i zmęczenia. Ze schowka usunięto pościel i półki, by zrobić miejsce dla Tachiona i tego, co go obejmowało. Doktora wciśnięto w wielką, lekko fioletową leżankę z biomasy, która krępowała go mniej więcej dwudziestoma galaretowatymi sznurami, otaczającymi jego szyję, pierś, ramiona oraz nogi. Paskudztwo pulsowało rytmicznie, falując jak gruba kobieta podskakująca na łożku wodnym. Tachiona wsadzono w zagłębienie, które obejmowało go bezpiecznie, doskonale się dostosowując do jego konturów i wymiarów.

Jego oczy zatrzymały się na Fortunacie, a następnie przeniosły się na Brennana.

— Pomocy — wychrypiał. Jego usta poruszały się przez kilka chwil, nim wreszcie wydobył się z nich dźwięk.

Brennan wyciągnął nóż, który miał w pochwie u kostki, i zaczął przecinać sznury przywiązujące Tachiona do stworzenia. To było tak, jakby ciął twardą, rozciągliwą gumę, ale piłował nieustępliwie, ignorując nasilające się pulsowanie istoty oraz zielonkawą posokę spryskującą i jego, i Tachiona.

Minęła może minuta, nim przeciął wszystkie witki, ale stwór nadal nie uwolnił Tachiona. Brennan dopiero wtedy zauważył macki przytwierdzone do boków szyi oraz karku doktora.

— Jak mam cię wydostać? — zapytał.

— Po prostu pociągnij — wyszeptał Tachion.

Brennan to zrobił i doktor zaczął krzyczeć.

Po chwili udało się go uwolnić i opadł bezwładnie w ramiona wybawcy. Cuchnął potem, strachem oraz wydzielinami obcych. Był śmiertelnie blady i krwawił obficie z miejsc, do których przysały się macki. Rany nie wyglądały groźnie, ale Brennan uświadomił sobie, że nie sposób określić, jak niebezpieczne mogą być naprawdę.

— Uwaga — odezwał się Fortunato. — Mamy towarzystwo.

Brennan spojrział w głąb korytarza. Zbliżało się do nich kilkanaście imitacji ludzi w strojach boyów hotelowych i pokojówek, a także w zwyczajnych sukniach i trzyczęściowych garniturach. W centrum grupy siedł Lankester z Departamentu Stanu.

Brennan pociągnął Tachiona w stronę windy. Stworzenia zbliżały się do nich miarowym

krokiem, ich twarze były opanowane i pozbawione wszelkich emocji. Fortunato podszedł do niego z zaniepokojoną miną.

— I co teraz zrobimy? — zapytał.

— Wezwiemy windę.

Stworzenia były już tylko dwa metry od nich, gdy usłyszały dzwonek oznajmiający przybycie windy.

— Trzymaj go — powiedział Brennan, wpychając bezwładnego, ledwie świadomego Tachiona w ramiona Fortunata. Wyjął strzałę z kołczana w tej samej chwili, gdy drzwi się otworzyły.

W środku było trzech mężczyzn w średnim wieku mających na sobie tradycyjnie wyglądające garnitury oraz kapelusze shrinerów. Wytrzeszczali szeroko oczy, patrząc, jak as wciąga Tachiona do środka. Fortunato obrzucił ich spojrzeniem.

— Do piwnicy, proszę — rzekł. Ten, który stał najbliżej przycisków, odruchowo wykonał polecenie. W tej samej chwili as zatrzymał stopą drzwi, nie pozwalając im się zamknąć. Brennan wypuścił trzy wybuchowe strzały w kierunku bliskich już stworów. Pierwsza trafiła Lankesterą w pierś. Druga i trzecia eksplodowała na lewo i na prawo od niego. Na hotelowy korytarz trysnęły posoka i protoplazma. Brennan wycofał się do windy i Fortunato pozwolił drzwiom się zamknąć.

Brennan wsparł się na łuku i zaczerpnął z ulgą głęboki oddech. Przerażeni shrinerzy zbili się w grupkę w kącie windy.

— Pierwszy raz w Nowym Jorku? — zapytał Fortunato, spoglądając na nich.

III

— To znaczy, że Lankesterą już jakiś czas temu zastąpił jeden z pomiotów nowej generacji? — zapytał Brennan.

Tachion skinął głową i pociągnął długi łyk z kubka, który wręczyła mu Mai. Był pełen mocnej, czarnej kawy ze sporym dodatkiem brandy.

— Nim jeszcze go spotkałem. Czy raczej to. Dlatego właśnie lansował ten obłąkany plan ataku. Wiedział, że nie zdołamy wyrządzić poważnych szkód Matce Roju, ale dzięki takiemu atakowi wszyscy by pomyśleli, że podejmuje się jakieś konkretne kroki w walce z tym zagrożeniem. — Przerwał i pociągnął kolejny długi łyk. — Jest jeszcze jedno. Matka Roju może chcieć wziąć próbki asów.

— Próbki? — zdziwił się Brennan, obrzucając go pytającym spojrzeniem.

— Żeby rozebrać ich na części i odtworzyć z własnej biomasy.

— Cholera — wyszeptał Fortunato. — Chce wyhodować własnych asów.

Znajdowali się w gabinecie Tachiona, w klinice. Doktor doprowadził się już do porządku, ale nadal był blady i drżał po niedawnych przejściach. Na szyi miał bandaż osłaniający rany pozostawione przez macki stworzenia z Roju.

— I co teraz? — zapytał Brennan.

Tachion odstawił z westchnieniem kubek.

— Zaatakujemy Matkę Roju.

— Co? — obruszył się Fortunato. — Czy ten pomiot usmażył ci mózg? Sam powiedziałaś, że atak na Matkę to szaleństwo.

— Bo tak było. I nadal jest. Ale to najlepsze wyjście, jakie nam pozostało. — Odwrócił wzrok od nieskrywającego niedowierzania Fortunata, przenosząc spojrzenie na Brennana, którego mina była niezobowiązująca. — Posłuchajcie, Rój rozpoczął nową falę ataków, bardziej wyrafinowaną od poprzednich. Nie sposób określić, do jakiego stopnia udało mu się zinfiltrować rząd.

— Jeśli zdołali zastąpić Lankeстера, kogo jeszcze mogli dorwać? — wyszeptał Brennan.

— W rzeczy samej. Kogo mają? — Tachion zadrżał. — Możliwości przyprawiają o zawrót głowy. Jeśli Rój zastąpi wystarczająco wiele kluczowego personelu, by ważyć się na coś takiego, nie zawaha się przed rozpętanem światowej wojny jądrowej. Potem będzie mógł po prostu poczekać kilka tysiącleci, aż powierzchnia planety znowu stanie się zdatna do zamieszkania. To oczywiste, że nie możemy zaufać nikomu z rządu, gdy chodzi o przygotowania do ataku na Matkę Roju. Musimy to zrobić samodzielnie.

— Ale jak? — zapytał Fortunato tonem sugerującym, że argumenty Tachiona go nie przekonały.

— Mamy przenośnik osobliwościowy — odparł Tachion z zapalem w głosie. — Potrzebujemy jednak jakiejś broni. Takizjanie często z powodzeniem używali broni biologicznej przeciwko Matkom Roju, ale wasze nauki biologiczne nie są wystarczająco zaawansowane, by wyprodukować coś w tym rodzaju. Być może wykombinuję coś...

— Mamy broń — przerwał mu cichy głos. Trzej mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na Mai, do tej pory słuchającej bez słowa ich rozmowy.

Tachion wlepił w nią spojrzenie, a potem wyprostował się nagle na krześle, polewając kawą z brandy przód brokatowego szlafroka.

— Nie gadaj bzdur — warknął.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Fortunato, przenosząc wzrok z doktora na kobietę.

— Nic takiego — odparł Tachion. — Mai pracuje w mojej klinice. Dzięki swej mocy pomogła niektórym pacjentom, ale to wykluczone, byśmy mogli ją wykorzystać w tej sprawie.

— Co to za moc?

Mai uniosła ręce, kierując dłonie wewnętrznymi powierzchniami na zewnątrz.

— Potrafię dotknąć duszy drugiej osoby — oznajmiła. — Stajemy się jednym i znajduję ukrytą w niej chorobę. Biorę chorobę w siebie i uspokajam ją, wygładzam ostre kany wzorców życia oraz zamykam pęknięcia. W ten sposób oboje znowu stajemy się zdrowi.

— A co to znaczy po angielsku? — zapytał Fortunato.

— Ona manipuluje materiałem genetycznym — wyjaśnił z westchnieniem Tachion. — Potrafi go ukształtować w niemal każdy sposób, jaki jest w stanie zwizualizować. Podejrzewam, że mogłaby użyć swej mocy w przeciwnym kierunku, powodując u Matki Roju komórkowe zaburzenia na wielką skalę.

— Mogłaby zarazić Matkę rakiem? — zapytał alfons.

— Zapewne tak — przyznał Tachion. — Gdybym jej pozwolił w tym uczestniczyć. Czego nie zrobię. To byłoby szalenie niebezpieczne dla kobiety.

— To szalenie niebezpieczne dla każdego — zauważył ostrym tonem Fortunato. — Jeśli jest dla nas najlepszą szansą na zwycięstwo nad Matką i zgadza się podjąć próbę, uważam, że powinniśmy jej na to pozwolić.

— A ja tego zabraniam! — zawołał Tachion, rozlewając kolejną porcję płynu, gdy uderzył kubkiem w poręcz fotela.

— Nie możesz mi tego zabronić — sprzeciwiła się Mai. — Muszę to zrobić! To moja karma. Tachion zwrócił się w stronę Brennana.

— Czy mógłbyś przemówić jej do rozsądku?

Brennan potrząsnął głową.

— Decyzja należy do niej — odparł powoli. Żałował, że nie może się zgodzić z Tachionem, wiedział jednak, że nie wolno mu ingerować w karmę Mai, wybraną przez nią drogę ku oświeceniu. Postanowił jednak, że nie powędruje tą drogą sama.

— Zatem sprawa rozstrzygnięta — skwitował Fortunato pozbawionym wyrazu głosem. — Zabierzemy Mai do Matki Roju, żeby wstrzyknęła jej śmiertelną dawkę raka. Ja też się tam wybieram. Chcę dostać na pamiątkę kawałek tego skurwysyństwa.

Tachion spojrział na Fortunata, na Mai, a wreszcie na Brennana i zobaczył, że nic, co mógłby powiedzieć, nie zmusi ich do zmiany zdania.

— W porządku — rzekł z westchnieniem i ponownie zerknął na alfonsa. — Będziesz musiał dostarczyć energii przerośnikowi osobliwościowemu. Ja nie zdołam tego dokonać. — Przeciągnął palcami po kędzierzawych lokach. — Pomiot tymczasowo wypalił część moich mocy, próbując wyssać ze mnie wspomnienia na użytek fałszywego Tachiona. Nie możemy sobie pozwolić na czekanie na ich powrót. Niemniej jestem w stanie podrzucić grupę abordażową w pobliże Matki Roju na Maleńkiej. Potem Fortunato przeniesie wszystkich do wnętrza Matki. Będziemy musieli poruszać się szybko i niepostrzeżenie, ale grupa abordażowa potrzebuje też jakiegoś wsparcia. Być może Modułowy albo jeden z przyjaciół Tripsa...

Brennan potrząsnął głową.

— Powiedziałeś, że musimy działać szybko i niepostrzeżenie. Jeśli Modułowy otworzy ogień, natychmiast przyciągnie wszystkie systemy obronne Matki Roju.

Tachion potarł ze znużeniem skronie.

— Masz rację. Jakieś sugestie?

— Oczywiście. — Brennan wziął głęboki oddech. To bardzo się oddalało od celów, dla których przybył do miasta, nie mógł jednak pozwolić, by Mai stawiała czoło Rojowi bez jego pomocy. — Ja to zrobię.

— Ty? — zapytał z wahaniem Tachion. — Poradzisz sobie z tym?

— Poradził sobie z uratowaniem ciebie przed mazią — wtrącił Fortunato. Spojrzał na Brennana i zwątpienie w jego oczach ustąpiło miejsca pewności. — Widziałem go w akcji. Jest dobry.

Tachion skinął stanowczo głową.

— W takim razie sprawa rozstrzygnięta. — Spojrzał na Mai. — Nie podoba mi się myśl o narażaniu kobiety na niebezpieczeństwo, ale masz rację. Tylko ty masz szansę zniszczyć Matkę Roju.

— Zrobię to, co będę musiała — odparła cicho.

Tachion skinął z powagą głową i ujął rękę Mai, ale gdy Brennan usłyszał jej słowa, przeszył go zimny dreszcz. Był pewien, że doktor zrozumiał je zupełnie inaczej niż on.



Start był czymś, co Brennan zapisał w pamięci jako interesujące doświadczenie. Nie chciałby przeżyć go jeszcze raz, ale wspomnienie zdumiewająco pięknego widoku Ziemi na ekranach Maleńkiej będzie mu towarzyszyło aż do końca życia. Czuł się niemalże niegodny tego widoku i żałował, że nie widzi go Ishida, jego roshi.

W zrodzonej z tysiąca i jednej nocy wizji, jaką była sterownia Tachiona, przebywały trzy inne osoby. Sam Tachion prowadził statek w milczeniu. Nadal cierpiał ból po tym, jak potraktował go Rój. Brennan widział, że doktor trzyma się wyłącznie dzięki sile woli. Twarz miał pooraną bruzdami znużenia i nietypowego dla niego napięcia.

Fortunato wręcz tryskał niecierpliwą, nerwową energią. Czas przed startem spędził na ładowaniu baterii, jak to ujął. Był gotowy i rwał się do czynu.

Tylko Mai sprawiała wrażenie spokojnej i niewzruszonej. Siedziała cicho na kanapie, trzymając ręce na kolanach, i obserwowała wszystko z wolnym od niepokoju zainteresowaniem. Brennan z kolei obserwował ją. Z chęcią zgodziła się na plan Tachiona, ale nie było wiadomo, w jaki sposób zamierzała go wykonać. Ta myśl niepokoiła Brennana.

— To ona — odezwał się po chwili Tachion. W jego głosie pobrzmiwało znużenie i napięcie.

Brennan spojrział nad ramieniem doktora na kuliste okropieństwo wypełniające przednie ekrany statku.

— Jest ogromna — zauważył. — Jak znajdziemy drogę w jej wnętrzu?

Tachion spojrział na Fortunata.

— Poleć przenośnikowi osobliwościowemu przenieść was do samego środka obiektu. W ten sposób powinniście znaleźć się blisko miejsca, w którym chcecie być. Odnajdziecie ośrodek nerwowy, śledząc jej umysł.

Nagle poczuł mentalne dotknięcie statku. *O co chodzi, Maleńka?*

Zbliżamy się do granicy zasięgu detektorów Matki Roju.

Dziękuję. Spojrział na pozostałych.

— Lepiej się przygotujcie. Już prawie czas.

Fortunato wyjął przenośnik osobliwościowy z plecaka, w którym schował go Tachion w zapasowej sypialni swego mieszkania. Na dnie plecaka był pistolet automatyczny kalibru .45, w noszonej pod pachą kaburze.

— A co to ma być? — zapytał Fortunato, kierując wzrok na doktora.

— Może ci się przydać — stwierdził Tachion. — Skok będzie cię kosztował więcej energii, niż ci się zdaje.

Alfons dotknął rękojeści pistoletu, ponownie zerknął na doktora i wzruszył ramionami.

— A co tam — mruknął, przypinając sobie kaburę. Następnie uniósł w jednej ręce przenośnik osobliwościowy i ustawił się w kręgu z Brennanem oraz Mai. Wszyscy troje pomagali trzymać przenośnik. Brennan popatrzył na Mai. Ze spokojem odwzajemniła jego spojrzenie. Kącikiem oka zauważył na ekranie, że na burcie Matki Roju rozbłysło jasne światełko. Maleńka zadrżała, gdy uderzyła ją organicznie wygenerowana wiązka cząstek, ale jej ekrany obronne wytrzymały. Brennan usłyszał w mózgu cichy szept.

Pamiętaj. Nie możesz pozwolić, by Matka Roju pojmała Mai albo Fortunata.

Zerknął na Tachiona, który wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym znowu zwrócił się w stronę ekranu.

— Ruszaj! — zawołał doktor.

Fortunato zamknął oczy i zmarszczył w skupieniu czoło. Po obu bokach jego głowy zamajaczyły widmowe baranie rogi. Nagle Brennan poczuł szarpnięcie, jakby coś rozdzierało na strzępy wszystkie komórki jego ciała. Nie był w stanie oddychać, bo nie miał płuc, nie mógł rozluźnić mięśni, które rozbito na składające się na nie cząsteczki chemiczne i ciśnięto przez setki kilometrów próżni. Stłumił krzyk i jego świadomość zderzyła się ze ścianą mdłości. Podróż była gorsza niż skok do kliniki. Zdawała się trwać bez końca, mimo że Tachion powiedział, że przejście za pomocą przenośnika osobliwościowego jest bezczasowe.

A potem poczuł, że znowu jest cały. Wszyscy troje znajdowali się w korytarzu słabo

oświetlonym przez niebieskie i zielone fosforyzujące komórki ulokowane w półprzezroczystych ścianach oraz suficie. U ich stóp biegły galaretowate sznury, zapewne przewody, w których płynęło to, co służyło stworzeniu za krew oraz substancje odżywcze. Było tu gorąco i nieco wilgotno, a w powietrzu unosił się zapach przywodzący na myśl zepsutą szklarnię. Zawartość tlenu była tak wysoka, że Brennanowi zakręciło się w głowie i musiał zacząć oddychać płyciej. Czuł się lekki, ale było tu wyczuwalne przyciąganie. Uświadomił sobie, że Matka Roju z pewnością kręci się wokół osi, by wytworzyć sztuczną grawitację umożliwiającą kierowany wzrost organizmów.

— Wszystko z wami w porządku? — zapytał towarzyszy.

Mai skinęła głową, ale Fortunato oddychał z wysiłkiem, a jego twarz przybrała popielaty kolor.

— Ko... kosmiczna ciota miała rację — wydyszał. — To było piekielnie trudne.

Ręce mu drżały, gdy chował przenośnik z powrotem do plecaka.

— Spokojnie... — zaczął Brennan, ale nagle umilkł.

Gdzieś przed nimi w wijącym się we wszystkie strony korytarzu rozległo się donośne ssanie.

— W którą stronę musimy iść? — zapytał cicho Brennan.

Fortunato mocno się skoncentrował.

— Wyczuwam przed nami jakiś umysł. — Wskazał w kierunku, z którego dobiegało ssanie.

— O ile można to nazwać umysłem.

— Świetnie — mruknął Brennan i zdjął z pleców łuk.

— Posłuchaj. — Fortunato złapał Mai za rękę. — Mogłabyś mi pomóc...

— Nie ma na to czasu — przerwał mu Brennan. — Poza tym Mai będzie potrzebowała całej swojej energii, żeby sobie poradzić. Ja również.

Fortunato zaczął coś mówić, ale ssący odgłos, który z każdą chwilą stawał się głośniejszy, wreszcie do ich dotarł. Zza zakrętu rurowatego korytarza wyłoniła się groteskowa masa zielonożółtej protoplazmy, zmierzająca ku nim. Z kulistego ciała wypełniającego niemal cały korytarz wyrastało bezładnie około dwudziestu przysawek.

— Jezu! — zawołał Fortunato. — Co to jest?

Stwór przylepiał się do jednej ze stron korytarza, czyszcząc ścianę i podłogę niezliczonymi ssącymi ustami otoczonymi setkami długich na trzydzieści centymetrów rzęsek.

— Nie wiem i nie chcę się tego dowiedzieć — odparł Brennan. — Lepiej stąd zmiatajmy.

Wybrał strzałę, nałożył ją swobodnie na cięciwę i zaczął się przesuwając bokiem obok stworzenia. Mai i Fortunato podążyli ostrożnie za nim. Istota nie przerywała sprzątaniami. Rzęski otaczające zwrócone ku nim usta zadrżały chciwie, gdy przechodzili obok, ale stworzenie nie próbowało ich atakować.

Brennan westchnął z ulgą.

Gdy zapuszczali się coraz głębiej do wnętrza Matki, niebieski, fosforyzujący półmrok nadawał ich otoczeniu nierealny wygląd. Nieruchome powietrze przesycone woniami żywych istot przypominało Brennanowi dżungle Wietnamu. Rozglądał się wkoło, drżąc nerwowo. Czuł się, jakby snajper miał go na celowniku. Nie potrafił się uwolnić od złowieszczego, przygniatającego wrażenia, że ktoś go obserwuje.

Przez pół godziny szli wijącym się jak wąż korytarzem w pełnym napięcia milczeniu, w każdej chwili spodziewając się ataku maszyn do zabijania służących Matce Roju, który jednak nie nadchodził. Zatrzymali się przy rozwidleniu w kształcie litery Y. Obie gałęzie zdawały się prowadzić w kierunku, w którym zmierzali.

— W którą stronę? — zapytał Brennan.

Fortunato potarł znużonym gestem wypukłe czoło.

— Słyszę tysiące cichych ćwierknięć. To nie są prawdziwe umysły, a przynajmniej nie rozumne, ale ich hałas doprowadza mnie do szaleństwa. Największy umysł nadal jest gdzieś przed nami.

Brennan zerknął na Mai. Popatrzyła na niego ze spokojem, jakby chciała pozwolić, żeby to on podejmował wszystkie decyzje. Brennan rzucił w myślach monetą i wyszedł orzeł.

— Tędy — oznajmił, wskazując na prawe odgałęzienie.

Nim przeszli około stu metrów, Brennan uświadomił sobie, że ten korytarz różni się czymś od poprzedniego. Zapach był tu słodki, niemalże mdły. Trudno było oddychać, ale jednocześnie powietrze miało niemal oszałamiające działanie. W miarę jak posuwali się naprzód, woń stawała się coraz silniejsza.

— Nie jestem pewien, czy to mi się podoba — odezwał się Brennan.

— Ale czy mamy wybór? — zapytała Mai.

Spojrzał na nią i wzruszył ramionami. Znowu ruszyli przed siebie, minęli ostry zakręt i zatrzymali się, wpatrzeni w widoczną przed nimi scenę.

Korytarz poszerzał się tu do dwunastu metrów. Po obu jego stronach pod sufitem wisały dziesiątki groteskowych pomiotów o skurczonych kończynach i ogromnych, rozciągniętych brzuchach. Czerpały pożywienie z przypominających obrzękłe brodawki sutkowe wypukłości sterczących ze ścian korytarza.

Wokół nich krążyły stworzenia Roju o najróżniejszych postaciach i rozmiarach. Wszystkie usiłowały się dopchać do miejsca przy jednym z pustych przewodów zwisających z wielkich brzuchów. Wielkość pomiotów wahała się od małych owadopodobnych stworzeń aż po mackowate monstra z pewnością ważące kilka dobrych ton. Były ich setki.

— Chyba tu się odżywiają — wyszeptał Fortunato.

Brennan skinął głową.

— Nie przedostaniemy się przez nie. Będziemy musieli zawrócić i spróbować drugiego

odgałęzienia.

Ruszyli z powrotem, ale nagle się zatrzymali, usłyszawszy ciche brzęczenie, jakby niezliczonych skrzydełek, zbliżających się do nich drogą, którą przybyli.

— Cholera — warknął z niedowierzaniem Fortunato. — Nadzialiśmy się na nową zmianę.

— Pierwsze stworzenie, które spotkaliśmy, zignorowało nas — zauważył Brennan. — Może tym razem będzie tak samo.

Przycisnęli się do ścian korytarza — były ciepłe i ustępowały pod naciskiem — umilkli, starając się nie przyciągać uwagi, i czekali.

Chmara owadopodobnych stworzeń nadleciała korytarzem, bzyząc głośno. Miały od dziesięciu do piętnastu centymetrów długości, segmentowane ciała oraz duże, błoniaste skrzydła. Garstka pierwszych minęła ich, lecąc prosto do komory karmienia, i Brennan pomyślał, że są bezpieczni. Nagle jednak kolejne stworzenie zatrzymało się i wylądowało na Mai. Dołączyło do niego drugie, a potem trzecie i czwarte. Patrzyła na nie spokojnie. Jedno usiadło na ramieniu Brennana. Wlepił w nie wzrok. Jego głowa była wyposażona w skomplikowany system żuwaczek. Jedna ich para zaczęła rozdzierać mu koszulę, podczas gdy następna wpychała kawałki tkaniny do małego otworu gębowego.

Stracił je z niesmakiem i rozdeptał. Skorupa pękła z głośnym trzaskiem pod jego stopą, jak u karalucha, ale na ciele mężczyzny wylądowały już dwa następne. Usłyszał przekleństwa Fortunata i uświadomił sobie, że stworzenia oblażą również i jego.

— Spróbujmy się od nich oddalić — rzekł cicho, ale nic to nie dało. Owady podążyły za nimi. Coraz więcej ich siadało na trojgu ludzi.

— W nogi — zawołał i wszyscy pognali wzdłuż korytarza.

Część chmary poleciała do komory karmienia, ale większość owadów podążyła za nimi, bzyząc gniewnie. Brennan opędał się od nich podczas biegu, strącając niektóre w locie. Te, które na nim wylądowały, rozgniatą otwartą dłonią. Ale miejsce strąconych bądź rozgniecionych zajmowały wciąż nowe. Przysiadły na jego twarzy i ramionach. Czuł dotyk tysięcy łączących po nim maleńkich odnóży. Owady sprawiały wrażenie zainteresowanych przede wszystkim jego ubraniem oraz — co ważniejsze — łukiem i strzałami. Najwyraźniej były czyścicielami mającymi usuwać martwą materię. To jednak nie znaczyło, że są niegroźne. Brennan nieraz już poczuł ich ostre żuwaczki wbijające się w jego ciało. Bzyczenie skrzydełek i trzask żuwaczek wypełniały jego uszy hałasem. Musieli jakoś przed nimi uciec.

Wrócili do rozwidlenia w kształcie litery Y, rozglądając się desperacko za czymś, czymkolwiek, co pomogłoby im się uwolnić od małych czyścicieli. Fortunato wpadł w drugie odgałęzienie korytarza, a Brennan i Mai podążyli za nim. Powierzchnia była tu nierówna i śliska od wilgoci, zbierającej się w płytkich kałużach i tryskającej na boki, gdy przez nie przebiegali. Ciecz była ciepła i przezroczysta, choć ciemna. Gdy wpadli do korytarza, chmara owadów

wyraźnie się zawahała. Fortunato wskoczył do płytkiego bajora, które zebrało się w jednej z większych zagłębień, i zaczął się w nim przetaczać, strącając oblażące go owadopodobne stworzenia i miażdżąc je. Brennan i Mai dołączyli do niego. Mężczyzna zacisnął mocno wargi, ale poza tym ciemny płyn przemoczył go od stóp do głów. Ciecz wyglądała i pachniała jak letnia woda i unosiły się w niej jakieś drobne cząsteczki. Brennan nie miał zbyt wielkiej ochoty ich połykać.

Zerknął na przykucniętych w płytkiej sadzawce towarzyszy. Ich ubrania wyglądały, jakby zaatakował je legion moli, ciała zaś naznaczyły liczne skaleczenie i wyżłobienia. Żadne z nich nie sprawiało jednak wrażenia poważnie rannego. Chmara upartych stworzeń unosiła się nad ich głowami. Brennan pomyślał, że ich bzyczenie brzmi dość gniewnie.

— Jak mamy się ich pozbyć? — zapytał, również poirytowany.

— Może zostało mi wystarczająco wiele mocy, by odesłać gdzieś te potworki — oznajmił Fortunato.

— Nie jestem pewien... — zaczął Brennan, ale nie zdążył skończyć.

Dno osunęło się pod nimi, gdy zwieracz się otworzył. Cały płyn w korytarzu popłynął w dół, a oni razem z nim. Brennan miał jeszcze czas zaczerpnąć głęboki oddech i uchwycić mocno łuk. Wyciągnął drugą rękę i złapał za kostkę wsysaną w mrok Mai. Pomknął za nią, przeklinając, gdy stracił połowę strzał w kołczanie.

W korytarzu było więcej cieczy, niż mu się zdawało. Porwał ich wzbierający wir, nie mieli czym oddychać i nic nie widzieli w ciemności. Mocno trzymał się kostki kobiety, pamiętając o bezsłownych ostrzeżeniach Tachiona.

Wpadli do wielkiej komory o powierzchni całkowicie wypełnionej sadzawką wielkości olimpijskiego basenu. Na szczęście wypełniała ją niebieska fosforescencja, taka sama jak w korytarzu na górze. Fortunato podpłynął do nich, walcząc z prądem ciągnącym ich ku drugiemu końcowi zbiornika.

— Co to jest, do licha? — zapytał as.

Brennan przekonał się, że trudno mu wzruszyć ramionami, gdy unosi się w cieczy w pozycji stojącej.

— Nie mam pojęcia. Może rezerwuar? Wszystkie te żywe stworzenia potrzebują wody.

— Przynajmniej owady zniknęły — stwierdził Fortunato i ruszył w stronę ściany komory. Dwoje pozostałych podążyło za nim.

Wygramolili się na pochyły brzeg, poruszając się powoli i ostrożnie na śliskiej od wilgoci powierzchni. Potem położyli się zdyszani, by chwilę odpocząć. Brennan owiązał najgorsze ukąszenia bandażem z małej apteczki, którą miał u pasa.

— W którą stronę teraz?

Fortunato potrzebował chwili, by odzyskać orientację.

— Tam — wskazał wreszcie.

Ruszyli przez brzuch bestii. To była koszmarna wędrówka przez niezwykle królestwo organicznych monstrów. Tunel, którym szli, otwierał się na ogromne sale, w których człekokształtne stworzenia beczące jak idioci w swym na wpół uformowanym stanie zwiślały na pępownicach z pulsujących sufitów, prowadził przez galerie, w których worki niezróżnicowanej biomasy drżały na podobieństwo ohydnej galarety, czekając, aż uformuje je wola Matki Roju. Mijał komory, gdzie potwory o setkach różnych, obcych postaci produkowano w celu znanym jedynie samej Matce. Niektóre z tych ostatnich były już wystarczająco rozwinięte, by zdawać sobie sprawę z obecności intruzów, lecz nadał łączyły je z ciałem Matki protoplazmatyczne pępowniny. Kłapały zębami, warczały i syczały, gdy Brennan i jego towarzysze przechodzili obok. Był zmuszony przeszyć strzałami mózgi kilku najbardziej upartych stworzeń.

Nie wszystkie miały nieludzkie kształty pomiotu. Niektóre bardzo przypominały ludzi i miały ludzkie twarze. Znajome twarze. Był tam Ronald Reagan z zaczesanymi do tyłu włosami i błyskiem w oku. Maggie Thatcher z poważną, nieustępliwą miną. Była też głowa Gorbaczowa, ze znamieniem truskawkowego koloru, wyrastająca z masy trzęsącej się protoplazmy miękkiej i obrzmiałej, jak ludzkie ciało lepione z ciasta chlebowego.

— Słodki Jezu — odezwał się Fortunato. — Chyba dotarliśmy tu akurat na czas.

— Mam taką nadzieję — wyszeptał Brennan.

Korytarz stawał się coraz węższy i niższy. Musieli się pochylać, a potem czołgać na rękach i kolanach. Brennan spojrział na Fortunata. As skinął głową, nakazując im iść dalej.

— Jest przed nami. Czuję jej pulsowanie: jedz i rośnij, jedz i rośnij.

Ściany tunelu były gumowate i ciepłe. Brennan nie lubił ich dotyku, ale nadal parł naprzód. Tunel nie przestawał się zwężać, aż wreszcie mężczyzna uświadomił sobie, że nie zdoła tu wystrzelić z łuku. Byli bezbronni, a posuwali się przez najbardziej niebezpieczny obszar wnętrza Matki Roju, jej ośrodek nerwowy. Przedzierał się przez rękaw z żywego ciała na odcinku co najmniej stu metrów. Mai i Fortunato czołgali się za nim. Wreszcie wypadł z tunelu na otwartą przestrzeń. Fortunato pojawił się tuż po nim, a następnie obaj pomogli wygramolić się Mai.

Rozejrzeli się wkoło. Komora była mała. Ledwie było w niej miejsce dla ich trojga oraz wielkiego, trójplataowego, szaroróżowego narządu zawieszzonego pośrodku na sieci włóknistych nici wnikających w podłogę, sufit oraz ściany.

— Oto on — mruknął zmęczonym głosem Fortunato. — Ośrodek nerwowy Matki Roju. Jej mózg, jądro czy jak to tam zwał.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Mai. Podeszła bliżej i Brennan ujął ją za ramię.

— Zabij ją — rzekł. — Zabij ją i zwiewajmy stąd.

Spojrzała na niego ze spokojem. Widział swoje odbicie w jej wielkich, ciemnych oczach.

— Wiesz, że przysięgłam nigdy nie skrzywdzić żadnej rozumnej istoty — odparła.

— Oszalałaś? — zawołał Fortunato. — To po co tu przybyliśmy?

Brennan puścił jej rękę i Mai podeszła do zawieszonoego w sieci włókien nerwowych narządu.

— Czy ta suka zwariowała? — zapytał Fortunato, spoglądając na Brennana.

Ten potrząsnął głową, nie mogąc się odezwać. Wiedział, że ją również utraci. Bez względu na to, jak to się skończy, ją również utraci.

Mai prześliznęła się między niciami i położyła dłonie na ciele Matki Roju. Jej krew zaczęła spływać po narządzie obcej istoty.

— Co ona robi? — zapytał Fortunato, rozdarty między strachem, gniewem i zachwytem.

— Jednoczy się.

Wąski tunel prowadzący do centrum Matki Roju zaczął się poszerzać. Brennan zwrócił się ku jego wylotowi.

— Co się dzieje?

— Matka Roju się opiera — wyjaśnił Brennan, nakładając strzałę na cięciwę. Odgrodził swój umysł od otoczenia, od Fortunata, a nawet od Mai. Skupił ośrodek swej jaźni tak bardzo, że wylot tunelu stał się dla niego całym wszechświatem. Naciągnął cięciwę do policzka i znieruchomiał, napięty jak sama strzała, gotowy wystrzelić siebie w serce wroga.

Z tunelu wypłynęły wyposażone w zęby i pazury maszyny do zabijania służące Matce Roju. Brennan wystrzelił. Jego ręce poruszyły się bez udziału świadomości. Nakładał, naciągał, wypuszczał. Wokół wylotu tunelu gromadziły się ciała, ale usuwały je kolejne stworzenia próbujące się dostać do środka, a także wybuchy eksplodujących strzał. Czas przestał płynąć. Nic nie miało znaczenia poza tylko perfekcyjną koordynacją umysłu, mięśni i celu, zrodzoną z unii ciała i ducha.

Wydawało się, że trwa to wiecznie, ale zasoby Matki Roju nie były niewyczerpane. Stworzenia przestały nadchodzić, gdy Brennanowi zostały jeszcze trzy strzały. Patrzył w głąb korytarza przez minutę, nim uświadomił sobie, że nie ma już więcej celów. Opuścił łuk.

Plecy go bolały, a ramiona płonęły, jakby trawił je ogień. Spojrzał na Fortunata. As gapił się na niego, potrząsając bez słowa głową. Świadomość Brennana powróciła z sadzawki, w której zatopiło ją szkolenie zen.

Jego uwagę przyciągnął nagły ruch. Odwrócił głowę. Jego ręka opadła do kolczana u pasa, ale zamarła, nim wyciągnęła strzałę. W wylocie tunelu stały trzy sylwetki o kształcie i rozmiarach ludzi. Poczucie dyslokacji ogarnęło Brennana niczym zimny wichur. Opuścił łuk. Poznawał ich.

— Gulgowski? Mendoza? Minh?

Ruszył ku nim jak we śnie. Przechodzili nad rozkawałkowanymi ciałami pomiotu i omijali je, zmierzając mu na spotkanie. Brennan był odrętwiały, sparaliżowany między radością a niedowierzaniem.

— Wiedziałem, że przyjdiesz — odezwał się Minh, ojciec Mai. — Wiedziałem, że uratujesz

nas przed Kieniem.

Brennan skinął głową. Zalało go przemożne znużenie. To było tak, jakby jego mózg izolowano od reszty ciała, jakby owinięto go warstwami bawełny. Powinien był się domyślić, że to Kien stoi za Rojem. Powinien był to odgadnąć.

Gulgowski uniósł teczkę, którą trzymał w rękach.

— Mam tu dowody, które załatwią skurwysyna, kapitanie. Chodź się im przyjrzeć.

Brennan upuścił łuk i podszedł bliżej, by zajrzeć do wnętrza teczki Gulgowskiego. Ignorował krzyki dobiegające zza jego pleców, zignorował też nagły huk, który poniósł się echem po korytarzu.

Unoszący ku niemu teczkę Gulgowski zachwiał się na nogach. Brennan spojrzął na niego. To dziwne. Gulgowski miał teraz tylko jedno oko. Drugiego pozbawił go pocisk. Po jego policzku ospale spływała zielona ciecz. Ale to było w porządku. Brennan przypominał sobie niejasno, że Gulgowski był już kiedyś postrzelony w głowę i przeżył. W końcu był tutaj. Spojrzął na teczkę. Jej uchwyt przechodził płynnie w dłoń żołnierza. Byli jednym. W otworze teczki lśniły szeregi ostrych zębów. Skoczyła ku niemu, kłapiąc nimi głośno.

Poczuł nagły szok, gdy coś uderzyło z tyłu w kolana. Zwalił się na ziemię i poczuł pod policzkiem podłogę komnaty, jej pulsujące ciepło. Obejrzał się z irytacją za siebie.

To Fortunato zbił go z nóg. As puścił Brennana, uklęknął i ponownie uniósł pistolet. Brennan spojrzął na swoich ludzi. Wystrzelone przez Fortunata pociski ich rozkawałkowały. Tu leżał fragment twarzy, tam kawałek ręki. As nie przestawał przeklinać, gdy strzelał raz po raz i ludzie Brennana ginęli znowu.

Zalał go straszliwy gniew. Na wpół wstał i zacisnął powieki. Huk ucichł i pusty magazynek upadł na podłogę, ale w powietrzu nadal unosił się smród prochu. Uszy mężczyzny wypełniało echo wystrzałów, a w nozdrzach czuł zapach dżungli. Otworzył oczy.

Makabryczne karykatury ludzi, pozbawione odstrzelonych fragmentów twarzy i ciała, ociekające zieloną mazią, lały w jego stronę. To nie byli jego żołnierze. Mendoza zginął w ataku na sztab Wietkongu, Gulgowskiego zabił Kien tej samej nocy, a Minha ludzie Kiena, po wielu latach w Nowym Jorku.

Mimo że jego umysł nadal spowijała mgła, Brennan uniósł łuk i wypuścił w stronę sobowtórów ostatnią wybuchową strzałę. Trafiła w karykaturę Minha i eksplodowała, sypiąc na wszystkie strony kawałkami biomasy. Fala uderzeniowa przewróciła Brennana i załatwiła też dwa pozostałe sobowtóry.

Zaczerpnął głęboko tchu, ocierając z twarzy maź i rozpyloną protoplazmę.

— Matka Roju wydobyla ich obrazy z twojego umysłu — wyjaśnił Fortunato. — Poprzednie stwory miały tylko dać jej czas na wyprodukowanie tych chodzących figur woskowych.

Brennan skinął głową. Jego twarz zamarała w bezlitosnym wyrazie. Odwrócił się od asa,

spoglądając na Mai.

Niemalże już zniknęła, szaroróżowe ciało obcej istoty pokryło ją prawie całkowicie. Opierała policzek o pulsujący narząd i tylko połowa jej twarzy widoczna dla Brennana była nietknięta. Oko miała otwarte i klarowne.

— Mai?

Oko odwróciło się, poszukując źródła dźwięku, i zatrzymało się na nim. Jej wargi się poruszyły.

— Taka ogromna — wyszeptała. — Taka ogromna i cudowna.

Światło w korytarzu przygasło na chwilę, a potem znowu wróciło.

— Nie — wyszeptała Mai. — Nie zrobimy tego. Na statku jest rozumna istota. A sam statek również jest żywym jestestwem.

Podłoga komory się zatrzęsała, ale światło nie zgasło. Mai przemówiła znowu, zwracając się raczej do siebie niż do Brennana i Fortunata.

— Żyć tak długo bez myśli... Władać tak wielką mocą bez konsekwencji... Zawędrować tak daleko i widzieć tak wiele bez świadomości... To się zmieni. Wszystko się zmieni.

Oko ponownie skierowało się na Brennana. Rozbłysło w nim rozpoznanie, które jednak gasło stopniowo, gdy mówiła.

— Nie płacz po mnie, kapitanie. Jedna z nas wyrzekła się siebie, by uratować swą planetę. Druga wyrzekła się swego gatunku, by uratować... któż wie co? Być może któregoś dnia cały wszechświat. Nie smuć się. Pamiętaj nas, gdy będziesz patrzył na nocne niebo, pamiętaj, że jesteśmy gdzieś pośród gwiazd, badamy, rozważamy i odkrywamy, myśląc o niezliczonych cudownych sprawach.

Brennan usunął mruganiem łzy. Oko Mai się zamknęło.

— Żegnaj, kapitanie.

Przenośnik osobliwościowy zaczął sypać iskrami. Fortunato zdjął plecak i spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Ja tego nie robię. To ona...

Nagle wrócili na statek Tachiona. Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie nawzajem.

— Udało się? — zapytał po chwili doktor.

— Och, tak — zapewnił Fortunato, osuwając się na pobliski puf. — Och, tak.

— Gdzie Mai?

Brennan poczuł ukłucie bólu, przeszywające go niby nóż.

— Pozwoliłeś, żeby nam towarzyszyła — warknął. Postąpił krok ku Tachionowi, zaciskając ręce w drżące pięści. Jego oczy jasno jednak mówiły, kogo wini za utratę Mai. Otrząsnął się jak mokry pies i odwrócił się gwałtownie. Doktor gapił się na niego przez chwilę, po czym zwrócił się w stronę Fortunata.

— Wracajmy do domu — rzekł alfons.

Po pewnym czasie Brennan miał sobie przypomnieć słowa Mai i zastanowić się nad tym, jakie systemy filozoficzne, jakie królestwa myśli stworzy z wpływem stuleci duch łagodnej buddyjskiej dziewczyny połączony z umysłem i ciałem stworzenia władającego niemal niewyobrażalną mocą. Po pewnym czasie miał je sobie przypomnieć. Na razie jednak przepełniały go tylko ból i żałoba, które znał równie dobrze jak własne nazwisko. Czuł się w połowie martwy.



Jube: Siedem

Ktoś zapukał do drzwi. Odziany w bermudy w szkocką kratę oraz koszulkę Brooklyn Dodgers Jube wyjrzał przez judasza.

Na ganku stał doktor Tachion w białym letnim garniturze o szerokich, naciętych klapach, spod którego wysuwała się koszula intensywnie żółtozielonego koloru. Pomarańczowa apaszka harmonizowała z jedwabną chusteczką w kieszeni marynarki oraz długim na trzydzieści centymetrów piórem zdobiącym białą fedorę. W ręce trzymał kulę do kręgli.

Jube odsunął policyjny rygiel, zdjął łańcuch, uniósł haczyk, obrócił klucz w zamku antywłamaniowym i nacisnął guzik pośrodku klamki. Drzwi się otworzyły. Doktor Tachion wszedł zawiadczym krokiem do środka, przerzucając kulę do kręgli z ręki do ręki. Następnie potoczył ją po podłodze salonu. Zatrzymała się pod nogą tachionowego nadajnika. Doktor podskoczył, wycinając hołubca.

Jube zamknął drzwi, nacisnął guzik, obrócił klucz, zamknął haczyk, założył łańcuch i zasunął policyjny rygiel. Dopiero potem się odwrócił.

Rudowłosa mężczyzna zdjął kapelusz i pokłonił się nisko.

— Doktor Tachion, do usług — rzekł.

Jube wydał z siebie bulgocący dźwięk znamionujący konsternację.

— Takizjańscy książęta nigdy nie są do niczych usług — oznajmił. — A biały to nie jego kolor. Jest zbyt, hmm, bezbarwny. Miałeś jakieś kłopoty?

Mężczyzna usiadł na kanapie.

— Piekelnie tu zimno — poskarżył się. — I co to za smród? Chyba nie przechowujesz tu tego ciała, co?

— Nie — zapewnił Jube. — To tylko, hmm, trochę mięsa się zepsuło.

Zarysy ciała mężczyzny zaczęły migotać. W mgnieniu oka urósł o dwadzieścia centymetrów i przybrał na wadze dwadzieścia trzy kilogramy, jego rude włosy zrobiły się długie i siwe, liliowe oczy poczerniały, a z wydatnej zuchwy wyrosła postrzępiona broda.

Splótł dłonie wokół kolana.

— Nie miałem nawet najmniejszych kłopotów — zapewnił głosem znacznie niższym niż głos Tachiona. — Wszedłem do środka, wyglądając jak pajak z ludzką głową, i powiedziałem im, że mam grzybicę stóp. Wszystkich ośmiu. Nikt poza Tachionem nie chciał tknąć podobnego przypadku, więc kazali mi czekać za parawanem i poszli go poszukać. Zmieniłem się w Wielką

Siostrę i schowałem się w damskiej toalecie przy jego laboratorium. Kiedy wezwali go pagerem, poszedł na południe, a ja skierowałem się na północ, nosząc jego twarz. Jeśli ktoś patrzył na monitor bezpieczeństwa, zobaczy tylko, że doktor Tachion wchodził do swojego gabinetu, to wszystko. — Uniósł ręce i przyjrzał się im, obracając dłońmi w obie strony. — No wiesz, to było bardzo dziwne wrażenie. Idąc, widziałem swoje dłonie, obrzęknięte kostki, włosy na palcach, brudne paznokcie. Z całą pewnością nie doszło do żadnej fizycznej transformacji. Ale kiedy mijałem lustro, widziałem w nim tego, za kogo chciałem uchodzić, tak samo jak wszyscy. — Wzruszył ramionami. — Kula do kręgli leżała za szklaną ścianką. Badał ją za pomocą skanerów, manipulatorów, promieni X i tak dalej. Wsadziłem ją pod pachę i wyszedłem.

— Pozwolili ci tak po prostu odejść?

Jube nie potrafił w to uwierzyć.

— Hmm, niezupełnie. Myślałem, że już mi się udało, kiedy Troll przeszedł obok i powiedział mi „dobry wieczór” tak uprzejmie, jak tylko potrafił. Uszczypnąłem nawet pielęgniarkę i udawałem, że czuję się winny spraw, na które nie miałem żadnego wpływu. Byłem pewien, że to załatwi sprawę na mur. — Odchrząknął. — Ale kiedy winda zjechała na dół i chciałem wysiąść, do środka wsiadł prawdziwy Tachion. To mnie niezłe zaskoczyło.

Jube podrapał się po kle.

— I co zrobiłeś?

— A co mogłem zrobić? — odparł Croyd, wzruszając ramionami. — Był tuż przede mną i moja moc nie oszukała go nawet na mgnienie oka. Zmieniłem się w Teddy’ego Roosevelta, chcąc go w ten sposób zdezorientować, i gorąco zapragnąłem znaleźć się gdzie indziej. I nagle tak się stało.

— Gdzie się znalazłeś? — zapytał Jube, choć nie był pewien, czy naprawdę chce to wiedzieć.

— W mojej dawnej szkole — odparł Croyd z zażenowaną miną. — To była lekcja algebry w dziewiątej klasie. W tej samej ławce siedziałem, kiedy Śmig eksplodował nad Manhattanem w czterdziestym szóstym. Nie przypominam sobie, by któraś z dziewczyn tak wtedy wyglądała. — Zrobił trochę smutną minę. — Zostałbym na lekcji, ale spowodowałem za duże zamieszanie. Nie co dzień w klasie pojawia się Teddy Roosevelt ściskający kulę do kręgli. Dlatego się zmyłem i teraz jestem tutaj. Nie przejmuj się, dwa razy zmieniłem pociągi metra i cztery razy wygląd. — Wstał i się przeciągnął. — Mors, muszę przyznać, że praca dla ciebie nigdy nie jest nudna.

— Ale też nie płacę pensji minimalnej — zauważył Jube.

— To prawda — przyznał Croyd. — Skoro o tym wspominasz... Znasz Veronicę? To jedna z dziewczyn Fortunata. Mam ochotę zaprosić ją do Wieży Asów i przekonać się, czy da się namówić Hirama, żeby podał swoją łopatkę jagnięcą.

Jube miał klejnoty w kieszeni. Odliczył je i wysypał do dłoni Śpiocha.

— Wiesz co? — odezwał się, gdy Croyd zamknął na nich palce. — Mogłeś zachować urządzenie dla siebie. Może ktoś inny dałby ci za nie znacznie więcej.

— To wystarczająco wiele — odparł mężczyzna. — Zresztą nie gram w kręgle. Nigdy nie nauczyłem się liczyć punktów. Do tego chyba potrzeba algebry.

Jego sylwetka znowu zamigotała i po chwili pojawił się Jimmy Cagney w szykownym jasnoniebieskim garniturze z kwiatem w klapie. Wychodząc na ulicę, zaczął gwizdać piosenkę ze starego musicalu *Never Steal Anything Small*.

Jube zamknął drzwi, nacisnął guzik, obrócił klucz, zamknął haczyk i założył łańcuch. Kiedy zasuwał policyjny rygiel, usłyszał za sobą ciche kroki i się odwrócił.

Czerwony drżał z zimna w zielono-żółtej hawajskiej koszuli, pożyczonej z szafki Jube'a. Własne ubranie stracił podczas ataku na Cloisters Museum. Koszula była tak obszerna, że wyglądał w niej jak przekłuty balon.

— To jest to ustrojstwo? — zapytał.

— Tak jest — potwierdził Jube. Podszedł do czarnej kuli i wziął ją z szacunkiem w ręce. Była ciepła w dotyku.

Oglądał w telewizji konferencję prasową, podczas której doktor Tachion po powrocie z kosmosu oznajmił, że Matka Roju nie stanowi już zagrożenia. Mówił długo i elokwentnie o swej młodej koleżance, Mai, o jej wielkim poświęceniu, odwadze, jaką wykazała się we wnętrzu Matki, o jej bezinteresownym człowieczeństwie. Jhubbena bardziej jednak interesowało to, co Takizjanin przemilczał. Położył bardzo niewiele nacisku na rolę, jaką sam odegrał w całej sprawie, i w ogóle nie wspomniał, w jaki sposób Mai dostała się do wnętrza Matki Roju, by doprowadzić do unii, o której tak wzruszająco opowiadał. Reporterzy zdawali się zakładać, że Tachion po prostu wleciał Maleńką do wnętrza Matki i zacumował tam. Jube wiedział lepiej.

Gdy Śpioch się obudził, Glabberianin postanowił sprawdzić swoje domysły.

— Mówię ci to z wielką niechęcią, ale dla mnie to wygląda jak kula do kręgli — stwierdził miłym tonem Czerwony.

— Dzięki temu mógłbym wysłać dzieła zebrane Szekspira do galaktyki, którą zwiecie Mgławicą Andromedy — zapewnił Jube.

— Mój drogi kolego — odparł Czerwony — po prostu odesłaliby je z powrotem z komentarzem, że nie odpowiadają ich aktualnym potrzebom.

Był obecnie w znacznie lepszym stanie niż wtedy, gdy wylądował na progu Jube'a, trzy tygodnie po tym, jak asowie zburzyli nową świątynię. Miał na sobie odrażające, nadgryzione przez mole ponczo, robocze rękawice, kominiarkę zakrywającą twarz oraz lustrzanki. Jube nie poznał go, dopóki tamten nie uchylił okularów, odsłaniając czerwoną skórę wokół oczu.

— Pomóż mi — poprosił i zemdłał.

Jube wciągnął go do środka i zamknął drzwi. Czerwony był wychudzony i dręczyła go

gorączka. Po ucieczce z Cloisters Museum (Jube'a ominął cały incydent, z czego bardzo się cieszył), Czerwony wsadził Kim Toy do autobusu jadącego do San Francisco. Miała w tamtejszej Chińskiej Dzielnicy starych znajomych, którzy ją ukryją. Sam nie mógł jednak z nią pojechać. Kolor jego skóry przyciągał uwagę. Tylko w Dżokerowie mógł liczyć na anonimowość. Po dziesięciu dniach spędzonych na ulicy zabrakło mu pieniędzy i od tego czasu żywił się tym, co znalazł w pojemnikach na śmieci za lokalem Włochacza. Romana aresztowano, Matthias nie żył (liofilizował go jakiś nowy as, którego imię starannie ukrywano przed prasą), a za resztą członków wewnętrznego kręgu w całym mieście ogłoszono pościg.

Jube mógł go wydać, ale zamiast tego nakarmił go, umył i pomógł wrócić do zdrowia. Gryzły go wątpliwości i złe przeczucia. Pewne rzeczy, których dowiedział się o masonach, przerażały go, a ważniejsze tajemnice implikowane przez te informacje były bez porównania gorsze. Być może powinien był wezwać policję. Kapitan Black był przerażony wiadomością, że jeden z jego ludzi uczestniczył w spisku, i publicznie poprzysiągł, że przymknie każdego masona w Dżokerowie. Gdyby znaleziono tu Czerwonego, nie skończyłoby się to dobrze dla Jube'a.

Pamiętał jednak noc, gdy razem z kilkunastoma innymi przeszedł inicjację w Cloisters Museum, maski sokoła i szakala oraz zimną jasność Wielkiego Amuna, który górował nad nimi, surowy i straszliwy. Pamiętał brzmienie słowa TIAMAT, gdy nowicjusze wypowiedzieli je po raz pierwszy, i pamiętał też opowiedzianą przez Czcigodnego Mistrza historię o świętych początkach ich zakonu, o Giuseppe Balsamo znanym jako Cagliostro oraz o tajemnicy, jaką Świetlisty Brat powierzył Balsamo w angielskim lesie.

Podczas tej nocy nad nocami nie zdradzono więcej żadnych tajemnic. Jube osiągnął tylko wtajemniczenie pierwszego stopnia, a wyższe prawdy zarezerwowano dla wewnętrznego kręgu. To jednak wystarczyło. Jego podejrzania się potwierdziły, a kiedy Czerwony spojrzał w malignie na wnętrze pokoju Jube'a i zawołał: „Śakti!”, zdobył pewność.

Nie mógł skazać masona na los, na jaki zasługiwał. Rodzice nie opuszczają dzieci, choćby z biegiem lat stały się one nie wiedzieć jak zdeprawowane i zepsute. Nawet wypaczone, wyprowadzone na manowce i ciemne pozostawały krwią z twojej krwi, drzewem, które wyrosło z twojego nasienia. Nauczyciel nie opuszczał ucznia. Nie było nikogo innego. Odpowiedzialność spoczywała na jego barkach.

— Będziemy tak tu stać cały dzień? — zapytał Czerwony, gdy dłonie Jube'a przebiegły ciarki od dotyku przenośnika osobliwościowego. — A może sprawdzimy, czy działa?

— Przepraszam — odparł Jube. Uniósł łukowatą pokrywę nadajnika tachionowego i wsunął przenośnik osobliwościowy do pola macierzowego. Włączył prąd z termojądrowej baterii i obserwował, jak pole strumieniowe spowiło przenośnik. Po niezwyklej kształtach maszyny przebiegły ognie świętego Elma. Na błyszczących metalowych powierzchniach rozbłysły spiczaste litery alfabetu, który Jube ledwie pamiętał, przegradzające się w linie zginające się pod

w jakiś sposób niewłaściwymi kątami.

Czerwony przeżegnał się, wracając do irlandzkiego katolicyzmu.

— Jezus Maria, Józefie święty — zawołał.

Działa, pomyślał Jhubben. Powinien być w triumfalnym nastroju, ale czuł się tylko osłabiony i zbity z tropu.

— Muszę się czegoś napić — oznajmił Czerwony.

— Pod zlewem jest butelka ciemnego rumu.

Czerwony znalazł butelkę i napełnił dwie szklaneczki rumem z kostkami lodu. Swoją wypił natychmiast. Jube usiadł na kanapie ze szklaneczką w dłoni i gapił się na tachionowy nadajnik. Wysoki, słaby gwizd urządzenia ledwie się przebijał przez szum wentylatora.

— Mors — odezwał się Czerwony, ponownie napełniając sobie szklanę. — Uważałem cię za wariata. Sympatycznego wariata, oczywiście, i jestem wdzięczny, że mnie ukryłeś, kiedy ściagała mnie policja, ale kiedy zobaczyłem, że zbudowałeś własną maszynę Śakti, no cóż, każdy by pomyślał, że masz trochę za mało szarych komórek. — Przełknął rum jednym haustem. — Twoja jest cztery razy większa od zbudowanej przez Kafkę — zauważył. — To chyba gorszy model. Ale z drugiej strony nigdy nie widziałem, żeby maszyna karalucha tak się rozświeciła.

— Jest większa, niżby należało, bo musiałem korzystać z prymitywnego sprzętu elektronicznego — wyjaśnił Jube. Rozpostarł dłonie, prostując trzy grube palce oraz zakrzywiony, tępo zakończony kciuk. — A te ręce nie nadają się do precyzyjnej pracy. Urządzenie w Cloisters Museum rozświeciłoby się, gdyby było podłączone do mocy. — Spojrzał na Czerwonego. — Jak właściwie Czcigodny Mistrz zamierzał osiągnąć ten cel?

Czerwony potrząsnął głową.

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Pewnie, że jesteś księciem, bo uratowałeś moją słodką, czerwoną dupę, ale nadal jesteś tylko księciem pierwszego stopnia.

— Czy nowicjusz pierwszego stopnia mógłby zbudować maszynę Śakti? — zapytał Jube. — Ile stopni pokonałeś, nim w ogóle ci powiedzieli, że takie urządzenie istnieje? — Potrząsnął głową. — Nieważne. Znam pointę. Ilu dzokerów potrzeba, żeby włączyć żarówkę? Wystarczy jeden, pod warunkiem że ma nos na prąd zmienny. Astronom sam zamierzał napędzać maszynę.

Wyraz twarzy Czerwonego był wystarczającym potwierdzeniem.

— Maszyna Kafki miała dać Zakonowi panowanie nad Ziemią — oznajmił mason.

— Ehe — zgodził się Jube. Świetlisty Brat zdradził sekret Cagliostrowi, nakazał mu strzec go pilnie i przekazywać z pokolenia na pokolenie, aż do chwili przybycia Mrocznej Siostry. Zapewne dał mu też inne artefakty, a z pewnością źródło mocy, bo przed dwoma stuleciami nikt nie mógłby przewidzieć takizjańskiej dzikiej karty.

— Był bystry — powiedział na głos — ale pozostawał dzieckiem swojej epoki. Prymitywnym, przesądnym i chciwym. Wykorzystał to, co mu dano, dla własnej, samolubnej

korzyści.

— Kto? — zapytał zdziwiony Czerwony.

— Balsamo — odparł Jube. Cagliostro resztę wymyślił sam. Egipską mitologię, stopnie, rytuały. Wypaczył to, co mu dano, dla własnej korzyści. — Świetlisty Brat był Ly'bahrem.

— Kim? — zdumiał się Czerwony.

— Ly'bahrem — powtórzył Jube. — Oni są cyborgami, Czerwony, bardziej maszynami niż żywymi organizmami, bardzo potężnymi. To kosmiczni dzokerzy. Każdy wygląda inaczej, ale nie chciałbyś spotkać którego z nich w ciemnej uliczce. Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół są Ly'bahrami. — Jube uświadomił sobie, że bredzi, ale nie był w stanie się powstrzymać. — Och, prawda, to mógł być przedstawiciel jakiegoś innego gatunku, może Kreg albo nawet jeden z moich pobratymców w kombinezonie z ciekłego metalu. Ale myślę, że to był Ly'bahr. A wiesz dlaczego? TIAMAT.

Czerwony gapił się na niego bez zrozumienia.

— TIAMAT — powtórzył Jhubben. Z jego głosu i zachowania zniknęły wszelkie ślady sprzedawcy gazet. Mówił teraz jak naukowiec z Sieci. — Asyryjskie bóstwo. Sprawdziłem to. Dlaczego nazywać Mroczną Siostrę tym imieniem? Czemu nie Baal, Dagon czy jakiś inny koszmarny bożek wynaleziony przez wasz gatunek? Dlaczego słowo określające najwyższą moc jest asyryjskie, mimo że cała reszta wynaleziona przez Cagliostra mitologii pochodzi z Egiptu?

— Nie wiem — przyznał Czerwony.

— Ale ja wiem. TIAMAT brzmi trochę jak to, co powiedział Świetlisty Brat. *Thyat M'hruh*. „Ciemność dla gatunku”. To ly'bahriańska nazwa Roju. — Jube się roześmiał. Opowiadał kawały od trzydziestu lat, ale nikt na Ziemi nie słyszał dotąd jego prawdziwego śmiechu. Brzmiał jak szczekanie foki. — Wielki Kupiec nigdy nie dałby wam panowania nad światem. My nic nikomu nie dajemy za darmo. Ale sprzedałby je wam. Zostalibyście elitą wielkich kapłanów służących „bogom”, którzy naprawdę słuchaliby waszych modłów i czynili cuda na żądanie.

— Oszalałeś, przyjacielu — stwierdził Czerwony z wymuszoną wesołością. — Śakti miała...

— „Śakti” znaczy po prostu „moc” — przerwał mu Jhubben. — Maszyna jest nadajnikiem tachionowym. Nigdy nie była niczym więcej. — Wstał z kanapy i podszedł do urządzenia. — Setech ją widział i dlatego mnie oszczędził. Myślał, że byłem wyrzutkiem, pozostałością jakiejś zaginionej gałęzi. Zapewne doszedł do wniosku, że rozsądniej będzie zachować mnie przy życiu na wypadek, gdyby Kafce coś się przydarzyło. Byłby już tutaj, ale gdy TIAMAT zawróciła do gwiazd, zapewne uznał, że Śakti nie ma już znaczenia.

— Jasne. A czy tak nie jest?

— Nie. Nadajnik jest wyskalowany. Gdybym wysłał sygnał, najbliższa placówka Sieci odebrałaby go za kilka tygodni, a po kilku miesiącach przybyłaby „Okazja”.

— A co to za okazja, brachu? — zapytał Czerwony.

— Przybędzie Świetlisty Brat — oznajmił mu Jhubben. — Jego rydwan jest wielki jak Manhattan, a na jego wezwanie staną do boju armie aniołów, demonów oraz bogów. Nie mają innego wyjścia, bo wszyscy są związani kontraktami.

Czerwony przymrużył nagle oczy.

— Chcesz powiedzieć, że to jeszcze nie koniec? To nadal może się zdarzyć, nawet bez Mrocznej Siostry?

— Mogłoby, ale się nie zdarzy — odparł Jube.

— Dlaczego?

— Dlatego że nie zamierzam wysłać sygnału. — Chciał, żeby Czerwony go zrozumiał. — Myślałem, że jesteśmy kawalerią. Takizjanie wykorzystali wasz gatunek jako zwierzęta doświadczalne. Myślałem, że my jesteśmy lepsi. Ale nie jesteśmy. Nie rozumiesz, Czerwony? Wiedzieliśmy, że ona się zbliża. Ale gdyby nigdy się nie zjawiała, nic byśmy na tym nie zarobili, a Sieć nigdy niczego nie daje za darmo.

— Chyba kapuję — stwierdził Czerwony. Wziął w rękę butelkę, ale rumu już zabrakło. — Chętnie bym się jeszcze napił, a ty?

— Nie — odparł Jube.

Czerwony poszedł do kuchni. Jhubben słyszał, jak otwiera i zamyka szuflady. Po chwili wrócił, trzymając w rękach wielki nóż do mięsa.

— Wyślij wiadomość — zażądał.

— Poszedłem kiedyś na mecz Dodgersów — zaczął Jube, czując się zmęczony i rozczarowany. — Masz tylko trzy szanse, jak mawiają gracze w baseball. Takizjanie, moja własna kultura, a teraz ludzkość. Czy nie ma nikogo, kto dbałby o cokolwiek poza sobą samym?

— Nie żartuję, Mors — ostrzegł go Czerwony. — Nie chcę ci zrobić krzywdy, brachu, ale z nas, Irlandczyków, są uparte skurczybyki. Hej, gliny w mieście na nas polują. Pytam cię, co to za życie dla mnie i dla Kim Toy? Jeśli mam wybór między szukaniem jedzenia na śmietnikach a władzą nad światem, zawsze wybiorę władzę nad światem. — Machnął nożem. — Wyślij wiadomość. A potem odłóż to i będziemy mogli zamówić pizzę i opowiedzieć sobie parę kawałów. Możesz mieć na swojej zgniłe mięso.

Jube sięgnął pod koszulę i wyciągnął pistolet. Był półprzezroczysty, miał ciemnoczerwoną barwę, a jego gładkie linie wydawały się zmysłowe, lecz z jakiegoś powodu również niepokojące. Lufa była cienka jak ołówek. W głębi pistoletu migotały jakieś światełka, a jego rękojeść doskonale pasowała do dłoni obcego.

— Przestań, Czerwony — rzekł. — Nie ty rządziłbyś światem, tylko Astronom, Zgon albo inni im podobni faceci. Sam mi powiedziałeś, że to skurwysyny.

— Wszyscy jesteśmy skurwysynami — skwitował Czerwony. — A Irlandczycy nie są tacy

głupi, jak o nas mówią. To pistolet-zabawka, brachu.

— Dałem go chłopakowi z góry na Gwiazdkę — oznajmił Jube. — Jego opiekun mi go oddał. No wiesz, pistoletu nie dało się zepsuć, ale metal był tak twardy, że Klucha niszczył wszystko w domu, kiedy się nim bawił. Włożyłem z powrotem baterię i nosiłem broń na uprząży, gdy tylko szedłem do Cloisters. Dzięki temu czułem się trochę odważniejszy.

— Nie chcę tego robić — powiedział Czerwony.

— Ja też nie — odparł Jhubben.

Czerwony postąpił krok naprzód.



Telefon dzwonił przez długi czas. Wreszcie ktoś na drugim końcu odebrał rozmowę.

— Halo?

— Croyd — odezwał się Jube. — Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale znowu mam problem z ciałem...



Nota wydawnicza

Monety z piekła copyright © 1987 by Lewis Shiner.

Do szóstej generacji oraz *Kometa pana Koyamy* copyright © 1987 by Walter Jon Williams.

W proch się obrócisz copyright © 1987 by the Amber Corporation.

Gdyby wzrok mógł zabijać copyright © 1987 by Walton Simons.

Zimowy chłód oraz *Jube* copyright © 1987 by George R. R. Martin.

Kłopoty z krewnymi copyright © 1987 by Melinda M. Snodgrass.

Z niewielką pomocą przyjaciół copyright © 1987 by Victor Milán.

Po zapomnianych drogach copyright © 1987 by Pat Cadigan.

W połowie martwy copyright © 1987 by John J. Miller.

Spis treści

Dedykacja

Od redaktora wydania oryginalnego

1979

Monety z piekła LEWIS SHINER

Jube: Jeden

Do szóstej generacji. Prolog WALTER JON WILLIAMS

Jube: Dwa

W proch się obrócisz ROGER ZELAZNY

Do szóstej generacji. Część pierwsza WALTER JON WILLIAMS

Do szóstej generacji. Część druga WALTER JON WILLIAMS

Jube: Trzy

Gdyby wzrok mógł zabijać WALTON SIMONS

Jube: Cztery

Do szóstej generacji. Epilog WALTER JON WILLIAMS

Zimowy chłód GEORGE R.R. MARTIN

Jube: Pięc

Kłopoty z krewnymi MELINDA M. SNODGRASS

Z niewielką pomocą przyjaciół VICTOR MILÁN

Jube: Sześć

Po zapomnianych drogach PAT CADIGAN

Kometa pana Koyamy WALTER JON WILLIAMS

W połowie martwy JOHN J. MILLER

Jube: Siedem

Nota wydawnicza